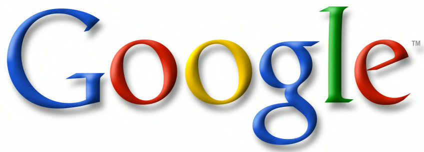




X. KONSTANTY ŁUBIEŃSKI,

ZE STAREGO DAGEROTYPU ZROBIONEGO W WILIĘ JEGO WYWIEZIENIA DO CHARKOWA.

KONSTANTY-IRENEUSZ

POMIAN HRABIA

ŁUBIEŃSKI

BISKUP SEJNEJSKI

NAPISAŁ





KRAKÓW.
NAKŁADEM X. JANA ŚCIEBORSKIEGO.
1898.

Kraków. — Druk W. L. Anczyca i Spółki.

Przedmowa.

Dwadzieścia i sześć lat upływa od czasu śmierci X. Biskupa Konstantego Łubieńskiego. Pokolenie zatem jedno ludzkle już się prawie przesunęło, i wolni od namiętności chwili, możemy z potrzebnym dla dziejopisarza spokojem, rozpatrzeć się w szczegółach jego życia, ocenić wypadki i ludzi jemu współczesnych.

Życie X. Biskupa zaraz po jego śmierci spisanem zostało przez cztery osoby, które go od kolebki prawie znały. Oprócz tego częściowe sprawozdania z pojedynczych okresów, i szczególniejszych okoliczności *pro memoria,* przez przyjaciół połączonemi zostały. Dodajmy do tego kilkaset jego prywatnych listów, pierwsze kopie licznych memoryałów, papiery wszystkie, które hrabia Berg i p. Muchanow jego bratu hr. Tomaszowi Łubieńskiemu po śmierci ze skonfiskowanych aktów zwrócili, rozmaite dokumenta za granicami Rosyi dla pewności umieszczone, a przekonamy się, że sumienny badacz na brak materyału uskarżać się nie mógł, a wielka onego obfitość nie zostawiała żadnego pola dla własnych przypuszczeń. Każde niemal tu słowo opiera się na pewnej podstawie opowiadań wiarogodnych a naocznych świadków, lub własnoręcznych X. Biskupa sprawozdań.

Wszystkie te, w kilku tomach zawarte rękopisma powoli zgromadzone zostały u hr. Ludwika Łubieńskiego Bodenhama w Rotherwas w Anglii, gdzie bezpiecznie oczekiwać mogły sposobnej chwili ogłoszenia.

Przystępując dzisiaj do ich wydania, czynię to dlatego, że pomimo iż większa część współczesnych X. Konstantemu osób już z nim przed Sądem najwyższym stanęła, wielu jednak jeszcze na tej ziemi pozostało, i oni mogą ustnie spisane tutaj rzeczy potwierdzić i niespożytym jego zasługom dodać swoje prawdy świadectwo i zeznanie. Gdzie tylko okoliczności na to pozwalały, starałem się wymieniać nazwiska osób, ażeby wskazać źródła, gdzie opowiadane wypadki można łatwo i zaraz sprawdzić. Nie taję jednak zarazem, że bardzo wiele okoliczności musiałem zamilczeć i bardzo wiele nazwisk pominąć, ażeby te rzeczy lub te osoby na prześladowanie nie wystawić. Zanim jedno jeszcze pokolenie w dziejach upłynie, daj Boże, ażeby zdolniejsze i godniejsze od mego pióro, mogło bez obawy następstw dla Kościoła, ojczyzny i rodaków, całą prawdę tego historyi okresu, wszem wobec opowiedzieć.

Skończyłem w dzień św. Ireneusza Bisk. i Męcz. 1895 r.

* * *

ROZDZIAŁ I.

URODZENIE, NAUKI, POWOŁANIE.

(1825—1846).

Ksiądz Biskup Konstanty Ireneusz Łubieński przyszedł na świat w Warszawie d. 19 lutego 1825 r. Dom w którym się urodził jeszcze stoi niezmieniony na Nowym Świecie Nr. 51 (L. 1253) na rogu Wareckiej i był własnością jego babki hr. Janowej Potockiej, dokąd też matka jego przyjechała ze wsi Kazimierzy Wielkiej z ziemi Krakowskiej, gdzie naonczas z mężem mieszkała, ażeby odbyć swoją słabosć. W tym samym domu w roku 1782 odbył się z wielką uroczystością ślub jego dziadka, ministra Felixa hr. Łubieńskiego z Teklą hr. Bielińską, w pomieszkaniu babki panny młodej, księżnej Pawłowej z hr. Duninów Sanguszkowej, wielkiej marszałkowej W. Ks. Litewskiego, bo tu była rezydencya i pałac w stolicy Rzeczypospolitej tego książęcego rodu. Chrzest święty otrzymał z rąk X. Alberta Kwiecińskiego, misyonarza przy kościele św. Krzyża, to jest w parafialnym swoim kościele; a rodzicami chrzestnymi byli: Tomasz hr. Łubieński, jenerał wojsk polskich, brat ojca niemowlęcia i bratowa jego Anna z Kickich hr. Janowa Łubieńska. Matka dziecka zajmowała podczas słabości pomieszkanie na dole, na prawo od wjazdowej bramy, która tak jak i cały dół, teraz na sklepy zamienioną została. Ojcem jego był Henryk hr. Łubieński, dziedzic

wtenczas dóbr Kazimierza Wielka, w powiecie Skalbimierskim, członek rady wojewódzkiej i województwa Krakowskiego i poseł z powiatu Skalbimirskiego na sejm Królestwa Polskiego, a późniejszy wiceprezes Banku Polskiego — Matką, Irena z hr. Potockich hr. Łubieńska. Dziadem i babką, po stronie ojca, jak już wyżej powiedziano, był Felix hr. Łubieński (brat przyrodni Michała Kleofasa Ogińskiego, wielkiego podskarbiego W. X. Litewskiego, i Prota Potockiego, wojewody Kijowskiego), starosta Nakielski, następnie minister sprawiedliwości za Księstwa Warszawskiego i Tekla z Bielińskich, pisarzówna wielka koronna. Po stronie matki dziadem i babką byli: Jan hr. Potocki, poseł na Sejm czteroletni, żołnierz Kościuszkowski, sławny podróżnik i literat w Polsce, i Konstancya Potocka, córka Szczęsnego z Mniszchówncj, secundo voto Edwardowa Raczyńska. Ojciec nowonarodzonego miał zwyczaj od roku 1820 do 1848 codziennie pisywać do ojca swego Feliksa ministra, który od r. 1828 stale mieszkał w Guzowie, w powiecie Sochaczowskim, swoim dawnym majątku, natenczas już do hr. Henryka Łubieńskiego należącym, i wszystkie te listy w archiwum familijnem są troskliwie zachowane. Otóż w liście hr. Henryka z d. 22 lutego 1825 znajdujemy pierwszą wzmiankę o dziecku. Zdając sprawę ojcu o szczęśliwem rozwiązaniu żony Ireny, pisze dalej: »Wybraliśmy mamkę ze Starowiskitek, mężatkę, ma lat 18. Wczorajszego dnia odbył się sakrament Chrztu św., za dyspensą arcybiskupa w salonie. Tomasz z Jasiową trzymali do Chrztu św. Konstanty, Konrad, Henryk dano mu imiona. Kostuś nasz tedy nadzwyczaj jest mały i drobny, nie widziałem tak małego dziecka, ale z łaski Boskiej zdrów zupełnie«.

Rodzice jego mieli liczne potomstwo, ale wiele z nich w dzieciństwie stracili, tak, że im przy życiu Pan Bóg zachował tylko czterech synów i jedną córkę: Edward, ożeniony z Konstancyą Szlubowską, Tomasz z Adelaidą Łempicką, Konstanty biskup, Julian ożeniony z krewną swą Antoniną Łubieńską i Marya także za krewnego swego, Pawła Łubieńskiego wydana. O ojcu jego obszerniej wspominać tutaj nie

potrzebujemy, ponieważ historya jego jako wiceprezesa Banku Polskiego, niejednokrotnie w pismach publicznych i osobnych dziełkach spisaną już była. Tutaj tylko dodamy, że w życiu prywatnym odznaczał się niezwykłą surowością obyczajów, że przez całe długie, bo dziewięćdziesięcioletnie życie, przy niesłychanym nawale pracy, co dzień o 6-ej rano, zimą i latem widziano go na Mszy św. w kościele, że do ostatniego dnia żywota skrupulatnie zachował wszystkie posty i kościelne przepisy, że nareszcie całą Warszawę i Polskę budował mężkiem i chrześcijańskiem poddaniem się woli Opatrzności, gdy z pierwszorzędnego, powiemy nawet dominującego stanowiska w kraju, po stracie milionowego majątku i wywiezieniu w głąb Rosyi, musiał się ograniczyć i zastosować do bardzo skromnych środków mu pozostałych. Cechą charakteru jego była niezmordowana praca i poświęcenie bez granic dla służby kraju; a obydwie cnoty te, jak później zobaczymy, w jego synie się odnajdują, one także stanowią podstawę całego jego żywota.

O matce jego Irenie z Potockich był tylko jeden i jednozgodny głos w kraju całym, to jest, iż była świętą niewiastą, wzorową małżonką i najczulszą matką. Te jej cnoty tem więcej uwagę na siebie zwracały, ponieważ urodziła się i wzrosła na dworze Tulczyńskim, gdzie przy wielkopańskim, prawie królewskim przepychu dziada jej Szczęsnego Potockiego, zgodnie z atmosferą wieku, odstąpiono niestety od karności i surowości obyczajów, odznaczających dwory naszych przodków. Irena, wyrwana zaraz w pierwszej młodości z tego gniazda, bo już w piętnastym roku wydana za mąż, przy jego boku odrazu przeszła pod strzechę rodziny, gdzie patryarchalne stosunki domowe polskie skrupułatnie zachowywane były. Tu jej życie całe oddane na miłości bez granic dla męża, na pracy około tak licznego potomstwa, i na ciągłej i nieustającej modlitwie, prędko przeszło, bo już w 32 roku, Bóg ją osądził za gotową i dojrzałą do wiekuistej chwały — *brevi tempore explevit multos annos.*

Niewątpliwie, iż przykład i wpływ takiej matki niezatarte zostawił ślady na wrażliwych umysłach, niezwykle by-

strych i rozwiniętych, jej dzieci, i spotęgował jeszcze w nich na całe życie to uczucie prawdziwej pobożności i gotowości do poświęcenia się wyłącznie na służbę Bożą, którą i tak familia Łubieńskich na kartce dziejów naszych chlubnie jest zapisaną. Dwóch prymasów, dziewięciu biskupów, dwudziestu czterech prałatów, kanoników i zakonników, wielka ilość zakonnic; jest to poczet niezwykły w ciągu trzech wieków dla jednej rodziny. Z prymasów pierwszy Maciej (1562—1652) pozostawił po sobie pamięć świętego, i gdyby nie nieszczęścia krajowe, i niemożliwość wskutek tego przystąpienia do zebrania dowodów jego niezwykłego żywota, nie wątpliwie do dziś dnia byłby już w poczet naszych świętych Polski patronów zaliczony, bo i cudów za życia i po śmierci nie brak, i żywotnej wiary w skuteczność jego modłów, wiernie w kolebce Kościoła naszego w Gnieźnie zachowanej. Drugi prymas Władysław Aleksander (1703—1767), obok wielkiej nauki, talentu pisarskiego i wspomnienia, iż był ostatnim Interrexem i ukoronował ostatniego elekta narodu Stanisława Augusta, pozostawił w narodzie pamięć dla śmierci z otrucia w filiżance czarnej kawy, podanej mu na instagacye ambasadora cesarzowej Katarzyny, gdy pomimo wieku i bardzo już nadwątlonych sił, zaczął się sprzeciwiać uległości króla dla północnej monarchini. Nie możemy także nie zwrócić uwagi na to, iż wbrew ogólnemu zwyczajowi, gdy któren z członków jakiej szlacheckiej rodziny dostał się na te kościelne beneficya dawnej Rzeczypospolitej, z których same dochody równały się książęcym fortunom, niebawem cała rodzina rosła w potęgę, znaczenie i dostatki, tak iż wiele bardzo dzisiaj magnackich familii zawdzięczają swe powstanie i znaczenie temu, że mieli bodaj jednego takiego kościelnego dygnitarza, przeciwnie biskupi Łubieńscy, całe swoje kościelne mienie, wyłącznie na chwałę Bożą i na potrzeby owieczek swych i biednych obracali. Krescytywa familii z tego źródła przez lat czterysta żadnego przyrostu nie wykazuje. Słusznie dlatego biskup Łętowski w swej historyi o nich pisze. »Dom ten zasłużył się Kościołowi polskiemu. Wszystko to ludzie stateczni i szczerzy i szafarze wierni chleba duchownego. Imię też to nie

urosło z ołtarza, tylko ołtarze pominą, na te sługi swoje dobre i wierne«.

Od tej tradycyi familia Łubieńskich do dziś dnia nie odstąpiła. W roku 1880 jeden z jej członków mający rodzinny majątek na Podlasiu w samym środku części najwięcej na prześladowania unickie wystawioną, powołany został przez generał-gubernatora Hurkę, który mu oświadczył, że musi opuścić majątek i wyjechać za granicę, bo jest oskarżony o tajemne pomaganie unitom. Na zapytanie, czy wolno mu będzie kiedy powrócić, otrzymał odpowiedź, że do kraju tak, ale do majątku nigdy, gdyż nazwisko jego familii jest synonimem i sztandarem katolicyzmu w kraju. Świadectwo takiego wroga Kościoła i kraju musi być nieocenionym skarbem dla rodziny.

Kolebka nowonarodzonego dziecka ukołysaną była modlitwą świątobliwej matki; pierwsze jego kroki stawiane w otoczeniu nawykłem do starodawnej surowości i karności obyczajów, najpierwsze wrażenia owiane wspomnieniami wielkiego dla kraju przodków poświęcenia i niepomiernych dla Kościoła zasług, to wszystko w zaraniu tego życia mogło dać zawczasu do myślenia, jakimi torami dalszymi ono się potoczy.

Kocio, bo tak późniejszego biskupa nazywano w dzieciństwie, był chłopaczkiem zdrowym, wesołym, nadzwyczajnie miłym i we wszystkich ćwiczeniach ciała zwinnym i bardzo zgrabnym. Już wtenczas występuje inna cecha jego charakteru, to jest nieustraszona odwaga, skutkiem czego dwa razy nawet o mało, kąpiąc się nie utonął, raz w Wiśle r. 1828, drugi raz w Warcie r. 1832. Bony przy nim były dwie, Niemka z Gdańska Frau Ruschken, wdowa, a potem Paryżanka Madame Herbeau, której mąż weteran jednonogi wojsk Napoleońskich, dawał mu początkowe nauki. Od roku 1833, to jest kiedy miał lat 8, przeszedł pod dozór guwernera starszych swoich braci Edwarda i Tomasza, pana Stanisława Mikuckiego, exkleryka Jezuitów jeszcze z Połocka, który w Rzymie z powodu słabości zdrowia musiał zakon opuścić i prosto stamtąd przyjechał na guwernera do domu hr. Henryka Łubieńskiego, zarekomendowany przez bawiącego wówczas w Kole-

wne koleje życia przechodził. Wielkiemi zdolnościami obdarzony, poświęcił się nauce matematyki i w Paryżu podczas pierwszego cesarstwa dalej się kształcił i z całym światem tamtejszym naukowym ścisłe stosunki pozawiązywał. Powróciwszy do kraju, został profesorem szkoły applikacyjnej Warszawskiej. Przywłaszczając sobie nauki, utracił najdroższy skarb wiary i gorszył znajomych i młodzież niedowiarstwem i wygłaszaniem zasad wolteryańskich i francuskich encyklopedystów. W tym czasie przeprawiając się raz promem pod Warszawą przez Wisłę, przy wypadku, który się zdarzył, ledwo z życiem ocalał. Powrócił nie tylko wierzącym katolikiem, ale najgorliwszym kapłanem, budującym całą Warszawę swą pobożnością. Hr. Berg, późniejszy namiestnik, a potenczas szef sztabu przy marszałku i namiestniku Paszkiewiczu, bardzo często odwiedzał X. Skolimowskiego w jego skromnem mieszkaniu i godzinami całemi z nim przesiadywał na rozwiązywaniu trudnych zadań matematycznych i przyjacielskiej pogawędce. Mieszkając na starość na dewocyach przy kościele św. Krzyża, godzinami całemi nieruchomy klęczał przed Najświętszym Sakramentem, zatopiony w modlitwie, a umartwienia jego były tak srogie, że podczas wielkiego postu jadał tylko raz na dzień wieczorem, trochę suchego chleba z kwaszoną kapustą. X. Konstanty Łubieński miał szczęście na śmierć go przygotować, a sam obmywając ciało, znalazł łańcuszek żelazny, którym biodra jego były opasane, ale tak już wrośnięty w ciało, że tylko za pomocą cięć nożem, można było na wierzch go wydobyć. Łańcuszek ten X. Konstanty darował później swemu przyjacielowi X. Wincentemu Popielowi, późniejszemn arcybiskupowi. X. Skolimowski dawał wtenczas Kociowi lekcye matematyki, i on pierwszy ocenił i zwrócił ojcu jego uwagę na niesłychane zdolności dziecka, a przytem przepowiedział wtenczas zaraz, że on będzie miał powołanie do stanu duchownego i niepoślednie zajmie w nim miejsce.

W roku 1839 Kocio miał opuścić dom rodzicielski, ażeby się udać do najsławniejszego naonczas kollegium OO. Jezuitów we Fryburgu w Szwajcaryi. Hr. Henryk pisze do

ojca Ministra do Guzowa, pod dniem 7 marca 1839: »Ze wszystkich stron rozważyłem, ponieważ zdolności jakie zdaje się obiecywać Kocio, zniewalają mnie dać mu regularną systematyczną edukacyę i wysłać go w tym celu już teraz, to jest za pół roku za granicę«. Widocznie wahał się hr. Henryk, gdzie najlepiej Kocia posłać, bo w tym przedmiocie znajdujemy następujące jeszcze listy w archiwum familijnem. Edward, najstarszy syn hr. Henryka, pisze do ojca z Rogalina, pod dniem 10 września 1839 r.: »Z Oporowa powróciwszy, z Munia (Tomasza) byłem szczęśliwy w pierwszych dniach przyjazdu jego, lękam się tylko, by próżnowanie nie odejmowało mu choć źdźbła świętości, pilno mi, żeby wyjechali. Co do Kocia, zdaje mi się, że koniecznie jechać powinien do Fryburga, są zarody w duszy jego wszystkiego co złe i dobre, ale żadnej rękojmi, żeby się te ostatnie raczej rozwinęły od drugich, najważniejszem mi się zdaje charakter jego kształcić, bo z niego wielki człowiek być musi. Zresztą wchodząc do szkoły centralnej (w Paryżu) rozumiałby może kursa, ale by je nie zapisał, nie spamiętał, wyszłoby mu z głowy jak dym. Ze smutnego doświadczenia, prowadzonego od lat 3 do 20 wiem, że nie jest korzystnem zawcześnie nauki zaczynać, lepiej iść drogą zwyczajną, tego się uczyć co drudzy, tak długo jak drudzy, tylko lepiej jak drudzy. Całuję ręce kochanego ojca i biorę się do manuskryptu p. Raczyńskiego. Bardzo przywiązany syn *Edward*«.

Trochę później pisze znów do hr. Henryka z Rogalina drugi syn jego Tomasz w tym samym przedmiocie d. 20 września 1839: »Dobro Kocia i Edzia jest jedyną rzeczą, którą miałem na myśli od naszego rozstania się w Oporowie, i to też będzie jednem z najgłówniejszych mych zatrudnień podczas pobytu mego w Paryżu i mieszkania z nimi. Kociowi niejako poświęcić się winienem, bo to był ten z braci, z którym przed wyjazdem mym do Legnitz i do Fryburga najbardziej byłem zaprzyjaźnionym, bodajbym mu mógł dużo i takich dać przykładów, na które się jeszcze zapatrując dystyngowanym lecz zwłaszcza uczciwym stałby się człowiekiem. O Kociu im bardziej myślę, tem bardziej widzę, ile mu

rok we Fryburgu albo parę, użytecznymby był, jeżeli tedy w Paryżu egzamina zdać nie będzie mógł i jeżeli Tuilly wszystkich tych awantażów nie ma co Fryburg, to ja będę całą mocą starał się o to, żeby do Fryburga pojechał, ale we Fryburgu czy do logiki albo do filozofii, czy do tercyi — czy go podług zdolności, czy podług umiejętności klasycznych umieścić. Kociowi mówiłem już o Fryburgu i powiedział mi, że bardzoby go bolało, gdyby w Paryżu nie został, ale zresztą wolałby Fryburg od Tuilly. Gdyby Kocio jechał do Fryburga, to filozofia dalekoby była awantażowniejsza niż tercya lub quarta, boby matematyki mniej zapomniał, a po dwóch latach by się jeszcze więcej nauczył. Potemby go to daleko bardziej uformowało i pożycie z doroślejszymi młodymi ludźmi. Całuję tacie rączki. *Tomasz*«.

Dnia 29 września 1839 Tomasz znowu pisze do ojca do Warszawy. »Kochany ojcze. Kocio jeszcze nie odjechał, ale jutro już z pewnością odjeżdża, dziś po listy do Poznania posłali, jeżeli między nimi mój paszport przyjdzie, to z nimi jadę, jeżeli nie jutro w poniedziałek przyjdzie, to za nimi gonię. Jeżeli zaś z Kociem jechać albo za nim gonić nie będę, to się piechotą do Oporowa kopnę, pierwszego dnia do Jurkowa na noc, a stamtąd nazajutrz na obiad do Oporowa, niewiem zresztą jeszcze jak się to ułoży«.

Kocio po drodze do Fryburga, jak widzimy zatrzymał się czas niejakiś w Wielkiem Księstwie Poznańskiem, gdzie miał licznych krewnych, najsamprzód dom rodzonej babki Konstancyi z Potockich Edwardowej Raczyńskiej, Bernarda Potockiego ożenionego z Klaudyną siostrą Tytusa Działyńskiego z Kurnika, panią referendarzową Józefą Morawską z Oporowa rodzoną siostrą jego ojca i jenerała Dezyderego Chłapowskiego w Turwi wprawdzie nie krewnego ale przyjaciela i kolegę z wojen Napoleońskich stryja jego jenerała Tomasza hr. Łubieńskiego. W mieście Poznaniu zdał próbne egzamina z prywatnie dotychczas prowadzonych nauk.

Ażeby poznać tego 14-letniego chłopaczka, nie możemy lepiej uczynić jak podać w całości list jego do ojca pisany

z Rogalina d. 5 września 1839 r., który z tylu innymi mamy zachowany. Oto treść jego.

Kochany tato.

»Dziękuję tacie za list, który z łaski swojej do nas napisał. Nic tacie nie piszę jakeśmy dzień onegdajszy (rocznica śmierci matki) smutną nader dla nas rocznicę obchodzili. Munio (brat starszy Tomasz) zapewne tacie dostatecznie o tem napisze, a jam dzisiaj trochę słaby i tak głupi, że nie wiem jak ten list skleić. Dość na tem, żeśmy i my równie gorąco jak tata, życzyli sobie z tatą być złączonymi w ten dzień, na zawsze dla nas pamiętny, żeśmy i my równie jak tata gorąco za mamę słali modły, które równie jak tata uważamy raczej za hołd oddany jej cnotom, niżeli za potrzebną jej posługę. Pisał tata Muniowi, abym się przygotował na egzamin, który mam przed poznańskimi profesorami złożyć. Trudno mi będzie tatę zadowolnić, gdyż jakem już, o ile mi się zdaje, tacie doniósł, straciłem po części czas mój i ponieważ bym mógł był daleko więcej sprofitować, jednak będę się starał zrobić co będę mógł. Mniemam, iż Cicerona i Virgiliusza dość łatwo zrozumiem, Horacyusza nieco trudniej, ale i to pójdzie. Co do pisania łacińskim językiem, o tem sam sądzić nie mogę. Mowę *tant bien que mal* skleję po polsku, po niemiecku lub po łacinie i wiersze łacińskie choć bardzo wolno mogą mi się jednak udać, niemieckie nierymowane dość prędko ale kiepsko robię, a co do reguł retoryki i poezyi koniecznie bym je musiał powtórzyć, a tutaj nie mam książek po temu. Co do historyi i geografii, to com umiał i umiem *plus* trochę com się nauczył, czytając rozmaite dzieła. Matematyki trochem zapomniał. Co zaś do tego, czegom się nauczył był w filozofii, to same rzeczy teoretyczne i których aplikacye później dopiero przyjść miały a takie rzeczy łatwo się zapominają, jeśli mnie jednak tata przez Munia każe egzaminować, przekona się, żem umiał to cośmy przeszli. *Voici ce sur quoi vous pouvez m'examiner selon votre bon plaisir. Et je crois que vous trouverez cette petite exposition juste,*

toutefois je ne fais que le croire, et je n'en suis nullement sûr. Całuję rączki kochanego taty, do prędkiego zobaczenia.

Kocio Łubieński«.

Jak na czternastoletniego studenta list bardzo poprawną ręką napisany i daje nam wierny obraz ówczesnych nauk młodzieży, ale zdumiewa zakresem wiedzy, jaką sobie tak młody jeszcze chłopiec przyswoił. W parę tygodni później po szczęśliwie odbytych egzaminach w Poznaniu, brat starszy Tomasz odwiózł Kocia do Fryburga.

Rektorem kollegium był O. Galisz, Polak z Białorusi, jeszcze z Jezuitów Połockich, prefektem nauk O. Barelle, profesorami OO. Freundenfeld, Rothenflühe, Franc, wszystkie te nazwiska znane pochlebnie nie tylko w murach zakonu, ale i na szerszej świata widowni, dla pożytecznej ich działalności, wielkiej nauki i cnót rozlicznych. Kocio odbył w tym kollegium dwuletni kurs humanitatum i dwuletni także filozofii. Nauki szły mu oczywiście bardzo łatwo, i za celującego ucznia zawsze był uważanym. Poza naukami, dzięki zwinności i siły fizycznej, szczęśliwemu usposobieniu, wpływowi, jaki już wtenczas, jak w życiu późniejszem, zawsze wywierał na całe swe otoczenie, bez uchybienia karności szkolnej i domowej, był przywódzcą wszystkioh zabaw a nawet i figli. Tak naprzykład, sam później opowiadał, zwyczajem było w kollegium, że za najmniejsze przekroczenie przeciwko regulaminowi, jak rozmawianie z sąsiadem podczas silentium, albo czytanie książki rozrywkowej w czasie przeznaczonym na pracę w salach wspólnych czyli muzeach, dozorcy skazywali uczni na przepisywanie w czasie rekreacyi pewnej ilości wierszy. Kocio dotknięty sam parę razy taką karą obmyślił założenie pomiędzy kolegami towarzystwa asekuracyjnego od takich kar. Zarząd tego towarzystwa oceniał, ile każdy człowiek powinien tygodniowo dostarczyć do kasy wspólnej przepisanych wierszy, które oczywiście przepisywane były w czasie do pracy przeznaczonej. Zaraz po ogłoszeniu wyroku, skazującego którego członka na karę, podskarbi dostarczał potrzebną ilość wierszy już przepisanych, tak, że zaledwie w kilka minut po rozpoczęciu rekreacyi, skazany już oddawał dozorcy swoje

pensum i podążał do zabawy za kolegami. Towarzystwo zostało prędko odkryte i rozwiązane, ale OO. Jezuici nie wzięli za złe Kociowi inicyatywy w tej organizacyi.

Ażeby dać jeszcze wierniejszy obraz jego zajęć, kształcenia się umysłu i duszy, powtórzymy parę listów z Fryburga do ojca pisanych. Żadne opowiadanie, takiej mimowolnej autobiografii ścisłością i przejrzystością nie dorówna. Oto list pisany w rok po wstąpieniu do kollegium, z zachowaniem oczywiście pisowni, sposobu datowania i t. d.

19/11 1840

»Kochany tato.

Lubowidzki (Karol syn Mateusza, ten ostatni był bratem Józefa Lubowidzkiego, prezesa Banku polskiego, a kolegi na tym urzędzie hr. Henryka Łubieńskiego — *przyp.)* daleko zdrowszy, już rumatyzm zupełnie ustał i gorączka odbiegła, ale jeszcze mocno osłabiony, tak, iż zaledwie na parę godzin wstawszy, musi się znowu kłaść w łóżko, ażeby odpocząć. Już trzy dni jak u niego nie byłem. Dziś spodziewam się otrzymać pozwolenie widzenia się z nim. Może tatę zadziwi ta trudność widzenia się z tymi, którzy są w infirmeryi, pochodzi ona ztąd, iż owa nieszczęśliwa zmowa na przełożonych, która przeszłego roku tyle głupstw narobiła, tam wzięła swój początek, ztąd ta surowość w dozwalaniu widzenia się tym którzy są w infirmeryi, z tymi którzy tam nie są, ztąd też rzadkie nasze widywanie się z Lubowidzkim. Kazał mi wczoraj Ojciec Rektor do siebie wołać i bardzo był na mnie łaskaw. Cieszył mnie, żem dotąd listów jeszcze żadnych nie dostał i obiecał mnie, iż gdybym miał mieć jakąkolwiek nieprzyjemność, o ile możności wszystko mi ułatwi, mówił mi także, żebym często do niego przychodził. Bo, powiadał, już nas tu trzech tylko Polaków, Lubowidzki, ty i ja, tylko że ja waszego języka nie umiem. Poprosiwszy, kochany tato, zostałem w tym tygodniu przyjętym *Enfant de cheur.* Bardzo mnie ucieszyło kochany tato, iż Bóg był tak łaskaw dozwolić mnie, służyć sobie przynajmniej wtenczas, kiedy tak bardzo się dla nas poniża i zstępuje pomiędzy nas w Prze-

najświętszym Sakramencie. Dano mi też urząd, który sobie życzyłem, to jest, iż przy sumach do Mszy służę, a tak staję się uczestnikiem łask, które obficie na tych spływają, którzy przy Mszy świętej czynnie są zajęci. W przyszłą środę, kiedy X. Biskup tutajszy Mszę u nas mieć będzie na zakończenie rekollekcyi, ja mu będę mitrę nosił. Całuję rączki kochanego taty.

Kocio Łubieński«.

Z roku 1842 mamy dwa bardzo ciekawe listy zachowane, które w całości także powtórzymy.

»Najukochańszy ojcze. 30/1 42.

Z największą boleścią dowiedziałem się o śmierci Pani Małachowskiej (hr. Małachowska z domu ks. Sanguszkówna, ciotka hr. Henryka, darowała prawie swój olbrzymi majątek Lubartów jego dzieciom). Przyzwyczaiło się było serce do uważania jej jako dobrodziejki, która, droższe nad życie dobre imię rodowi naszemu zachowała była, a pomiędzy widokami na przyszłość, myśl wywdzięczenia się jej wszelkiemi sposobami, jedno z pierwszych zajmowało miejsce. Lecz inaczej Pan Bóg zrządził. Umarła dobrodziejka nasza, a umarła na obcej ziemi, od krewnych, od drogich sobie osób przestrzenią dwiestu mil oddalona. Dziś może u stóp Najwyższego dziękuje mu, że jej temi okolicznościami dał sposobność, tem zupełniejszą mu zrobić ofiarę. Może też, jeżeli przed Boga obliczem zaraz nie stanęła, tę przynajmniej ma pociechę, iż niewdzięczników dobrodziejstwa jej nie napotkały.

Ja najukochańszy ojcze, za jej duszę na 15 Mszy cichych biednym księżom, na oficyum zaś solenne w katedrze dałem. *Requiescat in pace.*

Muszę też najukochańszemu ojcu podziękować za kolendę i droższe mi daleko jego błogosławieństwo, które mi z łaski swojej przy nowym roku przesłać raczył. Życzy sobie ojciec wiedzieć, na co jego podarunek użyję. O piewiastkach wydatku jużem nieco wyżej wspomniał. Co do reszty zaś. prawdziwie nie wiedziałem co począć, niczego mi bowiem

nie brakuje. Takem się nareszcie zdecydował, kupię sobie teraz *un cor* instrument, na którym w muzyce tutaj grąć będę, trochę zaś na bok odłożę, nadchodzą moje imieniny, może się co więcej uzbiera, a wyjeżdżając, nie jedna jest tu w Szwajcaryi rzecz, która się w kraju przyda, to dla siebie, to na podarunki, jakoto: 1-mo zegarek, 2-do roboty koronkarskie, pieczątki, guziki, rękojście do nożów i grabek etc., z agatów, kryształów i krwawników. Nareszcie roboty drewniane najdelikatniejsze. Proszę też ojca, żeby był tak łaskaw napisać mi jak najprędzej, gdzie do babuni na imieniny pisać, albo też lepiej do taty list poślę, bo bym inaczej nie zdążył. Całuję rączki kochanego ojca *Kocio*«.

»Najukochańszy ojcze. 4 grudnia 1842.

»Odsyłam ojcu list onegdajszy (niestety zaginął, *przyp.)* mimo wstrętu, który do tego czuję. Sposób, w któren go pisałem, bezład myśli i uczuć, okaże ojcu lepiej niżeli treść, paroxyzm melancholii, który mnie był opadł. Dziś kompletnie mnie przeszedł i spodziewam się za pomocą pracy pozbyć się tego nałogu, który we mnie zrodziła żywość wyobrażeń, którego moje próżniactwo, iż tak rzekę, oglądało. Lecz rozpisawszy się obszernie o samym sobie, wypada abym ojcu o Julciu (młodszy brat jego Julian, którego także do Fryburga przysłano) i o współrodakach obszerniejsze dał nowiny. Julcio pokazuje się bardzo słabym w klasie, nawet do której przeszedł, tak iż o włos, iż on do kwarty nie spadł, jednakowoż na pracę jego narzekać nie można i pokazuje się, iż brak zasad gramatycznych w języku łacińskim tę jego słabość sprawia. (Ten sam Julian był potem uczniem celującym w Paryżu w szkole *Ecole Centrale des arts et manufactures*, i ze złotym medalem ją ukończył). Wreszcie otrzymaliśmy od X. Rektora korrepetycye codzienne, a tak spodziewam się, iż rzecz łatwiej pójdzie. Zdrowie jego też nie najlepsze, raz go głowa zaboli, to znów na żołądek narzeka, dość że prawie ciągle cierpiący i bardzo mizerny. Im więcej z nim obcuję, tym też nieoszacowane jego serce lepiej poznaję, jest to

przedmiot niewyczerpanych dla mnie pociech, jego słodycz, cierpliwość i tkliwe do rodziny przywiązanie, porównywam z moją opryskliwością i z mym egoizmem i wstyd mi, żem jego starszym bratem, i że ja mam się nim, iż tak rzekę opiekować, kiedy on by dla mnie w tych przedmiotach mógł być przykładem. Rzecz, której mu równie zazdroszczę, jest to talent do korespondencyi. Co mu tutaj między współuczniami szkodzi, to ten zwyczaj błaznowania, do którego mu jego dowcip daje pochop. Ale nad tem zaczyna już pracować a spodziewam się, iż kiedy się tego nałogu pozbędzie, kiedy tutaj nabędzie tę samoistność i tę tęgość w działaniu, która męża czyni, kiedy się uczuciami prawdziwego nabożeństwa tak przejmie, iż niemi że tak rzekę przesiąknie, wtedy wyszedłszy na świat, i ojcu i całej rodzinie, i tym którzy go ukształcili, zaszczyt przyniesie. Wiktor (Starzeński, jeden z kolegów Polaków *przyp.)* najukochańszy ojcze nie tym samym postępuje torem. Zdaje się, iż sasady, które w swem dotychczasowem odebrał wychowaniu, nie dość głęboko w jego sercu utkwiły. Krótkie wakacye owoc lat długich uszkodziły i jeśli się nie zmieni, nie będzie on nigdy jak jednym z tych młodych ludzi, żyjących jedynie dla swej zabawy, których dziś aż zanadto. Karol (Lubowidzki *przyp.)* przeciwnie od powrotu z wakacyi, odmienił się na swoją korzyść w sposób trudny do wypowiedzenia, zdaje się, iż rekolekcye wielki na niego wpływ wywarły, bądź co bądź, nagła jego odmiana, serca niechętnych coraz mu bardziej jedna. Alexander (Drucki Lubecki *przyp.)* zawsze mniej więcej daje XXom do roboty. Tego roku wprawdzie lepiej się daleko sprawuje, lecz żeby się zupełnie poprawił, wielu potrzeba będzie usiłowań i wielkiej łaski Boskiej. Charakter jego bowiem od dzieciństwa pochlebstwo i zbytek zatruły, egoizmem głeboko zakorzenionym zarobiło. Małych Estowajczyków (młodszych uczni, pomieszczonych w osadzie Estavayer *przyp.)* w końcu tego miesiąca dopiero widzieć będę i wtedy o nich ojcu napiszę, to tylko wiem, że Ojcowie dość z nich są zadowolnieni. Mamy tutaj nowego Moskalika, ale z matki Polki, Buturlina, doskonały to chłopczyna, po polsku dobrze mówi

i myśmy go tutaj przybrali. Doskonały to i jak najszczęśliwiej usposobiony chłopczyna. Całuję rączki najukochańszego ojca, prosząc go o błogosławieństwo i udział w modlitwach.

Kocio«.

Po skończonych naukach we Fryburgu r. 1843 osiemnastoletniego chłopca ojciec odwiózł do Paryża dla umieszczenia go w *Ecole centrale des arts et manufactures,* sądził bowiem, iż z jego zdolnościami będzie mógł go potem użyć do licznych swoich fabryk w kraju, w którym on głównie z X. Lubeckim, powołał przemysł i rękodzieła do życia. Po drodze zapoznali się na statku parowym na Renie z X. Blondeau, ówczesnym pierwszym wikaryuszem, a w późniejszych czasach proboszczem jednej z parafii paryzkich. U niego też Konstanty umieszczonym ze stołem i stancyą, i pod jego opiekę oddanym został. Jedyna rzecz, którą wywiózł z Paryża, to była bardzo gruntowna znajomość języka francuzkiego, która mu była tak dziwnie potrzebną w dalszych jego losach. Znał wszystkie jego tajniki, od uroczystych wyrażeń potrzebnych do kazań i aktów publicznych, aż do tych półsłówek, w które tak bardzo jest ten język bogatym, i które mu pozwalają do nieskończoności prawie cieniować odmiany myśli, i delikatność wyrażeń. Same nauki wykładane mało go zajmowały, bo nie czuł do nich żadnego pociągu, a już pukał do serca częstokroć z początku tak cichy głos wewnętrzny, który go na inne pole pracy powoływał.

Pierwszy z rodzeństwa, któremu się ze swoimi zamiarami zwierzył, był brat najstarszy Edward, umysł mistyczny i głęboko katolicki. Było to w powozie w podróży, kiedy tę tajemnicę serca swego odkrył, i zapytał się brata, czy uważa go za godnego, ażeby temu najwznioślejszemu dla człowieka powołaniu się oddać i poświęcić. Po długim bardzo namyśle, podczas którego ani słowa bracia pomiędzy sobą nie zamienili, tak iż młodszego Konstantego nawet strach zaczął ogarniać, zwróci się Edward do niego i spytał: »Czy masz odwagę być męczennikiem?« Zagadnięty w tak niespodziewany sposób, sam popadł w długą zadumę, i odrzekł nareszcie: »Mam«.

»Więc bądź księdzem«, powiedział mu Edward i już nic więcej przez czas dłuższy w tym przedmiocie ze sobą nie mówili. Całe to zdarzenie opowiedziane nam zostało przez samego X. Biskupa 25 lat później, z dodatkiem, iż dziwne na nim wrażenie ta rozmowa zostawiła, że to godło palmy męczennika na całe życie w pamięci mu utkwiło, ale że przecież nigdy dostąpić takiej łaski nie mógł się spodziewać, bo któż z nas może być jej godnym!

Nie wiemy przy jakiej sposobności zwierzył się po raz pierwszy ojcu swemu ukochanemu ze swoich zamiarów. W każdym razie znając zasady chrześcijańskiego życia tego ojca, nie możemy wątpić, iż radością przejęte było serce jego. Hrabia Henryk Łubieński na tydzień przed konsekracyą na biskupa swego brata Tadeusza, ażeby uprosić dla niego obfitość i pełność łask Ducha św., przez 8 dni suszył o chlebie i wodzie. Nie wątpliwie też i w tem wypadku gorąco sprawę syna w modlitwach polecał Panu Bogu, ale postanowił działać z największą ostrożnością, rozwagą, a nawet powołanie syna wystawić na próbę, w niczem jednak stanowczo jej nie przeszkadzając. Przedewszystkiem zatem odwołał go po kilkunastu miesięcznym pobycie w Paryżu do Berlina r. 1844 i kazał słuchać kursa prawa i filozofii, mniemał bowiem, iż w każdym razie będzie to z pożytkiem dla Konstantego, mieć jeszcze silniejsze podstawy naukowe, przed rozpoczęciem samej teologii. Tutaj Konstanty po raz pierwszy zostawiony był sam sobie i pozbawiony jakiegokolwiek nad sobą dozoru. Ale od pokus natarczywych, młodości właściwych, uchroniło go zupełnie, jak sam potem opowiadał, bardzo już silne postanowienie służenia nie światu ani jego słabościom, ale wyłącznie Bogu, a przytem przyjaźń p. Jana Koźmiana, późniejszego znakomitego prawdziwie X. prałata Poznańskiego, który wtenczas jako świecki jeszcze człowiek, apostołował wśród młodzieży naszej polskiej w Berlinie. Nierówni wiekiem, ale duchem pokrewni, natychmiast poznali się na sobie i szczerze pokochali, tą przyjaźnią wierną i stateczną, którą tylko śmierć w życiu rozwiązuje.

Konstanty nie długo zagrzał miejsca w Berlinie. Dla jego umysłu, tak nawskróś już katolickiego, tak przytem jasnego i logicznego, mgliste, rozwlekłe, nieuchwytne dyskusye Heglowskie musiały być niezrozumiałe i wstrętne. Serce tak gorące i żądne poświęcenia siebie dla drugich, ścinał ten chłód protestantyzmu w jego germańskiej stolicy. Jak każdy prawie wyższy umysł, który przez tę walkę wewnętrzną przechodził, uczuł gwałtowną potrzebę usunięcia się od ludzi i od świata, konieczność ucieczki na pustynię, gdzie jedynie sam na sam z Bogiem i sumieniem, człowiek należycie rozważyć może te pierwsze proste a jednak tak ważne katechizmu pytanie: »Na co mnie Pan Bóg stworzył?«

Ażeby zadosyć uczynić tej wewnętrznej potrzebie, i żeby ostatecznej próbie poddać syna swego, ojciec pozwolił mu opuścić Berlin, posłał go r. 1845 na wieś, rzekomo na praktykę gospodarską, do jednego ze słynnych rolników w Saksonii pruskiej, ale religii protestanckiej. Folwark ten nie był zbyt oddalonym od miasta Köthen, gdzie natenczas przemieszkiwał, jako spowiednik księżnej Anhalt-Köthen, katoliczki z domu, Ojciec Becks Jezuita, późniejszy tyloletni i tak sławny jenerał tego zakonu, przyjaciel wielkiego papieża Piusa IX, którego wpływ na sprawy Kościoła był słusznie bardzo znaczny. Konstanty natychmiast oddał jemu kierunek swojego sumienia, i pod jego opieką wyrobił sobie ostateczne niezłomne postanowienie poświęcenia się stanowi duchownemu. Nie można wątpić, iż wpływ takiego znawcy życia wewnętrznego duszy, jakim był O. Becks, nie musial być obojętnym dla młodego Konstantego. Przyjaźń, jaką dla swego penitenta zacny ten zakonnik odczuł, pozostała mu wierną przez wszystkie dalsze życia koleje, i przez pamięć dla niej, zawsze sprawy późniejszego X. Biskupa gorąco, wytrwale i skutecznie w Rzymie popierał.

Po niewinnie spędzonych latach dziecinnych, wśród zabaw wiekowi właściwych — po głębokich naukach, które umysł jego tak chciwy i pojętny łacno sobie przyswoił; po próbach, na które z rozwagą ojciec jego wystawił, w Paryżu, Berlinie i wśród ciszy protestanckiej wioski; po po-

znaniu tego świata, w którym dzięki jego zdolnościom, u
dzeniu i koligacyom i jeszcze wtenczas magnackiej po o
sperandzie, wszystko w 23 roku życia serdecznie się uśm
chało — Konstanty po należytej rozwadze, modlitwie,
motności postanowił wszystko opuścić, poświęcić, aże
jednemu służyć Bogu. — *Quis ut Deus!*

Rozdział II.

SEMINARYUM, WYŚWIĘCENIE, CHARAKTERYSTYKA.

(1846—1849).

Z jasną przed sobą wytkniętą drogą i niezłomnem już postanowieniem, wrócił Konstanty do kraju w lecie 1846 r. Ale zanim wstąpił do seminaryum, odczuł jeszcze potrzebę udania się pieszo pielgrzymką do tej stolicy duchownej Polski, do tego miejsca, gdzie u stóp Królowej tej Korony na Jasnej Górze, tyle pokoleń nie przestaje zanosić swych modłów, wylewać potoki łez, cierpienia i boleści. Dla niego inne, bliższe sercu, rodzinne wspomnienia wiązały się z tym cudownym kościołem Częstochowskim. Kaplica bowiem Matki Boskiej, tak jak dzisiaj stoi, cała wystawioną była i konsekrowaną przez pierwszego prymasa Łubieńskiego Macieja r. 1644, jego wyłącznie kosztem, gdy jeszcze siedział na stolicy biskupów włocławskich. Później inny Łubieński, Kazimierz, biskup krakowski, r. 1718 uzyskał z Rzymu pozwolenie na ukoronowanie Matki Boskiej Częstochowskiej, z odpustami do tego, i podczas uroczystości, której sam dopełnił, zawiesił blachę złotą z napisem: *Sit scabellum pedum magnae Matris Dei, Persona, totusque domus mea, anno Domini milesimo septingentesimo decimo octavo.* W papierach pozostałych znajdujemy z dnia 28 lipca 1846 świadectwo na koronkę i krzyżyk z odpustami do nich przywiązanymi, które

tam wtenczas widocznie otrzymał. Zaraz potem podążył do Guzowa, gdzie dnia 5 sierpnia 1846 r. w kaplicy pałacowej otrzymawszy błogosławieństwo dziada ministra Łubieńskiego i ojca, w obecności całej rodziny, otrzymał z rąk rodzonego stryja X. biskupa Tadeusza Łubieńskiego tonsurę i dwa mniejsze święcenia, odźwiernego i lektora. Pozostał na razie przy stryju swoim biskupie, dopóki rok szkolny się nie rozpoczął, kiedy pojechał do seminaryum kieleckiego. Kielce należało natenczas do dyecezyi krakowskiej, dopiero w r. 1884 rozdzielonej kanonicznie, stosownie do podziału kraju, chociaż już od r. 1850 administracyjnie rozdzieloną została. Natenczas jednak całą jeszcze dyecezyą zarządzał w charakterze wikaryusza apostolskiego, X. biskup Łętowski, dawny przyjaciel, spowinowacony z rodziną Łubieńskich i kolega z Legionów napoleońskich X. biskupa Tadeusza Łubieńskiego.

W seminaryum kieleckiem, podług świadectwa wydanego przez X. Majerczaka, ówczesnego regensa seminaryum, a późniejszego biskupa sufragana i administratora części dyecezyi krakowskiej w granicach Królestwa Polskiego położonej, Konstanty pozostał tylko jeden rok szkolny, od 1 października 1846 do 1 lipca 1847. Jako synowi i synowcowi takich w kościele i w kraju dygnitarzy, przełożeni nie dali mu mieszkania wspólnego wraz z innymi klerykami, ale mieszkał osobno w pomieszkaniu jednego z profesorów X. Witkowskiego, dzisiejszego kanonika i proboszcza jędrzejowskiego. W marcu 1847 r. w drugim pokoiku u tegoż samego profesora zamieszkał młody kleryk Wincenty Popiel, dzisiejszy arcybiskup warszawski. Obaj młodzi ludzie znali się jeszcze z Warszawy ze świata i najściślejsza łączyła ich przyjaźń przez całe życie. Wincenty, już w roku 1845, na spacerze, który odbyli razem jako studenci, wzdłuż naonczas prawie pustej alei Jerozolimskiej ku rogatkom, zwierzył się Konstantemu z zamiarów swoich wstąpienia do seminaryum, tylko że choroba ojca jego i późniejsza śmierć, nie dozwoliła mu natychmiast przedsięwzięcia swego wykonać. To zwierzenie bardzo na młody umysł Konstantego podziałało i niewątpliwie przyczyniło się do ustalenia własnych jego zamiarów.

Kiedy raz wyszli sobie razem jako klerycy ze seminaryum na przechadzkę, na drodze do Słowika pod Kielcami, spotkali ubogą staruszkę i dali jej jałmużnę. Ona z wdzięcznością zaczęła im błogosławić, a potem do przechodzących z jarmarku ludzi bezustannie wołała: »O patrzcie, idzie dwóch biskupów«. Ta wesoła opowieść wszędzie naonczas była już znaną. Życie tych dostojników Kościoła dziwnie się potem spotykało. Razem byli w seminaryum, razem na biskupów nominowani i wyświęceni, razem walczyli o te same zasady, za które Popiel dziesięcioletnie cierpiał więzienie, Łubieński krew swoją przelał, razem w historyi Kościoła polskiego wybitne zajmują stanowisko.

Przy egzaminach z pierwszego półrocza, jak świadczy to samo powyższe świadectwo X. Majerczaka, uzyskał Konstanty ze wszystkich przedmiotów: z dogmatyki moralnej, pastoralnej, historyi, patrologii, obrządków i śpiewu, stopień najwyższy *eminens,* z obyczajów wzorowy, *exemplaris.* Z drugiego półrocza takie same stopnie uzyskał, tylko dopisano, że z teologii moralnej, prawa kanonicznego i patrologii dla zasłabnięcia słuchanym nie był. Powody dlaczego Konstanty tak krótko pozostał w tem seminaryum, były następujące: Zupełnie inny był stopień jego wykształcenia od otaczających go kolegów, przedewszystkiem całkiem odmienne zapatrywanie się jego na powołanie do stanu duchownego. Gdy bowiem większość przeważna duchowieństwa dostarczana jest w kraju naszym z klasy rolników, czyli chłopów, którzy z licznej rodziny jednego wybierają syna, ażeby i Bogu złożyć ofiarę i życie jemu, a przytem i sobie w przyszłości kawałek chleba zapewnić, Konstanty jeden, to właśnie co stanowi ponętę materyalną dla drugich, od siebie odepchnął, z przekonania, z miłości dla Stwórcy, potem z potrzeby wewnętrznej pracy około winnicy Pańskiej, temu powołaniu się oddał. Dlatego dając zawczasu i może przedwcześnie folgę miłości bliźniego i potrzebie apostołowania, w rozmowach szczerych, serdecznych z kolegami, roztrząsał ich sumienia, powody, które ich do wstąpienia do seminaryum skłoniły, sposób, w jaki mają się doskonalić, ażeby godnie powołaniu

swemu odpowiedzieć. Nie jeden wystawiony na tak ognistą próbę, na ten egzamin, do którego nigdy się nie był podniósł, może nigdy nawet przedtem nie był zrozumiał, uląkł się odpowiedzialności, która go czekała i przed spełnieniem świętokradzkiej ze siebie ofiary, bo bez powołania, wystąpił dobrowolnie ze seminaryum. Ten wpływ Konstantego na swoich przyjaciół był widocznym i dobrze przełożonym znanym. Na domiar złego przychodził miesiąc Maj, tak drogi sercu katolickiemu, jako poświęcony Przeczystej Dziewicy. Konstanty od młodości i w szkołach przyzwyczajony do nabożeństwa majowego, zdziwiony, iż w seminaryum zupełnie ono znanem nie było, sam go kolegów nauczył i wspólnie z nimi go odprawiał. Dla zacnych prałatów prowincyonalnych, którzy *more antiquo* Boga chwalili, innowacyi wszelkich się bali, i tylko kanonów i praktyki odwiecznej ściśle i surowo się trzymali. tego stanowczo było za wiele. Przedstawiono położenie rzeczy X. Biskupowi Łętowskiemu, a ten nie chcąc, obok innych licznych kłopotów nie odłącznych od godności pasterskiej, mieć trudności jeszcze w kapitule i w zarządzie seminaryum, na końcu roku szkolnego napisał list do kolegi swego X. Biskupa Tadeusza Łubieńskiego, ażeby on sobie swego synowca Konstantego zabrał. W liście tym, chwaląc jego przymioty, zdolności i zachowanie się, opowiada rzecz całą szczegółowo i kończy tem, że nietylko przełożeni nie mogą pozwolić na zaprowodzanie innowacyi, chociażby najlepszych z dołu, ale się boi, że jeszcze więcej kleryków opuścićby mogło seminaryum dla niepojętych dla ogółu powodów, co zresztą w statecznem seminaryum kieleckiem dotychczas nigdy nie bywało. Po niewielu latach w roku 1861 X. Konstanty wracając z Rzymu przez Kraków, wstąpił do X. biskupa Łętowskiego, który wtenczas rządził już części dyecezyi krakowskiej pod panowaniem austryackiem i tamże mieszkał. X. Biskup znanego już kapłana w świecie natychmiast zaprosił na obiad, wraz z całą kapitułą i wielu miasta znakomitościami, a w serdecznem przemówieniu, wnosząc jego zdrowie, powiedział: »Patrzcie, oto ja jego z seminaryum wypędziłem, a on od nas wszystkich wyżej bodaj zasiądzie«

Natenczas Konstanty od początku roku szkolnego 1847 przeszedł do seminaryum św. Krzyża w Warszawie, kierowanego znakomicie przez XX. Misyonarzy, a ozdobą jego byli profesorowie: XX. Putiatycki, Popławski i wielu, wielu innych. Mieszkał też już wtenczas w klasztorze XX. Missyonarzy dawny spowiednik Konstantego X. Skolimowski, osiadły tam na stare lata, budując wszystkich swoją pobożnością i niezwykłem umartwieniem, i został napowrót jego spowiednikiem. W ciągu dwuletniego pobytu w tem seminaryum, Konstanty otrzymał dnia 26 grudnia 1847 w oratoryum XX. Misyonarzy, z rąk X. biskupa Fiałkowskiego, ówczesnego administratora archidyecezyi, dwa drugie mniejsze święcenia na egzorcystę i akolitę. Dnia 20 maja 1849 r. z rąk X. biskupa Tadeusza Łubieńskiego, w kościele św. Krzyża w Warszawie, otrzymał święcenie na subdyakonat z prowizyą na wikaryat w Wiskitkach, kościoła parafialnego majątku Guzów, gdzie X. biskup Tadeusz był równocześnie proboszczem. Dnia 2 czerwca 1849 r. w tymże samym kościele, z rąk tegoż Biskupa otrzymał dyakonat, a dnia 15 lipca 1849 r. u św. Krzyża, z rąk stryja swego święcenie kapłańskie. W tym czasie ojciec X. Konstantego już był aresztowany i. siedział zamknięty na Saskim placu, w domu zwanym »pod orłem«, przed wywiezieniem go do twierdzy Zamościa, i do kościoła na tę uroczystość syna przyszedł pod strażą, a dzień ten był równocześnie dniem imienin ojca jego, dzień św. Henryka.

Po wyświęceniu i aż do wyjazdu ojca jego do Zamościa, co nastąpiło dopiero w jesieni tegoż roku 1849, X. Konstanty pozostawał przeważnie w Warszawie. Pierwsze upoważnienie do słuchania spowiedzi wydane mu zostało dnia 17 lipca 1849 przez X. biskupa Fiałkowskiego, administratora archidyecezyi i w tymże dokumencie napisane jest: *RDmo Constantino Łubieński praesbytero saeculari circa salutem animarum in parochia Sanctae Crucis laboranti.* W liście stanu służby w Petersburgu dla niego uformowanym, zapisane jest, że od 3 lipca starego stylu (15 lipca n. s.) 1849 r. do 6 kwietnia 1850 był wikaryuszem przy kościele i seminaryum św. Krzyża w Warszawie. Pierwsza approbata,

jaką znajdujemy w jego papierach na spełnianie funkcyi duchownych w Wiskitkach, jest z dnia 30 kwietnia 1850 roku. Zdaje się jednak, że o wiele wcześniej X. Konstanty dojeżdżał z Warszawy do Wiskitek, gdzie proboszczem był stryj jego X. biskup Tadeusz, który rezydował wówczas w Łowiczu przy kolegiacie. Kolegą X. Konstantego w Wiskitkach był X. Karol Bołdok, który pózniej za X. biskupem Konstantym, przeniósł się do swojej rodzinnej dyecezyi Augustowskiej, był proboszczem w Urdominie, a później assessorem z tejże dyecezyi w rzymsko-katolickiem kollegium w Petersburgu. Częstym gościem u X. Konstantego bywał wtenczas O. Prokop, Kapucyn, a nawet kilka tygodni dla poratowania zdrowia tam u niego na wikaryacie przepędził. On przyjął X. Konstantego do tercyarstwa zakonu św. Franciszka, a przy tej sposobności nadano mu wieloznaczące imię Jozafata biskupa i męczennika za Unię. Jeździł także do Sandomierza na święcenia kapłańskie swego przyjaciela Wincentego Popiela, które mu zostały udzielone d. 5 sierpnia 1849 r. przez biskupa sandomierskiego Goldmana. Pomiędzy jednemi większemi święceniami a drugiemi, to jest pomiędzy subdyakonatem, dyakonatem a kapłaństwem, zawsze dni parę upływa i podczas tego czasu Wincenty Popiel codzień usługiwał do mszy św. X. Konstantemu i przyjmował z rąk jego Najśw. Komunię. On za to mu się wywdzięczył, asystując w chwili tak uroczystej dla młodego kapłana, przy pierwszej bezkrwawej ofierze przez X. Popiela przy ołtarzu spełnionej. Jako ciekawy szczegół pozwolimy sobie tutaj dla pamięci zapisać, że przypadkiem tego samego dnia trzech młodych kleryków otrzymało święcenie kapłańskie w Sandomierzu, Popiel, Kuliński i Sotkiewicz, i wszyscy trzej na biskupów wyszli. A na drugi dzień do asysty X. Popielowi do pierwszej mszy stanęli znowu z X. Konstantym przy ołtarzu. W tym czasie X. Konstanty poświęcił się całą duszą pracy kapłańskiej i zaprowadził w kościele w Wiskitkach nabożeństwo Majowe. Pierwszą jednak czynność parafialną, jaką przypadkiem tenże spełnił, to był chrzest córki dyrektora fabryki cukru w Guzowie, która należała wraz majątkiem do jego ojca, pana

Blaurock, Niemca, i dlatego przemowa jego była po niemiecku wygłoszoną. Oboje rodzice byli protestantami. Po urodzeniu tej pierworodnej i jedynej ich córeczki, posłali do pastora do Łowicza z prośbą, żeby przyjechał i dziecko ich ochrzcił, ale ten odmówił, i to w sposób bardzo niegrzeczny, przybycia. Pan dyrektor obrażony tą odmową, na złość pastorowi córkę na katoliczkę ochrzcić kazał, a sam w kilka tygodni potem umarł. Matka powróciła do Niemiec, ale córkę wychowała po katolicku i za dobrego katolika za mąż wydała.

Przy największej dla kapłana młodego uroczystości, to jest święceniu jego, X. Konstanty miał przy boku najukochańszego ojca, jako więźnia stanu. Pierwszy obowiązek chrześcijański, jaki na parafii spełnił, było przyjęcie do Kościoła owieczki zbłąkanych rodziców. Więzienie i nawracanie na łono katolicyzmu, godła wyznawcy i apostoła, oto jutrzenki, przy świetle których stawia pierwsze swe kroki na ścieżce życia, zdaje się jemu wytkniętej, z której do grobu już nigdy nie zejdzie i dla nich życie swe odda.

W opowiadaniu naszem doszliśmy do chwili w życiu X. Konstantego, w której przestaje zajmować ciasne tylko kółko rodzinne dla wspomnień z lat dziecinnych do chwili, kiedy opuszcza zacisze seminaryjskie, ażeby zacząć działać na szerokim świata widnokręgu. Następca apostołów podniósł nad głową jego dłonie swe pomazane i wyrzekł uroczyste słowa, przy święceniach kapłańskich używane: »Panie, racz poświęcić te ręce, ażeby co pobłogosławią, zostało błogosławione, cokolwiek konsekrować będą, było konsekrowane i poświęcone w imię Pana naszego Jezusa Chrystusa«. Od tej chwili należy już nie do siebie, ale do świata całego, do historyi. A przytem życie jego tak krótkie, wskutek ogromu pracy i żarliwości około sprawy chwały Bożej i dla nadzwyczajnych okoliczności, jemu towarzyszących, z tak gorączkowym pośpiechem się rozwija, wypadki pierwszorzędnej wagi tak nagle i niespodziewanie po sobie następują, uwaga tak niezwykle niemi jest zajętą, że nie bedzie już chwili czasu, ażeby w tym nawale odetchnąć, spocząć, skupić się w toku

opowiadania. Dlatego już tutaj sprobujemy dać obraz X. Konstantego charakteru. Starać się będziemy odkryć tajniki najskrytszych myśli jego i uczynków, ażeby odgadnąć o ile jego ludzkie współdziałanie odpowiadało i dorosło wielkości zadań, do których był powołanym, czy ponad sądy ludzkie się unosząc, mógł się spodziewać, że usłyszy przy zgonie wyrok jedyny sprawiedliwy i słowa: *Serve bone et fidelis intra in gaudium Domini tui.*

Gdyby naonczas ktoś zwykłą ludzką wiedziony mądrością, chciał był przepowiedzieć koleje, który czekały młodego kapłana, byłby prawdopodobnie skreślił obraz kilkuletniego wikaryatu, probostwa, kanonikatu, a nawet na końcu stolicy biskupiej, w monotonnych ujęty ramach zwykłej codziennej rutyny. Wszystkie te koleje on wprawdzie przeszedł, ale w jakże innych od każdego kapłana warunkach. Opatrzność, która tak wielkie miała nad nim widoki, która tak odmiennych od innych współbraci wymagała po nim posług, dla podniesienia chwały swej wiekuistej, hojnie i bogato też uposażyła go we wszystkie przymioty duszy i ciała, ażeby przy łasce swej, mógł sprostać swemu przeznaczeniu.

X. Konstanty był średniej wysokości, bardzo barczysty, wielkiej zgrabności, siły niepospolitej i zdrowia żelaznego. Za młodu dla natężonej pracy i umartwień, o których później mowa będzie, był niezmiernie chudym, dopiero gdy został biskupem i więcej siedzące życie przy biurku prowadzić musiał, nabrał nieco tuszy. Pomimo tego tak zwinnym zawsze pozostał, że na kilka tygodni przed wywiezieniem i śmiercią na spacerze ze swoim synowcem, gdy ten chciał się pochwalić ze swojej zgrabności i siły, zawstydził go X. Biskup, we wszystkiem mu dorównywując. Przez cały czas życia, raz tylko był poważnie chorym i to tylko wskutek infekcyi, na którą się naraził przy cholerycznych w Warszawie, gdzie dnie i noce na usługach duchownych i miłosiernych spędzał.

Należąc do familii, która wtenczas wielkiego miru w kraju zażywała, a więcej jeszcze dla koligacyi, które mu przyniosła matka jego Irena z Potockich, i przez którą spokrewniony był z całem tak licznem potomstwem Szczęsnego

Potockiego, to jest z całą niemal najwyższą rodową szlachtą polską, posiadał te cechy, które wyróżniają człowieka urodzonego w wielkim świecie od niższych sfer społecznych. Żaden urząd, żadne dostojeństwo ani fortuna magnacka, nie mogła go przy spotkaniu się niepokoić, bo do wytrzymania ich wzroku czy blasku nie potrzebował się podnosić ze swojej pierwotnej nicości, ale od dzieciństwa przywykł był na równi z niemi się obchodzić i tylko z takimi przestawać. Opowiadają, że gdy po raz pierwszy X. kardynał Ledóchowski powołany na stolicę prymasowską, przedstawił się ówczesnemu jeszcze królowi pruskiemu Wilhelmowi w Berlinie, tak go zadziwił wykwintnością swego obejścia, nawet wobec majestatu monarchy, że gdy odszedł po skończonej audyencyi, zwrócił się król do swego adjutanta i powiedział: *Cet homme me gêne par ses grandes manières* (ten człowiek mnie żenuje swojemi wielkiemi manierami). X. Konstantego w wielkim, wykwintnym świecie salonów petersburgskich nigdy inaczej nie nazywano, jak tylko: *Ce grand seigneur en soutanne* (ten wielki pan w sutannie). Opatrzność dla swych niezbadanych wyroków, nie potrzebowała go do wyłącznej pracy, około maluczkich tego świata, ale posłała go walczyć o sprawy Kościoła świętego, wśród tych najwyższych słojów towarzyskich. Niejeden, aczkolwiek równie bogobojny kapłan, nie umiałby był sprostać temu zadaniu, dla braku wychowania, ogłady, pewności siebie. W tym świecie urodzony, z tem towarzystwem zrosły i spokrewniony, był w niem poprostu u siebie w domu. Dlatego z władzami najwyższemi, najwięcej Kościołowi wrogiemi, mógł zawsze stanąć na stopie towarzyskiej, zawsze z niemi się spotkać, zawsze do nich trafić, zawsze rozmówić się tym językiem salonowym; nie odstępując od zasad, umiał je w właściwej, w zrozumiałej formie dla słuchaczów swych podać. Przytem po ludzku mówiąc, następującej okoliczności przypisać także należy jego niepospolitą odwagę w ścieraniu się z odmiennemi zdaniami chociażby osób najwyższych. On jako kapłan, jako biskup bronił nieugięcie sprawy świętej. Ale gdy we wszystkiem ludźmi być nie przestajemy, jako człowiek oddając każdemu co się na-

leży, nie był od urodzenia przywykł uginać się przed tym lub owym, ponieważ ten miał przypadkiem jaki tytuł lub wysokie stanowisko. Dla niego myśl, że śmie być w opozycyi do jakiegoś tam jenerała czy gubernatora, namiestnika, nawet ministra, nie zbudzała w nim żadnej obawy, spotykał się z nimi, jak równy z sobie równymi. O wiele chciwiej szukał sposobności, ażeby się uchylić przed maluczkimi, przed majestatem cierpienia i boleści, zniżał i pokornie przystępował do potrzebujących pomocy, wsparcia czy pociechy.

Co niezmiernie stosunki z ludźmi mu ułatwiało, to także niepospolite jego zdolności, talent do rozmowy, dowcip zawsze dopisujący. Właściwością wyższego umysłu jest każde podjęte zadanie, od razu oczyścić z naleciałości, drobnostek i chwilowych zawikłań, podnieść do wysokości właściwej, uchwycić jej charakter niezmienny i zasadniczy. Jak sam doskonale w jednej z swych nauk określił, ileż to ludzi myślą naprzód, co mają powiedzieć, jak mało mówią, to tylko, nad czem wprzódy rozważnie pomyśleli. Umysł jego spokojny i logiczny, wsparty na poważnych i gruntownych naukach, w nieustającem natężeniu dla rozwiązania niezliczonych trudności politycznych naszego narodu i położenia Kościoła w Rosyi, albo pracujący w sposób jemu właściwy około dusz zbawienia w konfesyonale; zadziwiał wszystkich głębokością poglądów, sprawiedliwym sądem o rzeczach, miłością i pobłażliwością dla każdego bliźniego. Ktokolwiek z nim się zetknął, wychodził olśniony tą aureolą geniuszu, która opromieniała każde zdanie, każdy pogląd, każde wylanie się jego. Nic tam nie było, coby tchnęło małością, miernością lnb próżnością w tej duszy. Staraniem jego w każdej rozmowie, było pouczyć, nie poniżyć, nie zadziwić ale podnieść, połączyć się przekonaniami, nie odstręczyć serc od siebie. To wszystko powiedziane w sposób jasny i przejrzysty, okraszone wykwintnym słów doborem i dowcipem, który rozweselał ale nigdy nie dotknął ani nikogo nie urażał, czyniło, iż rozrywanym był przez znajomych, że stał się wyrocznią każdego kółka, w którym się obracał. Gdzie noga jego postała, niebawem musiał być punktem środkowym wszystkich zebranych, nigdy

nie potrzebował schodzić do trywialności obecnych, lub ugiąć się do lekkiej światowej konwersacyi, sam zaraz przewagą rozumu rozmową kierował i do zastanowienia się pobudzał. Nikogo nie szukał, za nikim nie gonił, bo w modlitwie, konfesyonale i w książkach bogatej swej biblioteki, znajdował dostateczną pracę, zajęcie i rozrywkę, ale ludzie nie dali mu spokoju, nadchodzili go, prześladowali ciągłymi interesami, bo kto go raz poznał, ten musiał raz drugi i setny widzieć, poradzić się go i gruntownie z nim się rozmówić.

Ta wyższa inteligencya i odwaga cywilna, sprawiały, iż był niezwykle pomysłowym i zręcznym; tam gdzie nikt rady sobie dać nie mógł, jak w wypadku zamknięcia kościołów warszawskich, on znalazł drogę wyjścia, tam gdzie tylko odpornymi inni się pokazywali, jak księża na wygnaniu w Rosyi, on z dyplomatyczną zręcznością umiał posuwać się naprzód. Pan nasz Zbawiciel powiedział uczniom swoim: »Oto ja was posyłam jako owce między wilki. Bądźcież tedy mądrymi jako wężowie, a prostymi jako gołębice«. Umysły pospolite trzymają się wytkniętej ściśle drogi myślenia i działania, nie dla siły charakteru, przeciwnie i przeważnie dla przekonania wewnętrznego, że nie mają dosyć światła, ażeby w zawiłych życia zadaniach się rozpatrzeć i nici przewodniej raz zgubionej odnaleźć. Umysły wyższe, bystre i odważne, nie szukają i nie stwarzają sobie trudności, ale gdy je na drodze napotkają, natychmiast przystępują do ich obejścia lub zwalczenia, bo nie potrzebują się obawiać, że temu zadaniu nie dorośli, lub że mu nie podołają. Jeżeli niepowodzenie jednak ich zwalczy, ogół, który tylko instynktem z namiętnością ludzką sądzi ostateczny wynik wypadków, kamieniem potępienia ich obrzuca. Jeżeli przeciwnie gwiazda zwycięstwa nad rydwanem ich zaświeci, zawistni milczą, a za tryumfalnym zwycięzcy pochodem tłum się posuwa, wydając nigdy w ludzkości nie zamarłe okrzyki — *Ave, Caesar!*

Jako pewną cechą, wspólną wszystkim ludziom wyższego umysłu, była także miłość jego dla młodzieży, z którą najchętniej przestawał, z któremi jak dziecko się bawił, śmiał i figlował. Tam umysł jego zdawał się zapominać ciągłych

poważnych kłopotów, a sercem przysłuchiwać tym echom śmiechu serdecznego, którego młodość jedyna, acz bezwiednie, posiada tajemnicę. A do młodzieży i jej niewinności podobnym był przez wszystkie dni żywota swego, czystością wzorową obyczajów. Dosyć było spojrzeć na tę twarz wypogodzoną, na te lica rumiane, na to oko swobodne, ażeby nabrać przekonania, że tam nigdy myśl nieuczciwa postać nie mogła. *Hi sunt, qui cum mulieribus non sunt coinquinati: virgines enim sunt. Hi sequntur Agnum, quocumque ierit. Hi empti sunt ex hominibus primitiae Deo et Agno, et in ore eorum non est inventum mendacium: sine macula enim sunt ante thronum Dei.* Z ławki szkolnej, gdzie jak listy jego świadczą, tak był pobożnym, przeszedł dwie stolice zepsucia moralnego pełne, już zajęty myślami tak dalekiemi od słabostek cielesnych i próżnej pustoty. W dalszem kapłańskiem życiu nie znał granic ostrożności. W podróżach zawsze stawał, o ile tylko mógł, u księży, w seminaryach, jak w ostatnich czasach w Warszawie u owczesnego regensa, dzisiejszego X. biskupa Ruszkiewicza, lub u zakonników. Służbę zawsze trzymał męską w Petersburgu, z wyjątkiem starej bardzo już kucharki, która żoną była jego starego lokaja i dzieci żadnych nie miała. Czytamy w wielu bardzo żywotach Świętych, że niejeden przez dopust Boży, niewinnie oskarżany bywał o podejrzane stosunki, ażeby jego niewinność z większym jeszcze blaskiem przed ludźmi zajaśnieć mogła. Słyszymy ciągle, jak najzacniejsi kapłani potwarzom podlegają i z trudnością tylko złośliwe pociski odeprzeć mogą, tak niezgodne z ich pasterskim charakterem. Pomimo najpilniejszych poszukiwań i licznych pytań, zadawanych wszystkim, którzy go znać dobrze mogli od młodości, nigdy nie spotkaliśmy cienia podejrzenia, nigdy nawet nieprzyjaciół, bo któż ich w życiu nie ma, zaślepienie w tym kierunku nie śmiało przeciw niemu się posunąć. Ale też strzegł swego skarbu, jak mówi pismo św., jako żaden skąpiec, wśród modlitwy, postów i ciała umartwień. Po śmierci znaleziono u niego dwie włosiennice i dwie dyscypliny. Jedna włosiennica, a właściwie druciany pasek na kilka cali szeroki, z ostremi zgięciami

koniuszków na wewnątrz, druga bardzo szeroka i niezwykle szorstka przy dotknięciu. Z dyscyplin jedna także druciana krótka, kolczasta, druga zwykła szpagatowa. Trudno jest bardzo dociec, chyba przez spowiedników, którzy mają usta zamknięte, lub przez przełożonych, gdy się to zakonników tyczy, do jakiego stopnia ludzie tak katujący dobrowolnie swe ciało, środków tych używają. Słyszeliśmy jednak od wiarogodnych świadków, którzy go podpatrzyli, że szczególnie podczas swego w Petersburgu pobytu, gdy zatem jeszcze był młodszym, i wśród wiru stolicy twardziej pokusom musiał się opierać, do tych narzędzi się uciekał; a odnalezione po śmierci zdradzały, że jeszcze świeżo, gdy był już zatem biskupem, z rąk jego nie wychodziły.

Przedstawiliśmy fizyczne uzdolnienie, ogładę towarzyską, głębokość umysłu, zręczność dyplomatyczną, czystość obyczajów, łatwość przystępu dla wszystkich, któremi się odznaczał, bo cnoty te biły w oczy. Były one zewnętrzną człowieka skorupą, ale tylko człowieka, które go robiły niezmiernie miłym i pociągającym do siebie, i dlatego po ludzku go sądząc, musieliśmy te zalety podnieść. Ale chcąc go we właściwem świetle obejrzeć, i należycie sobie uprzytomnić, przedewszystkiem wypadałoby wiedzieć, że on tem wszystkiem był tylko mimochodem i dodatkowo, a cechą jego właściwą, pierwszą jedyną, to jest, że był kapłanem. Z przekonania poszedł za głosem powołania, tym jednym swym obowiązkiem żył i oddychał. Nic w życiu innego nie zajmowało go, tylko chwała Boża i dobro bliźniego. Ani zbiory naukowe, ani jakiekolwiek ordery lub renumeracye przez stosunki swoje petersburgskie, ani żadne dostojeństwa kościelne przez stosunki w Rzymie, ani żadne budowle, oprócz katedry, seminaryum i kilku domów ubogich, ani fawory lub protekcya dla rodziny, ani jakiekolwiek grosiwa, ani żadne pisma, pamiętniki lub pamiątki po nim pozostały, nic zgoła, tylko to, co rylcem Boskiego sędziego na rachunek człowieka w księdze żywota pisanem jest. Czy w salonie na książęcych pokojach, czy na popasie w żydowskiej karczmie, czy wśród bogobojnego kółka rodzinnego, czy przy stole innowierców, czy wśród

parafian lub owieczek swoich, czy wśród wrogów na wygnaniu, tylko głoszenie słowa Bożego, chwała Kościoła, zbawienie własne i duszy każdego doń przystępującego, wyłącznie go zajmują. Jak później zobaczymy, wchodzi w najwyższe sfery towarzyskie w Petersburgu, ażeby na spacerach w rozkosznych ogrodach, przechadzając się, słuchać spowiedzi przez siebie nawróconych osób, które dla swego stanowiska, do tej katorgą zagrożonej zbrodni, katolicyzmu, na żaden sposób przyznać się nie mogą. Innym razem słyszy, że tam gdzieś na mieście, człowiek katolik nieznany mu, tylko ze słuchu, publicznie żyjący z nieślubną niewiastą, na łożu śmierci leży. Podąża do tego domu, wchodzi do pokoju i prezentuje się sam jako kapłan katolicki. Ten ze zgrozą go od siebie odpycha, mówiąc, że w nic nie wierzy. »Człowieku — woła X. Konstanty — za parę minut staniesz przed obliczem Boga i ty śmiesz mówić, że w niego nie wierzysz! Spowiadaj się!« Siada na łóżku, wyciąga stułę z kieszeni, bez której nigdy z domu nie wychodził, spowiada go długo, daje ślub z kobietą, przygotuwuje do śmierci. Grzesznik najspokojniej później skonał na jego ręku, a biedne dzieci, całe życie za te legitymacye wdzięczność mu dochowały. Ale nie uprzedzajmy wypadków, których taką obfitość w dalszym opowiadaniu napotykamy.

Na próżno szukalibyśmy w jego historyi śladu jakiegoś odpoczynku lub wytchnienia, jakiejś wycieczki dla poratowania zdrowia lub przyjemności zrobionej. Od czasu kiedy chwycił za płng na roli Pańskiej, już go z ręki nie wypuścił, a ten pośpiech, który widzimy w życiu jego, który go zapędza na różne wygnania jego miejsca, do Niemiec, Rzymu, i w ciągłych po dyecezyi wycieczkach, wszystko to czyni z żarliwości, z obowiązku, dla zadosyć uczynienia potrzebie ciężkiej, nieustającej pracy. Jako kapłana, każda pojedyncza dusza, czy to hrabiny Berg, żony namiestnika cesarskiego, której był spowiednikiem, czy biednego powstańca, żandarma, na powieszenie skazanego, którego na śmierć przygotowuje, każda również gorąco go obchodzi. Jako człowieka z umysłem tak potężnym i tak szerokim, sprawa całego Kościoła

katolickiego w Polsce i w Rosyi go zajmuje. Dlatego zaledwie został kapłanem, już czynny w sprawach publicznych bierze udział, powołany do tego i wyższym wykształceniem i głosem publicznym. Jako na biskupa oczy kraju całego na niego są zwrócone, a zaufania w nim położonego nie zawiódł, skoro ofiarą swojej wolności i życia żarliwość w obronie praw Kościoła przypieczętował. Z prorokiem mógł odpowiedzieć Panu, gdy się go zapytał: »Co tu czynisz Eliaszu?« — *Zelo zelatus sum pro Domino Deo,* »żarem rozżarzyłem się ku Panu Bogu zastępów«, albo z królewskim psalmistą zawołać: *Quoniam zelus domus tuae comedit me,* »Bo mię zawistna miłość domu Twego gryzła, a urągania urągających Tobie spadły na mię«. Chwała Boża, zbawienie dusz ludzkich, wywyższenie Kościoła świętego, to troska i hasła jedyne tego kapłana i biskupa.

ROZDZIAŁ III.

WYGNANIE W KURSKU. CHOLERA W WARSZAWIE. PIERWSZA MYŚL O NAWRÓCENIU ROSYI. PIERWSZA PODRÓŻ DO PETERSBURGA.

(1850—1853).

W roku 1850 hr. Henryk Łubieński wywiezionym został na wygnanie do Kurska, gdzie trzy lata miał pozostać. X. Konstanty po poradzeniu się swej władzy duchownej i za wyraźnem jej pozwoleniem, postanowił towarzyszyć ojcu swojemu w charakterze kapelana. Duchownych natenczas w kraju dla posługi wiernych było dostatecznie, cierpienie tak niewinnie skazanego ojca było niezmierne, potrzeby katolików w głębi Rosyi tak wielkie, to wszystko skłoniło go do poddania się temu pierwszemu, aczkolwiek dobrowolnemu wygnaniu.

Stanowisko hr. Henryka Łubieńskiego było w kraju tak wysokie, powód wywiezienia tak niezrozumiałym, że w wykonaniu wyroku sądowego, władze polityczne naumyślnie łagodziły jego surowość możliwemi ułatwieniami. Podróż dlatego do Kurska nie była mu nieprzyjemną. Kolei żelaznej natenczas nie było w kraju, jechali zatem własnemi powozami, końmi pocztowemi, a żandarm siedział na koźle, przygotowywał i ułatwiał przeprzęgi i noclegi. W chwili wyjazdu z Warszawy przystąpił p. Epstein, bankier warszawski, do powozu hr. Henryka, i żegnając się z nim, wsunął mu do

ręki zwitek papieru. Gdy ten się wzbraniał wziąść ten pakiet, Epstein najusilniej go prosił, ażeby to zatrzymał, mówiąc że to drobne, które zawsze w drodze są potrzebne. Było tam 10.000 rs. Pan Epstein zawdzięczał jak tylu innych, swój majątek i pozycyę pomocy hr. Henryka, i w ten delikatny i szlachetny sposób, chciał ukazać w chwili potrzeby, jak sądził, wdzięczność swemu dobroczyńcy. Podróżni wolnymi etapami posuwając się, wstąpili do Tulczyna, gdzie się rodziła nieboszczka matka X. Konstantego, Irena z Potockich, do Demidówki, gdzie się chowała, do Braiłowa, gdzie ślub brała, nareszcie wstąpili do Wasylówki, gdzie u rodzonej siostry ojca jego, znanej w kraju pani Róży Sobańskiej, dni parę odpoczęli. Pomimo tych miłych wspomnień i wrażeń i pociechy, jaką miał ze syna, z chwilą w której nie czuł już potrzeby podtrzymywania swojem zachowaniem odwagi drugich osób, cierpienia moralne, przez jakie ojciec X. Konstantego przeszedł, żelazną naturę jego złamały. Zaledwie w Kursku stanęli, zasłabł ciężko na gorączkę tyfoidalną i tygodniami leżał pomiędzy życiem a śmiercią. Powstawszy z łoża boleści, był już innym człowiekiem, z wesołego, dowcipnego, genialnego, zrobił się poważnym, zamkniętym w sobie szczelnie starcem. W tym olbrzymie, w którym wszystkie życia tętna gorączkowo wrzały, około którego ruch przemysłowy kraju całego kotłował, krociowe codziennie interesa w mgnieniu oka zostawały załatwione, zerwał się jakiś tajemniczy węzeł, który łączy człowieka z życiem, jego potrzebami, nadziejami i całem otoczeniem. Postradał za życia rodziców, całe swe rodzeństwo, żonę, wszystkie prawie dzieci, znaczny bardzo majątek a większe jeszcze nadzieje i pozostał sam jeden, jako ten stary dąb w leśnej pustyni, który pokolenia w około siebie widział przechodzące, i sam jeden przeżyć ich wszystkich musiał. Żył lat jeszcze 30, przystępny, wyrozumiały, uprzejmy dla wszystkich, ale oko nie dawało już tego blasku, które wyraża zajęcie, ucho głuche było na słowa pociechy, usta nie wydawały nawet westchnienia boleści, chyba pomarszczone czoło zdradzić mogło, co ten człowiek w życiu przebolał,

przepłakał i wycierpiał. .Nie potrzeba chyba dodawać, że podczas całej ojca choroby, X. Konstanty nieodstępnym był od jego łoża, że oprócz pociechy religijnej, żadnej posługi najczulszej mu nie odmówił. Przez całe trzy lata, które trwało wygnanie, dla braku innych kapłanów, był oczywiście spowiednikiem ojca swego — i nieraz później mawiał, że ze wszystkich spowiedzi, jakich tyle i tak trudnych w życiu słuchać musiał, nad żadnemi tak się nie namęczył, jak właśnie nad temi. Sądzić, karcić, karać i na drogę cnoty i obowiązku własnego ojca naprowadzać, to nie lada zadanie, ile to pokory z jednej strony, ile zaparcia się z drugiej wymaga.

Przed wyjazdem jeszcze do Kurska, postarał się X. Konstanty o pozwolenie słuchania spowiedzi i urządzenia kaplicy domowej. To danem mu zostało przez X. arcybiskupa Dmóchowskiego, odezwą z dnia 24 listopada 1850 r. Nr. 2092. Następca jego X. metropolita Hołowiński ponowił to pozwolenie, własnoręcznym listem, następującej treści:

»Wielmożny Mości Dobrodzieju!

Przy wielu kłopotach ledwie teraz mogę dać wiedzieć, że ja z mojej strony nie mam nietylko przeszkody, ale bardzo pragnę, aby katolicy mogli korzystać z Iego pobytu i aby ich potrzeby mogła załatwić Iego gorliwość: ale co się tyczy pozwolenia rządu, które jest potrzebne, to nie jest w mojej mocy, bo to zależy od miejscowego przedstawienia i od woli ministerstwa, w którym ja dzisiaj nie mam wpływu żadnego. O ile więc możność i roztropność pozwoli, o tyle staraj się być użytecznym rozrzuconym tam katolikom. Niech Cię Bóg błogosławi i umacnia.

† *I. Hołowiński* Ełs.

Nr. 426.

17 kwietnia 1851, Petersburg.

Wielmożny I. X.
Konstanty Łubieński.«

Otrzymawszy pozwolenie władz rządowych, w domu, który ojciec jego w Kursku dzierżawił, a potem dla niego kupił, X. Konstanty urządził kaplicę domową, i z całą gorli-

wością młodego kapłana, odprawiał nabożeństwo, spowiadał i dawał nauki. Dom ten później przy wyjeździe darował katolikom miejscowym i do dziś dnia odprawia się tam nabożeństwo, gdy ksiądz katolicki do Kurska przyjeżdża. Pracę jego Bóg widocznie błogosławił. Oprócz codziennej pociechy, jaką wierni stąd mieli, wyrobiło się tam pod jego kierunkiem duchownym kilka dobrych i szczęśliwych powołań do stanu zakonnego, osób, które dzisiaj jeszcze w klasztorze żyją. Katolicy porozrzucani w gubernii Kurskiej i w kilku sąsiednich guberniach, dowiedziawszy się o pobycie jego w tym mieście, używali go w swoich potrzebach. W takich, często kilkuset wiorstowych podróżach, X. Konstanty porobił wiele bardzo nowych znajomości, pozawiązywał liczne stosunki, z których niektóre w późniejszem życiu jego pożytecznymi się stały.

W Kursku poznał także młodego oficera p. Timaszewa i bardzo się z nim zaprzyjaźnił. Po wielu latach p. Timaszew został ministrem spraw wewnętrznych i podpisał wyrok wywiezienia X. Biskupa, chociaż w Petersburgu i w sejmach nie przestawał z nim dalej utrzymywać najlepszych stosunków,

W jednej dalszej podróży dowiedział się przypadkiem, że w malutkiej wioseczce, gdzie mu konie przeprzęgali, mieszka od lat 15 ksiądz unicki na wygnaniu. Natychmiast się do niego udał, a wchodząc do pokoju, pozdrowił go polskiem: »Niechaj będzie pochwalony Jezus Chrystus!« i dodał, że jest księdzem. Staruszek klęczący na modlitwie odpowiedział mu: »Na wieki wieków, Amen!« i pierwsze jego pytanie zaraz potem było: »A któż tam szczęśliwie na Stolicy Piotrowej panuje?« Rozrzewniony tą wiernością wyznawcy kapłana, X. Konstanty zabawił u niego cały dzień jeden, ażeby po tylu latach po raz pierwszy oddać mu duchowną posługę i serce jego mężne pokrzepić słowami pociechy.

Innym znów razem wezwany został do miejscowości o 300 wiorst oddalonej, do konającego już prawie Francuza, p. Aleksego Jouve, zdecydowanego już na wezwanie, *in articulo mortis,* miejscowego popa prawosławnego. Pan Jouve, rodem Prowensalczyk z południowej Francyi, człowiek bar-

dzo wykształcony i gorliwy katolik, przepędził poprzednio lat kilka w Rzymie, zajęty głównie dawaniem lekcyi księżniczce Torlonia. W Rzymie poznał pannę Górską, córkę lekarza z Grodna, Polkę, ale ani słowa po polsku nie umiejącą, bo od dzieciństwa w Smolnym monastyrze w Petersburgu wychowana, a naonczas towarzyszyła jakiejś wielkiej pani ruskiej, która zimę w Rzymie przepędzała. Ożenił się z nią i wszedłszy w stosunki z domami ruskimi, uzyskał bardzo korzystną posadę nauczyciela przy młodym Dymitrze Kołokolcowie, synu bogatego właściciela dóbr w gubernii Kurskiej. Dysponowany na śmierć przez X. Konstantego p. Jouve powrócił do zdrowia, zaprzyjaźnił się z nim, i wiele bardzo usług w życiu mu oddał, jak później zobaczymy.

O całym pobycie X. Konstantego w Kursku, zdawał później relacyę X. Popielowi, ówczesnemu biskupowi płockiemu, na wygnaniu w Nowgorodzie wielkim będącemu, niejaki p. Filipow, lekarz niegdyś z Kurska, który później przeszedł do Nowgorodu na wysokie rządowe stanowisko. Nie miał on dosyć słów pochwały dla jego niczem nie zrównanej uprzejmości, pracowitości, dobroczynności dla ubogich i kapłańskiej gorliwości. »X. Konstanty — mówił on — niebawem stał się osią, około której obracało się całe życie miasta i gubernii«. Świadectwo takiego oczywiście prawosławnego, a niczem nie skrępowanego, poważnego i uczciwego męża, jest podwójnie dla nas ciekawem. Pomiędzy licznemi p. Filipowa opowiadaniami podniesiemy jedną sprawę, która tam w swoim czasie wrzawy narobiła i która dosadnie maluje charakter X. Konstantego. Równocześnie w tem mieście była familia francuska państwa R. Zaczęli i oni po wielu latach nie widzenia księdza katolickiego korzystać z nabożeństwa w kaplicy domowej X. Konstantego i uczęszczać do Sakramentów. Syn najstarszy państwa R. bywał i przystępował także do Sakramentów, ale nareszcie dnia jednego życie sobie odebrał. Tajemnicą pozostała przyczyna tego smutnego wypadku, a X. Konstanty jeżeli wiedział, oczywiście wyjawić tego nie mógł, co może usłyszał na spowiedzi od biednego młodzieńca. W pierwszym szale rozpaczy, nieszczęsny ojciec

nie znał granic dla swoich żalów, a nie wiedząc gdzie szukać powodów tego kroku, wpadł na myśl, że to było winą X. Konstantego, że jako spowiednik nie odwiódł go od tego zamiaru, nie wpłynął i nie uspokoił go i całą niepohamowaną złość zaczął na głowę jego publicznie wylewać, zemstę okrutną zaprzysięgając. X. Konstanty zaledwie o tem usłyszał, postanowił do niego się udać, ażeby go uspokoić. Próżne było naleganie, zaklinanie przyjaciół X. Konstantego, ażeby go od tego odwieść, przekładanie, że po człowieku w takim stanie wszystkiego spodziewać się można, wyrzutów, zniewagi a nawet śmierci, ale nic go od spełnienia tego obowiązku chrześcijańskiego odwieść nie mogło. Tam było cierpienie, tam on być musiał. Po krótkiej modlitwie w kaplicy swojej, udał się do domu biednego ojca i sam na sam godzin parę z nim przepędził. I gdy całe miasto o życie jego drżało, on spokojnie ukoił chrześcijańską pociechą to serce zbolałe, przywiódł go do spowiedzi, do swej przyjaźni przypuścił i wywdzięczył się całej familii, oprócz protekcyi przez całe życie późniejsze, tem jeszcze, iż pokierował powołaniem jednej córki a siostry samobójcy do stanu zakonnego i do wstąpienia materyalnie sam nawet dopomógł.

Odbywając takie podróże X. Konstanty musiał wszędzie, gdzie się dla jakiejkolwiek obsługi religijnej zatrzymywał, stosownie do przepisów w tym kraju obowiązujących, meldować się nie tylko u władz policyjnych, ale i u miejscowych popów lub archirejów. Znając jego wykształcenie i uprzejmość, jako u młodego i ciekawość zapoznawania się z ludźmi i obyczajami miejscowymi, a gdy mu przytem tytuł hrabiowski nie zawadzał, przyjmowany był bardzo uprzejmie, i w wizytach takich przychodził często do rozmów nie tylko czysto oficyalnych. Opowiadając później o tych podróżach, mówił, że ze strony duchowieństwa prawosławnego otrzymywał zawsze objawy uszanowania dla swojego stanu kapłańskiego. Jeden biskup zaprosiwszy go na obiad, po odejściu zaproszonych gości świeckich i duchownych, samych prawosławnych, pozostał z nim sam na sam, i ze łzami w oczach mu powiedział, że gdyby tylko w Rosyi trochę dano wolności,

toby się wielu bardzo biskupów, jemu osobiście znanych, zaraz z prawosławia do Kościoła rzymskiego nawróciło.

W roku 1852 pilne interesa ojca X. Konstantego zmusiły go odwiedzić Warszawę. W czasie pobytu jego w mieście wybuchła gwałtowna cholera. Dla pomieszczenia o tyle zwiększonej liczby chorych, urządzono w koszarach wojskowych kilka czasowych szpitali, a dla ich obsługi utworzyły się komitety złożone z młodych ludzi dobrej woli. Do ich liczby należeli pomiędzy innymi: Stanisław Górski, książę Feliks Ogiński, Felix Sobański i wielu innych. X. Konstanty nie wahał się ani na chwilę zgłosić swoją gotowość do tej obsługi i odezwą r. r. s. Andrault, prezydującego w komitecie cholerycznym w Warszawie z d. 12 sierpnia 1852, Nr. 36.811; z wyrazem podziękowania zaproszony został do komitetu obsługującego szpital urządzony w koszarach Sierakowskich. Ale widocznie już przedtem musiał sam pracować, bo znajdujemy w jego papierach aprobatę wydaną mu w tym celu z dn. 20 lipca 1852 r. Nr. 894, przez surrogata Białobrzeskiego. Z ognistą swoją naturą dnie i noce całe przepędzał w tym szpitalu, niosąc przedewszystkiem pomoc religijną chorym, ale nie uchylając się także od spełnienia około nich najpośledniejszych nawet posług. Na uwagi czynione mu przez krewnych, iż zdrowie, życie swoje zanadto niepotrzebnie naraża, otwarcie się przyznawał, iż szuka śmierci na pobojowisku pracy dla miłości bliźniego, jako najwyższego szczęścia, które spotkać go może. Za takie nadzwyczajne poświęcenie, otrzymał od rządu jakiś malutki krzyżyk na piersi, który oczywiście całe życie był przedmiotem żartów serdecznych z jego strony. Cholera przeszła, ale razem z nią i siły X. Konstantego się wyczerpały. Zapadł ciężko na zdrowiu, a zakażenie, którego się nabawił, objawiło się częściowym paraliżem twarzy i ciała. Jedyny to raz w życiu co chorował i leżał w klasztorze XX. Misyonarzy w Warszawie. Dzięki energicznej pomocy lekarskiej znanego naonczas doktora Malcza, przy młodym i zdrowym organizmie wnet do zdrowia przyszedł i uzyskawszy od X. biskupa Fiałkowskiego nowe

itteras passus z d. 16 grudnia 1852 r. Nr. 1677, powrócił lo ojca do Kurska. Opatrzność inne nad nim miała widoki.

W Kursku ciągle był czynnym, ale w życiu tak od ludzi oddalonym i na szczupłe grono znajomych ograniczony, wiele miał czasu do wewnętrznej pracy. Długie podróże, które raz po raz przedsiębrać musiał, po tych bezmiernych obszarach dawały mu także sposobność niejedną do samotnego rozmyślania. Samo wygnanie dalekie od swoich, od ziemi rodzinnej, od tego wszystkiego, do czego serce przywykło, tak jak każde osamotnienie, podróż dłuższa na morzu lub pobyt w puszczy, odwróciły jego uwagę od rzeczy pobieżnych, od trosk codziennych, od drobnych życia kłopotów. Nie mógł sobie nie zadać pytania, jak dziwne są drogi Opatrzności, gdy jemu pałającemu żądzą pełnienia obowiązków kapłańskich względem bliźniego, w sile wieku, Bóg przeznaczył żyć prawie w osamotnieniu, w bezczynności, wśród ludu innego wyznania i obcego języka. Czy zadaniem jego było wieść życie kontemplacyi oddane? Chyba nie, boć przecie szukając względem siebie woli Bożej przed powzięciem stanowczego postanowienia, byłby ujrzał jakiś pociąg w sercu do zacisza murów klasztornych i usłyszał od starszych, od przewodników, od Boga, jakiejś pod tym względem dla siebie wskazówki. O krok jeden dalej idąc, pomyślał sobie o tych świętych obowiązkach, które Zbawiciel świata wysyłając w świat uczni swoich, na nich włożył mówiąc: »Idąc tedy nauczajcie wszystkie narody«, o tej ciągłości tradycyi i obowiązków, które każdy następca apostołów mimowolnie na siebie przyjąć musi, o tych słowach, które do niego uroczyście powiedziano przy święceniach, ażeby szedł głosić słowo Boże? Pierwotni apostołowie głosili go wszędzie i wszystkim, w pustyni i na rozstajnych drogach, po domach prywatnych i na rynkach miasta Ateny. Przecież powszechny Kościół sług swoich przeznaczać nie może do usługi duchownej dla jednego narodu jednej prowincyi, jednej niedostrzegalnej na karcie świata wioseczki. Gdzie wola Opatrzności za rozkazem, radą lub wyraźnem zezwoleniem duchownych przełożonych kapłana poszle, tam spełnić musi każdy, a zatem i ten swój obowiązek.

A może obowiązek ten ograniczony jest li tylko do pouczania wiernych katolików. Któż śmiałby to powiedzieć! Kościół katolicki jeden i jedyny od wieków początku podniósł i spełnia zadanie opowiadania wszem wobec radosnej nowiny nowej w świecie ewangelii. Nie ma szczepu, nie ma ziemi zakątka, gdzieby wiary św. nie głoszono, a czem więcej uporczywy naród się napotka, czem trudniej pochodnie prawdy podnieść, tem wytrwalej zastępy misyonarzy tam pracują, cierpią i giną. Wszystkie narody przez jednego Ojca stworzone, wszystkie przez jednego Syna odkupione, wszystkie przez jednego Ducha św. oświecone być mają. Gdzie kapłana katolickiego noga postanie, tam ma być ofiara, tam odpuszczenie, tam umocnienie wiernych w cnocie, tam oświecenie i nawrócenie tych, dla których artykuły jednej wiary jeszcze opowiadane nie były. X. Konstanty oderwany od swoich, od ziemi rodzinnej, od obowiązków maluczkiej w Wiskitkach parafii, zapytał się sam siebie, czy spełnia wszystkie swe obowiązki, pocieszając starego ojca duchowną posługą i niosąc pociechy religii katolikom tam zamieszkałym. Czy ten liczny zastęp innowierców, który go otaczał, z którymi codziennie się spotykał, nie miał prawa do niego, do żadnych względem siebie posług? Czy wśród tej rzeszy nie ma dusz, które czekają tylko na światło i łaskę, ażeby porzucić kacerstwo, i do prawdziwej wiary powrócić? Czy Bóg, bez którego woli włos z głowy nikomu spaść nie może, przypadkiem jego naumyślnie tam nie zagnał, ażeby podał rękę niewinnie błądzącym i rozpalił pochodnie wiary w około siebie? »Idąc tedy, nauczajcie wszystkie narody«.

Miotany temi myślami, zapomniał o sobie, i z tej wysokości, z której spoglądał na historyę ludzkości św. Augustyn w swej »*De civitate Dei*« i nieśmiertelny Bossuet w »*Discours sur l'Histoire universelle*«, powiódł okiem na przebieg dziejów narodu własnego polskiego. Poza wypadkami wojen, swarów, zwycięstw i rozdwojenia, obok wolnego jego wzrostu, a szybkiego upadku, jakaż nić przewodnia, opatrznościowa, biegnie i wiąże w jedną całość te pojedyncze urywane chwile narodowego życia? Postawiona na krańcu świata, który, bo

bliżej Rzymu, źródła jedności, wcześnie był nawrócony i miał swe cywilizacye na podstawie wiary wykształcić z jednej a niezmierną przestrzeń po morze Lodowate i wybrzeża Oceanu Spokojnego, zamieszkałą przez dzikie plemiona mongolskie z drugiej strony, Polska, miała swoje posłannictwo od razu jasno wytknięte. Zaledwie też promienie wiary ją ogarnęły, spieszy jeden z pierwszych jej królów, waleczny Chrobry, na Wschód daleki. Zaraz po nim pomyka drugi, ale zbryzgany krwią świętą a niewinną, nie godny podjąć tego wielkiego zadania, pogrąża naród w bezczynność i bezład. Posłannictwo narodu jednak nie ustaje. Po wiekach upadku, okupionego bohaterskiemi wysileniami ku odparciu nawały hord tatarskich, powstaje większy i potężniejszy jak kiedykolwiek, spełniwszy pierwszą część posłannictwa swego, nie podbojem ale miłością i łączy z sobą jednością wiary obszerne dziedzictwa synów Gedymina. Tu już ohydna trucizna odszczepieństwa protestanckiego psować zaczyna narodu jednomyślność, z podkopaniem sił czyni go niezdolnym do równie bohaterskich czynów.

Zasłużona dynastya Jagiellonów, w pobocznej latorośli domu swego, podejmuje napowrót narodu zadanie, przez Wielkie Łuki, Kłuszynę, Smoleńsk, pod mury Kremlina, nie na to ażeby zagarnąć, ale aby podnieść pod srogą tyranią cierpiących braci do jedności, równości i wspólności ze światem cywilizowanym ich doprowadzić. Próżne usiłowania. To co było treścią, racyą bytu narodu i tajemnicą jego powodzeń, wiara i jej rozkrzewianie, podkopana i znieważona, gdy w najwyższej jego radzie, w senacie, zaledwie paru już tylko zasiada katolików. Błędy za błędami następują szybko po sobie. Pod hasłem złotej wolności dla wszystkich, sejmy odmawiają najsłuszniejszych żądań wolności i równości bezwzględnie każdemu. Roty pancerne z waleczności słynące, giną marnie i pierzchają przed niesforną ruchawką z dalekich pól dzikich. Zwycięstwo pod Wiedniem, to jasny promień zachodzącego słońca, który przed zapadającym zmrokiem cały widnokrąg daleki dziejów Polski, jej cnoty i przywary, przyczynę wielkości i upadku po raz ostatni wobec świata oświeca.

Naród tracąc ducha, pierwotnie go ożywiającego, gnuśnieje, zaczyna gnić moralnie, straszne przepowiednie Piotra Skargi spełniły się, ostatni, wolno obrany, słaby i nierządny król, zamiast raczej zginąć, wyrok śmierci na naród w Grodnie podpisał. Zamiast nieść pochodnie wiary na Wschód, tenże sam Wschód go zalewa, i ciemnościami swojemi przygniata.

Ludzie, narody, wieki całe przemijają, ale dzieło Boże nie przemija i przeminąć nie może. Nieudolność i złość ludzka opóźnia, utrudnia, przeszkadza w przeprowadzeniu zamiarów Opatrzności, ale unicestwić ich nie może. Jedno niedołężne narzędzie po drugiem ginie i jest odrzucone, aż nareszcie w pełności czasów powołany zostaje mąż, lub przysposobione okoliczności, tak, że prawda, światło i wiara zwycięstwo odnoszą — Polska wyraźnie powołana do nawrócenia Wschodu spełniła go tylko do połowy i odwróciła się potem od niego. Wola jednak opatrzności, potrzeby tych milionów dusz pod panowaniem carów, w ciemnościach pogrążonych, które do nas ręce wyciągały, te przecież muszą być i będą zaspokojone. Bóg dla spełnienia swoich zamiarów, mógłby był obrać inne drogi, inne powołać narzędzia do życia, a Polskę na zupełną skarać zagładę, jako już zwiędłą, nieudolną winną latorośl, która owoców nie rodzi. Ale przez pamięć na te dawne jej zasługi, na to przedmurze chrześcijaństwa, na tych świętych jej w niebie patronów, na te potoki krwi męczeńskiej, które naród jej dzisiaj jeszcze tak hojnie, tak obficie, tak bohatersko, za wiarę i za unię wylewa, Bóg nie potępia jej ostatecznie, nie odbiera jej posłannictwa, tylko już innemi drogami prowadzić dzieło swe musi. Nie na czele zwycięskich hufców z rozpuszczonymi orły i pogonią, ze złotym ryngrafem Częstochowskiem na piersiach, ale z pokorą, w kajdanach, w cierpieniu, i męczeństwie, odbywać tę drogę na Wschód musimy. Dawniej mieliśmy możność aktami dobrowolnych unii łączyć całe prowincye ze sobą, całe dyecezye z Stolicą Piotrową, dzisiaj gwałtem, przemocą Opatrzność porywa całe zastępy katolików i kapłanów, i rozsiewa jako iskry pochodni po całym obszarze niezmiernego imperyum. Czy można przypuszczać, ażeby Opatrzność tylko zaspokojenie kary swojej, czy

zemsty nieprzyjaciół Kościoła mogła mieć na względzie? Czy można powiedzieć, że bezmyślne fatum przewodniczy tym licznym deportacyom księży w głąb Rosyi i do Syberyi? Czyż każdego kapłana wola Boska najsamprzód nie powołuje do swojej służby, potem daje mu ze święceniem rozkaz głoszenia słowa Bożego, nareszcie zapędza daleko, daleko, ażeby obowiązek i śluby swe spełnił? Czy zadanie nawrócenia krajów na wschód od Polski położonych do jedności wiary, a któreśmy nie dokonali, nie jest jedynym powodem w wyrokach Opatrzności, wszystkich tych moskiewskich gwałtów?

Dopiero teraz jasność ogarnęła duszę i umysł X. Konstantego. Dopiero teraz zrozumiał, dlaczego naród upadł, dlaczego gwałtem tylu kapłanów jest wywożonych, dlaczego on otrzymał tak rozliczne i hojne dary od natury, dlaczego zaraz po wyświęceniu zagnanym został w bezludną prawie pustynię i z apostołem narodów padłszy na ziemię, drżąc i zdumiewając się rzekł: »Panie, co chcesz abym czynił?« Odpowiedź już była gotową w sumieniu jego, tym nieomylnym, przez Boga nam danym doradcy i przewodniku. »Idąc tedy nauczajcie wszystkie narody«. »Będziesz miłował Pana Boga twego ze wszystkiego serca twego — a bliźniego twego jako samego siebie«. Dla duszy tak wzniosłej i tak odważnej poznać prawdę było już tyle, co sobie ją przyswoić. Nawracanie przykładem, nauką, modlitwą, namową i cierpieniem ludu w ciemnościach pogrążonego, w kacerstwie nużącego się — Rosyi jednem słowem, to było powołaniem jego i każdego katolickiego kapłana, którego niezrozumiałe, napozór ślepe losy zagnały w głąb tego kraju. Aczkolwiek niegodny i lichy pracownik, w ostatniej prawie chwili powołany do winnicy Pańskiej, postanowił o ile mu siły wydołają, o ile wola duchownych przełożonych na to zezwoli, o ile życia starczy, naprawić błąd wiekowy swych ziomków i poświęcić się tej pracy. W Warszawie będąc podczas cholery, tak zakosztował w pracy misyonarskiej, iż zwierzał się jednemu ze swoich krewnych, że gdy odwiezie napowrót ojca z wygnania do kraju, wstąpi do zagranicznych misyi francuskich. Bóg go natchnął najsamprzód tamtą myślą, bo go czekał tutaj. Po co

szukać po Japonii, Chinach, Korei lub dalekich dzikich wyspach nieznanych bliżej ludów, kiedy tak blisko ogrom pracy czekał na niego. X. Konstanty nie był może jedynym, który tą myślą został natchnięty, był jednak, o ile nam wiadomo, stanowczo pierwszym, przez którego myśl ta nawracania Rosyi, jako obowiązek polskich kapłanów tam wywiezionych, wyraźnie, jasno i otwarcie została podniesioną i na sztandarze swoim wypisaną. W tem leży jego zasługa, dlatego uchodzić musi w historyi Kościoła, nie tylko polskiego ale nawet powszechnego, za człowieka opatrznościowego, od Boga posłanego. Każdy człowiek ma w życiu pewne zadanie do spełnienia, do wspólnej budowy Boskiej społeczeństwa katolickiego swoją cegiełkę do złożenia. O ile większe ma zadanie ten, który przeznaczony jest na kapłana, na biskupa, na nauczyciela narodów, na następcę apostołów. Nie dla obfitości wypadków, ale ze względu na doniosłość myśli i czynów ludzkość sądzi swych przewodników. Mędrzec, który zrobi jedno odkrycie, już za to do potomności przechodzi. Myśliciel, który pojedyncze tylko zagadnienie naukowe rozwiąże, wdzięcznie jest wspominany. Święty każdy dla jednej wybitnej cnoty lub heroicznego czynu w poczet błogosławionych zaliczonym bywa. Dlatego w życiu X. Konstantego pomniejsze wypadki bledną wobec tej potężnej myśli, której on dał wyraz i która w nim się niejako wcieliła. Życie jego było bardzo krótkie, może dlatego, że on powołanym był do spełnienia li tylko tej jednej sprawy, jak krótkie były żywota kolumny świecącej, która wodziła po pustyni ludy Izraela, lub gwiazdy, która przywiodła królów do stajenki w Betleem. W dziwną harmonijną całość wiąże się cała historya jego, w tem dla niego właściwem oświetleniu i kończy śmiercią, na którą jedynie mógł apostoł nawrócenia się Rosyi zasłużyć lub sobie życzyć. Przyczyną bezpośrednią zgonu nie było co innego, tylko poddanie się w bezwzględnem posłuszeństwie Stolicy Apostolskiej, w tej Rosyi, której pierworodnym grzechem i prawie jedynym kacerstwem jest odstępstwo od Rzymu. Walczył za jednością i dla niej zginął. »Dziwny jest Bóg w świętych swoich«.

Ale natura X. Konstantego nie pozwalała mu ani na chwilę ukryć tego, co sądził być użytecznem, lub co mniemał być jego obowiązkiem, na dachach nie opowiadać. Niebawem zatem wszyscy jego znajomi i nieznajomi o tem wiedzieli, a dziwna sprzeczność tego zapatrywania z utartą wiekową rutyną pokoleń, musiała wywołać niezwykły niesmak i oburzenie. Najlepsi przyjaciele mówili kiwając głową, że oszalał, drudzy nazywali go francuskim labusiem, inni z partyi narodowej czerwonej wprost prawosławnym popem. Przedewszystkiem pomawiano go o indyferentyzm, o brak miłości dla kraju i o zdradę, ten zarzut, który u nas, gdzie każdy chce dopomódz w wspólnej potrzebie, ale nie zawsze wie, jak i kiedy to ma czynić, każdego człowieka jeżeli nie kilkakrotnie to przynajmniej raz w życiu spotkać musi. Wrzawa która powstała upewniła go, iż uderzył w słabą społeczeństwa stronę, której poważnie obronić nie można, tylko krzykiem chyba zagłuszyć. Najsroższe kary wymierzone są w swodzie zakonów na każdego prawosławnego, któryby religię zmienił, na każdego, któryby do tej zmiany go namówił, lub naprowadził: katorga, wywiezienie, utrata majątku, stanu cywilnego, szlachectwa i śmierć cywilna. Ale czyż inaczej było przez trzy wieki za czasów cesarzów rzymskich? Czy inaczej pod Henrykiem, Elżbietą i Jerzymi w Anglii i Irlandyi? Czy inaczej w krajach pod panowaniem półksiężyca? Czy inaczej do dziś dnia w Chinach, Korei i t. d.? Czem się różnią tamte prawa od praw rosyjskich? Carowa Katarzyna, carowie: Aleksander i Mikołaj i ich następcy, wyraźnie otwarcie i okrutnie prześladowali katolików, a opisy gwałtów na Bazylianach, Unitach podlaskich, księżach, zakonnikach i wiernych, przy zamykaniu i niszczeniu kościołów, jak n. p. w Krożach, czytamy z równem przejęciem i zgrozą, jak wyprawy zamorskie misyonarzy lub martyrologia pierwszych chrześcian i męczenników. Prześladowania Nerona, Kaliguli, Tyberyusza lub Dyoklecyana były nawet o tyle znośniejsze, że obejmowały pojedyncze osoby lub familie, prześladowanie carów ogarnia całe dwa narody: polski i rusiński, i jednem pociągnięciem pióra miliony wiernych i setki kościołów na schyzmę przerabia.

Pojąć i wytłómaczyć jeszcze można świeckich katolików, którzy na wygnaniu dają się powodować uczuciom zemsty za prywatne i publiczne krzywdy od oprawców doznane, i oprócz koniecznych stosunków, z odrazą od nich stronią, aczkolwiek pierwotni chrześcijanie, nawet ludzie świeccy, inaczej ponoś postępowali. Ale cóż na obronę kapłanów można powiedzieć, cóż oni na wygnaniu robią? Szczelnie także odgradzają się od świata zewnętrznego, i jeżeli nie są zmuszeni wyrokiem do ciężkiej fizycznej pracy, trawią czas na zupełnej bezczynności, a nudy są dla nich samych największą męczarnią. Czy tak robili apostołowie? czy tak pierwotni chrześcijanie? czy tak księża irlandcy? czy tak misyonarze w Chinach? czy to jest zadanie kapłana? czy to jego na ziemi posłannictwo? czy nie do niego powiedziane są słowa: »A ja wam powiadam, miłujcie nieprzyjacioły wasze, dobrze czyńcie tym, którzy was mają w nienawiści, a módlcie się za prześladujące i potwarzające was — albowiem jeśli miłujecie te, co was miłują, cóż za zapłatę mieć będziecie?« Cóż mogło było gorszego tak występnego kapłana spotkać, którýby jednego znajomego Rosyanina lub oprawcę do porzucenia błędów przywiódł, jak dalsze wygnanie i prześladowanie, i wiekuista chwała, iż za Chrystusa Pana swego cierpiał? O gdyby każdy z tych setek i tysięcy kapłanów polskich, których od lat stu bezustannie Opatrzność dozwala nieprzyjaciołom wysyłać na wszystkie strony ziem rosyjskich, był nawrócił nie więcej, tylko tylu prawosławnych, ilu nawrócił okrzyczany wtenczas X. Konstanty Łubieński, pytamy, jakby wyglądał teraz ten kolos prawosławia na glinianych nogach, jakby wyglądała dzisiaj sprawa Kościoła katolickiego w Rosyi, jakby też stosunek jej do Polski musiał niebawem się ułożyć. Historya, sądząc bez przymieszki chwilowych a namiętnych wrażeń wypadki, zapytała się tych kapłanów co tam daleko poginęli, jak również tych co powrócili, słowami do nich wprost się stosującemi: *Redde rationem villicationis tuae, jam enim non poteris villicare?* — a nazwisko X. Konstantego słusznie z czcią największą potomności przekazać musi.

Tak jak treścią narodu polskiego było być przedmurzem chrześcijaństwa, tak przekleństwo, które ciąży nad tem nieszczęśliwem odszczepieństwem wschodniem, a które cesarstwo rosyjskie podniosło do swojej racyi stanu, jest podwaliną jego budowli. Nic tam w tem wyznaniu nie masz, coby podnosiło ducha, lub serce rozgrzało, do przekonania oświeconych przemówiło, a ludkowi prostemu pociechę przyniosło. Kapłani ich to nie są ludzie, którzy z przekonania, z poświęcenia, z miłości do służby Bożej biegną, ale kasta, która z ojca na syna w upadlającym atawizmie kajdany świętokradzko dźwiga, z odrazą nieraz w sercu dla swego stanu, w ogólnej każdego przechodnia pogardzie. Prozelityzm odbywał się w Carogrodzie za pomocą obłudy i gwałtu, dzisiaj dalej w Rosyi trwa za pomocą knuta, bo któż z przekonania przystąpiłby do wyznania, którem rządzi jenerał kawaleryi w ostrogach przy świętym synodzie. Któż dla zadosyć uczynienia wewnętrznej duszy zbolałej potrzebie spokoju i modlitwy, może rzucić się w objęcie kościoła, który przez lat tysiąc nie wydał ani jednej myśli wielkiej i szlachetnej, ani jednego obrońcy ludzkości przed świata tyranami, ani jednego przyjaciela maluczkich i ubogich, ani jednego świętego i męczennika. Napróżno szukałbyś tam Grzegorza VII, Tomasza z Kanterbury, Franciszka z Assyżu, Piotra Damiana, Stanisława Kostkę, Wincentego à Paulo, Jozafata, Lacordaira, Don Bosca. Na zewnątrz stan zupełnego letargu, na wewnątrz zgnilizna moralna, brak oświaty i spodlenie ducha. Gdyby przyszło w Rosyi do oddzielenia religii od państwa, zadałoby to natychmiast cios śmiertelny prawosławiu. Wystarczyłoby nawet proste ogłoszenie wolności wyznania w cesarstwie rosyjskiem, ażeby prysła we wszystkich częściach ta zbutwiała budowla, nie pozostawiając po sobie nawet tych szlachetnych wspomnień poetycznych legend, któremi kolebka pogaństwa umiała się otoczyć, ani tych arcydzieł sztuki ludzkiej, któremi świątynie bożków tak wspaniale przyozdabiano.

X. Konstanty natchniony tą myślą, zdał sobie jak najjaśniej sprawę, jakiemi sposobami można w czyn ją wprowadzić. Tak jak pierwotni chrześcijanie, jak gorliwi robią misyo-

narze, nie uciekał od prawosławnych, nie unikał ich, ani nimi gardził, ale owszem wszelkimi sposobami starał się mieć z nimi jak najczęstsze stosunki, ażeby w rozmowie swobodnej, lekkiej, światowej, upuścić od czasu do czasu słowo, któreby mogło w pamięci pozostać, serce poruszyć, umysł oświecić lub odwagi dodać. W protestanckiej Anglii tak uporczywie opowiadali pastorzy swym owieczkom, że Papież rzymski jest wcieleniem się Antychrysta, że jeszcze w pierwszej połowie tego wieku, opowiadał kardynał Wiseman, wielu bardzo tam ludzi z średniem wykształceniem w najlepszej wierze byli przekonani, iż Papież posiada równocześnie znamiona przez Apokalipsę mu przepisane, i bardzo byli ciekawymi go choćby raz w życiu zobaczyć. X. Konstanty był tego przekonania, że tylko ciągłymi nieustającymi stosunkami z prawosławnymi można wiekowe pokłady uprzedzeń utrzeć, tem więcej, gdy jego logiczny umysł dobrze pojmował, że postępować można tylko drogą pojedynczych nawróceń, w największej tajemnicy dokonanych. Nie tracąc czasu, zaraz też w Kursku rozpoczął działać, a rozpoczął od tego, iż doskonale języka rosyjskiego się wyuczył, którego ani w szkołach za granicą, ani w seminaryum nie miał sposobności poznać. Na wstępie w przedmowie położone słowa i przepisy prawa kryminalnego, obowiazujące dotychczas w Rosyi, nie pozwalają nam wymieniać tych, o których mamy wiadomość, iż zostali przez X. Konstantego czy to w Kursku, czy to później w Petersburgu, czy gdzieindziej do jedności wiary nawróceni. Tylko gdzieniegdzie lekką wzmiankę o nich będziemy mogli uczynić. O wielu, wielu bardzo, nie możemy mieć żadnej wiadomości, bo tajemnicę dochowaną zabrał on ze sobą do grobu. W jego domowej kaplicy w Kursku mamy pewne dane, iż nie jedno wyrzeczenie się błędów kacerstwa nastąpiło, a wolno nam wymienić pannę Werę Deberyny, siostrę pani Szenszyn, marszałkowej szlachty gubernii Kurskiej, która potem dla możności zachowywania praktyk religijnych, przeniosła się do Warszawy i tam dnia 15 czerwca 1856 roku umarła.

Ojciec X. Konstantego skazany był na wygnanie na lat trzy, ale gubernator kurski nie miał o tem urzędowego zawiadomienia, potrzeba było zatem wyjednać odpowiednią instrukcyę ministeryalną. W tym celu X. Konstanty posłany został przez swego ojca w późnej jesieni 1853 r. do Petersburga. Zadanie to wielce mu ułatwili krewni jego w stolicy, którzy wysokie zajmowali stanowiska dworskie, jak naprzykład: Leon hr. Potocki, rzeczywisty tajny radca stanu i członek Rady państwa, Bolesław hr. Potocki, wielki podczaszy dworu J. C. Mci, Olga z Potockich, wdowa po jenerał adjutancie Leonie Maryszkinie i córka jej Zofia Szuwałów, małżonka hr. Piotra Szuwałowa, marszałka szlachty gubernii petersburgskiej i wielu innych jeszcze.

Pierwszą jednak osobą, którą w tem mieście odwiedził, był oczywiście X. metropolita Hołowiński. Jedyny był to arcybiskup, który od utworzenia stolicy mohilewskiej po rozbiorze Polski aż po dni nasze przy blasku purpury, do tego stanowiska przywiązanej, świecił jeszcze swoimi osobistymi przymiotami rozumu, światła, nieugiętej woli i odwagi. Opatrzność go powołała do bronienia praw Kościoła w najtrudniejszych warunkach, podczas wyuzdanej tyranii cara Mikołaja, którego pamiętne słowa: »on nas w pole wyprowadził« o Hołowińskim, są dobrze znane. Jaki był przebieg chwili poznania się tych dwóch ludzi, X. metr. Hołowińskiego i X. Konstantego, tego wiedzieć nie możemy, ale jaki był wynik ich rozmów i stosunków, o tem mamy jak najdokładniejszą wiadomość. X. Konstanty w roku 1868 już jako biskup posłał do stolicy apostolskiej obszerny memoryał, o którym później na właściwem miejscu będzie mowa. Tutaj przytoczymy tylko ten krótki ustęp, odnoszący się do tej właśnie chwili. X. Biskup pisze:

»Ksiądz metropolita Hołowiński po zamianowaniu go na stolicę archidyecezyi mohilewskiej, obejmującej prawie dziesiątą część stałego lądu kuli ziemskiej, głęboko był wzruszony w troskliwości swojej o stan ludów tę archidyecezyę zamieszkałych, a pogrążonych w ciemnościach błędów. Gorliwość jego o ich apostołowanie wstrzymaną zostałą obawą, ażeby

wobec nietolerancyi rosyjskiej, wszelkie usiłowania propagandy nie ściągnęło prześladowania nie tylko na osoby, któreby się były poświęciły takiemu misyonarstwu, ale i na całe duchowieństwo katolickie, które gdyby nie trzymało się zdala od wszelkiej próby prozelityzmu, pozbawioneby zostało możności czynienia zadosyć potrzebom religijnym dotychczasowych swoich owieczek. Skutkiem tego X. metropolita Hołowiński myślał, że właściwem byłoby rozdzielić zupełnie te dwa posłannictwa Kościoła katolickiego w Rosyi: posłannictwo, któreby͏m ośmielił się nazwać zachowawczem od posłannictwa jego apostolskiego. Mniemał, że pozostawiając wykonywanie pierwszego z tych posłannictw duchowieństwu w dotychczasowej jego i urzędownie uznanej organizacyi, użytecznem byłoby zaprowadzenie misyi, zupełnie od jego władzy hierarchicznej niezależnej, otrzymującej specyalne *facultates* od Stolicy apostolskiej, którąby on mógł jawnie przynajmniej ignorować, którejby mógł w razie potrzeby się wyprzeć, a któraby pracowała nad nawróceniem Rosyi tajemnie, tak jak tajemnie apostołują misyonarze w Chinach i innych barbarzyńskich krajach. Pod wpływem tych myśli X. metropolita Hołowiński spowodował wysłanie do Rzymu pod koniec 1853 r. zaufanego posłańca, z poleceniem przedstawienia Stolicy apostolskiej całego ogółu konsyderacyi odnoszących się do tego przedmiotu i powzięcia wiadomości o zapatrywaniu nad nim Ojca świętego. Ten posłaniec przyjętym został łaskawiej nawet, aniżeli się tego wysyłający spodziewać mogli, i przywiózł obietnicę, że żądane *facultates* będą udzielone za prostem przysłaniem własnoręcznej kartki X. Metropolity, obejmującej formułę wskazaną przez Monsignora Luigi Ferrari, specyalnie przez Ojca świętego wydelegowanego, dla złożenia mu raportu o tym całym interesie. Formuła ta miała być następującą: »℞ (to miało znaczyć *Beatissime Pater* czyli Ojcze święty) Rekomenduję papiery, które wam przedstawione zostały d. 11 Xbra i osobę, która je przedstawiła.

Rezultat tej negocyacyi nie mógł być przedstawionym X. metropolicie Hołowińskiemu wcześniej, jak w ciągu lata roku następnego (1854) przez osobę, która najgłówniejszy

udział miała w wysyłce tego posłańca, i która chcąc poświęcić się w charakterze prostego misyonarza w projektowanem apostolstwie, nieśmiała jednak wziąść na siebie całej odpowiedzialności za skutki, jakieby takie przedsięwzięcie było mogło za sobą pociągnąć. W r. 1854 wojna Krymska była już silnie rozwinięta. X. metropolita Hołowiński sądził, iż roztropność nakazuje odroczyć wszelką w tym przedmiocie decyzyę do czasów spokojniejszych. Ale wkrótce potem X. Metropolita dotknięty został chorobą, która go do grobu wtrąciła. Jego następca nigdy poinformowanym nawet nie został, ani o przedmiocie, ani o istnieniu całej tej negocyacyi«.

Czy myśl pierwsza wysłania tego posłańca wyszła od X. metropolity Hołowińskiego czy od X. Konstantego, tego stanowczo powiedzieć nie umiemy, ale co stanowczo wiemy, to jest, że całe to podanie do Stolicy apostolskiej z r. 1853, ręką X. Konstantego pisane było, a tylko przez X. Metropolitę podpisane; że osobą zaufaną wysłaną z niem do Rzymu był pan Jouve, którego w Kurskiej gubernii poznał, i którego stosunki w Rzymie chciał na pożytek Kościoła wyzyskać; że tą osobą, nie wymienioną w tym memoryale, która życzyła sobie poświęcić się w charakterze prostego misyonarza w projektowanem apostolstwie, nie kto inny był, tylko X. Konstanty. Jego przedstawienie rzeczy i wymowa musiały być niezwykle jasne i przekonywające, jeżeli on młodziutki, nieznany kapłan, z krańców Rosyi świeżo przybyły, mógł skłonić o tyle starszego, doświadczonego i tak bystrego dostojnika kościelnego do podpisania tak niesłychanie doniosłego aktu i spowodować Stolicę apostolską, która z taką ostrożnością a nawet powolnością zawsze działa, iż od razu zgodziła się na tę myśl i jej wykonanie, która równa oficyalną cywilizowaną Rosyę z krajami barbarzyńskimi. Nic nie daje lepszej miary potęgi tego umysłu, jak to powodzenie, które towarzyszy pierwszym tym krokom X. Konstantego na arenie spraw publicznych kościelnych. W tym memoryale, z którego powyższy ustęp jest wziętym, X. Konstanty wspomniał o całej sprawie z r. 1853, nie dla pochwalenia się, bo przecież wcale się nie wymienił, i gdyby nie

okoliczność, że memorał z r. 1868 dyktowanym był w całości jego bratu hr. Tomaszowi Łubieńskiemu, który wyjaśnił osobę posłańca do Rzymu i kapłana pragnącego apostołować, cały ten ustęp byłby pozostał niezrozumiałym i do historyi wcaleby nie przeszedł. Później X. Konstanty nie nalegał na wysyłanie misyonarzy wewnątrz Rosyi i silnie odradzał używanie do tego jeszcze nie skompromitowanych wobec rządu kapłanów, bo widział wielkie stąd niebezpieczeństwa i drogą nuncyatury pragnął działać. Ale apostołowanie przez wywiezionych księży ciągle uważał za ich obowiązek, bo aczkolwiek mówił, że przyłączenie całego kościoła rosyjskiego do jedności z Stolicą Piotrową, może nastąpić tylko za zezwoleniem absolutnego monarchy, jednak takie połączenie musiałoby być poprzedzone bardzo licznemi nawróceniami pojedynczych osób, nie koniecznie na obrządek łaciński, ale koniecznie na jedność z Rzymem.

Sami dopowiedzieć sobie możemy, na czem schodził czas X. Konstantemu podczas tego pierwszego w Petersburgu pobytu. Pilnowanie interesu ojca, utrzymywanie stosunków światowych, ażeby nie stracić żadnej sposobności służenia około zbawienia ich duszy, konferencye z X. metropolitą Hołowińskim o najważniejszych sprawach Kościoła polskiego w Rosyi i w całem chrześcijaństwie, codzienna uciążliwa posługa duchowna licznych bardzo wiernych w kościele św. Katarzyny, którzy do niego, władającemu tylu językami, chciwie i nieustannie się garnęli. O jego tam pobycie mamy inne jeszcze świadectwo ciekawe. Równocześnie spędzał zimę w stolicy hr. Alfred Potocki, późniejszy pierwszy minister austryacki i namiestnik Galicyi a cioteczny brat X. Konstantego, z młodziutką małżonką swoją Maryą z książąt Sanguszków, córką niezapomnianego księcia Romana ze Sławuty. Za powrotem do Warszawy pan Alfred, jak cały kraj go nazywał, wyrażał się z wielką przyjaźnią i uwielbieniem dla X. Konstantego, ale ciągle powtarzał: »ale on pożąda, on szuka męczeństwa, a to nie jest przecież naturalnem«. Dla umysłu tak umiarkowanego i pełnego taktu zbytnia żarliwość musiała wydawać się jako coś niezwykłego, niepojętego; dla gorli-

wszych katolików jednak może to być tytułem podziwu i chwały.

Uzyskawszy pozwolenie dla ojca swego na powrót do kraju X. Konstanty miał zamiar udać się po niego do Kurska i odwieść do Warszawy i sam osiąść na razie na swoim wikaryacie w Wiskitkach. Ale X. metropolita Hołowiński, słyszeć o tem wszystkiem nie chciał i nie wypuścił go ze stolicy, nie odebrawszy od niego formalnej obietnicy, iż zaraz po spełnieniu swych obowiązków względem ojca powróci do Petersburga, dodając: »Ty nam jesteś tutaj koniecznie potrzebnym«. Naleganie X. Metropolity przyjął za wolę Opatrzności i postanowił się jej poddać. Powrócił do Kurska, darował dom i kaplicę w niej się mieszczącą ze wszystkimi aparatami i całem kościelnem urządzeniem miejscowym katolikom, a pokłoniwszy się władzom, żegnany płaczem i błogosławieństwem wszystkich, stanął z ojcem swoim r. 1854 w miesiącu marcu w Warszawie.

ROZDZIAŁ IV.

WIKARYUSZEM PRZY KOŚCIELE ŚW. KATARZYNY W PETERSBURGU. SPOWIEDNIKIEM AKADEMII DUCHOWNEJ. PRACA W PETERSBURGU. EPIZOD BANKIERA PIERLINGA Z KS. K. LUBOMIRSKIM. POCHOWANIE ZWŁOK KRÓLA STAN. LESZCZYŃSKIEGO. KANONIA HONOROWA WARSZAWSKA KORONACYA CESARZA ALEKSANDRA II. W MOSKWIE.

(1854—1856).

Życie X. Konstantego można podzielić na trzy okresy. Okres pierwszy od urodzenia aż do powrotu z Kurska uważać można za przygotowawczy, w tym czasie rozwinął się i dojrzał do swego powołania. Okres drugi obejmuje lata przyjazdu powtórnego na stałe do Petersburga, aż do nominacyi na biskupstwo sejnejskie. Trzeci nareszcie okres, trwający przez cały czas biskupstwa aż do śmierci, dałby się scharakteryzować jako okres walki, bo bezustannie widzieć go będziemy na wyłomie w najcięższych chwilach i dla Kościoła i dla niego samego, wobec odpowiedzialności jaką dźwigać musiał. Peryod drugi, petersburski, do którego teraz przystępujemy, najlepiej nazwać okresem działalności i twórczej pracy a jest pod niejednym względem najmilszym w życiu jego. W nim widzimy młodego kapłana, w sile wieku, w pełnym rozwoju sił fizycznych i moralnych, całego poświęconego pracy na każdem polu, do którego tylko powołanie jego święte, wola przełożonych, obowiązki towarzyskie, gorliwość o sprawy Kościoła jego obecności potrzebują. Każdy, kto w tym

czasie z nim się spotykał, nie znalazł później słów dosyć pochlebnych, ażeby wyrazić swój podziw dla jego osoby, a jak zobaczymy wpływ, jaki wywierał na tak skromnym stanowisku wikaryusza, na wszystkie sfery społeczne w ogromnej państwa całego stolicy, da nam prawdziwą miarę jego osobistych zasług i wielkości.

X. biskup Fiałkowski, administrator archidyecezyi warszawskiej, podał odezwę d. 13 czerwca 1854 r., Nr. 1242 do komisyi spraw rządowych i duchownych o wydanie X. Konstantemu paszportu emigracyjnego do cesarstwa.

Zaraz za jego przyjazdem do Petersburga naznaczonym został przez X. metropolitę Hołowińskiego, kuratem francuskim przy kościele św. Katarzyny. *Cura animarum* i zarząd tej parafii należał do zgromadzenia OO. Dominikanów. W ich też klasztorze X. Konstanty zamieszkał i do ich stołu zasiadał. Zgromadzenie to składało się naonczas z osób następujących: X. Staniewski przeor, późniejszy smutnej pamięci biskup sufragan i administrator archidyecezyi, człowiek bardzo sprytny w kierowaniu interesami świeckimi klasztoru, szczególnie przytem swoimi własnymi, ale zresztą bardzo mało wykształcony, stary i ociężały; X. Stacewicz, późniejszy przeor a następnie rektor akademii duchownej i członek nadzwyczajny kollegium duchownego rzymsko-katolickiego w Petersburgu — ze wszystkich księży tego zgromadzenia najwyżej wykształcony, bardzo surowych obyczajów, nad stanem upadku zgromadzenia bardzo opłakujący, niemniej przeto osobiście ambitny i skłonny do wielkich ustępstw w dziedzinie praw Kościoła i jego dyscypliny na rzecz władzy świeckiej; X. Łukaszewicz, *simplex servus Dei,* najwięcej ze wszystkich jednak pracujący, zajęty bardzo nadzorem nad dwoma czteroklasowemi szkołami parafialnemi z internatami, i budową ze składek i jałmużny wiernych obszernej kaplicy, a właściwie mówiąc, kościoła na cmentarzu katolickim; X. Józefowicz, najstarszy wiekiem w zakonie, dawny przeor, który spędził lat blisko 20 na wygnaniu w Archangielsku, skąd dopiero po wstąpieniu na tron cesarza Aleksandra II. uwolnionym został — natenczas już prawie zaniewidział, pomimo tego naj-

pilniej w konfesyonale przesiadywał, a świątobliwością życia wszystkich budował; X. Kuczyński, poczciwy, już tak otyły staruszek, że z trudnością mógł chodzić, jedyny kaznodzieja francuski, chociaż tym językiem z największą trudnością się wyrażał, a kazania jego pomimo najlepszej woli nikt rzeczywiście zrozumieć nie mógł; X. Szkiłądz, ekonom zgromadzenia, gospodarz kościoła, kaznodzieja polski, od pracy się nie uchylający i może do niej najpochopniejszy, chociaż ani wyższych zdolności ani większego wykształcenia nie posiadał; X. Kononowicz, pomimo polskiego nazwiska, wcale po polsku nie umiejący, kaznodzieja niemiecki, najmłodszy ze zgromadzenia, któremu to tylko zarzucić można było, że od czasu do czasu, w świeckiem oczywiście ubraniu, z wiedzą przeora, do teatrów chodził. — *Ex uno disce omnes.*

Oczywiście takie zgromadzenie z trudnością mogło, jak się należy, obsłużyć parafię rozrzuconą po rozległych dzielnicach wielkiego miasta, liczącą przeszło 25.000 wiernych, złożoną z Polaków, Litwinów, Niemców, Francuzów, Włochów i Anglików, władających po większej części tylko swoimi rodowitymi językami i w części bardzo niedokładnie rosyjskim. Były to jeszcze czasy, kiedy w stolicy państwa rosyjskiego lata całe przemieszkiwali cudzoziemcy i nigdy nawet nie uczuli potrzeby dla swoich interesów lub zajęć fachowych nauczenia się państwowego języka. Zresztą z ambony, prawem nie wolno było posługiwać się tak jak dotąd rosyjskim językiem, bo rząd przewidywał, iż wymowny i przekonywujący kaznodzieja, mógłby był porwać za sobą dusze słuchaczy prawosławnych, którzy nigdy obroku duchownego sobie podanego w cerkwiach nie mają. X. Konstanty wtenczas już, gdy o tem z władzami duchownemi lub rządowemi była mowa, zawsze oświadczał się nie tylko z gotowością miewania kazań po rosyjsku, ale wyrażał nawet swe gorące w tym kierunku pragnienie, pod jednym li tylko warunkiem, to jest, żeby prawo nie zabraniało Rosyanom korzystać z jego nauk, i przechodzić na wiarę katolicką. Inaczej mówiąc, kazania te byłyby zbyteczne, urodzonych Rosyan katolików-rzymskich niema przecież w cesarstwie, a dla Polaków, Niemców i t. d.

korzystniej w ich własnym, lepiej przez nich zrozumianym języku jest miewać nauki. Nie mało też czasu wszystkim OO. Dominikanom zabierały lekcye w dwóch kilkuklasowych szkołach, męskiej i żeńskiej, przy parafii utrzymywanych, jak również lekcye religii, dawane uczniom katolikom licznych szkół rządowych i prywatnych, i zakładów naukowych wojskowych. Duch zakonny nadto, zupełnie był w tem zgromadzeniu wygasł, a następstwem tego był brak nowych powołań. Dopiero w roku 1858 po kilkunastu latach, pierwszego przyjęto nowicyusza X. Żółtaka, kapelana X. metropolity Żylińskiego, a przy ceremonii jego obłuczyn, ówczesny przeor X. Stacewicz ze łzami w oczach bardzo piękną przemowę powiedział o życiu zakonnem i o potrzebie jego odrodzenia, ale się zresztą w klasztorze nic nie zmieniło. Klasztory Dominikańskie w cesarstwie, żadnym związkiem prowincyonalnym z klasztorem petersburgskim połączone nie były, gdyż ustawy o duchowieństwie zakonnem, zaprowadzone w Królestwie w r. 1864, dawno już tam obowiązywały. Klasztory wszystkie na wymarcie skazane, nie mogły siebie na rozkaz przełożonego nawzajem zasilać, i dlatego w Petersburgu zgromadzenie to zastępowało braki nieubłaganym biegiem czasu uczynione, pożyczaniem zakonników z za granicy, ale przez samo to przesiedlanie się, dają oni dowód małego przywiązania do ścisłej obserwancyi zakonnej.

Naonczas X. metropolita Hołowiński przewidywał niedaleką chwilę, w której całe to zgromadzenie stanie się przytułkiem zgrzybiałych starców, zupełnie nie zdolnych do posług parafialnych. Ale do odebrania parafii OO. Dominikanom nie było kanonicznego powodu. Zastąpienie ich zresztą przy wielkim braku księży w archidyecezyi mohilewskiej, nie mającej nawet własnego seminaryum, także niełatwem było. Parafianie kościoła św. Katarzyny byli już do tych swoich duszpasterzy tem więcej przywiązani, im trudniej im było o pociechy religijne. OO. Dominikanie umieli przez swoje stosunki dawno wyrobione i swoją wielką zamożność zjednać sobie bardzo silne poparcie i opiekę, a jednak przewidywanej katastrofie, a nawet istniejącym już wtenczas niedostatkom,

koniecznie trzeba było zaradzić. X. metropolita Hołowiński postanowił ten cel osiągnąć przez powolne wprowadzanie wikaryuszów świeckich do parafii św. Katarzyny. Ale stosunek tych księży do zgromadzenia zakonnego parafią zarządzającego, nie mógł nie być bardzo trudnym i delikatnym. Stanowisko społeczne X. Konstantego, które musiało pewne względy nakazywać, niezależność ówczesna jego położenia materyalnego, bo ojciec mu płacił roczną pensyę 3.000 rs., tak że z wielu bardzo dochodów kościelnych zwanych *jura stolae,* mógł się zrzec, na co Ojcowie bardzo byli czuli; łagodność charakteru, takt w postępowaniu dozwalały X. Metropolicie mniemać, że jeżeli kto, to X. Konstanty potrafi wybrnąć z trudności położenia, i wyrobić *modus vivendi* możliwy, między wikaryuszami świeckimi a zgromadzeniem zakonnem, proboszcza zastępującem. Stosunek też między nim a OO. Dominikanami pozostał zawsze jak najlepszy, dzięki jego wielkiej pokorze, która mu nakazywała na każdym kroku, o tyle starszym od siebie kapłanom ustępować. Opowiadają iż gdy raz później trochę powrócił do domu z wizyty od ciotki swojej p. Naryszkin, na drugi dzień O. Przeor zawezwał go do siebie i zaczął mu wymówki robić. X. Konstanty pada na kolana, całuje go po rękach i prosi o pokutę. Przeor, który od czasu wstąpienia do zakonu nie widział był u żadnego swego zakonnika podobnej pokory, podniósł go za ręce i serdecznie zaczął ściskać. X. Konstanty niczem nie był zawinił, bo jako ksiądz świecki miał zupełną wolność poza służbą kościelną, a zresztą sami zakonnicy nie znali ani godzin zamknięcia furty, ani klauzury. Jednego tylko kolegę na tym wikaryacie miał następnie X. Konstanty, a mianowicie X. Felińskiego, późniejszego arcybiskupa warszawskiego, i to zaraz po ukończeniu akademii duchownej, a ten także przy swej cichości i pokorze, wcale położenia nie utrudniał. A jednak OO. Dominikanie już w r. 1858 postarali się o wydalenie obu tych wikaryuszy.

Kiedy X. metropolita Hołowiński postanowił powoli zastąpić OO. Dominikanów świeckimi księżmi, X. Konstanty podsunął mu myśl założenia zgromadzenia księży świeckich;

na wzór Oratoryanów św. Filipa Nereusza, związanych posłuszeństwem i prowadzących życie wspólne, ale bez żadnych form zakonnych na zewnątrz; aby zaś ukryć organizacyę tę przed rządem, księża składający zgromadzenie mieli być naznaczani przez Arcybisknpa jako pomocnicy OO. Dominikanów w miarę ich ubywania. W ten sposób zaradzonoby ubytkom a stworzono przy najpierwszej parafii petersburskiej liczącej naonczas 25.000 dusz grono wzorowych kapłanów, utajonych zakonników. Ksiądz Konstanty napisał regułę dla tego zgromadzenia i podjął się wyszukiwania aspirantów, zaczynając oczywiście od uczni akademii duchownej, której, jak zobaczymy, był spowiednikiem. X. metropolita Hołowiński, jedyny wtajemniczony, z radością patrzał na tę robotę X. Konstantego a i X. Szczęsny Feliński miał być pierwszym aspirantem. Napisano do X. biskupa Borowskiego do Żytomierza, ażeby odstąpił X. Felińskiego do archidyecezyi mohylewskiej. Gdy to nastąpiło, X. Feliński został wyświęconym i zamianowanym także jako wikaryusz do św. Katarzyny. We dwóch rozpoczęli życie wspólne pod przewodnictwem X. Konstantego. Lecz zaledwie miesiąc upłynął, X. metropolita Hołowiński umarł. X. Żyliński starał się wzmocnić stanowisko OO. Dominikanów. X. Konstanty i X. Feliński zostali rozłączeni, nastąpił przejazd X. Nuncyusza Chigi, który zupełnie X. Konstantego dla siebie zajął, nareszcie wywiezienie X. Konstantego do Charkowa i Rewla. Wszystkie te rzeczy spadając od razu równocześnie na słaby zaczątek zgromadzenia, w samym zarodku o śmierć go przyprawiły. Nikt, gdy niestało X. Konstantego nie miał ani ducha, ani gorliwości, ani odwagi dalej go prowadzić.

X. metropolita Hołowiński widząc gorliwość w pracy X. Konstantego i owoce jakie ona na wszystkie strony przynosi, polecił mu dać rekolekcye alumnom akademii duchownej, którą z wielkim pożytkiem i zadowoleniem wszystkich pod jesień 1854 roku odprawił. Pomiędzy uczniami byli także naonczas X. S. Feliński, dopiero co wymieniony, który po jej opuszczeniu był zawsze i we wszystkiem X. Konstantemu pomocnym, a gdy go na wygnanie wywozili do Charkowa

i Rewla, zwykle obejmował kierunek duchowny części penitentów X. Konstantego i X. Henryk Kossowski, późniejszy profesor na uniwersytecie w Dorpacie, rektor akademii duchownej w Warszawie, administrator dyecezyi płockiej, a dzisiaj biskup sufragan dyecezyi kujawsko-kaliskiej. Rekolekcye te były wypadkiem doniosłym w życiu akademii i jej uczniów, i niebawem potem X. Metropolita zaprosił X. Konstantego na urząd spowiednika alumnów, następującym, tak bardzo dla niego pochlebnym, własnoręcznym listem:

»Kochany Księże Łubieński

»Niezmiernie ci jestem wdzięczny za twe prace duchowne i dobre owoce tej pobożnej pracy widzę i w moim zakładzie; a przeto najczulej tobie dziękując upraszam ciebie, abyś mógł w soboty o 7-mej wieczór przychodzić dla spowiadania alumnów, czem i przed Bogiem zrobisz sobie zasługę i najmocniej obowiążesz

twojego sługę

† *I. Hołowiński*, A. B.«

23 stycznia 1855, Petersburg.

Oprócz podniesienia ducha pobożności wpływ X. Konstantego na alumnów akademii niemało się przyczynił do sprowadzenia umysłów i serc uczniów tej instytucyi do katolickich rzymskich poglądów na rzeczy z kierunku mocno febronianizmem zakażonego, już z Wilna przywiezionego, a podtrzymywanego przez ówczesnego rektora tej akademii X. Fiałkowskiego, późniejszego arcybiskupa mohylewskiego. Do powyżej wymienionego fałszywego kierunku, przy gorliwej pomocy kilku profesorów, alumni tej akademii już więcej nie wrócili, pomimo zgubnych wpływów późniejszego jej rektora X. Stacewicza, Dominikanina. Ale to samo co spotkało X. Konstantego w Kielcach, powtórzyło się napowrót tutaj w Petersburgu, tylko jeszcze w większej mierze. Roztrząsając sumienia w naukach i na spowiedzi penitentów nie taił wielkości powołania kapłańskiego, odpowiedzialności, która ich czeka, koniecznej doskonałości życia tych, co mają być *sal terrae, lumen mundi.* Może nie namawiał nikogo do wy-

tąpienia, ale gdy mu się jaki młody człowiek przez niego pouczony i oświecony zwierzył, że nie czuje w sobie dostatecznego powołania, a on uznał, że to nie chwilowa pokusa, tylko że taki istotnie jest stan rzeczy; z pewnością nie wstrzymywał go od opuszczenia alumnatu. Owszem postanowił sobie za zadanie, za pomocą ogromnych swoich stosunków, takiego młodego człowieka, któryby na świat powrócił, stosownie umieścić, ażeby miał możność uczciwie na życie i kawałek chleba zarabiać. Powtarzał bowiem zawsze znane słowa, że dwunastu apostołów świat cały ówczesny przebiegło, dwunastu prawdziwych kapłanów to samo cudo dzisiajby powtórzyli. Te pierwsze rekolekcye, które tam odprawił, były prawdziwym nabojem dynamitu, który wstrząsł i rozsadził całą akademię. Młodzież po raz pierwszy usłyszała wymowne słowa o swojem powołaniu. Odrazu liczne opuszczania i wystąpienia pokazały się, które do najwyższego stopnia oburzyły OO. Dominikanów, kapitułę metropolitalną, wszystkich starych prałatów, którzy jako asesorowie od różnych dyecezyi do kollegium katolickiego w Petersburgu przemieszkiwali i rodzaj senatu duchownego tworzyli. Do tej udanej troski o zmniejszanie się liczby, już i tak aż nadto szczupłej, kapłanów w Rosyi, podawali jeszcze argument czysto rosyjsko biurokratycznej natury, którą wszyscy, nawet bardzo byli przesiąknięci, że X. Konstanty występuje przeciwko rządowi, gdyż powoduje wystąpienia młodych ludzi, na koszt samego wysokiego rządu tam pomieszczonych i utrzymywanych. Widzieliśmy, iż zapatrywanie X. metropolity Hołowińskiego musiało być odmienne od jego doradców, ale po jego śmierci, pomimo codziennych stosunków X. Konstantego z jego następcą X. metropolitą Żylińskim, zastarzałe przesądy wzięły znowu górę w radzie tak bardzo słabego charakteru Metropolity i X. Konstanty uwolnionym został od obowiązku spowiednika akademii duchownej.

X. Konstanty przystępując do pracy duchownej przy kościele św. Katarzyny jak można się było spodziewać, zastał wiarę nie wygasłą, ale drzemiącą, pobożność ograniczoną do zewnętrznych objawów życia katolickiego. Wspomniał

sobie na śliczne a dosadne porównanie św. Alfonsa Liguorego, iż nasamprzód trzeba wyjść na drzewo i silnie nim potrząść, potem dopiero pozbierać można owoce opadłe, to znaczy dusze, których łaska Boża dotknęła i poruszyła, które są dojrzałe do przyjęcia Sakramentów, do pokuty i do życia odmiany, i dlatego przedewszystkiem zwrócił swoją uwagę na ambonę. W parafii św. Katarzyny wierni składali się z różnych narodowości, kazania przeto i nauki wygłaszane były kolejno po polsku, po francusku i po niemiecku. Jedne tylko kazania niemieckie były jakątaką niemczyzną wygłaszane. Po francusku nikt słowa zrozumieć nie mógł mówiącego X. Kuczyńskiego, jak już wyżej powiedziano. Po polsku, wszyscy OO. Dominikanie mówili z silnym akcentem białoruskim i używali wyłącznie jako podręczników dla przygotowania się, kazań przestarzałych polskich z XVII i XVIII wieku. X. Konstanty najsamprzód mówił tylko naprzemian z O. Kuczyńskim kazania po francusku, ale starał się jako *officium charitatis* zupełnie go zastępować, a potem po kolei zastępował wszystkich Ojców zgromadzenia, którzy z zadowoleniem ten ciężki obowiązek na młodsze zepchnęli siły, tak że nareszcie co niedzielę i święto, a nieraz i dwa razy na dzień na ambonę wychodził. Mówiąc płynnie, poprawnie, naukowo i wykwintnie po polsku, po francusku i po niemiecku z wielką mu to łatwością przychodziło. Nie można powiedzieć, ażeby był wielkim kaznodzieją. Nie był to ani ks. biskup Janiszewski, ani ks. Prusinowski, ani ks. prałat Koźmian, którzy w tych właśnie czasach świecili na polskiej ziemi wymową kaznodziejską. Myliłby się także bardzo ten, któryby sądził, iż naśladował francuskich duchownych mówców zadziwiających wybredną publiczność kościołów św. Maryi Magdaleny i katedry Notre Dame paryzkiej, ułożeniem swem przykładnem, spokojem wielkoświatowym, rozbiorem zadań społecznych będących na czasie, wyszukanym słów doborem. On wychodził na kazalnicę, ażeby pouczyć i poruszyć. Ze spokojem i wielką znajomością rzeczy, do czego pomocną mu była zadziwiająca pamięć ksiąg czytanych, rozwijał przedmiot, ażeby przekonać słuchaczy. Nigdy nie przygotowany, tak ażeby pojedyncze

wyrazy miał naprzód ułożone, ale walcząc z nawałem myśli, które bystry jego umysł mu podsuwał, wpadał mimowolnie w okresy porywającej prostotą swą wymowy. Znawca słabości serc ludzkich, umiał trafić do wnętrza sumienia, którego napróżno niejeden pragnie w sobie zatrzeć i zagłuszyć. Każdy wychodząc z jego nauki, nie był olśniony, ani zachwycony, ani podniesiony tym czarem, który wymowne żywe słowo ludzkie sprawia na umyśle, czy to z ust genialnego artysty usłyszane, czy takie, które w świętem miejscu z ambony padło; ale każdy przekonany był o szczerości słów jego, pouczony dokładnie o przedmiocie nauki, z poruszonem sumieniem co do swoich obowiązków. Różnica od dotychczasowych, przestarzałych, niezrozumiałych, przez nikogo nie słuchanych kazań, miewanych w kościele św. Katarzyny, była ogromna. Od czasów wypędzenia OO. Jezuitów r. 1818 z Petersburga, nic podobnego tam nie słyszano. Oprócz Polaków, którzy nareszcie mieli prawdziwego kaznodzieję, cały tak liczny zastęp cudzoziemców, Niemców a szczególnie Francuzów, zadowolony był z tej zmiany rzeczy i poczęto uczęszczać na nauki, czego dotąd nigdy nie robiono. Całe tak zwane wyższe towarzystwo, członkowie cudzoziemskich katolickich poselstw, arystokracya polska i zagraniczna, Rosyanie prawosławni wykształceni, którzy nigdy kazania w życiu nie słyszeli, wszyscy cisnęli się do kościoła, ażeby usłyszeć młodego kapłana, który jako meteor nad całą plejadą otaczających go księży, rozumem, przykładem, gorliwością i stanowiskiem się wyróżniał.

Nie długo też X. Konstanty czekać potrzebował na owoce nauk przez siebie dawanych. Konfesyonał, w którym zwykł był siadać, niebawem był w takim stanie oblężenia, że docisnąć się do niego nie było można. Spowiadał oprócz tego mężczyzn u siebie, po domach prywatnych, wszędzie gdzie tylko go pobożni dopaść i przytrzymać mogli. Za spowiednika obrały go sobie wszystkie osoby, należące do najwyższego towarzystwa stolicy. Oprócz w poprzednim rozdziale wymienionych jego krewnych i znajomych, i tych, którzy tylko rzadziej do Sakramentów uczęszczali, wymienić wolno kilka nazwisk wybitniejszych: X. metropolita Hołowiński,

baronowa Mayendorf, z domu hr. Buol-Schauenstein, siostra byłego pierwszego ministra austryackiego, a żona Piotra Mayendorfa, byłego ambasadora w Berlinie i w Wiedniu, który wysoki urząd dworski w Petersburgu sprawował. Ona sama była niezwykle pobożną niewiastą. Jeden z jej synów, jako adjutant namiestnika ks. Gorczakowa w Warszawie, dał rozkaz 27 stycznia 1861 r. strzelania do tłumu, od czego padło 5 ofiar, a drugi, który w roku 1867 wsławił się grubiańskiem wystąpieniem w Rzymie wobec Ojca św. Piusa IX. i przez tegoż po królewsku skarconym został. Dalej pani jenerałowa Tschewskin, z domu de Thomatis, wnuczka założyciela pałacu w Królikarni pod Warszawą, a żona ówczesnego ministra komunikacyi. Baronowa Korf, z domu Krasuwska, żona jenerał-adjutanta barona Korfa, inspektora artyleryi, a matka baronowej Mohrenheim, żony dzisiejszego ambasadora w Paryżu. Hrabina Berg, żona późniejszego namiestnika w Królestwie Polskiem, siostrzenica jej i wychowanica panna Leopoldyna Tamman, którą X. Konstanty przygotował do pierwszej spowiedzi i komunii św., a później jej ślub dawał z jenerałem Lachnickim. Ale jak do każdego kapłana, najwięcej maluczcy i prostego serca ludzie do niego się cisnęli i tych szczególnie serce jego kochało. Opowiadał sam, że niczem nie trzeba gardzić, żadnym zawodem nie pomiatać, bo wszędzie można dobrze czynić i duszę swoją zbawić. Pomiędzy rozlicznymi penitentami swoimi miał naprzykład dwie tancerki z baletu petersburskiego, Polki, które codzień rano już o 6-tej bywały na mszy św. i po kilka razy na tydzień przystępowały do spowiedzi i komunii św.

Ale też jak każdy wyższego umysłu kapłan, miał swój osobny sposób słuchania spowiedzi. Każdy katolik nie jeden raz w życiu słucha kazań w kościele i przystępuje do Sakramentu pokuty, ile jest jednak takich nauk, które mu pozostają żywo, na zawsze w pamięci. X. Konstanty był jednym z tych ludzi, który zawsze rzucił słówko takie, które ci zostało na długo, jeżeli nie na zawsze w sercu, bo trafiało w sam środek położenia, oświecało całą duszę. Przytem surowy dla siebie, niezmiernie łagodny i wyrozumiały dla słabości innych,

nie karcił ostro, nie odbierał nadziei polepszenia, nie poniżał grzesznika. Przeciwnie podnosił go do poziomu własnej wielkiej swojej duszy, bez zastrzeżeń, bez skrupułów, bez targów, bez małostek, wymagał oddania się zupełnego, wielkomyślnego Panu Bogu tak, jak ten nasz Stwórca cały nam się oddał i jest nieskończenie dla nas dobrym i miłosiernym. W każdej spowiedzi jego czuć było, że ten człowiek kochał twoją duszę miłością prawdziwą, bo chrześcijańską, że był gotów życie swoje za nią oddać. Dlatego słusznie o nim powiedziała dusza jedna wybrana, której wymienić nam nie wolno, ale która wiele w życiu była widziała, że nie spotkała człowieka, któryby tak Pana Boga i tak bliźniego kochał, jak X. Konstanty.

Przy dzielnej tej pracy nie dziw, że w około niego nie jedna dusza zapragnęła większej doskonałości, ścisłego zachowania rad ewangelicznych, że pod jego kierunkiem niejedno powołanie zakonne dojrzało. Na razie powiedzieć nam jest tylko wolno, że kilka domów klasztornych zapchanych zostało osobami, które albo przez niego do tego kroku ostatecznie zdecydowały się, albo materyalnie dostały skuteczną od niego pomoc, ażeby módz powzięte postanowienie wykonać. Przy pomocy dobroczynnych osób utworzył szpital dla biednych katolików na jednej z tak zwanych wysp petersburskich i stworzył towarzystwo dam św. Wincentego a Paulo, dla niesienia pomocy ubogim w ich mieszkaniach i zebrania dam dla szycia aparatów kościelnych i odzieży dla ubogich. Osobny rozdział wypadałoby napisać o bardzo licznych nawróceniach prawosławnych na łono Kościoła katolickiego, które X. Konstanty w Petersburgu dokonał. Uderzającą jest rzeczą, że to nie niewiasty same, ale przeciwnie i w przeważnej liczbie mężczyźni z najlepszych i najwyższych sfer towarzyskich. Ale dla powodów już wyżej wymienionych, każde takie nawrócenie było i pozostało osłonięte najściślejszą tajemnicą; tak, że przeważna część nawróconych albo nie śmiała albo wcale nie mogła się udawać do innych kapłanów po pociechy religijne, gdy X. Konstantego wywożono na wygnanie. Nawrócenia te X. Konstanty rozpoczynał naukami

w kościele, a kończył w prywatnych stosunkach towarzyskich. Od najwiarogodniejszego świadka, który wszystkie prawie sekreta X. Konstantego posiadał z czasu jego pobytu w Petersburgu, dowiedzieliśmy się, że ciągle do niego przyjeżdżali Moskale, osoby światowe lub stanowiska urzędowe lub dworskie mające nibyto z wizytą, lecz prawdziwie do spowiedzi; że nieraz miewał schadzki z mężczyznami i niewiastami w ogrodach publicznych, gdzie spotkawszy się nibyto przypadkiem, oddalał się do odludnej alei, ale zawsze pozostając na widoku, ażeby nie wzbudzić podejrzenia i tam przechadzając się słuchał ich spowiedzi; że bardzo często w swoim pokoju potajemnie udzielał najświętszej Komunii, lub jeździł do domów prywatnych jej udzielać. Bezpieczeństwo życia i mienia wszystkich osób wtajemniczonych w każdą pojedynczą nawrócenia sprawę ciągle na włosku wisiało, nie dziw też, że sekret został zawsze do śmierci dochowany. Ale one po części tłómaczą ogromne stosunki X. Konstantego w stolicy i nadzwyczajną szybkość i pewność informacyi o każdej prawie rzeczy, którą on jeden posiadał. Nie było ministeryum, ani koła towarzyskiego, w któremby on nie miał bardzo dobrych aczkolwiek ukrytych znajomych, i którzyby dla swego powiernika duchownego nie byli gotowymi wiele bardzo uczynić i zawsze na czas o niebezpieczeństwie grożącem jemu, lub któremu Polakowi lub duchownemu ostrzedz. Może tylko jeden X. Konstanty ze swoją gorliwością a przytem niezmierną zręcznością, pomysłowością i odwagą mógł temu zadaniu podołać.

Niektórzy z jego znajomych, a przeważnie kolegów w kapłaństwie dziwili się, że obrawszy sukienkę duchowną, nie oddalił się zupełnie od tych sfer towarzyskich, w których był zrodzonym i nie szedł pracować wyłącznie pomiędzy maluczkich. Nie potrzeba dodawać, że pod pokrywką pokory grała tu przedewszystkiem największą rolę zazdrość, ta ludzka brzydka przywara tak bardzo rozpowszechniona. X. Konstanty nie mógł i nie chciał inaczej sobie postąpić. Nie mógł, bo te salony, które mu wyrzucali czy zazdrościli, były tem samem dla niego, co wiejska strzecha, lub małomiasteczkowa izba

ila jego znajomych. Nie chciał, bo w stolicy państwa, tylko utrzymując swoje stosunki, działając przez najwyższe ustroje społeczne, mógł dusze ich zbawiać, niebezpieczne dla Kościoła i kraju zamiary zwalczać, nawracać wykształconych Moskali, dla biednych i maluczkich obfite dary dobroczynne zbierać. Kto go w tym okresie życia jego bliżej nie znał, nie może mieć pojęcia, jakie sumy na cele dobroczynności prywatnej przez ręce jego przechodziły. Sam całe życie niezmiernie był skromnym, potrzeb własnych nie miał, dom swój zawsze miał urządzony na bardzo skromnej stopie. Sam obdarty chodził i nieraz w najwykwintniejszem towarzystwie w dziurawej sutannie się znajdował. Ale kto zna tajemnicę nędzy wielkich miast, kto kiedykolwiek w życiu podniósł zasłonę, która kryje ludzi wstydzących się żebrać, uczni, którzy mrą z głodu, niewiast oddających się rozpuście dla braku wyżywienia, i tej całej szumowiny społeczeństwa, która zalega nory nowoczesnych stolic, ten tylko zdać sobie może sprawę z tego, co kapłan gorliwy, przystępny a przytem mający opinię być niezależnym i do tego posiadający tytuł, musi codziennie wysłuchać i na co się napatrzyć. Gdzie tylko Opatrzność go posłała, tam wszędzie zostawił trwałe pomniki po sobie, nie wśród tych salonów, w których bywał, ale wśród ubogich i potrzebujących, dla których u bogatych żebrał. W Kursku pozostawił dom dla katolików, w Petersburgu kilka przytułków dla biednych, w Rewlu szkołę i szpital, w Gnieźnie część jego dochodów z beneficyum familijnego szło na szkółkę Sióstr Miłosierdzia, w Sejnach katedra i seminaryum z gruntu odnowione. Przytem koszta wysłanników do Rzymu, zapomogi na wszystkie strony rozdawane, ciągłe podróże w sprawach mu oddawanych, nieustające prześladowanie i przerzucanie go nagłe z Petersburga do Charkowa, napowrót do Petersburga, do Rewla, do Sejn, wszystko to znacznych sum potrzebowało. Miał odpowiednie swoim potrzebom, jak wyżej widzieliśmy, fundusze z domu dostarczane, gdy jednak pomimo tego zaciągnąć musiał długi, zaraz na początku swego biskupstwa, zabezpieczył swe życie na 40.000 rs. Po jego wywiezieniu i śmierci suma ta podnie-

sioną została przez jego spadkobierców i wszystkie zobowiązania jego w całości spłacone. Żadna lekkomyślność nie powodowała jego wydatkami, żadna własna przyjemność ani zaspokojenie osobistej zachcianki, ale ubodzy, potrzebujący, nędzarze, dzieci i starcy, oto jego rodzina i współwłaściciele jego funduszów. Dla nich do bogatych pukał, i dla nich nieustannie nie wstydził się ręki wyciągać.

Wielką bardzo pomocą w tych miłosiernych uczynkach i zakładach była dla X. Konstantego pani Franciszka Jaune, Włoszka (Wenecyanka), wdowa bezdzietna po Francuzie, nauczycielu w Petersburgu, która utrzymywała się dawaniem lekcyj włoskiego języka i oddana zresztą była zupełnie uczynkom miłosierdzia. Na żadne cierpienie ludzkie, ani materyalne ani moralne głuchą nigdy nie była. Nie dzieliła się z nieszczęśliwymi tem co posiadała, ale im oddawała wszystko, ostatnie odzienie, ostatni kawałek chleba i całe serce. Nikt nad to nie dorównał jej przemyślności, jej przedsiębierczości i jej wytrwałości w wyjednywaniu jałmużny dla zakładów i ludzi pomocy potrzebujących. Znana była we wszystkich sferach towarzyskich, a nawet podczas wybuchu epidemii w Petersburgu w roku 1857, kiedy cesarzowa kierowała sama zakładami dobroczynnymi, ratunkowymi, najjaśniejsza pani słysząc ciągle o niej, rozkazała pani Jaune przyjść do siebie, i z nią wspólnie obmyśliwała zaspokojenie najpilniejszych potrzeb i organizowanie pomocy. Ta biedna, samotna, bez grosza żebraczka, była potęgą miłości chrześcijańskiej i dobroczynności, z którą korona w potrzebie się rachowała i narażała. Wiedząc atoli, jako światła katoliczka, że uczucia miłosierne chrześcijan potrzebują dla wydawania poczciwych i zdrowych owoców pozostawać pod kierunkiem duchownych, pociągnięta gorliwością X. Konstantego, zawsze była gotowa do służenia jemu, bez żadnego narzucania się, ani nudzenia niedowarzonymi jakimiś pomysłami lub dewocyami. Szczerze pobożna, miała wiarę żywą ale i oświeconą, miłość gorącą dla Boga i bliźniego, a nie samego siebie. Sam Bóg wiedzieć może tylko, co tam łez, nędzy, boleści, cierpienia ludzkiego przeszło z rąk do rąk, od X. Konstantego do pani Jaune,

a nikt z rąk ich nie wyszedł bez pomocy, bez pociechy, bez tego uścisku chrześcijańskiej miłości, który dla opuszczonych i wydziedziczonych świata tego największą, najmilszą jest jałmużną.

Wielką także pomocą X. Konstantemu był pan Józef Pierling, syn bankiera petersburgskiego, synowiec Ojca Andrzeja, ówczesnego asystenta jenerała zakonu Jezuitów, a ojciec teraźniejszego Ojca Pierlinga, także Jezuity, autora kilku ciekawych książek o stosunkach Stolicy Apostolskiej z Moskwą za czasów Iwana Groźnego. Ten pan Józef Pierling sam także następnie wstąpił do Towarzystwa Jezusowego, ale natenczas pracował jeszcze w jakiemś handlowem przedsiębiorstwie. Zbliżała go do X. Konstantego wspólność zasad i ideałów i koleżeństwo z bratem X. Konstantego, Edwardem Łubieńskim, który przysłany w roku 1835 na uniwersytet w Petersburgu, oddany został przez ojca swego hr. Henryka, pod opiekę bankiera Pierlinga, przytem pewne obowiązki wdzięczności względem tegoż ojca X. Konstantego za poparcie udzielone ojcu Pierlinga w chwili, kiedy się interesa jego domu bankierskiego były zachwiały. Józef Pierling, urodzony i wychowany w Petersburgu, znał doskonale wszystkich tamtejszych ludzi i tamtejsze obyczaje, i dokładnością dawanych z początku X. Konstantemu wiadomości i roztropnością swoich rad wielkie mu oddawał usługi.

Wspomniawszy o bankierze Pierlingu, należy tu opowiedzieć jedną historyę z jego życia, która nic wspólnego z życiem X. Konstantego nie ma, ale jako wierny obraz dziwnych obyczajów stolicy rosyjskiej, zasługuje na to, ażeby był w ludzkiej zachowany pamięci. Zdarzenie to zostało opowiedziane przez samego Józefa Pierlinga, nie na pochwałę swego ojca, ale raczej dla uczczenia pamięci ks. Konstantego Lubomirskiego. Nieszczęśliwej pamięci X. metropolita Siestrzencewicz podał, niewiemy już w którym roku, ministrowi spraw wewnętrznych memoryał, w którym rozwinął projekt oderwania zupełnego całej hierarchii kościelnej katolickiej w imperyum rosyjskiem, od wszelkiej zależności od Stolicy Apostolskiej, i utworzenia dla katolików zamieszkałych w Rosyi

rodzaju kościoła narodowego, zachowującego wszystkie obrządki Kościoła łacińskiego. Ś. p. książę Konstanty Lubomirski, zamieszkały naonczas w Petersburgu, uprzedzony o tem został przez kogoś z otoczenia X. Metropolity. Przestraszony tą wiadomością, przybiegł do swego znajomego i przyjaciela bankiera Pierlinga. Tenże namówił księcia, ażeby dając odpowiednią łapówkę kamerdynerowi ministra, skłonił go do dostarczenia mu na kilka godzin tego memoryału, który się jeszcze na stoliku ministra znajdować musiał. Propozycya nie miała w sobie nic nadzwyczajnego. Wszyscy, którzy ze światem oficyalnym stosunki kiedy mieli, znają także kamerdynerów ministrów. Kamerdynerzy zaś nigdy na łapówki nieczułymi nie są i wszystkie sekreta stanu tym sposobem do wiadomości osób interesowanych przechodzą, tak samo w Rosyi, jak we wszystkich innych krajach. Tego samego wieczora memoryał X. Siestrzeńcewicza był w ręku księcia Lubomirskiego, który z nim znowu pospieszył do Pierlinga. Przeczytali go razem. Książę załamywał ręce w przewidywaniu niebezpieczeństwa zagrażającego Kościołowi i katolikom w Rosyi zamieszkałym, Pierling zaś jak najspokojniej wziął do ręki dopiero co przeczytany mu memoryał i wrzucił do ognia na kominku płonącego. Biedny książę do najwyższego stopnia przerażony, uległ nareszcie spokojnym namowom Pierlinga, który go zapewnił, że rzecz cała załatwioną zostanie, jeżeli tylko książę, za zjawieniem się kamerdynera po odbiór dostarczonego memoryału, w miejsce takowego da mu powtórną sowitą łapówkę i prosił księcia, ażeby mu pozwolił dostarczyć fundusze na to. Książę ofiarowanych pieniędzy nie przyjął i sam tę rzecz w wskazany sposób załatwił. Czy minister zapomniał o memoryale podanym mu przez X. Siestrzencewicza, czyli też wstydząc się, że tak ważny dokument zarzucił nie przeczytawszy go nawet, dosyć, że nic o nim X. Metropolicie już nie mówił. X. Metropolita wziął milczenie ministra za pewną oznakę, że plan jego nie natrafił na przychylną ocenę, i nic o nim wspomnieć nie śmiał. Takim sposobem rzecz cała jednym zamachem ubitą została.

Podczas pobytu X. Konstantego na wikaryacie przy kościele św. Katarzyny zdarzył się jeden wypadek odnoszący się do historyi narodu polskiego. W czasie wielkiej rewolucyi francuskiej, przy niszczeniu kościoła w Nancy, w którym pochowane były zwłoki króla Stanisława Leszczyńskiego, wyrzucono je z grobu. Stary Polak, zamieszkały w Nancy, zebrał te popioły, przechował je u siebie, i w roku 1813, czując się już bliskim śmierci, oddał ten drogocenny depozyt jakiemuś Polakowi, oficerowi wojsk rosyjskich, wkraczających do Francyi. Ten oficer ofiarował je znowu cesarzowi Aleksandrowi I, który rozkazał trumienkę tę do Petersburga odesłać i złożyć tymczasowo w Bibliotece cesarskiej. Tam spokojnie przeleżała do r. 1857. Dopiero gdy baron Korf mianowany został przez cesarza Aleksandra II. dyrektorem tej biblioteki i gdy przystąpił do uporządkowania nagromadzonych tam skarbów, między innymi także biblioteki Załuskich, od czasu przesłania jej przez Suworowa z Warszawy jeszcze w pakach leżącej, odnaleziono tę trumienkę. Baron Korf poprosił o danie mu rozkazu, co ma z nią zrobić. Cesarz kazał ją oddać władzy archidyecezyalnej. Ta odesłała ją OO. Dominikanom, z poleceniem złożenia jej do grobu króla Stanisława Augusta bez żadnej publicznej ceremonii. Aktu tego dopełniono w ten sposób, że pewnego dnia powszedniego, po odbyciu zwykłych nabożeństw i zamknięciu nieco wcześniej kościoła, zebrali się wszyscy OO. Dominikanie, X. Konstanty, brat jego hr. Tomasz Łubieński, który wtenczas bawił w Petersburgu, zakrystyan i dwóch kościelnych. Odprawiono równocześnie kilka mszy św. żałobnych za spokój duszy króla Leszczyńskiego. Dla złożenia trumienki do grobowca, potrzeba było trumnę króla Poniatowskiego wydobyć na wierzch i dla zaspokojenia ciekawości obecnych otworzono ją. Ciało ostatniego monarchy zabalsamowane było zupełnie zeschnięte, ubranie królewskie dobrze zachowane. Przy otworzeniu wieka trumny, czaszka odkrojona widocznie przy balsamowaniu, wraz z koroną metalową obsunęły się i godło monarsze wraz z czaszką, wśród panującej ciszy z łoskotem po kamiennej posadzce się potoczyły. Pod wrażeniem tak okropnego wypadku wszyscy za-

niemieli, aż X. Konstanty padł na kolana i zaczął głośno mówić »*De profundis*« w czem wszyscy pospieszyli go naśladować. Po zamknięciu napowrót wieka, spuszczono obie trumny i zamknięto grób kamieniem, po którym dzisiaj wszyscy deptają wchodząc do zakrystyi. Dziwna to Nemezys, która ciała tych dwóch monarchów z dwóch krańców Europy zebrała do jednego wspólnego grobu. Jedyni polscy monarchowie, którzy osiągnęli panowanie i utrzymywali swą władzę za pomocą obcej narodowi pomocy, jedyni dwaj, z wyjątkiem może świętokradzcy Śmiałego, których kości na obczyźnie są złożone. X. Konstanty nie mógł nie wspomnąć, że rodzony jego wuj Władysław Łubieński, asystował jeszcze jako opat Paradyzki w Wersalu, przy ślubie córki Leszczyńskiego z królem francuskim, a że potem już jako prymas zbierał głosy na Woli dla Poniatowskiego, i ręką swą namaścił tego wybrańca narodu i na niego włożył tę koronę, która teraz z tej niegodnej głowy u stóp prawnuka Prymasa na ziemię się potoczyła. Tak wypadki rodzinne, z pamiątkami narodowemi w jedne bolesne zwiły się wspomnienia.

X. metropolita Hołowiński coraz bardziej zaszczycał X. Konstantego swojem zaufaniem, i używał go do rozmaitych spraw archidyecezyi. I tak w papierach jego odnajdujemy następującą odezwę:

»Do W. I. X. hrabiego Konstantego Łubieńskiego.
Nr. 2085.

Na przedstawienie księdza Witkowskiego kurata Pskowskiego, poruczam X. Konstantemu poświęcić 15 sierpnia kościół parafialny nowowymurowany we Pskowie, podług rytuału rzymskiego *simplici benedictione,* i o spełnieniu tego poruczenia mnie donieść.

St. Petersburg, sierpnia 10 dnia 1855 roku.

(Własnoręczny dodatek): Jeżeliby X. Infułat nie mógł tego aktu dopełnić.

† *I. Hołowiński,* A. B.«

X. Konstanty pojechał na dzień oznaczony dla dopełnienia poświęcenia kościoła do Pskowa.

Tymczasem wojna zkoalizowanych przeciwko Rosyi państw europejskich była już zakończona. Sebastopol był wzięty i cesarz Mikołaj I. umarł 2 marca 1855 r. W Wiedniu odbywały się konferencye, poprzedzające zebranie się kongresu paryskiego. W ciągu tych konferencyi książę Gorczakow, późniejszy kanclerz, reprezentujący na nich Rosyę, ujmował się żarliwie w imieniu Rosyi za interesami religijnymi chrześcian pod berłem tureckiem pozostających. Hr. Buol-Schauenstein minister austryacki, nie zaprzeczając wcale Rosyi prawa ujmowania się za jej współwyznawcami w Turcyi, zwrócił jednak w prywatnej rozmowie z księciem uwagę jego, na nieprzyzwoitość co najmniej przedstawiania w kolorach tak jaskrawych ucisku, jakiego chrześcianie doznają od rządu tureckiego, kiedy dola katolików w Rosyi jest jeszcze cięższą od tamtej. Książę Gorczakow, który długie lata posłował przy dworach protestanckich i zupełnie był nieświadomym stosunków prawno politycznych kościoła katolickiego w Rosyi, zażądał bliższego objaśnienia czynionych mu zarzutów. Natenczas hr. Buol-Schauenstein doręczył mu zredagowany w porozumieniu się z nuncyaturą wiedeńską memoryał obejmujący całą litanię grawaminów kościoła katolickiego przeciwko rządowi rosyjskiemu. Jednem z najgłówniejszych było tak długie pozostawienie stolic arcybiskupich i biskupich wakującemi. Rząd rosyjski, ażeby osłabić wiarę nietylko pomiędzy unitami, ale także pomiędzy katolikami, całemi latami zwlekał obsadzanie katedr pasterzami. Naprzykład pomiędzy latami 1840 a 1855 był czas, kiedy tylko dwóch biskupów było w Królestwie Polskiem: X. Fiałkowski i X. Tadeusz Łubieński. Nareszcie doszło do tego, że sam X. Tudeusz był jedynym biskupem na całe Królestwo, a ponieważ seminarya były naonczas w dosyć kwitnącym stanie i wszystkie jeszcze domy zakonne istniały, X. biskup Tadeusz przez lat parę nic innego nie robił, tylko jeździł z miejsca na miejsce i udzielał święcenia kapłańskie. To też może żaden inny biskup na świecie tylu kapłanów w życiu swojem nie wyświęcił, liczba szła w tysiące, cała ówczesna generacya z pod jego ręki wyszła. Przytem konsekracya kościołów, kielichów, portatiliów i t. d. tak mu

wiele czasu zabierało, że na bierzmowanie większych mas ludu, z wyjątkiem Częstochowy, zupełnie sił mu brakło. Oprócz wiernych, którzy na tem cierpieli, więcej jeszcze czuć się dał pomiędzy duchowieństwem brak jedności w administracyi, sprężystości, a co prawda przedewszystkiem rygoru. Najlepszy administrator nie zastąpi nigdy choćby mniej dobrego biskupa, bo nie zbywa mu na powadze, na poczuciu odpowiedzialności i na łasce apostolskiej. Nigdy też lepiej nie ujawniały się skutki zgubnej dla państwa i narodu polityki rządu rosyjskiego, jak zaraz podczas wypadków politycznych, które niebawem nastąpiły. Duchowieństwo najniższe, najmłodsze, prości wikaryusze, skromni bardzo zakonnicy, bez żadnego doświadczenia życia, bez znajomości stosunków, bez oglądania się na powagę starszych kanoników, prałatów i biskupów, mięszali się do dyskusyi w kapitułach i konsystorzach, decydowali o uchwałach tych ciał poważnych, pisywali paszkwile na swych własnych biskupów. Rząd rosyjski z pełną rzeczy świadomością dopuścił do tego rozluźnienia, ażeby niezasłużony, ale niemniej krwawy wziąść odwet po powstaniu, kneblując całą duchowieństwa świeckiego swobodę, a kasując wszystkie w Królestwie klasztory. Ale nie uprzedzajmy wypadków. Książę Gorczakow przedstawił tę okoliczność nie obsadzonych stolic biskupich swojemu rządowi, i zażądał dla nadania większej powagi jego głosowi na konferencyach, jak najspieszniejszego zadosyć uczynienia tym potrzebom. Skutkiem tego przedstawienia, zawiązane zostały rokowania między rządem rosyjskim a Stolicą apostolską w przedmiocie obsadzenia stolic biskupich i sufraganii, które po niejakim czasie pomyślnie zakończonemi zostały. X. biskup Fiałkowski, administrator archidyecezyi warszawskiej, zamianowany został arcybiskupem. X. Konstanty, który za pozwoleniem X. metropolity Hołowińskiego przyjechał do Królestwa, ażeby ojca starego odwiedzić, był obecny na instalacyi X. Fiałkowskiego. Znanym już był zaszczytnie w kraju dla swoich prac w stolicy państwa i dla przyjaźni i zaufania, jakiem go odznaczał X. Metropolita i dlatego nowy Arcybiskup mianował go kanonikiem honorowym warszawskim. Podczas tego pobytu w kraju pojechał

oczywiście odwiedzić także swego przyjaciela i kolegę, X. Wincentego Popiela, który był naonczas wice-regensem i profesorem w kieleckiem seminaryum. Trzy dni tam bawił i podczas tego czasu doszła go bolesna wiadomość o zgonie wielkiego X. metropolity Hołowińskiego, który d. 19 października 1855 r. w Petersburgu życie swe pełne zasług i chwały zakończył. Ostatnie słowa jego do X. biskupa Kalma wyrzeczone: »ja umieram, broń Kościoła« przypominają treściwością i podniesieniem bohaterskich pasterzy z czasów najświetniejszych Kościoła. X. Konstanty niebawem powrócił do Petersburga na swoje skromne stanowisko wikaryusza przy kościele św. Katarzyny i z podwójną siłą oddał się napowrót już powyżej opisanej pracy.

W sierpniu roku następnego 1856 odbyła się koronacya cesarza Aleksandra II w Moskwie. Wszystkie dwory zagraniczne jak zwykle wysłały nadzwyczajnych posłów. Stolica św. która jeszcze naonczas była państwem niezależnem, przysłała X. arcybiskupa Mireńskiego Flawiana, księcia Chigi, należącego do wielkiej familii patrycyatu rzymskiego, któremu towarzyszyli młodzi dyplomaci monsignorowie: Bianchi i Franchi. Pełny tytuł tego posła był: »*Flavius Princeps Chigi Archiepiscopus Myrensis Sanctissimi D. N. Pii Divina Providentia P. P. ad Majestatem Alexandri II Russiarum Imperatoris et Poloniae Regis Orator extraordinarius*«. Wszyscy ci trzej prałaci z czasem bardzo wybitne zajmowali stanowiska przy Stolicy apostolskiej, siedzieli na bardzo ważnych nuncyaturach i dostąpili purpury kardynalskiej. W przejeździe przez Petersburg monsignore Chigi obejrzał się za sekretarzem i kapelanem, któryby dokładnie znał cały ten świat urzędowy, z którym on miał mieć do czynienia, znał język rosyjski i francuski, mógł go kierować wśród labiryntu ceremoniału dworskiego, szczególnie na którego zdaniu mógłby bezpiecznie polegać w swych sądach o ludziach i stosunkach. Po raz pierwszy w tem stuleciu Stolica apostolska miała, aczkolwiek tylko czasowo, swojego urzędowego posła w cesarstwie rosyjskiem, to też kardynał Antonelli nie przeceniał ważności chwili i wiadomości, które mu przywieść miano.

Nie umiemy powiedzieć, kto zarekomendował X. Konstantego monsignorowi Chigi, czy w samym Petersburgu, czy ktoś za granicą, wiemy tylko, iż zaraz pierwszego dnia po swoim przyjeździe posłał Nuncyusz papieski po niego, i prosił ażeby mu bezustannie asystował i na krok go nie odstępował. Dlatego towarzyszył mu do Moskwy na ceremonie koronacyi. Sam potem nam opowiadał X. Konstanty, że nigdy w życiu może tyle się nie napracował i tak mało nie sypiał, jak podczas całego pobytu Nuncyusza w Rosyi. Wszystkie urzędowe wizyty u wielkich książąt, ministrów, posłów zagranicznych, które monsignor Chigi oddawał lub przyjmował, odbywały się zawsze w towarzystwie X. Konstantego. W drodze z jednej wizyty do drugiej musiał szybko w paru słowach powiedzieć Nuncyuszowi, gdzie jadą, co to za jeden, o czem można z nim mówić, o czem lepiej zamilczeć. Trudniej było gdy msgr. Chigi dawał audyencyę i przyjmował wizyty. Oprócz osób urzędowych, przychodzili świeccy, których Nuncyusz bliżej nie znał, duchowni, dla których wypadało mu nieraz być surowym i należycie ich skarcić. Umyślili taki sposób, że Nuncyusz znajdował się w ostatnim salonie, X. Konstanty w pierwszym salonie przyjmował wszystkich i po anonsowaniu do Nuncyusza przyprowadzał. Podczas tej jednej chwili anonsowania miał zaledwie czas nie raz jednem słowem opisać osobę, ażeby Nuncyusza do przyjęcia jej przysposobić. Po skończeniu przyjęć i urzędowych wieczorów X. Konstanty zasiadał w bardzo późną noc do pisania korespondencyi Nuncyusza. Wszystkie memoryały, które monsignor Chigi podczas swojej bytności w Rosyi do Rzymu przesłał, jeżeli nie własnoręcznie przez X. Konstantego pisane były, to w każdym razie pod jego okiem i na podstawie wiadomości przez niego dostarczanych. Sam X. Feliński opowiadał, że monsignor Chigi raz po raz polecał X. Konstantemu zdawać sobie sprawę z pojedynczych przedmiotów i albo wcielał te memoryały do swoich, albo z nich szeroki robił użytek. Oprócz poznania dokładnego położenia Kościoła katolickiego w Rosyi, zaznajomienia się ze wszystkimi duchownymi, którzy najwyższe stanowiska zajmowali, Nuncyusz miał sobie polecone,

ołożyć wszelkich możliwych starań, ażeby doprowadzić do zyskania stałej nuncyatury czyli poselstwa Stolicy apostolskiej przy dworze petersburgskim. Był to jedyny radykalny sposób, ażeby raz na zawsze położyć tamę odrywaniu gwałtem Unitów od jedności z Kościołem, nie dopuścić do tego, aby drugi Siestrzeńcewicz wymyślał środki na utworzenie kościoła narodowego, utrzymać stały, bezpośredni stosunek biskupów z głową Kościoła, zapobiedz pojedynczym aktom gwałtu rządu względem kapłanów i katolików, zamykania kościołów i kasowania klasztorów, które zawsze i stale przez urzędową Rosyę za granicą bezwzględnie zaprzeczone bywają. Jak wiemy, największe wysilenia w tym kierunku mgra Chigi spełzły na niczem. Pomimo tego, że pod najrozmaitszymi powodami przedłużał swój pobyt, jak naprzykład udzielenie paliusza arcybiskupiego X. metropolicie Żylińskiemu dnia 18 września 1856 r., niesprzyjająca do podróży pogoda i t. d., otrzymał od zaniepokojonego urzędu kanclerskiego wielce delikatne i dyplomatyczne ale nie mniej wyraźne wskazówki, że pobyt jego w granicach państwa rosyjskiego przechodzi zwykłą potrzebę nadzwyczajnego poselstwa. Wszystkie kopie memoryałów spisanych naonczas przez X. Konstantego w zupełności z papierów jego zaginęły, czy zniszczone były przez niego samego przed wywiezieniem do Charkowa czyli też skonfiskowane przez hr. Berga po jego wywiezieniu do Permu, nie umiemy powiedzieć. W każdym razie relacya poselska z tej podróży, przez mgra Chigi w Rzymie za powrotem złożona, która w archiwach tajnych Watykanu znajdować się musi, ale która na razie niedostępną jest jeszcze, jako zbyt bliskich nam czasów się tycząca, musi być również sprawozdaniem prac X. Konstantego przy boku Nuncyusza, bo o nich mógłby był śmiało powiedzieć: *quorum ego magna pars fui.*

O nagrodzie ziemskiej żadnej X. Konstanty nie marzył, dla niego dosyć było poczucie spełnionego obowiązku. Pomimo kilko-miesięcznej pracy z X. Nuncyuszem nie widzimy na nim żadnych fioletów czyli monsignorstwa papieskiego. Przy boku mgra Chigi nabył większej jeszcze wprawy do

traktowania wielkich Kościoła powszechnego spraw i tego patrzenia się na ogół potrzeb i interesów ludzkości, które tylko ludzie stojący u steru pojmują i posiadają. Dla siebie jako kapłana poprosił tylko o łaski duchowne, których najobszerniej mgr. Chigi mu udzielił, zaopatrzony wszystkimi fakultetami na swoją podróż przez Stolicę apostolską pod d. 13 sierpnia 1856 w Rzymie. I tak w papierach jego znajdujemy z tego czasu dwa reskrypta. Jeden kardynała Ferretti, wielkiego penitencyarza Stolicy św. z d. 10 sierpnia 1856 r., który mu udziela pozwolenie najobszerniejsze co do dawania rozgrzeszenia w wypadkach papieżowi samemu zastrzeżonych. Drugi z Petersburga z d. 15 października 1856 r. Arcybiskup Chigi, który oprócz innych łask, udzielił mu drogocenny przywilej »*altare privilegiatum perpetuum ad personam*«, i pozwolenie zakładania Bractwa Serca Jezusowego, wkładania szkaplerza Matki Boskiej z góry Karmelu, błogosławienia Różańców, krzyżyków i t. d. Nuncyusz Chigi i dwaj mu dodani sekretarze tak polubili X. Konstantego, że trudno im było z nim się rozstać. Ażeby chwile te przedłużyć, i czując całą wartość usług sobie oddanych, Nuncyusz prosił go, ażeby mu towarzyszył przez Warszawę aż do Częstochowy, tam parę dni jeszcze razem zabawiwszy, nareszcie pożegnać się musieli. X. Konstanty przed powrotem do Petersburga wpadł na dni kilka znowu do ojca swego, który mieszkał naonczas w Pokrzywnicy, przy córce swojej Maryi Pawłowej hr. Łubieńskiej. Zabawiwszy bardzo krótko, powrócił spiesznie do kościoła św. Katarzyny w Petersburgu.

ROZDZIAŁ V.

PODRÓŻ Z X. METROPOLITĄ ŻYLIŃSKIM PO ARCHIDYECEZYI. KAPELANIA PRZY KOŚCIELE MALTAŃSKIM. O. SOYARD. GRONO ZNAJOMYCH X. KONSTANTEGO W PETERSBURGU. POWSTANIE GAZETY »SŁOWO«. OBIAD DLA BISKUPÓW. STOSUNKI Z KSIĘDZEM METROPOLITĄ.

(1857 - 1859).

Wczesną jesienią 1857 r. X. metropolita Żyliński wybrał się do Mohylewa dla odbycia ingressyi kanonicznej do swojej archikatedry, do Wilna, dla zdania zarządu tamtejszej dyecezyi, który czasowo był zatrzymał, pomimo postąpienia na arcybiskupstwo i dla częściowego objazdu i wizyt kanonicznych w archidyecezyi. X. Metropolita zaprosił X. Konstantego, ażeby mu w tej podróży towarzyszył i rad był go ze sobą zabrać, aby mieć przy boku wymownego kaznodzieję, gorliwego spowiednika i niezrównanego towarzysza dla wesołości i dowcipu w podróży. X. Konstanty odbył tę podróż własnym kosztem i własną karetą, co nie mało X. Metropolicie dogadzało, i zabrał ze sobą Leona Potockiego, natenczas jeszcze kleryka kończącego kursa akademii duchownej w Petersburgu, a późniejszego kanonika i proboszcza w Tykocinie.

W ciągu podróży zatrzymywano się ciągle dla wizyt kanonicznych. X. Konstanty jak zwykle był ciągle zajęty pomiędzy amboną, konfesyonałem, asystowaniem X. Metropolicie, załatwianiem jego korespondencyj, przyjmowaniem duchownych i świeckich panów, którzy tak rzadko w tamtych stro-

nach i wyjątkowo posiadać mogą biskupa u siebie. Pomiędzy innemi wizytami, które zrobiono, była wieś Sławiatycze, w której rozegrał się smutny wypadek z Unitami. Ale aczkolwiek tutaj ta opowieść należy, ponieważ ona dała powód do wszystkich zajść, które skończyły się wywiezieniem X. Konstantego na wygnanie do Charkowa, w następującym rozdziale o tem jako o jednej całości pomówimy.

Mamy przed sobą opowiadania wiarogodnych świadków, jak bardzo X. Konstanty ujmował wszystkich swoją gorliwością i uprzejmością w tej podróży, ilu ludzi nowych poznał, tylu przyjaciół za sobą pozostawił. W podróży zatrzymano się także w Połocku. X. Konstanty skorzystał z tego, ażeby w największej tajemnicy i za bardzo wysokiem wynagrodzeniem czyli łapówką o godzinie 1-szej po północku dostał się do ukrytego miejsca, gdzie spoczywają zwłoki św. Andrzeja Boboli, wtenczas jeszcze tylko błogosławionego, i na jego trumnie odprawić o tej niezwykłej godzinie mszę św. Za osobnem pozwoleniem X. Metropolity otworzył w obecności dwóch świadków tę trumnę, zastąpił zniszczone szaty duchowne, któremi ciało błogosławionego było przybrane, nowemi, jakie miał ze sobą. Odjął przytem jedną rękę, którą wraz ze starem ubraniem ciała, wróciwszy do Petersburga przesłał do Rzymu jenerałowi Tow. Jezusowego, dawnemu spowiednikowi swojemu O. Becks. Ojcu świętemu Piusowi IX ofiarował jeden palec Błogosławionego, oprawny w ozdobny relikwiarz, wykonany przez znakomitego petersburgskiego złotnika, prawdziwego artystę, Vaillant. Relikwie te zawiózł do Rzymu wyżej wspomniany pan Józef Pierling, udający się tam dla wstąpienia już do nowicyatu OO. Jezuitów. Malutką część odzieży i jeden palec Świętego zachował dla siebie, które po wielu latach, bo r. 1869 oglądaliśmy u niego. Trzymał je w osobnej szkatułce, zwykłej drewnianej, a gdy nam ją ze czcią największą otworzył, ta odrobina czarnego sukna i kawałek kości, taką dziwną, słodką, silną a niepojętą woń ze siebie wydały, że po raz pierwszy pojęliśmy, co to jest wyrażenie »*odor sanctitatis*«. X. biskup Konstanty opowiedział nam że gdy otworzył trumienkę, całe ciało wydawało tę miłą woń

ze siebie. Do Wilna X. Konstanty już X. Metropolicie towarzyszyć nie potrzebował, ale powrócił sam do Petersburga.

Nibyto w nagrodę usług w tej podróży X. metropolicie Żylińskiemu oddanych, X. Konstanty zamianowany został na jedną z trzech kapelanij, istniejących przy kościele po-maltańskim w Petersburgu, którego opiekunem był natenczas hr. Borch, wielki mistrz obrzędów, urodzony z Niemki, katolik, ale po polsku już prawie nie umiejący, żonaty z hrabianką Lavalle, siostrą rodzoną zmarłej w Warszawie hr. Stanisławowej Kossakowskiej, starszej, i prowadzący jeden z największych domów w Petersburgu. Skutkiem tej prezenty hr. Borch z d. 10 lutego s. s. 1858 Nr. 135 i nominacyi X. Metropolity z d. 12 lntego 1858, Nr. 402, X. Konstanty opuścił stanowisko wikaryusza przy kościele św. Katarzyny, pożegnał gościnne mury OO. Dominikanów i przeniósł się do pomieszkania przy kościele maltańskim mu wydzielonego. X. Feliński został także wkrótce potem naznaczonym spowiednikiem i kapelanem w akademii duchownej i do niej się przeniósł. OO. Dominikanie pozbyli się tym sposobem ze swojego domu wszystkich obcych elementów i ze swojego kościoła wszystkich niekoniecznych nabożeństw, bo X. Konstanty pociągnął za sobą do kościoła Maltańskiego nabożeństwa i duchowne ćwiczenia wszystkich przez siebie założonych stowarzyszeń. Zaprowadził więc u siebie rekolekcye wielkopostne, nabożeństwo majowe, katechizmowe nauki, założył Towarzystwo św. Wincentego à Paulo, bractwo adoracyj, opatrywanie biednych kościołów, stowarzyszenia zakonne, a wszystko, jak mówił X. Feliński, nad wyraz mu się udawało. Jednak należy się także OO. Dominikanom petersburgskim oddać pewną sprawiedliwość, *suum cuique*. Po wyniesieniu O. Staniewskiego na godność biskupa-sufragana archidyecezyi mohilewskiej, i objęciu zarządu domu przez nowego przeora O. Stacewicza, życie zakonne nieco się poprawiło. Być może nawet, że nowy przeor osobiście bardzo surowych obyczajów będący, umysłem prawie ascetycznym obdarzony, o wiele wyżej od wszystkich swoich współbraci wykształcony, i zakon swój bardzo kochający, starał się nawiązać jakieś tajemne stosunki z jenerałem

swego zakonu, znakomitym Ojcem Geaudelle. Ten ostatni wielkie położył zasługi w zakonie, wprowadzając we wszystkich domach reformy przez O. Lacordaira rozpoczęte. W lecie 1858 r. czy to skutkiem takich starań z Petersburga, czy z inicyatywy samego O. Generała, zjawił się niespodziewanie Dominikanin O. Soyard, Francuz, gorliwy zwolennik nowej w zakonie swoim reformy. Powód zewnętrzny jego przybycia do Petersburga był danie ślubu jednej ze swoich paryskich penitentek pannie Łazarow, córce bardzo majętnego człowieka, ormiańskiego obrządku, zamieszkałego stale w Petersburgu i żony jego z domu księżniczki Byron, katoliczki, stale mieszkającej w Paryżu. Panna wychodziła za jakiegoś Francuza, a ślub miał się odbyć w Petersburgu, bo ojciec jej pomimo wielkiego majątku nie chciał do Paryża dojechać. Ślub odbył się rzeczywiście w Petersburgu, O. Soyard jednak nie zaraz po nim opuścił Petersburg, ale bawił w nim pod najrozmaitszymi pozorami aż pełne trzy kwartały. Z początku zamieszkał w klasztorze OO. Dominikanów i zatrzymany został dla wygłoszenia szeregu nauk duchownych po francusku. Był mówcą bardzo gładkim, nauką i pobożnością się odznaczał, a kazania jego tchnęły pierwszą świeżością niezrównanej szkoły O. Lacordaira. Następnie zatrzymany został przez posła francuskiego w charakterze kapelana, a nawet nie mogąc niczem upozorować swego dłuższego pobytu u OO. Dominikanów, przeniósł się na mieszkanie do pałacu poselskiego. Prawdziwym jednak celem jego podróży i tak długiego pobytu było staranie skłonienia OO. Dominikanów petersburgskich do przyjęcia reformy zakonu, a przynajmniej do powrotu do takich zwyczajów klasztornych, jakie istniały w domach, które stopniowo i powoli miały te zmiany u siebie zaprowadzić. Starania O. Soyard nie były zupełnie bezskuteczne. OO. Dominikanie petersburscy przywrócili klauzurę, zaczęli znowu odmawiać wspólnie w chórze pacierze kapłańskie, ale wykonanie ubóstwa i posłuszeństwa zakonnego O. Soyard na żaden sposób przeprowadzić nie mógł, pomimo namówień, nalegań, prośby a nawet i groźby kar kanonicznych. Drugim powodem jego przybycia była dalsza próba ze strony Rzymu uczy-

niona po wyjeździe monsignora Chigi, czyby się nie udało utrzymać w Petersburgu, z początku zupełnie prywatnego i zaufanego swego wysłannika, który by z czasem mógł urość do tego, co nazywają w dyplomatyce półurzędowego agenta, czem przez tak długie lata był ze strony rządu rosyjskiego pan Szwolski w Rzymie, po wypędzeniu Mayendorfa i zerwaniu konkordatu. O. Soyard przez swego generała Geaudell donosił o wszystkiem, co w Rosyi widział i słyszał, ale i tej misyi z czasem musiał zaniechać i wyjechać z cesarstwa. Serce O. Soyard cierpiało podwójnie nad stanem swego zakonu i Kościoła w Rosyi. Jedyną osobą w Petersburgu, przed którą mógł spokojnie żale i łzy swoje wylewać, którego rady mógł bezpiecznie zasięgać, był nie kto inny, tylko znowu X. Konstanty. Od chwili swego przyjazdu do stolicy szukał sposobności, ażeby się do niego zbliżyć, z początku przychodził raz na dzień, potem miesiącami całymi dwa razy dziennie aż do wywiezienia X. Konstantego do Charkowa. Wszystkie swoje sprawozdania do Generała, albo takie, które na ręce Generała miały iść tylko, pisał na biurku X. Konstantego, pod jego okiem, podług jego wskazówek, nie raz wprost przez niego dyktowane. Po wywiezieniu X. Konstantego, O. Soyard nie mając na kim się oprzeć, do kogo się przytulić, z kim podług serca swego pomówić, musiał Petersburg opuścić i udał się do Warszawy. Tutaj wszelkie jego starania, ażeby obudzić iskierkę pierwotnego ducha swego zakonu, spełzły zupełnie na niczem i nie uzyskawszy żadnej koncesyi w kierunku powrotu do zachowania ścislejszego reguły klasztornej; otrzymał rozkaz powrotu do Rzymu. Sprawozdania jego oczywiście nigdy nie mieliśmy w ręku, ale uwielbienie, z jakiem się wyrażał już śmiertelną chorobą złożony, tak znakomity mąż jakim był Generał OO. Dominikanów Geaudell wobec Polaków odwiedzających go w r. 1872, o X. Konstantym, pokazują, że jego zasługi z należytą oceną u niego się spotkały. Ten sam O. Soyard w kilkanaście lat póżniej był przeorem domu w Hawrze we Francyi, gdzie go odwiedzał hr. Tomasz Łubieński, brat X. Konstantego, i zastał go budującego wielki kościół ściśle podług rozmiarów i wzoru wziętego ze wspa-

niałej świątyni OO. Dominikanów w Warszawie na Starem mieście.

X. Konstanty był już znaną osobistością w Petersburgu, ale dotychczas zajmował skromną posadę wikaryusza przy kościele św. Katarzyny, mieszkał w murach klasztornych, jadał przy ich stole, o ile mógł na każdym kroku nie wysuwał się naprzód, ażeby w czemkolwiek nie obrazić uczucia tak czułe na swoją władzę OO. Dominikanów. Dopiero z przeniesieniem go do kościoła Maltańskiego, stanął na stopie niezależności zupełnej, sam był gospodarzem swego kościoła, nie tylko uchylać się od ludzi i od obowiązków nie mógł, ale owszem w zarządzie spraw o niego się opierających pierwsze miejsce zajmować musiał. Sam własny zarząd gospodarczy i kuchnię urządził, chociaż bardzo skromną, bo miał tylko starego kamerdynera i jego żonę niemniej starą, która równocześnie była kucharką. To mu dało jednak możność przyjmowania u siebie, a przy jego gościnności i nawale osób przez dom jego przechodzących, nie było dnia, ażeby parę osób nie siadało do jego stołu. Wprawdzie potrawy nie bywały wykwitne, ani obiady zbyt długie, ale któż zwracał uwagę na tę zewnętrzną formę, mając przed sobą takiego gospodarza jak X. Konstanty, który przypominał kardynała Mermillod i Ludwika Venillot, jak mawiał X. prałat Koźmian, to jest człowieka, z którego tryskały rozum, dowcip, szerokie poglądy, nieugięta wiara, surowość obyczajów, wylanie się dla przyjaciół bez granic, dziecinna swoboda i wesołość. Za nim przeniosły się z kościoła Dominikanów wszystkie nabożeństwa, które tam był zaprowadził i cały liczny zastęp jego znajomych, przyjaciół i penitentów; stowarzyszenia, szkółki, szpitale przez niego założone. Krewni jego i wysoko położone osoby, które do niego miały zaufanie, nareszcie te tajemne wizyty nieznanych bliżej osób, pod któremi się kryły nawróceni z prawosławia. Kościół maltański uchodził zawsze za arystokratyczny, tam bywali w niedzielę i święta wszyscy posłowie katoliccy i cały dwór ich sekretarzy, pomocników i służba zagraniczna. Kiedy w dodatku X. Konstanty poświęcił się z całym zapałem naukom duchownym po francusku wygłaszanym, kościół nie

mógł pomieścić pobożnych, jedni przychodzili dla dobrego tonu, drudzy spragnieni kazań zrozumiałych, zawsze chwała Boża rosła i wzmagała się. O. Soyard, Dominikanin, mieszkający w poselstwie francuskiem, przyprowadził za sobą koło znajomych i stosunki tak bardzo liczne tegoż poselstwa, i sam czynnie naukami i spowiedziami dopomagał do utrzymania tej licznej a różnorodnej rzeszy. Wobec tego ruchu ludzi zamożnych, zwalił się także cały zastęp biednych i potrzebujących wsparcia, którzy przez widoczne stosunki X. Konstantego spodziewali się chwilowej zapomogi, stałej posady, lub niezbędnej im protekcyi. Mały tylko dziedziniec oddzielał kościół od mieszkania, które coraz częściej było odwiedzane i zapchane. Oprócz wyżej wymienionych osób, które rade były, że z X. Konstantym sam na sam, u niego samego mogą się rozmówić, trzeba dodać wszystkich Polaków podówczas w Petersburgu mieszkających, od największych panów, jak Leona Potockiego, do najuboższych chłopków polskich, którzy za kawałkiem chleba idąc, po stolicy się błąkali. X. Konstanty wszystkiemu umiał podołać, wszystkim poradzić, z każdym się rozmówić. Temu wyrabiał posadę, tamtemu dawał jałmużnę, ów potrzebował obroku duchownego, inny znów utrzymania na drodze obowiązku. Z dalekiej Syberyi płynęły listy o wsparcia i wstawienie się za nimi, powywożeni kapłani w całej Rosyi pisywali jakoby do głównej stacyi, gdzieby wiadomości zasięgnąć można o widokach ich uwolnienia. X. prałat Szczyt naprzykład, były administrator archidyecezyi mohylewskiej, wizytując archidyecezyę, zatrzymany został w Saratowie, odezwą departamentu wyznań, zapraszającą go, w sposób zresztą bardzo grzeczny, ażeby w tem mieście oczekiwał następnych od tegoż departamentu wiadomości. Takim sposobem zaczęło się jego wygnanie, które trwało z górą lat 20 i skończyło się dopiero po wstąpieniu na tron Aleksandra II. W tym czasie porozumiał się X. prałat Szczyt z X. Konstantym, hr. Tomasz Łubieński napisał prośbę do cesarza Aleksandra II. i w załatwienin tego podania pozwolono mu niezwłocznie na powrót do kraju. Któżby wymienić mógł wszystkie wypadki,

które w tym mieszkaniu znalazły stosowne i szczęśliwe rozwiązanie.

Ale nietylko Polacy w Petersburgu zamieszkali wiedzieli do kogo w potrzebie się udać, niebawem ktokolwiek z Królestwa lub zabranych prowincyi do stolicy przyjechał, słyszał, gdzie natychmiast o wszystkiem dowiedzieć się może, gdzie z każdym się spotkać, gdzie spokojnej rady zasięgnąć w najróżnorodniejszych potrzebach i interesach. Daleko już rozeszła się sława tego domu i jak w owym czasie cały ruch umysłowy i towarzyskiześrodkowywał się w Warszawie na sławnych wódkach na górce u hr. Leona Łubieńskiego, tak w Petersburgu salon jego kuzyna X. Konstantego był jednym z filarów naszych polskich stosunków w stolicy państwa. Pomiędzy przyjezdnymi, którzy bardzo często do X. Konstantego zaglądali, wymienimy niektóre tylko nazwiska więcej znane, np. książę Ferdynand Radziwiłł z Berlina, hr. Stanisław Potocki, który przyjechał w sprawie głośnego później procesu z Sobańskimi, Oktaw Jaroszyński, marszałek szlachty gubernii Podolskiej i członek dopiero co nawiązanej komisyi do spraw włościańskich. Hr. Stanisław Zyberg-Plater, kiedy przyjechał po pierwszym pobycie cesarza Aleksandra II. w Wilnie, dla zbadania, co się da zrobić dla Litwy i prowincyj zabranych, a zwłaszcza w interesie wskrzeszenia uniwersytetu wileńskiego. Julian Enoch, którego X. Konstanty znał dobrze z lat dziecinnych jeszcze, przyjeżdżający kilkakrotnie do Petersburga z ówczesnym namiestnikiem w Królestwie księciem Gorczakowem, bratem późniejszego kanclerza. Enoch po wypadkach 1863 roku zamieszkał stale w Paryżu na emeryturze, i odwiedzającym go Polakom w roku 1873, pokazując nad łóżkiem swojem wiszący portret X. biskupa Konstantego, powtarzał, że to był najrozumniejszy człowiek, jakiego w życiu spotkał. Świadectwo tak bystrego człowieka, który tylu ludzi był widział na pokojach aż czterech namiestników, pod którymi służył, tylu do władzy się pchających lub o nią się ocierających, nie jest bez wartości. Leopold Kronenberg, założyciel domu bankierskiego, zaczynający na większą skalę prowadzenie interesów, człowiek niezmiernych zdolności i prawego chara-

kteru. Dalej ciągłymi gośćmi w domu X. Konstantego byli: brat jego hr. Tomasz Łubieński mieszkający wówczas stale w Petersburgu; hr. Fredro, synowiec znanego naszego komedyopisarza, ulubieniec całego wielkiego świata i dworu stolicy; Marek Chodyński, ówcześnie urzędnik sekretaryatu stanu Królestwa Polskiego, a następnie członek rady stanu; pułkownik Bychowiec, ożeniony następnie z księżniczką Drucką-Lubecką; książę Lubomirski Stefan, marszałek szlachty gubernii Mińskiej; hr. Kazimierz Mołodecki, służący w gwardyi cesarskiej, o którym wieść chodziła, że wielka księżna Marya Leuchtenbergska, po śmierci męża pierwszego tak nim była zajętą, że nareszcie brat jej cesarz Mikołaj musiał powiedzieć, ażeby się raz zdecydowała pomiędzy Mołodeckim a Strogonowem; jenerał-adjutant hr. Adam Rzewuski; Dr Mianowski, lekarz przyboczny wielkiej księżnej Maryi, późniejszy rektor Szkoły głównej warszawskiej; pułkownik Jocher, syn profesora uniwersytetu wileńskiego; Przecławski, dawny Filaret, sekretarz komisyi kodyfikacyjnej Królestwa Polskiego i członek komitetu cenzury, a redaktor pisma polskiego *Tygodnika petersburgskiego;* Małkowski, członek tejże komisyi kodyfikacyjnej, później dyrektor główny komisyi sprawiedliwości w Warszawie i senator; Krzywicki, urzędnik natenczas ministerstwa spraw wewnętrznych, a później dyrektor główny komisyi rządowej wyznań i oświecenia w Warszawie; Alf Wrześniewski, oficer inżynieryi wojskowej, połączony od lat najmłodszych znajomością z rodziną Łubieńskich, zajęty ówcześnie przy budowie kolei żelaznej petersburgsko-warszawskiej, a następnie adjutant przyboczny przy namiestnikach w Królestwie, począwszy od hr. Lamberta, aż do wielkiego księcia Konstantego; Sierakowski, ówcześnie profesor akademii wojennej generalnego sztabu i współpracownik wydawanego od 1 stycznia 1859 r. przez Ochryzkę pisma peryodycznego *Słowo.* Niepodobieństwem jest wszystkich wymienić. Wszystkie interesa tam się opierały, najrozmaitsze zdania ścierały, pomysły nie jednego nowego przedsięwzięcia dojrzewały i na pokojach X. Konstantego do skutku dochodziły.

Dopiero co wspomniany Ochryzko, będąc jeszcze studentem uniwersytetu petersburgskiego, dla zyskania środków utrzymania, przyjął posadę sekretarza prywatnego pana Karamzina, syna słynnego historyka rosyjskiego, a męża wdowy po największym natenczas bogaczu rosyjskim Dymidowie. W czasie kampanii tureckiej, która się następnie na kampanię krymską przekształciła, tenże Karamzin posłany został przez zawiązane dopiero co towarzystwo Czerwonego Krzyża dla rewizyi szpitali wojskowych w Bessarabii, Mołdawii i Wołoszczyznie. Tam zaraził się tyfusem i umarł. Pozostała po nim wdowa posłała jego sekretarza Ochryzkę po zwłoki męża. Ochryzko sprawił się prędko, tanio i dobrze, a wynagrodzenia żadnego za tę usługę, oddaną swojemu pracodawcy przyjąć nie chciał. Tak sobie przez to panią Karamzin ujął, że nietylko go w służbie w ministeryum finansów starała się promowować, ale nadto powierzyła mu nadzor mentorski nad jedynym swoim synem ks. Pawłem Dymidowem, który się był właśnie zapisał na uniwersytet petersburgski. Ochryzko, z największą zresztą zawsze delikatnością i sumiennością postępując, wyjednywał niejednokrotnie od swojego bogatego pupila zapomogi dla jego ubogich kolegów uniwersyteckich. Tym sposobem zyskał sobie pomiędzy tą młodzieżą wielkie wzięcie.

Wkrótce potem wskutek manifestów koronacyjnych wielu Polaków, jeszcze za cesarza Mikołaja za przestępstwa polityczne na Sybir zesłanych, wróciło do kraju. Wielu z nich, w nadziei łatwiejszego wynalezienia środków utrzymania, zatrzymało się w Petersburgu. W tej liczbie był literat, znany pod pseudonimem Sowa. Wszystkie emigracye, a jeszcze bardziej więzienia i zasłania z powodów politycznych, ten skutek prawie zawsze na cierpiących je wywierają, że ich jeszcze utwierdzają w tych usposobieniach i wyobrażeniach, w jakich się znajdowali w chwili, kiedy gwałtownie wyrwanymi zostali z pośród społeczeństwa, w jakiem wyrośli. Wszystkie wypadki zaszłe w kraju po ich usunięciu, powodując pewne modyfikacye w usposobieniu miejscowej ludności, tamci poczytują za niebyłe i nie mogące mieć żadnego znaczenia. Przez

pozostałych jednak w kraju, ci emigranci i zasłańcy, zawsze są poczytywanymi za ludzi cierpiących rodzaj męczeństwa za dobrą sprawę. To też gdy wracają do kraju, jeżeli latami lub nędzą zanadto przygnębionymi nie zostali, zyskują łatwo wpływ na młodsze zwłaszcza pokolenia i kierują ich umysły i serca do tych ideałów, jakim sami hołdowali przed opuszczeniem kraju. Taki wpływ wywarty w całym kraju przez zwróconych natenczas na łono ojczyzny wygnańców i emigrantów, przyczynił się zapewne nie mało do usposobienia umysłów, do poddania się wpływom, które wywołały powstanie 1863 roku. Taki też wpływ wywierali na młodzież petersburgską, dopiero co wspomniany Sowa i inni Sybiracy.

Ale ażeby z Petersburga oddziaływać na usposobienia umysłów w kraju, potrzeba było organu. *Tygodnik petersburgski* wcale się do tego nie zdawał osobom takie zamysły snującym właściwym, nie tylko dlatego, że nie miał już wcale prenumeratorów, ale głównie dlatego, że jego właściciel Przecławski, chociaż dawny Filaret, zagrzązł był w pewnem usposobieniu służalczo desperackiem, które go w końcu do pijaństwa doprowadziło, a wtenczas już niezdolnym czyniło do uczestniczenia w jakimkolwiek ruchu umysłowym, odcień patryotyczny mającym. Ale dla założenia nowego dziennika potrzeba było pieniędzy; tych ani Sybiraki, ani studenci nie mieli. Ta potrzeba doszła do wiadomości ks. Piotra Dymidowa przez koleżeńskie zwierzenia, a przez niego do pani Karamzin, która wywdzięczając się Ochryzce za jego usługi, dała mu na ten cel, o ile słyszałem, 25.000 rs. Tym sposobem powstało w Petersburgu pismo peryodyczne *Słowo*, dwa razy na tydzień wychodzące, bo tak ówcześnie poczty na prowincyi chodziły. Ochryzko był jego właścicielem i wydawcą. Nie napisał do niego prawdopodobnie ani jednego artykułu, bo chociaż miał się za Polaka i niezaprzeczenie ojczyznę kochał, ale wychowany poza krajem i w szkołach ruskich, nie władał dostatecznie polskim językiem. Studenci Polacy ze wszystkich uniwersytetów rosyjskich, uwiadomieni o projektach wydawnictwa jeszcze przed feryami letniemi 1858 r., skorzystali z tychże dla zebrania dla *Słowa* bardzo licznych

abonamentów, zwłaszcza na Litwie i Rusi, gdzie natenczas wychodziło tylko jedno pismo polskie, redagowane przez Kirkora w Wilnie, a dokąd gazety wydawane w Warszawie w bardzo niewielu egzemplarzach dochodziły, a dla mieszkańców tych prowincyj mało nawet interesu przedstawiały; w Królestwie bowiem, mającem zupełnie odmienną administracyę i odmienne prawa, także bardzo mało rozumiano interesa lokalne prowincyi zachodnich, a nawet się nimi bardzo mało zajmowano. Pismo zresztą wychodzące w Petersburgu mogło korzystać z daleko dogodniejszych warunków od pism wychodzących w Warszawie i Wilnie. Cenzura petersburgska bowiem o wiele mniej drażliwą była od cenzury warszawskiej i wileńskiej. Ale redaktorowie *Słowa* nadużyli zaraz tych dogodności. Pismo przybrało od samego początku charakter tak demagogiczny i tak prowokujący, że namiestnik w Królestwie, łagodny ks. Gorczakow, zażądał jego zamknięcia. To też wyszło go tylko 14 numerów, czyli istnienia miało siedem tygodni. A jednocześnie z zakazem dawnego wydawnictwa, redaktor jego Ochryzko, osadzonym został w cytadeli petropawłowskiej, z której po dwóch czy trzech miesiącach wypuszczonym został. Odzyskawszy wolność, ofiarował abonamentom *Słowa* odbitki nowej edycyi *Voluminów legum*, a w służbie mu to nie zaszkodziło. W początkach 1863 roku piastował już dosyć wysoki urząd w ministerstwie finansów i dopiero powstanie przerwało bieg jego pracy i wpływów. Nie tylko jednak tak zapalone głowy jak redaktorów *Słowa* czuły potrzebę organu polskiego w Petersburgu. W początkach panowania cesarza Aleksandra II. zawiał w Petersburgu duch łagodny i postępowy. W czasie pierwszego pobytu cesarza Aleksandra w Wilnie zamanifestował się bardzo jawnie element polski, i cesarz, jakkolwiek nie przyznawał identyczności stanowiska elementu polskiego w Królestwie Polskiem i w kraju zachodnim, nie okazał się jednak dla tego ostatniego nieprzychylnym, a przez wystąpienie szlachty tych prowincyi z inicyatywą ukochanego przez cesarza zamiaru usamowolnienia włościan, bardzo był dla niego przychylnie usposobionym.

Co do Królestwa, to pomimo znanego wyrażenia *point de rêveries*, któregoby nawet cesarz nie był może wypowiedział, gdyby mu był w tej pierwszej podróży do Warszawy towarzyszył minister Turkułł, zatrzymany w Petersburgu jakimś niedomaganiem, Aleksander II. nie odziedziczył po ojcu tradycyi zemsty za niewierność Polaków. Jednem z pierwszych zapytań, zadanych przez Aleksandra II. Turkułowi było, dlaczego statut organiczny, przez jego ojca w r. 1832 Królestwu polskiemu nadany, nie został dotychczas wprowadzonym w wykonanie. Śmierć Turkułła nie dozwoliła mu skorzystać z tak dobrych intencyj cesarskich. Następca jego Tymowski, człowiek wielkiej poczciwości, a nawet wcale nie pozbawiony zdolności, spędziwszy jednak znaczną część życia na stanowisku sekretarza, przygnębiony nadto niemniej od Turkułła osobistymi kłopotami, nie był zdolnym do żadnej inicyatywy.

Polaków w Petersburgu osiadłych było wielu, bardzo nawet wielu. Pomiędzy nimi znajdowali się odznaczający się i szlachetnością charakteru i wyższem wykształceniem, które byłyby ich zdolnymi czyniły do oddawania usług swojemu krajowi. Ale bardzo wielu z nich wychowanych daleko od kraju, chociaż zachowali w swych sercach przywiązanie dla niego, nie znali już tych jego potrzeb, które w danych okolicznościach byłyby mogły otrzymać zaspokojenie. Wszyscy zresztą zbyt zależne, a prawie wszyscy zbyt podrzędne zajmowali tak w towarzystwie, jak i w urzędach stanowiska, ażeby mogli wpływ wywierać na bieg interesów, nasz kraj dotyczących, tem mniej zaś występować z jakąkolwiek inicyatywą. Z Polaków z wyższem stanowiskiem byli wtenczas w Petersburgu tylko: wyżej wymieniony minister sekretarz stanu Tymowski; senator Hube, prezes komisyi kodyfikacyjnej Królestwa Polskiego i towarzysz prezesa II-go wydziału własnej J. C. M. kancelaryi hr. Błudowa, człowiek wielkiej nauki i wielkich zdolności, nie mógł jednak występować z żadną inicyatywą bo i urzędowanie jego do tego go nie upoważniało i stosunek jego rodzinny wcale mu tego nie ułatwiał i tradycya przeciągania przez lat blisko 30 prac ko-

misyi kodyfikacyjnej, dlatego, ażeby aż do ich ukończenia, i pod pozorem ich nieukończenia, żadna zmiana w administracyi Królestwa zaprowadzoną nie była, nie ułatwiała mu inicyatywy. Wyżej już wymienieni: hr. Aleksander Borch, hr. Leon Potocki, hr. Bolesław Potocki i jenerał-adjutant hr. Adam Rzewuski, mieli dość wysokie położenia towarzyskie, ale skutkiem swojego wychowania i małżeństw z ruskiemi nie mieli w kraju żadnego miru. Polaków, którymby ich położenie majątkowe i towarzyskie pozwalało, otwierając w Petersburgu swoje salony, popierać powoli interesa swojego kraju i narodowości, wstrzymywała zawsze od tego obawa zarzutu ze strony rodaków, płaszczenia się przed rządem i bratania się z moskalami. Przyjeżdżały od czasu do czasu tylko pojedyncze osoby, zwykle na bardzo krótko, zawsze za własnymi, a nie zawsze za zupełnie czystymi interesami. Takie naturalnie osoby nie mogły stawać się krajowi w Petersburgu użytecznemi.

Ten brak wpływu polskiego, poważnego i bezinteresownego, na całe towarzystwo rosyjskie w Petersburgu i na opinię publiczną rosyjską, która się wtenczas już zaczynała objawiać, a zatem i brak wpływu polskiego na bieg interesów polskich decydowanych w Petersburgu, bardzo był oceniany przez X. Konstantego. W jego też salonie jednocześnie z projektami odnoszącymi się do wydawnictwa *Słowa,* ułożonymi w innem kółku, wytworzył się zamiar wydawnictwa polskiego w Petersburgu, zastępującego poniekąd wpływy osobiste. Program tego pisma miał być mniej więcej taki sam, jak wychodzącego obecnie *Kraju,* z tą tylko różnicą, że pismo miało być katolickie i zachowawcze. Redaktorem odpowiedzialnym i wydawcą tego pisma miał zostać hr. Tomasz Łubieński. Do redakcyi mieli wejść Małkowski i Krzywicki, dusze które nie były jeszcze natenczas pod wpływem nieszczęść publicznych i prywatnych, ogarnęły to zwątpienie i tę rozpacz, jaka się odbiła w wydanej przez ostatniego broszurce p. t. »Rosya i Polska« przez b. radcę stanu. Fundusze na to wydawnictwo potrzebne, ofiarował się dostarczyć p. Leopold Kronenberg. Zamiast zakładania nowego pisma, zaczęto ne-

gocyować z Przecławskim o nabycie *Tygodnika petersburgskiego,* mniej rządowi podejrzanego od każdego nowego pisma, a mającego jeszcze niezbyt dawne tradycye świetnej tego pisma epoki, kiedy było zasilane artykułami Michała Grabowskiego i Józefa Kraszewskiego i innych pierwszorzędnych pisarzy polskich z ostatnich lat panowania cesarza Mikołaja.

Niezwykłe w polskiej publicystyce powodzenie abonamentu na pismo Ochryzki *Słowo,* skłoniło grono zajmujące się tem wydawnictwem do odroczenia ich zamiarów. Po zamknięciu *Słowa* powzięli oni zamiar odkupienia od Ochryzki jego abonentów i jego całej instalacyi. Hr. Tomasz Łubieński zrobił nawet podanie do wyższego komitetu cenzury, o danie mu koncesyi na redakcyę wznowić się mającego *Tygodnika petersburgskiego.* Do komitetu tego należeli: hr. Aleksander Adlerberg i jenerał Timaszew, osobiście dobrze hr. Tomaszowi Łubieńskiemu znani. Chodził za tym interesem bardzo w tym zainteresowany Przecławski. Zanim jednak ta sprawa zadecydowaną była, X. Konstanty wygnanym został do Charkowa. A potem ten komitet odmówił hr. Tomaszowi Łubieńskiemu koncesyi, motywując swoją decyzyę tym słusznym może powodem, że proszący byłby tylko wykonawcą wskazówek od X. Konstantego otrzymywanych.

Przytoczmy jeszcze jeden dowód więcej niesłychanej działalności X. Konstantego. Były to pierwsze lata panowania Aleksandra II., na szeroką skalę zamierzone reformy przeprowadzały się we wszystkich gałęziach państwowego zarządu, wszystkie zaś w duchu humanitarnym i liberalnym, zdawało się, że nowa era rozpocznie się, co chwila oczekiwano czegoś pomyślnego. Wtem pewnego wieczora zjawia się u X. Konstantego niejaki p. Arseniew, rodzaj adwokata, podejmującego się przeprowadzać najrozmaitsze sprawy, nie przed kratkami sądowemi, bo tych jeszcze nie było, lecz za pomocą swych licznych i wpływowych stosunków, które umiał zużytkować. Owóż ten usłużny pośrednik oświadcza pod wielkim sekretem X. Konstantemu, że cesarz Aleksander ustanowił tajemną komisyę dla ułożenia planu reformy wychowania dla Królestwa i zabranych prowincyj w duchu narodowym, że preze-

sem tej komisyi jest Nikitenko, bardzo dla Polaków życzliwy a jego osobisty przyjaciel, że możnaby w tej komisyi przeprowadzić program, jaki się podoba, czego on się podejmuje za kilkadziesiąt tysięcy rubli. X. Konstanty oczywiście zajął się bardzo gorąco tą sprawą, w przeciągu kilku tygodni zobowiązał się dostarczyć całą sumę. Sam przywołał X. Felińskiego i brata swego hr. Tomasza do pracy i jakoby nowa komisya edukacyjna we trzech ułożyli główne punkta programu nauk w duchu narodowym i zaraz potem wyjechał do Królestwa dla zebrania potrzebnych funduszów. Gdy mu takowe obiecane zostały przez grono ludzi poważnych i bogatych a kraj miłujących, powrócił do Petersburga. Nieco później Leopold Kronenberg poprosił X. Konstantego już w Rewlu bawiącego, ażeby spisał ustawę dla mającego powstać uniwersytetu polskiego wileńskiego, co też natychmiast uczynił. Skądinąd dowiedzieliśmy się, że taka komisya naonczas rzeczywiście w największej tajemnicy była do życia powołaną, ale późniejsze wypadki do rozwinięcia tej myśli nie dopuściły. Czy poparcie jakie margrabia Wielopolski spotkał dla swoich projektów wychowania publicznego w Królestwie, nie tutaj zarodek swój miały, twierdzić nie śmiemy, ale jest bardzo do prawdy podobnem. X. Konstantego udział w tej sprawie skończył się także, jak tylu innych rzeczy, wywiezieniem jego do Charkowa.

Z tego wszystkiego widzimy, jakie było koło znajomych X. Konstantego, jakie rozliczne a pierwszorzędne sprawy publiczne i duchowne, krajowe i kościelne, które koło niego się obracały. Już nie mówiąc oczywiście o innych kapłanach w Petersburgu, których znaczenie było niczem wobec tego, żaden chociażby najbogatszy magnacki dom polski w stolicy nie mógł się pochwalić równą klientelą przyjaciół i tak wielkim wpływem, nie wyjmując samego dworu X. metropolity Żylińskiego. którego wzięcie bladło w porównaniu. X. Metropolita dobrze poznawszy X. Konstantego w czasie ich wspólnej podróży, nie przestawał mieć dla niego szczególnych względów, a położenie X. Konstantego towarzyskie jeszcze lepiej go dla niego usposabiało. X. Metropolita zaprosił go,

ażeby codziennie o jednej i tej samej godzinie przychodził, sam na sam zdawał mu sprawę z ruchu całego w stolicy, powoli też przywykł rozmawiać z nim o tem, co go kłopotało, a z czem nie zawsze mógł się zwierzać przed najbliższem swojem otoczeniem. X. Konstanty stał jeszcze na uboczu i niżej hierarchicznie od kapituły, prałatów i asesorów kolegium rzymskiego i dlatego z X. Metropolitą o wszystkiem swobodniej mógł rozmawiać. X. Metropolita nie tylko pozwalał X. Konstantemu przedstawiać sobie jego zdanie o bieżących sprawach, co on też czynił z największą oględnością, i z największem uszanowaniem dla swojego zwierzchnika i księcia Kościoła, który nie tylko łaskawie go słuchał, ale owszem nie raz go naglił do wydania opinii, i powodował się jego radami.

W ciągu roku 1858 wyświęconym na biskupów zostali księża biskupi: Krasiński, Staniewski i Lipski. Po różnych przyjęciach i obiadach urzędowych, jakie z tej okazyi danemi w Petersburgu zostały, X. Konstanty ośmielił się także dać obiad na cześć nowo wyświęconych, zapraszając X. Metropolitę, biskupów asystujących, i liczne grono wyższych dygnitarzy duchownych i świeckich, katolików i prawosławnych. Zebranie było liczne, świetne i serdeczne. Pod koniec dopiero zebrania, po odejściu już wszystkich osób urzędowych, zebrani głęboko zasmuceni zostali dobrodusznem z pozoru ale bardzo cynicznem w rzeczywistości opowiadaniem jednego z prałatów kapituły mohylewskiej i członka kolegium duchownego rzymsko-katolickiego w Petersburgu, o praktykach niektórych księży na Białej Rusi, w czasie formowania przez delegatów władz duchownych kościoła prawosławnego i kościoła katolickiego, spisów osób, jakie powinny były być zaliczonemi do parafii rzymsko-katolickich i do dawnych parafij unickich, w r. 1839 na prawosławie przeprowadzonych. Opowiadał, jak się mianowicie natenczas niektórzy unici ofiarami prawie całego swego mienia wykupywali u popów prawosławnych, od przynależności do ich nowych z unickich formowanych parafij, i jak niektórzy księża katoliccy, za marne, bo zaledwie 50 a nawet 30 kopiejek od głowy wy-

noszące wynagrodzenia otrzymywane od popów, sprzedawal i frymarczyli duszami swoich owieczek. Serce każdego katolika boleśnie wstrząsające to opowiadanie dlatego tu powtarzam, ażeby dać poznać, do jakiego stopnia kościół w owych czasach w tym kraju był podupadł, ażeby wytłómaczyć, jak prawdziwie gorliwy, oświecony kapłan, którym był X. Konstanty, musiał boleć, i z jakiemi trudnościami, nie ze strony swych owieczek, ani tylko rządu, ale ze strony własnych braci i przełożonych w kapłaństwie miał do walczenia. *Amicus Plato, sed magis amica veritas.*

ROZDZIAŁ VI.

SPRAWA UNITÓW ZE WSI SŁAWIATYCZE. MEMORYAŁ DO X. METROPOLITY ŻYLIŃSKIEGO. WYGNANIE. POBYT W CHARKOWIE I POWRÓT. NOMINACYA NA PROBOSZCZA DO REWLA.

(1859—1860).

Ażeby należycie wytłómaczyć powód wygnania X. Konstantego do Charkowa, wypada nam treściwie opowiedzieć całą sprawę unitów w Sławiatyczach, bo ona to była początkiem wszystkich zajść, które nareszcie wygnaniem jego się skończyły.

W roku 1839 wyszedł pamiętny ukaz cesarza Mikołaja, znoszący jednem pociągnięciem pióra wszystkie unickie parafie w całej Litwie i Rusi. Od dnia jego wydania unici wszyscy uważani byli wobec prawa za należących do kościoła prawosławnego państwowego; dzieło rozpoczęte przez cesarzową Katarzynę w zabranych ziemiach, dokończonem zostało. Nie naszą jest rzeczą tutaj opisywać gwałtów, prześladowań i krwi męczeńskiej, która z tego powodu tak obficie się polała, bo dzieje te niejednokrotnie we wszystkich szczegółach zostały przez współczesnych spisane. Dosyć, że w jednej wsi Sławiatycze, gub. witebskiej, tak jak w wielu innych miejscowościach, chłopi nieustraszony opór stawili konfiskacie ich kościoła i zaprowadzeniu wiary schyzmatyckiej. Latami całemi opłacali wysoką daninę miejscowemu narzuconemu im popu, ażeby od nabożeństwa ich zwolnił, sami zaś potajemnie

od okolicznych księży katolickich obrządku łacińskiego odbierali pociechy religijne. Nastąpiły straszne prześladowania ze strony miejscowych, powiatowych i gubernialnych władz, konfiskaty, katowania, więzienia i wywożenia na Sybir, ale nic męstwa tych wiary św. wyznawców przełamać nie było w stanie. Gdy X. metropolita Żyliński w r. 1857 przejeżdżał w swej wizycie pasterskiej przez tę wieś, włościanie zabiegli mu drogę i na kolanach prosili o zlitowanie się nad nimi, o przyjęcie ich pod swoją opiekę, o wstawienie się za nimi do sprawiedliwości monarchy, ciągle powtarzając, że pod żadnym warunkiem nie chcą być prawosławnymi. X. Metropolita z największym w sercu bolem, obok słów pociechy, tłómaczył, że w żaden sposób sprawy tej w swoje ręce wziąść mu nie wolno. Ale X. Konstanty, którego gorliwość tylko dusz zbawienie miała na uwadze, i nic zresztą go nie obchodziło, dał im radę, ażeby z pominięciem wszystkich podrzędnych władz wysłali wprost do cesarza samego deputacyę i u stóp tronu prośbę swoją złożyli. Zjawienie się w Petersburgu białoruskich chłopów, tak jakby nowego Piotrowina, który dawno za pogrzebanego był uważanym, było powodem do popłochu w całej zwartej falandze urzędników i duchowieństwa prawosławnego. Nie wiemy, czy do najjaśniejszego pana dopuszczeni nawet zostali, ale w każdym razie senator Szczerbinin, został wysłany na miejsce, nibyto ażeby zbadać sytuacyę i zdać z niej sprawę monarsze, prawdziwie zaś, ażeby rzecz tę koniecznie ostatecznie umorzyć. Koniec też łatwy do przewidzenia nastąpił. Pan senator w najwyższej wściekłości miotał przekleństwy na ściśnionych zewsząd i od świata odciętych kilkudziesięciu chłopków z ich babami, nowe nie do opisania nastąpiły gwałty, i Sławiatycze pozostało wpisane w tak długim już spisie miejscowości, gdzie krew wyznawców i męczenników za wiarę i unię przelaną została.

Sprawozdanie senatora Szczerbinina zwróciło jednak uwagę władz rządowyco i duchownych prawosławnych na tę okoliczność, iż pomimo ukazu z r. 1839, a zatem dwadzieścia lat wstecz, miejscowość Sławiatycze obywała się zupełnie bez posług popa im narzuconego, i zwracała się wyłącznie

do księży katolickich okolicznych. Dalsze poszukiwania w tym kierunku udowodniły, że nie inaczej radziła sobie w tej potrzebie wielka część gwałtem nawracanych unitów, czem usiłowania rządu i ukazy najwyższe w niwecz obracały. Dlatego ażeby temu nadużyciu raz tamę położyć, departament obcych wyznań przy ministerstwie spraw wewnętrznych, wskutek decyzyi cesarskiej, przesłał do kollegium duchownego rzymsko-katolickiego w Petersburgu, w lutym 1859 r., rozkaz wezwania konsystorzy wszystkich dyecezyi katolickich w cesarstwie, ażeby pościągały od wszystkich księży zobowiązania piśmienne, nie tylko nie mieszania się pod żadnym pozorem do interesów duchownych ludzi obcych wyznań, ale także nie przyjmowania do spowiedzi osób nieznanych im dokładnie, o których nie mają pewności, że należą do kościoła rzymsko-katolickiego, albo nieopatrzonych w paszporty lub urzędowe na to dowody.

Kollegium podług swojej ustawy stanowi rodzaj stacyi kancelaryjnej dla przesyłania ukazów i postanowień i rozporządzeń departamentu obcych wyznań do wszystkich konsystorzów. Rozesłanie przeto tego rozporządzenia byłoby mogło nastąpić w takich nawet wyrazach, że nie stanowiłoby przestępstwa przeciw prawom kanonicznym. W obecnym jednak wypadku i dla ważności zasadniczej sprawy, zachodziła obawa, ażeby sam podpis X. Metropolity, jako prezydującego w kollegium, położony na ukazie, czyli postanowienie kollegium w przedmiocie rozesłania do wszystkich konsystorzów rozporządzenia departamentu, nie stał się powodem do zgorszenia, ażeby konsystorze nie wzięły podpisu X. Metropolity za rodzaj potwierdzenia i zgodzenia się z jego strony na to postanowienie rządu. X. Metropolita dlatego bardzo był zaniepokojonym w sumieniu tym rozkazem departamentu wyznań. Oskarżają nawet niektórzy X. Żylińskiego, że już poprzednio w Wilnie dał słowo cesarzowi, że wyda do swego duchowieństwa rozporządzenie, zakazujące udzielania sakramentów św. kryjącym się przed prawem unitów, ale na takie twierdzenie żadnych dowodów nikt jeszcze nie przytoczył. Przed postawieniem tej sprawy na posiedzeniu kollegium, nosił się

z tym kłopotem i codziennie o nim we cztery oczy z X. Konstantym mówił, przyjmując bardzo łaskawie jego pokorne przedstawienia, że się do tego żądania departamentu żadnym a żadnym sposobem zastosować nie można. Tymczasem tego samego dnia, którego się sesya kolegium odbyła, X. Konstanty dowiedział się od jednej z osób należących do kancelaryi tej władzy, że w dniu tym zapadło postanowienie plenarne rozesłania konsystorzom wspomnianego rozkazu departamentu wyznań. Postanowienie to nie mogło osiągnąć natychmiastowego skutku, podług procedury bowiem dla tej władzy przepisanej, protokół sesyi musiał być zredagowanym i przesłanym wszystkim członkom kollegium do podpisu, przyczem każdemu z członków służyło prawo zaznaczania odmiennego od innych zdania, czyli tak zwane *votum separatum*. Była zatem jeszcze możność w ostatniej chwili zaradzenia złemu. To też X. Konstanty zaprosił do siebie X. Felińskiego i swego brata hr. Tomasza Łubieńskiego i podyktował temu ostatniemu memoryał w tej sprawie.

W tym memoryale w słowach wyszukanej grzeczności, uszanowania i uległości dla swego zwierzchnika, ale nie mniej stanowczych co do samego przedmiotu, przedstawił, że żaden ksiądz katolicki nie może odmawiać sakramentów św. osobom nawet sobie nie znanym, przystępującym do trybunału spowiedzi z dostatecznem przygotowaniem i skruchą, że tem bardziej nie może tej posługi religijnej odmówić ludziom za wiarę prześladowanym i w największem niebezpieczeństwie utraty wiary i zbawienia pozostającym; że przeto żadna władza duchowna nie może wymagać od podwładnych sobie księży dania piśmiennego zobowiązania, odmawiania sakramentów pokuty Ciała i Krwi Pańskiej, osobom nie należącym do ich parafii, albo nie legitymującym się paszportami; że obowiązkiem przeto konsystorza, a raczej biskupów dyecezyalnych, będzie odmówienie zastosowania się do wspomnionego rozporządzenia kollegium; że taki obowiązek na równi z innymi biskupami ciąży i na X. Metropolicie, odnośnie do jego własnej archidyecezyi; że nie wiadomo jaki rygor nie zastosowania się do tego rozporządzenia kollegium wywoła

ze strony rządu przeciwko władzom dyecezyalnym; że jeżeli rygor jaki zastosowanym będzie, to i X. Metropolita, jako arcybiskup mohilewski będzie mu podpadał; że będąc już wystawionym na takie niebezpieczeństwo jako zarządca swojej archidyecezyi, X. Metropolita nie wystawi się na większe niebezpieczeństwo, odmawiając już w charakterze prezydującego w kollegium, rozesłania konsystorzom rozkazu departamentu, a odwróci może niebezpieczeństwo, zagrażające innym biskupom i zarządcom dyecezyj, popełnienia winy wydania rozporządzenia przeciwnego ich obowiązkom pasterskim, albo podjęcia walki z rządem, daleko zawsze trudniejszej osobom mniej wysoko położonym, na prowincyi zamieszkałym i od władz prowincyonalnych zależnym, aniżeli jemu, Metropolicie, na świeczniku stojącemu; że sama ustawa kollegium pozwala mu oceniać *proprio motu,* co się należy, a co nie należy przesyłać konsystorzom; że przeto to jego prawo można i należy się do tego wypadku zastosować; kończy nareszcie pokorną prośbą i najsilniejszem błaganiem, ażeby X. Metropolita podpisu swego uchwale kollegium odmówił.

Już ranne biły godziny, kiedy pisanie było na ukończeniu. X. Konstanty nie kładąc się wcale do łóżka, poszedł wprost do kościoła i odprawił mszę św. na intencyę X. Metropolity, a po jej skończeniu udał się do pałacu jego, i zostawszy jak zwykle przez niego sam na sam przyjętym, ukląkł przed nim, w rękę pocałował i zapytał, czy może ten papier do przeczytania złożyć. X. Metropolita przystał chętnie, i sam zasiadł do kawy; niebawem inne przyszły osoby, a ponieważ rozmowa była skierowaną do obojętnych przedmiotów, X. Konstanty powoli się oddalił. We dwa dni potem, przed podpisaniem przez X. Metropolitę powyższego rozporządzenia kollegium do konsystorzów, X. Konstanty otrzymał za pośrednictwem władzy policyjnej rozkaz departamentu obcych wyznań w ministeryum spraw wewnętrznych wyjechania w przeciągu 24 godzin do Charkowa.

Rozmaite powstały pogłoski co do sposobu zdradzenia tajemnicy tego memoryału. Jedni utrzymywali, iż sam X. Metropolita zażądał tego od hr. Sieversa, dyrektora departamentu

wyznań, ażeby się oswobodzić po tak długich i częstych z nim o tej sprawie poufnych konferencyach, od jedynego kapłana, świadka jego wewnętrznej słabości, ale na to twierdzenie dowodów niema. Drudzy podejrzywali, że hr. Sievers, który czując wielką przewagę umysłową X. Konstantego, ogromnie się go obawiał i jak każdy umysł ograniczony, boi się przewyższającego go zdolnościami, ażeby nie być w pole wyprowadzonym, namówił służącego X. Metropolity, ażeby mu ten memoryał do przeczytania dostarczył. Inni nareszcie mówią, że X. Metropolita powiedział niektórym członkom kollegium o swoich wątpliwościach, wspartych na zdaniu i piśmie X. Konstantego, i że ci członkowie, którzy niestety więcej o względy hr. Sieversa, aniżeli o głos sumienia i obowiązku dbali, jemu to zaraz powtórzyli. To ostatnie zdanie jest najprawdopodobniejsze. Ażeby usunąć zgubny wpływ X. Konstantego na umysł X. Metropolity, hr. Sievers, który w obecności X. Konstantego zawsze był uprzedzającej, wyszukanej, nadskakującej prawie grzeczności, dał pospieszny rozkaz jego wygnania i nie omylił się w swojem wyrachowaniu, bo dopiero na dwa czy trzy dni po jego wyjeździe, X. Metropolicie wydarto podpis na tem rozporządzeniu. X. Konstanty nie był oczywiście jedynym katolickim kapłanem w Petersburgu, który wiedział o tem, na co się zanosi, albo który cierpiał wskutek tego. Ale był jedynym na tylu sufraganów, prałatów, kanoników, księży, jak X. Feliński, i zakonników, który miał odwagę otwarcie, publicznie nawet wobec swej zwierzchności duchownej chwiejącej się i błądzącej, stanąć w obronie wolności sumienia, obowiązków kapłańskich i praw Kościoła świętego. On był jedynym, który na tak stosunkowo skromnym stanowisku wikaryusza, czuł się na siłach podniesienia walki nie tylko z rządem świeckim, ale i całym zastępem starszych od niego, niedołężnych jeżeli nie występnych przełożonych, i dlatego rząd natychmiast go uznał za najniebezpieczniejszego swego wroga.

Otrzymawszy rozporządzenie policyjne, siadł i napisał prośbę do hr. Borch i do X. Metropolity o uwolnienie go od obowiązków przy kościele maltańskim, poprosił X. Feliń-

skiego o objęcie kierunku zakładów pobożnych przez niego założonych i kierowanych; -bratu swemu hr. Tomaszowi Łubieńskiemu polecił dom zwinąć, pomieszkanie opróżnić, meble na jakiś skład złożyć i wszystkie rachunki popłacić. Zakazał surowo rozgłaszać wyrok swego wygnania, ażeby nie poruszyć opinii publicznej i przez swoje stosunki, nie być pozbawionym szczęścia cierpienia, coby niechybnie było nastąpiło. Odprawiwszy na drugi dzień mszę świętą, zmówił po niej ze służącym mu do mszy hr. Tomaszem głośno *Te Deum* i wyjechał koleją Mikolajewską do Moskwy, odprowadzony na dworzec tylko przez swego brata, X. Felińskiego, Ojca Soyard, panią Jaune i kilku najbliższych przyjaciół, mówiąc z apostołem narodów: »Umiem i uniżać się, umiem i obfitować, wszędy i we wszem jestem wyćwiczony, i nasyconym być, łaknąć i obfitować i niedostatek cierpieć«.

X. Konstanty ze zwykłą sobie swobodą umysłu puścił się na wygnanie. Przyczyna tak nagłego rozkazu jemu danego dobrze mu była znaną, z jednej strony chciano przeprowadzić sprawę u X. Metropolity, z drugiej strony uniknąć poruszenia opinii publicznej tak szerokiego i wysoko postawionego koła jego znajomych. Wprawdzie wielka ilość spraw pierwszorzędnej wagi, które się o niego opierały i na nim wyłącznie spoczywały, zostały zachwianc, odłożone a niektóre nawet na zawsze przepadły. Ale cierpieć za wiarę, być wyznawcą, to przed męczeństwem największy zaszczyt i największe szczęście dla katolika i kapłana. Przytem cieszył się naprzód myślą, jak znowu będzie mógł się oddać potajemnej pracy nawracania, a każda najmniejsza kropla wody zaczerpnięta z tego oceanu schizmy, zbliża nieznacznie dzieło łaski i miłosierdzia Opatrzności dla tego kraju. Zatrzymał się po drodze w Moskwie przez parę dni, czekając na przyjazd brata swego hr. Tomasza, który za nim podążył, ukończywszy wszystkie dane sobie polecenia, a którego prywatne interesa przypadkiem równocześnte powoływały na głęboką Ukrainę. Z Moskwy jechali zatem dwaj bracia razem aż do Orła, skąd hr. Tomasz obrócił drogę na Butnryn i Kijów do Humania. X. Konstanty pojechał na Kursk. W Kursku zatrzymał się

tylko dzień jeden dla odwiedzenia dawnych znajomych, a zwłaszcza dla odprawienia mszy św. w kaplicy urządzonej w jego domu w czasie poprzedniego jego w tem mieście pobytu. Do tej kaplicy schodzili się zamieszkali w Kursku katolicy co niedzielę i święto dla wspólnej modlitwy, a objeżdżający od czasu do czasu prowincyę księża, karmili wiernych słowem Bożem i Sakramentami świętymi. Gdy zajechał do Charkowa, zaraz oddał potrzebne wizyty władzom, ażeby się opowiedzieć, za czem tam przybył i natychmiast oddał się gorliwie pracy w kościele, pomagając księżom miejscowym w słuchaniu wielkanocnej spowiedzi.

Ale inny, bolesny dla każdego serca katolickiego, wypadek na samym wstępie w mieście go przywitał. Jeden z miejscowych wikaryuszy katolickich zrzucił świętą sukienkę, publicznie się ożenił i przeszedł na wiarę prawosławną. Każdy inny kapłan dopiero co na wygnanie skazany, w nieznanem sobie mieście w niełasce u zwierzchności duchownej i świeckiej, byłby w cichości może zapłakał, ale przenigdy nie byłby się odważył podnieść swego głosu protestu lub starał się złemu zaradzić. Inaczej się na to X. Konstanty zapatrywał. On mocno wierzył, iż każdy krok nasz w życiu ręką Opatrzności wiedziony jest i że jeżeli przybył w tak strasznego zgorszenia chwili do Charkowa, to na to, ażeby złe odwrócić, lub skutki jego osłabić. Przedewszystkiem myśląc o nieszczęściwej duszy zbłąkanego kapłana, udał się do jego mieszkania, rzucił mu się do nóg, i wystawił ohydę jego zbrodni i wielkość zgorszenia publicznego, jakiego był przyczyną. Na gorące słowa prośby, zaklinanie ze łzami i całowanie po rękach, głuchem zostało serce zatwardziałe namiętnością, i gdy inaczej X. Konstantego pozbyć się nie mogli, występny renegat wraz ze swą nierządnicą czynnie go zelżyli, obili, i ze swego pomieszkania ze słowami przekleństw na dwór wyrzucili. Widząc niemożliwość nawrócenia biednego grzesznika, X. Konstanty tak bogaty w szczęśliwe pomysły, postanowił udać się do miejscowego archireja i starać się u niego, ażeby odmówił przyjęcia do prawosławia tego księdza pod pozorem, że to nawrócenie ani z przekonania być nie może, ani ża-

dnego zaszczytu urzędowej cerkwi nie przynosi, gdy ksiądz dlatego że się okobiecił, pod jej opiekę się ucieka. Archirejem natenczas w Charkowie był Innocenty, człowiek dziwnie jak na rosyjskiego duchownego światły i gorliwy, znany w kościele swoim z powodu licznych pism, a szczególnie dla bardzo gorąco napisanego artykułu przeciwko zawartemu konkordatowi z Rzymem w roku 1846 i erygowaniu nowej dyecezyi katolickiej w Saratowie, zwanej Tyraspolskiej, za X. metropolity Hołowińskiego. Archirej Innocenty przyjął bardzo uprzejmie X. Konstantego i rozmowa niebawem przeszła na bliższą wizyty przyczynę. Gdy X. Konstanty rozwijał myśl swoją, przyszło mu do głowy zapytać się archireja, jaki też powód podał ksiądz odszczepieniec, skłaniający go do zmiany wyznania i przyjęcia prawosławia. Na to archirej odpowiedział mu temi słowy: »Nie śmiałem się go o to zapytać«. Innemi słowy, to taka hańba i taki upadek, że mam za wiele rozumu, ażeby w takim człowieka spodleniu, bez potrzeby ręce dłużej maczać. Obalić jednak rzeczy postanowionej i urzędowo przyjętej X. Konstanty oczywiście już nie mógł. Tymczasem w mieście sprawa księdza renegata, jak było do przewidzenia, robiła niezwykłe wrażenie. Nie mówiąc już o wielkiem zgorszeniu wśród wiernych, bardzo liczny zastęp uczni uniwersytetu Polaków i z nimi bratających się naonczas Małorusinów i Ukraińców, postanowili księdza za odstąpienie od religii i narodowości, publicznie obić. Nikt nie wiedział jak złemu zaradzić. X. Konstanty za pozwoleniem miejscowego proboszcza, wstąpił następnej niedzieli podczas sumy na ambonę i zaraz na wstępie kazania zwrócił mowę do smutnego zdarzenia. Wierni zgromadzeni nie mogli się wydziwić, iż jest człowiek tak odważny, który ośmiela się poruszyć tę sprawę i z natężeniem największem każde słowo wysłuchali. Wymownemi słowy skarcił występnego księdza i zaklinał wiernych, ażeby nie zważając na zgorszenie publiczne dane im przez własnego dusz pasterza, wytrwali w wierności dla jednego prawdziwego Chrystusowego Kościoła, który tylko na opoce Piotra się opiera. Widząc przytem liczny zastęp słuchaczy uniwersytetu przed sobą, do nich także się zwrócił,

surowo karcąc niewczesne zachcianki, ostrzegał ich przed świętokradzkiem podnoszeniem rąk na kapłana, i na ich godność się powołując, upominał, ażeby wymiar sprawiedliwości miłosierdziu Wiecznego Sędziego zostawili. Wiernych utwierdził w wierze, grzesznika zasłonił od publicznej zniewagi. Wrażenia tego kazania nie da się opisać. Wierni katolicy utwierdzeni na duchu, postanowili zapomnieć o występku, uczniowie uniwersytetu rozważyli rzecz całą i zdecydowali się nie plamić rąk swoich dotknięciem się nawet renegata. Tylko władze rządowe nie wiedziały co na razie wobec tak niesłychanej śmiałości uczynić, i gubernator miejscowy zawołał X. Konstantego do siebie, ażeby mu wyrazić swoje wysokie niezadowolenie i zabronić mu słuchania spowiedzi i miewania nauk w kościele. X. Konstanty, który na salonach zaraz stawał się napowrói tym wielkim panem, jakim nie przestawał być zawsze w gruncie, uspokoił gubernatora, tylko bardzo żałował, że nie może. się zastosować do jego wskazówek, ponieważ co do słuchania spowiedzi i innych kościelnych spraw, podlega władzom dyecezyalnym, od których żadnego zakazu nie odebrał, a zatem zaprzestać ich nie może. Stosunki X. Konstantego z władzami miejscowemi z tego powodu były naprężone, aż do końca jego wygnania, kiedy dla powodów, które w swoim czasie opiszę, nagle przeszły z jednej prawie ostateczności w drugą. Wypadek ten cały w Charkowie z tym księdzem nieszczęśliwym, miał także swoje zakończenie dziwne i niespodziewane, i aczkolwiek później dopiero się wydarzył, dla całości lepiej zaraz tutaj go umieścić. W parę lat później X. Konstanty po powrocie z Rzymu bawił w Petersburgu. Wróciwszy raz późno wieczór bardzo pracą zmęczony, gdy się już miał kłaść do łóżka, przyszedł do niego ktoś, prosząc ażeby pojechał do chorego do bardzo oddalonego szpitala powszechnego. Odpowiedział na to, że to nie jego rzeczą, że on tylko gościem w mieście (był wtenczas proboszczem w Rewlu), że trzeba się udać do miejscowych księży. Po niejakim czasie budzą go mocnem do drzwi stukaniem i ten sam posłaniec powiada mu, że chory chce tylko i koniecznie X. Łubieńskiego widzieć, a nikogo

innego, a że jest umierającym. Nie było zatem rady, pospiesznie się ubrał i pojechał do szpitala. Tam wśród największej nędzy leżał śmiertelną złożony chorobą, z samymi prawosławnymi człowiek, który cały się rozpromienił na widok zbliżającego się X. Konstantego. Był to ten sam ksiądz odstępca z Charkowa. Usłyszał przypadkiem, że X. Konstanty jest w mieście, od czasu upadku swego nie był się spowiadał, chciał w jego ręce złożyć odwołanie błędów i zgorszenia, i z Bogiem się pojednać. X. Konstanty kilka godzin przy nim spędził, dając mu pociechy religijne, z tą miłością i niesłychaną delikatnością, jakiej on miał tylko tajemnicę i na jego ręku biedny ten człowiek pobożnie skonał. W parę dni później pochowali go jednak duchowni prawosławni. X. Konstanty o tem wiedział, ale upominanie się o jego ciało wymagałoby tyle czasu i takich zachodów, a on sam był tak zajętym nominacyą X. Felińskiego na arcybiskupa, iż uważał lepiej całej takiej wrzawy nie podnosić. Jemu wystarczało, że serdecznie żałującą za grzechy duszę oddał w ręce nieskończonego miłosierdzia Pana Boga.

X. Konstanty nie miał żadnej posady wikaryusza, żadnego innego stanowiska, li tylko wygnańca, to mu jednak nie przeszkadzało, iż brał bardzo czynny udział w pracach misyonarskich i kapłańskich, nie tylko w samem mieście, ale w gubernii i całym tamtym kraju. Gubernator i władze miejscowe były na niego zagniewane i myślały nad ukróceniem jego swawoli. On tymczasem porozumiał się z tam stojącym jenerał adjutantem hr. Adamem Rzewuskim, dowodzącym trzecią lekką dywizyą kawaleryi, a którego z Petersburga znał doskonale, ażeby mu pozwolił spowiadać żołnierzy katolików, w jego dywizyi się znajdujących. Gubernator na widok stosunków X. Konstantego z tak wysoko postawioną osobistością, stracił ochotę do dalszego prześladowania go, a X. Konstanty uzyskał niezwykłą pociechę słuchania spowiedzi tylu biednych chłopków polskich i litewskich, z których niektórzy latami księdza nie byli już widzieli. Tym sposobem po wykwintnych i perfumowanych salonach petersburgskich, będąc przedewszystkiem kapłanem duszą i ciałem, z rozkoszą apo-

stołował wśród biwuaków żołnierzy, w Biełgorodzie, w Koroczy, w Obojanach, w Kursku i w Tatieży, o czem urzędownie jenerała Rzewuskiego zawiadomił. Rzewuski pisze znowu, jak widzimy w papierach po X. Konstantym pozostałych, że oddziały niektóre, pod jego komendą będące, staną: jedne 5 maja w Piziatynie, drugie 8 maja w Niezinie, i tam go zaprasza do dalszej pracy. W jednym z takich przejazdów zjechał się X. Konstanty z bratem swoim hr. Tomaszem w Pułtawskiej gubernii, w miasteczku Łubnie, obronnym niegdyś zamku księcia Jeremiego Wiśniowieckiego, słynącego przepychem przed wojnami kozackiemi pod Chmielnickim, i otoczony ogromnemi jego dobrami za Dnieprem. Dzisiaj majątek Łubna, oczywiście znacznie od owych czasów uszczuplony, należy do księcia Repnina, marszałka gubernialnego szlachty kijowskiej, ślady zaledwo zamku i okopów pozostały, ale stare drzewa pokaznją jeszcze, gdzie ongi był wielki ogród rezydencyi książęcej, dzieła rąk ludzkich poniszczono, gdy dzieła Boskie przetrwały burze wiekowe, na pamiątkę lat dawnych wielkości i chwały.

Tymczasem Bóg w swoich widokach nagle i niespodziewanie wygnanie X. Konstantego zakończył. W pierwszych miesiącach r. 1860 hr. Leon Potocki ciężko zachorował w Petersburgu. Jako brat stryjeczny matki X. Konstantego był on nieobojętnym dla niego krewnym, bo go osobiście bardzo cenił i kochał i nie jedną mu usługę w stolicy oddał, pomimo tego, że był chłodnego bardzo z innymi obejścia. Hr. Leon Potocki, rzeczywisty tajny radce, członek rady państwa, kawaler orderów, człowiek ogromnie bogaty, przez małżeństwo swoje z hrabianką Gołowiec, z całą najwyższą arystokracyą ruską spowinowacony, nie był w Petersburgu osobą w polityce wpływową, bo się do spraw publicznych wogóle w życiu nie wtrącał, ale zawsze był to, co nazywają bardzo grubą rybą. Wywiezienie X. Konstantego wywołało w tych najwyższych kołach towarzyskich wielkie niezadowolenie; tam miał penitentów, krewnych, przyjaciół i znajomych. Nie każdy wiedział za co był wywiezionym, rzadko kto zadałby sobie nawet pracę pomyśleć gruntownie o stronie kanonicznej jego

nieporozumienia z X. Metropolitą, dosyć, że był wszędzie widzianym i wszędzie kochanym, i mówiono sobie, że dla jakiejś tam nieuchwytnej a zawiłej teologicznej dyskusyi, nie powinien hył być wygnanym do dzikiego a dalekiego kraju. Tak sądził tak zwany wielki świat petersburgski. Kiedy Leon Potocki zachorował, pielęgnowała go przedewszystkiem krewna jego Olga Naryszkin, z domu Potocka, matka Piotrowej Szuwałow, a bliska krewna także i X. Konstantego, nawet jego długoletnia penitentka. Skorzystała z tej sposobności, ażeby pojechać do ministra spraw wewnętrznych hr. Łanckoj, i po kobiecemu gwałtowne mu wyrzuty zrobić, mówiąc, że spowiednikiem hr. Leona jest X. Konstanty, że hrabia Leon przed innym księdzem spowiadać się nie chce, że w stanie jego zdrowia zachodzi obawa, że umrzeć może bez spowiedzi, że gdyby to nastąpiło, najjaśniejszy pan mógłby być przez to dotkniętym, że zachodzi potrzeba sprowadzenia X. Konstantego wywiezionego bez sądu, bez winy, i że jeżeli tego nie uczyni, utrata zbawienia hr. Leona przed Bogiem i cesarzem spadnie na niego, samego ministra. W parę dni później sam cesarz Aleksander II. zaszczycił hr. Leona swoją wizytą i troskliwie pytał, czyby mógł czemkolwiek oddać mu jaką usługę, lub zrobić przyjemność. Na to obecna pani Naryszkin podsunęła uniżenie myśl, że chory chciałby widzieć i uściskać X. Konstantego hr. Łubieńskiego, swego ulubionego synowca, którego minister do Charkowa niepotrzebnie wygnał. Tego samego dnia gubernator Charkowski otrzymał depeszę od ministra hr. Łanckoj z rozkazu samego cesarza, ażeby X. Konstantego zaprosił natychmiast do przyjechania do Petersburga. Pan gubernator oczywiście z najwyższym rozkazem sam spiesznie udał się do X. Konstantego, oznajmił mu jego treść, i błagał ażeby nie tracił czasu na niepotrzebnych rzeczy pakowaniach, dodając, że on nigdy właściwie nie miał do niego żadnego żalu ani prawdziwego niezadowolenia powodu, ale tak tylko udawał, ażeby powstrzymać go od zbytecznej gorliwości, któraby mogła była X. Konstantego u innych władz na niepotrzebne szykany wystawić. Bez pożegnania się ze znajomymi i ze wszystkiemi ułatwieniami szczególnemi jakich

na perykładnych w Rosyi doznają kuryery cesarskie, X. Konstanty odprowadzony przez samego gubernatora opuścił Charków na zawsze. Przyjechał jeszcze na kilkanaście dni przed śmiercią hr. Leona, przygotował go należycie i na jego rękach ten wielki ale nieszczęśliwy magnat życie zakończył. Po wszystkich uroczystościach pogrzebowych, na których także cesarz Aleksander II. w kościele św. Katarzyny był obecnym, X. Konstanty poszedł do X. metropolity Żylińskiego po rozkazy, co dalej ma ze sobą zrobić. Tak władze duchowne jak świeckie z tego powodu w największym znalazły się kłopocie. O odesłaniu go do Charkowa napowrót po rozkazie cesarskim ani hr. Łanckoj, ani hr. Sievers myśleć nie śmieli. Zostawić go w Petersburgu bez formalnego urzędowego z wygnania odwołania, także dla powagi władzy nie wypadało. Pozostawienie w Petersburgu z charakterem X. Konstantego, niebawem doprowadziłoby znowu do wielkiego wzięcia we wszystkich kołach stolicy i do niezmiernego wpływu na X. Metropolitę, na co X. prałat Stacewicz na żaden sposób zgodzić się nie chciał. Na szczęście wakowało probostwo w Rewlu, mieście wielkiem, portowem, bogatem i niedaleko stolicy. *Promoveatur ut amoveatur*. Ominięto zręcznie sprawę wikaryatu przy kościele Maltańskim i niezałatwionej sprawy wygnania, przedstawiono, że to dla X. Konstantego znaczny bardzo awans hierarchiczny i na to instytucyę X. Metropolita mu udzielił.

Tak się skończyło wygnanie drugie w życiu X. Konstantego w Charkowie, a rozpoczęło właściwie trzecie w Rewlu pod pokrywką probostwa w tem mieście.

ROZDZIAŁ VII.

PROBOSTWO W REWLU. MEMORYAŁ DO KS. GORCZAKOWA, NAMIESTNIKA. SPOTKANIE Z HR. MONTALAMBERTEM W KRZESZOWICACH. PODRÓŻ DO BADEN-BADEN I DO RZYMU. SPOTKANIE SIĘ Z KARDYNAŁEM LITWINOWICZEM W WIEDNIU. OBJĘCIE PROBOSTWA FAMILIJNEGO W GNIEŹNIE. POWRÓT DO KRAJU.

(1860—1861).

W dziwnych warunkach X. Konstanty powołanym został na probostwo w Rewlu. Nigdy tego kraju nie znał, język jego był mu obcym, żadnej z nim przedtem nie miał styczności, ani żadnych w nim znajomych. Trudno powiedzieć, ażeby z przyjemnością obejmował posadę, która dla większej części księży równała się znacznemu podniesieniu w hierarchii kościelnej i zapewnieniu na całe życie niezależnego, a nawet dostatniego materyalnego bytu. On nie mógł inaczej się na to zapatrywać, czem dla niego w istocie było, to jest miejscem łagodnego wygnania.

Objąwszy probostwo swoje, rzucił się z tym samym zapałem do pracy wszelakiej, jak to był uczynił poprzednio w Kursku, Charkowie i Petersburgu, i jak zobaczymy, Opatrzność znowu błogosławiła jego gorliwości. Wikaryuszem jego był zacny i gorliwy X. Limanowicz. Parafia jego obejmowała całą gubernię Estlandzką. Owieczki jego porozrzucane były po całej tej ogromnej przestrzeni i złożone z najrozmaitszych narodowości. Oprócz Polaków i Litwinów, było najwięcej

Niemców i garstka najróżnorodniejszych narodowości, ciągle zmieniających się marynarzy, tak to być musi w każdym mieście portowem. Nabożeństwa odbywały się w kościele po niemiecku. Jak na początku każdego swego zawodu i tutaj przedewszystkiem zwrócił pilną uwagę na pierwszorzędnego znaczenia ambonę i tak, jak w Petersburgu, niebawem nauki jego wypełniły świątynię Pańską, nietylko własnemi owieczkami, ale ściągnęły w znacznej liczbie słuchaczy prawosławnych i miejscowych lutrów. Wymowa jego nie kazała długo czekać na owoce swoje. Do kościoła coraz częściej zaczęto uczęszczać, nabożeństwa różne zaprowadzono, bractwa i stowarzyszenia pobożne potworzono, schronisko dla starców i ubogich ze szpitalem, wszystko wokoło niego rodziło się i rosło, bo nic tak chrześcijańskiej ofiarności nie zapładnia, jak osobiste poświęcenie się bez granic katolickiego kapłana. I tutaj w Rewlu nastąpiły nawrócenia nietylko prawosławnych, ale i lutrów na wiarę prawdziwą, nawet niektóre ich nazwiska i opis kolei dalszych ich życia, przed nami w tej chwili leżą, ale niestety znowu powtórzyć ich nie możemy. Trudno się oprzeć wymowie kaznodziejskiej i ścisłości tłomaczenia prawd odwiecznych, przedewszystkiem kiedy zasady moralności nie brzmią jako puste głuche echo dalekiej przeszłości, ale żywe stosowne zastosowanie w życiu samego missyonarza znajdują. Szczęśliwe bardzo powołania, pod jego duchownym kierunkiem tutaj się znowu rozwinęły, które także po imieniu lub nazwisku nie wolno nam wskazać. Dosyć gdy powiemy, iż kilka panien pobożnych z pod jego ręki, wstąpiło do PP. Felicyanek, które razem z zakonem z kraju do Galicyi ustąpić musiały. Z Rewla wszedł w bardzo ścisłe stosunki z domem zakonnic francuskich, które mieszkały w Sztokholmie, a przez samą ówczesną królowę szwedzką w największej tajemnicy wspierane były.

Nic jednak dać nam nie może lepszego wyobrażenia, jak bardzo gorliwie pojął swe stanowisko, jak przekonanym był, że długie lata, jeżeli nie do śmierci, pozostanie w tem mieście, aczkolwiek tak bardzo krótko miał w niem zabawić, to są starania, które podjął, ażeby na wielką skalę zbudować

i urządzić szkołę dla młodzieży. Dla tej ogromnej pracy obsłużenia tylu po imperyum rozrzuconych katolików, dlatego wielkiego powołania nawrócenia tych błądzących milionów, nie może wystarczyć poświęcenie się jednostek chociażby najświatlejszych i najgorliwszych, potrzeba całego zastępu z kilku pokoleń złożonych kapłanów, ażeby temu zadaniu podołać. Niezmiernie także go bolało, że dla przygotowania młodzieży do tej pracy nie ma na tę olbrzymią archidyecezyę Mohilewską ani jednego seminaryum, oprócz akademii duchownej w Petersburgu, wystawionej na ucisk rządu i na zgubny wpływ zbyt rządowi uległych prałatów, tak, że nie zawsze wyjątkowy dobry wpływ profesora jakiego lub spowiednika może złemu przeciwważyć. Seminarya jednak wyłącznie od biskupów dyecezalnych zależą, dlatego on, jako proboszcz o tem myśleć nie mógł. Ale jako samodzielny a odpowiedzialny już dusz pasterz, mógł chcieć przygotować od młodości przyszłych kapłanów i przez wzgląd na te potrzeby dyecezyi, które znał o wiele lepiej od tylu innych i w zakresie swojej władzy postanowił stworzyć szkołę, internat nakształt tak zwanych we Francyi *petit seminaire,* gdzieby młodzież pobierała nauki gimnazyalne, a gdzie trzymana w pewnym rygorze, łacniej przystępną by mogła być łasce powołania do stanu duchownego. Sądził także, że w dalekiej przyszłości może uda mu się dobudować i wielkie seminaryum, któreby wtenczas przeszło pod bezpośredni zarząd samego X. Metropolity. Na te myśli, oprócz własnego doświadczenia z zagranicy przywiezionego, naprowadziły go także te znakomite kollegia katolickie angielskie, a szczególnie najsławniejsze z nich Ushaw w hrabstwie Durham, gdzie obok szkoły jest seminaryum dla całej północnej Anglii, a gdzie na onczas byli chowani synowie jego rodzonego brata, Henryk i Bernard, późniejszy Redemptorysta, dzisiaj w Mościskach zamieszkały. Gdy zamiar ten w jego umyśle zupełnie dojrzał, postanowił odrazu dać pewien szerszy zakres temu przedsięwzięciu, ażeby od samego początku szkoła ta na poważnych powstawała podstawach. Nie znajdując odpowiedniego budynku w mieście, zakupił na własne imie pod miastem

obszerne place i powoli zaczął zbierać materyały. W tem przedsięwzięciu i dla uzyskania u władz miejscowych potrzebnego zezwolenia, bardzo mu były pomocnymi stosunki jego petersburskie i nowe, które sobie tutaj wyrobił. Rewel oddawna zamieszkałym był przez bogatą szlachtę i baronów niemieckich tamtych prowincyi, i przez liczną kolonię wysłużonych jenerałów i wysokich urzędników państwowych, którzy tutaj na stare lata osiadali, ażeby nie być wystawionymi na niesłychaną drożyznę stolicy, a jednak zbytnio od niej się nie oddalać. Znając usposobienie towarzyskie X. Konstantego, nie potrzebujemy dodawać, iż niebawem ze wszystkimi tymi domami łączyła go bardzo ścisła przyjaźń i zażyłość. Niektórych znał z Petersburga, drugich tutaj poznał, wszyscy mieli wspólnych dobrych tam znajomych. Ciągle miewał zaproszenia do zamków letnich tych panów na prowincyi, z których jednak rzadko tylko mógł korzystać, chyba gdy był w podróży po parafii. W owym czasie hr. Berg był namiestnikiem w Helsingforsie i temu parę razy nie mógł odmówić, ażeby go nie odwiedzić, raz nawet zimą saniami przejechał do niego przez całą zatokę Finlandzką. Wszystkie te znajomości dobrze dla niego usposabiały władze, ale największym jego poplecznikiem był sam gubernator ks. Suwarow. Ożeniony z panną Naryszkin, uważał się za krewnego X. Konstantego, niezmiernie go lubił, doskonale znał z Petersburga i nigdy inaczej nie nazywał go, acz niewłaściwie, jak swoim synowcem. Ks. Suwarow był człowiekiem wielkiej ogłady i niezwykłej dobroci, przez X. Konstantego wiele bardzo Polakom dobrego uczynił, przez swoje wyjątkowe stosunki i wzięcie na dworze, i kilkakrotnie później znaczne usługi oddał X. biskupowi Popielowi, którego X. Konstanty jemu usilnie w swoim czasie polecił. Suwarow był wtenczas właśnie gubernatorem w Rewlu, stąd ułatwienie w całem przedsięwzięciu daje się łatwo wytłómaczyć. Ale przygotowując materyały budowlane, zanim mury gmachu by stanęły, chciał na razie rozpocząć w najętym budynku, zawczasu wypadało pomyśleć o odpowiednich siłach nauczycielskich, obok profesorów fachowych miejscowych, pragnął sprowadzić z zagranicy kilku ludzi,

którzyby znali dobrze urządzenie takich internatów i odrazu mogli ich porządek w jego domu zaszczepić. W tym celu udał się listownie do swoich znajomych. Jego brat cioteczny X. Wojciech Morawski, który poprzednio był żonatym z panną Grocholską z Strzyżawki na Podolu, a ojcem dzisiejszego O. Maryana Morawskiego z Tow. Jez., przysłał mu z Rzymu dwóch ludzi. Pierwszym był p. Celestyn Dinsard, Belgijczyk, który skończył z odznaczeniem w Rzymie nauki, uzyskał stopień doktora teologii i prawa kanonicznego, ale do stanu duchownego nie wstąpił; w Rewlu ożenił się z nauczycielką Rosyanką, nawróconą przez X. Konstantego. Z Rewla X. Konstanty odstąpił go X. Felińskiemu, jak ten został arcybiskupem, na sekretarza do języka francuskiego i do dyplomatycznych z władzami stosunków. W Warszawie został przytem profesorem w akademii duchownej i dopiero po wywiezieniu X. Felińskiego i po jej zwinięciu, pojechał do dyecezyi Sejnejskiej, osiadł w Suwałkach, gdzie żona jego zamianowaną została dyrektorką gimnazyum żeńskiego. W ciągłych pozostawał stosunkach z X. biskupem Konstantym w Sejnach i niejedną mu usługę oddał, ale zaraz po jego śmierci nie czując się bezpiecznym, nocą przeszedł granicę pruską pod Wierzbołowem i już więcej do Rosyi nie wrócił.

Drugim był X. van Ess. Dziwne były koleje tego człowieka. Od dzieciństwa marzył o stanie duchownym, tymczasem przedwczesna śmierć ojca zostawiła go z matką i licznem rodzeństwem, z których on był najstarszym i bardzo zawikłanym stanem majątkowym w Nadreńskich katolickich prowincyach. Wystąpił z gimnazyum i poświęcił się cały, ażeby ulżyć pracy matce i wychować rodzeństwo młodsze. Dopiero w 40 roku życia pochowawszy matkę i postanowiwszy ostatnią siostrę, powrócił do marzeń lat dziecinnych, ażeby z tą samą nieugiętą siłą woli je przeprowadzić. Nie mogąc skończyć żadnego gimnazyum dla wieku, nie będąc przyjętym do seminaryum w Niemczech, gdzie prawo państwowe nie dopuszcza ludzi do stanu duchownego bez egzaminu dojrzałości, udał się tymczasowo na guwernerkę do zamierzonego zakładu w Rewlu. X. Konstanty poznawszy ten cha-

rakter i tę duszę tak zacną, i jak kryształ przezroczystą przywiązał go do siebie, w Sejnach wyświęcił go na kapłana i kapelanem swoim zrobił. Wprawdzie nie miał z niego tej usługi, jakiej po kapelanach się wymaga, bo X. van Ess nie umiał ani po polsku, ani po rusku, ale nie mniej przeto bardzo wysoko go cenił i ze wszystkiem na niego polegał. Po wywiezieniu ostatniem X. Biskupa, gdy pomimo najusilniejszych starań rząd nie pozwolił mu ani X. Biskupowi towarzyszyć, ani za nim podążyć, wyjechał do Ameryki, gdzie wśród gorliwej pracy missyonarskiej, wśród niemieckich kolonii, nieskalane swe życie zakończył.

Szkoła rewelska nigdy do skutku nie doszła. Niebawem bowiem nominacya X. Konstantego na biskupstwo, nie dała mu się więcej tem zajmować. Następca jego ani ochoty, ani przedewszystkiem tego położenia socyalnego nie miał, ażeby takie dzieło przeprowadzić i utrzymać. Widząc, iż nawet z gruntów zakupionych przez siebie, katolicy w Rewlu nie będą mieli po nim pamiątki lub pożytku, X. Konstanty polecił z Sejnu swemu bratu hr. Tomaszowi sprzedać wszystko, próbując tę samą myśl w stolicy swej dyecezyi urzeczywistnić.

W początkach roku 1861 skorzystał z paru dni wolnych i z nowo otwartej kolei żelaznej petersbursko-warszawskiej, ażeby pojechać na czas krótki do ojca swego, który mieszkał wtenczas w Pokrzywnicy pod Piątkiem. Czy w drodze tam, czy nazad, nie wiemy, zatrzymał się w Warszawie, ażeby dawnych odwiedzić znajomych i rozpatrzeć się w nowem położeniu rzeczy. Umysły już bardzo silnie były wzburzone, nikt jeszcze nie mógł sobie zdać sprawy, czy to przejściowe tylko zaniepokojenie, czy to zapowiedź prawdziwej nadciągającej burzy, czy z głębin społeczeństwa jak z krateru wulkanu wydobywają się te podziemne pociski: czy to tylko odgłosy dalekich jakichś zagranicznych wstrząśnień i falowań politycznych. Pierwsze złowrogie strzały 27 lutego 1861 r., z których poległo tak zwanych pięć ofiar, były już padły. X. Konstanty znał dobrze ks. Gorczakowa, ówczesnego namiestnika, pomimo tego blizkie stosunki z nim go nie

łączyły, ale z Enochem sekretarzem stanu przy radzie administracyjnej, naonczas w Warszawie, łączyła go dawna i dobra znajomość. Wypadki te nie przestawały wyłącznie ich zajmować, a ks. Gorczakow gorzko się uskarżał przed X. Konstantym na udział duchowieństwa wogóle, a szczególnie zakonnego, w manifestacyach ulicznych i politycznych. W odpowiedzi na to, uwagi X. Konstantego, jak zawsze mądre i trafne, tak do przekonania ks. Gorczakowa przemówiły, iż poprosił go, ażeby mu zdał z nich osobny raport czyli memoryał. Podawanie takich memoryałów najrozmaitszym osobom u władzy stojącym i w najróżnorodniejszych sprawach, było i jest dotychczas bardzo w zwyczaju w Rosyi. Często się zdarza, że wskutek rozmowy zupełnie przypadkowej, w czasie obiadu lub innego spotkania się w świecie z jakimś dygnitarzem, tenże prosi o podanie mu memoryału w sprawie, która była przedmiotem chwilowej rozmowy, dla zachowania w pamięci wywodów i zakończenia, i dla spożytkowania ich następnego. X. Konstanty, który całe życie przestawał z ludźmi, największe stanowiska państwowe zajmującymi, ale którego pogląd na sprawy Kościoła i ojczyzny krańcowo z nimi się różniły, codziennie wpadał mimowoli w takie z nimi położenia, iż uderzał ich swojemi nowemi, ale nie mniej trafnemi uwagami, które oni dla pamięci prosili, ażeby im na piśmie zostawił. Stąd ta wielka ilość memoryałów, do których w ciągu życia był zmuszonym, i które dla jego historyi najcenniejszymi są dokumentami. A przytem mało kto jak on, umiał tak wyczerpująco przedstawić genezę sprawy, tak ściśle określić zasadnicze jej znaczenie i w tak jędrnym, a przytem wykwintnym języku oddać. Sam nigdy prawie własnoręcznie nie pisał, bo miał bardzo nieczytelne pismo, ale chodząc po pokoju, zazwyczaj dyktował. A mówił wtenczas bardzo powoli, z wielką rozwagą każde słowo i zdanie, widać było na jego twarzy i w jego ruchach tę walkę wewnętrzną, jak z bogatego tego umysłu, z nawału myśli, wspomnień i wrażeń, podawał tylko to, co było ostatecznym wyrazem potężnej umysłowej pracy. Największem w życiu zaufaniem jednak pod tym względem obdarzał brata swego

hr. Tomasza Łubieńskiego, któremu nieraz podawał tylko szereg myśli, ażeby on je sam na papier przelał. Jeżeli go nie miał pod ręką, sam wtenczas musiał tej pracy się podejmować.

Ani oryginału, ani pierwszej kopii tego memoryału, który przy tej sposobności zażądał od niego ks. Gorczakow, nie mamy pod ręką. Ale wiadomem jest, iż na zarzuty czynione ze strony namiestnika duchowieństwu zakonnemu, iż miesza się zbyt zapalczywie w sprawy polityczne, X. Konstanty przyznając po części słuszność tym uwagom, czynił w pierwszym rzędzie sam rząd za to odpowiedzialnym. Zakonne życie stać może tylko na karności wojskowej wewnętrznej, a karność spoczywa na ciągłych nieustannych stosunkach wszystkich domów i członków zakonu z przełożonymi. Rząd utrudniając, uniemożliwiając znoszenie się zakonów z jenerałami w Rzymie, lub ich wizytatorami, wystawia pojedyncze domy na wpływy nietylko oderwanych przełożonych, ale nawet na wpływy zewnętrzne zakonom obce. Powrót do ścisłego przestrzegania reguły zakonnej przez ściśnienie węzłów zależności hierarchicznej, odbije się niebawem na porządku zewnętrznym postępowania każdego pojedynczego nawet zakonnika. Oto treść tego memoryału. Ale pobyt X. Konstantego naonczas w Warszawie był bardzo krótkim, bo jego obowiązki gdzieindziej go powoływały.

X. Konstanty był także przypadkiem w Petersburgu w pierwszych dniach sierpnia 1861 r., kiedy hr. Lambert otrzymał nominacyę na namiestnika Królestwa Polskiego po śmierci ks. Gorczakowa. Hr. Lambert znał się bardzo dobrze z X. Konstantym, bo był katolikiem, uczęszczał do kościoła na jego nauki i ciągle w towarzystwie tem samem się spotykali. Niewątpliwie, iż hr. Lambert niejedną sprawę tyczącą się nowego swego stanowiska, swobodnie z X. Konstantym musiał omówić. Wiadomem jest także, że do X. Konstantego się zwrócił, ażeby mu polecił jakiego Polaka, swego znajomego, na adjutanta. X. Konstanty wtenczas mu zarekomendował, Alfa Wrześniowskiego, syna doktora z Opatowa pod Sandomierzem, później studenta szkoły inżynierów wojsko-

wych w Petersburgu, nakoniec za protekcyą hr. Tomasza Łubieńskiego, inżyniera przy budowie kolei żelaznej petersbursko-warszawskiej, który pozostał na tym stanowisku w Warszawie aż do upadku Wielkiego księcia Konstantego.

W tym właśnie czasie Olga z Potockich Naryszkin ciężko zaniemogła w Baden-Baden i napisała do X. Konstantego, że radaby bardzo przed śmiercią raz jeszcze z nim się widzieć. Oprócz węzłów pokrewieństwa, stanęła mu przed oczyma tyloletnia ich przyjaźń, zaufanie, jakie ta penitentka zawsze miała do swego spowiednika, nareszcie tyle poważnych usług, które ona jemu w Petersburgu oddała. Ale trudno było myśleć o wyjeździe za granicę. Nie tajnem mu było, że miejscowa policya powiadomioną była o jego w Rewlu położeniu, które równało się lekkiemu wygnaniu i dlatego o paszporcie za granicę, o rzeczy zawsze tak trudnej dla księdza katolickiego w Rosyi, marzyć nie wolno mu było. Równocześnie prawie nadjechała hrabina Berg do Rewla w drodze za granicę, widząc X. Konstantego tak zamyślonego, zapytała się o powód jego smutku. On w odpowiedzi pokazał jej list od pani Naryszkin i opowiedział, jak bardzoby chciał do jej boku pospieszyć. Hrabina Berg pobiegła do gubernatora, ten przez wzgląd na prośby żony namiestnika finlandzkiego, wydał mu odręczne pozwolenie wyjechania za granicę i nazajutrz rano X. Konstanty towarzyszył hrabinie na statku parowym, płynącym na pełnym morzu do Szczecina. Dopiero po jego wyjeździe spostrzeżono się, iż przekroczono atrybucye miejscowej władzy i niewątpliwie miałby był z tego powodu nieprzyjemności, gdyby za powrotem nie był wszedł odrazu w stosunki z najwyższymi państwa dygnitarzami, wobec czego miejscowe prowincyonalne władze milczeć musiały. Po raz trzeci, jak w Kursku, Charkowie, teraz w Rewlu, wygnanie jego kończyło się tryumfem, a upokorzenia prowadziły do coraz większego wywyższenia.

Z sercem bijącem, po raz pierwszy od lat młodości, od czasu co przywdział sukienkę kapłańską, widział się na drodze do kraju wolności i swobody, do krain szczęśliwych pod panowaniem zachodniej cywilizacyi, i już wtenczas w dale-

kim celu podróży widział podnoszącą się kopułę grobów Apostołów, przed którymi korne swe modły zanieść postanowił. Sam opowiadał, iż wierzyć szczęściu swemu nie mógł, że po tylu wygnaniach i cierpieniach, po tylu trudach i mozołach, Bóg raczył się nad nim zlitować i dać mu jedną, może ostatnią wolności chwilę i przechadzając się po pokładzie statku, nie przestawał odmawiać słowa cudnej pieśni Przeczystej Dziewicy: »Wielbij duszo moja Pana, iż rozradował się duch mój w Bogu«.

W Szczecinie pożegnał się z hrabiną Berg, a sam zboczył do Księstwa Poznańskiego, ażeby się widzieć z niektórymi członkami swojej tam zamieszkałej najbliższej rodziny Zaraz na wstępie spotkał się przedewszystkiem z dawnym znajomym X. Janem Koźmianem, który uprosił go, ażeby chociaż na dzień jeden pojechał do Krzeszowic i Krakowa, gdzie ważne naonczas toczyły się narady. Rzeczywiście, o losach narodu tam bezwiednie i bezmyślnie, postanowienia ostateczne powzięto. Ruchy warszawskie i objawy religijne były przedmiotem rozwagi i postanowień ze wszystkich stron Polski spieszących do Krakowa przedstawicieli. Tutaj nie występowały nieznane osobistości, nieodpowiedzialne czynniki, ale samo czoło narodu. Mąż tej miary i tego szlachetnego polotu co hr. Adam Potocki, zbierał na swoim zamku w Krzeszowicach wszystkich, dla wspólnej narady, a zwabiony umyślnie z Paryża sławny hr. Montalambert, miał być świadkiem ich cierpienia i zapału, ażeby świat cały zająć nieszczęśliwą Polską, książeczką, która wyszła zaraz potem z pod jego pióra: »*Une nation en deuil*« (»Naród w żałobie«). X. Konstanty był na wstępie także przyjęty z zapałem, już to jako blizki krewny, bo brat cioteczny gospodarza, już to dla sławy, która go wyprzedziła o jego pracach, cierpieniach i stosunkach w Petersburgu. Ale spokój i porozumienie nie mogło trwać dłużej nad przywitanie, otchłań przeszłości, tradycyi, przekonań, dodajmy już dzisiaj rozwagi, dzieliły X. Konstantego od osób go otaczających. Zrodzony z familii, z której wszyscy członkowie, nawet małoletni, w powstaniu narodowem 1831 r. broń nosili, a po jego skończeniu, w przeci-

wieństwie do innych rodów, żaden na emigracyę nie wyszedł, ażeby w kraju żyć, cierpieć i pracować. Temsamem już stanęła ta familia w rażącej, czynnej sprzeczności z całym ruchem wychodźctwa, z całą emigracyą. Dalej, kiedy dopiero po ogromie klęsk 1861 r. partya, tak zwana w Galicyi krakowska, wynalazła hasło pracy organicznej, familia Łubieńskich przez swoich najwybitnejszych trzech członków, Feliksa ministra, Henryka wice prezesa banku i Jen. Tomasza, na tej podstawie już przed pięćdziesięciu laty z ks. Lubeckim rozwinęła gorączkową czynność, oddając niespożyte do dziśdnia krajowi tem usługi. Nareszcie tradycya wiary i pobożności nie dozwalała tejże familii umaczać ręce w sprawy, które wyraźnie nosiły piętno wolno-mularstwa międzynarodowego na sobie. Tak jak w chemii, dwa ciała sobie zasadniczo sprzeczne, muszą z koniecznością przy spotkaniu wybuch sprowadzić, tak zetknięcie się tego człowieka, który wyobrażał w sobie rażące przeciwieństwo ze wszystkimi czynnikami przy powstaniu współdziałającymi, musiało wywołać nieporozumienie i starcie. X. Konstanty z początku otoczony i na świadka powołany, zadziwił, przeraził wszystkich dokoła. X. Konstanty później mawiał, że tam w Krzeszowicach dopiero ujął za puls naród cały, poznał niebezpieczeństwo położenia i zmierzył siłę ruchu, która krajem całym wstrząsnąć miała. Nikt z obecnych nie zdawał sobie jasno sprawy z położenia, ani z początków ruchu, ani z wyników jego. Z jednej strony mrzonki emigracyjne, z drugiej strony uczciwe, ale nieszczęsne przodownictwo Hotelu Lambert. Tam mgliste zachcianki naśladownictwa swego wielkiego wuja u cesarza Napoleona, tu znowu dobrze obmyślany równoczesny ruch wolno-mularzy w Londynie, Paryżu, we Włoszech i samym Petersburgu, krewkość natury polskiej, ofiarność narodu, pamięć krzywd doznanych, strach przed niepopularnością lub zarzutem zdrady kraju, z niesłychanie rozluźnioną karnością w duchowieństwie niższem i zakonnem. Lawina ta już była w ruchu, żaden olbrzym nie byłby w stanie może ją wstrzymać, żaden bohater dosyć odważnym, ażeby jej opór stawić. Jeden X. Konstanty miał tę wyższość umysłu i tę niesłychaną odwagę

w Krzeszowicach, że głos protestu podniósł. Wbrew nastrojowi powszechnemu umysłów zaprzeczył, by ruch mógł być skierowanym ku celom narodowym, zaprzeczył prawdzie celów religijnych, jakimi starano się przybrać manifestacye religijne w Warszawie. Miał odwagę wobec zgromadzonych ziomków, wobec powszechnego uniesienia, powiedzieć swe zdanie, że pod płaszczykiem patryotyzmu kryją się cele rewolucyjne, że na dnie tych wypadków widoczne są podmuchy wolno-mularzy z zagranicy. Potępił w samych Krzeszowicach tradycye emigracyjne oglądania się na jakieś dyktatury i wskazówki zagranicy, potępił nadużywanie głośnego nazwiska hr. Montalamberta, ażeby obcych w błąd wprowadzać, a u własnych tym sposobem illuzye podtrzymywać. W zapale swoim nie szczędził nawet słów zaklęcia, czyniąc zebranych odpowiedzialnymi przed Bogiem i narodem za następstwa ich pychy, lekkomyślności lub i złej wiary.

Odgłos słów X. Konstantego przebiegł po całym niemal kraju i całej ziemi polskiej był znanym. Oburzył nasamprzód ogół narodu, który ufał wypadkom i w dobrej wierze w złudzenia podpadał. Oburzył przywódców narodu, bogatych magnatów i tak zwane zachowawcze stronnictwo, którzy darować mu nie mogli, że on jaśniej widział i jeden jedyny miał odwagę zdanie swoje wypowiedzieć. Oburzył dziennikarzy, którzy po większej części z pełną świadomością fałsze rozpowszechniali i służyli rewolucyi. Oburzył niższe duchowieństwo, iż śmiał wobec podniesionego nastroju, przywoływać ich do karności i posłuszeństwa względem przełożonych. Oburzył najwięcej stronnictwo ruchu międzynarodowego, które widząc się odgadniętem, oceniając w właściwej mierze siłę niepospolitą takiego przeciwnika, darować mu tego nie mogło i odtąd zawzięcie ścigać go postanowiło. Od tego dnia po wszystkich salonach, gazetach, zebraniach klubowych, zjazdach duchownych, obrzucano błotem X. Konstantego i przygotowano tę zawziętość przekonania publicznego w Polsce, która potem aż do grobu go ścigała. Stronnictwo ruchu użyło bez zwłoki czasu wszelkich sprężyn, któremi rozporządzać mogło, ażeby zgnębić przeciwnika, przeczuwając, że będzie nieubłaga-

nym ich wrogiem, zgubić go w opinii narodu, rządu, duchowieństwa krajowego i zagranicznego, nawet w umyśle samego Ojca świętego. X. Konstanty mógł był w Krzeszowicach zataić swoje przekonanie, ażeby nie zamącić ogólnego złudzenia, a sobie spokój zapewnić. Ale dusza jego, która nie wiedziała, co znaczy słowo »strach« i tylko głos sumienia i obowiązku słuchać była przywykła, sądziła, że prawda nigdy w takich razach utajoną być nie powinna. Przecież Skarga sam jeden wobec zgromadzonych posłów nie taił przyszłości, i pełnemu siły i illuzyi narodowi wskazywał na blizki dla grzechów upadek. Dzisiaj po tylu latach łzami i krwią zroszonych, jakżeż wobec zarzutów, kłamstw, oszczerstw i obelg miotanych po całym kraju, postać X. Konstantego rośnie w pojęciu naszem, a słowa jego w Krzeszowicach wypowiedziane nabierają znaczenia proroctwa, i noszą na sobie cechę natchnienia. On sam opuszczając Krzeszowice, mógł był z Pawłem św. powiedzieć. »Bo jeśli prawdę będę opowiadał, nie mam chluby, bo mię potrzeba przyciska; albowiem biada mnie, jeślibym prawdy nie przepowiadał«.

W Baden-Baden bawił przy łóżku ciotki Naryszkin i bardzo troskliwie przygotował ją do ostatniej w życiu walki, a łacno to było uczynić, bo znakomita ta pani wielkiemi cnotami zawsze się odznaczała, roznosząc pomoc, pociechę i jałmużnę, gdzie tylko ręką sięgnąć mogła, o ile tylko siły starczyły. Widząc jednak, że znaczne polepszenie w chorej nastąpiło, i że śmierć nie tak prędko prawdopodobnie nastąpi, zwierzył się przed ciotką swoją z zamiarem skorzystania z jedynej może w życiu jego sposobności, odwiedzenia Rzymu. Pani Naryszkin bardzo tej myśli przyklasnęła i opatrzywszy potrzebnemi pieniądzmi i listami polecającymi od siebie i od swojej siostry, a także ciotki X. Konstantego, hr. Kissielef, żony ówczesnego ambasadora rosyjskiego w Paryżu do wybitnych osobistości w wiecznem mieście, w drogę go wyprawiła. Pierwszą stacyą podróży był Paryż. Tutaj bardzo krótko się zatrzymał, ale z opowiadania jego wiemy, iż spotkał się u księży polskich z gronem młodzieży, i tak jak w Krzeszowicach, zaklinał ich i prosił o spokój i rozwagę. Ale przede-

wszystkiem pilno mu było do samego celu podróży i przez Marsylię morzem do Civita Vecchia podążył do Rzymu.

Trudno zaiste jest nam opisać uczucia, z jakiemi X. Konstanty stanął po raz pierwszy w wiecznem mieście. Każden, który szczęścia tego w życiu dostąpił, silił się może, ażeby należycie słowami je odmalować na to tylko, ażeby nieudolność swoją uznać i resztę niedopowiedzianych wyrazów zachwytu w cichych swych łzach stłumić. Dwa miasta tylko na naszej kuli ziemskiej mają ten przywilej, że wspomnienia z niemi się wiążące tak górują i panują nad ludzkości dziejami, iż zdaje się, że gdyby drugi potop miał jej powierzchnię całą pochłonąć, one jedne ponad wodami musiałyby się unosić, bo są to miasta święte i wieczne, to jest Jerozolima i Rzym. Tylko że w pierwszem śmierć Zbawiciela świata zakończyła okres dziejów ciemności i niewoli, ażeby drugiemu wolności ducha otworzyć, że w pierwszem mieście rzucono podwaliny wiary, która w drugiem żyje. Jerozolima spełniwszy swoje zadanie, sterczy sama nieruchoma i niezmieniona wśród skalistej swej pustyni, otoczona czcią nieustającą wieków, owiana modłami wszystkich dusz, potrzebujących krwi Przenajświętszej tam przelanej. Rzym po tylu przewrotach, na ruinach ówczesnego państwa rzymskiego, po tylu wojnach, najazdach, spustoszeniach i świętokradztwach, bije zawsze pełnym życia tętnem, nie przestaje być źródłem życiodajnego światła na świat cały, bo zadaniem jego jest po wieczne czasy, trzymać wysoko pochodnię prawdziwej wiary. X. Konstanty, który dla tej wiary cierpiał wygnania, który do tej wiary nawracał błądzących kacerzy, który szukał, pragnął, pożądał dla tej wiary śmierci i ją otrzymał, któż lepiej jak on mógł oczuć powagę, potęgę i świętość tej epoki, na której wiara od wieków spoczywa. Zaiste powiedziećby można, że dotychczas był tylko szeregowcem, kapłanem, missyonarzem i wyznawcą, i że mu na to wystarczało zwykłe posłannictwo kapłańskie. Teraz gdy miał zostać biskupem, wodzem i męczennikiem, Opatrzność przywiodła go do grobu apostołów i do tronu Jego następcy, ażeby tu inne, wyższe, doskonalsze otrzymał namaszczenie. W samotnych Sejnach żyjąc

później X. Konstanty, ażeby wypocząć umysł od ciągłej troski o dobro swych owieczek i od tego nieustającego niepokoju walki z nieprzyjaciołmi Kościoła, z największą rozkoszą powracał do swego pobytu w Rzymie, opisywał najmniejszy szczegół, lubował się w każdej widzianej drobnostce, nigdy nie wspomniał osoby wielkiej i czcigodnej Piusa IX i jego dla niego ojcowskiego serca, ażeby łzy szczere synowskiej miłości w oczach mu nie zabłysły.

Ale X. Konstanty, aczkolwiek zwykłym był sobie tylko parochem oddalonego na północy miasta, który przypadkiem, ledwie ukradkiem do Rzymu przyjechał, nie był zwyczajnym pątnikiem, jakich rok rocznie jest tysiące, obchodzących dla nabożeństwa miejsca święte, albo prostym turystą, który mógł zwiedzać ciekawości miasta z przewodnikiem w ręku. Odrazu uderzymy w miarodajną strunę nuty, która towarzyszyła jego przyjęciu i całemu pobytowi w Rzymie, jeżeli na wstępie opowiemy powitanie, jakiego doznał od kardynała Antonellego. Na drugi dzień po swojem przybyciu już miał u niego audyencyę. Gdy wchodził do wspaniałej komnaty, w której sekretarz stanu siedział przy biurku na środku pokoju stojącem; sam kardynał wcześnie powstał, podszedł naprzeciwko niego i przywitał go słowami: »*Mais il y a longtemps qu'on vous attendait ici avec impatience.* — Ależ już dawno z niecierpliwością oczekiwano przyjazdu pańskiego tutaj«. Chyba mało kto z tak nizką hierarchiczną godnością takiego przyjęcia doznał od kardynała Antonellego, którego każde słowo było tak odważone i tak obmyślane, że aż przykro było prowadzić z nim rozmowę. Wysoki, niezmiernie chudy, silny brunet, z oczami jak węgiel czarnemi, bardzo powoli i spokojnie rozmawiał, nigdy nie spuszczając zimnych jak głaz oczów z osoby z nim mówiącej, ciągle się pytał, każde zapytanie mu zadane zręcznie, niespostrzeżenie omijał, z obejściem wykwintnej grzeczności, był to skończony wzór dyplomaty z najlepszych starych włoskich czasów.

X. Konstanty poraz pierwszy w Rzymie, nie był w nim *homo novus*, człowiekiem nieznanym. Koło jego blizkich znajomych było bardzo szerokie, a jak widzimy, wszystko to

to osobistości u szczytu społeczeństwa duchownego jak świeckiego stojące. Nasamprzód całe grono przyjaciół brata jego starszego, hr. Edwarda Łubieńskiego, który prowadził z żoną swoją latami całemi wielki dom na Piazza Navona, przyjmował świat tak zwanych papalinów, to jest bezwzględnie Ojcu św. oddanych, i którzy bardzo dobrze wszystko o X. Konstantym wiedzieli. Potem O. Becks, dawny jego spowiednik, wielce wpływowy generał Zakonu OO. Jezuitów i asystent jego O. Pierling z Petersburga. O. Geaudel, generał Dominikanów, uważany za świętego w Rzymie i bawiący przy nim O. Soyard, którzy nie mogli nie pamiętać tak ścisłych stosunków i ocenić tak świeżych oddanych sobie usług. Dla nich nawet X. Konstanty zamieszkał w najbliższem sąsiedztwie sławnego ich klasztoru Dominikanów *sopra Minervam,* gdzie zwykle generał rezyduje, i w którym leży ciało św. Katarzyny seneńskiej. Księżna Zofia z Branickich Odescalchi, cioteczna siostrą Matki X. Konstantego, dama wielkiej fortuny, nie mniejszej pobożności i wywierająca znaczny wpływ nietylko na cały tak dumny świat rzymskich patrycyuszów, ale nie bez znaczenia także i poważania u samego Ojca św. O. Kajsiewicz, generał Zakonu Zmartwychwstańców, którego po raz pierwszy X. Konstanty wtenczas spotkał i ścisłą się z nim połączył przyjaźnią, bo nie można się było zbliżyć do tego żołnierza-kapłana, ażeby nie uznać czaru tej duszy, która umiała tylko walczyć miłością chrześcijańską. Arcybiskup Chigi z całą swoją książęcą rodziną. Wysoko już postawieni w kancelaryi dyplomatycznej papieskiej, monsignorowie Fianchi i Bianchi, przyjęli go z otwartemi rękoma, starając mu się wywdzięczyć za czas, który im w Petersburgu był poświęcił. Podczas swego ośmnastodniowego pobytu w Rzymie, bywał prawie co drugi dzień u kardynała Antonellego i miał trzy prywatne posłuchania u samego Ojca św. Każden potrzebował go widzieć, naradzić się z nim, wysłuchać jego zapatrywań na sprawy Kościoła w Rosyi, bo wyprzedziła go sława, która już czoło jego wieńczyła. Pamiętano o memoryale z r. 1853 X. metropolity Hołowińskiego, o tym kapłanie, który pracy missyonarskiej dla nawrócenia

Rosyi chciał się poświęcić, i który na to zezwolenie otrzymał. Pamiętano o stosunkach z legacyą arcybiskupa Chigi, lat temu nie wiele. Pamiętano o sprawozdaniach, które płynęły na ręce O. Soyard i O. Geaudell, O. Pierlinga i O. Becks, do najważniejszej kancelaryi papieskiej dla spraw Kościoła. Wiedziano najdokładniej o powodach nieporozumienia z X. metropolitą Żylińskim, wywiezienia do Charkowa i nominacyi do Rewla. Nic też dziwnego, iż X. Konstanty na jedną rzecz później gorzko się uskarżał, że prawie nic Rzymu nie zażył, że nic prawie nie widział. Nie dano mu swobody pątnika lub turysty, ale zaprzągnięto do ciężkiej dyplomatycznej pracy, bo wyjątkowe było naonczas położenie w Rzymie, wyjątkowy człowiek, jak X. Konstanty, który mógł posiadać wypróbowane już zaufanie u Stolicy Apostolskiej.

W Królestwie wypadki stanowcze nie były jeszcze nastąpiły. Jak w społeczeństwie polskiem nikt prawie nie mógł sobie zdać sprawy, skąd te tajemne ruchy i niepokoje pochodzą i do czego one właściwie dążą; tak samo rząd rosyjski nie mógł się ostatecznie zdecydować wobec agitacyi i całego położenia politycznego zagranicą, czy dać folgę zupełną żądaniom narodu, czy grozą miecza trudności zawikłanego tego węzła przeciąć. Manifestacye i ruchy natury religijnej zdawały się wyraźnie tymczasowo nad całem położeniem górować i rząd rosyjski nie mając jeszcze powodu do przedsięwzięcia w kraju ostatecznego postanowienia, i ażeby zaszachować za granicą wpływ knowań i pogróżek cesarza Napoleona, umyślił udać się do Stolicy Apostolskiej z prośbą, ażeby zechciała wydać brewe czyli list odręczy do duchowieństwa katolickiego w Polsce, potępiającego mieszanie się ich do agitacyi politycznych. Tym sposobem za jednym zachodem rząd rosyjski sądził, że byłby otrzymał uspokojenie w kraju, tak ważnego i wpływowego czynnika, jakim jest u nas duchowieństwo i powagą Stolicy świętej przerwał wszelkie mieszanie się zagranicy do spraw wewnętrznych imperium. Ażeby Stolicę Apostolską do tego kroku zniewolić, Rosya przedstawiała przez swego posła w Rzymie hr. Kissielewa, że manifestacye w kraju, pochodzą wyłącznie od tajnych

towarzystw wolno-mularzy międzynarodowych z zagranicy, które nie mają nic innego na względzie, jak tylko przewrót społeczny powszechny, który grozi bezpieczeństwu Kościoła, narodów i państwa. Z drugiej strony źródła polskie, nie urzędowe, bo urzędowego poselstwa Polska mieć nie mogła, wystawiały Papieżowi te same manifestacye jako dowód odżycia uczuć gorącej wiary pomiędzy ludnością kraju i innych cnót chrześcijańskich, zasługujących na błogosławieństwo. Starania te robione były w Rzymie jak najusilniej, nietylko przez poselstwo cesarza Francuzów, który jeszcze potrzebował dla swych celów podtrzymania niepokoju w Polsce, nietylko przez ludzi dobrej wiary i wysoką a wpływową szlachtę, którzy kraj nadewszystko kochali i wierzyli w skuteczność powstania, ale przedewszystkiem przez tak zwaną partyę ruchu, czyli tajny spisek narodowy, który potrzebował koniecznie dla swoich celów współdziałania duchowieństwa, tego na wskróś patryotycznego i najwięcej wpływowego czynnika w narodzie. W Rzymie, gdzie nigdy nic nie zapominają, i gdzie dlatego w tak świeżej jeszcze pamięci zachowano skutki brewe papieża Grzegorza XVI, które on w tych samych prawie warunkach, za usilnem staraniem cesarza Mikołaja I wydał był w r. 1832 do duchowieństwa polskiego, potępiającego jego udział w narodowem powstaniu, postanowiono z jak największą oględnością, po bardzo dojrzałem zastanowieniu się, działać. W tej właśnie chwili przypadkiem pojawił się w Rzymie X. Konstanty. Nie możemy lepiej sprawy wyjaśnić, jak przytaczając cały ustęp w tłómaczeniu z jego memoryału francuskiego do Wielkiego księcia Konstantego z r. 1866, w którym chwila ta właśnie jest opisaną:

»Wasza Cesarska Wysokość raczy sobie może przypomnąć, że zaraz po zamknięciu układów, przedsięwziętych w tym przedmiocie, przypadek opatrznościowy dla mnie, sprowadził mnie zupełnie niespodzianie do Rzymu. W audyencyach osobnych, które Ojciec św. mi udzielać raczył, a bardziej jeszcze w rozmowach, któremi mnie Jego Eminencya Kardynał Sekretarz stanu i inni prałaci, wysokie stanowiska zajmujący, zaszczycić raczyli, miałem sposobność zdać im

sprawę o ruchach umysłów, które natenczas zaczynały mój kraj niepokoić; przedstawić im mój sposób zapatrywania się na ten przedmiot i przedłożyć jakby ważnem i użytecznem było, gdyby Stolica Apostolska raczyła pośredniczyć w kierunku, któryby wzmocnił duchowieństwo polskie w walce przeciw duchowi rewolucyjnemu i utrwalił go w uczuciach lojalności względem monarchy. Takie ocenianie stanu rzeczy było bardzo odmienne od wskazówek, jakie do Rzymu w tymże czasie innemi drogami dochodziły, a nawet zupełnie było z niemi sprzeczne; pomimo to, jednak przyjęto je do wiadomości bardzo łaskawie. Jego Eminencya kardynał Antonelli raczył mi nawet powiedzieć, że jestem pierwszym Polakiem, którego objaśnienia w przedmiocie wypadków 1861 r. zrozumiał. Z mojej strony, wskutek tych różnych rozmów, mogłem sobie zdać sprawę z rzeczywistego zdania Stolicy Apostolskiej o wypadkach, zaszłych w Polsce i o obowiązkach katolików w tym kraju. Książę Aleksander Wołkoński, zaakredytowany przy królu neapolitańskim, skutkiem tego ówcześnie mieszkający w Rzymie, gdzie miał wiele dawnych stosunków i był bardzo obeznany z ludźmi i z interesami, a przed którym nie taiłem wcale moich kroków, podzielał zupełnie wrażenie przezemnie otrzymywane i upoważnił mnie, powołać się na jego świadectwo przy Jego Ekscellencyi księciu Wice Kanclerzu (Gorczakow).

»Wróciwszy z Rzymu do Baden, zastałem tam Jego Ekscellencyę pana Kissielewa, ministra rosyjskiego w Rzymie. Zdawało mi się, że obowiązkiem moim było, zdać mu sprawę z moich wszystkich kroków i rozmów w tym interesie. On nawzajem bardzo mi otwarcie mówił o układach, jakie on sam przed wyjazdem z Rzymu tamże prowadził. Wskutek wszystkich tych rozmów i wyjaśnień, doszedłem do przekonania, o którem wróciwszy do Petersburga, zdałem sprawę Jego Ekscellencyi księciu Wice Kanclerzowi, że odmówiono w Rzymie nie współdziałania w kierunku przez rząd cesarski wymaganym, ale uczynienia tego w tej formie, jaka przez pana Kissielewa była żądaną, gdyż doświadczenie nauczyło, że taka forma byłaby bezskuteczną, a nawet szkodliwą.

Jego excelencya wicekanclerz raczył mi wtenczas objawić zgodzenie się z moim sposobem zapatrywania się na ten przedmiot, a wznowienie przez samego kardynała Antonellego układów, które zdawały się już być zupełnie zerwanymi, udowodniły prawdziwości moich w tych rzeczach sądów«.

Z tego całego ustępu widocznem jest, że Ojciec św., kardynał Antonelli i inni dostojnicy Kościoła, przedewszystkiem skorzystali z przyjazdu X. Konstantego, ażeby od niego, jako męża na zaufanie zasługującego, zażądać zdania o wypadkach, o doniosłości myśli rządu rosyjskiego i wysłuchania rady jego co do dalszych a właściwych kroków. Że poglądy przez X. Konstantego wypowiedziane, były nowymi dla Stolicy apostolskiej, odmiennymi tak od sprawozdań rządu rosyjskiego, jak wszystkich innych relacyj ze źródeł polskich, a niezmiernie pouczającymi i wyczerpującymi dla Ojca św. i kardynała sekretarza stanu, tego także mamy najlepszy dowód. Zapatrywania X. Konstantego na doniosłość wypadków przygotowujących się, mieliśmy sposobność już poznać, jego zdanie o początkach i skutkach zgubnych dla Kościoła i narodu, w jego pierwszem zetknięciu się na polu politycznem w Krzeszowicach. Nie możemy przypuszczać, ażeby inaczej mógł tę sprawę przedstawiać w cztery oczy przed Ojcem św. i jego otoczeniem. Hr. Kissielew bowiem, brat ambasadora rosyjskiego w Paryżu, a sam poseł przy Stolicy świętej, żądał wydania *breve*, ujętego w wyrazach i słowach, na które Stolica św. na żaden sposób zgodzić się nie mogła, ale X. Konstanty podsunął myśl innego wysłowienia, któreby w pełni zakryło powagę Ojca św., a wpłynęło może na uspokojenie umysłów w Polsce, wśród duchowieństwa. Bez względu już na całą przeszłość X. Konstantego, która mogła była być miarą odpowiednią jego zdolności, tak Ojciec św. jak kardynał Antonelli, uderzeni jego poglądami, znajomością stosunków i ludzi, postanowili iść za jego zdaniem, i użyć go do dalszych kroków dyplomatycznych. X. Konstanty, który przyjechał, ażeby tylko w Rzymie pomodlić się, stał się niespodzianie z dnia na dzień dyplomatycznym pośrednikiem i powiernikiem, z jednej strony Kuryi, z drugiej ambasady rosyj-

skiej. Na samym początku bowiem swego przyjazdu oddał wszystkie listy z Baden-Baden od pani Naryszkin i hrabiny Kissielew, przywiezione do wysoko postawionych Rosyan urzędowych i nie urzędowych, w Rzymie zamieszkałych. W ten sposób zaprzyjaźnił się jak widzieliśmy z księciem Wołkońskim i innymi, a znając cały świat i towarzystwo petersburgskie, miał z nimi wspólnych znajomych i ciągle był przez nich zapraszany na obiady i przyjęcia. Osobiście rad był bardzo z tego, bo wyjazd jego z Rosyi był nielegalnym, wolał zatem, ażeby urzędowe poselstwa rosyjskie wiedziały o każdym kroku jego, ażeby mógł wrócić pod ich osłoną, ujść nowemu zbytecznemu prześladowaniu, na dnie którego nie byłaby żadna sprawa katolicka zasadnicza, tylko przepisy policyjno paszportowe. W ten sposób stał się tym czynnikiem nieodzownym w powyższych układach politycznych, tak zwanym w tym języku francuskim w dyplomacyi używanym *ce tierce* (»ten trzeci«), któremu można wszystko powiedzieć, przez niego o wszystko się zapytać, rzecz całą zbadać i omówić, bez najmniejszego narażenia się. Wtenczas dopiero do zupełnie ułożonej sprawy, dla jej podpisania mogą przystąpić już odpowiedzialne czynniki.

X. Konstanty pochwalał myśl nie przyjęcia żądań Rosyi tej treści w jakiej były podane, ale radził przychylić się co do samej istoty rzeczy, i jak widzimy, kardynał Antonelli poszedł za jego zdaniem, gdy zawiązał na nowo z ambasadą rosyjską układy o raz już odmówione *breve* papieskie. Ale X. Konstanty natychmiast o jeden krok dalej poszedł i podsunął myśl przy tej sposobności odpowiedzenia rządowi rosyjskiemu, że nie mając swego urzędowego posła w Rosyi, nie może mieć swoich własnych sprawozdań o dokładności zażaleń, tak ze strony rządu, jak ze strony narodu polskiego i radził za cenę takiego *breve* wytargować od rządu rosyjskiego niezmiernie doniosłej dla Kościoła sprawy, zasadniczego znaczenia, to jest nuncyatury czyli poselstwa w Petersburgu. Układy te między Stolicą apostolską a rządem rosyjskim w przedmiocie ustanowienia nuncyatury w Petersburgu posuwały się wprawdzie bardzo powoli naprzód, ale nigdy

zupełnie zerwanymi nie były. W memoryale, który X. Konstanty w r. 1867 do Stolica apostolskiej w innym przedmiocie podał, znajdujemy ten ustęp: »Stolica apostolska zawsze objawiała życzenie ustanowienia nuncyatury w Petersburgu. W roku 1861 okoliczności zdawały się być sprzyjającemi dla doprowadzenia tego do skutku. Układy przedwstępne już były uchyliły to absolutne *veto,* jakie aż do owego czasu Rosya stawiała przeciwko przyjęciu u siebie nuncyusza. Jeżeli dobrze jestem poinformowanym, monsignor Berardi wyniesiony od tego czasu do purpury, był już przez Ojca św. wyznaczonym na ten urząd. Układy te zerwanymi zostały dopiero w ostatniej chwili, skutkiem różnicy zdań w przedmiocie atrybucyj, jakie miały być nuncyuszowi nadane«. Skądinąd wiemy, o jakich trudnościach i jakich atrybucyach jest tu mowa. Rząd rosyjski będąc w niejasnem położeniu i w kłopocie niezmiernym, godził się na nuncyaturę w Petersburgu, ale nie chciał przystać, ażeby nuncyusze w Petersburgu mieli prawo znoszenia się wprost z duchowieństwem w imperyum, lub żeby mieli jakąkolwiek nad niem jurysdykcyę w sprawach procesów kanonicznych, rozwodów małżeńskich i t. d. Rzym ze swojej strony nie rad był odstąpić od tych zwyczajnych atrybucyj, przywiązanych do stanowiska i urzędu każdego nuncyusza papieskiego. X. Konstanty wtenczas przedstawiał, iż, aby zająć tak bardzo ważne stanowisko na placu boju, trzeba koniecznie wszelkich dołożyć starań, i każdą możliwą znieść ofiarę, że trzeba poświęcić chwilowo wolność znoszenia się nuncyusza z duchowieństwem, za sposobność jedyną zdawania sprawy Stolicy św. o każdym wypadku, o każdym człowieku, o każdej kościelnej sprawie i znoszenia się ciągłego nieustającego z rządem rosyjskim. Że tym sposobem możnaby nie dopuszczać do dłuższego nieobsadzania stolic biskupich, zajmowania kościołów, znoszenia domów zakonnych, przeciwko zgubnym zamiarom rządu, w każdej chwili możnaby solenny protest podnosić.

Zdanie X. Konstantego i starania jego odniosły pewien skutek i sam opowiadał, że kilkakrotnie rozmawiał z monsignorem Berardim, który od niego dokładnie chciał się pou-

czyć o ludziach i o stosunkach, które na niego czekały. Oprócz tego inni jeszcze dostojnicy Kościoła, monsignorowie Nardi i Howard, Anglik, późniejszy kardynał, proboszcz kapituły kościoła św. Piotra w Rzymie, którzy także sądzili, iż mogą być do tego poselstwa powołanymi, do niego się garnęli i o wskazówki prosili.

X. Konstanty tak zręcznie powiązał te dwie myśli: *breve* z nuncyaturą, tak umiał dokładnie o każdej sprawie wyczerpująco Stolicy apostolskiej oznajmić, a przedstawicieli rządu rosyjskiego przynaglić do ustępstw dla zapewnienia sobie spokoju w kraju, że stał się z dnia na dzień osią, około której kręciły się te sprawy. Dla tej przyczyny ciągle biegał do poselstwa rosyjskiego i tak niesłychanie częste jak dla zwykłego kapłana miewał rozmowy z kardynałem Antonellim, i posłuchania u Ojca św. Dziwne też w tej chwili byfo jego położenie, tak jak wszystko w życiu tego niezwykłego człowieka, przechodzi miarę, którą sądzić można wypadki życia przeciętnej osoby. Z jednej strony wygnaniec, w niełasce u rządu swego, bez prawnego paszportu za granicą, jest właśnie tym człowiekiem, którego urzędowe rosyjskie poselstwo wita jako zbawcę i ciągie używa do tłómaczenia swej myśli i przedstawienia swych żądań. Z drugiej strony, w rażącej sprzeczności ze zdaniem przyjętem w Watykanie i zapatrywaniem się na sprawę ruchów i manifestacyi w kraju, uważany jest jednak za klasycznego świadka i wiarogodnego męża, naprowadza kardynała stanu do wycofania się z zajętego stanowiska w sprawie *breve* i otrzymuje polecenie i rozkaz po powrocie do Rosyi działania dalej przy księciu Gorczakowie, kanclerzu, w sprawie nuncyatury w Petersburgu. Mało jest wytrawnych a starych mężów politycznych, którzyby w tak krótkim czasie bez najmniejszego do tego poprzedniego przygotowania, mogli poszczycić się tak szczęśliwem a zwycięskiem powodzeniem kampanii dyplomatycznej. Cały ten wypadek był tak uderzającym, że nie wtajemniczeni nie mogli na żaden sposób wytłómaczyć sobie przyczyny tej równoczesnej łaski i pilnego zajęcia, tak w Watykanie jak w poselstwie rosyjskiem, a nienawistne mu stronnictwo powstania ogłosiło później, że X. Kon-

stanty był tajemnym wysłannikiem rządu rosyjskiego do Watykanu. Nam, znającym najdokładniej przyczynę wyjazdu za granicę, warunki w jakich wyjechał, przypadkowy zupełnie a tak krótki pobyt w Rzymie, okoliczności, dla których wciągniętym był przez monsignora Chigi, a potem na rozkaz kardynała stanu w sprawie nuncyatury w Petersburgu, — to oszczerstwo na niego rzucone, wydaje się nawet niegodne odparcia. Zaufanie, które kardynał Antonelli w nim pokładał, i świadectwo, które na pożegnalnej audyencyi mu wydał, iż jest pierwszym i jedynym Polakiem, którego objaśnienia o wypadkach rozpoczętych r. 1861 zrozumiał, może być dla każdego wystarczającem.

Wierność i sprawiedliwość dziejopisarza każe nam tu nadmienić, że pierwsze posłuchanie, które X. Konstanty miał u Ojca św., zrazu nie zostawiło tak miłego na nim wrażenia, jakiegoby się można było spodziewać. Zwykłe posłuchania, które pątnicy do Rzymu przybywający otrzymują od głowy Kościoła, są na to, ażeby uzyskać od zastępcy Chrystusowego błogosławieństwa dla siebie i znajomych i dostąpienia tego niezmiernego szczęścia ucałowania nogi i tej ręki, która dzierży klucze Piotrowi oddane. Ale posłuchanie pierwsze X. Konstantego, które całą godzinę trwało, skierowane było przez Piusa IX. na odmienną od przyjętego zwyczaju drogę, Ojciec św. kazał mu zaraz wstać z postaci klęczącej, siąść na krzesełku i wszystko sobie opowiadać o Rosyi i o Polsce. Kto widział kiedy postać tego wielkiego zaiste papieża, ten nie może zapomnieć, jak bardzo gorąco wszystkiem się przejmował, każdą rzecz odczuwał żywo i głośno, wymownie i wspaniale każdą sprawę podnosił. Nagabywany przez podstępne podjazdy dyplomacyi rosyjskiej, przejęty cierpieniami i uciskiem Kościoła pod tym rządem i stronniczemi bardzo przedstawieniami manifestacyi z Polski płynącemi, w bardzo trudnem, kłopotliwem był położeniu, ale serce jego wielkie i królewskie, ciągnęło go do maluczkich i cierpiących, prześladowanych i uciśnionych, bo czuł, że tam pasterskiej opieki osaczone jego owieczki muszą potrzebować. Trzeba pamiętać, że Pius IX. dnia 16 marca 1861 r. w swojej prywatnej kaplicy

odprawił mszę św. za 5-ciu poległych warszawskich, pomimo tego, że jeden z nich był kalwinem, to jest heretykiem, a drugi przez wiele lat potem jeszcze żył przy najlepszem zdrowiu. Kiedy X. Konstanty zapytany musiał mu przedstawić z wyrazami największej pokory, iż nie wszystko jest zgodnem z dochodzącemi go jednostronnie sprawozdaniami, i z wyrobionem już prawie u niego przekonaniem, obruszył się niezmiernie. W zapale dyskusyi wziął do ręki dzieło Lescoeur'a, które na jego biurku przed nim leżało i zawołał: »*Alors tout ceci n'est pas vraie?*« (»Więc to wszystko nie jest prawdą?«) X. Konstanty natychmiast odrzekł: »*Les faits relatés sont vrais, mais l'esprit du livre est faux*«. (»Wypadki opowiedziane są prawdziwe, ale kierunek ducha książki jest fałszywy«). Słynną w historyi nowoczesnej pozostała pamięć spotkania się papieża Grzegorza XVI. z cesarzem Mikołajem I., i jak ten nieugięty despota uciekał prawie przez sale Watykanu z gabinetu starego zakonnika, gdy ten z powagą majestatu następcy Piotra, skarcił go za prześladowanie wiernych w jego państwie. Cóż powiedzieć o uczuciach X. Konstantego, który zamiast wyrazów miłości, czci i uwielbienia, serce jego przepełniające, musiał z rozkazu najwyższego wypowiadać zdanie w sprzeczności zostające z wiadomościami, dotychczas przez Ojca św. otrzymanemi. Najcięższa to była chwila życia jego, i tylko niezmiennemu przekonaniu sumienia, iż wypełnia swój obowiązek, przypisywał sam potem, że miał odwagę wytrzymać tę godzinę, sam na sam biedny prosty kapłan, wobec najwyższego na kuli ziemskiej majestatu. Na chwilę nie wypada sądzić, iż Pius IX. miał powód do cienia niezadowolenia z X. Konstantego, tego najlepszy dowód, że wbrew wszelkim zwyczajom dworskiej etykiety i niesłychanej Ojca św. pracy, dwa razy jeszcze w tak krótkim czasie udzielał mu potem audyencyi, że pokładał w nim całe swoje zaufanie, i w parę lat później przy bardzo drażliwej sprawie kolegium petersburgskiego, jak później zobaczymy, nie odstępując od swego zdania, ojcowską otaczał opieką i troskliwością X. Konstantego. Pius IX. był niezmiernie żywego, ognistego temperamentu, nigdy na chwilę myśli swojej nie

ukrywał, żadne słowo nagany nie spotkało X. Konstantego, ale sam widok Ojca św. zaniepokojonego jego słowami, już był niewymowną boleścią dla serca X. Konstantego.

W podobnej raz okoliczności znalazł się drugi także kapłan Polski. Przy pewnej sprawie kościelnej nastąpiło porozumienie pomiędzy kardynałem Antonellim, a dworem królewskim pruskim. X. Jan Koźmian, który wtenczas był prostym tylko kapłanem, z polecenia X. Prymasa gnieźnieńskiego pojechał do Rzymu, ażeby starać się obalić całą ułożoną już sprawę. Otrzymawszy bez wiedzy kardynała Anionellego audyencyę u Ojca św., zaczął mu przedstawiać krzywdę wyrządzoną Kościołowi polskiemu, gdyby sprawa ta przeszła, X. Koźmian sam nam opowiadał, że drżał cały na samą myśl, iż ośmielił się poselstwa tego podjąć. Pius IX. obruszył się na pierwsze słowa X. Jana, ale powoli zaczął w myśl jego wchodzić, nareszcie kazał mu sobie towarzyszyć do ogrodów watykańskich i tam wspierając się na ramieniu X. Koźmiana, dwie godziny z nim się przechadzał i polecił rzecz całą sobie wyłuszczyć. Układy z dworem pruskim zostały na drugi dzień zerwane.

X. Konstanty opatrzony błogosławieństwem Ojca św. na dalsze życia koleje i z rozkazami od kardynała Antonellego w jakim kierunku ma dalej w tych dwóch sprawach działać, a które znalazły wyraz w memoryale, jaki niebawem po powrocie do kraju wręczył przy sposobności księciu Gorczakowowi, kanclerzowi, opuścił Rzym w pierwszych dniach września 1861 r., ażeby nigdy już w życiu w nim więcej nie postać.

Wypadki powyżej opisane należą już dzisiaj jakoby do dalekiej bardzo przeszłości. Trudno w przypuszczenia się bawić czy wydanie takiego *breve* lub allokucyi do duchowieństwa polskiego, odniosłyby były pożądany skutek. W r. 1831 wystąpienie Grzegorza XVI. do duchowieństwa polskiego tak ujemne wrażenie po sobie zostawiło, że nawet w bullaryum rzymskiem *breve* to z rozkazu czy Leona XII. czy Piusa IX. nie zostało umieszczone. W r. 1882 wskazówki dane przez Leona XIII. kapłanom irlandzkim za wstawieniem się rządu

angielskiego, dodatnio wpłynęły na uśmierzenie niepokoi fenianów. Sprawa nuncyatury w Petersburgu w pierwszej połowie 1862 roku była o tyle już posuniętą, że monsignor Berardi gotował się do podróży, i że uproszona przez niego osoba, to jest tenże sam X. Konstanty, oglądał się za wynajęciem stosownego pomieszkania dla nuncyusza w stolicy Rosyi. Wypadki późniejsze warszawskie, wszystkie układy o *breve* przerwały i sprawę nuncyatury zostawiły do dziś dnia nie załatwioną. Stronnictwo moskiewskie przyszło do władzy w Petersburgu, oglądania się na głosy zagranicy ustały, rząd oskarżył Rzym, że nie potrafił utrzymać duchowieństwa polskiego w należytem posłuszeństwie i dlatego przywrócenie tego porządku sam w swoje ręce wziąść musi. Czy X. Konstanty, wbrew wszystkim przeciwnym zdaniom, miał słuszność ze względu na dobro Kościoła i narodu czyniąc starania jak najusilniejsze, ażeby nie dopuścić do zerwania układów Rzymu z Rosyą, ale to porozumienie koniecznie na możliwych choćby tylko podstawach do skutku doprowadzić — smutne rzeczy następstwa wymownie pouczają, i za najświetniejsze świadectwo jego rozumu, przezorności i odwagi służyć muszą.

Z Rzymu podążył X. Konstanty do Baden-Baden, ażeby tam raz jeszcze w życiu odwiedzić ciotkę swoją p. Naryszkin, udzielić jej pociechy religijne i na zawsze się z nią pożegnać. Wkrótce potem zakończyła ona tam pobożnie życie. Potem jechał dalej przez Wiedeń i zatrzymał się w tem mieście jedynie na to, ażeby poznać bawiącego tam X. metropolitę unickiego lwowskiego, kardynała Litwinowicza. Zarzuty dotykające w sposób ubliżający godności tego księcia Kościoła, a mianowicie pod względem chwiejności w rzeczach wiary, ogłoszone natarczywie przez wszystkie organa krajowe, skłaniały X. Konstantego do przekonania się osobiście, o ile zarzuty te są uzasadnione. Sposoby zapatrywania się tych dwóch mężów na sprawę rusińską były bardzo do siebie zbliżone, a obydwóch kierowała zarówno we wszystkich krokach, głównie myśl jedności Kościoła i służby Bożej, porozumienie zatem i zawiązanie stosunków było łatwe, gdy się takowe na obopólnym szacunku opierały. W ciągu reszty życia X. Kon-

stanty bronił przy każdej sposobności X. kardynała Litwinowicza, któremu pewne stronnictwo, mieniące się być jedynym przedstawicielem interesów Polskich, zarzucało, że jest w duchu moskiewskim usposobionym, a nie widziało w nim następcy apostołów, dla którego względy polityki chwilowej były drugorzędnymi, i który stawał w obronie praw narodowości rusińskiej, by sparaliżować intrygi dworu moskiewskiego, które oczywiście schizmę za sobą wiodły.

X. Konstanty po drodze zatrzymał się bardzo krótko w Krakowie, gdzie tak gościnnie i z odznaczeniem przyjął go, jak już widzieliśmy, X. biskup Łętowski i pojechał do Gniezna, ażeby objąć probostwo tamtejszej kaplicy Łubieńskich. Dzieje tej fundacyi w krótkości są następujące: Jan Hebda de Niewiesz herbu Pomian, kanonik gnieźnieński i poznański, który umarł 1454 r. wybudował i wyposażył przy archikatedrze gnieźnieńskiej kaplicę, która od tego czasu nosiła nazwę Hebdów. Z biegiem czasu kaplica ta uległa wielkiemu zaniedbaniu i zniszczeniu. Gdy Maciej Łubieński został arcybiskupem i prymasem, wobec tego że Łubieńscy pochodzili w prostej linii od Jarandów i Hebdów, znanych zaszczytnie rodów za czasów Piastowskieh, powołał się na swoje pochodzenie i otrzymał tę kaplicę od kapituły katedralnej. Przyłączył do niej drugą, zwaną królewską, przez Piastów założoną, która także groziła ruiną i razem je połączywszy za zezwoleniem kapituły, stworzył jedną nową kaplicę Łubieńskich, przy prawej bocznej nawie, tuż obok Złotej bramy przez Chrobrego z Kijowa przywiezionej. Bogato dobrami ją uposażył, dla utrzymania proboszcza, jego zastępcy i sześciu wikaryuszy, którzy mają obowiązek codziennie śpiewać *Officium parvum de Beata* czyli Godzinki do Matki Boskiej, i odprawić śpiewaną wotywę także do Przeczystej Dziewicy na intencye żywych i umarłych członków familii fundatora. Kapituła metropolitalna wywdzięczając się za liczne dobrodziejstwa doznane z rąk tego znakomitego Pasterza, nadała wieczyste prawo każdemu nowemu proboszczowi zasiadania w stalach chóru, bezpośrednio obok kanoników. Proboszczem może być tylko członek rodziny Łubieńskich, i od czasu usta-

nowienia fundacyi nigdy nie zabrakło kapłana w rodzie dla wypełnienia tego miejsca; dzisiejszym jej właścicielem jest X. Zygmunt hr. Łubieński z Warszawy. Jedyna ta w swoim rodzaju duchowna ordynacya, dla familii wielce zaszczytna, gdzie przez tyle już wieków służba Boża nigdy nie ustała, ale dzień w dzień za pośrednictwem Przeczystej Dziewicy chóry kapłanów do Najwyższego Tronu za potrzeby doczesne i wieczne rodziny modły zanoszą. Pierwsza ta najstarsza i najwspanialsza katedra, macierz wszystkich kościołów polskich, niezmiernie wiele zawdzięcza Łubieńskim. Dwukrotnie po doszczętnem spaleniu, raz przez nieprzyjaciół ojczyzny, drugi raz wskutek wypadku, staraniem i kosztem dwóch prymasów Łubieńskich, zupełnie odbudowaną i odrestaurowaną została. Prócz tego Maciej Łubieński 1705—1770, archidyakon krakowski, dziekan warmiński i kanonik gnieźnieński, poseł od rzeczypospolitej do Rzymu, Wenecyi i Neapolu, własnym sumptem wystawił wspaniały srebrny grób i ołtarz apostoła naszego św. Wojciecha, który stoi we środku katedry, tak jak grób św. Stanisława na Wawelu, tylko że stylem konfesyę św. Piotra w Rzymie przypomina.

X. prymas Przyłuski d. 17 września 1861 roku wydał rozporządzenie do kapituły metropolitalnej, ażeby przystąpiła do instalacyi X. Konstantego na probostwo familijne, opróżnione śmiercią X. biskupa Tadeusza Łubieńskiego. X. Konstanty zjechał się w Poznaniu z X. Wincentym Popielem, który pod Gdańskiem u wód morskich na niego czekał i razem z nim i z X. Janem Koźmianem, X. proboszczem Prusinowskim, Adolfem Koczorowskim, bratem swoim Edwardem hr. Łubieńskim i młodymi synowcami Henrykiem, Rogerem i Ludwikiem do Gniezna pospieszył. Tam odbyła się uroczysta jego instalacya i nastąpił obiad dla całej kapituły i zebranych gości, gdzie liczne wychylono zdrowia starym bardzo węgrzynem, z piwnic tej wielce zachowawczej kapituły, poczem X. Konstanty natychmiast do kraju powrócił.

Rozdział VIII.

ŚMIERĆ X. ARCYBISKUPA FIAŁKOWSKIEGO. ZAMKNIĘCIE KOŚCIOŁÓW W WARSZAWIE. X. KONSTANTEGO W TEM UDZIAŁ. ODMOWA GODNOŚCI ARCYBISKUPA WARSZAWSKIEGO. ZNAJOMOŚĆ Z MARGRABIĄ WIELOPOLSKIM. WYJAZD Z MARGRABIĄ DO PETERSBURGA. PIERWSZY MEMORYAŁ DO KS. GORCZAKOWA. NOMINACYA X. FELIŃSKIEGO NA ARCYBISKUPA. DRUGI MEMORYAŁ DO KS. GORCZAKOWA W SPRAWIE NUNCYATURY I WIZYTATORÓW ZAKONNYCH. POWRÓT DO REWLU. SKŁADA PROBOSTWO WSKICKIE. POWOŁANY DO KRÓLESTWA NAPOWRÓT. PODRÓŻ PRZEZ KIJÓW DO WARSZAWY.

(1861—1862).

Na pełnym oceanie gdy huragan się zbliża, przedtem czas niejaki złowrogie świstania wichrów się odzywają, pieniące się bałwany coraz to wyżej i wyżej się wznoszą, aż nareszcie jeden olbrzymi z krociowym swoim ciężarem wpada na trzeszczący we wszystkich swych członkach statek, cały wierzchni pokład zalewa, zwiastuje sam początek wielkiej rozszalałej burzy. Wtedy wśród zamętu ogólnego, płaczu kobiet, rozrzuconych i walających się przedmiotów, niepodobieństwem utrzymania równowagi, wycia strasznych elementów, zgiełku marynarzy, wszyscy prawie tracą przytomność. Kto nie myśli o własnem wyłącznie bezpieczeństwie, na swoją rękę stara się zapobiedz nieszczęściu, rozkazy dowódców doświadczonych wcale nie dochodzą, albo zupełnie usłuchane nie są — statek oddany na pastwę bałwanów jednym nieopatrznym zwrotem, wystawieniem na chwilę bocznej ściany od strony burzy, niechybnie zginąć musi, jeżeli kapitanowi i wyższym oficerom

zabraknie spokoju i odwagi, ażeby zaprowadzić ład i porządek, silną dłonią ująć ster, bez opieki zostawiony, od czego bezpieczeństwo i życie załogi zależy.

Tak samo statek narodu polskiego już od dłuższego czasu słyszał zbliżające się zwiastuny niepokoju i zapowiedzi burzy, ale dopóki jeden wielki stanowczy wypadek nie przyszedł całym nim wstrząsnąć, ogół nie tracił jeszcze nadziei przebycia szczęśliwego wypadków, bo nie znał siły olbrzyma powstania, co miał w niego uderzyć, nie zdawał sobie sprawy ze stanu umysłów ludności, którzy mieli mu opór stawiać. Dopiero gdy burza zaczęła z całą gwałtownością szaleć, ogólny powstał zamęt, płacz kobiet, jęk dzieci, jedni ratowali tylko własne mienie, drudzy samopas rzucali się do ratowania na swoją rękę dobra publicznego. Doświadczonych dowódzców zabrakło, ci, których Opatrzność nam wskazywała, swym nawoływaniom do rozwagi, posłuszeństwa, rozsądku, posłuchu wśród szału ogólnego już nie znaleźli. Próżne były wysilenia ludzi rozumnych, marne także zachcianki ludzi dobrej woli, bohaterskie poświęcenia i najwięcej zbrodnicze knowania, w jednej bezdennej przepaści ogólnego bezładu tonęły. Wszyscy zarówno, i biali i czerwoni i pragnący powstania i opór jemu stawiający, porwani i z pokładu statku narodowego burzą zostali zmyci, tylko naród jeden, który zginąć nie może, długiej i mozolnej nader pracy poświęcić się musi, ażeby powetować straty, spustoszenia i ruiny, tą jedną straszną bezrządu chwilą zrodzonych.

Dnia 1 października 1861 r. X. Konstanty stanął z powrotem w Warszawie. Czcigodny X. arcybiskup Fiałkowski leżał już śmiertelną złożony chorobą, ale miał jeszcze dosyć siły, ażeby dać pasterskie swe błogosławieństwo X. Konstantemu, któremu niektóre mniejsze święcenia był udzielił i którego zawsze bardzo kochał. Ze stryjem X. Konstantego, X. biskupem Tadeuszem hr. Łubieńskim, najściślejsza przez całe życie łączyła go przyjaźń i on to wkładał mu w r. 1858 paliusz arcybiskupi w kościele św. Jana w Warszawie. Umarł d. 5 października 1861 r. dręczony wyrzutami sumienia, że nie umiał utrzymać niepodległości i godności Kościoła w Pol-

sce wobec zabiegów stronnictwa ruchu, nurtującego coraz silniej krajem, że nie umiał utrzymać w przyzwoitej karności duchowieństwa, biorącego coraz bardziej udział w niepokojach krajowych. Był świadkiem ohydnego czasopisma, wydawanego potajemnie przez X. Mikoszewskiego, młodziutkiego wikarego przy kościele św. Aleksandra w Warszawie, pod tytułem »Głos kapłana«, jawnie zapowiadający kierunek odszczepieńczy od samej głowy Kościoła. Był świadkiem zresztą publicznego zgorszenia przez obelgę wyrządzoną w Łęczycy, a zatem w jego dyecezyi, X. biskupowi kujawsko-kaliskiemu Marszewskiemu. Odebrać musiał adres obywatelstwa na jego ręce, już ciężką chorobą złożonego, oddanego, w którym zamiast szczerego oburzenia nad wypadkiem, łagodzono donioslość jego i uniewinniano pospólstwo łęczyckie, a pod pokrywką żalu ośmielano się przestrogi i nauki dawać biskupom i księżom. Poniósł też do grobu solenną protestacyę, którą na próżno chciano wtenczas przygłuszyć, przeciwko tym wszystkim zdrożnościom, i w ostatnich chwilach życia, żal szczery za słabość swoją wyrażał.

Eksportacya zwłok X. arcybiskupa Fiałkowskiego nastąpiła 10 października 1861 r. Nazajutrz złożono je do grobów w katedrze warszawskiej, ceremonia ta była jedną z największych manifestacyj patryotycznych owego czasu. X. Konstanty przedtem jeszcze wyjechał do Pokrzywnicy do swego ojca na czas krótki, ażeby niebawem do Warszawy powrócić i parę tylko dni zabawić. W Warszawie nie mógł nie być u tak dobrych swoich znajomych, jakim był hr. Lambert, namiestnik cesarski i Enoch, rozumem i stanowiskiem najwięcej wpływowy człowiek w stolicy kraju, bodaj czy nie ukryty sprawca i inicyator całego programu Wielopolskiego. Wypadki tymczasem z gorączkowym pośpiechem następowały po sobie. Równocześnie z pogrzebem X. Arcybiskupa odbyła się słynna manifestacya na uczczenie unii pod Horodłem, wskutek czego rząd ogłosił 14 października 1861 r. stan oblężenia i zakaz wszelkich manifestacyj. Ale już na dzień następny d. 15 października, naznaczona była wielka manifestacya na uczczenie 40-letniej rocznicy śmierci Kościuszki. Władze nie przedsię-

brały żadnych środków ostrożności poprzednio, ale po zapełnieniu kościołów publicznością zaczęto wojsko po ulicach ściągać. Wszystkie jednak kościoły nie dosyć wcześnie lub nie dosyć dokładnie zostały obsadzone, ażeby przeszkodzić opróżnieniu się ich przez wiernych i ciekawych. Tylko dwa kościoły: katedralny i Bernardynów, najbliżej Zamku królewskiego stojące, tak dobrze obsaczonymi zostały, że z nich wyjść nie można było bez popadnięcia w ręce policyi. To też ludzie z nich nie wyszli, przeciwnie zatarasowali się w nich, śpiewali, jedli, a potem spali — i dopiero nazajutrz rano, drzwi tych kościołów zostały przez wojsko wysadzone i kościoły opróżnione, przyczem kobietom dozwolono rozejść się do domu, a mężczyzn w liczbie 2.600 zapędzono do cytadeli. Niesłychana burza powstała w umysłach stolicy. Po śmierci X. arcybiskupa Fiałkowskiego X. prałat Białobrzeski obrany został 12 października 1861 r. administratorem dyecezyi, kapłan ze wszech miar zacny i godny, ale wiekiem już starszy, podległy obcym wpływom i przedewszystkiem nie na wysokości położenia w tak rzeczywiście trudnych warunkach. Sam nic decydować nie śmiał, we wszystkiem oglądał się na zdania drugich, na krzyki uliczne, i na rady czterech młodziutkich księży: Dziarzkowskiego, Siekluckiego, Steckiego i Wyszyńskiego. Z tych czterech dwaj ostatni byli najwięcej zapaleni do idei powstańczych a X. Wyszyński był z nich najzdolniejszym i w najlepszej wierze z przekonania działał. X. prałat Białobrzeski pod naciskiem tych wszystkich czynników zasiągnął w ciągu dnia 16 października zdania kapituły metropolitalnej, X. biskupa Dekerta sufragana, X. Juszyńskiego, biskupa sandomierskiego i X. Majerczaka, administratora kieleckiego, obecnych w Warszawie dla odbywającej się sesyi rady stanu, i rozkazał wszystkie kościoły w Warszawie na drugi dzień 17 października zamknąć, i wyznaczył komisyę z czterech księży złożoną, pod przewodnictwem X. kanonika Rzewuskiego, ażeby zbadali, czy te dwa kościoły nie zostały sprofanowane i czy nie potrzebują rekoncyliacyi. Gdy wiadomość o tym rozkazie doszła do Zamku, oczywiście obu-

rzenie władz rządowych było niezmierne i naradzano się, jakich środków represyi należy się chwycić.

W tej chwili X. Konstanty wmieszał się do całego wypadku, zaczął najusilniej wystawiać hr. Lambertowi, przez którego w każdej chwili był prywatnie przyjmowanym, iż postępowanie nieopatrzne ze strony rządu, musiałoby sprowadzić natychmiastowy a gwałtowny wybuch rozgorączkowanej opinii, że położenie X. Administratora jest niesłychanie trudnem a nawet niebezpiecznem, że tylko zgoda i porozumienie władzy świeckiej i duchownej może na uspokojenie opinii z powodzeniem działać. Wpływem swoim osobistym X. Konstanty wymógł niepoczynienie jakiegokolwiek surowego kroku ze strony rządu. Uzyskawszy to pobiegł do X. prałata Białobrzeskiego i tak długo u niego bawił, dopóki nie namówił go, ażeby się udał do hr. Lamberta z biskupami Dekertem, Juszyńskim i X. Majerczakiem, i wspólnie z nim do zgody rzecz całą ustnie przeprowadził. Na zamku wśród tej pamiętnej rozmowy, przy której obecnym był X. Konstanty, hr. Lambert obiecał X. Administratorowi kazać zmienić rozporządzenia wydane do władz w przedmiocie otaczania wojskiem (wydane przed manifestacyą Kościuszkowską) i dał tę obietnicę swoją na piśmie. X. Administrator przyrzekł nawzajem, że wyda rozkaz otworzenia wszystkich kościołów.

Uzyskawszy już tyle zwrócił się X. Konstanty teraz do dwóch najwięcej zapalonych, ale najrozumniejszych kapłanów ze stronnictwa ruchu i ludzi dobrej wiary X. Steckiego a szczególnie ks. Wyszyńskiego i po kilkagodzinnej rozmowie najzupełniej ich przekonał, że są na zgubnej drodze. Ażeby nie tracić czasu o godzinie 11-tej wieczór dnia 17 października udali się we trzech do X. prałata Białobrzeskiego, który ich przyjął już w łóżku. X. Konstanty najwymowniejszemi, na jakie mógł się zdobyć, słowy, wystawił raz jeszcze X. Administratorowi, bardzo niespokojnemu o skutki zamknięcia kościołów i o własne osobiste bezpieczeństwo, niewłaściwość tego postanowienia. Przedstawił mu, że o ile zamknięcie dwóch zgwałconych kościołów, dla przekonania, czy potrzebują być poddane ceremonii rekoncyliacyi, było koniecznem, o tyle

zamknięcie innych kościołów musiało tylko rząd drażnić a wiernych w najsmutniejszem postawić położeniu. Namawiał go, ażeby tej nocy zaraz wydał rozkaz otworzenia kościołów, dlatego ażeby, skoro to otworzenie było namiestnikowi znanem, miał ten dowód gotowości wykonania jego obietnic i zniewolić tem samem rząd do wykonania obietnic X. Administratorowi przez hr. Lamberta danych. Wskazał mu, że zamknięcie kościołów wszystkich jest środkiem sięgającym do stosunków wszystkich nawet najniższych warstw społecznych, że musi za sobą pociągnąć nie obliczone skutki, trudności niezmierne kanoniczne w udzielaniu niezbędnych Sakramentów chrztu i ostatnich olejów, i popchnąć rozgorączkowane tłumy na ulice, do szynku, do dyskutowania rozporządzeń władzy duchownej i świeckiej, do czegoż przecież w tej chwili ani powołania i zdolności, ani potrzebnego spokoju i wykształcenia nie mieli. Nie można się było oprzeć sile tej wymowy i ścisłości tego wywodu. X. Administrator byłby może nie dowiarzał X. Konstantemu, nie znając go dostatecznie, słysząc że jest odmiennego od wszystkich zdania, ale widząc X. Steckiego i X. Wyszyńskiego, najzagorzalszych głów przed chwilą, którzy teraz każde zdanie X. Konstantego potakiwali, we wszystkiem mu racyę przyznawali i do jego prośby swoją dołączyli, zdecydowały X. Białobrzeskiego, który zadzwonił, kazał zbudzić księdza Czajewicza, sekretarza konsystorza, ażeby mu podyktować rozkaz otwarcia napowrót kościołów. Rozkaz ten tej samej nocy księża Łubieński, Wyszyński i Stecki obowiązali się rozwieść i wszystkim proboszczom do rąk własnych wręczyć. Zbudzony ksiądz sekretarz Czajewicz, nie mając wielkiej ochoty do pracy, siadł do biurka i uczynił uwagę, że X. prałat Białobrzeski nie mógł wydać takiego odwołania, wobec tego, że pierwsze rozporządzenie opierało się na uchwale Kapituły. Znowu nie pewny siebie umysł X. Białobrzeskiego się zachwiał. Napróżno X. Konstanty już mu wystawiał, że podług prawa kanonicznego, on jako administrator nie może być krępowanym żadną uchwałą kapituły w zarządzie dyecezyi, że to nie było nawet uchwałą tylko radą kapituły, o zdanie zapytanej. Widmo kapituły i rozhukanego kleru sta-

nęło przed oczami X. Białobrzeskiego poza postacią X. sekretarza Czajewicza i na żadne postanowienie nie zdobywszy się, odłożył rzecz całą do drugiego dnia rano.

Nazajutrz rano, to jest 18 października gazeta policyjna czyli też inny dziennik za organ rządowy służący, ogłosił nowe drakońskie rozporządzenia na przypadek jakichkolwiek manifestacyj po kościołach. Rozkazy te oczywiście nie były zgodnymi z tem, co hrabia Namiestnik był X. Administratorowi obiecał. X. Konstanty udał się też na Zamek, i mówiąc o tem ogłoszeniu, dowiedział się że hr. Lambert nic zgoła o niem nie wie i dopiero sam X. Konstanty musiał na ulicę wybiedz, ażeby własnoręcznie mu to przynieść. Tutaj położenie stało się bez wyjścia. Hr. Lambert bał się skompromitować do reszty rząd, który i tak ani taktem, ani stanowczością nie grzeszył, przez odwołanie dopiero co ogłoszonych rozporządzeń, które bez jego wiedzy postanowione i wydane zostały. Przyszedł na to do hr. Lamberta odpowiedzialny za te rozporządzenia jenerał Gerstenzweig; nastąpiło gwałtowne starcie między nimi, mówią nawet że czynna obelga, która tylko pojedynkiem amerykańskim mogła być zmytą. Przez adjutanta, jedynego zajścia tego świadka podana chustka wskazała węzełkiem, że jenerał Gerstenzweig ma żyć przestać, oddalił się on więc do swego mieszkania w pałacu Brühlowskim, i stojąc przy oknie wychodzącym na ogród saski, dwie kule z rewolweru w głowę sobie wystrzelił.

Tego samego dnia i równocześnie z wypadkami w Zamku odbywała się narada w salach konsystorskich przy ulicy Miodowej. Oprócz kilku zaledwie kanoników, było kilkunastu młodziutkich księży wikaryuszy, a najwięcej ludzi świeckich, razem co najmniej ze 300 osób. X. prałat Białobrzeski zapytywał się, czy wobec obietnicy danej na piśmie przez hr. Namiestnika, nie wypadałoby cofnąć nakazu co do zamknięcia kościołów. Z drugiej strony wskazywano na najnowsze rozporządzenie rządu. Oburzenie było wszechstronne, a umysły do najwyższego stopnia podniecone. Z kanoników żaden głosu nie zabierał oprócz jednego ks. Topolskiego, który tylko zaznaczył, że rozkaz zamknięcia kościołów sprzeciwia się pra-

wom kanonicznym. Za to młodzi wikaryusze wszechstronnie sprawę przemówieniami swojemi wyświecili, domagając się, ażeby w niczem nie uronić praw uciśnionego Kościoła i uczuć świętych patryotycznych, ale owszem do ostateczności rząd doprowadzić i do uległości zmusić. Tak samo świeckie osoby głos swobodnie zabierały i czynny udział w całem posiedzeniu brały. X. Konstanty był wtenczas na sali, a widząc, że wszyscy głos zabierają, także się do głosu zapisał i jak mówi relacya naocznego a wiarogodnego świadka całego posiedzenia, która leży przed nami w tej chwilii, w sposób spokojny i wyłącznie na prawie kanonicznem się opierając, starał się wykazać, że zamknięcie wszystkich kościołów w mieście nie może być z prawnego stanowiska obronionem, że niezmiernie utrudni posługę duchowną dla wiernych i skończył bardzo pokorną prośbą wprost do prałata Białobrzeskiego skierowaną, ażeby raczył dać rozkaz otwarcia na nowo kościołów. Ogromna większość zgromadzenia postanowiła nakaz zamknięcia kościołów utrzymać. Zaraz prawie potem księży Wyszyńskiego i Steckiego, pomimo że już milczeli, zaaresztowano, X. prałata Białobrzeskiego także do cytadeli odwieziono i niebawem na śmierć skazano.

Udział X. Konstantego w sprawie tak zwanej w dziejach powstania zamknięcia kościołów, bardzo szeroko był omawiany i dla niego niezmienne za sobą pociągnął skutki. W Krzeszowicach spotkał się po raz pierwszy z partyą zachowawczą, ze stronnictwem, które liczyło na pomoc cesarza Francuzów, wmieszanie się europejskiej dyplomacyi i sądziło, że wpływem, dostojeństwami, fortuną i nazwiskami potrafi pokierować nawą powstania — i z nimi X. Konstanty zgodzić się nie mógł. Tutaj w Warszawie po raz pierwszy stanął oko w oko ze stronnictwem komitetu powstania, który zaraz potem ogłosił się jako Rząd Narodowy. Właśnie czyniono wszelkie wysilenia, ażeby duchowieństwo do ostateczności skompromitować wobec rządu, ażeby pod zasłoną jego wystąpień i rzekomego zapału religijnego, doprowadzić umysły ludności do tego stopnia wrzenia, na którym powstanie się rozpoczyna. Wtenczas zjawił się X. Konstanty, który łago-

dząco chciał działać na umysły, doprowadzić do porozumienia pomiędzy władzami świeckiemi a duchownemi, który w dyskusyach o rzeczach Kościoła nie używał słów, które na podniecone umysły tłumu mogły działać, ale z prawem kanonicznem w ręku, o potrzebach wiernych i o obowiązkach duchownych mówił. W tej danej chwili nie było gorszego, nie było straszniejszego wroga komitetu narodowego nad X. Konstantego. Nie był to charakter niezdecydowany X. Białobrzeskiego, ani mało odważny X. Topolskiego, ani umywający sobie od wszystkiego w tej chwili ręce jak margrabia Wielopolski, ani nie umiejący sobie poradzić, znękany hr. Lambert namiestnik, — ale człowiek spokojny, umysł przenikliwy, charakter nadewszystko szalonej odwagi. Jak X. arcybiskup Popiel powiedział, trzeba było mieć serce bohatera, gdy wszyscy od namiestnika do ostatniego ulicznika, drżeli ze strachu, bo terroryzm nie znał granic, wtedy tak przemówić jak on na posiedzeniu w konsystorzu. To też stronnictwo ruchu o wszystkiem innem zapomniało, ażeby zniszczyć, zniweczyć, zohydzić tego przeciwnika. Nie mogąc jednak żadnego zarzutu wynaleść ani w jego osobie, ani w jego postępowaniu, zapytało się jakiem prawem wmieszał się do nieswojej rzeczy, kiedy nawet nie był kapłanem dyecezyi warszawskiej tylko mohilewskiej i przypadkiem w przejeździe tylko znajdował się w mieście. Obelga, że jest agentem rządu lub zdrajcą, nie znalazłaby może ogólnej wiary, ale taki zarzut trafił do przekonania nawet umysłów spokojnych i pozostał z pamięcią X. Konstantego w dziełach, jednostronnie pisanych, związanym. Wyświecenie dokładne sprawy całej, jak widzimy, zupełnie odmienne wrażenie nam zostawia.

X. Konstanty nie był przez dłuższy czas przedtem w kraju, do niczego nie należał, w postanowieniach zarządzenia lub przeszkadzania manifestacyom religijno-narodowym, żadnego zatem udziału brać nie mógł. Kiedy się zdarzył smutny wypadek, ani religijnego, ani narodowego znaczenia, przetrzymania ulicznej gawiedzi w dwóch kościołach, i rozkaz X. Białobrzeskiego zamknięcia wszystkich kościołów, był jedynym księdzem Polakiem, który miał codzienne swobodne

stosunki z hrabią Namiestnikiem. Widząc bezład, bezrząd, chwiejność, brak zastanowienia i charakteru na wszystkie strony, widział, że jednem słowem, jednem porozumieniem się, jednem podaniem sobie ręki, hr. Lambert z X. Białobrzeskim całą rzecz natychmiast ułoży, i do tego zaraz doprowadził. Że sprawiedliwie i trafnie osądził sytuacyę, najlepszy dowód zgodzenie się hr. Lamberta w Zamku, i X. Białobrzeskiego, tej pamiętnej nocy, i poddanie się jego słowom dwóch najzapaleńszych księży. Wystąpienie jego na sali konsystorskiej było uczynione jedynie dlatego, ażeby ostatecznie spróbować, czy chociażby jeden głos rozsądku nawałnicy nie wstrzyma. A miał do tego prawo jako kanonik od lat tylu honorowy warszawski i po śmierci stryja swego X. biskupa Tadeusza proboszcz wiskicki, w każdym więc razie większe miał prawo, oprócz kanoników, jak wszyscy razem zebrani tam księża i świeckie osoby. Mógł był się od wszystkiego odsunąć, ale uczynek jego nie byłby ani kapłańskim, ani chrześcijańskim, ani patryotycznym. Ponoś Piłat także umył sobie publicznie ręce od wszystkiego i tylu innych w historyi, za co jednak nie przestaje na nich ciężyć krew niewinna później przelana. Odpowiedzialność jest dwojaka, w nauce katolickiego katechizmu, tak jak grzechy *commissionis et omissionis,* przez popełnienie i opuszczenie. Że stronnictwo ruchu powstało na X. Konstantego, dziwić się temu nie można, bo jednem cięciem chciał ich pozbyć owoców długiego przygotowania. Ale że umysły spokojne mogły ten zarzut powtórzyć, i że się nadal gorszą i dziwują, że się starał zalać zarzewie pożaru wiadrem zimnej wody, swoich stosunków z hr. Lambertem i spokojną swoją odwagą, temu trudno nawet uwierzyć. Jak zwykle, późniejsze wypadki natychmiast X. Konstantemu oddały świadectwo niezbite słuszności jego wystąpienia. Tenże sam X. Majerczak wróciwszy zaraz potem do siebie, zastał pewną ilość miejscowych kapłanów, którzy chcieli z powodu wypadków warszawskich zarządzić zamknięcie kościołów w Kielcach, i najsurowiej ich za to skarcił. A w samej Warszawie po takich gwałtach i nibyto zasadniczych protestach, bez żadnej dalszej trudności i żadnej zgoła rekoncyliacyi, kościoły

wszystkie otwarto. Postępowanie to duchowieństwa warszawskiego nie było godnem powagi i świętości sukienki kapłańskiej. X. Konstanty wytłómaczył całe swoje postępowanie w memoryale, który w trzy tygodnie potem podał księciu kanclerzowi Gorczakowowi, jak zaraz zobaczymy, na to jedynie, ażeby zasłonić kapłanów warszawskich i usprawiedliwić X. prałata Białobrzeskiego wobec rządu. To jest odwet Świętych.

Przy tej sposobności po raz pierwszy w życiu X. Konstanty spotkał się z margrabią Aleksandrem Wielopolskim, i nie bez zajęcia widzi się, jak te dwie wybitne indywidualności na siebie oddziałały. Margrabia miał dawny żal do familii Łubieńskich. Gdy bowiem na początku tego stulecia Józef Jan z Pieskowej skały hr. Wielopolski, XI. ordynat margrabia Myszkowski, mając jedyną tylko córkę, wydaną za Józefa Bontaniego, nie miał syna, a ogromną masę długów po ojcu swoim odziedziczonych, a za jego i rządu austryackiego zgodą na części dochodów z ordynacyi zabezpieczonych, udał się do rządu Księstwa Warszawskiego z prośbą, ażeby wątpliwą nietykalność ordynackich dóbr znieść pozwolił i tym sposobem dał możność spłacenia długów. Największej wpływowym ministrem kraju był natenczas niewątpliwie Feliks Łubieński, dzierżący tekę sprawiedliwości, a szwagier Wielopolskiego, bo obaj mieli dwie rodzone siostry Bielińskie, córki hr. Franciszka, pisarza Wielkiego Koronnego, i Krystyny ks. Sanguszkównej, marszałkownej W. ks. Litewskiego. Rząd przychylił się do prośby ostatniego z tej linii ordynata. Książę warszawski August podpisał, a Feliks Łubieński przyłożył pieczęć i kontrsygnował pozwolenie wydane Wielopolskiemu. Tym sposobem długi zostały spłacone, a druga linia Wielopolskich weszła natychmiast w posiadanie połowy majoratu margrabskiego, do czego możeby inaczej i nigdy nie było doszło. Kiedy w 15 lat potem Aleksander hr. Wielopolski przyszedł do pełnoletności, rozpoczął słynny swój proces o unieważnienie tego postanowienia i ostatecznie go przegrał, utrzymując zawsze, że to było wyłącznie winą Feliksa Łu-

bieńskiego, który jako człowiek stateczny, nie powinien był dopuścić do zniesienia praw ordynacyi.

Panu ministrowi Łubieńskiemu nic uczynić nie mógł, ale stąd wyrosłą w sercu jego niechęć do familii Łubieńskich objawił przy innej sposobności. W r. 1850 książę Paszkiewicz z okazyi 50-letniej swojej służby oficerskiej i owacyi za kampanię węgierską, wyjednał u cesarza Mikołaja I. ułaskawienie hr. Henryka Łubieńskiego i Józefa Lubowidzkiego, skazanych na kilkoletnie więzienie za rzekome nadużycia w zarządzie Banku polskiego, wyrokiem sądu wydanym pod wpływem chwilowego gniewu Paszkiewicza, którego niesłuszność on sam tak jak i kraj cały uznawał. Wieść o przychyleniu się cesarza do tej prośby Paszkiewicza lotem błyskawicy przebiegła miasto, bo hr. Henryk po usunięciu się ks. Adama Czartoryskiego i ministra ks. Lubeckiego, był osobistością niewątpliwie najwybitniejszą z lat czterdziestych, w stolicy i kraju. Osobna sztafeta wysłana przez Paszkiewicza do Zamościa, zawiadomiła komendanta tej fortecy o ułaskawieniu przez cesarza tych dwóch więźniów, którym też komendant na podstawie tej wiadomości telegraficznej pozwolił najspokojniej wyjechać. Tegoż samego dnia wieczorem, w słynnej restauracyi Francuza Marego, potem Bouquerela, w hotelu Angielskim na Wierzbowej, na dole po lewej ręce, było pełno i gwarno. Młody margrabia Aleksander Wielopolski głośno zaczął narzekać na niesprawiedliwość rządu, który chce uwolnić winnego hr. Henryka Łubieńskiego, gdy tylu niewinnych jest skazanych i na Sybir zesłanych. Przy stoliku zaraz obok siedziało po cywilnemu przebranych dwóch adjutantów Mikołaja, między nimi hr. Orłów młody, którzy rozmowę podsłuchaną powtórzyli cesarzowi, skutkiem czego cesarz zamiast zupełnego ułaskawienia tych dwóch panów, zamienił im tylko karę więzienia na wygnanie w głąb Rosyi. Gdy na drugi dzień Łubieńscy z jenerałem hr. Tomaszem na czele stawili się przed Paszkiewiczem dla podziękowania za wyjednaną łaskę, on sam im opowiedział całe zdarzenie. Wysłana natychmiast sztafeta do Zamościa już hr. Henryka w nim nie zastała, ale z drogi do Warszawy zwróciła go do jego ma-

jątku Guzowa pod Warszawą. Hr. Henryk Łubieński jak wiemy był rodzonym ojcem X. Konstantego, a margrabia Wielopolski jak widzimy nie łacno zapominał mniemane swe krzywdy. X. Konstanty o wszystkiem wiedząc, jako kapłan o wszystkiem zapomniał, bo miał tylko dobro Kościoła i kraju na względzie. Margrabia Wielopolski ledwo go poznał, także zapomniał, że przed paru zaledwo miesiącami Leon hr. Łubieński był sprawcą nieprzyjęcia jego syna hr. Zygmunta Wielopolskiego do Towarzystwa rolniczego. Zwykle tak bardzo mściwy puścił w niepamięć całą swoją przeszłość i powitał X. Konstantego jako zbawcę.

Było to w drugiej połowie października 1861 w przeddzień powtórnego wyjazdu Margrabiego do Petersburga. W umyśle jego dojrzewały wszystkie szerokie plany, które miały kraj dźwignąć i na własnych siłach oprzeć. Ale widząc bezradność w sprawie zamknięcia kościołów doszedł do przekonania, że jedynym sposobem uspokojenia umysłów politycznie, jest co rychlej załatwić sprawę kościelną, nadając głowę odpowiednią Kościołowi całemu w Polsce. Zarazem widział potrzebę wyniesienia na tę godność osoby, względem której rząd nie byłby mógł mieć żadnego powodu niedowierzania, osoby dostatecznie w Rzymie znanej, ażeby żądana prekonizacya nie była zwlekaną potrzebą zaciągania dopiero wiadomości o proponowanym elekcie, osoby nareszcie obdarzonej dostateczną odwagą, dostateczną energią i dostateczną roztropnością, ażeby podołać trudnościom ówczesnego stanu rzeczy. Margrabia nie znał nikogo z kleru w archidyecezyi Warszawskiej, ani wśród kapłanów Królestwa Polskiego nikogo nie widział, ktoby te warunki w sobie posiadał. Zaledwie jednak poznał X. Konstantego, kilkakrotnie z nim pomówił i przypatrzył się jego działalności przy sprawie zamknięcia kościołów, natychmiast postanowił jemu tę godność ofiarować. X. Konstanty zaraz po 18 październiku, po pamiętnej sesyi w konsystorzu wyjechał do swego ojca do Pokrzywnicy, ażeby się z nim przed ostatecznym do Rosyi wyjazdem pożegnać. Tam otrzymał depeszę od margrabiego Wielopolskiego, wzywającą go do Warszawy. Jak niezwykle czasy te były burzliwe i wszyscy wszyst-

kiego się obawiali, dosyć powiedzieć, że telegram podpisany był Starykoń, nazwiskiem herbu Wielopolskich. Wysłuchawszy w jakim celu był powołanym, odpowiedział margrabiemu, iż prosi o parę dni namysłu dla wielkiej doniosłości sprawy, i powrócił napowrót do Pokrzywnicy, ażeby tam zdala od palącego się bruku stolicy i wiru namiętności politycznych, sam z Bogiem w sumieniu swojem sprawę tę roztrząsnąć. Po paru dniach powrócił do Warszawy, zdał sprawę margrabiemu ze wszystkich trudności, jakie mu się nasuwają. Margrabia sądząc, że może go jeszcze namówi, a w każdym razie widząc, że co do wybrania innej odpowiedniej osoby zdanie X. Konstantego może być dla niego niezmiernie użytecznem, nawet stanowczem, uprosił go, ażeby z nim razem do Petersburga pojechał. Tak też dnia 3 listopada 1861 razem z Warszawy wyjechali.

Kiedy gołem okiem objąć chcemy całość jakiegoś obrazu, budowli, przedmiotu, musimy w pewnym oddaleniu stanąć, ażeby osądzić oddziaływanie wzajemne pojedynczych części do całości i plan ogólny pojąć. Ażeby w porywach złotej naszej młodości, sami dostrzedz owe błędy, musimy czekać, aż ona niepowrotnie minie i pierwsze włosy siwe skroń naszą przyprószą. Jeżeli chcemy ująć wzrokiem myśli jaką chwilę dziejów i zrozumieć jej doniosłość, znaczenie i skutek, musimy czekać aż ten kurz, wszczęty pochodem ludzkości po drodze jego żywota, opadnie, i czas, ten wszechmocny lekarz niedomagań, gorączki, namiętności wszelkich pomiędzy nami a ową chwilą, nie do przebycia już przepaść przeszłości otworzy. Dzisiaj rozważając z tego oddalenia koniecznego, dla sprawiedliwości sądu, minioną przeszłość, musimy powiedzieć, że nie przyjęcie przez X. Konstantego godności arcybiskupiej w Warszawie, było jedynym w jego życiu, ale nie mniej ciężkim politycznym błędem. Wprawdzie każden pobożny kapłan uchyla się od wszelkiego pobożnego wywyższenia, niosąc krzyż i naśladując mistrza swego, szuka upokorzenia i wzgardy ludzkiej. Największy papież w historyi św. Grzegorz I, nazwany »Wielki«, gdy posłyszał, że go kapłani Rzymu szukają, ażeby mu oddać tiarę, uciekł z klasztoru

swego i skrył się w niedostępnych zaułkach kampanii, ażeby tylko ujść tej godności. Położenie dla każdego pasterza w Warszawie musiało stać się nieznośnem wobec upadku karności w duchowieństwie i terroryzmu, jaki wywierał komitet tajny, kierujący początkiem powstania, przez ukrytych swych żandarmów. Położenie X. Konstantego, który tylu kapłanów dyecezyi na siebie obruszył, i któremu ten rząd narodowy dopiero co wydał wojnę na życie i śmierć, musiało być połączone z największem niebezpieczeństwem. Gdyby był przyjął tę godność, bardzo być może, iżby był niebawem skończył jak arcybiskup paryski Affre 1849 r. i szaty jego purpury widzielibyśmy zbroczone krwią wylaną, czy to przez tajemnego siepacza we własnym jego pałacu, czy na bruku ulic, gdyby był stanął, ażeby swą osobą zasłonić niewinnych i spokój publiczny śmiercią swą okupić. On się tej ofiary nie uląkł, tylko pokorą swoją się zasłonił, a nie znalazł obok siebie ludzi dosyć silnych i gorliwych przekonań religijnych, którzyby mu gwałt ten zadali. Widać, że Opatrzności widoki nad nim były jeszcze inne.

Całe powstanie nasze 1861 r. w tem dziejowem oddaleniu zupełnie inaczej dzisiaj nam się przedstawia. Straszne panowanie samowoli tyrana Mikołaja, Bóg zakończył pogromem Krymskiej wojny. Nowy młody cesarz Aleksander II przyszedł do władzy po ciemnościach nocy jako to słońce poranne, do którego wszystkie kielichy kwiatów i listki rosą srebrzyste się zwracają, pełne otuchy i nadziei. Po całem niezmiernem Imperium przebiegł wiatr ożywczy, ciepły idei liberalnych. Reformy wszechstronne, jak oczynszowanie włościan, miały nadać nowe życie całemu państwu. Widząc niezadowolenie w ludności polskiej, postanowił oddać im jak największe swobody ducha i samorządu, o ile one zgadzać się mogły z całością państwa, którego on był monarchą. Cała wykształcona i szlachetna część narodu rosyjskiego przyklasnęła tej myśli, spodziewając się, że ulgi na razie nadane w królestwie, przejdą powoli do innych prowincyi cesarstwa. My mieliśmy być tą szkółką, z której wysadki chowane w pojęciach wolności obywatelskiej, możnaby potem było

wszędzie przesadzać, podług którego w całej Rosyi możnaby instytucye publiczne urządzić. Przecież Opatrzność związała te dwa kraje na to, ażeby Polska wyższością tylu wiekowej cywilizacyi, wyższością świętej religii, wyższością pojęć i ideałów, Rosyę podnieść i zbawić. Zdawać się prawie może, że ta przyszłość, do której wszystkie naonczas czynniki szczęśliwie się układały, była zanadto pewną, jasną, różową, ażeby mogła była znaleść odrazu niezamącone urzeczywistnienie. Wtenczas też niepokoje powstały, z zagranicy podniesione, ażeby przeszkodzić koniecznie temu dziełu, zarzucić drogę prowadzącą ostatecznie do wolności wszystkich Rosyi mieszkańców. Ale to była chwila trudności tylko, cesarz nie dał się sprowadzić na manowce, przysyłając nam swego brata na namiestnika, nadał większe jeszcze swobody przez margrabiego Wielopolskiego. Tak jak pokusa nigdy nie przychodzi bez dostatecznej łaski, ażeby ją odeprzeć, tak na trudności chwili Opatrzność przysłała narodowi ludzi, którzy byli w stanie przez bezdroża do celu go doprowadzić. W samem sercu Polski, jej stolicy Warszawie, równocześnie znalazło się trzech mężów godnych i wybranych do tego zadania. Andrzej Zamoyski z nazwiskiem wdzięcznem i nieskalanem w dziejach narodu, słusznie uchodził za ulubionego przywódcę większości, która nie zawsze krytycznie wypadki sądziła, ale kraj nadewszystko kochać umiała. Margrabia Wielopolski o zmyśle potężnym organizacyjnym, ale nieprzystępny i zimny, jak te podstawy prawa i karności społecznej, które on chciał przedstawiać i któremi miał rządzić. X. Konstanty, posiadający w wysokim stopniu te potrzebne na głowę Kościoła w Polsce trzy przymioty, zawarte podług starej tradycyi w trzech S., których w każdym kandydacie na biskupa się szuka. Był *sapiens, sanctus* i *sanus,* to jest mądrym i roztropnym, świętobliwym i przykładnym, przy pełnem używaniu sił fizycznych i zdrowia. Gdyby ci trzej Opatrznością przypadkiem naonczas w Warszawie zebrani, byli się do siebie zbliżyli i ręka w rękę razem poszli, inny byłoby wzięło obrót całe powstanie i cała historya Polski i Rosyi. Kiedy królowę Jadwigę uciekającą przed Jagiełłą nocą z zamku na

Wawelu, Szymon na Gorajowicach, w ostatniej chwili wstrzymał, zbawił tem Polskę. Kiedy X. Konstanty nie dał się nakłonić do przyjęcia arcybiskupstwa warszawskiego, a pan A. Zamoyski nie przyjął podanej sobie ręki przez margrabiego Wielopolskiego na przyjęciu w pałacu Brühlowskim, gdy jako zarządca kraju powrócił z Petersburga, przyszłość narodu rozstrzygniętą została. Dalsze wypadki bledną i giną w potoku codziennych wydarzeń, bez żadnego zasadniczego znaczenia; bitwa o wolność swobód narodowych i o tymczasową przyszłość cesarstwa całego, była już przegraną. Sprawiedliwość historyczna w tej przepadłej sprawie najmniejszą przypisuje winę X. Konstantemu. On nie zgrzeszył żadnem przewinieniem, żadnem odstępstwem, żadnym brakiem odwagi, żadną ludzką słabością lub ułomnością, tylko nieopatrznem podniesieniem w niewłaściwej chwili, cnoty pokory do szczytu doskonałości. Gdy przeciwnie, wypisując niezwykłe, wyjątkowe zalety dwóch poprzednich mężów, słusznie ich historya sądzić musi i ubolewać, że nie umieli naonczas się wyzuć swych najmniejszych, najsłabszych stron charakteru, ażeby zwycięstwem nad sobą odniesionem, naród cały zbawić i losy świata zmienić.

Zaraz po wyjeździe do Petersburga, margrabia Wielopolski zdał sprawę księciu Gorczakowowi ze swoich usilnych starań, ażeby skłonić X. Konstantego do przyjęcia godności arcybiskupa warszawskiego. Książę Gorczakow uprzedzony przez hr. Kissielewa i księcia Wołkońskiego o pobycie jego i działalności w Rzymie, powiadomiony o wypadkach warszawskich, wyraził życzenie poznania X. Konstantego i prezentacyi tej dokonał sam Margrabia. Zaraz za pierwszem poznaniem ks. Gorczakow uderzony trafnymi poglądami o całem położeniu X. Konstantego i pragnąc być dokładnie poinformowanym o całym przebiegu rzeczy, zażądał od niego spisania tych swoich uwag, co dało powód do napisania memoryału, który oddany został księciu Gorczakowowi w pierwszych dniach grudnia 1861 r. W tym memoryale dosyć długim, bo przeszło 15 arkuszy drobnego pisma obejmującym, X. Konstanty starał się usprawiedliwić kapitułę warszawską

z zarzutu nieposłuszeństwa rządowi, przez odmówienie wyboru administratora archidyecezyi warszawskiej, na miejsce zaaresztowanego X. pralata Białobrzeskiego; starał się również usprawiedliwić tego ostatniego z zarzutu zamknięcia kościołów warszawskich i odmowy wydania rozkazu otworzenia takowych; starał się usprawiedliwić całe duchowieństwo z zarzutu brania czynnego udziału w manifestacyach patryotycznych i w ruchu religijnym; starał się nareszcie przekonać rząd o potrzebie większego uszanowania dla stanowiska duchowieństwa w społeczeństwie i większego znoszenia się z władzami dyecezyalnemi, a zwłaszcza ze Stolicą Apostolską w interesach odnoszących się do Kościoła. Memoryał ten jest niezmiernie ważnym dokumentem dla historyi Kościoła polskiego i życia X. Konstantego. Jeden egzemplarz wręczył on X. Felińskiemu z następującym napisem własnoręcznym na okładce: »Najdostojniejszemu Arcypasterzowi obronę jego Kapituły i poprzednika, z najgłębszem poszanowaniem składa X. Konstanty Łubieński 15 X-bra 1861 r.«

Równolegle bowiem z tą pracą biegła sprawa nominacyi Arcybiskupa. X. Konstanty oświadczył Margrabiemu, że przyjmie tę godność tylko w tej ostateczności, jeżeli rząd cesarski na żadnego innego odpowiedniego kandydata się nie zgodzi. Margrabia wtenczas zapytał się, kogo ma przedstawić. X. Konstanty wymienił jako pierwszego O. Prokopa Leszczyńskiego. Ks. Gorczakow dowiedziawszy się, że był Kapucynem, odrazu nie chciał się na niego zgodzić, zrażony udziałem, jaki zakonnicy w manifestacyach w Warszawie brali. Wtenczas X. Konstanty podsunął nazwisko X. Felińskiego, kapłana przykładnego, mieszkającego w Petersburgu, gdzie w skromnej i cichej działalności, nigdy nie naraził się rządowi, a chociaż osobiście mało komu był znanym, mógł być sympatycznie przyjętym dla wspomnień z nazwiskiem się wiążących, przez wszystkich patryotów. Przedstawiony przez X. Konstantego Margrabiemu, X. Feliński przyjęty został przez księcia Gorczakowa, który nic mu zarzucić nie mógł. Sam X. Konstanty przedstawił X. Felińskiego księciu Kanclerzowi. Wobec tego, że zależało tak rządowi jak Margrabiemu

na największym pospiechu, X. Konstanty podjął się przed ks. Gorczakowem uzyskania aprobaty Stolicy Apostolskiej i przeprowadzenia prekonizacyi X. Felińskiego w możliwie najkrótszym czasie. Sam napisał i telegrafował do wszystkich osób, które dopiero co był widział, i Rzym na jego zdaniu polegając, zatwierdził niesłychanie szybko ten wybór, kiedy jak z daty na memoryale uwidocznionej, już 15 grudnia miano o tem wiadomość w kołach wtajemniczonych w Petersburgu. Prekonizacya X. Felińskiego nastąpiła dnia 6 stycznia 1862 r. w Rzymie. Kiedy ceremonia odbierania przysięgi od nowego nominata odbywała się w Petersburgu, po jej skończeniu hr. Sievers, dyrektor departamentu wyznań przy ministeryum spraw wewnętrznych, odwrócił się do X. Konstantego i tak głośno, ażeby przez wszystkich obecnych był słyszanym, powiedział: »Jeżeli rząd będzie miał powód być niezadowolonym z X. Felińskiego, zawdzięczać to będzie X. Konstantemu Łubieńskiemu«.

X. Konstanty niezmiernie rad był z tak szczęśliwie ukończonej sprawy. Najsamprzód widmo tej godności, które go prześladowało, zostało usunięte. X. Felińskiego znał, gdy ten jeszcze był alumnem akademii duchownej, potem był jego współpracownikiem przy kościele św. Katarzyny, powiernikiem jego myśli, zastępcą przy bardzo wielu pracach, gdy jego wskutek wywiezienia do Charkowa nie stało. X. arcybiskup Feliński miał jechać do kraju, gdzie nikogo nie znał, nigdy w nim nie mieszkał, żadnej prawie z nim nie miał styczności. X. Konstanty zatem o wszystkiem go pouczył, wskazał ludzi, na których mógł liczyć, do czego każdego mógł powołać, jakie zająć stanowisko wobec rządu i manifestacyi, jakie trudności, przykrości i pociechy czekać go muszą. Odstąpił mu pana Dinsard na sekretarza do francuskiej korespondencyi i po konsekracyi, która się odbyła w Petersburgu w styczniu 1862 r., na kolej odprowadził. X. Arcybiskup wskutek bardzo wielkich śniegów i przerwanej komunikacyi na kolei petersbursko-warszawskiej, jechał na Prusy Wschodnie i Księstwo Poznańskie. Tam się spotkał z X. Janem Koźmianem, uwiadomionym przez X. Konstantego, który

go przeprowadzał aż do granicy Królestwa. Równocześnie w ostatnich dniach stycznia 1862 r. X. Wincenty Popiel, naonczas wice-regens i profesor seminaryum kieleckiego, posłany został do Warszawy przez swoją władzę duchowną, ażeby zbadać, czy te dwa kościoły były istotnie sprofanowane, zaszłymi wypadkami i potrzebowały rekonciliacyi. Przekonawszy się jako biegły kanonista, że profanacya nie miała miejsca, zabierał się do powrotu i poszedł do p. Ludwika Górskiego, ażeby się z nim pożegnać. Ten go wstrzymał aż do dnia następnego wiadomością, że właśnie nowy X. Arcybiskup warszawski bawi w Częstochowie i ma na drugi dzień przyjechać. X. Wincenty Popiel postanowił złożyć X. Arcybiskupowi swoje uszanowanie i tym sposobem był przypadkiem pierwszym w Warszawie, który z nim rozmawiał. Na drugi dzień rano poszedł więc do pałacu na Miodowej, został przyjętym przez p. Dinsard, który mu oświadczył, że X. Arcybiskup jest właśnie w zamku, ale że zaraz powróci, postanowił zatem czekać w wielkiej środkowej sali audyencyonalnej. Ledwo X. Arcybiskup Feliński powrócił i rzucił okiem u siebie na kartkę wizytową, sam wyszedł do sali i z otwartemi rękami przyjął X. Popiela, mówiąc: »Dobrze żeś przyjechał, będziesz rektorem Akademii duchownej w Warszawie«. X. Popiel nie mógł wyjść ze zdziwienia, skąd X. Arcybiskup znał go i skąd już mu miejsce takie wyznaczył. Przedstawił zatem, że należy do innej dyecezyi, że tam pełni obowiązki, że jest wielu duchownych w Warszawie, jak kanonik Szczygielski i inni, którzy tem mogliby być zrażeni i dlatego nie wymawiając się od tego zaszczytu, prosił, ażeby X. Arcybiskup zechciał się rozpatrzeć, a gdyby po dwóch tygodniach trwał dalej w tem postanowieniu, ażeby raczył go o tem uwiadomić. X. Arcybiskup Feliński pożegnał go tem, że zgadza się na jego uwagi, ale że od zamiaru swego nie odstąpi i rzeczywiście po 14 dniach go powołał. X. Popiel w swej skromności wydziwić się nie mógł, skąd na niego spadła tak zaszczytna dla niego nominacya. Później dopiero się dowiedział, że z X. Konstantym X. Arcybiskup wszystkie szczegóły urządzenia archidyecezyi drobiazgowo był omówił, i na X. Popiela

wskazał, jako na przyszłego rektora Akademii. Przytaczamy tu całe przejście, ażeby dać jeszcze jeden dowód więcej wszechstronnej działalności X. Konstantego. Dla wszystkich wylany, każdemu dobrze czyniąc, sam znał tylko zapłatę niewdzięczności, którą słodziło poczucie spełnionego obowiązku.

Po wyjeździe X. arcybiskupa Felińskiego z Petersburga, X. Konstanty zaradziwszy najpilniejszym potrzebom Kościoła polskiego, zwrócił się do spełnienia danych sobie poleceń w Rzymie, w sprawie nuncyatury, mając teraz sposobność mówienia z ks. Gorczakowem z pewną już powagą i swobodą, jaką mu dawała jego bezinteresowność osobista w sprawie godności arcybiskupiej i wiadomości pochlebne, jakie o nim zewsząd płynęły, z kraju i zagranicy; znowu skierował rozmowę o potrzebach całego Kościoła w Rosyi i niebawem książę Kanclerz poprosił go o drugie *pro memoria*, które mu X. Konstanty wręczył w ciągu lutego 1862 r. Ani brulionu tego memoryału nie posiadamy, ani nie udało się nam dotychczas uzyskać z niego odpisu z archiwum Ministeryum spraw zagranicznych w Petersburgu. Mamy o nim tylko ustną wiadomość, jaką o nim podał X. Konstanty w późniejszych rozmowach i z memoryału, jaki napisał do W. księcia Konstantego w r. 1866, w którym o tamtym wspomina. W tym drugim memoryale do ks. Gorczakowa, który wywołanym został żądaniem sawego kanclerza, oprócz wielu spraw pierwszorzędnej wagi dla Kościoła, jak nuncyatury i t. d. X. Konstanty podnosząc zarzuty, które rząd robił zgromadzeniom zakonnym w królestwie i cesarstwie, że osłabły w obserwancyi reguły zakonnej i mieszały się do ruchów politycznych, przedstawił, że sam rząd najwięcej w tem jest interesowanym, ażeby one do obserwancyi wróciły, i że najodpowiedniejszym może środkiem dojścia do tego celu, byłoby wysyłanie przez Stolicę Apostolską, w porozumieniu się z rządem dokonaną, osobnych wizytatorów zakonnych.

Cała ta sprawa zgromadzeń zakonnych. oddawna błąkała się po biurach i ministerstwach w Rosyi i była przedmiotem nie jednej ze Stolicą Apostolską pertraktacyi. Stolica Apostolska pragnęła koniecznie utrzymania zwykłego kano-

nicznego porządku rzeczy, to jest zależności od generałów zakonów w Rzymie i prowincyałów, czy to obranych, czy naznaczonych w kraju. Rząd rosyjski opierał się przytem, ażeby zerwane były wszelkie stosunki zakonnych domów z władzami, to jest z jenerałami za granicą w Rzymie zamieszkałymi i poddanie zgromadzeń pod bezpośredni zarząd czy to władz dyecezyalnych przez osobnych do tego przez biskupów wyznaczonych wizytatorów, czy też pod zarząd prowincyałów, którzyby mieli aprobatę nietylko metropolity Mohylewskiego, ale także rządu cesarskiego. Przedmiot ten należał do tych artykułów, na które w konkordacie z 3 sierpnia 1847 r. obydwie strony nie mogły się zgodzić. Później osobna komisya powołana przez cesarza Aleksandra II do rozpatrzenia spornych spraw i nad tą się zastanawiała, i także w zawieszeniu ją pozostawiła. Do tej komisyi należeli: hrabiowie Nesselrode, Kissielew i Blondow, panowie Łanskoi, Turkułł, Bonteniew, Mikołaj Kissielew i Romuald Hube. W rozmowach, które X. kardynał Antonelli miał w Rzymie z X. Konstantym i ta sprawa pomiędzy nimi oczywiście wyczerpująco omówioną została. Wtenczas X. Konstanty podsunął myśl pośredniczącą, ażeby Stolica Apostolska zaproponowała Rosyi, że ze swojego ramienia przysyłać będzie wizytatorów klasztorów. W ten sposób tak zwana *immunitas*, czyli niezależność kanoniczna zakonów, od biskupów dyecezyalnych salwowaną byłaby, a zadosyć uczynionoby żądaniom rządu, iż zgromadzenia nie zależałyby od swych jenerałów, tylko wprost od Stolicy Apostolskiej. Kardynał Antonelli uderzony tą pomysłowością i zręcznością X. Konstantego, zawołał: »*une nonciature où des nonces, mais ce serait parfait*«, (»nuncyatura albo nuncyusze, ale to wyborne«) i gorąco polecił X. Konstantemu w tym kierunku otworzyć dyskusyę.

Do sprawy poruszonej ale nie załatwionej, zarządu klasztorów, wrócić jeszcze będziemy musieli, opowiadając lata biskupstwa X. Konstantego. Sprawa nuncyatury także przez niego podjęta, widocznie po mistrzowsku poruszoną była. kiedy polecono mu nawet z Rzymu później na wiosnę oglądać się w Petersburgu za pomieszkaniem dla przyszłego po-

sła papieskiego i kiedy jeszcze 8 kwietnia 1862 r. ks. Gorczakow w tej sprawie pisał do Rzymu, a 2 maja 1862 r. kardynał Antonelli wystosował do hr. Kissielewa, ambasadora rosyjskiego w Rzymie, poufną notę w tej samej sprawie.

X. Konstanty spełniwszy wszystkie polecenia jemu dane przy końcu lutego 1862 r., powrócił do Rewla. Aczkolwiek wyjazd jego z tego miasta był mniej jak legalnym, ze względu na przepisy paszportowe, żadnemu z urzędników nie przyszło na myśl z tego powodu przykrości jakiekolwiek mu czynić. Człowiek, który wprost z pierwszym w państwie po monarsze dygnitarzu, w tak częstych osobistych bywał stosunkach, który dopiero co odwówił był tak wysokie urządowe stanowisko metropolity, to jest pierwszej klasy czynu, mógł tylko wzbudzać podziw i uszanowanie u władz głuchej prowincyi. X. Konstanty powróciwszy do swego probostwa, ażeby powetować czas stracony, jak gdyby nic w życiu innego nie był robił, oddał się napowrót z podwojoną gorliwością kapłańskiej pracy. Z tego czasu mamy list jeden do ojca jego pisany, który w całości przytoczyć musimy:

»Najdroższy Ojcze!

»Pisałem pamiętam, miesiąc temu, winszując drogiemu Ojcu urodzin (11 lipca *przyp.*), na samem wyjezdnem z Rewla. Dziś znowu piszę z Dorpatu na wyjezdnem do Rewla. Miesiąc ten w części tutaj, w części w Petersburgu przebyłem, dojeżdżałem tudzież do Iłukszty pod Dynaburgiem i w tejże okolicy do Stanisława Zyberga Platera. Tutaj za przyjazdem obchodziliśmy bardzo solennie założenie kamienia węgielnego pod kościół, który X. Henryk (Kossowski *przyp.*) z godnem największego podziwienia poświęceniem buduje. Miałem przy tej okazyi kazania po niemiecku, które być może wydrukuje się, a które w takim razie drogiemu Ojcu przesłałbym. Jak sobie doskonale X. Henryk tutaj radzi, tego drogiemu Ojcu dostatecznie wypowiedzieć nie umię, ale *c'est une spécialité,* dla takich zarozumiałych jak tutaj są, w rozum swój jedynie wierzących Niemców, bo to po niemiecku lepiej od nich każe, pod każdym względem im sprosta i god-

ność swoją wybornie zachować umie, a przytem taka prawdziwa pokora i gorliwość, że mu się tu z największą pociechą przypatrywałem, do Petersburga dojechałem, pomiędzy innemi rzeczami, żeby ten interes domu Kurskiego zakończyć — ale półtora tygodnia zeszło, nim się pokończyło różne formalności. Dar drogiego Ojca nie mógł dojść w potrzebniejszej chwili, bo miałem wiele wydatków. W Iłukszcie także bardzo mi się powiodło, bo założyłem tam szkółkę, będzie to dla mnie ogromna pomoc. Pisałem dziś do X. Biskupa warszawskiego, prosząc, aby mnie uwolnił, co do Wiskitek, z obowiązku, jaki na mnie wkłada ostatnia wola ś. p. księdza Fijałkowskiego, i aby się rozporządził tem probostwem. *J'ài en le coeur tout endolori,* ale cóż robić drogi Ojcze Zdaje mi się, że należy mi się trzymać tych tutaj rewelskich obowiązków i usuwać się o ile możności od innych. Całuję ręce drogiego Ojca, siostrę, szwagra i dzieci serdecznie ściskam. *X. Konstanty Łubieński.*

»Dorpat, 31 lipca (12 sierpnia) 1862 r.

Przypadkiem list ten jeden daje nam obraz całej w tym czasie działalności X. Konstantego. Z niego widzimy, że jeździ na wezwanie swego krewnego X. Henryka Kossowskiego, zakłada szkółki, nie zapomina o Kursku, utrzymuje wszystkie swoje stosunki światowe, potrzebne, ażeby możnych świata tego wyzyskać dla spraw Kościoła i biednych. Myśl kapłańskiej gorliwości każdemu kroku przewodniczy. Ostatniemi słowy listu w bolesną strunę serca uderza. Wiskitki były parafią Guzowa, majątku, który dziad X. Konstantego, dla zachowania go w posiadaniu swojej matki, byłej starościny guzowskiej, z największemi ofiarami własnego mienia odkupił od Jana Hoyma, któremu go był darował król pruski, a ojciec X. Konstantego także z największem poświęceniem własnej fortuny odkupił od swojej rodziny dla uchronienia jej od kwasów i nieporozumień majątkowych, i w którym założono na cmentarzu groby familijne dla członków rodziny od ministra Feliksa pochodzących. Już wiele kochanych osób tam spoczęło, więcej jeszcze sądziło, iż danem im będzie obok

najbliższych i najdroższych do wiecznego spoczynku się ułożyć. X. Arcybiskup zażądał, ażeby po śmierci poprzedniego proboszcza X. biskupa Łubieńskiego, X. Konstanty koniecznie zatrzymał dla siebie to beneficyum i chociażby tam zamieszkać nie mógł, pozostał na straży grobów rodzinnych. X. Konstanty jakkolwiek nad wyraz miał czułe stosunki z krewnymi, tenże nie sądził, iż godzi mu się zatrzymywać aż dwa probostwa w swojem ręku, nie chciał w niczem przesądzać dróg Opatrzności, która w głębiach Rosyi do pracy zdawała się powoływać. Z dniem, w którym udało mu się uchylić od głowy swojej infułę warszawską, myślał, że lata całe przeminą, zanim na czas dłuższy do kraju powróci. Ludzkie uczucie wzdrygało się przed tem poświęceniem, ale tem bardziej poczucie obowiązku i sama cierpkość ofiary nagliły go do tego.

Zaledwie jednak to był uczynił, zaledwie napowrót pracy kapłańskiej całą duszą był się oddał, zaledwie zerwał ostatni węzeł, który go łączył z krajem, rodziną, z wspomnieniami dzieciństwa, i przycisnął do piersi już wolny i czysty od wszelkich względów ludzkich krzyż missyonarski dla Rosyi, w tej chwili Opatrzność, która tylko tej ofiary ze siebie snać po nim domagała się, do wyższej w kraju pracy wśród swoich go powołała. Coraz częstsze zaraz potem dochodziły go wiadomości, iż przy nowem zamierzonem obsadzeniu biskupstw w Królestwie Polskiem, nazwisko jego na pierwszem stoi miejscu. Napróżno na nowo pisał wprost do księcia Gorczakowa kanclerza, do dawnej swojej znajomej baronowej Mayendorf i innych przyjaciół tak w Petersburgu jak w Warszawie, ażeby powtórnie wymówić się od tej godności. Widząc, że listownie nic wskórać nie może, postanowił udać się osobiście do Warszawy, ażeby temu zapobiedz. Przytem X. arcybiskup Feliński sam od siebie i przez X. Wincentego Popiela naglił go bardzo dla pilnych interesów, ażeby przyjazdu swego nie zwlekał. Dlatego w pierwszych dniach listopada postanowił na Kijów do Królestwa pojechać. Z Kijowa 14 listopada 1862 r. wyjechał X. Konstanty do Warszawy wraz ze swoim bratem młodszym, hr. Julianem, który był powołanym na profesora

instytutu agronomicznego, przekształconego natenczas przez dodanie mu wydziału politechnicznego i przeniesienie z Marymontu do Puław. Tego samego dnia brat starszy X. Konstantego, hr. Tomasz, wyjechał z Kijowa do Petersburga z Michałem Grabowskim. Po pamiętnych sesyach w Kijowie i Żytomierzu, na których obywatele gubernii kijowskiej, podolskiej i wołyńskiej, pod przewodnictwem marszałka Zenona Hołowińskiego z Wielkich Prucek, postanowili założyć Towarzystwo kredytowe ziemskie. Wydelegowano dwóch poprzednich wymienionych z hr. Alfredem Potockim do Petersburga, dla uzyskania pozwolenia otworzenia tej instytucyi. Wypadki warszawskie stanęły temu na przeszkodzie. Hr. Alfred Potocki wcale do Petersburga wtenczas nie dojechał. Michał Grabowski niebawem stamtąd powołany został na dyrektora wydziału oświecenia w komisyi rządowej oświecenia i wyznań, i do Warszswy pojechał. Jeden hr. Tomasz Łubieński, odmówiwszy objęcia zarządu wydziału wyznań w tejże samej komisyi dla różnicy zdań, które go dzieliły w prowadzeniu tych spraw z margrabią Wielopolskim, w Petersburgu pozostał. Wkrótce potem Milutyn, powołany do założenia komitetu w Królestwie Polskiem, powołał hr. Tomasza Łubieńskiego do siebie, ażeby mu ofiarować wysokie w tym komitecie stanowisko. Ponownie hr. Tomasz widział się spowodowanym uchylić się od tego zaszczytu, nie zgadzając się na politykę rządu w Królestwie, szczególnie w sprawach kościelnych, nie przewidując, ażeby w tak drażliwem położeniu rzeczy narodowych, Polak na tem stanowisku mógł przez czas dłuższy zachować zaufanie monarchy, szacunek i względy rodaków.

X. Konstanty stanął w Warszawie dnia 20 listopada 1862 r. i zamieszkał w pałacu X. arcybiskupa Felińskiego, na pierwszem piętrze, zaraz obok niego.

Rozdział IX.

X. ARCYBISKUPA FELIŃSKIEGO RZĄDY W WARSZAWIE. TRUDNOŚCI PRZY NOMINACYI X. KONSTANTEGO. X. WOJCIECH MORAWSKI. X. KONSTANTEGO STOSUNKI DO POWSTANIA. LIST X. ARCYBISKUPA FELIŃSKIEGO DO CESARZA I JEGO WYWIEZIENIE. ZMIANA ROTY PRZYSIĘGI HOMAGIALNEJ. TRUDNOŚCI PRZY KONSEKRACYI. ŻAŁOBA KOŚCIELNA. OBJĘCIE ZARZĄDU DYECEZYI. PODRÓŻ DO SUWAŁK I PIERWSZE SPOTKANIE SIĘ Z MURAWIEWEM W WILNIE. NA GROBIE Ś. JOZAFATA W BIAŁEJ. KONSEKRACYA NA BISKUPA W JANOWIE.

(1862—1863).

W chwili gdy X. Arcybiskup Feliński wyniesionym został na Stolicę metropolitalną warszawską, z 9-ciu dyecezyi Królestwa Polskiego, trzy miały biskupów, kujawsko-kaliska biskupa Marszewskiego, sandomierska biskupa Juszyńskiego i podlaska biskupa Szymańskiego. Część dyecezyi dawnej krakowskiej w granicach Królestwa będąca, administrowaną była przez wikaryusza apostolskiego X. biskupa Majerczaka. Wakowały stolice biskupie lubelska, płocka, sejneńska, chełmska. Z dziesięciu sufraganów, jakich miało mieć Królestwo, było tylko trzech, to jest tenże sam biskup Majerczak w Kielcach, biskup Baranowski w Lublinie i biskup Plater w Łowiczu. Ten brak osób przyodzianych powagą episkopatu i dzierżących władzę pasterską, nie mało się przyczyniał do rozluźnienia karności kościelnej między duchowieństwem w kraju naszym. Rząd rad był z tego nieporządku, dopóki nie miał innych kłopotów na głowie, ale rozwielmożnienie się

stronnictwa ruchu, nakazywało mu natenczas inaczej się na tę sprawę zapatrywać. Do tej zmiany usposobienia rządu krajowego w tym wypadku, nie mało się także przyczyniły starania nowego X. Arcybiskupa warszawskiego. Postanowiono zamianować kilku dyecezyalnych biskupów i sufraganów, a X. Konstantego oczywiście wszystkie miarodajne głosy na spisie kandydatów, na pierwszem znowu miejscu postawiły.

X. Konstanty przyjechał do Warszawy, gdy się te sprawy ważyły, przedewszystkiem na to, ażeby raz jeszcze odwrócić od siebie godność biskupią i swoimi wpływy na inną osobę ją skierować. Udawał się w tym celu, jak już wyżej powiedzieliśmy do znajomych, a wysoko postawionych osób w Petersburgu, w Warszawie samej do margrabiego Wielopolskiego i do namiestnika W. ks. Konstantego. Ale zabiegi jego spełzły na niczem, współdziałanie wszystkich czynników do tego dążyły, ażeby go zaprządz do tej pracy. Widząc to, uznał w tem wolę Opatrzności, i z równem poświęceniem i odwagą, z jaką się zabierał do każdej poprzedniej pracy, postanowił teraz uchwycić za pastorał i wysokiemu urzędowi się poświęcić. *Si quis Episcopatum desiderat, bonum opus desiderat,* pisze św. Paweł. O X. Konstantym nie można powiedzieć, ażeby ten urząd był pożądał, lub o niego się starał; ale gdy raz ciężar włożonej na barki jego Ewangelii uczuł, cały ważnością tej godności i z nią związanych obowiązków się przejął. O ile przedtem był skromnym, uchylającym się, zastawiającym się innymi, o tyle teraz nie omieszkał głowę podnieść, ażeby dla jego książęcego w Kościele stanowiska, a senatorskiego podług dawnych polskich pojęć położenia, należyte uszanowanie wyjednać. Przedtem w walkach Kościoła z państwem, w trudnościach politycznych, był doradcą, pośrednikiem podsuwającym innym tylko myśli i plany, teraz sam został naczelnym wodzem. Siedząc najdalej od stolicy kraju, w lichej, kilkuset zaledwie mieszkańców liczącej osadzie Sejny, zgubionej w niedostępnych prawie do dziśdnia jeszcze Augustowskich lasach, stał się odrazu pierwszym biskupem w Polsce całej, na którego zdanie, działalność i znaczenie, kraj cały się oglądał, z którym rząd cesar-

ski przedewszystkiem się rachował. Tak jak wielu innych sławnych biskupów Kościoła, którzy jednem nazwiskiem swojem uwiecznili pamięć maluczkich miejscowości, jak Hippo i t. p., tak on jeden dał poznać światu całemu stolicę swoją, sławą, która towarzyszyła jego osobie. Ani świetność miejscowości, ani tradycye długiego pocztu znakomitych poprzedników, nie wysunęły go naprzód, ale jego osobista i własna wielkość postawiła go odrazu na świeczniku Kościoła polskiego, tak, że on jeden ze współczesnych, mógł był co do znaczenia, pisać się dumnym tytułem dawnych naszych gnieźnieńskich arcybiskupów, *primas primusque ecclesiae princeps* — prymas i pierwszy książę Kościoła.

Dzieła Boże wyjątkowo tylko w ludzkości do łatwego i szybkiego doprowadzane są końca. Miarą każdego prawdziwego zrządzenia Opatrzności, są niesłychane trudności, na jakie urzeczywistnienie jego napotyka. Człowiek, którego przyszłość jest zakrytą, sili się nadaremnie, ażeby stawiać przeszkody pierwszorzędnym w historyi wydarzeniom. Już Herod dzikim rozkazem wyrznięcia nowonarodzonych dzieci, zamyślał przeszkodzić największemu w dziejach wypadkowi przyjścia na świat Zbawienia świata. X. Konstanty powołany do godności biskupiej, na której miał przynieść całemu Kościołowi polskiemu tyle poważnych usług i tak niezrównanej męczeństwa chwały, napotkał w doprowadzeniu do tego na takie trudności i przeszkody, że całe to przejście równało się prawdziwie drodze krzyżowej Zbawiciela, którego znak widomy i hańby i chwały w złocie wykuty, miał odtąd na piersiach swoich nosić.

Przedewszystkiem, kiedy stronnictwo ruchu o zamiarze jego nominacyi wiadomość pewną otrzymało, nie zostawiono kamienia jednego nietkniętego, wysilono się na wszystkie możliwe środki, użyto wszystkich stosunków, ażeby temu stanowczy opór stawić. X. Konstanty był aż nadto dobrze znaną osobistością w Rzymie, tak, iż wydawaćby się mogło, iż ten, który wpływem swoim wyjednał nominacyę Arcybiskupa, sam dla własnej osoby na trudności liczyć nie powinien. Przeciwnie się jednak stało. Wiele wpływowych i wysoko posta-

wionych osób ze stronnictwa wychodztwa paryskiego, cały niższy kler kraju przeciwko niemu liczne do Stolicy Apostolskiej wnieśli zarzuty, ażeby jego kandydaturę obalić. Nawet zdanie wyższych dygnitarzy Kościoła w Polsce o X. Konstantym zrazu pochlebne, zamieniły się pod wpływem terroryzmu na mniej przychylne, tak, iż nareszcie znaleźli się nawet niektórzy przyszli jego koledzy w godności biskupiej, którzy odradzali Ojcu świętemu tej nominacyi. Ciekawszym przy tej okoliczności jest jeszcze jeden szczegół. Jednocześnie z wysileniami, by sprawę prekonizacyi X. Konstantego w Rzymie podkopać, stronnictwo ruchu starało się z nim w kraju przeprowadzić układy, żądało od niego pewnych ustępstw, pewnych przyrzeczeń, obowiązując się pod tymi warunkami nie stawiać przeszkód, tak jego prekonizacyi, jak następnie jego wyświęceniu. X. Konstanty w żadne jednak układy wdawać się nie myślał z jednej strony, bo nie chciał tym sposobem ułatwić sobie otrzymanie urzędu, którego zresztą i tak wcale nie pożądał; a z drugiej strony, bo nie uważał za właściwe, ani dla swej osobistej godności, ani dla dostojeństwa biskupiego, ażeby miał go piastować nie z łaski Bożej i Stolicy Apostolskiej, ale z łaski samozwańczego komitetu, który miał tylko przynieść krajowi niepoliczone straty. Naoczny świadek tych starań ze strony rządu narodowego przy X. Konstantym, z którego, wiarogodnego źródła, te wiadomości czerpiemy, nie chce na razie i nie może wymienić osób, które w tej sprawie udział brały i okoliczności, wśród których się odbywały, pozostawiając to późniejszemu jeszcze pokoleniu, aby odkryć tajemnicę i całą prawdę opowiedzieć. Wszystkie jednak te starania spotkały się z równie stanowczem zdaniem Ojca święego, co do zasług i zalet X. Konstantego, który po przeprowadzeniu, prawem kanonicznem nakazanego procesu, dnia 16 marca 1863 r. wybór jego potwierdził.

Po tych pierwszych zapasach X. Konstantego ze stronnictwem ruchu narodowego i zanim przystąpimy do opisania dalszych potyczek, które niebawem nastąpić miały, a z których on zawsze zwycięsko wychodził, nie zawadzi dotknąć

się raz jeszcze tej sprawy i rzecz całą wyświecić. Zachowanie się X. Konstantego podczas powstania z r. 1862, było nieraz publicznie już omawiane, ale zawsze przez osoby, które same do powstania należały, były członkami rządu narodowego, od których nie możemy wymagać bezstronności dziejopisarza i której to zalety, powiedzmy otwarcie, zupełnie też nie mają. X. Konstanty należał do ogromnej większości ludzi myślących, zamożnych i w kraju wpływowych, którzy w siłę powstania nie wierzyli, pomimo tego ogromna różnica pomiędzy nim a stronnictwem jego, że tak powiemy, zachodziła. A różnica ta zasadzała się na trzech rzeczach. Po pierwsze X. Konstanty jako człowiek bezżenny i bez nieruchomego majątku, za swoje słowa tylko własną odpowiadał osobą. Po drugie jako gorliwy katolik, upatrywał w tych tajemnych ruchach sporą przymieszkę działalności stowarzyszeń międzynarodowego wolno-mularstwa, które nic z prawdziwą miłością ojczyzny i jej rzeczywistemi potrzebami nie mają wspólnego. Po trzecie, jako kapłan, najusilniej oburzał się na myśl, że dla błahych powodów i przez ludzi do tego niepowołanych, nieraz bez czci i wiary, nadużywanymi były dla celów pobocznych: Kościół, słudzy jego i obrządki święte, a nie dla zbawienia dusz i podnoszenia chwały Bożej. Gdy zatem inni tak samo myślący, pozornie sprzyjali powstaniu, ażeby siebie, rodzinę i mienie swe salwować, on otwarcie i bez ogródki zdanie swoje wypowiadał. Kiedy inni chwiali się jak te listki osikowe, podług wiatru jaki zawiał, lub barwy wojska, które u nich noclegiem stanęło, on stał twardo przy przykazaniu Chrystusowem: »Oddaj Bogu co Boskiego, a cesarzowi co jest cesarskiego«. Dla własnego stronnictwa był tylko kamieniem obrazy, żyjącym wyrzutem sumienia; za brak odwagi i szczerości dla stronnictwa ruchu, był śmiertelnym wrogiem. Odrazu rzucono na niego zwykły, powiedzmy oklepany wśród nas zarzut zdrajcy i podług zasady ojca kłamstwa Woltaira, tak długo i tak zażarcie zarzut ten powtarzano, że nareszcie pewna ilość osób w niego uwierzyła, jeżeli nie w zupełności te częściowo. Zawsze coś pozostało. Jak już podczas i po wypadkach zamknięcia kościołów, tak i później zobaczymy,

X. Konstanty podług nauki św. Augustyna, *Intercidite errores, diligite errantes,* nieugięty w zasadach, szukał błądzących, ażeby do światła i do prawdy ich nawrócić. Przeciwko gwałtom stawiał tylko nieustraszoną osobistą odwagę, przeciwko krzykom sąd spokojny, przeciwko błędom loikę nieubłaganą swych myśli i wymowy. Ani gromił przeciwnika nie zawsze roztropnymi środkami represyi, jak Wielopolski, ani nie uciekał się do bezczynności niemego oporu, jak Zamoyski, ani ogłaszał bezsilne protesta wobec Europy, jak X. arcybiskup Feliński; ale zawsze na wyłomie, zawsze na swoim posterunku, zawsze z krzyżem i nauką Ewangelii w ręku, pouczał, godził, koił i uspakajał przeciwnika i przyjaciela, wszystkich wokoło siebie, pomnąc na słowa mistrza Pawła św. »To troje, a z tych większa jest miłość«. Już dzisiaj niema chyba człowieka w narodzie, któryby śmiał twierdzić, iż zamiary interwencyi dyplomatycznej europejskiej były szczere, lub siły nasze w r. 1863 wystarczające, ażeby przeciwnika wyrzucić poza Dniepr i Dźwinę. Tak samo, kto przeczyta życie całe X. Konstantego i rozważy oświeconą a gorącą jego dla kraju miłość, opartą na nieugiętej wierze i przywiązaniu do Kościoła, ten także odepchnie ze wzgardą zarzuty niedorosłych mu ani rozumem, ani odwagą przeciwników, i podziwiać w nim raczej będzie prawdziwego bohatera sprawy narodowej. Niekoniecznie ten jest bohaterem, który donośnym głosem hasłami rzuca, lub którego stronnictwo jedna, a jego własne za takiego ogłasza; ale ten raczej, który myśl zdrową, wielką w czyn przeprowadza i oddaje krajowi swemu usługi, dla których miarą odpowiednią jest wewnętrzna istotna ich wartość w połączeniu z osobistem bohatera bez granic poświęceniem.

Jakie były zapatrywania X. Konstantego, widzieć możemy z następującego listu prywatnego. Brat jego hr. Tomasz Łubieński miał syna najstarszego Henryka, mającego naonczas lat 19, który kończył nauki w Anglii, i którego myślał przenieść do nowo-otworzonej szkoły głównej w Warszawie. Hr. Tomasz był także jednym z tych, który z rozpaczą patrzał się na powstanie, w przewidywaniu ruin, które ono na

kraj sprowadzi. W tym czasie napisał on prośbę do cesarza, z wyszczególnieniem tych łask i przywilei, które krajowi przyznać należy, a w zamian za takie przyrzeczenie, podejmował się pojechać do Warszawy, stanąć wobec rządu narowego, otrzymać od niego wstrzymanie powstania i doprowadzić do porozumienia ze rządem cesarskim. Podanie to hr. Tomasza było nawet wzięte pod rozwagę ministrów w Petersburgu, ale wypadki zaszły już za daleko, list X. arcybiskupa Felińskiego do cesarza i dymisya wszystkich członków rady stanu, za daleko rzeczy posunęły, ażeby rząd mógł wchodzić w układy. Porozumienie miało nastąpić zapomocą ognia i miecza. Hr. Tomasz pragnął przytem widzieć jako patryota i ojciec, czy nie należy synowi dać chrztu ognia na polu walki za ojczyznę, ażeby wspomnienia onego na resztę życia mu przyświecały, tak, jak bohaterom z czasów kościuszkowskich legionów i trzydziestego roku, odniósł się po radę w tej mierze do X. Konstantego i taki list pewną okazyą od niego otrzymał:

»Warszawa, 16 kwietnia 1863 r.

»Kochany Tomaszu!

»Mając okazyę pewną, chcę do Ciebie napisać głównie w interesie Henryka, szkoła główna *quoique on en dise n'existe pas encore, sie ist im Werden.* Co teraz będzie, Bogu jednemu wiadomo. Czy młodzież, której jeszcze kilkaset było, wróci po świętach. Z naszych nikogo dotąd nie było, Tonio (Teodor Szymanowski, urodzony z Łubieńskiej, *przyp.*), który uciekł z Metz do Krakowa, ale którego tam przytrzymali... i Franuś (Franciszek Łubieński, ożeniony z Lubomirską. późniejszy szambelan dworu J. C. M. *przyp.*), teraz tutaj przyjechał i gotuje się wstąpić na rok przyszły. Kursa dotąd są bardzo słabe, bo młodzież nieprzygotowana dostatecznie i egzamin wstępu musiano nadzwyczajnie ułatwić. Mianowski wybornym jest we wszystkiem, ale szczególniej w wstrzymywaniu młodzieży do lasu, ale o nauce ani myśli. Widzisz więc, że pod względem naukowym nie jest chwila dla Henryka. Teraz zachodzi pytanie drugie, czy niema przy-

jechać dla wzięcia udziału w życiu publicznem. O tem moje zdanie jest stanowczem. Przyglądać się nie jest pora, a kto tutaj jest, rad nie rad wchodzi do stanowczego udziału. Ci co idą do lasu, są przynajmniej logiczni, ale idą na zgubę kraju i swoją. To też nietylko z obywateli, ale nawet z poważniejszej młodzieży nikt nie idzie, synowie Józia Morawskiego (obywatela z Księstwa, dyrektora Tow. Kredytowego ziemskiego poznańskiego i członka Izby Panów w Berlinie, *przyp.*), po długiem wahaniu się, Wojciech (najstarszy, *przyp.*) zupełnie nie idzie, Zbigniew (młodszy, *przyp.*) jeszcze się wahał, ale nie poszedł. Karolek (Chłapowski, syn Stanisława z Czerwonej Wsi w Księstwie, a później mąż Heleny Modrzejewskiej, *przyp.*) wrócił do domu dla choroby matki, podobno ma zamiar powrócić do oddziału, jeżeli będzie miał dokąd powrócić. Tutaj Zamoyscy *et tutti quanti* i inni, są na miejscu. Moje więc zdanie jest, że pomijając nawet mój osobisty pogląd, a stosując się do opozycyjnego, niema dla Henryka nietylko obowiązku, ale możności rozsądnie iść do lasu. Czy zaś jest do czynienia co innego, także nie widzę, *à son âge on ne peut pas agir,* na własną rękę, *il faut suivre un chef, et où sont — ils?* sądzę więc, że powinien zostać przy tobie i pracować ile można, pozostając w pogotowiu na każde zawołanie. Dziś więcej pisać nie mogę. Feliksa i Emilkę pozdrów (Sobańscy, ona Łubieńska z domu, *przyp.*) Bardzobyś i mnie się przysłużył i byłoby pożytecznem *que vous me tennier au courrant de ce qui se fait et ce dit de nous à Petersbourg.* Berg mnie bardzo łaskawie przyjął. Wogóle dotąd, patrzy i nie działa. Z Margrabią, który w pierwszej chwili się zachwiał, teraz są dobrze. Amnestya tutaj wrażenia nie zrobiła i zrobić nie mogła, jak za granicą, przyjęta nie szczerze. *X. Konstanty-Ireneusz«.*

Podczas tych wszystkich układów z Stolicą Apostolską o jego prekonizacyę, X. Konstanty znowu wciągnięty został swojemi znajomościami, stosunkami, w najwyższe koła społeczne stolicy. Wielopolski, Zamoyski, Enoch, jenerał Chreptowicz, Muchanow, Alf Wrześniowski, wszystko to byli ludzie,

z którymi codziennie się spotykał, przez których ciągle był powoływany. Osobistość taka jak X. Konstanty nie mogła nigdy pozostać w cieniu, niebawem też został przedstawionym namiestnikowi kraju W. ks. Konstantemu, i ten najrozumniejszy i najliberalniejszy członek rodziny cesarskiej, odrazu uległ wpływowi, który na wszystkich X. Konstanty wywierał. Nie ograniczył się na publicznych przyjęciach i urywkowych przy tej sposobności rozmowach, ale brat cesarski kilkakrotnie wzywał X. Konstantego do siebie na prywatne audyencye, nawet zapraszał do ściśle rodzinnego kółka wieczorem, ażeby z jego rozmów i wskazówek korzystać. Wielki zawsze przyjaciel X. Konstantego X. Wincenty Popiel, natenczas rektor Akademii duchownej, uczynił mu raz uwagę, iż bywając, co się nazywa, w towarzystwie, powiększa tylko nienawiść ulicy i stronnictwa ruchu do siebie. Ale X. Konstanty mu odrzekł, iż przecież lepiej, ażeby on wpływał na postanowienia rządu i miarkował zbyt drastyczne jego uchwały, aniżeli jakiś nieświadom rzeczy moskal lub biurokrata, a co do ulicy, to najwięksi krzykacze ledwo do kozy się dostaną; już do niego szturmują, ażeby o nich i ich rodzinie miał staranie. Znacznej ilości ludziom wtenczas dopomógł w potrzebie, którzy tylko fałszywym wstydem powodowani, nie śmieli potem oddać świadectwa prawdzie.

X. Konstanty i X. Popiel równocześnie zostali przedstawieni na godność biskupią i mieli wybór stolicy sobie zostawiony. Z jednej strony była starodawna katedra Płocka, na której przed 250 laty siedział już jeden Łubieński, Stanisław, trzymający jako wice-kanclerz małą pieczęć Rzeczypospolitej i znany historyk narodu; z drugiej strony najtrudniejsza do rządzenia dyecezya w Królestwie, dla ludności mieszanej polskiej na wpół z litewską, dla dwóch gubernatorów w Suwałkach i w Łomży, z którymi trzeba się ujadać, dla bliskości umęczonej Litwy i jej siepacza Murawiewa w Wilnie. X. Wincenty Popiel otwarcie zwierzył się X. Konstantemu, iż się boi takiej odpowiedzialności brać na siebie, X. Konstanty pochwycił z radością tę sposobność, ażeby stanąć tam w szeregach walki, gdzie największy trud, największe niebez-

pieczeństwo, a najmniejsza może być ludzka chwała. Dlatego pierwszy wziął Płock, a drugi Sejny. Kiedy już obydwaj pewni byli potwierdzenia ze strony Stolicy apostolskiej, X. Konstanty dnia jednego poprosił X. Wincentego Popiela, ażeby z nim razem pojechał z wizytą do archireja prawosławnego w Warszawie. X. Popiel stanowczo odmówił, mówiąc, iż chyba z życiem całem do domuby nie powrócili, gdyby stronnictwo ruchu o tem się dowiedziało. X. Konstanty mu na to odrzekł: »iż co stronnictwo ruchu na to powie, najmniej go obchodzi, że on (X. Popiel) w Płocku mało może będzie miał z Rosyanami styczności, ale w Sejnach nie może nie mieć ciągłych z nimi stosunków, że nie może porzucić myśli nawracania moskali i małych i wielkich, dzisiaj więcej, niż kiedykolwiek; że tylko przez osobiste, częste z nimi spotykania się, można słowo za słowem, jak kropla za kroplą wody, umysłom ich prawdę podsuwać« i oczywiście do archireja pojechał. Ten jeden szczegół odwagi cywilnej i gorliwości kapłańskiej starczyłby każdemu, ażeby życie całe aureolą chwały opromienić.

Znane wypadki krajowe tymczasem szybko po sobie następowały, więzienia i cytadela coraz gęściej zaludniały się, aż przyszedł straszny termin 21 stycznia 1863 r., kiedy margrabia Wielopolski nakazał pamiętne aresztowania. Wtenczas gorliwsi kapłani widząc nędzę moralną biednych więźniów i niebezpieczeństwo, na jakie wystawieni byli, że po niechybnem wywiezieniu latami całemi z pociechą religijną więcej się nie spotkają, umyślili przedtem jeszcze im ją dostarczyć. Zaczęli za osobnem pozwoleniem władz wyższych do cytadeli się dostawać i tam Sakrament pokuty i Komunię św. im udzielać. X. Konstanty jak za czasów cholery, o ile mu tylko okoliczności na to pozwoliły i jego zajęcia publiczne, gorliwie także pracy tej się poświęcił. Ale prawdziwym apostołem cytadeli możnaby nazwać X. Wojciecha Morawskiego, o którym już wyżej pisaliśmy. Mieszkał on wtenczas u X. Wincentego Popiela w akademii duchownej przy ulicy Freta, i nie mając żadnych innych zajęć wyłącznie się temu poświęcił. Codziennie już o 6-tej rano po mszy św., z latarką w ręku podług ówczesnego przepisu policyjnego, szedł piechotą do

cytadeli już ubrany w komżę i stułę pod szerokim płaszczem. Mając pozwolenie wchodzenia do cytadeli, wyrobione przez X. Konstantego, odwiedzał salę więźniów i tam kazał, nauczał i spowiadał, i tak codziennie do zmroku tygodniami i miesiącami całymi. Wielu więźniów śmiało się z niego, nawet go czynnie znieważano, nic jednak w pracy powstrzymać go nie mogło. Powoli wszyscy widząc tego starszego kapłana, pana znacznej fortuny na Podolu i w Księstwie Poznańskiem, przez Łubieńskich spokrewnionego z całą Polską arystokracyą, zaczęli oddawać należyty hołd poświęceniu, i chętnie go używali nie tylko dla potrzeb duchownych, ale i dla osobistych interesów. X. Wojciech niezłomnie odmawiał noszenia jakichkolwiek listów, ażeby powrotu swego do cytadeli nie skompromitować, ale notował sobie w brewiarzu adresy rodzin więźniów i przynosił im odzież, pieniądze i wiadomości. Wieczorem gdy cytadela zostawała zamkniętą, po spiesznym a jedynym w dniu posiłku, wsiadał do dorożki i objeżdżał znajomych tych więźniów i tak interesa ich załatwiał. Jedyną zapłatą, jakiej zawsze wymagał tak z jednej jak i z drugiej strony, była szczera spowiedź i gorąca modlitwa. Władze cytadeli nie jeden raz znudzone były natarczywością tego kapłana i pomimo pozwolenia, jakie posiadał, stawiali mu trudności w jego pracach. Wtenczas przedewszystkiem uciekał się do niezawodnego środka przekupstwa, a czerpiąc z własnej, zawsze dobrze wypchanej rublami kieszeni, nie liczył wartości marnego grosza w porównaniu z ceną każdej, chociażby jednej nieśmiertelnej duszy Krwią Zbawiciela świata odkupionej. Pomimo tego gorliwość jego zbyt wielka, narażała go czasami na wyrzucenie z cytadeli. Wtenczas najspokojniej siadał u jej bramy, wyjmował brewiarz i różaniec, i tak długo się modlił, aż nowy oddział żołnierzy nie zaciągnął warty i nowe jego prośby nie osiągnęły skutku. Raz nawet, wyższy jeden oficer, oburzony jego natarczywością, rozkazał mu dać dwadzieścia i pięć nahajek, które X. Wojciech Morawski odebrał, potem najspokojniej powstał, podszedł do oficera, pocałował go w rękę i poprosił o pozwolenie powrócenia do sali więzień. Oficer zupełnie rozbrojony pokorą, która

i niebo przebija, natychmiast mu ją udzielił. Opowiadamy te szczegóły, ażeby oddać świadectwo prawdzie i rzucić pełną garścią promieniem chwały na te smutne skąd inąd czasy wypadków narodowych.

X. Konstanty ciągle w Warszawie mieszkał u dawnego ucznia swego, a potem przyjaciela X. arcybiskupa Felińskiego, o dwa pokoje od jego sypialni, tam gdzie mieszka dzisiaj, jeżeli się nie mylę, kapelan arcypasterza. Codziennie o 9-tej rano zbierali się na naradę, arcybiskup Feliński, XX. Łubieński i Popiel, a było o czem myśleć i nad czem się zastanawiać. Stanowisko arcybiskupa było niesłychanie trudne. Związany wspomnieniami lat młodości z rodziną Zamojskich, musiał jako przedstawiciel władzy w ciągłych być stosunkach z Wielopolskim, któremu nominacyą swoję po części zawdzięczał. Duchowieństwo bardzo niechętnie na niego patrzało, jako na obcego, a liczne stronnictwo kanoników Zwolińskiego i Topolskiego, którzy o dostojeństwo pasterskie starania byli czynili, było mu wprost nieprzyjazne. Dodajmy do tego rozprzężoną do najwyższego stopnia karność wśród kleru świeckiego i zakonnego, którą X. arcybiskup Feliński, pomimo swej cichości starał się przywrócić, a pojmiemy, dlaczego przybył jak do obcych, i nie pożałowany przez nikogo prawie Warszawę opuścił. Do jakiego stopnia wybryki były posunięte, dosyć przytoczyć te dwa następujące fakta: I tak gdy hr. Andrzejowa Zamojska w tym czasie umarła, X. Wincenty Popiel, rektor akademii duchownej, zapowiedział, że tylko dwóch jej uczniów ma na drugi dzień na pogrzeb się stawić. W tym czasie nadeszedł do alumnów odmienny rozkaz rządu narodowego i na smutny ten obrządek wszyscy jak jeden mąż się stawili. Dalej niecne pismo »Głos kapłana«, o którem już wyżej wspominaliśmy i wszystkie paszkwile na zwierzchność duchowną, które wydawane i pisane były w klasztorze Kapucynów na Miodowej, o dwa kroki od pałacu X. Arcybiskupa. Jak każdy krok X. Arcybiskupa był, jeżeli nie wprost przekręcanym, to co najmniej fałszywie tłómaczonym, dosyć przytoczyć jeszcze szczegół jeden. Widząc upadek władzy i jej uroku, X. Arcybiskup przeważnie pokazywał się w purpurze,

ażeby przynajmniej zewnętrznym splendorem nakazać uszanowanie, gdy jego w sercu nie stało. Kto zna charakter ten skromny, pokorny i unikający wszystkiego, co trącić może cieniem próżności, ten najlepiej osądzi pobudki, jakie nim w tym względzie kierowały. Pomimo tego ludzie, którzy uchodzą za gorliwych katolików i należą do najwyższych warstw społecznych, jako wielki zarzut przeciwko X. Arcybiskupowi podnoszą dzisiaj jeszcze, że nadużywał swej władzy, swego dostojeństwa, ukazując się zbyt często w purpurze.

Wskutek tych narad codziennych tych trzech mężów, pomimo trudności niezliczonych chwili, statek Kościoła polskiego zwolna się posuwał po szalejących bałwanach burzy politycznej i z dniem każdym jakiś postęp w karności i postawie duchowieństwa znać było. Z tych narad wyszedł rozkaz X. Arcybiskupa, zakazujący śpiewać po kościołach pieśni, które kancyonałem nie były objęte, a list ten pasterski odczytanym został następującej niedzieli i polecenie w całej mocy utrzymane. Stąd postanowiono zwołać rodzaj kongregacyi dekanalnej całego warszawskiego kleru. Zebranie odbyło się w wielkiej sali pałacu na Miodowej, w obecności XX. Łubieńskiego i Popiela, a młody X. Kossowski dopiero co do stolicy powołany, trzymał pióro i prowadził protokół. Zaraz na początku X. Mikoszewski, wikaryusz św. Aleksandra a redaktor »Głosu Kapłana«, ośmielił się głos zabrać, ażeby zaprotestować przeciwko postępowaniu Arcybiskupa. X. Feliński powstał i z wielką powagą, z wielkiem namaszczeniem, ale wyrazami pełnymi siły zgromił zuchwalca. Zebranie to wywarło bardzo dobry na obecnych skutek. W całem postępowaniu X. Arcybiskupa znać było jednolitość myśli i siłę działania. Plany, nad którymi z X. Konstantym w Petersburgu się naradzał, powoli w życie wprowadzał, a mając go znowu przy swoim boku, nic bez porady jego nie czynił. Jednak harmonia ta z końcem lutego 1863 psuć się zaczęła, nie wytłómaczona oziębłość ze strony X. Arcybiskupa względem dwóch jego przyjaciół nastąpiła. Nie mogąc zdać sobie sprawy z powodów tej zmiany, czekali na jakieś wyjaśnienie. Schadzki o 9-tej rano nie były już ani tak długie, ani tak serdeczne.

Aż nareszcie dnia jednego w marcu X. Konstanty biletem poprosił X. Popiela do siebie około południa w pilnym bardzo interesie. Ledwo wszedł X. Popiel, zastał X. Konstantego zrozpaczonego, który mu opowiada o liście X. Felińskiego do cesarza, o wysileniach, jakie uczynił już, ażeby X. Arcybiskupowi krok ten wyperswadować i kończy prośbą, ażeby on X. Popiel sam jeszcze spróbował, może więcej od niego uzyska. X. Popiel wchodzi do pokoju X. Arcybiskupa, zastaje go ubierającego się pospiesznie, a na jego widok mówi mu X. arcybiskup Feliński: »Dobrze żeś przyszedł, przeczytaj ten list, który zaraz W. księciu Konstantemu zawiozę«. X. Popiel wziął list na biurku leżący, odczytał go i powiedział: »Ekscellencyo, tego listu oddać nie możesz« i zaczął mu tłómaczyć powody, dla których nie sądził, ażeby krok ten był możliwym. Żadnego to jednak wpływu na X. Arcybiskupa nie wywarło, wsiadł do karety i kazał się zawieść do Łazienek.

Zaraz przez W. ks. Konstantego przyjęty, wręczył mu list z prośbą odesłania go najjaśniejszemu panu. W. ks. Konstanty odczytał list ten, zwrócił go X. Arcybiskupowi i powiedział, że on tego listu bratu swemu posłać nie może, bo jest aktem równającym się zbrodni stanu przeciwko samemu monarsze. Nastąpiła niemiła i drażliwa dyskusya, którą X. Arcybiskup zakończył tem, że w takim razie zmuszonym będzie sam pocztą list ten odesłać. W. ks. Konstanty pragnąc ostateczne zrobić wysilenie, ażeby ocalić X. Arcybiskupa i porządek prawno państwowy w Królestwie, które szczerze był pokochał, odebrał list z rąk X. Arcybiskupa, zamknął go do swego biurka w jego obecności i dał mu swoje książęce słowo honoru, że nikomu go nie pokaże, a jeżeli po 10 dniach X. Arcybiskup po namyśle i uspokojeniu się, bo widocznie był rozdrażnionym, tego zażąda, to list ten do Petersburga odeszle. X. Arcybiskup także dał słowo honoru, że do tego czasu nikt od niego o tem wiedzieć nie będzie. Po odejściu X. Arcybiskupa W. ks. Konstanty ogromnie zburzony zawołał do siebie p. Sierzputowskiego, pełniącego dnia tego służbę adjutanta, a późniejszego jenerała, i w bardzo ostrych wyrazach

wyrzucał mu, że śmiał X. Arcybiskupa meldować i do siebie wprowadzić. P. Sierzputowski, który oczywiście nie wiedział o przedmiocie rozmowy, a tylko spełnił swoją powinność, stał jak skamieniały i dopiero dużo później się dowiedział, co było przyczyną tak zwanego po rosyjsku wygaworu czyli wyłajania, które był otrzymał. List ten potem został ogłoszony w całości w gazecie urzędowej rządu francuskiego w Paryżu w *Moniteur officiel,* zaszło zatem niepojęte na razie złamanie sekretu i słowa honoru, o co niepodobna jest przecież podejrzywać tak dostojnych osób, które go sobie dały. O wiele później dowiedziano się, że ci sami, którzy X. Arcybiskupowi podsunęli list ten do podpisu, wysłali odpis jego za granicę, i że Napoleon dla swoich wyłącznie celów kazał go ogłosić. Po 10 dniach X. arcybiskup Feliński znowu udał się do Łazienek, i poprosił W. ks. Konstantego, ażeby list jego cesarzowi odesłał, co też W. Książę bez słowa żadnego wyrzutu, skargi lub oburzenia, obiecał mu natychmiast uczynić. W liście tym, który w całości pisany był ręką i za natchnieniem pana Dyonizego Skarżyńskiego, obywatela z Łomżyńskiego, a tylko przez X. Arcybiskupa przepisany i podpisany, X. Feliński w jednym zwrocie prosił czy wymagał od cesarza, ażeby on zerwał węzeł łączący Polskę z Rosyą i tylko unią dynastyczną kraje te ze sobą połączył. Tem jednem słowem opuszczał zakres spraw kościelnych, które do niego wyłącznie należały i wkraczał w dziedzinę czysto prawno-politycznych stosunków państwa i w atrybucyę władzy monarszej w Rosyi. Przestawał być biskupem i stał się politykiem, już nie jako wierny poddany, tylko jako naruszający kardynalne podstawy państwa musiał być traktowanym. Fałszywi przyjaciele, którzy list jego do cesarza wydali w trzecie ręce, obrazili do żywego Aleksandra II, jako człowieka, bo przecież listów prywatnych bez obopólnego zezwolenia się nie ogłasza, i jako monarchę, który jednym skokiem widział się od razu nie naprzeciw swego poddanego, ale drugiego panującego, który wcześniej nawet od niego tajemnice wewnętrzne państwa posiadał.

X. Konstanty który bystrym swym zwrokiem dojrzał od razu przepaść nieprzebytą, jaką X. Arcybiskup sobie wykopał, ogromnie nad tym uczynkiem jego bolał. Wobec tego stosunki przyjazne, łączące tych trzech kapłanów przedtem, zupełnie ustać musiały, nie było już więcej rannych schadzek, nie było wspólnych zwierzeń i narad. X. Popiel mawiał potem, że trzeba było chyba świętego jak Job człowieka i z taktem X. Konstantego, ażeby módz wytrzymać wobec takich stosunków w pomieszkaniu obok X. Arcybiskupa, przez tyle jeszcze tygodni, aż do jego wywiezienia, i nigdy przed światem z niczem się nie zdradzić. W kilkanaście dni potem X. arcybiskup Feliński kazał X. Popielowi przyjść do siebie o 8-mej wieczór, a X. Konstantego poprosił, ażeby był o tej godzinie u niego. Kiedy się wszyscy trzej zeszli, X. Arcybiskup zaczął się skarżyć i narzekać, że nie ma już do nich zaufania, że oni się od niego odwrócili, że nawet pod nim dołki kopią. Zapalając się coraz bardziej, mówił, że jeszcze X. Popielowi mógłby to wybaczyć, bo się od niedawna znają, ale ze strony X. Konstantego tak stałego i starego przyjaciela postępowanie takie jest nie do darowania, że nareszcie widzieć się będzie zmuszonym prawdopodobnie ich obu *a sacris* zasuspendować! Grobowe zapanowało w pokoju milczenie. X. Konstanty czy dlatego, że oniemiał ze zdziwienia, czy po raz pierwszy i ostatni w życiu swojem odwagi mu zabrakło, czy co jest prawdopodobnem, skorzystał z okazyi, ażeby się upokorzyć, dosyć że tylko ukląkł przed X. Arcybiskupem i w rękę go pocałował. X. Popiel widząc, że burza przeważnie na X. Łubieńskiego jest skierowaną, odzyskał cały potrzebny spokój i słowami pełnemi pokory, powagi i stanowczości, zaczął X. Arcybiskupa reflektować. Zaprzeczył, jakoby ochłodzenie stosunków było ich winą, wskazał że X. Arcybiskup od jakiegoś czasu daje się powodować niewłaściwym czynnikom, zwrócił jego uwagę na ubliżające wieści, jakie po mieście chodzą z powodu ogłoszenia listu do cesarza w gazecie i złamanego słowa honoru, przypomniał nareszcie, że wobec tego, iż obaj już także mieli niejako bulle papieskie na godność biskupią w kieszeni, postępek taki jak suspensa

na nich z jego strony wyrzeczona, wywołałaby niezwykły proces kanoniczny i stałaby się powodem niesłychanego publicznego zgorszenia. Nastąpiło zatem pogodzenie i wszyscy trzej z zakrwawionemi sercami się rozeszli.

X. Konstanty powróciwszy do swego pokoju, poprosił X. Popiela, ażeby mu już poświęcił resztę tego wieczoru. Margrabia Wielopolski od czasu objęcia rządów kraju, mieszkał w pałacu Brühlowskim, i co poniedziałek wieczór na salonach swoich świat cały przyjmował. Na pierwszych przyjęciach nie można się było docisnąć, w miarę jak rozprzężenie powstania brało górę, a sposoby, jakich się chwytał margrabia, ażeby ocalić porządek publiczny i władzę swoję, mniej były szczęśliwe, salonom tym coraz bardziej gości ubywało. Dnia tego właśnie było takie przyjęcie, a X. Konstanty obiecał był margrabiemu, że do niego wieczorem przyjdzie. X. Popiel, który także od czasu do czasu tam bywał, wzburzony wypadkiem dopiero co opowiedzianym, nie czuł się na siłach udać się dzisiaj właśnie na takie przyjęcie. Ale rozważywszy, że i tak spokojnie nie byłby w stanie u siebie wysiedzieć po tem, co zaszło, usłuchał nalegań X. Konstantego, i nieco odpocząwszy, pojechali razem do margrabiego. Salony jak zwykle były rzęsiście oświecone, wchodząc po monumentalnych prześlicznej tej rezydencyi schodach, spotkali Zygmunta hr. Wielopolskiego syna margrabiego, który odprawadzał pana White, konsula naonczas angielskiego w Warszawie, późniejszego ambasadora królowej Wiktoryi w Stambule, urodzonego z matki polskiej w Puławach i ożenionego z Polką. Na salonach było pusto i cicho. Na jednym końcu siedziała margrabina zalana łzami i do niej zbliżył się X. Popiel, na drugim końcu był margrabia, który ujął X. Konstantego pod rękę i obok siebie posadził. Przez dwadzieścia minut, które tam zabawili, nikt więcej już nie przyszedł, rozmowa szła uporem. Margrabia głośno powtarzał X. Konstantemu: »oni przed historyą i narodem odpowiedzą, wszyscy mnie opuścili, jestem jako ten drogowskaz z wyciągniętemi rękami, i tę jedną nogę, na której stoję, chcą mi podciąć, oni przed narodem odpowiedzą«. Wszyscy ze łzami błyszczącemi w oczach

nareszcie powstali, ażeby pożegnać siebie i zamknięcie pamiętnego na zawsze w dziejach narodu okresu. Wychodząc X. Popiel powiedział do X. Konstantego, że mu uległ przychodząc tutaj, teraz tak jest wzburzonym wypadkami całego wieczoru, że nie jest w stanie przyjść do siebie, prosi go zatem w zamian, ażeby jemu teraz się odwzajemnił i jeszcze czas jakiś zostali na świeżem powietrzu. Wzięli zatem powóz i pojechali w Aleje Jerozolimskie. Tam gdzie przed laty w dzieciństwie zwierzenia sobie czynili ze swoich marzeń i nadziei, dzisiaj w milczeniu, ze zoranemi troską czołami i ze ściśnionem sercem szukali ochłody, wytchnienia, spoczynku. Kiedy krewkość młodości żądna jest czynu, wiek dojrzały pragnie już tylko spokoju i szuka zapomnienia.

W czerwcu 1863 r., jednego wieczoru, w chwili, gdy goście zbierali się na obiad w domu pani Szemiott, zbliżył się X. Konstanty do X. Popiela i szepnął mu do ucha, że w tej chwili był p. Tęgoborski u X. arcybiskupa Felińskiego i doręczył mu rozkaz cesarski, ażeby się do Petersburga niezwłocznie udał. Na drugi dzień rano już obydwaj ci kapłani byli w pałacu na Miodowej. X. Arcybiskup był swobodnym, wszystkie zarządzenia sam uczynił, ofiarowaną zbrojną odsiecz ze strony rządu narodowego stanowczo odrzucił. Do ostatniej chwili jednak unikał pozostać sam na sam z dawnymi swymi przyjaciółmi, żadnego wyjaśnienia im nie dał, ani zwierzenia nie uczynił i tylko w ostatniej chwili na stacyi kolei żelaznej petersburskiej, gdzie w bardzo a bardzo szczupłem gronie osób go odprowadzali, wziął ich za rękę i powiedział: »Pamiętajcie, że nigdy do żadnego stronnictwa nie należałem, miejcie wy teraz o Kościół staranie«. Na kolei obecnymi byli także Elfryda z Tyzenhauzów hr. Augustowa Zamoyska i Władysław hr. Zamoyski, syn pana Andrzeja. X. Konstanty oczywiście zupełnie odmiennego zdania od stronnictwa Zamoyskich, które nie wiedziało samo, czego chciało, bo ani otwartej rewolucyi z orężem w ręku, ani ładu społecznego z Wielopolskim i W. ks. Konstantym, serdecznie przez nich był znienawidzonym. Kiedy na kolei X. Konstanty zbliżył się do Wład. hr. Zamoyskiego, ażeby go przywitać,

ten schował rękę do kieszeni i odwrócił się wobec wszystkich od niego. X. Konstanty uradowanym był, że danem mu było znieść publiczną obelgę, hr. Zamoyski, zdaje nam się, nigdy nie pochwalił się z tego przed nikim, że odmówił dostąpić tego zaszczytu dotknięcia się konsekrowanej dłoni kapłana, który już był dwukrotnie księciem Kościoła, wyznawcą za wiarę świętą, a miał zostać męczennikiem. Ale to było naonczas szczytem patryotyzmu. Po wywiezieniu X. Arcybiskupa, ogólne zwątpienie ogarnęło wszystkich dobrze myślących ludzi w kraju. Jaki taki ład, który starano się zaprowadzić, karność w duchowieństwie, obsadzenie biskupstw wakujących, wszystko odrazu na szwank wystawionem zostało. Znowu miało się rozpocząć w archidyecezyi bezkrólewie, które musiało pociągnąć za sobą wywożenie prawnych administratorów, jak kanoników Szczygielskiego i Rzewuskiego, i rządy uzurpatora, jak X. Prałata Zwolińskiego. Co najgorsze to, że X. arcybiskup Feliński dla niewytłómaczonych dotychczas powodów opuścił, jak już wyżej powiedzieliśmy, dziedzinę spraw kościelnych, gdzie stanowisko jego było silne, jasne i niewzruszone, i przeniósł się na pole walki czysto politycznej; że zamiast bronić praw Kościoła i pilnować dobra dusz mu powierzonych, oddał się na usługi może nie stronnictwa, ale ludzi należących do jednego w kraju stronnictwa, co przecież na jedno wychodzi; że nie ograniczył się na załatwieniu bieżących trudności z innemi równemi mu znaczeniem władzami, ale wmieszał nadto koronę do dyskusyi i to w takiej sprawie, do której on, jako arcybiskup, nie miał obowiązku, nie miał potrzeby, nie miał prawa się mieszać.

Wszyscy ręce opuścili, pozostawiając dalszy bieg wypadków ślepemu losowi, tylko jeden X. Konstanty, który wierzył w Opatrzność i samopomoc, postanowił działać. Najsamprzód zatelegrafował do swego brata hr. Tomasza Łubieńskiego do Petersburga, ażeby go uwiadomić o dniu przyjazdu X. arcybiskupa Felińskiego. Tymczasem rozkaz ministeryalny wstrzymał X. Arcybiskupa w Gatczynie i tam w pałacu cesarskim kazał mu czekać dalszych rozkazów. Gdy pociąg warszawski nadszedł na dworzec petersburski, naprożno To-

masz hr. Łubieński i jedyna druga wtajemniczona w to osoba, pani Jouve, wyglądali X. Arcybiskupa. Dowiedziawszy się, gdzie w drodze pozostał, pani Jouve natychmiast doróżką tam pospieszyła i jeszcze miała szczęście ręce dostojnego więźnia ucałować i pociechę serca przyjaznego mu przynieść. Hr. Tomasz sądząc, iż nie pora tak wysoką osobę po trudach podróży natychmiast odwiedzać, odłożył podróż swoją do Gatczyny do dnia następnego. Gdy na drugi dzień tam stanął, już do X. arcybiskupa Felińskiego dopuszczonym nie został. Po kilku dniach pobytu cesarz postał do Gatczyna r. r. s. Platonowa, towarzysza ministra, sekretarza stanu Królestwa Polskiego, ażeby X. Arcybiskupowi raz jeszcze przedstawił niestosowność jego wystąpienia i nakłonił do napisania listu, w którymby się wyparł wspólności z tymi, co zdradzili list jego pierwszy przed zagranicą, odwołał lub złagodził ustęp jego, który się odnosił wyłącznie do prawno - państwowych spraw w Rosyi i dotykał dynastyi. Dalej łagodność, wyrozumiałość, chęć ocalenia osoby X. Arcybiskupa ze strony monarchy posunąć się nie mogła. W odpowiedzi na te starania, X. arcybiskup Feliński, jak sam opowiedział X. biskupowi Popielowi w Moskwie w r. 1883 w drugim jeszcze więcej wyraźnym liście, stanowisko swoje polityczne zaznaczył, i władcy północnemu prawa uciśnionego narodu wytknął i przypomniał. Ten list drugi o losie jego zadecydował, bez indagacyi i sądu, lub widzenia się z kimkolwiekbądź, natychmiast do Jarosławia wywiezionym został, nie jako wyznawca za wiarę świętą, ale jako przestępca polityczny. Wtenczas X. Konstanty przesłał mu list do Jarosławia za pośrednictwem brata swego hr. Tomasza i pewnej a zaufanej osoby, błagający go, ażeby uratował, co da się jeszcze uratować i naprawił, co da się naprawić w sprawach Kościoła i narodu, przesyłając dymisyę swoją z arcybiskupstwa równocześnie do Rzymu i Petersburga. Ale X. arcybiskup Feliński popadł w ten niemy opór i bezczynną opozycyę, odznaczające stronnictwo Zamoyskiego i tego nie uczynił. I tu raz jeszcze sprawiedliwość dziejopisarza ubolewać nam każe, że X. arcybiskup Feliński nie poszedł w tej ostatniej jeszcze godzinie

za radą X. Konstantego. Ile tym krokiem sam sobie chwil bolesnych samotności, ile biednych księży w swej dyecezyi od wygnania, ile publicznego zgorszenia i rozprzężenia z powodu X. Zwolińskiego, byłby wszystkim zaoszczędził. Rada X. Konstantego w tym wypadku była genialną, prawdziwie wyższem natchnieniem, jedynem wyjściem dla wszystkich z niemożliwego położenia i poświęceniem się jednego człowieka, uratowaniem sprawy Kościoła i może narodu. Już nigdy więcej tyloletni przyjaciele w życiu się nie spotkali. Nieraz jeszcze pomiędzy Sejnami a Jarosławiem biegały listy, pełne wzajemnego uszanowania i wyrozumiałości. X. Konstanty zabrał ze sobą do grobu tajemnicę żalu w sercu. X. Arcybiskup dochowuje jej za życia na wygnaniu od swoich, otoczony wspomnieniami nadziei, których nie spełnił i nieskalaną pamięcią podjętych obowiązków patryoty.

Kiedy pewne wiadomości już nadeszły z Rzymu o potwierdzeniu przez Ojca św. X. Konstantego na biskupa, przedewszystkiem przedstawiła się jego umysłowi trudność co do roty przysięgi homagialnej, którą w ręce monarchy miał złożyć. W tej przysiędze były dwa ustępy, które obrażały sumienie każdego katolika, tem więcej kapłana i biskupa. Pierwszy zawierał przyrzeczenie, że się wyrzeka myśli nawracania z prawosławia poddanych cesarskich na łono prawdziwego Kościoła, drugi że się podejmuje donosić władzy o wszelkich zamachach na całość i bezpieczeństwo państwa w jakikolwiek sposób (nie wyjmując oczywiście trybunału spowiedzi) wiadomość o tem otrzymałby. Rota ta przysięgi pomimo niemożliwych na pozór wymagań, stale od lat wielu, przez wszystkich wyższych duchownych katolickich wykonywaną była w Rosyi. Pierwszy ustęp szczególnie obrażał pojęcie każdego kapłana, »nauczania wszystkich narodów« i był przedmiotem dyskusyi podczas zawarcia konkordatu z r. 1847. Ale oczywiście do żadnego porozumienia nie doszło i jest zapisany pod Nrem 12 w protokóle tych spraw, które zostały załatwione. Protokół ten nosi także datę 3 sierpnia 1847 r., z podpisami kardynała Lambruschini'ego, hr. Blondowa i p. Bonteniewa. X. Konstanty natychmiast odniósł się

osobnem pismem do władzy w Warszawie, że tej roty przysięgi na żaden sposób złożyć nie może. Nakłada bowiem na niego obowiązki głowa Kościoła i monarcha, które nie są zgodne z jego sumieniem i nie odpowiadają zaufaniu, które samą nominacyę okazują mu. Pierwszy sprzeciwia się zasadniczej myśli kapłaństwa katolickiego, drugi obraża go, jako wysokiego państwowego dygnitarza, wkładając na niego obowiązki ajenta policyjnego lub prostego szpiega. Władze miejscowe zaskoczone tak niespodziewanie tym zarzutem, po pewnem wahaniu się odpowiedziały X. Konstantemu, że nie mając prawa zmieniać jej treści, tem bardziej, że od niepamiętnych lat wszyscy biskupi katoliccy bez żadnej reklamacyi rządowi ją składali. Ale X. Konstanty postanowił nie ustąpić w tej zasadniczej sprawie i napisał wprost do osoby monarchy uniżone podanie, wyłuszczając wszystkie swoje zarzuty i prosząc o pozwolenie złożenia przysięgi, podług załączonego przez siebie ułożonego formularza. Cesarz Aleksander II odczytawszy to podanie, własnoręcznie na nim napisał. »Przysięga ma być wykonaną podług tego wzoru«. Odpisu podania tego do cesarza nie mamy w papierach po X. Konstantym pozostałych, tylko jest sprawozdanie tego, któremu X. Konstanty sam ją podyktował. Podług tej roty złożyli przysięgę: X. Konstanty, X. Popiel i X. Henryk Kossowski, postępując 7 października 1863 r. na rektora Akademii duchownej. Czy od tego czasu powrócono do dawnej roty, czy tej nowej się trzymają — nie umiemy powiedzieć. Pozostaje rzecz uderzająca, że X. Konstanty odwagą, stanowczością i taktem przeprowadził tak drażliwą sprawę dla sumienia katolickiego, o której nie śmieli nawet wspominać wszyscy inni jego poprzednicy na urzędzie biskupiem w Rosyi, i o którą daremnie sama kurya rzymska upominała się całemi latami u rządu cesarskiego.

W jakiś czas po wywiezieniu X. arcybiskupa Felińskiego było wielkie wieczorne przyjęcie u W. ks. Konstantego. X. Popiel, który z powodu urzędu swego rektora akademii i nominata płockiego, musiał na zamku bywać, bardzo się wahał, czy mu wypada teraz tam się pokazać. Najusilniej

do tego namawiany przez X. Konstantego, uległ nareszcie i poszedł. Ledwo wszedl do salonu, zbliżył się do niego X. Konstanty i powiedział mu, że w tej chwili od Enocha się dowiedział, że bulle papieskie ich dwóch, były już od jakiegoś czasu w Warszawie w rękach rządu. I że gdyby X. Popiel tego wieczora nie był przyszedł, postanowionem już było, nie wydawać mu jej wcale, zacząć robić trudności, które prawdopodobnie byłyby się skończyły pozbawieniem godności, uniemożliwieniem konsekracyi i wygnaniem. Sam X. Popiel później opowiadał, że tylko dzięki usłuchaniu rady X. Konstantego w tym wypadku, zawdzięcza swoje wyświęcenie na biskupa.

Kiedy X. Konstanty uporał się z trudnościami roty przysięgi, zaczęły się przed nim piętrzyć o wiele większe przeszkody, gdy chciał doprowadzić do konsekracyi. Rząd tajemny narodowy, który był zaprzysiągł wieczną nieprzyjaźń i zemstę X. Konstantemu, widząc, iż pomimo wszystkich jego wysileń, prekonizacya dnia 2 czerwca 1863 r. w Rzymie nastąpiła, wydał okólnik do wszystkich biskupów w całem Królestwie, ażeby się nie ważyli pod karą śmierci wyświęcić X. Konstantego Łubieńskiego na biskupa. Rozkaz ten naonczas musiał być bardzo poważnie wzięty, bo akty gwałtu żandarmów narodowych, coraz częściej się powtarzały i trzymały wszystkich, szczególnie mieszkańców po wsiach i na prowincyi, w niesłychanej trwodze o mienie i życie. Najwięcej lękliwi podsunęli myśl X. Konstantemu, ażeby wyjednał sobie w Rzymie pozwolenie być konsekrowanym przez jednego tylko biskupa, co za dyspensą papieską jest w prawie kanonicznem przewidzianem. X. Konstanty ani słyszeć o tem nie chciał, bo z jednej strony nie ustąpiwszy przed rządem cesarskim w sprawie roty przysięgi, nie myślał ugiąć się przed samozwańczym rządem narodowym, który naród na zgubę prowadzi, z drugiej strony zazdrosnym był nader o okazałość obrządków kościelnych i nigdy w czasie swojego biskupstwa nie zezwalał na najmniejsze zwolnienie pod tym względem. Nie chcąc jednak żadnego ze swoich kolegów postawić w tak niemiłem położeniu, zmuszając ich albo do dania odmownej

odpowiedzi, albo wystawienia ich na obelgi i gwałty publiczne gawiedzi, prosił u rządu o pozwolenie wyjechania do Rzymu, albo do Poznania lub Gniezna, ażeby tam sakrę biskupią odebrać. Ale ani na jedno, ani na drugie rząd zgodzić się nie chciał, aby nie dać tem samem dowodu niepokoju w Królestwie wobec zagranicy. W. ks. Konstanty znając kłopotliwe położenie X. Konstantego, odrazu zaproponował mu, że każe sprowadzić pod strażą oddziałów wojskowych tych biskupów i na takie miejsce i dzień, jakie on zażąda, ażeby dokonali konsekracyi. Ale od tego oczywiście, jak najusilniej wymówił się X. Konstanty, i owszem wyrobił sobie przyrzeczenie samego Wielkiego Księcia, że rząd zupełnie do tego mieszać się nie będzie, ale jemu cały ten kłopot pozostawi.

Równocześnie X. Wincenty Popiel miał także niemałe kłopoty z zebraniem trzech biskupów, nie z tych samych powodów co X. Konstanty, ale dla braku komunikacyi, trudności paszportowych, niepewności dróg i smutnego stanu kraju. Aż nareszcie udało mu się zaprosić XX. biskupów: Majerczaka Kieleckiego, Marszewskiego kujawsko-kaliskiego i Platera, sufragana rezydującego przy kollegiacie w Łowiczu, na pewien jeden oznaczony dzień do Włocławka. Dzień naznaczony, był na 15 sierpnia 1863 r., święto Wniebowzięcia, które wypadało tego roku w sobotę, X. Konstanty wtenczas poprosił X. Popiela, ażeby albo tego samego dnia równocześnie w Włocławku, albo zaraz na drugi dzień w niedzielę z dwoma drugimi kolegami jemu sakrę udzielił. X. Popiel zauważył, że wobec stanu umysłów, wątpi, ażeby im się to udało, bo gdyby publiczność się dowiedziała, na co się przygotowuje, z pewnością biskupi się nie zjadą, obawiając się rozruchów. Ale X. Popiel nie mógł takiemu przyjacielowi tej usługi odmówić i po pewnem wahaniu się ostatecznie przystał. Wszystko już na konsekracyę X. Popiela było gotowe, sam dni kilka spędził w samotności na rekollekcyach, w domu zamknięty, kiedy w wigilię wyjazdu do Włocławka, to jest we czwartek o późnej godzinie wieczór, zajechał do niego jeden kapłan z Włocławka z wiadomością, że X. biskup

Marszewski dowiedziawszy się dosłownie o tem, że na drugi dzień ma być także konsekrowany X. Konstanty, »do łóżka się położył i z niego nie wstanie«. Kapłan spełniwszy dane sobie polecenie najspokojniej się oddalił. Zawód dla X. Popiela i dwóch tamtych biskupów już w drodze będących, był niesłychanie przykry. Cóż dopiero powiedzieć o położeniu X. Konstantego, który widział, że tylko z jego powodu cały ten zachód, koszt i fatyga na marne poszły. Na drugi dzień raniutko zeszli się dwaj przyjaciele w pomieszkaniu brata X. Popiela, pana Wacława Popiela, przy ulicy Chmielnej, ażeby nad wspólną biedą radzić, postanowili, ażeby już każdy na swoją rękę starał się o konsekracyę, a X. Konstanty napisał list do X. biskupa Marszewskiego, wyrzucając mu brak odwagi nietylko wobec narodu, ale nawet pewnego rodzaju uchybienia wobec Stolicy Apostolskiej, bo swojem postęponiem stawia przeszkody w wykonaniu bulli papieskiej. Do jakiego stopnia były naonczas umysły przewrócone i po manowcach błąkające się, dosyć powiedzieć, że kapłan, który X. Biskupem Marszewskim w tej całej sprawie głównie kierował przeciwko X. Konstantemu, sam osobiście zawdzięczał wychowanie szkolne, seminaryjskie, święcenie i stanowisko swoje X. biskupowi Tadeuszowi Łubieńskiemu. X. Popiel wobec tego zwątpiwszy, ażeby mu się po raz wtóry udało zebrać trzech biskupów na jedno miejsce, postanowił napisać do Ojca św. z prośbą, o pozwolenie wyświęcenia się przez jednego tylko biskupa. Sam zaś nie tracąc czasu wyjechał do Płocka, ażeby objąć zarząd swej dyecezyi.

Nie dosyć było tych licznych i różnorodnych trudności, nastąpiła jedna, która jeszcze więcej, jeżeli to można wystawić sobie, powikłała wszystkie sprawy i była przyczyną szeregu prześladowań, wywożeń kapłanów i rozpaczy w kraju. Po wywiezieniu X. arcybiskupa Felińskiego, X. prałat nominat Rzewuski, który również miał już bullę papieską na sufraganię warszawską, ale do konsekracyi swojej także doprowadzić nie mógł, został administratorem archidyecezyi. Był to człowiek wielkiej pobożności i zacności, ale zupełnie nieprzystępny dla jakiegokolwiek rozsądnego namysłu, miał

tylko pewną ilość ściśle oznaczonych zasad politycznych i nic poza tem, ani obok tego nie widział, nie słyszał i nie rozumiał. Otrzymawszy z rozkazu X. arcybiskupa Felińskiego administracyę i polecenie również, zdaje się oddalającego się arcypasterza, ogłosił żałobę kościelną. Na mocy prawa kanonicznego i dekretów synodów dyecezyalnych polskich, postanowionem jest, że jeżeli biskup siłą i przemocą z dyecezyi jest usuniętym, żałoba kościelna ma być zachowaną tak długo, aż nie wróci, a jeżeli to był arcybiskup, w takim razie w całej jego metropolii ma być ta żałoba przestrzeganą. Żałoba taka zakazuje używania dzwonów kościelnych, muzyki, śpiewanych mszy, procesye niedzielne odbywają się po kościele milcząco, ceremonie wszystkie także pocichu. X. prałat Rzewuski ogłosił taką żałobę w dyecezyi warszawskiej, a osobną kurendą zawezwał wszystkich biskupów Królestwa Polskiego, ażeby to samo uczynili. XX. Konstanty i Popiel również otrzymali to wezwanie, ale odmiennego byli zdania. Nasamprzód dekreta te kanoniczne, były z czasów interdyktów kościelnych średniowiecznych, które, jeżeli nie są dotychczas prawem odwołane, nigdy w naszych czasach używanymi już nie są, straciły zatem niejako moc obowiązującą. Powtóre ogłoszenie takiego interdyktu w tej chwili, było tylko dolaniem oliwy do ognia, powiększeniem zamieszania, podburzeniem namiętności, a najlepszym na to dowodem, że wielu księży w gorliwości nie kapłańskiej, ale patryotycznej, tak daleko zaszło, że pod pozorem tej żałoby, odmawiali zupełnie udzielania parafianom Sakramentu małżeństwa, i wystawiali przeto ludzi na to, że żyli na wiarę. Potrzecie przewidywali, że tak samo, jak z zamknięciem kościołów przed niedawnym czasem, rozkaz ten wydany bez dostatecznego namysłu, również bez odpowiedniej rozwagi cofniętym będzie, a kto protestuje w imieniu zasad, musi albo przemocy uledz, albo dla nich zginąć, inaczej zasady stają się tylko blichtrem i wymówką, na które nikt później nie zważa. Wszyscy biskupi bardzo niechętnie, pod wpływem terroryzmu czasów, poszli za rozkazem X. prałata Rzewuskiego. X. Konstanty jeden, wierny swemu zdaniu, odmówił ogłoszenia ża-

łoby w swojej dyecezyi, a na przestarzałe kanony dla użytku chwili, z pyłu zapomnienia wyciągnięte, odpowiedział aktualnym stanem rzeczy, to jest, że prawie cała dyecezya jego zajętą była przez Murawiewa, zatem nie tworzyła na razie chwilowo jednolitej całości administracyjnej z Królestwem Polskiem, a zatem do niego odezwa ta stosować się nie może. I znowu jeden tylko X. Konstanty miał słuszność po swojej stronie, bo jak później się okaże, tak, jak lekkomyślnie ogłoszoną została ta żałoba, tak również bez żadnego powodu cofniętą została, a kto idzie naprzód i cofa się, ten przecież już większą połowę bitwy przegrał, bo placu dotrzymać nie zdołał.

X. Popiel także bardzo ubolewał nad tym nierozważnym krokiem X. prałata Rzewuskiego, zwlekał jak mógł tylko najdłużej z ogłoszeniem żałoby, lecz nie chcąc się wyłamać od jedności z kolegami swoimi, ostatecznie listem pasterskim u siebie ją ogłosił. Przy tej sposobności zastosował się jednak ściśle do przepisów prawa kanonicznego, wymienił wszystkie uroczystości kościelne, podczas których ona zastosowaną być nie mogła, to jest tak zwane święta *primae classis*, i najmocniej zalecił, ażeby ona w obsługiwaniu wiernych potrzebami duchownemi przeszkodą nie była. Niebawem nadeszła odpowiedź z Rzymu, z pozwoleniem dla X. Popiela, ażeby jeden tylko biskup za dyspensą sakry mu udzielił. W niedzielę dnia 6 grudnia 1863 r. X. biskup Plater w Płocku ceremonii tej dopełnił. Czasy były tak niepewne, że aż do 6-tej godziny wieczorem dnia poprzedniego, oprócz kilku zaufanych, nikt w Płocku o tem nie wiedział. Wtenczas gdy X. biskup Plater zajechał, X. Popiel rozesłał, naumyślnie trzymanych przez siebie od czasu jakiegoś konnych posłańców, do wszystkich okolicznych wiejskich parafii, z rozkazem, ażeby po bardzo wczesnej Mszy św. przybyli procesyonalnie z pobożnym ludem do katedry na jego konsekracyę. Tym sposobem zapełnił świątynię Pańską wiernymi i nie obawiał się rozruchów mało-miasteczkowych, niedowarzonych polityków. Na uroczystość przybył także Dziewanowski, gubernator miejscowy, mianowany przez margrabiego Wielopol-

skiego, bardzo wielkiej zacności człowiek, były sekretarz izby poselskiej w r. 1830. X. Popiel, ażeby podnieść uroczystość tak ważną dla dyecezyi swojej konsekracyi, osobnym rozkazem zniósł na ten dzień żałobę kościelną, a ponieważ dwa dni potem, w dzień Niepokalanego Poczęcia Matki Boskiej 8 grudnia, i tak żałoba nie mogła mieć miejsca, bo to był jeden z dni wyjętych z pod rygoru prawa, depesze rozniosły po całym kraju równocześnie ze sprawą dokonanej konsekracyi, mylną wiadomość o zniesieniu żałoby w Płocku. Wszyscy biskupi dyecezyalni, oprócz X. prałata Rzewuskiego, na tę wieść natychmiast znieśli także u siebie żałobę. Hr. Berg zapytał się listownie X. biskupa Popiela, czy to prawda, że on pierwszy zniósł u siebie żałobę kościelną, a gdy dostał odpowiedź, że tak nie jest, zatrzymał mu 28.000 złotych polskich z pensyi i kazał wypłacać tylko po 12.000 złp. rocznie nadal. X. arcybiskup Feliński z Jarosławia napisał do X. biskupa Popiela list pełen wymówek za to, że on pierwszy zniósł tę żałobę. X. biskup Popiel, który zrazu był żałobie stanowczo przeciwnym, który tylko w ostatniej chwili i to ze znacznemi zastrzeżeniami u siebie ją zaprowadził, stał się zbiegiem okoliczności ofiarą jej zaprowadzenia i sprawcą jej zniesienia, chociaż sam dopiero po Nowym roku 1864, gdy wszędzie była już odwołaną, u siebie także ją skasował.

Ta żałoba kościelna miała swój niezwykły epilog, który aczkolwiek parę miesięcy później nastąpił i ponieważ X. Konstanty do niej był wmieszany, dla całości obrazu tutaj należy się dopowiedzieć. W miesiącu maju 1864 r. X. Konstanty jako biskup już przyjechał do Warszawy i zaraz pierwszego dnia zaproszonym został do stołu tak dobrego i dawnego znajomego swego hr. Berga, namiestnika. W czasie obiadu hr. Berg zapytał się X. Konstantego, dlaczego dotychczas X. prałat Rzewuski nie zniósł żałoby kościelnej, kiedy już wszyscy biskupi to uczynili. X. Konstanty odpowiedział, że nic o tem nie wie, aczkolwiek widział się był z X. Prałatem Rzewuskim w rannych dnia tego godzinach i o tym przedmiocie z nim rozmawiał. Na to hr. Berg odpowiedział, niechaj się o to zapyta hr. Elfrydy Zamoyskiej, która dostała

polecenie listowne X. arcybiskupa Felińskiego dla X. prałata Rzewuskiego, ażeby żałobę odwołał. Zaraz po obiedzie X. Konstanty pojechał wprost do hr. Zamoyskiej, ażeby się o tej sprawie coś dowiedzieć, tymczasem spotkał się z oświadczeniem, że żadnego listu z Jarosławia od Arcypasterza w tych czasach nie odebrała i nic o całej tej sprawie nie wie. Na drugi dzień przyjeżdża hr. Zamoyska do X. biskupa Konstantego i oświadcza mu, że dnia poprzedniego listu tego nie miała, ale że właśnie go otrzymała i zapytała się nawzajem, skąd X. biskup Konstanty o tem mógł wiedzieć. On oczywiście wskazał na źródło wiadomości, którą łatwo sprawdzić było można, bo sam był przecież na obiedzie. Zaszło tu nadzwyczajne nieporozumienie. Czy hr. Berg kazał odczytać list X. Arcybiskupa na poczcie i naumyślnie lub przypadkowo z tą wiadomością się wygadał? Czy list ten rzeczywiście óźniej dopiero został wręczonym? Czy osoby interesowane widząc, iż tajemnica jest zdradzoną, nie mogli dłużej listu ukrywać i zmuszeni byli do jego ogłoszenia, dzisiaj trudno osądzić? Dosyć, że dla niewtajemniczonych X. biskup Konstanty wiedział o treści listu X. Arcybiskupa do hr. Zamoyskiej, zanim ona sama go otrzymała lub o nim mówiła i to było naonczas dowodem niezbitym jego blizkich stosunków z tajną policyą. Nic nie pomogło wyjaśnieniu sprawy i świadectwo osób na obiedzie przytomnych. Stronnictwo Zamoyskich o niczem słyszeć nie chciało i w zapamiętałości przeciwko osobie X. biskupa Konstantego granic nie znało. Po tylu krzywdach wyrządzonych duszom pobożnym; po zgorszeniu publicznem, ulicznej dyskusyi nad obowiązkami biskupów; po wywiezieniu tylu zacnych, ale posłusznych zwierzchności kapłanów; po liście X. arcybiskupa Felińskiego do X. biskupa Popiela; tak jak żałoba lekkomyślnie była ogłoszoną, tak również bezmyślnie była odwołaną, oddając świadectwo najświętsze raz jeszcze rozumowi i przenikliwości X. Konstantego. Jakżeż stronnictwo ruchu i pokrewne poczciwe, ale słabe i błądzące umysły mogły go w sercu nosić, kiedy na każdym kroku wypadki same im kłam zadawały, a jemu sprawiedliwość oddawały. Nie nawidzi się przeciwnika, który ma

nad tobą wyższość niezaprzeczoną, gdy mu się nie dorasta w walce, gdy ze wstydem trzeba mu z pola ustępować.

X. Konstanty widząc, że święcenie jego w Warszawie nie będzie mogło do skutku być doprowadzone, widząc, że dla powodów wyżej nadmienionych, terminu konsekracyi nie da się ściśle, ani w przybliżeniu oznaczyć, postanowił zaraz objąć zarząd dyecezyi. Z początku nie życzył sobie tego uczynić, ale zmienione okoliczności wpłynęły na zmianę jego postanowienia. Z wygnaniem X. arcybiskupa Felińskiego, ustąpieniem X. Konstantego, upadkiem Margrabiego, położenie w kraju coraz trudniejszem się stawało. Rząd coraz energiczniej przywracał porządek społeczny, wywożąc, karząc śmiercią, burząc i niszcząc wszystko, na co rękę położył. Przez osobiste swoje stosunki dowiedział się X. Konstanty o zamiarze Murawiewa, zagarnięcia całej gubernii Suwalskiej pod władzę swoją i o przyjeździe ks. Czerkawskiego, z postanowieniem nie pozostawienia ani kamienia na kamieniu z tego, co wieki w kraju naszym zbudowały. Zarząd tymczasowy dyecezyi jego spoczywał w zacnych ale niedołężnych rękach administratora X. kanonika Choińskiego, który jednak ulegać musiał wszechwładnemu X. prałatowi Butkiewiczowi, którego jak później zobaczymy, X. Konstanty miał wszelki powód obawiania się. Niedostępne lasy Augustowskie służyły za wyborną kryjówkę dla band powstańczych, ale były też powodem, że coraz to nowy kapłan był skompromitowany przed władzą i na Sybir wygnany. Prawo kanoniczne dozwala nominatowi po prekonizacyi wykonywać w zupełności pełność władzy pasterskiej i chodzić w fioletach z krzyżem na piersiach. Prawdziwie, że postanowienie to X. Konstantego uważać trzeba za natchnienie Opatrzności, wobec bezpośrednio następujących wypadków, które zaraz z kolei rzeczy opowiedzieć nam wypadnie. Gdyby nie ta stanowczość jego w tej chwili, jest więcej, jak prawdopodobnem, że nigdy zarządu dyecezyi, wobec Murawiewa rosnącej przewagi, nie byłby objął i jeszcze przed konsekracyą, jak kanonik Rzewuski, na wygnanie zostałby wysłany.

X. Konstanty opuścił Warszawę w pierwszych dniach

października 1863 r. Do Grodna dojechał koleją żelazną i tam zanocował u X. Gintowta, ówczesnego dziekana i proboszcza kościoła po-bernardyńskiego, a późniejszego metropolity mohylewskiego. Od dnia tego wielka pomiędzy nimi nastąpiła zażyłość, a X. Gintowt mieszkając przy kolei, nie jedną ważną usługę oddał X. Konstantemu, który tak daleko miał do łatwej światowej komunikacyi. Jadąc potem lasami do Sejn za wioską Sapockiniani, kareta jego została zatrzymaną przez silny oddział powstańców. Chwila była poważną, bo nie tajną przecież była nienawiść rządu narodowego do X. Konstantego. Nie zawahał się jednak ani na chwilę, wysiadł z karety i wysłuchał sprawozdania naczelnika, który mu oznajmił, że mają wiadomość o jego przyjeździe i o powodach niezadowolenia stronnictwa ruchu z jego postępowania. Na to X. Konstanty odpowiedział im nauką duchowną o ich obowiązkach chrześcijańskich, o rozpaczliwem położeniu powstania, o potrzebie powrotu do cichej, wytrwałej, pokornej, codziennej pracy. Cały wypadek skończył się tem, że oddział zeszedł z konia, padł na kolana i poprosił o pasterskie błogosławieństwo, które X. Konstanty z całego serca im udzielił. Ruszono dalej w drogę, a powstańcy otoczyli karetę i pełnili przez resztę drogi, aż po same prawie Sejny, obowiązki straży honorowej i bezpieczeństwa przed innymi oddziałami, które w tej puszczy leśnej oprócz sprawy narodowej, nieraz także osobiste i zupełnie niepatryotyczne cele miewały na względzie. W tej podróży towarzyszył X. Konstantemu, jako jego kapelan, X. Karol Bołdok, dawny jego kolega na wikaryacie w Wiskitkach, później proboszcz w Kozłowie Biskupim pod Sochaczewem, który przy tej sposobności przeniósł się do swojej rodzinnej dyecezyi sejneńskiej, na probostwo w Urdominie.

X. Konstanty przyjechał o godzinie 10 rano do Sejn, w pierwszą niedzielę października 1863 r., w święto Matki Boskiej Różańcowej. W katedrze dzisiejszej, a dawniejszym kościele OO. Dominikanów, obchodzono tę uroczystość wielkim dorocznym odpustem, z górą 5.000 ludu wiernego zebranego było. Dyecezya sejneńska już od lat 17-tu wakowała,

wielu bardzo nigdy na swoje oczy biskupa nie widziało, inni zapomnieli jak on wygląda. X. Konstanty kazał zajechać wprost do kościoła w chwili, kiedy suma wychodzić miała, przeszedł przez środek kościoła w fioletach ubrany i w prezbyteryum przed wielkim ołtarzem położył się krzyżem przed Najświętszym Sakramentem. Gdy powstał, kazał odsłonić zakryty tron biskupi, usiadł na nim i w gorących słowach przemówił do zgromadzonego ludu. Kto zna ten poczciwy ludek litewski, ich wiarę i pobożność, wystawić sobie może radość i łkanie, które napełniły świątynię Pańską, na widok prawowitego znowu Pasterza.

W swojem przemówieniu, które natychmiast obecny X. Bołdok spisał, i które w całości w ówczesnych pismach było ogłoszone, X. Konstanty przyrównując nasze czasy z pierwiastkami Kościoła, przedstawiał ciężkie niebezpieczeństwa, wśród których żyjemy, zagrzewał do wytrwałego pełnienia cnót przodków, abyśmy zachowali wiarę, czerpiąc w Bogu nadzieję i siłę. A skończył, dosłownie: »Ja Wasz Pasterz, wierny powołaniu memu, nigdy Was nie opuszczę i dam przykład ze siebie. A choćby mi przyszło ponieść śmierć męczeńską, to gotów jestem na wzór starożytnych chrześcijan, krew własną przelać za Kościół i Ojczyznę«. Jakżeż to dziwne a niepojęte, zrządzeniem Opatrzności, proroctwo!

Po skończonem nabożeństwie X. Konstanty przeszedł do Kapitularza, otoczony całym klerem i kanonikami, licznie z dyecezyi dla słuchania spowiedzi zgromadzonymi. Tam złożywszy na stole bulle Ojca św., w któtkich, stanowczych ale uprzejmych wyrazach oświadczył, że od tej chwili obejmuje administracyę dyecezyi, i że urząd dotychczasowego administratora tem samem ustaje. Wówczas X. prałat Butkiewicz, który wszelkimi sposobami, nie zawsze kanonicznymi, starał się o otrzymanie tego biskupstwa, chcąc odrazu zmierzyć siłę charakteru X. Konstantego i dowiedzieć się, jak mu wypadało dalej z nim walczyć, oświadczył w mowie bardzo pochlebnej, że dla dopięcia celu przez X. Nominata wskazanego, objęcia przez niego przed wyświęceniem administracyi, proponuje, by kapituła przystąpiła natychmiast do wy-

boru nowego administratora i wybrała X. nominata Konstantego na ten urząd. X. Konstanty na to spokojnie oświadczył, że nie tą drogą wprowadzi prawo kanonicznie mu przysługujące, że administracyę dyecezyi już faktycznie w tej chwili objął, że zostawia kapitule pół godziny czasu do przejrzenia papierów i bulli przez siebie złożonych, i że nie chciałby na pierwszym wstępie być zmuszonym pociągać do odpowiedzialności kanonicznej członków kapituły swej dyecezyi, którzy niższemu klerowi przykładem służyć powinni. Zostawił kapitule czas zapowiedziany, a sam wrócił do kościoła, ażeby się pomodlić. Kiedy do kapitularza napowrót przyszedł, odebrał już tylko powinszowania kanoników i kleru zebranego. Ten nagły przyjazd X. Konstantego i objęcie zarządu dyecezyi, był znowu mistrzowskim ruchem na szachownicy politycznej, którym wszystkie wyrachowania i plany dokoła siebie pokrzyżował. Czekał na jego przyjazd do Sejn rząd cesarski, ażeby naprzekor Komitetowi narodowemu siłą zbrojną X. Konstantego tam wprowadzić; stronnictwo ruchu, ażeby gwałtami i niepokojami objęciu władzy przeszkodzić; Murawiew, ażeby odrazu prześladowanie swe rozpocząć; X. prałat Butkiewicz, ażeby raz jeszcze spróbować, czy swoim wpływem, sprytem i przewrotnością nie uda mu się oddalić X. Konstantego i zatrzymać tę dyecezyę dla siebie; czekać miało duchowieństwo całe, w smutnem rozprzężeniu zostające wskutek tak niezmiernie długiego wakansu, podmawiane miesiącami całymi z Warszawy przeciwko X. Konstantemu, że jest zdrajcą, że jest odstępcą, że jest arystokratą. Wszystkie wpływy skierowane były do jednego i tego samego celu, ażeby utrudnić, uniemożliwić X. Konstantemu objęcie władzy, on jednym zręcznym obrotem wszystkich ich w własnej niemocy pogodził. Sam dla siebie zajął w gmachu seminaryjskim, dawniejszym klasztorze OO. Dominikanów, dwie małe cele na mieszkanie, a jedną dla swego kapelana i zaraz zajął się ukonstytuowaniem konsystorza i obsadzeniem zarządu dyecezyi gorliwymi i przykładnymi kapłanami.

Po załatwieniu najpilniejszych spraw dyecezyalnych, X. Konstanty pospieszył do miasta gubernialnego Suwałki,

dla poznania gubernatora miejscowego i naczelnika siły zbrojnej, urzędu zaprowadzonego podczas powstania, z którymi miał mieć liczne, trudne a nieuniknione stosunki, a które znajomość i zbliżenie się osobiste mogło w każdym razie ułatwić. Wypadek chciał, że tam zjechał w sobotę, a na drugi dzień w niedzielę 22 po Zielonych Świątkach, ewangelia czytana w kościele jest o oddawaniu »co jest cesarskiego cesarzowi, a co jest Boskiego Bogu«. Na te słowa, których myśl miała się stać nicią przewodnią i wskazówką działania w pracy jego pasterskiej, wypowiedział pierwsze w swojej dyecezyi kazanie w sprawie bardzo w owej chwili drażliwej, a jednak zupełnie na czasie. Zanim jednak tego dnia do kościoła się udał, dopełnił innej nie mniej delikatnej funkcyi duchownej. Kiedy w wilię dnia tego zajechał do miejscowego proboszcza X. kanonika Wierzbowskiego, a jego następcy na stolicy sejneńskiej, w czasie kolacyi przyszło na probostwo wezwanie, ażeby nazajutrz rano przyszedł ksiądz jaki do więzienia dla przygotowania na śmierć skazanego powstańca. Nazajutrz do dnia X. Konstanty we fioletach ubrany, sam w więzieniu dopełnił tej posługi religijnej. Kiedy po skończonej sumie udał się z wizytą do naczelnika wojennego, zawiadomionego o tem co zaszło, zaczął X. Konstantemu czynić uwagi, że taka czynność należała do miejscowego niższego duchowieństwa. Ale X. Konstanty odpowiedział mu, że on jako biskup miejscowy, odpowiedzialnym jest przed Bogiem za zbawienie swoich owieczek; że na tem powstańcu ciężkie muszą ciążyć winy, kiedy aż na śmierć skazanym został; że przeto za bardzo ważną rzecz uważał dobre przygotowanie go, ażeby i śmierć wieczna nie stała się jego udziałem; że nie znając jeszcze dostatecznie swojego duchowieństwa, wolał sam oddać mu tę przysługę. Naczelnik wojenny wskutek tego wypadku, wstrzymał wykonanie wyroku śmierci, doniósł o wszystkiem Murawiewowi do Wilna, rzecz poszła w odwłokę i ostatecznie skazanego rozkazano wysłać do Syberyi, o czem Naczelnik wojenny osobiście przybył X. Konstantemu powiedzieć.

Zaledwo do Sejn powrócił, nowa a poważniejsza zaszła

trudność, wskutek czego po raz pierwszy zetknął się z jenerałem Murawiewem, który tak bardzo na niego zęby ostrzył, i którego po kilkuletniej walce, ostatecznie X. Konstanty miał także pokonać.

Cała organizacya, która przygotowała powstanie i kierowała jego ruchami, miała także do walczenia z niezliczonemi przeszkodami. Jedną z nich była trudność wszelkich ogłoszeń skutkiem czujności rządu i zresztą ich bezskuteczność dla braku przyzwyczajenia czytania w towarzyskich kołach wyższych i średnich naszego kraju, a nieumiejętności czytania naszego ludu, który przeważnie z analfabetów się składa. Dlatego też organizatorowie posługiwali się dla swoich ogłoszeń środkiem w wielu wypadkach u nas używanym, proszeniem księży po parafiach, ażeby ogłaszali z ambon to, co miało dochodzić do wiadomości ogółu. Ludzie wtedy powtarzali jedni drugim to, co w kościele słyszeli, lepiej nawet to pojmując, aniżeli nieudaną jakąś duchowną naukę wiejskiego plebana. Takie ogłoszenia nie zawsze dochodziły do wiadomości władz rządowych, często jednak ściągały więzienia i wywożenia. Dla ochronienia swojego duchowieństwa od tego niebezpieczeństwa, pierwsze rozporządzenie jakie wydał X. Konstanty do duchowieństwa swojej dyecezyi, był zakaz, pod karą suspensy, czytania lub ogłaszania w kościele z ambony jakichkolwiek rozporządzeń ściśle nie odnoszących się do służby Bożej i kościelnej, bez wyraźnego piśmiennego swego pasterskiego pozwolenia. Nieszczęście chciało, że zaraz po wydaniu tego rozporządzenia przez X. Konstantego, władza polityczno-wojskowa, która zupełnie w tej samej trudności była, jak powstańcy ze swojemi ogłoszeniami, postanowiła rozkazy swoje przeciwko ruchawce, ażeby do wiadomości ludu dochodziły, rozsyłać po parafiach i nakazała księżom odczytać z ambony pierwszy taki okólnik zaraz następnej niedzieli. Okólnik ten miał inne jeszcze znaczenie. Murawiew objąwszy władze na Litwie, wymógł na X. biskupie żmudzkim Wołonczewskim, ogłoszenie listu pasterskiego, ostro potępiającego ruchy krajowe. Wielkorządca Wileński zająwszy Augustowskie, nakazał właśnie w tej chwili władzom wojskowym odczytanie po

:iołach tego listu pasterskiego X. biskupa Wołonczew-
ʒo, w całej dyecezyi sejneńskiej. Wszyscy księża czy to
z karność dla dyscypliny duchownej, czy przez patryo-
ı, odmówili zadosyćuczynienia temu wezwaniu rządu bez
.iennego zezwolenia nowego Pasterza dyecezyi, z wyjąt-
. tylko jednego kapłana. Proboszcz ten, mniej jak się
: z obawy nacisku i przymusu ze strony władzy woj-
/ej, ale raczej w zamiarze wypróbowania, o ile młody
erz w tak trudnem położeniu będzie umiał obstawać przy
:h rozporządzeniach i czy mu się nie uda stawić czoła,
jak księża Warszawy, wszedł na ambonę i list pasterski
Wołonczewskiego zebranemu na nabożeństwo ludowi od-
ił. X. Konstanty zawiadomiony o tem, nakazuje probosz-
'i pozwem formalnym z konsystorza wydanym, by się
l sądem jego biskupim w celu wytłomaczenia stawił. Gdy
oszcz w terminie nie przyjechał, tylko wymówkami się
.niał, X. Konstanty urzędownie wezwał naczelnika po-
ı, by mu go dostawił. Chwycenie się tak energicznego
ka było koniecznem przy pierwszem nieposłuszeństwie
ına od czasu zarządu jego dyecezyą. Proboszcz wystra-
y sam przybył i upokorzył się. X. Konstanty posłał go
ɔrzykładu na dwa tygodnie do klasztoru na rekollekcye.
:arał po ojcowsku i po chrześcijańsku, najlepszy w tem
ód, że pomimo rozgłosu, jakiego rzecz nabrała i pomimo wy-
zonej kary, znalazł w tym samym kapłanie najżyczliwszego
więcej oddanego sobie potem przyjaciela, że używał go
vielu trudnych później zadań i po latach czterech na ka-
ka gremialnego swej katedry wyniósł. O tem wszystkiem
ık doniesiono telegraficznie Murawiewowi, który w od-
iedzi przysłał rozkaz również telegraficzny X. Konstan-
ı, stawienia się bezzwłocznie u niego. Udał się zatem
Konstanty na Grodno do Wilna. Mniej przedstawiały
ności, jak mówił potem, opisując spotkanie swoje pierw-
z Murawiewem, odpowiedzi na zarzuty przez tegoż ro-
e, a trudniej było odnaleźć się przy bystrym, śledczym
dstępnym sposobie prowadzenia rozmowy. Mimochodem
ı robił X. Konstantemu zarzuty, ale mówiąc ogółowo

o wypadkach, badał i śledził wrażenie słów swoich; nie czekał i nie domagał się odpowiedzi na zadane przez siebie pytania, lecz wzrokiem bazyliszka głębie duszy i najtajniejsze myśli chciał przeniknąć. X. Konstanty na wzmiankę o liście Wołonczewskiego oświadczył Murawiewowi, że owieczki jego straży powierzone, w sprawach religijnych jego tylko głosu słuchać winny, że wobec wypadków krajowych i rozprzężenia wszystkich podstaw porządku, jest jego obowiązkiem przedewszystkiem karność w duchowieństwie utrzymać, i że dlatego nie może dozwolić, by używano ambony do ogłoszeń jakichkolwiek, któreby nie były poprzednio przeszły przez jego aprobatę. Co się tyczy tegoż listu X. biskupa Wołonczewskiego, ani go potępia, ani go chwali, ponieważ go nie zna, że jak uzna tego potrzebę, on sam głos do swoich owieczek podniesie, lecz że nie może pozwolić, by słowami innego biskupa do nich przemawiano. Kończąc rzecz całą, z naciskiem podniósł wątpliwość, jaka ze słów Murawiewa się przebijała co do jego wiernopoddańczych uczuć ku najjaśniejszemu panu i śmiało oświadczył Murawiewowi, że nie tylko jemu, ale nikomu w świecie nie przyznaje prawa, do robienia mu tego zarzutu; że świeżo zaprzysiągł na wierność cesarzowi, i pod jego sąd się oddaje, czy w czemkolwiekbądź postępowanie jego mogło upoważnić Murawiewa do uchybienia mu w ten sposób. Jak przed walną bitwą, była to mała utarczka, luźne strzały tylko, nieprzyjaciele się zbliżyli, poznali, zmierzyli i ocenili. Śmiałe, szczere i na prawdzie oparte wystąpienie o tyle na ten raz skutkowało, że Murawiew popuścił szpony gotowe do uchwycenia swej zdobyczy, zmienił ton rozmowy, i w najuprzejmiejszy sposób pożegnał X. Konstantego, przepraszając, że go do Wilna fatygował. Dodał przytem, że zadowolony jednak jest z tego, nabył bowiem przekonania, że wspólnie sobie rękę podawać będą. Ta zmiana frontu, te słodkie słowa w ustach Murawiewa były zapowiedzią nowych sideł na zdobycz, której tak gorąco pożądał. X. Konstanty inaczej tego nie rozumiał, więc było to dla niego przestrogą, aby w stosunkach z tym człowiekiem miał się nadal więcej na baczności niż kiedykolwiek.

Tymczasem sprawa konsekracyi dojrzewała. X. Konstanty posłał jednego kapłana do Janowa do X. biskupa Szymańskiego z zapytaniem, czy raczy go tam u siebie konsekrować. Otrzymawszy przychylną odpowiedź, posłał drugiego kapłana do X. biskupa Platera do Łowicza z prośbą, ażeby zechciał także na tę ceremonię przybyć; i ten także na to się zgodził. Odprawiwszy w Sejnach rekolekcye, ażeby się do tej wielkiej uroczystości przygotować, w pierwszych dniach grudnia 1863 r. puścił się na Łomżę i Tykocin w podróż karetą swoją do Janowa. Z czasu tej podróży pozwolimy sobie w całości przytoczyć jeden list jego, pisany do brata hr. Tomasza Łubieńskiego, w Petersburgu zostającego.

Zambrów w Łomżyńskiem,
10 grudnia 1863 r.

Kochany panie Tomaszu!

»Wielki mi wstyd, żem tak dawno do ciebie nie pisał, zbieram się ciągle a przyjść do tego nie mogę. Nawał interesów rzeczywiście wielki, a szczególniej są ciężkie i drażliwe. Ile mnie Opatrzność Boga wszechmocnego cudownie w tych próbach dźwiga i wspiera, tego ci wyrazić nie umiem, ani Jemu wszyscy razem podziękować nie zdołamy. Szczegółów ci dzisiaj opowiedzieć nie podobna, ale da Pan Bóg szczęśliwej pory, że się o tem wszystkiem będzie można nagadać. Piszę do ciebie w przejeździe do Janowa, gdzie jeżeli nieprzewidziane a przynajmniej nie oczekiwane przeszkody nie zajdą, mam nadzieję otrzymać konsekracyę z rąk biskupów: Benjamina, Twarowskiego i Platera. Spodziewam się, że i drogi nasz ojciec tam będzie. Ty, żona i dziatki twoje, będziecie mi przy tem pierwszem błogosławieństwie obecni, szczególniej zaś Bernaś (dzisiaj Redemptorysta w Mościskach, *przyp.)*. Piszę dziś do Ciebie osobliwie, ażeby się twoim modlitwom polecić. Nie wiem czy wiesz, że w Wilnie dwa tygodnie temu byłem, gdzie wszystko Bogu dzięki najlepiej się skończyło. — Do serca cię przytulam, niechaj ci Pan Bóg błogosławi«.

† Konstanty Ireneusz.

Od chwili prekonizacyi X. Konstanty przybrał sobie i stale używał tego drugiego imienia, które mu nadane zostało przy bierzmowaniu, otrzymanem z rąk X. arcybiskupa warszawskiego Choromańskiego, zanim jeszcze do szkół za granicę wyjechał. Ojciec jego hr. Henryk Łubieński miał przyjechać z X. biskupem Platerem z Warszawy, tymczasem w ostatniej chwili biskup ten rzeczywiście na zdrowiu zapadł, i pomimo najlepszej chęci, przybyć nie mógł. X. Konstanty natychmiast posłał kanonika sejneńskiego jemu towarzyszącego do Lublina do X. biskupa Baranowskiego z prośbą, ażeby przyjechać raczył. Posłał po niego karetę na miejsce, kilkakrotnie rozstawił konie, wszystko dzięki uprzejmości pani marszałkowej Kuczyńskiej, która cały dom i stajnie swoje na usługi X. Konstantego najgrzeczniej oddała. Korzystając z wolnego czasu przed przyjazdem X. biskupa Baranowskiego, X. Konstanty pojechał jednego dnia rano ze mszą św. o mil kilka do miasta Biały, do grobu św. Jozafata Kuncewicza, arcybiskupa połockiego, męczennika, przez schyzmatyków w r. 1623 zamordowanego, którego ciało złożone było w ołtarzu, w miejscowym klasztornym kościele OO. Bazylianów. Tam po mszy św. odprawionej przed ciałem wielkiego męczennika, do którego miał zawsze szczególne nabożeństwo, zaproszony do klasztoru i serdecznie przez OO. Bazylianów przyjęty, znalazł sposobność przemówienia do młodzieży nowicyatu miejscowego, gorącemi słowy podniósł ich ducha, zalecał męstwo w dzisiejszych okolicznościach potrzebne Unitom, więcej jeszcze jak łacinnikom do zaciętej walki ze schyzmą, opowiedział im jak miał szczęście sprawić ofiarę bezkrwawą przy ciele drugiego wielkiego ich patrona Andrzeja Boboli. Przełożony klasztoru opowiedział X. Konstantemu szczegóły usiłowań ze strony jak mówiono schyzmatyków, które robiono w celu wykradzenia trumny z ciałem św. Jozafata. Napad spełznął na niczem dzięki czujności starosty cerkiewnego, który w nocy zbudzony jakiemś przeczuciem czy niepokojem poszedł z latarką do świątyni. Na odgłos kroków jego złoczyńcy odstąpili od rozpoczętego dzieła, i na przygotowanym a pustym wozie sami odjechali. Trumna z ciałem św. Joza-

fata była już zdjętą z ołtarza i stała na środku cerkwi. X. Konstanty powodowany uczuciami czci dla męczennika, przekonany o wielkiem w przyszłości znaczeniu Unii w Kościele Bożym, prawdziwe miał zawsze jak już widzieliśmy w Wiskitkach nabożeństwo do tego Świętego. W ostatnich czasach ze składek krajowych, kościół w Białej przyozdobiony został pięknym obrazem pendzla Simlera, przedstawiającym męczeństwo Świętego, i bogatym marmurowym ołtarzem, w którym ciało miało być złożone. X. Konstanty powziął wtenczas zamiar uzupełnienia restauracyi kościoła przez sprawienie trumny, którаby uniemożliwiła powtórne porwanie zwłok Świętego. W tym celu został jemu przedstawiony odpowiedni rysunek i już zaczął się układać z robotnikami, kiedy inne wypadki rzecz całą uniemożliwiły. W dyecezyi sejneńskiej było kilkanaście parafij unickich. Dziwnym zbiegiem okoliczności, gdy pierwszy raz przyjechał X. Konstanty z Grodna w granicę swojej dyecezyi, skutkiem wypadku przy karecie, nocował u jednego proboszcza unickiego, który nosił sławne nazwisko Kuncewicza i miał dowody, że pochodził z tej samej co Święty rodziny.

Nareszcie dnia 20 grudnia 1863 r. odbyła się szczęśliwie w Janowie konsekracya X. Konstantego. Konsekrantem był świątobliwy X. Benjamin Szymański, biskup podlaski, z zakonu OO. Kapucynów, w asystencyi XX. biskupów Twarowskiego, sufragana podlaskiego, i Baranowskiego, sufragana Lubelskiego. Przed wyjazdem swoim ze Sejn X. Konstanty uważał za swój obowiązek uwiadomić o tem hr. Berga, dawnego swego tak dobrego znajomego, który tymczasem został był namiestnikiem Królestwa. Gubernator wojenny miejscowy zawiadomiony o tem urzędownie z Warszawy, przysłał oddział wojska do Janowa, obawiając się prawdopodobnie napaści powstańców, którzy przed niedawnym jeszcze czasem byli Janów zajmowali. Gubernator cywilny przysłał wyższego urzędnika dla odebrania przysięgi homagialnej w imieniu monarchy. Jenerał komenderujący w okolicy przybył także. Wobec ciężkich czasów wojennych i utrudnionej komunikacyi ze względów paszportowych, okolicznej szlachty było bardzo

mało, tylko ludek wiejski świątynię zapełniał. Z rodziny nawet był tylko obecny ojciec hr. Henryk i Paweł hr. Łubieński, ażeby dać ojcowskie i odebrać pierwsze błogosławieństwo pasterskie. X. Konstanty nie otrzymał od cesarza pierścienia i pastorału, tych oznak jakby inwestytury świeckiej, dawanych zwykle przy konsekracyi biskupów w Rosyi, insignia te bowiem posiadał w pięknej zawarte szkatule wraz z innemi srebrami biskupiemi, po stryju swoim rodzonym X. biskupie Tadeuszu Łubieńskim, które mu był darował jego brat hr. Henryk.

Ceremonia zresztą odbyła się z należytą a zwykłą okazałością kościelną. Nikt nie przewidywał naonczas, że w tak krótkim czasie ten sam X. biskup Szymański, który otworzył gościnne podwoje w swoim Janowie i wysłuchał jego *Credo* niedługo po kassacyi dyecezyi znajdzie schronienie u nowego biskupa i w jego ręce w Łomży na łożu śmierci złoży także ostatnie wiary swej wyznanie i skona w jego objęciu. Konsekrant Szymański przeżył na wygnaniu życie swej dyecezyi, konsekrowany Łubieński za dyecezyę i wiarę życie swoje oddał. Podniosłe życzenie, *ad multos annos,* które rozległo się w nawie katedry Janowskiej, Bóg wszechmocny wysłuchał, tylko że zasługi nowego księcia Kościoła nie miały być liczone i objęte krótkiemi laty ludzkiej rachuby, ale niebawem miały być przyłączone do hymnu wiekuistej chwały, którą męczennicy Najwyższemu Panu dziękczynnie i nieustannie składają.



KONSTANTY IRENEUSZ POMIAN HRABIA ŁUBIEŃSKI

BISKUP SEJNEJSKI.

Rozdział X.

DZIAŁALNOŚĆ PASTERSKA. HISTORYA SEJN, DYECEZYJ I POPRZEDNIKÓW X. BISKUPA. ODNOWIENIE KATEDRY. STOSUNKI Z KLEREM. REKOLEKCYE KAPŁAŃSKIE. WIZYTY PASTERSKIE. BIERZMOWANIE. X. PRAŁAT BUTKIEWICZ. ODNOWIENIE SEMINARYUM I SZKOŁY. OGÓLNA GORLIWOŚĆ. TRYB ŻYCIA I OSAMOTNIENIE W SEJNACH.

Opowiadają, że w chwili kiedy margrabia Aleksander Wielopolski największy nacisk wywierał na X. biskupa Konstantego, naówczas tylko jeszcze kapłana, ażeby go skłonić do przyjęcia arcybiskupstwa warszawskiego, X. Biskup poszedł dnia jednego do swojej ciotki i wielkiej przyjaciółki, u której bardzo często bywał, hr. Augustowej z Potockich Potockiej, właścicielki Wilanowa. Była to ostatnia może wielka pani polska, nie tylko dla swej ogromnej fortuny i nazwiska o wspomnieniach historycznych, ale dla wzniosłego pojęcia o obowiązkach, jakie na nią wkładały: stanowisko społeczne, potrzeba przyświecania własnym cnoty przykładem, poczucie gorącej miłości kraju i królewskiej prawdziwie dla ubogich i kościoła dobroczynności. Był to rozum męski, spokojny, wolny od słabostek, uciech i próżności zajęć niewieścich, a sama nawet postać wyniosła i nieco chłodna zdradzały na zewnątrz te wyżyny, z których obejmowała bieg wypadków w około siebie, swój i każdego w życiu codziennem twardy obowiazek. Rozmowa pomiędzy panią Augustową, jak ją kraj

cały nazywał a jej siostrzeńcem, oczywiście przeszła niebawem na palącą sprawę obsadzenia arcybiskupstwa, i on się zapytał swej ciotki, co ona o nim sądzi. W odpowiedzi przeszła do swojej ubieralni, przyniosła małe ręczne lusterko, kazała się w nim X. Konstantemu przejrzeć i osądzić, czy na biskupa wygląda, z głową rozczuchraną, suknią podartą, z całem niedbałem ciała ułożeniem. Wszystkie podobizny X. Biskupa, które z owego czasu posiadamy, pokazują go nam jako młodego kapłana, który tylko myślą żył, a pracą oddychał; że nie do wykończenia formy, ale do treści każdej rzeczy wagę przywiązywał. Zaledwie jednak otrzymał to najwyższe święcenie, wielka w nim już na zewnątrz zaszła zmiana, która odzwierciedliła to wewnętrzne przeistoczenie, które łaska Boża, i inne życia i stanu obowiązki w duszy jego przeprowadzić musiały.

Jak młody dziarski oficer, z podniesioną szpadą wiodący jeden tylko swój oddział w ogień nieprzyjacielski, przemienia się z czasem w wytrawnego jenerała, który ze spokojem na miejscu stojąc, posuwać musi samą swą myślą krociowe wojska, tak samo młodziutki kapłan, na własną rękę prowadzący miecz swój partyzancki, stał się w jednej chwili wodzem odpowiedzialnym przed historyą, który krociowej, milionowej ludności katolickiej miał świecić radą, nauką i przykładem. Nic właściwie w nim się nie zmieniło, nic nie przybyło; wszystkie zasady pokory i gorliwości w młodych latach wyrobione były, ale całość pokrytą została płaszczem książęcej powagi, jaka przystoi wysokiemu dostojeństwu. Przystępny dla wszystkich, najwięcej dla dzieci i dla maluczkich Chrystusowych, serdecznie nieraz w czasie wolnym uśmiał i ubawił się nad trafnym dowcipem i sam nieraz wyborną dykteryjkę powtórzył, ale na każdym kroku i w każdem słowie czuć było człowieka, który jak umiał słuchać bez uległości, tak też bez wyniosłości rozkazywać, już nie szeregowca ale namaszczonego wodza i człowieka przyobleczonego majestatem następcy apostołów.

Przystępując do opowiadania trzeciej, ostatniej części życia X. Biskupa, nazwaliśmy ją poprzednio już okresem

walki. Już nie jego rzeczą było podejmować prace każdemu kapłanowi właściwe, ale musiał myśleć, czuć i modlić się za wszystkie swe owieczki, tak duchowne jak świeckie. A czas jego rządów biskupich przypadł na najcięższą dla kraju i dla dyecezyi chwilę, kiedy z jednej strony Murawiew pożądliwem okiem spoglądał na całą gubernię Suwalską, a z drugiej ks. Czerkawski, Muchanow i sławny komitet urządzający Królestwo polskie, razem z obu stron burzyli wszystko, na co tylko ręce położyć mogli. Była to zatem jedna nieustanna wojna, jedna potyczka nie skończyła się, kiedy już drugiej pierwsze strzały padały, a zawsze chodziło o sprawę zasadniczą kościelną, zawsze o złą wolę i nadużycia rządu, zawsze o niebezpieczeństwo wywiezienia krnąbrnego i nieustępującego biskupa. Ile to cierpliwości, delikatności, taktu, odwagi i spokoju, pisaniny i nocy bezsennych, trzeba było poświęcić, ażeby podstęp ominąć, z honorem uchodzić, korzystać z każdej chwili i słabej strony, ażeby przeciwnika pokonać. Zarzuciliśmy X. Biskupowi, iż popełnił błąd polityczny, nie przyjmując w swoim czasie arcybiskupstwa warszawskiego, przystępując do opisania pobytu jego na wysuniętym posterunku w Sejnach, gotowiśmy powiedzieć »*o felix culpa*« i uznać, że Opatrzność tam go mieć chciała. W tym pierwszym rozdziale biskupiego jego zawodu, opiszemy nasamprzód prace jego pasterskie, a potem roztoczymy w chronologicznym porządku przebieg każdej sprawy kościelnej, o którą musiał się z rządem spierać. Będzie to najzrozumialszy dla czytelnika sposób odnalezienia się w tym labiryncie dziejowym, nie przestając w każdej chwili trzymać uwagi jego na uwięzi, nad niezwykle doniosłemi sprawami krajowemi, które przed jego oczami będą się przesuwały.

Sejny, dzisiaj malutkie miasteczko o 5.000 mieszkańcach, zgubione w lasach augustowskich, były niegdyś wyjęte z puszczy Olickiej i nadane z obszarem pół mili kwadratowej przez Zygmunta I. w 1522 r. Janowi Michajłowi Wiszniowieckiemu. Mikołaj Grudziński w r. 1593 kupił te dobra od Wiszniowieckich, a syn jego Jerzy, starosta przeroślski, i leśniczy przełomski, ożeniony z Justyną Dulską, wskutek snu,

w którym mu się ukazał św. Jacek, wybudował tu kościół i założył klasztór OO. Dominikanów w r. 1602. Po rozbiorze kraju rząd pruski zniósł klasztor, skonfiskował znaczne bardzo jego dobra ziemskie i postarał się o utworzenie z tej oderwanej części dyecezyi wileńskiej i części dyecezyi płockiej, biskupstwa wigierskiego. Wigry, jest to jezioro o dwie mile od Sejn odległe, gdzie na niedostępnej wyspie w r. 1660 założoną została prześliczna pustelnia Kamedułów, także przez Prusaków po rozbiorze Polski skasowana. Pierwszym biskupem wigierskim w r. 1797 był Karpowicz, który tamże umarł i w kościele klasztornym r. 1803 został pochowanym, drugim był Gołaszewski. Za niego w r. 1818 przy nowej organizacyi hierarchii w Królestwie kongresowem przez papieża Piusa VII, przeniesioną została stolica biskupia do Sejn, do opustoszałego kościoła i klasztoru Dominikanów i nazwa dyecezyi zamieniona z wigirskiej na augustowską czyli sejneńską. Potem nastąpili jako biskupi sejneńscy: Czyżewski (1820—23) i Manugiewicz (1823—34), który założył seminaryum dyecezyalne. Po nim administratorem został S. Choromański, lecz gdy wkrótce potem został arcybiskupem warszawskim, współzawodnik jego do tej godności Straszyński musiał poprzestać na katedrze sejneńskiej (1836—47). Ten ostatni, syn szewca z Krasnego stawu, miał bardzo burzliwe życie, niesłychanie ambitny, przy końcu miłosierny i uczynny, umierając mówił do otoczenia: »Jestem grzesznikiem i to bardzo wielkim, módlcie się za mnie«.

Zaraz po objęciu władzy X. Biskup pomyślał o restauracyi katedry. Leżało to w tradycyach jego rodu, gdyż większa część kościołów katedralnych w Polsce, jak Gniezno, Poznań, Kraków, Włocławek, Płock, Chełm, kollegiata św. Jana, a późniejsza archikatedra w Warszawie, wszystkie z gruntu odbudowane i odrestaurowane w swoim czasie były przez biskupów Łubieńskich. Kościół sejneński po Grudzińskim, jego założycielu, powiększony został w r. 1660 przez Masalskiego, podkomorzego Grodzieńskiego, o jedną boczną kaplicę i przez Różę z Platerów Strutyńską, starościnę sejneńską, która w r. 1760 przedłużyła kościół o dwa okna, i wzniosła dwie piękne

wieże od frontu, jak cały kościół w stylu odrodzenia. X. Biskup naprawił to czem poprzednik jego biskup Straszyński katedrę zeszpecił, zniżył i dał nowy dach z blachy na kościele i całym budynku poklasztornym, okna wyrównał i powiększył, położył nową posadzkę kamienną, a w kaplicy Massalskich fundował piękny gotycki ołtarz. Znaczne te nakłady kosztowały przeszło 200.000 złp. po części z tego, co na ten cel od rządu wytargował, ale ze swoich nie mało tam także dołożył. W wielkim ołtarzu znajduje się statua Matki Boskiej cudami słynąca, ponoś z Hiszpanii przez Gdańsk w r. 1619 do Polski przywieziona, a na cztery doroczne odpusty ludek poczciwy, tak gromadnie z dawien dawna się tu gromadził, iż bywało jeszcze ostatnimi czasy do 10.000 pobożnych pątników, Litwinów aż z za Niemna, którzy po dni parę na około miasta obozowali, a w ciągu jednego tygodnia 30.000 komunikantów wychodziło. Mszy św. za gotówkę zamawiano od 2 do 3 tysięcy, za OO. Dominikanów drobnych ofiar na kościół zbierano w miedzianej i srebrnej monecie do dwóch korcy, a wosku, lnu, wełny i płótna po kilkadziesiąt kamieni. W bocznej Massalskich kaplicy znajdują się dwa wielkie obrazy bardzo piękne, nieznanego włoskiego pendzla, Chrystus przed sądem, i Chrystus prowadzony na biczowanie, które pochodzą z Dowspudów, jednej z rezydencyi wielkiej, zasłużonej w narodzie i Kościele, a dzisiaj wygasłej już rodziny litewskiej, Paców.

X. Biskup przystępując do rządów dyecezyi, przedewszystkiem miał na oku zjednanie sobie zaufania, posłuszeństwa i współdziałania swego duchowieństwa, a nie tajnem mu było, że z tego tytułu może mieć największą na razie trudność. Młody wiek jego, jak na biskupa, bo zaledwie miał lat 38, przybysz z obcej dyecezyi, pochodzenie arystokratyczne, które pomimo świętej sukienki nie zawsze zaciera w sercach różnicy stanu, a nadewszystko rozgłos jego zasadniczego przeciwieństwa z prądami panującymi i wyklęcie ze strony komitetu ruchu, które nad nim ciążyło, wszystko to były trudności, które towarzyszyły pierwszym jego krokom. Ale jak z jednej strony, jego nieubłagana surowość dla zasad karności

i praw świętych kanonów Kościoła, tak z drugiej strony serce ojcowskie i wylanie bez granic dla każdego brata kapłana, od razu zmieniły postać rzeczy i przywiązały wszystkich węzłem szczerej uległości, zaufania i miłości do jego osoby. Pierwszem zadaniem X. Biskupa było poznanie swego kleru. Trudności ku temu przedstawiały się wielkie, nie znał bowiem w dyecezyi swojej nikogo, komuby mógł zaufać, ktoby mógł mu udzielić objaśnień co do osób, nie chciał zaś udawać się do X. prałata Butkiewicza, który byłby niezawodnie skorzystał z tego dowodu ufności, dla wywierania zgubnego swego na rządy dyecezyi wpływu. W tak zawiłem położeniu X. Biskup uciekał się jak zwykle w każdej ważniejszej okoliczności do modlitwy, i prosił o światło Ducha św., którego obfitość darów były mu niedawno z namaszczeniem udzielone. Bóg też wierny obietnicom swoim, nie skąpił łaski i pomocy, i zaiste podziwiać należy, jak właściwy zrobiony był wybór ludzi, tak na członków konsystorza, jak na dziekanów, regensa i profesorów seminaryum; jak wreszcie gdy przyszło zaprowadzać zmiany pomiędzy dusz pasterzami na parafiach, X. Biskup, powiedzieć można, rozwinął szczególny talent pod względem doboru ludzi odpowiednich każdemu stanowisku i każdej miejscowości. Wybór dziekanów był przedmiotem szczególnej jego troskliwości. Kiedy następnie skutkiem rozporządzeń rządowych, w celu kontroli nad działaniem duchowieństwa, zażądano, by w miejscach rezydencyi naczelników powiatu, mieszkał także zawsze dziekan, to jest żeby dziekana godność przywiązaną była do miejscowego proboszcza, X. Biskup o tyle tylko temu wymaganiu się poddawał, o ile był pewnym zasad i uzdolnienia miejscowego proboszcza, i pod tym względem był nieugiętym. Gorliwość jego w prowadzeniu, kształceniu, ćwiczeniu duchowieństwa nieustawała na chwilę. Rekolekcyom dekanalnym przywrócił znaczenie prawem kościelnem przewidziane, kiedy one były powszechnie przeszły w czystą formalność, w zjazd koleżeński znajomych, a czas zabijano pogawędką, ucztami i zabawą. Sam nieraz, gdy tylko czas mu na to pozwalał, bywał obecnym na rekolekcyach, lub często sam dawał niektóre nauki. Przed wyda-

waniem na spowiedzi rocznej aprobaty, zwłaszcza w pierwszych latach, tam gdzie nie znał jeszcze dokładnie kapłanów świeckich tudzież zakonników, wymagał egzaminów, i sam egzaminatorów naznaczał. Aprobaty udzielał po dojrzałym namyśle i z wielką ostrożnością, stopniując władzę i czas na jaki aprobata służyć miała każdemu spowiednikowi, ze względu na usposobienie i wykształcenie kapłana, jak niemniej ze względu na miejscowość jego pracy. Tak naprzykład obszerniejsze dawał *facultates* kapłanom nad granicą Litwy i części kraju, gdzie Unici przymuszani byli przejść pozornie na wiarę prawosławną, i gdzie mięszane małżeństwa poza granicami jego dyecezyi zawierane częściej się zdarzały. Gorąco pragnął X. Biskup wprowadzić napowrót instytucye synodów dyecezalnych i naznaczył był już termin pierwszego zebrania. Zamiaru swego do skutku doprowadzić nie mógł, bo rząd pod pozorem stanu wojennego ogłoszonego w kraju, liczniejszych zgromadzeń, szczególnie duchowieństwa, dopuścić nie chciał.

Pracom powołania biskupiego oddany, żalił się zawsze, że stosunki krajowe, stosunki z rządem, nie dozwalają mu wypełniać obowiązków swoich jak są kreślone prawem kanonicznem, że nie może składać raportów nakazanych mu, odbywać podróży co pięć lat *ad limina apostolorum* i wypełniać ściśle tych obowiązków, do których przysięgą był zobowiązanym. Nieraz z zapałem charakterowi jego właściwym, wskazywał jak obszerne, różnorodne jest pole pracy dla biskupa, jakie trudności na przeszkodzie rząd stawia, jak zresztą zabijającym czas tak drogi jest ten biurokratyzm rosyjski, wymagający tak obszernej korespondencyi, zwłaszcza gdy przychodzi załatwiać nie tylko bieżące odezwy, które są liczniejsze aniżeli w jakimkolwiek innym kraju, lecz i staczać na piśmie walkę zasad, bronić prawa Kościoła, które zawsze rząd naruszyć i poniżyć pragnie, gdy wreszcie wyraźnem jest nieraz dążenie rządu drobnemi szykanami zajmować czas biskupowi i cierpliwości jego nadużywać, albo go w błąd jaki, lub w zasadzkę wprowadzić. Prace biurowe tem więcej czasu zabierać mu musiały, gdy na wyraźny rozkaz rządu, wszystkie korespondencye z władzami musiały się odbywać, nie jak

dotychczas po polsku, ale po rosyjsku, a konsystorz jego, tak jak wszystkie inne w kraju, nie był do tego przygotowany, i oprócz niego samego, nie miał ludzi pod ręką umiejących tym językiem władać.

Czcigodny jeden kapłan tej dyecezyi, którego X. Biskup zaraz za pierwszą swoją bytnością w Wilnie prawdziwie przemocą wyrwał z rąk Murawiewa, bo już był uwięziony i na Sybir skazany, a który przez cały czas potem pełnił obowiązki dziekana, spisał dokładne sprawozdanie z rządów dyecezyi, a na każdej stronicy odbija się niekłamany podziw dla gorliwości. Szczególnie podnosi niezwykłą jego troskliwość w obchodzeniu się z kapłanami. Przy całej powadze jaka go odznaczała, starał się przedewszystkiem, zjednać sobie zaufanie, ośmielić, przywiązać do siebie. We wszystkie najdrobniejsze interesa prywatne wchodził, a obowiązki rodzinne, które zawsze są pewnej wagi w stosunkach świeckich kapłanów, starannie uwzględniał. Jeżeli zaszedł smutny wypadek, iż władzy swej dla poskromienia jakiego nadużycia lub zgorszenia musiał użyć, przedewszystkiem czynił to *in camera charitatis* i powtarzał znane przy każdym takim wypadku otoczeniu swemu słowa: »ja muszę go dźwignąć i zrobić z niego człowieka«. Biedni kapłani po parafiach rozrzuceni, w tym gorącym czasie, wystawieni na wpływy stronnictwa ruchu, żandarmów, naczelników wojennych, ciągle w najkłopotliwszem znajdowali się położeniu, nie umiejąc sobie radzić, kompromitowali się wobec rządu. X. Biskup raz na zawsze wydał ustne rozporządzenie, ażeby we wszystkich sprawach na niego się powoływali i nim się zasłaniali, on chciał być ojcem, wodzem, puklerzem każdego, choćby najmłodszego ze swego duchowieństwa. To też pod jego rządami w bardzo krótkim czasie zapanował w dyecezyi ład, porządek i spokój. Jak tylko który z kapłanów wskutek nieszczęśliwego zbiegu okoliczności skompromitował się lub był blizkim tego, natychmiast X. Biskup przerzucał go w najdalej odiegłą stronę dyecezyi, ażeby i ślad za nim zaginął, a sam brał na siebie prowadzenie dalej z rządem wojny o jego osobę. Tym roztropnym środkom przypisać należy, że pomimo Murawiewa, Czerkaw-

skiego, i całej grozy czasu, od chwili objęcia rządów przez niego, ani jednego kapłana z dyecezyi nie wywieziono, a ponad to większej pochwały jako biskupowi polskiemu oddać mu chyba nie można. Pomimo swej niezaprzeczonej wyższości umysłowej, znajomości świata, stosunków i doświadczenia, nigdy na chwilę nie dał czuć podwładnemu sobie jakiejś wyniosłości. Od każdego wymagał, ażeby mu powiedział całą prawdę, nigdy nie przerywając mówiącemn, ażeby go uwagą jaką nie przestraszyć i zbić z toru. Nie polegał na swoim sądzie, ale w zawiłych sprawach chętnie i starannie radził się kapłanów, a na doradców nie wybiérał ludzi światowych, bywalców, ale przeważnie cichych, pobożnych i takich, którzy odznaczali się zdrowym rozsądkiem. Wiadomem jest naprzykład że nieraz przedsiębrał dalszą podróż pod jakimkolwiek pozorem w dyecezyi, rzeczywiście na to, ażeby się poradzić jakiego wiejskiego plebana w sprawie, która jemu mogła być znaną, lub do którego X. Biskup miał zaufanie. Wiadomem jest także że w najtrudniejszych chwilach całego życia, kiedy pisać musiał ów pamiętny list ostatni do hr. Berga, radził się jednego z proboszczów co do całej pisma tego osnowy, która o wiele przechodziła sferę myśli i zajęć wiejskiego kapłana, ale X. Biskup miał dla jego cichej pobożności słuszne poważanie. Od dzieci mąż dojrzały się uczy; od maluczkich umysł zużyty walką i wydelikacony cywilizacyą, czerpie nowe siły, świeżość poglądów i niezamąconą niczem pewność postanowień.

Jedyna osoba, z którą X. Biskup wśród swego duchowieństwa przez długie lata nie mógł przyjść do porządku, był X. prałat Butkiewicz. Burzliwe nader było życie tego dostojnika Kościoła. Proboszcz wiejski, rektor akademii duchownej w Warszawie, administrator dyecezyi sejneńskiej, przez wiele lat kandydat rządowy do infuły dyecezyalnej a nawet do paliusza warszawskiego, jeździł w swoim czasie w r. 1853 do Rzymu, ażeby przed kuryą oczyścić się z licznych zarzutów na nim ciążących. Ojciec św. Pius IX. tak bardzo wyrozumiały i pełen serca, oświadczył mu osobiście, iż sądzić go nie chce, pragnie jego dobra, ale go nigdy biskupem nie

zrobi. X. Biskup przyjechawszy do Sejn, kazał tak X. prałatowi Butkiewiczowi jak X. kanonikowi Choińskiemu, ażeby mu zdali sprawę na piśmie z zarządu dyecezyi. X. Butkiewicz uczynił zadość temu rozporządzeniu raportem złożonym w maju 1864 r., ale widząc, że pomimo niezwykłego sprytu, doświadczenia, przebiegłości i wieku, zaufania u młodego biskupa nie zdobędzie i żadnego nie będzie mógł na zarząd dyecezyi wywierać wpływu, opuścił swoje probostwo w Wilkowiszkach, przeniósł się do Warszawy i przywiązał losy swoje do ks. Czerkawskiego. Używanym został przez tegoż nasamprzód jako narzędzie do wielu czynności, a mianowicie do dawania objaśnień o rozmaitych kapłanach, którym X. Biskup był powierzył różne obowiązki. Skutkiem tego doradcy, a obok tego w chęci prostej szykany, książę Czerkawski nie potwierdził regensa i kilku profesorów przez biskupa mianowanych, chciał narzucić kilku cywilnych na profesorów, nie potwierdził surrogata konsystorza, nie dopuścił do mianowania oficyała dyecezyalnego. W tem trudnem i bolesnem położeniu wielką było dla X. Biskupa pociechą i kilkakrotnie o tem wspominał, że znalazł gorliwych kapłanów, którzy posłuszni głosowi pasterza, poruczone im obowiązki profesorów w seminaryum, albo wreszcie proboszczów, wypełniali bezpłatnie, i to nawet często przez długi przeciąg czasu, gdy im ks. Czerkawski nie dawał potwierdzenia na posady, i pensyi do tychże przywiązanej wypłacać nie pozwalał. Dowodem jakiego rodzaju księży ks. Czerkawski narzucał X. Biskupowi jako kandydatów na posady, obsadzane przez niego ludźmi zaufania, i dowodem chęci mięszania się do wolności biskupów w ich rządach, jest nadesłanie X. Biskupowi z listownem poleceniem na pewną posadę X. Zaleskiego, który jednocześnie przywiózł i oddał X. Biskupowi odezwę od potajemnego rządu narodowego rewolucyjnego, również X. Zaleskiego rekomendującą. Nie potrzeba było zresztą tego dowodu wartości człowieka, do wyrobienia zdania X. Biskupa o X. Zaleskim, bo znanym on był dawno jako główny przywódca ruchu w Tykocińskiem; a X. Biskup, wskutek spraw czysto prywatnej a bardzo delikatnej natury, odebrał mu był

probostwo. Po otrzymaniu i w tym razie odmownej odpowiedzi X. Zaleski chciał pójść za przykładem X. prałata Butkiewicza i przenieść się do Warszawy *ad latus* ks. Czerkawskiego. Lecz X. Biskup odmówił mu wydania *dimissoriales*. X. Zaleski zaniósł skargę na X. Biskupa do księcia Czerkawskiego, ale X. Biskup nie ustąpił i dopiero wtenczas uwolnił go od swej dyecezyi, kiedy X. Zaleski złożył mu prawem kanonicznem przepisane świadectwo, że przyjętym został do archidyecezyi warszawskiej.

X. Biskup widział jak szkodliwym dla Kościoła a ubliżającym dla godności duchownego był pobyt X. prałata Butkiewicza w Warszawie, i dlatego kilkakrotnie piśmiennie prywatnie i z urzędu, wzywał go do powrotu. W odpowiedzi odbierał zawsze wprawdzie listy pełne wyrazów poszanowania, oświadczające gotowość stawienia się na głos pasterza, skoro tylko ułatwi interesa, ale wykonania obietnicy doczekać się nie mógł. Po dwuletniej blisko zwłoce w odpowiedzi na groźny list X. Biskupa, X. prałat Butkiewicz przyznał się, że ma do 1.000 rs. długów w Warszawie i dlatego wyjechać nie może. Wówczas chcąc wyczerpać wszystkie środki łagodności w celu upamiętania X. prałata, X. Biskup ofiarował mu do tej wysokości pożyczkę, w celu zapłacenia tych długów. Gdy usunięcie tej ostatniej wymówki nie przyniosło pożądanego skutku i X. prałat wcale na ten list nawet nie odpowiedział, X. Biskup w drodze urzędowej przez ks. Czerkawskiego zażądał odstawienia X. Butkiewicza na miejsce, jako należącego do duchowieństwa dyecezyalnego. Ten krok skłonił dopiero X. prałata Butkiewicza do powrotu na swoją parafię w Wilkowyszkach.

Jak gdyby przewidywał, że nie starczy mu czasu do odbycia formalnych kanonicznych wizyt po kościołach w dyecezyi tak niewygodnie geograficznie rozłożonej, a chcąc poznać księży, kościoły i owieczki swe jak najprędzej, X. Biskup postanowił zwiedzić dyecezyę całą, bez zachowania form przepisanych dla tych wizyt, zostawiając to czasom lepszym, spokojniejszym. Kiedy tylko zatem mógł się uwolnić od nawału korespondencyi urzędowej, wyjeżdżał na zwiedzanie dye-

cezyi. W ten sposób w ciągu dwóch pierwszych lat poznał wszystkich swoich księży, był we wszystkich kościołach, i wszędzie z ludem się zaznajomił. Napływ wojska przez Murawiewa nadesłanego, wykonywującego dane im rozkazy z dziką zapamiętałością, stał się powodem niezliczonych nieszczęść i cierpień, jakie tylko Polak, a zwłaszcza Litwin znieść może. Kiedy kościoły były opuszczone, bo księża i służba kościelna więzieni byli, sądy w zawieszeniu, władze wszelkie dawne rozpędzone, gdy niemal brat przed bratem drzwi domu zamykał, X. Biskup w najczarniejszych dniach tej publicznej trwogi, wyjechał ze Sejn na objazd dyecezyi. Jako dobry pasterz chciał dzielić smutną dolę owieczek swoich, pomimo przeszkód na jakie w każdej wsi i miasteczku napotykał w podróży, gdyż go wszędzie przytrzymywano i dalszy pochód utrudniano. Praca czekała go wszędzie ogromna, gdy bowiem przez lat 17 dyecezya nie miała pasterza, tysiące ludu garnęło się wszędzie do sakramentu bierzmowania. Potrzebom pod tym względem, przy pierwszym objeździe nie mógł zadosyć uczynić, nie było bowiem na to dosyć czasu i dosyć księży na każdem miejscu, by ludzi wyspowiadać i dawać im poprzednio odpowiednie nauki. Przed i po każdem bierzmowaniu sam X. Biskup miewał nauki pełne namaszczenia. W okolicach czysto litewskich kazał treść mowy swojej kapłanom najgorliwszym ludowi powtórzyć, albo zupełnie go wyręczyć. Żalił się on zawsze, że mu zatrudnienia nie pozwalają nauczyć się języka litewskiego, nie tracił wszakże nadzie że się go z czasem wyuczy. Podczas swego sześcioletniego niespełna biskupstwa udzielił blisko 60.000 ludziom bierzmowania, a kiedy się znajdował w parafiach bliskich granic gubernii Grodzieńskiej i Wileńskiej, wierni w nich zamieszkali gromadnie przez rzekę Niemen się przeprawiali dl dostąpienia tego Sakramentu. Liczne bowiem były parafi gdzie od niepamiętnych lat biskupa nie widziano, bardz wiele takich, w których noga pasterza nigdy nie była postał W podróżach takich po dyecezyi zawsze zatrzymywał się n probostwie, chociażby najlichszem i najskromniejszem, al także zawsze odwiedzał dwory obywatelskie, ażeby ten staro

dawny stosunek przykładny, zgody pomiędzy plebanią a dworem utrzymać.

Gorliwość pasterska przedewszystkiem oczywiście nakazała mu zwrócić uwagę na seminaryum, które w najopłakańszym znajdowało się stanie. Dolna część budynku poklasztornego po części zamienioną była na stajnie i chlewy, a pewna część tego gmachu, gdzie seminarzyści mieszkali, oddana była niewiastom gorszących obyczajów. Dosyć powiedzieć, że w dyecezyi, złożonej z 11 dekanatów, 120 kościołów parafialnych, poklasztornych, filialnych, kaplic publicznych i prywatnych, i przeszło 600.000 dusz, zastał w seminaryum sejneńskiem dwóch profesorów i piętnastu alumnów, a zostawił siedmiu profesorów i przeszło siedemdziesięciu młodych kleryków. A jednak tradycya szkół w Sejnach gorszą nie była. Już w r. 1768 OO. Dominikanie utrzymywali w klasztorze szkoły. Po kasacyi Dominikanów i przeniesieniu tu katedry, szkoły nie ustawały, a zawsze tak szybko rosły w liczbę uczni i znaczenie, że w r. 1817 przeniesiono je częściowo do Łomży, potem 1839 do Suwałk. Pomimo tego pod rektoratem X. Kolumbana Zagieża, szkoły te liczyły do 800 uczni, a w mieście licznie osiadały familie litewskie dla wychowania dzieci lub zjeżdżały tu na karnawał. Karol Brzozowski, poeta, i Jerzy Aleksandrowicz, botanik, stąd wyszli, a już w r. 1603 była tutaj drukarnia, która dopiero w r. 1818 wraz z biblioteką i archiwum klasztornem w wielkim pożarze miasta zniszczała. X. Biskup restaurując katedrę, przedewszystkiem gruntownie odnowił cały gmach poklasztorny, dał cały nowy dach, zniósł cele i potworzył obszerne sale, zamknął gmach furtą klasztorną, utworzył z resztek porozrzucanych dzieł bibliotekę, zaprowadził ściśle nauki filozoficzne i teologiczne, sam osobiście dwa razy do roku przewodniczył egzaminom alumnów wszystkich kursów, co mu nie mało czasu zajmowało. Trzeba także oddać sprawiedliwość, że wybór ludzi na profesorów był bardzo szczęśliwy; wszystko to byli ludzie pracy i nauki, którzy po części pokończyli byli akademię duchowną w Warszawie lub Petersburgu. Jednym z nich, a zarazem ojcem duchownym

i spowiednikiem był X. Stan. Jamiołkowski, znany na polu piśmiennictwa duchownego i historycznego w kraju.

Fundusze rządowe w seminaryum w Sejnach były bardzo· szczupłe, przy ogólnej drożyźnie w kraju, skutkiem kilkuletnich nieurodzajów, wystarczały zaledwie na utrzymanie 20 seminarzystów. Posady profesorów były bardzo źle uposażone, potrzeba było zatem koniecznie dostarczyć funduszów z innych źródeł na tych siedemdziesięciu alumnów, których on utrzymywał. To też X. Biskup udawał się wszędzie, żebrząc dobroczynnych datków. Rodzice seminarzystów przyczyniali się czasami skromnemi datkami. W pewnej części przychodziła mu przez dwa lata w pomoc *l'Oeuvre de la Propagation de la Foi* we Francyi, z którą utrzymywał potajemne stosunki, ale zasiłki te były za szczupłe i nie zaspakajały potrzeb. Skutkiem tego powstawały długi na zakładzie, które ostatecznie ciężyły zawsze osobiście na X. Biskupie. Na parę miesięcy jeszcze przed śmiercią przedstawiał on ponownie przełożonym propagandy francuskiej potrzeby swojej dyecezyi, i wielce mu to było bolesnem, że zachodziły pod tym względem na rok bieżący trudności, dla których nie byłby mógł dawać na teraz poparcia, budzącej się pomiędzy młodzieżą chęci wstępowania do stanu duchownego. Rząd rosyjski domyślał się, że X. Biskup rozporządzał na cele seminaryum wyższymi funduszami niż te, jakie on dostarczał, widział też bardzo niechętnie wzrost tak znaczny zakładu. Dlatego niezmiernie ciekawe były niektóre korespondencye w tej sprawie X. Biskupa z rządem, nacechowane zwykłą przebiegłością władz rosyjskich.

Razu pewnego, sekretarz X. Biskupa użyty do odpowiedzi na długie pismo rządowe w przedmiocie funduszów seminaryjskich, zwracał jego uwagę na niejasny wykład sprawy w odezwie władz, do tego stopnia, że trudno się było domyśleć, czego właściwie żąda i w jakim celu zbiera wiadomości. Lecz odpowiedź, podyktowana przez X. Biskupa, była, o ile można było, jeszcze więcej nie jasną i pomijającą zadawane mu pytania. X. Biskup wytłómaczył mu rzeczywisty cel odezwy rządowej, która nie była spowodowaną ani troskliwością

o potrzeby dyecezyi, ani miała na myśli pociągnięcie go do zdania rachunków, wiedziano bowiem, że wydatki przenoszą w trójnasób fundusze, jakich rząd dostarcza, ale wydaną była dla zbierania różnych wiadomości, potrzebnych rządowi do celu, który sobie był założył, a mianowicie zniesienia wszystkich seminaryów w Królestwie i uformowania jednego w Warszawie, nad którem mógłby mieć specyalny nadzór. X. Biskup potajemnie był się o tem dowiedział i dlatego tak pogmatwaną ułożył odpowiedź, ażeby rząd potrzebnej dla siebie wiadomości w jego odpowiedzi nie móg wyczytać.

Czego w Rewlu do skutku doprowadzić nie mógł, do tego zaraz jako biskup się zabrał, to jest do stworzenia szkoły przygotowawczej, małego gimnazyum, które nazywają we Francyi *petit seminairc.* W tym celu sprowadził z Francyi księdza Maisonneuve, który, zanim kapłanem został, był guwernerem Stanisława Koźmiana z Krakowa, syna Andrzeja, a wnuka kasztelana. Jako pierwszych uczni do tej szkoły sprowadził na wiosnę 1865 r. trzech swoich synowców i dwóch Dmóchowskich, synowców byłego metropolity mohylewskiego, którzy się rodzili z Balińskiej, siostry Michała. Kilkunastu synów obywateli z gubernii do tej szkoły się zapisało. Wszystko było już gotowem do rozpoczęcia, ale rząd stanowczo odmówił pozwolenia na jej otworzenie.

Ażeby dopilnować ścisłego wykonania tak wielkich reform w seminaryum i stworzenia tej szkoły, X. Biskup sam przez trzy pierwsze lata w bardzo szczupłych celach w gmachu poklasztornym się mieścił, i dopiero gdy seminaryum na silnych oparte zostało podstawach, a szkoła ta nie doszła do skutku, zajął pomieszkanie w mieście.

Jak widzimy, X. Biskup z początku mieszkał w gmachu seminaryjskim, potem dopiero przeniósł się do osobnego dworku w mieście, gdzie zajmował całe pierwsze piętro, na dole po jednej stronie wjazdowej bramy był konsystorz, po drugiej mieszkali jego sekretarze i kapelan i było parę gościnnych pokoi. Służba cała składała się z lokaja, furmana i kucharza, wszycy ludzie nie żonaci, a na czele tego stał jako *major domo* stary Chrzanowski. Przez bardzo wiele lat

służył on u stryja X. Biskupa, Tadeusza Łubieńskiego, jeszcze ponoś gdy ten był w legionach Napoleona oficerem, i gdy X. biskup Tadeusz umarł, Chrzanowski najspokojniej oświadczył po pogrzebie naonczas jeszcze księdzu Konstantemu, że gdy on także zostanie biskupem, to znowu do niego na służbę powróci. I rzeczywiście, kiedy X. Konstanty już został prekonizowanym, Chrzanowski, siwy jak gołąbek, zajechał do Warszawy, objął zarząd całego domu, bez żadnego opowiedzenia się lub umowy, jakby do własnego gospodarstwa. Jako starodawny sługa domu, nigdy inaczej nie wyrażał się, jak: myśmy tylu księży wyświęcili, myśmy tylu ludzi bierzmowali; usługa a nawet dobroć potraw nie raz na tem ucierpiały, ale za to stary Chrzanowski, przy więcej jak skromnem umeblowaniu, nadawał całemu domowi wygląd poważny i staroświecki, który na głuchej prowincyi, w biskupim pałacu, miał pewien swój urok. Do stołu zasiadał zawsze X. Biskup w otoczeniu duchowieństwa konsystorza, kapelana, jednego lub dwóch sekretarzy, a pacierze kapłańskie poprzedzały i kończyły każdy obiad i kolacyę. Każdy kapłan, do stolicy dyecezyi przybyły, musiał być gościem jego stołu, i nieraz ktoś z obywatelstwa lub z Warszawy opowiadał przy nim ostatnie nowiny. Pomimo tego jedzenie było zawsze bardzo krótkie, proste, klasztorne, oprócz jednego Wielkiego Czwartku, kiedy całe duchowieństwo na pamiątkę Wieczerzy Pańskiej i dawnego zwyczaju polskich biskupów, do stołu swego zapraszał.

Codziennie zrana odprawiał mszę św. w swojej kaplicy domowej, która oddzielała salony od dwóch jego prywatnych pokoi, a potem zaraz słuchał drugiej kapelana, cały czas klęcząc na podłodze bez klęcznika. Kiedy miał mieć najmniejszą naukę, zawsze starał się do niej przygotować, odczytując ustępy z Pisma św. lub jaką książkę duchowną z medytacyami. Gorliwość jego w tem się odbijała, iż nigdy ważnej sprawy nie porzucił, nie przerwał, dopóki ostatecznie jej nie skończył. Jeżeli naprzykład przyszło odpisać na jakąś ważną odezwę rządową, wołał jednego sekretarza zaraz po mszy św. i zaczynał mu dyktować. Kiedy po obiedzie od samego pisania

ten był już wyczerpanym, wołał drugiego i dalej w bardzo późną noc pracował. Tak dwóch nieraz i trzech przetrzymał on sam jeden, z umysłem świeżym, z niewyczerpanemi siłami mógł dalej myśleć, pracować i pisać.

Pomimo tak licznych zajęć pasterskich, prac około seminaryum, ciągłych podróży, tajemnej na wszystkie strony korespondencyi, najmniejszego papieru nie wypuszczał z konsystorza bez osobistej aprobaty. Zupełnie pojąć nie można, jak mu na wszystko czasu starczyło, bo pomimo bystrości umysłu, dalekim był bardzo od lekkomyślności, każdą rzecz ważył, omówił z ludźmi zaufanymi i w modlitwie Opatrzności osobliwie polecił. Kiedy był w podróży, dawał rozkaz, ażeby wszystkie papiery nadchodzące do Sejn w czasie jego nieobecności, z wyjątkiem materyi sądowniczej przez surrogata załatwianej, i tych które się odnosiły do drobnych bardzo spraw, przysyłane mu były codziennie pocztą do miejsca, gdzie się znajdował w dyecezyi, lub poza jej granicami. Sam otwierał wszystkie ekspedycye, regensowi konsystorza, zawsze mu w podróży towarzyszącemu, decyzyę udzielał, i nie tylko wskazywał sposób odpisania na każdy interes, ale sam poprawiał redakcyę każdej sprawy, jeżeli nie dyktował odpowiedzi, co się najczęściej trafiało. Wysłowienie jego nie było zawsze zwięzłe i treściwe, a na czynione mu pod tym względem uwagi, utrzymywał, że pisząc do Rosyan, należy każdy przedmiot wyczerpać jak najstaranniej i z rozmaitej strony go przedstawić. Trzeba w każdem piśmie kilkakrotnie powracać do tej samej myśli, zmieniać sposób argumentacyi, do tego samego doprowadzając końca. Pojęcia Rosyan są bowiem zawsze ciemne, niejasne, nieokreślone i mgliste, tak jak charaktery niewyrobione i niezdecydowane, a przy pismach treściwie spisanych, umysł ich podejrzliwy wyszukuje tylko podstępu. W tym labiryncie pisaniny biurokratycznej trzeba, ażeby numer za numerem dla porządku następował, a kiedy nie można wprost na przeciwnika uderzyć, lub go odsadzić, lepiej odurzyć referenta dłuższą repliką, ażeby godziny jego zająć, a samemu czasu do pracy uzyskać. Nic tak nie cieszy biurokratę rosyjskiego jak bumaga, a zręczne niemi posługiwanie

się; jest to jedyna broń jednostek w społeczeństwie, które nie ma wolności słowa, wolności pisma i publicznej nieodpowiedzialnej sejmowej trybuny.

Również na objazdach dyecezyi nie raz od samego rana, zaraz po cichej mszy św. aż do 11-tej w nocy bierzmował, i przestawał wtedy jedynie tylko dlatego, ażeby porządek w zebranym ludzie utrzymać, i ażeby kapłani, którzy mu towarzyszyli, mogli wypocząć. Jego biskupstwo było jednem pasmem wytężonej, gorączkowej pracy. Cały czas pobytu w Sejnach od rana do wieczora pisał lub dyktował, ledwo w podróż się wyrwał, zaraz bierzmował lub inne czynności urzędu swego załatwiał. Nigdy przez całe sześciolecie nie dał sobie ani jednego tygodnia, tem mniej miesiąca wakacyj lub wypoczynku, a jedyny raz, kiedy wyjechał do Ciechocinka pod pozorem kuracyi, było, ażeby się nieznacznie spotkać z wysłannikami Rzymu, i tam jeszcze nocami całemi musiał pisać. Tabaki nie zażywał, a cygara palił tylko wtenczas, kiedy był bardzo pracą umysłową zajęty, więcej dla dania zajęcia palcom, jak dla zadowolnienia potrzeby. W pierwszych latach biskupstwa raz czy dwa razy trafiało mu się, że, jak nie był na wizytach kanonicznych, ale w przejeździe po dyecezyi, a nocować mu wypadło u jakiego starego i zasłużonego plebana, nie chcąc jak sam mówił, dla młodego swego wieku być niegrzecznym, dawał się namówić na partyę wista. Ale w jego oczach widać było, że o czem innem myślał; źle grał, a u siebie na karty nie pozwalał.

Jedną wielką a ciężką próbą dla X. Biskupa było osamotnienie jego w Sejnach. Przez ostatnie lat dziesięć żył, jak widzieliśmy, w wielkich stolicach, gdzie jego obowiązki zmuszały go bywać w najwytworniejszem towarzystwie, zawsze w gorączkowym wirze wiadomości i ruchu światowego. Nagle ujrzał się jakby na pustyni, bo przecież tych kilku przezacnych kapłanów wiejskich, prócz spraw duchownych, w dziedzinie sztuki, literatury, polityki, nic nie mieli wspólnego z jego wyobrażeniami, nawyknieniami i dotychczasowemi zajęciami. Wprawdzie bardzo ciężka pasterska praca, a przytem ciągłe kłopota z rządem, nie dawały mu zbyt wiele wolnego

czasu, jednak każdy człowiek, który pustelniczemu życiu w Tebaidzie się nie poświęcił, potrzebuje z równymi sobie w pewnych godzinach zamienić parę słów i myśli, wypocząć i odetchnąć. Wiadomem jest, że po klasztorach gorliwi przełożeni surowo przestrzegają, ażeby wszyscy uczestniczyli przy wspólnej rekreacyi, dla braku której jedni mogliby się zapracowywać, drudzy zdziczeć, inni wreszcie niewłaściwym zboczeniom duszy i myśli slę oddać. Dzieci potrzebują zabawy dla ruchu, dojrzali dla wypoczynku, najwięcej jednak umysłowo pracujący, ażeby naprężonej cięciwie myśli sfolgować. Z początku też X. Biskup niesłychanie odczuł to osamotnienie swoje i nagłą zmianę w życiu. Jego krewkość, gorliwość, znajomości i wiadomości, zdawały się przeznaczać go do działania na wielkiej świata arenie i na szerokim horyzoncie. Nigdy się wprawdzie nie skarżył, bo jak małe dziecko zbytnio posłusznym był rozkazom i woli Opatrzności; szukał i znajdował w każdem życia stanowisku święte obowiązki do spełnienia. Samotność ta jednak na usposobienie duszy jego nie przeszła bez znacznego i poważnego wpływu. Umysł ten wielki, oderwany od ciągłego z ludźmi obcowania i od tych codziennych zapasów, w których, jak mówi Seneka, nieraz coś ludzkiego trzeba stracić i po sobie zostawić, zwrócił się sam ku sobie, oczyścił się z naleciałości, urósł, dojrzał i spotężniał. Jak ten okręt, który ląd opuszcza i na pełne wypływa morze, tracił powoli widok drobnostek i coraz jaśniej i szerzej, i dalej w około siebie patrzał. Z początku życia czytywał tak jak każdy dorywczo tylko gazety i peryodyczne publikacye, później nie brał książki do ręki, która miała mniej jak dwa tomy, a ostatnie dzieło, jakie miał w ręku przed wywiezieniem, była historya prześladowania i męczeństwa kapłanów francuskich podczas wielkiej rewolucyi, nie znanego nam autora aż w ośmiu tomach. Dawniejsze jego kazania wykładały prawdy wiary i zasady chrześcijańskiej moralności, w sposób jasny, przystępny dła każdego. W ostatnich przemowach w życiu przebijała się nuta wysokości myśli i wewnętrznego wyrobienia, które już nie dla każdego były przystępne i słuchać się dawało jako ustępy z medytacyj św. Te-

resy lub z dzieł o łasce św. Augustyna. Ostatnie jego nauki, przed samem wywiezieniem, które codziennie w katedrze miewał podczas nabożeństwa majowego, nie zatartą pamięć po sobie zostawiły. W samej świątyni była mała garstka mieszczańskiej publiczności i alumni seminaryum, wyłącznie synowie chłopków litewskich, którzy zaledwo czwartą ukończyli klasę. Tymczasem X. Biskup stojąc przed tronem, rozwijał tak cudne obrazy, tak wysoko w niebo patrzał, zdradzał taką znajomość tajemnic mistyki chrześcijańskiej, iż widocznie już nie był panem siebie, ale wyrobienie wewnętrzne ponosiło go daleko ponad potrzeby umysłów obecnych słuchaczy, tam do Bóstwa najwyższego, w którem pragnął już spocząć na wieki. Dla nas pozostać musi na zawsze i ludzkiem przypuszczeniem i nie rozwiązaną zagadką, czy X. Biskup siedząc na stolicy jakiejś wielkiej świata metropolii, byłby zmienił bieg dziejowych wypadków. Ale uznać musimy odwiecznej Mądrości drogi, któremi ona poprowadziła tę wybraną naturę, nasamprzód przez cierniste życia ścieżki w świecie pracy, a potem oderwała go od niej, otoczyła samotnością, otworzyła tajemnice łask wewnętrznych, ażeby go przysposobić do ostatecznej ze siebie ofiary, której po nim wymagała. W walce życia charaktery się wyrabiają, ale tylko w samotności i na modlitwie umysł i dusza rosną, dojrzewają i stają się prawdziwie wielkiemi. Jak mówi prorok Jeremiasz: *Desolatione desolata est omnis terra, quia nullus est, qui recogitet corde* (»spustoszeniem spustoszoną jest wszystka ziemia, bo nie masz, ktoby uważał w sercu«).

Rozdział XI

POBYT W ŁOMŻY. ZAJŚCIE Z GUBERNATOREM I JENERAŁEM KOZACKIM. ADRES MURAWIEWA Z LITWY DO CESARZA. PODRÓŻ DO WILNA. ZAJŚCIE Z MURAWIEWEM. LIST X. BISKUPA DO CESARZA. LIST KARDYNAŁA ANTONELLEGO DO X. BISKUPA I JEGO ODPOWIEDŹ. DZIAŁALNOŚĆ URZĘDNIKÓW POSYJSKICH W LITWJE. ZDANIE MURAWIEWA O X. BISKUPIE, KS. STEFANIE LUBOMIRSKIM I R. TYZENHAUZIE. KATKOW. WDZIĘCZNOŚĆ MURAWIEWA. PODRÓŻ X. BISKUPA DO WARSZAWY. NOWE STARCIE Z MURAWIEWEM. PODRÓŻ X. BISKUPA KOLEJĄ Z W. KS. KONSTANTYM. NOWE PRZEŚLADOWANIE MURAWIEWA. SPOTKANIE SIĘ CESARZA Z MURAWIEWEM I HR. BERGIEM. DRUGA PODRÓŻ DO WARSZAWY. SPOTKANIE SIĘ Z X. BISKUPEM POPIELEM. UKŁADY Z HR. BERGIEM O KONSEKRACYĘ X. RZEWUSKIEGO.

(1863 – 1864).

Wracając z konsekracyi z Janowa X. Biskup wstąpił do Łomży. Zaledwo zajechał, dowiedział się, że na drugi dzień mają rozstrzelać dwóch żandarmów powstańców. Biegnie do wojennego komendanta, ażeby życie dla nich uzyskać, ale wszelkie przedstawienia były daremne, otrzymał tylko na drugi dzień pozwolenie dysponowania ich na śmierć. Na drugi dzień wczas rano, otoczony znacznym zastępem ludu, idzie do więzienia, gdzie byli dwaj nieszczęśliwi, pozbawieni wszelkiej religijnej pomocy; sam ich spowiada, na śmierć dysponuje, ducha i odwagi dodaje i przyjmuje na siebie wykonanie ostatnich zleceń światowych. Wychodząc stamtąd, gdy coraz więcej ludu na placu zbierać się zaczęło, odzywa się do zebranych: »Teraz dzieci chodźmy do kościoła pomodlić się za

umierających«. Lud z płaczem rzuca się za nim, opróżnia się na głos jego plac cały, zapełniony ciekawymi i strwożonymi, zapełnia się nimi kościół. Przed wielkim ołtarzem X. Biskup klęcząc odmawia głośno modlitwy za umierających. Przy litanii do Wszystkich Świętych wszyscy obecni z płaczem powtarzają: »módl się za nami«, a gdy odgłos strzałów z murów więziennych zwiastował wykonanie wyroku, i lud cały oniemiał z trwogi, odezwał się X. Biskup zmienionym głosem: »wieczne odpoczywanie racz im dać Panie«.

Miejscowy gubernator czuł się być w obowiązku pociągnięcia do odpowiedzialności X. Biskupa za ten rodzaj buntowniczej manifestacyi, jak mówił; wezwał go więc piśmiennie do zdania sprawy i odpowiedzi na 29 najrozmaitszych pytań, które wszystkie były niczem innem, jak szeregiem mniej lub więcej zgrabnie ułożonych zaczepek, w celu wplątania X. Biskupa w jakąś zasadzkę. Jako ciekawy wzór, przytoczymy tutaj kilka tych pytań. I tak naprzykład:

Pytanie. »X. Biskup mówiłeś więźniom: darujcie nieprzyjaciołom waszym, — czy to X. Biskup nie miałeś na myśli Rosyan jako nieprzyjaciół, którym więźniowie mieli przebaczyć?«

Pytanie. »Jakie to polecenie skazanych na śmierć podjął się X. Biskup wykonać?«

Pytanie. »Jak X. Biskup mógł rodzinom buntowników zapewnić utrzymanie i żywić plemię zbrodniarzy« i t. p.

Pytania te, jak się X. Biskup później dowiedział, ułożone były w biurze Murawiewa w Wilnie; z jego polecenia napisane i przez jego cenzurę i z jego poprawkami przeszły. Dla zmylenia tropu i nie obudzenia podejrzenia, że on jakikolwiek w tym śledztwie bierze udział, odesłał je Murawiew miejscowemu gubernatorowi, jak gdyby nie od niego wychodziły, lecz od miejscowej władzy. Z zapytaniami temi na piśmie ułożonemi, zjechał do Sejn, zaraz po powrocie X. Biskupa ze Suwałk, kozacki jenerał brygady, komendant i pełnomocnik Murawiewa do spraw cywilnych miejscowego okręgu, człowiek, który od najniższych stopni dosłużył się rangi jenerała i któremu jedynie przystępne było pojęcie bezwzględnej

subordynacyi. Pojmował zatem władzę i jej warunki, ale wykształcenia innego nie miał zupełnie, zaledwie się mógł podpisać a czytać i pisać stanowczo nie umiał.

X. Biskup po odebraniu pytań i wysłuchaniu żądania odpowiedzi na piśmie, oświadczył jenerałowi, że w sprawach duchownych, pomiędzy nim a owieczkami pieczy jego powierzonemi, nikomu nie przyznaje prawa mieszania się. Co do formy, w jakiej to śledztwo miało się odbywać, dodał, że on jako biskup w hierarchii rządowej wyżej stoi niż gubernator, więc tenże nie ma prawa pociągać jego, jako stojącego na wyższym czynie, do tłomaczenia. Że on gotów jest w każdej chwili zdać monarsze rachunek ze swego postępowania, skoro go do tego zawezwie, ale ubliżyłby stanowiskn swemu, i popsułby porządek hierarchiczny ustanowiony ukazami najwyższymi w Rosyi, gdyby miał gubernatorowi odpowiadać na te pytania. Ten sposób przedstawienia rzeczy z punktu subordynacyi wojskowej zupełnie trafił do przekonania jenerała, ucieszył go nawet. Odjeżdżając oświadczył X. Biskupowi, że on sam rad jest bardzo, iż gubernator dostanie taką naukę. X. Biskup udzieliwszy w Łomży po raz pierwszy Sakramentu Bierzmowania przeszło 1300 osobom, puścił się dalej w drogę do domu na Suwałki, gdzie nowa, a większa sprawa na niego czekała.

Powstanie chyliło się do upadku. Murawiew chciał jeszcze kilkanaście ofiar zrujnować i zagrabić, ogłosić światu, że rewolucyę przemógł i przystąpić do nowej w kraju organizacyi. Umyślił zatem wysłanie adresu do stóp tronu od mieszkańców całej Litwy, któryby mu w tym potrójnym kierunku dodatnie mógł oddać usługi. Jest to sposób stary i bardzo w Rosyi dobrze znany, jedyny sposób zbliżenia się ludności do monarchy i zakończenia jakiejś epoki gwałtu i rabunku ze strony wiecznie chciwej i zbrodniczej niemiecko żydowskiej biurokracyi w Rosyi. Kartonowe wioski Potiemkina codziennie dzisiaj jeszcze powstają, tylko z zręczniejszem *mise en scène*, i w coraz to nowych imperyum zakątkach. Adres ten po ogólnych słowach wierno poddańczych, wyrażał skruchę Litwinów, że dali się wciągnąć przez Polaków do po-

wstania, i błagalną prośbę o przebaczenie win, a Murawiew pragnąc na zawsze przyłączyć całą gubernię Suwalską do swojej satrapii, nakazał także wyznaczenie deputacyi z duchowieństwa, szlachty, mieszczan, chłopów i żydów, którzyby mu ten adres w Wilnie wręczyli. W czasie podróży X. Biskupa do Janowa władze gubernii Augustowskiej zaczęły zbierać podpisy miejscowej ludności i gdy X. Biskup w drodze do Sejn stanął w Suwałkach, gubernator wezwał go, ażeby ten adres także podpisał. X. Biskup odczytawszy adres, odmówił położenia swego podpisu. Za powód odmowy podał, że wprawdzie duchowieństwo jego dyecezyi, w części przynajmniej, zostało w ostatnich wypadkach krajowych skompromitowane, że przeto adres do cesarza w rodzaju tego, na którym podpisu jego żądano, mógłby być przez to duchowieństwo podany, ale w takim razie władze byłyby powinny znieść się z nim, jako głową tego duchowieństwa, tak co do potrzeby podania takiego adresu, jak co do jego wysłowienia, że na takim adresie jego podpis powinien stać na pierwszem miejscu, nazwisko zaś jego na szóstej lub siódmej stronicy, za podpisami bardzo wielu innych, rozmaite stanowiska zajmujących osób, jużby takiego samego znaczenia nie miało, przeciwnie miałoby charakter czysto osobisty i prywatny. Gdy on zaś nigdy najmniejszego udziału w rzeczach powstańczych nie brał, ani ich nigdy nie popierał, nie tylko nie ma powodu błagania o przebaczenie win, których się nie dopuścił, ale nawet nie może do nich się przyznawać, bez obrażenia prawdy, która jest jego pierwszym obowiązkiem względem cesarza. Odmawiając jednak gubernatorowi podpisania tego adresu, oświadczył mu gotowość napisania oddzielnego podania do podnóża tronu. Podanie to też zaraz ułożył i przesłał na ręce gubernatora Murawiewowi z prośbą przedstawienia takowego najjaśniejszemu panu. W tym adresie X. Biskup po ogólnym wstępie, wyrażającym wiernopoddańcze uczucia dla osoby monarchy i żal z powodu zaszłych w kraju wypadków i nieporozumień, przedstawił bardzo silnie potrzeby Kościoła i o prawa jemu służące się upomniał.

Murawiew otrzymawszy raport o wypadkach w Łomży, odmowną odpowiedź na piśmienne pytania, zajście z gubernatorem w Suwałkach, nareszcie projekt adresu do monarchy, zawezwał telegraficznie X. Biskupa, ażeby natychmiast do niego do Wilna przyjechał. Było to w pierwszej połowie stycznia 1864 r. X. Krasiński, biskup wileński, był już dawno wywieziony. X. biskup Wołonczewski dlatego tylko zapewne uniknął tego samego losu, że zaraz po wywiezieniu X. biskupa Krasińskiego, rozeszła się po Żmudzi pogłoska, że i jego mają wywieść, i naraz zjechało do Kowna 12.000 furmanek chłopskich, przywożących włościan pragnących pożegnać się ze swoim pasterzem i otrzymać od niego błogosławieństwo. Taka manifestacya, wcale nie szlachecka, wcale nie polska nawet, ale ludowa i żmudzka tak Murawiewa przestraszyła, że dał spokój X. biskupowi Wołonczewskiemu. Biskup ten niezwykle gorliwy odznaczał się wszystkimi dodatnimi rysami charakteru ludu litewskiego. Spokojny, wytrwały, dusza gorąca, zewnętrzne obejście nieco chłodne, czuć w nim było człowieka, który nigdy sprawy nie odstąpi, nie zdradzi, wszystko przeniesie, wszystko przemilczy, ale wytrwa do końca. Z prostych pochodził chłopów, a piszącemu te słowa danem było parę razy być zaproszonym w Kownie do biskupiego jego stołu, przy którym na honorowem miejscu zasiadała staruszka matka jego w zwykłym stroju ludowym. Sam ten widok dawał miarę wielkości duszy tego księcia Kościoła. X. biskup Konstanty, jadąc tym razem do Wilna, był przekonany, że do dyecezyi nie wróci, zarządził zatem co potrzeba w razie wakansu, zabrał ze sobą więcej rzeczy i zatelegrafował do brata swego hr. Tomasza Łubieńskiego w Petersburgu bawiącego, ażeby do Wilna przyjechał i w razie danym odebrał od niego ostatnie polecenia przed drogą na daleki wschód.

Zaraz po przyjeździe X. Biskupa do Wilna, przybył do niego senator Bułyczew, dodany Murawiewowi w charakterze urzędnika do szczególnych poruszeń. Bułyczew nie znał X. Biskupa z Petersburga, ale dziwnym losem Opatrzności, w jego domu, nauczycielem synów był wtenczas ten sam pan Jouve,

którego X. Biskup w Kurskiej gubernii na śmierć przygotował i którego w roku 1853 do Rzymu w tajnej misyi posyłał. Nie może zatem być, ażeby ten stosunek nie ułatwił X. Biskupowi stosunków z władzami i żeby nie miał z niemi czucia prywatnego poza drogą urzędową. Bułyczew zresztą o niczem innem z X. Biskupem nie mówił, jak tylko w sposób bardzo uprzedzający, o oznaczeniu godziny audyencyi jego u Murawiewa. Hr. Tomaszowi Łubieńskiemu także powiedział, że skoro do Wilna przyjechał, powinien się jenerał-gubernatorowi przedstawić. Na drugi dzień po przyjeździe pojechali razem dwaj bracia do Murawiewa, który mieszkał w dawnym pałacu biskupów wileńskich i zaraz po zameldowaniu X. Biskup został wprowadzony do gabinetu wielkorządcy biednej Litwy. Przeczysta Dziewica Ostrobramska, przed obrazem której X. Biskup do dnia odprawił mszę św. i długo potem się modlił, czuwała nad nim, aczkolwiek po ludzku sądząc, jenerał gubernator nie dorównałby X. Biskupowi w szermierce dyplomatycznej i przeciwstawić mógł tylko brutalną siłę naprzeciw zasadom, rozumowi i odwadze, które musiały zatem ostatecznie Murawiewa pokonać.

O ile przy końcu pierwszej bytności X. Biskupa w Wilnie, Murawiew uderzył był w tak uprzejmą i życzliwą strunę, o tyle za drugim razem nastrój jego był zupełnie odmiennym, wystąpił groźno i ostro, chciał postrachem podziałać na X. Biskupa, ażeby on stracił równowagę i wyrzekł słowo lub położył coś na piśmie, coby go mogło skompromitować, i na łaskę i niełaskę jego oddać. Nasamprzód w podstępny sposób łudzić zaczął X. Biskupa nadziejami, przedstawiając dla niego i dla kraju świetną przyszłość, gdyby on w X. Biskupie znalazł powolność do celów rządowych. Zasłona dyplomatycznych forteli pokrywała wyrazy jego w sposób bardzo przebiegły, nie dawał się nigdy pochwycić; wprost słowom jego nie można było tego zarzutu zrobić, jakoby X. Biskupa namawiał do odszczepieństwa, nie używał wyrazów, któreby X. Biskup mógł odrazu podnieść. Niemniej jednak rozwijał plany swoje zrozumiale. Zresztą nie wymagał i nie dopuszczał do odpowiedzi na drażliwe punkta i nie potrzebował jej, bo wzrokiem

badał przenikliwie tego, kogo uważał już za swoją ofiarę. Przekonawszy się, że daremne będą jego zabiegi, nagle w inną zwrócił się stronę i powtórzył żądanie gubernatora Suwalskiego, ażeby X. Biskup podpisał adres ogólny mieszkańców Litwy. X. Biskup stanowczo odmówił, przytaczając spokojnie te same powody. Wtenczas Murawiew starał się koniecznie wyciągnąć X. Biskupa na przyznanie, że władze miejscowe wymuszają gwałtem podpisy od miejscowych mieszkańców, ale X. Biskup tak zręcznie okólnikami odpowiadał, że za słowo nie dał się uchwycić. X. Biskup podniósł raz jeszcze stanowczy swój zamiar napisania od siebie oddzielnego listu do cesarza na ręce Murawiewa, bo uważał to za rzecz konieczną podnieść głos do samego tronu, a przytem podciąć za jednym zamachem stanowisko jenerał gubernatora, i zapytał się go, czy przesłany ze Suwałk list został odesłany do Petersburga. Na to Murawiew wyjął go z szuflady, odczytał go głośno i wpadł w najwyższe rozdrażnienie na wzmiankę o uciśnionych prawach Kościoła i kraju. X. Biskup dla uspokojenia go podsunął myśl, że inny zaraz napisze, siadł przy biurku Murawiewa i zaczęła się dyskusya nad wysłowieniem nowego adresu; Murawiew stanowczo odmówił takiego pisma, w któremby była wzmianka o cierpieniach Kościoła i kraju, albo w któremby był ustęp odwołujący się do sprawiedliwości i wspaniałomyślności monarchy, X. Biskup również stanowczo odmówił wyrażenia jakiegokolwiek przyznania się do winy i wypisania uczuć, których pomimo lojalności nie podzielał. Z tych targów powstał list do cesarza od X. Biskupa, gdzie bardzo ogólnikowo wyraża swoje wiernopoddańcze uczucie dla osoby i tronu monarchy. Audyencya trwała przez dwie godziuy, obie strony były jnż po prostu fizycznie zmęczone. X. Biskup czuł, że honor jego i losy się ważą, Murawiew oburzony, że z każdą chwilą traci na powadze, na wpływie, że nie tylko już nie straszy, ale wchodzi w układy, nieledwie prosi i błaga o ustępstwa. Powstawszy więc, oświadczył, że nie jest z tego listu zadowolony, że daje X. Biskupowi parę godzin do namysłu i znowu najgrzeczniej odprowadził go do

sali poprzedzającej, gdzie wszyscy wiedząc, jak ważna toczy się rozmowa, w niepokoju i ze strachem czekali.

X. Biskup powróciwszy do siebie, raz jeszcze postanowił ani na włos nie ustąpić, adresu Litwy nie podpisać, a uwiadomiony przez znajome a życzliwe mu osoby, których zawsze miał wszędzie, że wywiezienie jego na Sybir jest postanowioną rzeczą i wszystkie rozkazy potemu wydane, spokojnie na modlitwie i w rozmowach z bratem swoim chwili tej oczekiwał. Co się stało i co zaszło między tą chwilą a zaraz następną, nikt dotychczas dowiedzieć się nie mógł, pomimo najpilniejszych badań ze strony pana Jouve i innych. Dosyć, że na drugi dzień o 4 rano Murawiew przywołał do siebie adjutanta swego, kazał zbudzić w godzinę potem o 5 rano X. Biskupa i oświadczyć mu, ażeby natychmiast do Sejn powrócił, co on też z dziękczynnemi modłami niezwłocznie uczynił. List X. Biskupa do cesarza sam Murawiew w odmiennej nieco formie ogłosił później w gazetach. X. Biskup nie był człowiekiem, któryby pozwolił komukolwiekbądź a tym mniej Murawiewowi ogłaszać swoje listy, a do tego przekręcone, ale już wtenczas był zrobił stanowczy krok u w. ks. Konstantego w celu obalenia Murawiewa, jak później zobaczymy, nie miał zatem prawdziwie ani czasu, ani sposobności, ażeby te impertynencye podnieść i ukarać.

Tymczasem zażarci nieprzyjaciele X. Biskupa z partyi rzekomo narodowej, nieświadomi tryumfu, dopiero co odniesionego nad Murawiewem i drugiego, który miał zaraz nastąpić, ogłoszony list X. Biskupa do cesarza pospiesznie do Rzymu przesłali ze zjadliwymi oczywiście komentarzami. Na to X. kardynał Antonelli napisał potajemną drogą do X. Biskupa list, w którym nie ganił wcale myśli samego adresu, ale wyraził ubolewanie, że w nim silniej i więcej stanowczo nie podniósł uciśnionych praw Kościoła. X. Biskup tą samą drogą nie omieszkał wyświecić całej sprawy i w późniejszych rozmowach obstawał przytem, że pomimo tej bolesnej dla niego a tak nie zasłużonej wymówki, na razie nie było innego sposobu załatwienia sprawy, że po tak nieszczęśliwych listach X. arcybiskupa Felińskiego do cesarza trzeba było być

nadzwyczaj ostrożnym, że najlepszy dowód, iż jakikolwiek bądź byłby adres napisał, takowy nie byłby doszedł do rąk monarchy, jeżeli Murawiew pierwsze jego pismo schował do kieszeni; że przecież nie obawiał się wywiezienia, kiedy zupełnie wybrany do tej drogi do Wilna zajechał; że nie jego winą, iż Murawiew i tak nic nie znaczące jego pismo, jeszcze poprzekręcał. I owszem całe to zajście świadczy, że X. Biskup przed satrapą litewskim nie ustąpił, że go wywiódł w pole, i że Murawiew musiał się chwycić niesłychanego kroku publicznego fałszerstwa, ażeby po tak głośnej porażce przed ogółem się wytłómaczyć.

Audyencya, jak już wyżej powiedzieliśmy, trwała przeszło dwie godziny. Tymczasem w ogólnej sali audyencyonalnej czekał hr. Tomasz Łubieński i ze 20 urzędników, po większej części wojskowe mundury noszących, z różnych stron kraju przybyłych. Czekając na audyencye, opowiadali sobie nawzajem półgłosem projekta, jakie zamierzali przedstawić Murawiewowi w celu nibyto uśmierzenia kraju i jego rusyfikacyi, a prawdziwie dla pozyskania osobistej wziętości i zasług. Włosy na głowie stawały, przysłuchując się tym wszystkim projektom i zastanawiając się nad tem wszystkiem, co tam słyszano, skłonnym prawie można było być do podziwiania umiarkowania jenerała Murawiewa.

Po wyjściu X. Biskupa z gabinetu, Murawiew wyszedł także dla przyjęcia osób, które na niego czekały. Gdy hr. Tomasz Łubieński z kolei jemu się przedstawił i oświadczył, że przyjechał z Petersburga wyłącznie na to, ażeby się z bratem widzieć, Murawiew odrzekł słów parę, nadzwyczajnie dla X. Biskupa pochlebnych, jak gdyby cała z nim rozmowa była najmilszą w świecie pogawędką.

Murawiew wygadał się raz przed wysokimi urzędnikami w Petersburgu, że w zarządzanym przez niego kraju na trzy tylko natrafił osoby, których mu się nie udało pochwycić na żadnem kompromitującem słowie lub czynie, pomimo tego, że najusilniej był sobie postanowił wszystkich trzech w swoje ręce dostać, ograbić i wywieść.

Jako pierwszego z nich wymieniał X. Biskupa, któremu

nie mógł przebaczyć, że był księdzem wiernopoddańczym, a nie służalczym i tego, że od czasu, jak przyjechał do swej dyecezyi, władze polityczno-wojskowe bardzo złagodniały, a kompromitowanie się księży zupełnie ustało. Rzeczywiście bardzo być może, że stosunki osobiste zawiązane przez X. Biskupa ze wszystkimi przedstawicielami władzy polityczno-wojskowej, jego wielkopańskie formy i uprzejmość, wpłynęły na ich złagodzenie. A niezawodną jest rzeczą, że zaraz po przybyciu do swojej dyecezyi X. Biskup bardzo starannie rozpatrzył się w położeniu politycznem wszystkich swoich księży, i takich, którym zagrażało niebezpieczeństwo kompromitacyi, poprzesadzał w inne okolice, o ile być może najodleglejsze od miejsca, gdzie poprzednio się znajdowali. Przez to przeciął tym księżom możność dalszego kompromitowania się, a usuwając ich z oczów najbliższej im władzy, ochronił od skutków poprzednich nieroztropnych czynów i wszystkich tym sposobem ocalił. Za każdym razem, gdzie pośrednio lub bezpośrednio Murawiew zetknął się z X. Biskupem, spotkał się również z przegraną, czy w Łomży, czy w Suwałkach, czy w Sejnach, czy po dwakroć w Wilnie, zaczął nakoniec obawiać się jakiegoś nieokreślonego z tej strony niebezpieczeństwa dla siebie, które za zrządzeniem Opatrzności tak niebawem rzeczywiście miało go spotkać, gdy X. Biskup ostatecznie go przemógł i wysadził.

Też same osoby, które w Petersburgu mówiły o tem, że Murawiew miał powiedzieć, iż X. biskup Konstanty był jednym z trzech ludzi, których on miał ochotę skompromitować, a których nie udało mu się podchwycić, wymieniły jeszcze i dwóch innych. Jednym z nich był ks. Stefan Lubomirski, marszałek szlachty gubernii Mohylewskiej, który złożywszy swój urząd, wkrótce po wybuchu powstania przyjechał do Petersburga; ks. Lubomirski i jako obywatel ziemski i jako marszałek mohylewski nie podpadał wcale pod władzę Murawiewa, zarządzającego czterema tylko guberniami: Wilnem, Kownem, Grodnem i Mińskiem. Ale Murawiew miał ogromną ochotę dostać go w swoje ręce, jako obywatela najwyżej na Litwie szanowanego i największy w niej wpływ

wywierającego. Ks. Lubomirski żyje Bogu dzięki dotychczas i nietylko na Litwie i Białorusi jest znany i poważany.

Trzecią nareszcie z tych osób był hr. Rejnold Tyzenhaus. Ten człowiek chociaż najszanowniejszy, nie był wcale osobą wpływową, ale jego olbrzymi majątek zaostrzył chciwość całej tej chmary ruskich urzędników, jaką ze sobą Murawiew na Litwę przywiózł i której ten kraj na łup prawie wydał, wszystkie urzęda nimi obsadzając, z wyłączeniem tylko urzędów kasyerów i archiwistów, do tych bowiem byłby się sam obawiał ich dopuszczać.

Hr. Tyzenhaus mieszkał stale w Wilnie, i piastował tak, jak to prawie wszystkie wybitniejsze osobistości tego kraju z konieczności prawie czyniły, jakiś nic nieznaczący i do żadnej pracy nie obowiązujący urząd. Za przybyciem Murawiewa do Wilna, musiał mu się jako urzędnik przedstawić, ale poprosił go zaraz i o audyencyę prywatną. Na tej audyencyi przedstawił Murawiewowi, że dowiedział się, iż właściciele dóbr w kraju, pod jego zarząd oddanych, będą skazywani na grzywny w przypadku dopuszczania się ich oficyalistów jakich przewinień, a nawet tylko opieszałości politycznych; i że takie grzywny w razie nieuiszczenia ich natychmiastowego, będą doraźnie egzekwowanemi przez sprzedaż, przez licytacyę inwentarzy i ruchomości na gruncie się znajdujących; że on mając dobra w różnych guberniach, nie może naturalnie we wszystkich jednocześnie mieszkać, a nawet z powodu słabości zdrowia, objeżdżać je nawet nie jest w stanie, w obawie jest przeto, ażeby obłożonym nie został także takiemi grzywnami, i ażeby w razie niedostateczności funduszów gotowych w kasach tych majątków, w których w ówczesnym stanie kraju znaczniejsze sumy pozostawiać byłoby nawet nieroztropnem, inwentarz i ruchomości jego nie uległy sprzedaży: przez to gospodarstwa nie uległy zupełnej dezorganizacyi, zanimby nawet do niego mogła dojść wiadomość o nałożonych na niego grzywnach. Prosił przeto Murawiewa, ażeby raczył pozwolić złożyć na jego ręce pewien fundusz na rachunek tych grzywien, na jakie mógłby zostać skazanym. O ile mówiono,

doręczył mu wtenczas 100.000 rs., co w stosunku do jego kolosalnej fortuny nie byłoby wcale zbyt wysoką cyfrą.

Murawiew był ministrem dóbr państwa w czasie prac przygotowawczych do usamowolnienia włościan w całej Rosyi, postanowionego ukazem z dnia 19 lutego 1861 r. Przy dyskusyach odbywających się w tym przedmiocie, Murawiew sprzeciwiał się usamowolnieniu włościan i bardzo silnie nawet obstawał za utrzymaniem poddaństwa: zaraz po ogłoszeniu tego ukazu ustąpił z ministeryum z opinią wstecznika, przeciwnego całemu rozwojowi cywilizacyjnemu, jaki się w pierwszych latach panowania Aleksandra II zapowiadał. A i z dawnych lat ciążył także nie mały w oczach liberałów zarzut na Murawiewie; należał on bowiem do spisku z r. 1825 i przyczynił się do skazania spiskowców, ocalając samego siebie zeznaniami, jakie w ciągu procesu, z tego powodu wytoczonego, poczynił. Z upadku w r. 1861 doznanego wydobył go dopiero w r. 1863 minister spraw wewnętrznych Wałujew, który miał względem niego pewne obowiązki wdzięczności a nawet zadosyćuczynienia; za jego bowiem najprzód protekcyą, a później po jego barkach, doszedł sam do tak wysokiego stanowiska. Wałujew przedstawił cesarzowi, że jeden tylko Murawiew w Rosyi ma dosyć energii, ażeby zdławić powstanie na Litwie.

Powrót atoli do łaski cesarskiej nie wystarczał ambicyi Murawiewa. Opinia publiczna w Rosyi zaczynała się już silnie objawiać. Murawiew zapragnął i w opinii swoich rodaków się zrehabilitować, a może i wpłynąć na opinię Rosyan, która w początkach prawosławia nie była mu tak dalece nieprzychylną. Do tego środku właśnie dostarczył mu fundusz przez Tyzenhauza złożony. Fundusze powstające z grzywien, stanowiły w ręku jenerał-gubernatorów fundusz dyspozycyjny, z którego wcale rachunku zdawać nie potrzebowali. Profesor uniwersytetu moskiewskiego Katkow, dzierżawił od tego uniwersytetu wydawnictwo gazety *Moskokije wiedomosti* i był jego głównym redaktorem. Nie tracił może na tem przedsiębiorstwie, bo ta gazeta miała monopol ogłoszeń urzędowych, ale tak jak wszyscy ówcześni publicyści, nędzny żywot pro-

wadził. Murawiew znał i wiedział, jak jest zdolnym pisarzem, jego przeto poprosił, ażeby się starał o uzyskanie dla niego przychylnej opinii kraju, za co ma się rozumieć, dał mu ze swojej strony subwencyi 50.000 rs. Taka zmiana losu dodała naturalnie fantazyi Katkowowi i dla tem zgrabniejszego zrehabilitowania Murawiewa, rozpoczął ogłaszać ten długi szereg artykułów Polakożerczych, które i jego osobiste znaczenie mu wyrobiły i na losy naszego kraju niemały wpływ wywarły. Polskie pieniądze taką klęskę na nas ściągnęły.

A jednak Katkow i wtenczas nawet nie był *in intimo cordis sui*, takim Polakożercą. Na wiosnę 1864 r., to jest wtenczas, kiedy już przez rok cały takie artykuły był ogłaszał, znajomy jego i przyjaciel, publicysta w materyach finansowych i ekonomiczno-prawnych, Wladimir Pawłowicz Bezobrazow, z którym hr. Tomasz Łubieński był w dobrych stosunkach *ex re* interesu Towarzystwa kredytowego ziemskiego dla prowincyi południowo - zachodnich, a któremi się zajmował, pokazał mu jako ciekawość list dopieroco od Katkowa odebrany. W tym liście Katkow prosił Bezobrazowa o wyszukanie jakiego studenta uniwersytetu peterburskiego na korepetytora dla jego synów podczas zbliżających się wakacyi. Wyszczególniwszy zalety, jakieby rad znaleźć w tym korepetytorze, mówił, że możeby najlepiej wziąść jakiego Polaka, bo Polacy daleko sumienniej wypełniają swoje obowiązki od ruskich. A zresztą dodał w końcu: »dosyć już mamy krwi tatarskiej, mongolskiej, czuwaszskiej i t. p. w naszych żyłach; czas byłoby choć trochę tej szlachetnej krwi polskiej także sobie przyswoić«. Takie przeto, o ile się zdaje, były osobiste przekonania Katkowa, ale interes na zupełnie inne drogi i jego i za jego przyczyną rząd rosyjski popchnął.

Dosyć złego wogóle o Murawiewie mówią, ażeby można oddać mu czasem i sprawiedliwość, wykazując, że szlachetne uczucie wdzięczności nie było mu zupełnie obcem. Michał Murawiew, późniejszy jenerał-gubernator wileński, za zasługi tam położone, tytułem hrabiowskim ozdobiony, z przydomkiem, jak w Petersburgu w rosyjskiem towarzystwie dowci-

pnie mówili, Comte de Vilénie, był w r. 1831 gubernatorem cywilnym w Grodnie i już wtenczas bardzo srogim był dla Polaków skompromitowanych w ówczesnych wypadkach. Aluzyę czyniąc do Sergiusza Mnrawiewa, powieszonego za udział w spisku 1825 r., mawiał, że nie jest z tych Murawiewów, których wieszają, ale z tych, którzy wieszają. Otóż gdy się wtenczas znalazł w jakim kłopocie pieniężnym, przyszedł mu z pomocą w drodze pożyczki ks. Konstanty Radziwiłł, ówczesny marszałek szlachty gubernii grodzieńskiej. Murawiew zwrócił mu następnie pożyczone pieniądze. Ale gdy mu się ks. Radziwiłł w r. 1863 tak jak i inni obywatele przyszedł przedstawić, przyjął go z bardzo wielką estymą i nie był wcale głuchym na jego wstawiania się za skompromitowanemi osobami. Przez co ks. Radziwiłł bardzo wiele usług ziomkom swoim był w stanie oddać.

Ale wracajmy do właściwej historyi X. Konstantego.

W kilka tygodni po powrocie X. Biskupa z Wilna, podpisane zostały przez cesarza ukazy z dnia 19 lutego (2 marca) 1864 r. o uwłaszczeniu włościan w Królestwie. W dyecezyi augustowskiej znajdowali się włościanie, osiedleni na gruntach proboszczowskich i klasztornych, w kilku miejscach prawo propinacyi należało do funduszów duchownych. X. Biskup był zdania, że przed zmianą praw własności duchowieństwa, rząd powinien był porozumieć się w tym przedmiocie z władzami dyecezyalnemi, a nawet ze Stolicą Apostolską i uzyskać ich zgodzenie się na te zmiany. To też przesłał jenerałowi Krzyżanowskiemu, towarzyszowi Murawiewa, przysłanemu do gubernii Suwałskiej dla ogłoszenia tych ukazów ludowi, list, w którym oświadczając wprawdzie, że wprowadzeniu w wykonanie tych ukazów sprzeciwiać się nie myśli i nie może, zaprotestował jednak przeciwko naruszeniu tymi ukazami własności kościelnej, bez uzyskania zgodzenia się Kościoła i prosił go, ażeby ten jego protest przedstawił właściwej władzy, jak równie potrzebę porozumienia się w tym przedmiocie rządu ze Stolicą Apostolską.

Murawiew do żywego oburzony tą protestacyą X. Bi-

skupa, na drodze urzędowej przysłał mu wyraz swego niezadowolenia, ale nic więcej nie uczynił.

X. Biskup zaraz potem wyjechał końmi do Warszawy, wszędzie po drodze bierzmując, zwiedzając kościoły, przynosząc słowa pociechy tak bardzo nieszczęśliwemu krajowi. Na drugi dzień po wyjeździe do stolicy otrzymał depeszę od Murawiewa, wzywającą go do natychmiastowego powrotu do domu, pod pozorem nibyto wielkiego zaniepokojenia w całej dyecezyi z powodu nieobecności swego Pasterza. X. Biskup na chwilę się zastanowił, czy nadeszła chwila dać porządną naukę Murawiewowi i pod zasłoną wymówki, że część łomżyńska jego dyecezyi należy do zarządu hr. Berga, potrzebuje tutaj pozostać i dać Murawiewowi odmowną odpowiedź. Ale obawiał się, ażeby jego duchowieństwo przypadkiem zemsty satrapy nie odczuło, nie sądził, ażeby takie małe zwycięstwo było warte tego zachodu i dlatego spiesznie do dyecezyi powrócił.

Reskrypt cesarski, polecający W. ks. Konstantemu zdać władzę w Królestwie Polskiem w ręce hr. Berga i usunąć się z Warszawy, zapowiadał powrót jego późniejszy, jako namiestnika, po uśmierzeniu powstania. Czas tego oczekiwania W. Książę przepędzał w Petersburgu i jego okolicach. Dopiero ukazy z 19 lutego (2 marca) 1864 r., a zwłaszcza ustanowienie Komitetu urządzającego, wskazywały nadanie zupełnie innego kierunku całemu zarządowi tego kraju. Natenczas W. ks. Konstanty, nibyto dla poratowania zdrowia, wyjechał na czas dłuższy za granicę. Hr. Tomasz Łubieński mieszkając w Petersburgu, dowiedział się dokładnie o dniu i godzinie wyjazdu W. Księcia, zatelegrafował tę wiadomość X. Biskupowi. Była to jedyna sposobność, ażeby zbliżyć znowu X. Biskupa do W. ks. Konstantego, który mu okazał w Warszawie tak niezwykłą łaskę i prawie przyjaźń, i użycia jego wielkiego wpływu na cesarza, ażeby Murawiewa obalić. Spiesznie też X. Biskup wyruszył w drogę i na stacyi Manrytia za Kownem przedstawił się W. ks. Konstantemu. W. Książę bardzo łaskawie go powitał, zaprosił do swego wagonu i aż do Wierzbołowa, to jest do stacyi dalszej przeszło 60 wiorst,

żywą z nim prowadził rozmowę w obecności tylko W. Księżnej. Z wielkiem zajęciem wypytywał się o stosunki krajowe i o położenie osobiste X. Biskupa. X. Biskup przedstawił obszernie całą okropną niedolę kraju, nadużycia, jakich się dopuszcza Murawiew, i zaklinał, by W. Książę zechciał użyć swego wpływu u Najjaśniejszego Pana, na przywrócenie gubernii augustowskiej pod zarząd Królestwa Polskiego. Wielki Książę zalecił X. Biskupowi zupełną tajemnicę w tej sprawie, przyobiecał dołożyć ku temu wszelkich usiłowań i obietnicy swojej dotrzymał.

Kiedy Murawiew dowiedział się o spotkaniu się W. ks. Konstantego z X. Biskupem, złość jego nie znała granic. Rozpaczał przed swojem otoczeniem, że gdy przed paru tygodniami miał go w swojem ręku w Wilnie, nie kazał go wtenczas wywieźć. Nie śmiał teraz położyć ręki na człowieku, tak wyraźnie w stosunkach blizkiej nieomal przyjaźni z ukochanym bratem monarchy, a przeczuwał, że taki skończony dyplomata, jak X. Biskup, musiał z gryzącą a zabójczą ironią, w dosadny sposób rządy jego i nadużycia przedstawić. Zatelegrafował też zaraz rozkaz do Sejn do X. Biskupa, ażeby pod żadnym pozorem miasta nie opuszczał. X. Biskup również telegraficznie odpowiedział, że tego nakazu usłuchać nie może, bo jego obowiązkiem jest wizytować dyecezyę, tak mu Papież i monarcha, samem udzieleniem tej godności, nakazali. Murawiew znowu musiał ustąpić i odtelegrafował, ażeby nigdy Sejn nie opuszczał bez poprzedniego uwiadomienia gubernatora, a nadto za każdym razem, gdy X. Biskup siadał do powozu, otaczał go natychmiast oddział kozaków, którzy mu nie dozwalali jechać nawet na spacer dalej, jak do 7-miu wiorst od miasta i w takich razach nigdzie nie dali wstępować. Tymczasem Murawiew rozwijał gorączkową czynność i przeprowadzał coraz gwałtowniej organizacyę zarządu kraju na swój sposób, uważając Augustowskie za ziemię podbitą przez siebie, oddalał dawnych urzędników, a obsadzał swoimi ludźmi zaufania, zaczął mieszać się do sądownictwa, wszystko jednem słowem przeistaczać. Gdy nagle, w parę tygodni potem, monarcha w przejeździe przez Litwę za granicę, oświad-

czył Murawiewowi, czekającemu na jednej stacyi, że gubernię Augustowską ma natychmiast oddać pod zarząd Królestwa Polskiego. Na granicy samego Królestwa pod Kownem hr. Berg oczekiwał cesarza w celu przywitania go i towarzyszenia w dalszej podróży. Cesarz zaraz na wstępie powiedział hr. Bergowi: »Przychyliłem się do Twego życzenia i powróciłem pod Twój zarząd gubernię Augustowską«. Hr. Berg przedstawienia pod tym względem żadnego nie był zrobił, bo był człowiekiem zanadto przezornym, ażeby w tak otwarty sposób zadzierać z Murawiewem i stanowisko jego podkopywać. Odrazu zwietrzył tutaj, acz jeszcze w niezrozumiały dla siebie sposób, rękę X. Biskupa. Jednak jako skończony dworak, ani nie drgnął z zadziwienia, i z całą uniżonością dziękował Najjaśniejszemu Panu za łaskę. Sam później X. Biskupowi szczegóły tej rozmowy opowiedział. Skądinąd wiemy, że W. ks. Konstanty natychmiast, jak obiecał, z zagranicy napisał obszernie w tym względzie do swego brata cesarza, a list ten schodząc się równocześnie z początkiem władzy namiestniczej hr. Berga i urzędowania ks. Czerkawskiego, rzecz całą przyspieszył. Niewątpliwie pozostaje to zasługą X. Biskupa, że wyrwał Augustowskie z pod władzy Murawiewa, który koniecznie pragnął przyłączyć te gubernie na zawsze do wielkorządztwa wileńskiego i tym sposobem oddał niespożytą usługę tej części i całemu krajowi. Chętnie też przyznajemy, że Murawiew miał słuszność odczuwać niezmierny żal do X. Biskupa, czując się tak publicznie, tak zręcznie i tak dosadnie przez niego na pożegnanie wypoliczkowanym i wyśmianym.

W maju 1864 r. X. Biskup wybrał się znowu do Warszawy, ażeby odwiedzić hr. Berga i załatwić kilka pilnych interesów Kościoła. Jechał końmi, ażeby jak zawsze, mieć sposobność zwiedzania po drodze swych kościołów, udzielania Sakramentu Bierzmowania, a tym razem także dlatego, ażeby się spotkać w Pułtusku z X. biskupem Popielem, o co się byli potajemnie umówili. W Pułtusku w kollegiacie spędzili razem 24 godzin. X. biskup Popiel prosił wtenczas X. biskupa Konstantego, ażeby stosunki jego (X. bisk. Popiela)

z hr. Bergiem, z powodu żałoby kościelnej potargane, załagodził i doprowadził do tego, ażeby X. biskup Popiel mógł przyjechać do Warszawy. Sam X. biskup Popiel postanowił czekać na wiadomości z Warszawy w Pułtusku. W Warszawie, jak już wyżej powiedzieliśmy, X. biskup Konstanty wmieszanym został zaraz pierwszego dnia przy obiedzie u hr. Berga w sprawę żałoby kościelnej. Pomijając znane już przejście z hr. Elfrydą Zamoyską, dodać winniśmy, że hr. Berg prosił X. Biskupa, ażeby skłonił X. nominata Rzewuskiego do cofnięcia żałoby kościelnej w archidyecezyi warszawskiej. X. Biskup zawsze przytomny i zręczny, podjął się wyjednać to ustępstwo u X. Nominata pod warunkiem, że hr. Berg nie będzie stawiał żadnej przeszkody ze strony rządu w konsekracyi na biskupa X. Rzewuskiego, który równocześnie z nim i X. biskupem Popielem został prekonizowany, ale do święcenia jeszcze nie zdołał doprowadzić. Hr. Berg dał to przyrzeczenie. X. Biskup poparty listem X. arcybiskupa Felińskiego, otrzymał u X. nominata Rzewuskiego zniesienie żałoby kościelnej. Otrzymał także pozwolenie od hr. Berga dla X. biskupa Popiela, przyjechania do Warszawy. Ale hr. Berg zanadto wrogo był usposobiony dla X. nominata Rzewuskiego i zanadto dobrze znał X. biskupa Konstantego, ażeby nie wiedzieć, że on na wszystko odważyć się jest zdolny, gdzie chodzi o dobro i prawa Kościoła. Obawiał się zatem, że jeżeli pozwoli X. biskupowi Popielowi zaraz do Warszawy przyjechać, to X. biskup Konstanty sprowadzi znienacka trzeciego biskupa i wyświęci X. Rzewuskiego w oka mgnieniu, zanim ktokolwiek się opatrzy. Dlatego hr. Berg tak długo i zręcznie przed Biskupem się wymykał, jak niegdyś jenerał Łubieński przed nim samym w r. 1831 nad Nurem, aż doprowadził do tego, że X. Biskup w samą wilię swego wyjazdu z powrotem do dyecezyi, dowiedział się stanowczo od niego, że X. biskup Popiel może do Warszawy przyjechać. X. Biskup zawiózł tę wiadomość przyjacielowi swemu do Pułtuska i tym sposobem także ostatnia sposobność w życiu ominęła X. nominata Rzewuskiego, otrzymania sakry biskupiej. Gdyby

X. Rzewuski nie był tak wyłącznie pod wpływem otoczenia swego i zacnych ale nierozważnych dusz niewieścich, niewątpliwie X. biskup Konstanty byłby wynalazł sposób udzielenia mu pociechy tego najwyższego święcenia, chociażby sam jeden, bez którego później X. Rzewuski na dalekiem wygnaniu życie swe uczciwe i pobożne zakończył.



ROZDZIAŁ XII.

PIERWSZE SPOTKANIE SIĘ Z KS. CZERKAWSKIM. CHARAKTERYSTYKA JEGO OSOBY I RZĄDÓW. UKAZ O DUCHOWIEŃSTWIE ZAKONNEM I JEGO WPROWADZENIE. HISTORYA ZAKONU MARYANÓW. ZJECHANIE SIĘ X. BISKUPA Z HR. BERGIEM I POBYT W WARSZAWIE. LISTY DO X. ARCYBISKUPA FELIŃSKIEGO. PONOWNIE DO WARSZAWY POWOŁANY I Z NIEJ PRZEZ KSIĘCIA CZERKAWSKIEGO WYPĘDZONY. OBIAD U X. BISKUPA. SPRAWY X. PRAŁATA ZWOLIŃSKIEGO.

(1864—1865).

Przy sposobności pobytu swego w Warszawie, X. Biskup po raz pierwszy spotkał się z nowym dostojnikiem rosyjskim w Polsce ks. Czerkawskim. Zaledwie skończył z Murawiewem, już go nowe a nie mniejsze trudności czekały. Po ustąpieniu margrabiego Wielopolskiego, p. Aleksander Ostrowski czas niejakiś jeszcze zarządzał ministerstwem spraw wewnętrznych. Ale niebawem zastąpił go przysłany z Petersburga ks. Czerkawski i do jego zarządu przyłączony został napowrót departament spraw duchownych. Ks. Czerkawski należał do grona młodych myślicieli społeczeństwa rosyjskiego, którzy wychodzili z zasady, że zgniła cywilizacya zbutwiałego Zachodu już się zupełnie przeżyła i że dążyć trzeba do rozpowszechnienia w świecie nowej cywilizacyi, na tle praw, podań i obyczajów moskiewskich osnutej. Nie zdawali sobie oni jasno sprawy, jak wyglądać może to Eldorado, do którego wybujałą i chorobliwą fantazyą sięgali. W każdym razie urządzenia społeczne i prawne własnej ich ojczyzny nie na-

dawały się do takich zmian, bo władza rządowa nie dała tam sobą pomiatać, społeczeństwo było na tych ideologów obojętne. Kiedy jednak wybuchło powstanie polskie, a kanclerz ks. Gorczakow śmiałą i zręczną odpowiedzią na wspólne noty państw zachodnich, połechtał dumę i poczucie siły w narodzie, marzyciele uczuli, że godzina ich wybiła. Pogodzili się z rządem, z którym dotychczas z dalekiej od Petersburga Moskwy czysto akademiczne prowadzili dysputy, ofiarowali mu swe usługi, użyci też zostali jako element czysto, nastajaszczy, rosyjski i posłani do Polski i Litwy. Tutaj z całą gorliwością neofitów i bezwzględnością marzycieli, zaczęli próbować dawno wypieszczone swe teorye *in anima vili,* na podbitym narodzie. Za nimi posypała się chmara urzędników chciwych zysków, odznaczeń i przekładających służbę w kraju cywilizowanym i bogatym, niż w Permie, Orenburgu, Tobolsku lub pod murem chińskim. Marzyciele od tego zaczęli, że wszystko, co stanowiło podstawę prawno-polityczną i społeczną porządku w kraju, starali się wywrócić, ażeby wymieść i uprzątnąć zachwaściałe grunta i na nieskalanej i dziewiczej nowinie, uprawiać nasiona swych własnych zbawczych i nowych zasad i teoryj. Rząd rosyjski z pewną obojętnością, jeżeli nie z zadowoleniem patrzał się na pierwszą część ich pracy, ale gdy do drugiego zaczęli przystępować, niebawem przejrzał, iż nie może dopuścić do tego, i ratując społeczny i państwowy porządek, wszystkich ich od razu usunął. Spełnił w tem instynktowo zachowawczy obowiązek rządu. Biurokraci, którzy za marzycielami do Polski się wdarli i zagospodarowali, czynnie bardzo do ich wywrócenia rękę przyłożyli i sami panami położenia pozostali.

Po ostatniem powstaniu dawne Rzeczypospolitej kraje zamienione zostały na prokonsulaty starego Rzymu, gdzie wyuzdani młodzieńcy, zausznicy faworytek dworu, podupadli synowie lepszych rodzin, popowicze, wyzwoleni niewolnicy (t. j. ochrzczeni żydzi i zmoskwiczeni Niemcy) dostawali miejsca dla podreperowania swych majątków, reputacyi lub drowia. Panowanie Rosyi w Polsce, to nie podbój jak Irlandyi, ani przesiedlenie się koczownicze narodu jednego na

pola sąsiada jak opanowanie Węgier przez Madziarów, ani nawet kolonizacya jak Ameryki, ale jedynie i wyłącznie wyzyskiwanie położenia przez sępów biurokracyi. Jeżeli nie samo panowanie, to ucisk nasz skończy się z ustaniem rządów biurokracyi. Kiedy na zegarze dziejów wybije godzina wolności dla narodu rosyjskiego, Polacy pierwsi na tem skorzystają. Nikt tego lepiej nie pojmuje jak kamaryla biurokratów, nikt też skuteczniej, wytrwalej, zręczniej przeciwko temu nie pracuje, posuwając bezwzględność swoją aż do mordowania carów (Aleksandra II.), jeżeli oni panowaniu ich tamę myślą położyć. Jest to walka o kawałek chleba tych 50.000 urzędników i od nich zależnych rodzin, walka o byt, z którym właściwy naród rosyjski nic nie ma wspólnego.

Książę Czerkawski był to człowiek gwałtowny, obok tego bystry w pojęciu i ogromnej pracowitości. Z energią, wytrwałością i niezrównaną pilnością wertował akta swego departamentu, obeznawał się z urządzeniami administracyi ówczesnej w Królestwie, przechodząc historycznie rozwój takowych od czasów Księstwa Warszawskiego. Żadna sprawa przychodząca na sesyę rady administracyjnej nie była mu obcą, przychodził zawsze na posiedzenie z zupełną znajomością rzeczy i nikogo nie wyjmując, namiestnika ani ministra, nie pozwalał się mieszać do spraw od niego zależnych. Hrabia Berg, jak ze wszystkimi przez całe życie swoje nigdy otwartej walki nie prowadził, tak samo z ks. Czerkawskim bardzo oględnie sobie postępował, ażeby nie poruszyć na siebie całego gniazda ludzi »moskiewskich wiadomości« którzy byli u władzy. Niemniej jednak czekał na sposobną chwilę, ażeby zbyt ruchliwego i przedsiębiorczego a przytem pewnego siebie i zuchwałego podwładnego urzędnika się pozbyć.

Książę Czerkawski spotkawszy się po raz pierwszy z X. Biskupem, był jeszcze o wiele za młody, bez doświadczenia, zanadto zapalony, brał utwory swojej wyobraźni za dokonane fakta, patrzał się na rzeczy i na ludzi przez szkła własnych przekonań i namiętności. Nie dziw też, iż popadł w tak grubą pomyłkę i mimowoli w zetknięciu się z tak zręcznym i skończonym szermierzem, jakim był X. Biskup,

jako początkujący, cały się odkrył i cięcia odebrał, które mu na całe życie starczyły. Ks. Czerkawski widząc przed sobą młodego jeszcze, jak mu się zdawało, człowieka, wielkiego pana o wykwintnych formach i niezrównanym darze rozmowy, który wszystkich znał, nie krył się w tajemniczych półcieniach zakrystyi lub krużgankach klasztoru, ale żył w świecie i ze światem, który z przekonania nie należał do powstania, przekonanym był, że tylko ambicya, chęć wyniesienia się i nagród może nim kierować, że to jest opatrznościowy człowiek, który wszystkie jego osobiste widoki urzeczywistni. Przyjął zatem X. Biskupa z wyszukaną petersburgską grzecznością i zaczął *ab ovo* zastanawiać się nad wszystkiemi najwyższemi zagadnieniami społecznemi. Mając przed sobą tak uprzejmego i rozumnego słuchacza, przeszedł powoli na stosunki kościelne, i z tą dezynwolturą cechującą arystokratę, i objektywnością, z którą się omawia rzeczy nam obojętne. X. Biskup znając dokładnie całą tę marzycieli szkołę, ocenił od razu, do czego ks. Czerkawski może zmierzać, ale wiedząc zarazem, iż położenie jego zmusi go do bardzo częstych z nim stosunków, postanowił na wstępie uzyskać nad nim tę przewagę, jaką się zawsze ma nad przeciwnikiem, który przed tobą się odsłonił, wygadał, wywnętrzył; z największą uwagą słuchał zatem ks. Czerkawskiego wywodów, starał się niby je pojąć i zgłębić. Ks. Czerkawski nie widząc żadnych przed sobą przeszkód, odkrył całą swoją tajemnicę, zarzucając polskiemu duchowieństwu, że nie jest dosyć polskie, dosyć patryotyczne, a ten zarzut wyjaśnił, mówiąc, »że mniema, iż dążymy do zorganizowania kościołów narodowych i że przyszłość należeć będzie do tych, którzy się urzeczywistnieniu tej myśli poświęcą«. Ks. Czerkawski niczem nie zatrzymany w swoich wywodach, coraz bardziej do myśli swej się zapalał, a porzucając arenę ogólników, zaczął przedstawiać, jak człowiek z tem położeniem i ze zdolnościami jak X. Biskup, musiałby stanąć na najwyższym od razu szczeblu hierarchicznym, przy takim ruchu umysłów i w takiej nowej organizacyi. Kiedy już nic więcej nie było do powiedzenia, X. Biskup najspokojniej wyłożył ks. Czerkawskiemu naukę o je-

dności, wyższości i doskonałości katolickiego Kościoła, w łonie którego jedynie przechowana jest prawdziwa Chrystusowa wiara i możliwe dusz ludzkich zbawienie. Ks. Czerkawski zbyt daleko się posunął, ażeby mógł zaprzeczyć myślom lub inne dać słowom swoim znaczenie. Odczuł całą niewłaściwość postępowania swego w odpowiedzi X. Biskupa, że starał się katolickiego biskupa do odstępstwa od wiary nakłonić, że przekroczył granice atrybucyi swojej urzędowej, że dał się tak dalece jak żak szkolny unieść w rozmowie. Pomimo tego znowu najgrzeczniej z X. Biskupem się pożegnał, ale musiał w sercu odczuć wieczystą dla niego nienawiść i zemstę mu poprzysiądz. Przeciwnicy się poznali, teraz walka na śmierć i życie nastąpić musiała.

X. Biskup opowiadając swemu otoczeniu to przejście i całe rządy ks. Czerkawskiego, mówił nieraz, iż tylko miłosierdziu najwyższego Boga zawdzięczać musimy, iż razem z całem stronnictwem ultra czerwonem i moskiewską partyą, tak wcześnie rządy jego się skończyły. Od bezwzględności tej miary ludzi wszystkiego można było się spodziewać. Wywożenie w takiej liczbie biskupów i księży za byle jaką przyczyną ks. Czerkawski pierwszy w kraju przeprowadził, co przedtem należało do wyjątków, za niego w system rządowy zostało zamienionem. Pomimo potworności napozór myśli zaprowadzenia kościoła polskiego narodowego pod berłem rosyjskiem, X. Biskup utrzymywał, iż to nie było rzeczą zupełnie naonczas niemożliwą. Z jednej ostateczności, przy braku zasad, zwykle wpada się w drugą. Duchowieństwo katolickie w Polsce ogarnięte ruchem powstańczym, pozbawione do reszty zasad karności, w kraju od lat kilku w zupełnym bezrządzie zostającym, zawiedzione w nadziejach, przy których połączywszy sprawę narodową ziemską z wiarą rzeczy wiecznych, tak je w pojęciach swoich pomieszało, że jednych od drugich rozróżnić już nie mogło, duchowieństwem takiem bez łaski nadzwyczajnej można było na jego zgubę pokierować. Nie chcemy podnosić nazwiska kapłanów, którzy z zapamiętałych rewolucyonistów i spiskowców, przemienili się w służalcze narzędzie rządu, zdolne do każdej zbrodni. Nie chcemy

podnosić po imieniu tych biednych obłąkanych, którzy jak ten zakonnik na Litwie w przystępie szału, widząc, iż modlitwy jego za ojczyznę nie zostały wysłuchane, rzucił się z nożem w kościele na obrazy Zbawiciela świata. Wobec tego rzeczy położenia, mawiał X. Biskup, taki człowiek jak książę Czerkawski, bystry, zapamiętały i przebiegły, zdecydowany każdego opornego wywieść, każdego chwiejącego się podejść, wszelakim namiętnościom i ambicyom schlebiać, mógł był pod zasłoną narodowości po części dzieło swoje przeprowadzić. Na szczęście zaciekłość jego i jego przyjaciół, która stanowiła ich siłę, spowodowała ich upadek, pozbawiła ich ostatecznego zwycięstwa. Rozzuchwaleni powodzeniem, jak już wyżej powiedzieliśmy, nie znali granic swej buty, książę Czerkawski ośmielił się nawet wobec majestatu monarchy myśli swoje zbyt szorstko i lekceważąco rozwijać. Wtedy biurokracya z hr. Bergiem na czele, dla równowagi i porządku władzy, postarała się w r. 1866 o wydalenie ks. Czerkawskiego, tego samego dnia, kiedy w Petersburgu jego główny opiekun Milutyn, minister, sekretarz stanu dla Królestwa Polskiego, wychodząc z rady ministeryalnej, na której przeprowadził zerwanie konkordatu z Rzymem, padł apopleksyą rażony. Był to podług X. Biskupa widoczny palec Boży.

Pierwsze te przejścia na nowym urzędzie wyrobiły jeszcze jedno odmienne przekonanie w X. Biskupie, które oczywiście dotychczas nie mogło mu przyjść w tej formie na myśl, bo zupełnie inne były jego, jako prostego kapłana obowiązki.

Nieprzyjaciele i przyjaciele nawet jego, nieraz zarzucali mu, że w obchodzeniu się z władzami, zdawał się wierzyć w ich dobrą wolę i szczerość, że przejęty główną myślą życia swego, nawróceniem Rosyi, czy zapominał, czy nie wiedział, że rząd rosyjski na wytępienie wiary katolickiej otwarcie i zapamiętale dybie. Otóż nie mówiąc o tych, którzy tylko w gburowatem obejściu się z nieprzyjacielem, tam gdzie tego się nie boją, widzą patryotyzm, X. Biskup zawsze twierdził, że w stosunkach swoich z rządem i Rosyanami, pomimo najsilniejszego wewnętrznego przeciwnego przekonania, na pozór

musi wychodzić z tego założenia, że i oni są dobrej wiary. Inaczej postępując od razu stawałby na podstawach tak dyametrycznie przeciwnych, iż wszelkie zbliżenie i porozumienie się byłoby rzeczą niemożliwą, a przecież wskazanem jest, ażeby z kimkolwiek obcując, raczej szukać i uderzyć w nim w strunę szlachetną, sprawiedliwą i prawą, aniżeli namiętnościom jego schlebiać i powłoce, które nadają duszy pogoń za codziennemi życia potrzebami i uciechami, jedynie i wyłącznie wierzyć. Jeżeli rozumowanie to stosować się może do stosunków z ludźmi prywatnymi, *a fortiori* stosować się musi do stosunków z rządem. Przystąpić do wyobraziciela prawa, sprawiedliwości i porządku społecznego, jednem słowem do rządu, który jak mówi Paweł św. od Boga pochodzi, i otwarcie mu wypowiadać, że żadnych z tych obowiązków panowania swego nie chce wypełniać, jest przecież rzeczą wprost nie możliwą. Nieraz święci biskupi Kościoła, zarzucali pojedynczym władcom nadużywanie władzy, nawet kanony znały w dawnych czasach ekskomunikę i zwolnienie podwładnych od obowiązków przysięgi wierności. Ale występować z zarzutem, że władza rządowa jako taka, jest *ipso facto, in radice*, nie prawa i nie obowiązująca i bezbożna i niesprawiedliwa, jest dobre może dla niepełnoletnich anarchistów, ale od kapłana i biskupa tego zdania wymagać jest niepodobieństwem. X. Biskup przeciwnie sądził, iż we wszystkich swoich z rządem stosunkach, trzeba było jak najwyżej podnosić sztandar jego wzniosłych względem społeczeństwa obowiązków, bo tylko opierając się na niezmiennych zasadach odwiecznej sprawiedliwości i dobra publicznego, można było pouczyć przeciwnika, i domagać się własnych praw przyrodzonych. Ulicznik może pozwalać sobie na psoty, nie dowarzony na bezmyślne frazesy, człowiek poważny musi postępować podług pewnych zasad, i tego samego, to jest zasad od rządu i ludzi stojących na stanowiskach połączonych z odpowiedzialnością, wymagać. Inaczej działania ludzkie stałyby się igraszką, a dzieje społeczeństwa dziecinną swawolą.

Rozumne, poważne i dobrze obmyślane na każdym kroku postępowanie X. Biskupa, wykluczało przez całe życie to, co

nowocześnie określają pod słowem awantury, to jest wyskoki nie rozważne co do treści, ani co do formy, wypływające nie z postanowienia woli, ale z jej zachcianek, działania przeciwne wskazówkom rozumu, sumienia lub obowiązku. Jednak tak długo, jak był kapłanem, czuł się o wiele swobodniejszym, postępowanie mogło jego samego niejako kompromitować, wywiezienie połączone było tylko z cierpieniem za wiarę, i dlatego z zasługą. Od czasu jednak, gdy odczuł cały ciężar obowiązków i odpowiedzialności pasterskiej, gdy przejrzał w zetknięciu się z Murawiewem i Czerkawskim niebezpieczeństwo, które grozi nie tylko pojedynczym duszom, ale całemu Kościołowi polskiemu, postanowił podwójnie mieć się na baczności. Myśl swoją wyrażał nieraz temi słowy: »najłatwiejszą dla mnie rzeczą jest pokłócić się z miejscowym gubernatorem i dać się wywieść, najtrudniejszą jednak, bez ustępstwa zasad, siedzieć na miejscu, męczyć się, walczyć, kłopotać i gryźć, ażeby tę biedną dyecezyę i ten biedny kraj i tylu nieoświeconych i tylu błądzących, bez pasterza i nauczyciela od Boga im danego nie zostawić«. To jest myślą przewodnią jego działania ostrożnego, rozumnego, pełnego powagi i wyrozumiałości dla osób, nieugiętego co do praw i przywilejów Kościoła. Gdzie mógł, tam kroczył wyłącznie na gruncie kanonów, ażeby w niczem władza świecka opozycyjnych jego myśli dla rządu dopatrzeć się nie mogła.

Dlatego tak bardzo był przeciwny wszelkim bezmyślnym i bezsilnym demonstracyom w przeszłości, dlatego za rządów biskupich na każdą trudność szukał możliwego ludzkiego rozwiązania. W tej nierównej walce zasad, z brutalną siłą i bezprawiem, po tylu odniesionych drobnych i większych zwycięstwach, musiał jednak ostatecznie uledz, nie z powodu jakiegoś drobnego nieporozumienia z podrzędnym państwowym urzędnikiem, ale w walnej rozstrzygającej bitwie pomiędzy kameralnemi prawami Kościoła i żądaniem państwa schyzmatyckiego. Byle powiew wiatru otrząsa listki lub łamie drobne gałązki, tylko szalony burzy huragan kruszy i o ziemię powala majestatyczne dęby, przeznaczone na to, ażeby w ich cieniu nowe i słabe pokolenia leśne kryły się i rosły.

Niezadługo potem ogłoszonym został ukaz z dnia 27 października (8 listopada) 1864 o duchowieństwie zakonnem w Królestwie. Na mocy tego ukazu znaczna część klasztorów została po prostu zamknięta, majątki i fundusze klasztorne skonfiskowane, na utrzymanie zaś szczupłej liczby pozostałych klasztorów fundusze ze skarbu państwa wyznaczono, rozumie się nie dostateczne i nie odpowiednie potrzebom. Pozostałe klasztory, bez żadnego względu na regułę każdego zakonu i zaprowadzony w nim porządek hierarchiczny, urządzić się miały podług wskazówek tego ukazu. Ukaz kasował dotychczasowych przełożonych i zależność zakonników od prowincyałów i jenerałów, narzucał na biskupów dyecezyalnych obowiązek nadzoru i zarządu tak w świeckich rzeczach jak i duchownych, kasował nowicyaty aż do czasu, dopóki śmierć nie uszczupli liczby zakonników, do przewidzianej prawem cyfry.

Wobec tego ukazu, nasunęło się z natury rzeczy pytanie, czy biskupi przykładając rękę do tego gwałtu i poddając się woli cesarskiej pod względem zarządu klasztorów i wyznaczania ich przełożonych, nie przekraczają swoich atrybucyj, nie naruszają kardynalnego przywileju zakonów, tak zwanego *immunitas,* t. j. niezależności od władzy dyecezyalnej. Wszyscy biskupi Królestwa przychylili się do zdania, że jest rzeczą konieczną odnieść się w tej sprawie do Rzymu i nie chcieli się jej dotknąć bez osobnego upoważnienia od Ojca św. Zdanie jednego X. Biskupa było zupełnie odmienne. Utrzymywał on, że chociaż w regule zakonów, Kościół oddala wpływ władzy biskupów na takowe, to jest na wybór przełożonych, na zarząd i kierunek klasztorów, to jednak w rozumnem przewidywaniu kolei, przez jakie w różnych krajach Kościół przechodzić może, ustanowił był dekretem Soboru Trydenckiego, że w nadzwyczajnych okolicznościach, lub gdyby nadużycia jakie miały miejsce w klasztorze, a odwołanie się do właściwej władzy zakonnej było utrudnionem lub niepodobnem, że wówczas biskupowi służy prawo i ma on obowiązek odbywać po klasztorach wizyty apostolskie, i jeżeli tego okoliczności wymagać będą, może ustanowić z ramienia swego władzę

tymczasową *(Conc. Trid. sess. XXV Cap. XIII de regularibus et monialibus)*. Zdaniem X. Biskupa dekret ten Soboru znajdował zastosowanie w obecnem położeniu. Odwołanie się do Ojca św. i żądanie specyalnego upoważnienia, uważał za krok niewłaściwy, zdradzający raczej pewien rodzaj opozycyi i manifestacyi przeciwko rządowi, aniżeli troskliwości o interes Kościoła. Rząd niewątpliwie byłby przesłał prośby do Rzymu i skutkiem tego, albo przyszłoby do zupełnego bezrządu po klasztorach, albo co gorzej, rząd widząc niechęć biskupów, byłby sam przełożonych po klasztorach mianował, a w ten sposób mógłby zgubny wpływ nadal na klasztory wywierać i odrazu nabytego prawa nigdyby nie odstąpił. Nadto ponieważ dopóty, dopóki w pozostawionych klasztorach nie będą dokonane wskazane tym ukazem nominacye przełożonych, zatwierdzone przez władzę dyecezalną, wypłata pensyi zakonnikom byłaby także wstrzymaną, toby ich pozbawiło środków utrzymania i do reszty dezorganizacyę wprowadziło.

Lecz jeszcze innego rodzaju względy powodowały X. Biskupem i to względy wyższe od chwilowej potrzeby i oportunizmu, kiedy nie chciał odwołać się do Stolicy Apostolskiej i przedstawić jej rozstrzygnięcie tej sprawy. Utrzymywał, że jest wprawdzie rzeczą nader łatwą i wygodną dla biskupa, odwołać się w odpowiedzi na żądania rządu do Ojca św., zasłaniać się brakiem władzy odpowiedniej. Jednak tego rodzaju umywanie sobie rąk od odpowiedzialności, z jednej strony jest brakiem odwagi, brakiem tej siły, której Kościół od biskupów ma prawo wymagać, z drugiej strony nietylko nie jest usługą oddaną Ojcu św., ale raczej ciężarem nowym, jaki się na barki jego zrzuca, co się sprzeciwia naturalnemu i ścisłemu obowiązkowi biskupa, unikania stawiania Rzymu w trudnem położeniu. Zapytaniem stanowczem zmusza biskup kuryę do oświadczenia się w sprawie, którą ona za złą uważać musi, gdy właśnie w interesie Kościoła być może, żeby Ojciec św. nie oświadczał się w tej sprawie, nie brał żadnych na siebie zobowiązań, by odpowiedzialność na biskupach ciążyła. Kościół daje wielką władzę i niepodległość

biskupowi i żąda od niego inicyatywy, żąda czynu i walki, i nie należy się nigdy biskupowi odsuwać od tego. Inną jest rzeczą, gdy rząd narzuca na biskupa sprawy, przechodzące jego atrybucye, wówczas działanie jego byłoby bezprawnem, natenczas powinien wyrzec *non possumus*. W sprawie klasztorów była możność załatwienia sprawy bez odnoszenia się do Rzymu na podstawie soboru Trydenckiego. Załatwiając rzecz czasowo, nie bierze biskup żadnych zobowiązań w imieniu Kościoła, nie przesądza rzeczy nadal. Było do przypuszczenia, że gdyby rząd był zezwolił na odniesienie się do Stolicy Apostolskiej, byłaby ona nie rozstrzygnęła rzeczy w inny sposób, jak tylko dając biskupom to upoważnienie jakiego żądali. Ale rzecz zrobiona na mocy upoważnienia Ojca św. ma zupełnie inne znaczenie, jak załatwienie jej przez biskupa pod naciskiem siły większej. W pierwszym wypadku Stolica Apostolska jest niejako nadal związaną, w drugim tylko biskup jest odpowiedzialnym i Ojciec św. może w właściwym czasie rzecz całą odmienić. Stolica Apostolska może zapytanie do siebie wystosowane zostawić bez odpowiedzi, jeżeli to uzna za właściwe, ale nie mogłaby bez odpowiedzi zostawić zapytania, gdyby załatwienie sprawy samej w zawieszeniu zostającej od tej odpowiedzi zależało.

To były powody, dla których X. Biskup postanowił odmiennie od innych biskupów Królestwa, na własną rękę działać. Tem więcej, że wprowadzenie tego ukazu pod względem opróżnienia klasztorów kasowanych i przeniesienia zakonników podług rozporządzeń rządowych, powziętych bez żadnego udziału władz duchownych, wykonane zostało, jak wiadomo, jednocześnie z ogłoszeniem tego ukazu, i bez żadnego współdziałania władz dyecezyalnych.

Po otrzymaniu tego ukazu, X. Biskup dla formy tylko i ażeby salwować prawa zwierzchnicze Stolicy Apostolskiej, napisał natychmiast do Ojca św., prosząc go o rozkazy co do postępowania, jakiego wobec tego ukazu ma się trzymać i o upoważnienia potrzebne w tym celu. List ten X. Biskup przesłał drogą urzędową, jeżeli nie koniecznie w owym czasie obowiązującą, to przynajmniej zwykle używaną, czyli za po-

średnictwem komisyi rządowej, do której należał wydział duchowny. Ks. Czerkawski był tej komisyi głównym dyrektorem. Bardzo niedługo po przesłaniu tego listu, takowy zwrócony mu został przez miejscowego gubernatora cywilnego z żądaniem zmiany jego treści i wyrażeń. X. Biskup oczywiście odmówił gubernatorowi zastosowania się do tego żądania i list swój do Papieża jemu zwrócił, a równocześnie w liście zaadresowanym do namiestnika hr. Berga, przedstawił mu nielegalność i nawet nieprzyzwoitość takiego żądania. Przewidując jednak, że list jego do Papieża wcale nie zostanie przesłanym, że przeto żądanych rozkazów i upoważnień nigdy nie otrzyma, przystąpił bezzwłocznie do działania.

W dyecezyi sejneńskiej było tylko 8 klasztorów, z których tylko 4 utrzymane zostały jako państwowe, mianowicie klasztory: OO. Kapucynów i PP. Benedyktynek w Łomży, OO. Maryanów w Maryampolu i OO. Reformatów w Smolanach. Ten ostatni od tego czasu już także zamkniętym został. Do czasu utrzymanym był klasztor OO. Bernardynów w Tykocinie, a natychmiast zamknięto inne domy zakonów: OO. Bernardynów, Maryanów i Tykociński XX. Missyonarzy. Ale ponieważ tutaj kościół missyonarski był jednocześnie parafialnym, obsługiwanym przez to zgromadzenie, przy kasacyi przeto pozostawiono na miejscu trzech zakonników, w charakterze proboszcza i wikaryuszy, którzy mogli dalej do czasu pewnego, wspólne prowadzić życie.

X. Biskup objechał wszystkie klasztory w towarzystwie X. kanonika Andruszkiewicza, proboszcza i dziekana Łomżyńskiego, któremu nie nadawał jeszcze żadnego urzędowego charakteru, ale którego miał zamiar zamianować wizytatorem klasztorów, jak go do tego upoważniał art. 21 regulaminu ukazu nowego. W każdym z pozostawionych klasztorów, zwoławszy zakonników, przedstawił im potrzebę wybrania przełożonych; zapewnił, że nie zamierza narzucać im takowych, ani też krępować ich wolności, określonej regułami; że zatwierdzenie tych wyborów przez niego, jako biskupa, było w danych okolicznościach koniecznością; dlatego prosił ich, żeby takich przełożonych wybierali, którychby mógł zatwier-

dzić bez narażenia siebie na odpowiedzialność względem rządu, a co ważniejsze bez narażenia klasztoru na niebezpieczeństwo nowych ze strony rządu prześladowań. Sprawa tym sposobem została zgodnie załatwioną we wszystkich klasztorach, a wobec obroku duchownego, którego przy tej sposobności nie szczędził, przyznać nawet trzeba, że dla karności i gorliwości zakonnej, objazd ten najlepsze skutki za sobą przyniósł.

Jeden z nich tylko w zupełnie odmiennem znajdował się położeniu, to jest klasztor OO. Maryanów w Maryampolu. Zakon ten miał przed kassatą 7 domów zakonnych w Królestwie, nigdzie ich zresztą na świecie nie było, oprócz jednej ponoś Hiszpanii, ale domy tamte były zdawna odłączone od polskiej macierzy. Przy kassacyi zwieziono wszystkich zakonników do Maryampola, gdzie rezydował generał tego Zgromadzenia. Tutaj przeto istniała na miejscu władza legalna najwyższa, X. Biskup nie mógł się uważać za delegata apostolskiego i tego stanu rzeczy bynajmniej przed zgromadzeniem nie zataił. Ale Ojciec Generał już bardzo podeszłego wieku, nie miał zdolności odpowiednich dla rządzenia w tak trudnych okolicznościach, dlatego X. Biskup namówił go prywatnie do dobrowolnego złożenia swej godności, a to uczyniło wybór nowego przełożonego możliwem. X. Biskup zawsze później mówił, iż niezmiernie był rad, że mu się udało tym sposobem utrzymać ten zakon czysto polski w swoich prawach i przywilejach i zapewnić zachowanie w nim karności klasztornej. Zakon bowiem Maryanów założonym został przez Pijara Stanisława Popczyńskiego w r. 1674, zadaniem jego miało być, jak niegdyś Trynitarzy, starania o uwolnienie Polaków chrześcijan z niewoli bisurmańskiej. W r. 1765 Franciszka z Butlerów Szczuka, starościna prenska, w tem miejscu leśnej puszczy wystawiła kościół i klasztor i obsadziła w nim Maryanów, co dało początek miasteczku przezwanemu Maryampol, przedtem zwanemu Staropole.

Takie postępowanie X. Biskupa salwując w całej pełni samorząd klasztorów, niczem także ściągnąć nie mogło żadnego

ze strony rządu na niego zarzutu. Przewidywania zaś jego co do skutków opozycyi innych biskupów w wykonywaniu tego ukazu, okazały się słusznemi. I tak, w dyecezyi sąsiedniej płockiej, skandaliczne spory, jakie zaszły w klasztorze Karmelitów, skutkiem właśnie sprawy wyboru przełożonego, skłoniły biskupa miejscowego, początkowo przeciwnego wzięciu udziału w tej sprawie do zjechania na miejsce z wizytą apostolską i zaprowadzenia takiego właśnie porządku, który był X. biskup Konstanty u siebie z samego początku ustanowił. Podobny wypadek, że o innych zamilczę, niepoddania się pod władzę przełożonego miejscowego, miał miejsce w dyecezyi włocławskiej w Kaliszu u OO. Franciszkanów, dokąd z rozmaitych innych klasztorów zwieziono zakonników. Ale co powiedziała Stolica Apostolska na to działanie X. Biskupa? Oto list jego z tego czasu pisany do brata hr. Tomasza do Petersburga, który nas najlepiej objaśni.

»Kochany Panie Tomaszu!

»Kilka dni temu do Ciebie pisałem z Wierzbołowa i sądzę, że cię ten list doszedł. Od tego czasu jeszcze nie byłem w domu, ale zwiedziłem 10 kościołów, których jeszcze nie znałem, wybierzmowałem blizko 5.000 osób, wczoraj zaś dużo listów otrzymałem, i co rzadko, po największej części pocieszające, zdaje się, jakoby pewna zmiana zaszła w usposobieniu, a przynajmniej w tonie, w jakim do nas przemawiają. Daj Boże, aby się te słabe początki wzmocniły. Skądinąd jeden z kolegów mi pisze, że moje postępowanie w sprawie klasztorów, śmiałe, ale kościelne, pochwalonem zostało i drugim biskupom, którzy się wahali, polecono w tenże sam sposób postępować. — Skądinąd znowu Alf (Wrześniowski, *przyp.*) mnie doniósł, że mój list przez W. ks. Konstantego bardzo łaskawie przyjęty został i t. d.

»Bóg z Tobą i Jego łaska święta.

† X. Konstanty Ireneusz.
B. S.

»Miejsce nieczytelne.
»31 maja 1865«.

List ten pisany na pocztę, nie mógł wszystkiego otwarcie powiedzieć. Ale wiemy, że ten »kolega skądinąd« był to Biskup Warmijski, przez którego przy tej okazyi X. Biskup zniósł się z Rzymem potajemnie w sprawie działania swego co do klasztorów, przy której sposobności Stolica Apostolska »postępowanie jego pochwaliła« i »innym biskupom Królestwa poleciła naśladować«.

Nie wszystko jednak w tej sprawie klasztorów poszło równie gładko X. Biskupowi. Podług ukazu władza dyecezalna obowiązaną była wyznaczyć ze swego ramienia wizytatorów klasztornych; a X. Biskup przedstawił na ten urząd wyżej wspomnianego X. kanonika Andruszkiewicza, odezwą do komisy rządowej z dnia 29 stycznia 1865 r. Dnia 5 kwietnia 1865 r. komisya rządowa doniosła X. Biskupowi, że będzie niebawem zawiadomiony o jej decyzyi w tym przedmiocie, a zaraz nazajutrz dyrektor Wydziału wyznań napisał list prywatny do X. Biskupa, donosząc mu z rozkazu Dyrektora głównego, że opóźnienie decyzyi w przedmiocie nominacyi wizytatora klasztorów, spowodowane jest koniecznością ściągnięcia informacyi o przedstawionym przez X. Biskupa kandydacie; że z tych informacyi okazało się, iż ani charakterowi, ani politycznemu sprawowaniu się tego kandydata żadnego nie można czynić zarzutu, że jednak książę dyrektor główny nie zatwierdził go dlatego, iż mniema, że nieposiada dostatecznej energii dla spełnienia tego urzędu. Że Książę daleko odpowiedniejszym na to urzędowanie poczytuje innego księdza tejże dyecezyi, wymienionego w tym liście i prosi X. Biskupa, ażeby jego na tę posadę przedstawił, nadmieniając, że żaden inny kandydat nie uzyska zatwierdzenia komisyi rządowej. Kto był tym kandydatem ks. Czerkawskiego, lepiej nie wymieniać.

X. Biskup był zdania, że żądanie ks. Czerkawskiego ubliżało prawom i godności biskupiej, że było nawet przeciwne literze i duchowi artykułu 21 instrukcyi z dnia 28 listopada (4 grudnia) 1864 r.; że nareszcie kandydat Księcia nie posiadał potrzebnych kwalifikacyi do tego urzędu. Nie przedstawił go przeto; niedługo zaś potem będąc w Warsza-

wie wyraził osobiście te swoje uwagi ks. Czerkawskiemu i zaproponował mu prywatne porozumiewanie się z nim w podobnych wypadkach, przed czynieniem przedstawień urzędowych, dla unikania sporów w urzędowych korespondencyach, zawsze szkodliwych zgodnemu działaniu władz. Ks. Czerkawski uznał słuszność tych przedstawień X. Biskupa i stąd mamy tyle ciekawych, i że nawet powiemy, cennych listów samego Księcia do X. Biskupa, przed nami leżących. Ks. Czerkawski zgodził się na podanie mu *pro memoria,* nazwiska innego kandydata, którego X. Biskup zamierzał ustanowić wizytatorem, zapewniając, że ściągnie o nim informacyę.

Po kilku miesiącach X. Biskup otrzymał raz po raz dwa listy prywatne od tego samego Dyrektora departamentu wyznań, wzywające go nawet w naglący sposób, ażeby na wizytatora przedstawił tego samego księdza, którego w pierwszym swoim liście był wymienił. X. Biskup odpowiedział na te dwa listy prywatnie, ale równie stanowczo, odmawiając zastosowania do tego żądania. W prywatnym zaś liście do hr. Berga pisanym, uskarżał się na takie postępowanie rządu i podał wyraźnie przyczyny, które mu nie pozwalały zadosyć uczynić żądaniom ks. Czerkawskiego. Pomimo tego, kiedy X. Biskup przyjechał do Warszawy w grudniu 1865 r., ks Czerkawski ustnie mu powiedział, iż tego kandydata, o którym podał mu notatkę za poprzednim swoim pobytem w Warszawie, on (Czerkawski) w żadnym wypadku nie zatwierdzi, i nalegał na X. Biskupa o przedstawienie tego swego kandydata. Natenczas X. Biskup nie wdając się już w pertraktacye dalsze z ks. Czerkawskim, przedstawił komisyi rządowej w drodze urzędowej trzeciego kandydata z rzędu. W odpowiedzi na to przedstawienie, dyrektor główny komisyi rządowej ks. Czerkawski, odezwą z dnia 5/17 maja 1866 r. jeszcze raz i urzędownie zażądał przedstawienia sobie księdza przez siebie protegowanego. X. Biskup mając wtenczas inne i to o wiele ważniejsze z rządem zatargi, nie odpowiedział natychmiast na tę odezwę, ale też nie ustąpił. Cały przebieg tej sprawy i zatargu z ks. Czerkawskim, opisany jest w memoryale przedłożonym W. ks. Konstantemu w r. 1866. Sama

sprawa wizytatora klasztorów załatwioną została dopiero w r. 1867 po upadku Czerkawskiego, zatwierdzeniem na ten urząd ze strony rządu tego trzeciego kandydata przez Biskupa przedstawionego. Był nim X. kanonik Wierzbowski, proboszcz i dziekan w Suwałkach, późniejszy biskup sejneński.

W maju 1865 r. namiestnik hr. Berg udał się do Wierzbołowa na spotkanie familii cesarskiej, wracającej z zagranicy po śmierci W. ks. Mikołaja Aleksandrowicza, następcy tronu, i jadącej na pogrzeb jego do Petersburga, dokąd i hr. Berg miał pojechać. Dowiedziawszy się o tej podróży, X. Biskup dojechał do niego na kolej żelazną i w liście z dnia 25 maja 1865 r. z Władysławowa, tak do swego brata hr. Tomasza pisze:

»Byłem w Kibartach (litewskie nazwisko Wierzbołowa, *przyp.*) dla widzenia się z Namiestnikiem, który lubo zmęczony, bardzo mnie uprzejmie przyjął. Dał mi paszport do Warszawy, poczekam jednak jego powrotu z pogrzebu i pewnie dopiero 18 czerwca po Bożem Ciele do Warszawy pojadę«.

W innym liście do hr. Tomasza z dnia 8 czerwca 1865 r. ze Sejn X. Biskup pisze:

»Dziwnym zbiegiem okoliczności, większa połowa panów, którzy teraz do Petersburga pojechali, są naszymi blizkimi krewnymi, z tych, co mi teraz na myśl przychodzą, to Wacław Popiel, Karol Krasiński, Feliks Ogiński, Seweryn Uruski, ks. Ksawery Sapieha, kuzyn Twojej żony Roman Sołtyk i t. d. Z tych wszystkich najwięcej dynstyngowanym człowiekiem jest Aleksander Ostrowski, po nim Wacław Popiel i Ogiński. Bardzo żałuję, że Górski (Ludwik, *przyp.*), Gawroński i Gruszecki, którzy mieli jechać z uchwały kolegów swoich w Towarzystwie kredytowem zgromadzonych na walne posiedzenie dyrekcyi głównej, nie pojechali, z powodu odmówienia im tytułu radców tejże dyrekcyi. Co do przyczyny więc, która powstrzymała ich wyjazd, nie podzielam ich zdania, bo jeżeli się jechało, to już trzeba było jechać *motu et iure proprio,* i pod własną odpowiedzialnością. Ale czy lepiej, że nie pojechali, to już rzecz inna, o której stąd sądzić nie mogę. I to jest zastanowienia godne, że gdy dwa

tygodnie temu, za widzeniem się z bardzo wysoko położoną osobą (namiestnik Berg?), przypomniałem, że jeszcze nie miałem zaszczytu przedstawić się Najj. Panu, i że o to już rok temu czyniłem starania, odpowiedziano mi, że jeszcze nie nadeszła chwila i tę rzecz do późniejszej odłożono okazyi. Pewno, że moje położenie trudniejszem byłoby w tym razie od wszystkich innych, ale te trudności mnie tylko obchodzące, drugim obojętnemi być mogły. Prawda i to, że mi tę odpowiedź dano przed przejazdem przez Kibarty Najj. Pana, po którym dopiero udzielonymi zostały paszporty innym osobom. Mam nadzieję, że będę miał w tych czasach obszerne od Ciebie listy, bądź tutaj jeszcze, gdzie zabawię do 6/18 b. m., bądź w Warszawie, dokąd prosto pojadę. Donieś mi też, czy Enoch przyjechał na pogrzeb, czy się z nim widziałeś i czy długo zabawi w Petersburgu. Niezmierniebym rad widzieć się z nim, jeżeli będzie wracał przez moją dyecezyę, a gdyby nie mógł do Sejn przyjechać, tobym sam chętnie do kolei dojechał do Wołkowyszek, gdzieby się choć 12 godzin zechciał u mnie zatrzymać«.

Wiemy, jak wielką wagę X. Biskup zawsze przywiązywał do osobistych stosunków i jak starannie pielęgnował znajomości swoje w wielkim petersburskim świecie, ile przez to dobrego rodakom uczynił, z jakich licznych kłopotów jego samego to wybawiało. Dlatego w poprzednim liście widzimy, iż pisał do W. ks. Konstantego, jedynego dobrze znajomego sobie członka cesarskiej rodziny, ażeby mu wyrazić szczere współczucie wobec bolesnej straty pierworodnego swego i wielkich nadziei syna monarchy. Widocznie także robił starania, ażeby osobiście być samemu cesarzowi przedstawionym. Dla przyczyn jednak bliżej nam nieznanych, hr. Berg, przez którego starania te czynił, pomimo wielkiej dla X. Biskupa przyjaźni, zawsze sprawę tę odkładał. Czy rzeczywiście uważał, że monarcha nie życzy sobie wejść w bliższe stosunki z polskimi biskupami? Czy, co jest prawdopodobniejszem, obawiał się, ażeby X. Biskup tym dziwnym magnetyzmem, jaki wywierał na każdego, nie uzyskał może pewnego zaufania u cesarza, przez co stanowisko jego (Biskupa) stałoby się zbyt

wielkie i potężne wobec wszystkich urzędników w Królestwie, nie wyjmując samego Namiestnika. X. Biskup, który po kilku rozmowach potrafił uzyskać sobie względy i przyjaźń Wielopolskiego, Gorczakowa, W. ks. Konstantego, mógł sięgając wyżej jeszcze, przestać być hr. Berga podwładnym i stać się równobrzmiącą z nim siłą i powagą w kraju, co hr. Berg, aczkolwiek nięchętnie, musiałby potem w milczeniu już znosić. W tych obrotach dworaków przy słońcu władzy, jeden drugiemu nie zazdrości, ani nie zasłania promieni o tyle jednak, o ile on sam skupia w sobie dostateczną ich ilość i tego ubytku sam na sobie nie odczuje. Jeżeli X. Biskup robił starania o tę audyencyę, to żywot jego cały odpowiada za to, że tylko dobro Kościoła i kraju mógł mieć na względzie. Przeprowadziwszy już tyle rzeczy szczęśliwie za osobistem zbliżeniem się z miarodajnymi czynnikami, wolno przypuścić, że na szlachetnym umyśle Aleksandra II, nie byłaby znajomość z X. Biskupem przeszła bez pewnego wrażenia. Nie jedna sprawa kościelna i narodowa, byłaby znalazła w nim niezrównanego, zręcznego, doświadczonego i odważnego rzecznika, a Monarcha, który jeszcze w wilię swej śmierci podpisał złotą swobody politycznej *magna charta* dla całego imperium, pod wpływem takiego doradcy przejrzałby może wcześniej sprawiedliwe potrzeby swych poddanych. Opatrzność inaczej sprawami pokierować zamierzała. Jednego śmierć okropna za nadużycie władzy i zemstę nad bezbronnymi, pozbawić miała ziemskiej korony. Drugiego czekało nie tylko przejściowe zetknięcie się z ukoronowaną głową, ale skroń jego samego miała być niebawem uwieńczoną nieśmiertelną męczeństwa koroną niebieską.

Pod koniec czerwca 1865 r. X. Biskup przybył do Warszawy, potem pojechał na kilkanaście dni na wieś do Pokrzywnicy pod Piątkiem, odwiedzić Ojca swego, a wracając do domu, zatrzymał się znowu w Warszawie całe trzy tygodnie. Podczas tego pobytu w stolicy, pewnego wieczora przy herbacie hr. Berg zwierzył się X. Biskupowi z kłopotów, na jakie go sprawy religijne narażają, co tem mniej było mu na rękę, że ta sprawa powiększała trudności położenia poli-

tycznego kraju i jest zarodkiem niesmaku w łonie nawet jego rodziny, wobec żony, gorliwej bardzo katoliczki. Zlekka dotknął nowatorski a niewczesny zapał nowszej szkoły, nie wymieniając oczywiście po imieniu ks. Czerkawskiego. Skarżył się także i na stan stosunku rządu ze Stolicą Apostolską i na trudności, jakie powoduje nieobecność w Warszawie prawowitego pasterza. Nie wchodząc w to, czy Namiestnik odsłonił w chwili zapomnienia przed tak dawnym a dobrym znajomym niekłamaną myśl swoją, czy też pragnął umyślnie na ten grunt rozmowę sprowadzić, dosyć, że X. Biskup natychmiast z tego skorzystał, zwracając uwagę hr. Berga na to, że powrót X. arcybiskupa Felińskiego ułatwiłby normalne stosunki i spokój w dyecezyi i porozumienie rządu ze Stolicą Apostolską konieczne potrzebne, zapytał się czy powrót jego byłby możliwym. Na to hr. Berg odpowiedział, że on sam (hr. Berg) nie może podnieść myśli powrotu X. Arcybiskupa, że nawet cesarz nie mógłby go ułaskawić *motu proprio*. Czy takie ułaskawienie nastąpiłoby kiedykolwiek, za to ręczyć nie może, ale musiałoby w każdym przypadku być poprzedzone jakiemś wystąpieniem X. Arcybiskupa, aktem żalu za poprzednie postępowanie i prośbą o przebaczenie mu tego uchybienia. Ażeby w myśl hr. Berga zaradzić potrzebom gwałtownym a widocznym archidyecezyi i doprowadzić do pewnego porozumienia, X. Biskup poprosił i otrzymał pozwolenie napisania w tym względzie do Jarosławia do X. Arcybiskupa. Jeden taki list napisał na ręce hr. Namiestnika, drugi na ręce ministra sekretarza stanu Królestwa Polskiego Płatonowa, a swoją drogą trzeci wprost z Sejn z dnia 14 sierpnia 1865 r. przez umyślnego tajemnego posłańca. Napisał ten sekretny list dlatego, bo aż nadto dobrze wiedział, że dwa poprzednie jego listy przechodzić będą przez bardzo surową i podejrzliwą cenzurę, bez żadnej ostatecznej pewności, czy kiedykolwiek wręczone zostaną. W tym liście pisze:

»Niezmiernie musiałem być bacznym, żeby w rozmowach z osobami wysokie stanowisko w rządzie zajmującemi, w interesach tych tylko rozmowę wszczynać, które mojej tylko dyecezyi dotyczyły. W ogólnych interesach Kościoła

czekałem sposobności, w którejby się naturalnie przedmiot przedstawiał. W ten sposób podczas trzech tygodniowego, zwłaszcza za drugim powrotem, pobytu (w Warszawie) wszystkie niemal ważniejsze przedmioty dotknięte zostały«. Dalej zdaje sprawę X. Arcybiskupowi z wrażenia, jakie na nim uczynił stan archidyecezyi, w której kilka tygodni teraz przepędził, z rozmowy całej z hr. Bergiem dopiero co wspomnianej, i kończy poddaniem pod rozwagę X. Arcybiskupa następujące pytanie: »czyby nie powinien albo przedsięwziąść kroków dla uczynienia swojego powrotu do Warszawy możliwym, to jest napisać wprost do cesarza, albo też objawić Stolicy apostolskiej swoją gotowość zrezygnowania z arcybiskupstwa, jeżeliby to mogło być dla dobra Kościoła pożytecznem.« Śladu odpowiedzi X. Arcybiskupa na ten list, w papierach nie mogliśmy odszukać.

Już pod dniem 21 grudnia 1865 r. X. Biskup pisze ze Sejn do swego brata hr. Tomasza do Petersburga, po francusku: »Dzisiaj jeszcze wyjeżdżam do Warszawy, poleć mnie modlitwom twojego św. Patrona (Tomasza apostoła), pod jego wezwaniem puszczam się w tę drogę. Nie umiem zdać sobie sprawy z przyczyny tego zaproszenia, w najgrzeczniejszej formie ujętego, w imieniu namiestnika Królestwa, w własnoręcznym liście ks. Czerkawskiego. Bardzo będę twoich listów w Warszawie wyglądał. Uściskaj Fredrę i Alfa (Wrześniowskiego *przyp.). W Warszawie będę zapewne mieszkał w Akademii jak zawsze u X. Henryka (Kossowskiego *przyp.).« Hr. Berg i ks. Czerkawski oświadczyli Biskupowi, iż go fatygowali w tak niestosownej porze roku do Warszawy dlatego, ażeby w porozumieniu z nim, poczynić niektóre mało znaczące poprawki w tym jego liście do X. arcybiskupa Felińskiego, który na ręce namiestnika był przysłał. Oczywiście, że X. Biskup nie dał się uwieść tak błahą przyczyną, i szukał innej, poważniejszej, o którą nie było trudno naonczas.

Trudności, o których hr. Berg mówił za poprzednim X. Biskupa pobytem z powodu spraw kościelnych, były się powiększyły, a stan rzeczy w Warszawie na niekorzyść kraju był zmieniony. X. nominat Rzewuski, administrator archidye-

cezyi był już wywiezionym. X. arcybiskup Feliński jeszcze przed swojem wywiezieniem, w przewidywaniu wywiezienia lub śmierci X. Rzewuskiego, naznaczył na jego miejsce X. kanonika Szczygielskiego, gdyby zaś temu ostatniemu także siłą przeszkodzono w objęciu tego urzędowania, X. Domagalski miał zostać administratorem. Ten sam X. Domagalski, mąż zaufania X. arcybiskupa Felińskiego, po powrocie z wygnania zupełnie się odmienił, z gorącego patryoty stał się zapamiętałym zwolennikiem połączenia się Polski z Rosyą. Napisał list otwarty, zwalający całą odpowiedzialność za wszystkie nieszczęścia i klęski Kościoła i kraju na X. Arcybiskupa i ażeby się upewnić, że ten list go dojdzie, użył pośrednictwa warszawskiej policyi, ażeby mu go w Jarosławiu doręczyła.

Rząd wtedy nie dopuścił X. kanonika Szczygielskiego do objęcia zarządu dyecezyi i wezwał kapitułę, ażeby przystąpiła do wyboru nowego administratora, przytem rozkazał, ażeby jej wybór padł na X. prałata Zwolińskiego, proboszcza kościoła na Pradze. Pomimo tego, że X. kanonik Szczygielski miał jak najlegalniejszy dokument prawego rządcy dyecezyi do objęcia władzy, o którym wszyscy kanonicy dokładnie wiedzieli, że zatem nie mieli najmniejszego prawa do obioru innego administratora, ani jeden członek kapituły warszawskiej nie miał odwagi podnieść protestu i wszyscy jednogłośnie obrali X. Zwolińskiego! Sam jednak X. prałat Zwoliński nie mógł nie zdawać sobie sprawy z nielegalności swojego położenia i przyszedł do X. Biskupa, ażeby przed nim wytłómaczyć się z przyjęcia tego wyboru, zamiarem uchronienia archidyecezyi od większych jeszcze klęsk i zamięszania. Zaręczył przytem X. Biskupowi, że w zarządzie dyecezyi niczego nie przedsiębierze, bez uzyskania za każdym razem upoważnienia sekretnego od X. kanonika Szczygielskiego. Gorliwsi kapłani warszawscy donieśli X. Biskupowi, że X. Zwoliński odnosił się potajemnie do Rzymu o potwierdzenie jego władzy i uzyskał tylko słowa *ecclesia supplet,* i odpowiedź, że Stolica apostolska taki dualizm władzy pozornej, oficyalnej i rzeczywistej, »cierpieć musi«. Ale na nieszczęście

stosunek między tymi dwoma administratorami nie był takim, jakby tego można było sobie życzyć. To zaś naprężenie stosunków, o ile X. Biskupowi się zdawało, spowodowanem było niewłaściwą w takich wyjątkowych okolicznościach drażliwością, nie rzeczową, ale osobistą.

W takiem położeniu rzeczy zdawało się X. Biskupowi, że obowiązkiem jego było pośredniczyć pomiędzy nimi, ażeby i ich koniecznie do siebie zbliżyć. W tym celu widział się nie tylko z X. prałatem Zwolińskim, z którym mu ks. Czerkawski zalecał jedynie się znosić, gdyby miał potrzebę załatwić jaki interes z władzą dyecezyalną, ale i z X. kanonikiem Szczygielskim, z którym mu książę Czerkawski polecił nie mieć żadnych stosunków. Potem dla wywarcia jeszcze większego nacisku, zaprosił ich obu, jak również obecnych natenczas w Warszawie XX. biskupów Juszyńskiego i Majerczaka do siebie na obiad. Tutaj w obecności tych dwóch książąt Kościoła, błagał ponownie obu administratorów, ażeby puścili w zapomnienie wszystkie wzajemne osobiste urazy, jeżeli takie między nimi istniały, ażeby tylko dobro Kościoła i dyecezyi mieli na widoku, ażeby litowali się nad wiernymi ich pasterskiej pieczy powierzonymi i unikali dalszej dezorganizacyi i publicznego zgorszenia, ażeby zachowali tak niezbędną pomiędzy sobą *pro bono publico*, zgodę. Obaj solennie w obecności tych trzech biskupów i X. Henryka Kossowskiego to obiecali i rękę sobie podali.

Przypadek zrządził, że właśnie tego samego dnia, w którym wyżej wymienione osoby zgromadziły się na obiad u X. Biskupa, ogłoszony został ukaz z d. 14/26 grudnia 1865 r. o duchowieństwie świeckiem w Królestwie Polskiem. Wszyscy go już byli odczytali. Trudności, jakie ten ukaz dla rządców dyecezyi wytwarzał, były oczywiście przedmiotem rozmowy między nimi. X. Biskup starał się także doprowadzić do porozumienia co do stanowiska, jakie biskupi i administratorowie dyecezyi wobec tego ukazu przyjąć powinni, podnosząc jak ważną byłoby rzeczą, ażeby postępowanie wszystkich było jednakowe.

Nazajutrz po tym obiedzie ks. Czerkawski był już po-

wiadomionym, że się wyżej pomienione osoby na ten obiad zebrały i najdokładniej wiedział, co było przedmiotem rozmów między nimi. Przed rozejściem się, dali sobie wszyscy słowo honoru, że wobec treści ich postanowień, nikomu o spotkaniu swojem mówić nie będą. Obecnymi byli oprócz X. biskupa Konstantego XX. biskupi Juszyński i Majerczak, gospodarz mieszkania X. Henryk Kossowski i XX. kanonicy Szczygielski i Zwoliński. Jeżeli nastąpiło jakie niewłaściwe zwierzenie się przed ks. Czerkawskim, lub powiedzmy wprost zdrada, niestety łatwo jest w tem gronie palcem winowajcę wskazać. X. Biskup otrzymał też rozkaz od ks. Czerkawskiego, ażeby natychmiast opuścił Warszawę, powrócił do swojej dyecezyi i nie wydalał się z niej, pod rygorem natychmiastowego uwięzienia. Rząd od wyboru X. Zwolińskiego był na razie w największym kłopocie, obawiając się braku należytej karności ze strony duchowieństwa warszawskiego i widział już całą administracyę archidyecezyi w gruzach. Dlatego hr. Berg rozkazał ks. Czerkawskiemu powołać X. Biskupa, wierząc, iż on jeden w tem położeniu bez wyjścia poradziłby, tak duchowieństwu jak i rządowi i jakąś drogę pośrednią wynalazł. Kiedy jednak małoduszność kapituły metropolitalnej sprawę rządowi do połowy załatała, a X. Biskup skorzystał ze swojej obecności, ażeby umocnić jeszcze koszlawe rządy dyecezyi, i na przyszłość przygotował jednolity opór przeciwko nowemu ukazowi, ks. Czerkawski nie tylko już X. Biskupa nie potrzebował, ale on mu do najwyższego stopnia zawadzał, i dlatego z tak surowem napomnieniem do dyecezyi zaraz go wyprawił.

Rządy X. prałata Zwolińskiego w archidyecezyi były ciężką karą dla Kościoła i duchowieństwa warszawskiego, jeżeli ono przedtem nieopatrznie dało się wciągnąć przez stronnictwo ruchu do niewłaściwego działania lub lekceważenia swej duchownej władzy. Ciągle i nieustannie tłómaczył się przed Ojcem św., że osobą swoją ratuje jaki taki porządek w dyecezyi i od gorszych rzeczy następstw ją chroni, sam zaś żadnego rozkazu z Rzymu sobie danego, bezwzględnie nie wypełniał. I tak dnia jednego przedstawił kuryi, że wobec

licznych wakansów, konieczną jest rzeczą uzupełnić nowemi nominacyami grono członków kapituły metropolitalnej i przedstawił pewną ilość kandydatów na kanoników. Przed daniem odpowiedzi w tak ważnej sprawie, ówczesny mgr. hr. Miro Czacki, późniejszy kardynał, zapytał się poufnie X. Ruszkiewicza, jaki jest stan liczebny kapituły. X. Ruszkiewicz w odpowiedzi na to przysłał mu drukowany spis członków kapituły, prawnie przez arcybiskupa Felińskiego naznaczonych, z których jednak prawie wszyscy albo byli wywiezieni, albo przez rząd nie uznani. X. prałat Zwoliński tymczasem nie czekając na odpowiedź z Rzymu, wydał nominacyę nowym przez siebie wybranym kanonikom, i publicznie *coram clero et populo,* uroczyście sam ich w archikatedrze zainstalował. Gdy się o tem Stolica apostolska dowiedziała, przesłała X. prałatowi Zwolińskiemu bardzo ostrą naganę i rozkazała nie odwoływać nowych kanoników, ażeby zgorszenia publicznego wiernym nie dawać, ale od każdego z nich odebrać własnoręczne pokwitowanie, że nieprawną jest ich nominacya i instalacya, i tylko *propter evitandum scandalum* tolerowanymi są przez Kościół, *pro foro externo.* Wszystkie te kwity miały być do Rzymu do przechowania przesłane. X. Zwoliński cały ten rozkaz uważał za niebyły i nigdy go nie wykonał.

Kiedy już ostatnia choroba go zmogła i widział, że nie wiele mu czasu zostaje, napisał do Rzymu prośbę, ażeby mógł zwołać kapitułę, któraby jego następcę obrała. Sama ta prośba już była przeciwna kanonom kościelnym, bo wobec tego, iż był zawsze jeszcze prawny Biskup dyecezyi, kapituła nie mogła obierać jego zastępcy. Stolica apostolska odpowiedziała mu na to, że nie tylko że odmawia zadosyć uczynienia jego prośbie, ale najsurowiej mu poleca, ażeby natychmiast uwiadomił kapitułę, ażeby się nie ważyła pod groźbą kar kościelnych, przystąpić pod jakimkolwiek pozorem do takiego wyboru. X. prałat Zwoliński znowu rozkaz ten schował do kieszeni i nikomu nie pokazał, tylko *in extremis* oddał ją X. kanonikowi Sotkiewiczowi, dzisiejszemu biskupowi Sandomierskiemu.

Pomijamy wiele innych przykrych zajść i wypadków w rażącej sprzeczności z prawami kościelnemi. Straszna nemezys ciążyła nad całą biedną archidyecezyą za błędy jej przywódcy, brak karności, rozwagi i spełniania obowiązków przez wszystkich. Jednemu X. biskupowi Konstantemu oddać musimy świadectwo, iż czynił wszystko, co mógł, od sprawy zamknięcia kościołów, aż do ostatnich jego do Arcybiskupa listów, ażeby ład przywrócić, karność utrzymać, spokój zaprowadzić, zgorszenia uniknąć, pasterza spiesznie obrać, biskupa prawego owieczek nie pozbawiać. Odpowiedzialność za to wszystko, smutną mgłą zawisło nad całym tym bolesnym obrazem.



ROZDZIAŁ XIII.

UKAZ O DUCHOWIEŃSTWIE. LIST DO CESARZA. X. BISKUP ZANOSI SKARGĘ DO RADY STANU NA X. CZERKAWSKIEGO. OSTATNIE SPOTKANIE SIĘ Z X. BISKUPEM POPIELEM. SPRAWA KLASYFIKACYI PROBOSTW. MEMORYAŁ DO W. KS. KONSTANTEGO. LISTY DO NABOKOWA I DO MILUTYNA.

(1866).

Wróciwszy do Sejn, X. Biskup znalazł się wobec ukazu z dnia 14/26 grudnia 1865 r. o duchowieństwie świeckiem w Królestwie. Ukaz ten zabierał na rzecz skarbu wszelkie majątki duchowne, nieruchomości w ziemi i w budowlach należące do probostw i do kapituł, i kapitały z zapisów osób prywatnych pochodzące, z warunkiem wszakże, że wszelkie nabożeństwa przywiązane do tych zapisów, pomimo zabrania funduszów, księża odprawiać będą. Ukaz wyznaczał w zamian z funduszów skarbowych uposażenie na utrzymanie księży lecz nadzwyczajnie szczupłe. Było to powtórzeniem słynnych praw cesarza austryackiego Józefa II i wielkiej rewolucyi francuskiej.

Pierwszą czynnością X. Biskupa, było zgodnie z tem do czego namawiał innych biskupów w Warszawie, polecenie całemu duchowieństwu swojej dyecezyi, ażeby nie brało żadnego udziału czynnego przy tej grabieży dóbr kościelnych, jakie miały dopełnić delegowane w tym celu przez władze rządowe komisye, ale ażeby księża asystowali tej czynności w charakterze biernych świadków i przestrzegali, ażeby te komisye nie

przekraczały granic tym ukazem zakreślonych. Żadnych także trudności sam nie czynił w zadosyćuczynieniu żądań komisyi rządowej spraw wewnętrznych i duchownych, do wprowadzenia w wykonanie ukazu. Ale oczywiście po charakterze X. Biskupa nie można się było spodziewać, ażeby rzecz takiej wagi mogła przejść bez poważnego starcia.

Niebawem też jedna okoliczność obudziła z tego mniemanego uśpienia obydwie strony i wznieciła ogień, który miał nieobliczone za sobą pociągnąć skutki. Dnia 26 stycznia 1866 r. komisya rządowa dla spraw wewnętrznych i duchownych, napisała do X. Biskupa odezwę, w której w wykonaniu artykułu 9-go i 11-go tego ukazu i zwracając uwagę jego na związek ich z artykułem 15-tym, zażądała, ażeby jej zaproponował, którym proboszczom trzech parafii w jego dyecezyi wypada wyznaczyć pensye po 500 rs. rocznie, a którym 9-ciu parafiom po 400 rs. Odezwa prosiła jednocześnie o dostarczenie danych statystycznych, któreby mogły komisyę pokierować w decyzyi, jaką w tym przedmiocie poweźmie. X. Biskup przesłał komisyi rządowej dnia 23 lutego 1866 żądaną przez nią informacyę statystyczną, ale przytem oświadczył jej, że nie może wskazać, które parafie należy zaliczyć do pierwszej, a które do drugiej klasy, bo taka klasyfikacya sprzeciwia się pojęciom prawa kanonicznego, i to samo obszernie wyłuszczył w liście prywatnym, adresowanym tegoż dnia do ks. Czerkawskiego, dyrektora głównego tejże komisyi. Powodem tej odmowy było to, że pozostałe 109 parafii, które byłyby zaliczone do 3-ej klasy stosownie do art. 15 ukazu, nie miały być nadal zarządzanemi przez instalowanych proboszczów, którzy już nie mogą być pozbawionymi przez biskupów swych beneficyów, jak tylko za wyrokiem kanonicznym, ale każdego czasu przez odwołalnych administratorów. Do takiej zaś zmiany stanowiska kanonicznego wszystkich prawie proboszczów dyecezyi, X. Biskup nie czuł się upoważnionym, przed uzyskaniem na to wyraźnego upoważnienia od Stolicy Apostolskiej.

Dla tych powodów X. Biskup dnia 21 lutego 1866 r. przesłał tejże samej komisyi rządowej dwie prośby. Jedną do

Ojca św., w której wyszczególniwszy punkta ukazu, do wykonania których współdziałanie biskupów było konieczne, a które podług jego zdania przekraczały granice jego władzy, prosił Stolicę apostolską o udzielenie mu potrzebnych w tym celu upoważnień, o ile to Ojciec św. za stosowne uznać raczy. Drugą prośbę najpoddańszą do Najjaśniejszego Pana, w której przedstawiając trudności, jakie jemu, Biskupowi, ukaz z 26 grudnia wytworzył, prosi cesarza, ażeby raczył rozkazać poprzeć prośbę w Rzymie, przesłaną przez niego do Papieża; ażeby w przypadku, gdyby żądane przez niego upoważnienia odmówionemi mu zostały, raczył rozkazać zmienić niektóre przepisy tego ukazu w sposób odpowiedni wymaganiom Stolicy Apostolskiej i nareszcie, ażeby jemu, Biskupowi, dozwolić raczył wstrzymać się z wykonaniem niektórych przepisów ukazu, aż do uzyskania odpowiedzi z Rzymu.

Niedługo potem gubernator suwalski zjechał do Sejn z polecenia ks. Czerkawskiego, z wezwaniem, ażeby X. Biskup obie te prośby cofnął, ale oczywiście on stanowczo temu się sprzeciwił. Natenczas ks. Czerkawski dnia 5 marca 1866 r. zawiadomił X. Biskupa, że prośby jego oddał hr. Namiestnikowi. Ale zwracając uwagę X. Biskupa na to, że ukaz ten powinien być we wszystkich swoich częściach wykonanym, wezwał go powtórnie, ażeby mu udzielił swego zdania, którym proboszczom wypada naznaczyć pensyę 500, którym 400 rs. rocznie, uprzedzając go zarazem, że dopóty, dopóki temu żądaniu nie uczyni zadosyć, wypłata duchowieństwu świeckiemu wszystkich pensyi naznaczonych ukazem wstrzymaną zostanie. W odpowiedzi na tę odezwę X. Biskup odpisał dnia 23 marca 1866 r., zapewniając ks. Czerkawskiego, że wykonaniu ukazu sprzeciwiać się nie zamierza, ale nie może również przekroczyć władzy jemu służącej, że dlatego z niektóremi wymaganiami jemu stawianemi godzić się nie może, aż do uzyskania właściwego upoważnienia. Przedstawił jednak, że nicby nie przeszkadzało płaceniu tymczasem wszystkim proboszczom pensyi w stosunku 300 rubli rocznie, pozostawiając wypłatę przewyżki 500 i 400 rublowych pensyi, do czasu uregulowania tej sprawy.

Hr. Berg otrzymawszy od ks. Czerkawskiego prośby X. Biskupa do Papieża i cesarza, kazał także gubernatorowi suwałskiemu ponownie prosić go, ażeby obie te prośby cofnął. Ale X. Biskup po raz wtóry stanowczo odmówił, prośby zatem przesłane zostały do Petersburga. Dnia 4 kwietnia 1866 r. ks. Czerkawski zawiadomił X. Biskupa, że wskutek prośby podanej przez niego do cesarza, Najj. Pan raczył rozkazać ustnie hr. Namiestnikowi, ażeby zawiadomił X. Biskupa, że tenże powinien, nie czekając na odpowiedź z Rzymu, wykonać niezwłocznie i ściśle wszystkie przepisy rzeczonego ukazu w tem, w czem się one do niego odnoszą. I dlatego ks. Czerkawski wezwał ostatecznie X. Biskupa, ażeby mu w ciągu 7 dni przedstawił propozycye co do klasyfikacyi parafii, przestrzegając X. Biskupa, że dłuższe ociąganie wykonania tego wezwania, byłoby poczytanem za jawne i rozmyślne niewykonanie niepodlegającej żadnej wątpliwości najwyższej monarszej woli.

X. Biskup otrzymawszy taką z Petersburga odpowiedź, postanowił użyć jeszcze jednej a ostatecznej broni, dla bronienia praw Kościoła. Nie mogąc uchylić samego ukazu lub odwłoki w wykonaniu jego uzyskać, postanowił spróbować, czy mu się nie uda zaciętego wroga Kościoła, samego księcia Czerkawskiego uwikłać i obalić. Liczył na wiadomą mu niechęć hr. Berga do Dyrektora departamentu spraw wewnętrznych i wyznań, i na swój tryumf niedawno odniesiony nad Murawiewem i tak do rzeczy przystąpił.

W odpowiedzi na powyższą odezwę przed upływem jeszcze tych 7 dni, X. Biskup przesłał dnia 9 kwietnia 1866 pismo ks. Czerkawskiemu, że zbytecznem jest zupełne wzywanie go kilkakrotne do wykonania najwyższej woli, do wykonania jej bowiem zawsze jest gotowym, ale że ta najwyższa wola powinna być tak spełnianą, jak została wyrażoną. Otóż podług art. 11-go ukazu, nie biskup, ale komisya rządowa powinna dopełnić klasyfikacyi parafii; że ukaz wkładając na tę komisyę obowiązek zniesienia się w tej mierze z biskupami, pozostawił tym ostatnim (biskupom) możność wpłynięcia na decyzyę komisyi lub uchylenia się od tej odpowiedzialności,

co on zrobił swoją odezwą z d. 23 lutego 1866; że przeto całą winę i odpowiedzialność za opóźnienie wykonania ukazu, nie jemu przypisać należy, ale samej komisyi, że nareszcie zagrożenie uczynione jemu przez ks. Czerkawskiego poczytuje za zupełnie niewłaściwe i istotnie bezprawne.

Zaraz nazajutrz d. 10 kwietnia 1866, a także przed upływem tego siedmiodniowego terminu X. Biskup przesłał wprost na ręce hr. Berga trzy pisma.

Pierwsze pismo zaadresowane było do rady stanu Królestwa Polskiego i zawierało skargę na ks. Czerkawskiego, dyrektora głównego komisyi rządowej spraw wewnętrznych i duchownych podane, w zastosowaniu się do art. 2, z d. 18 marca 1818, i art. 24 najwyżej d. 5 czerwca 1861 zatwierdzonej organizacyi rady stanu, z żądaniem uznania, że żądanie dyrektora głównego, odnoszące się do klasyfikacyi parafii, i zagrożenie zawieszenia wypłaty pensyi przeznaczonej duchowieństwu, stanowią naruszenie przepisów prawa, a że zagrożenie biskupowi poczytania opóźnienia zaprojektowania przez niego tej klasyfikacyi, za nieposłuszeństwo jawne i umyślne bezspornej i wiadomej najwyższej monarszej woli, stanowi nadużycie władzy.

W drugiej odezwie X. Biskup odwołując się do wszystkich poprzednich swoich deklaracyj i zastrzegając jak najwyraźniej prawa Kościoła, odmawiał raz jeszcze zaproponowania klasyfikacyi parafii, dla uniknienia jednak dalszych sporów i komplikacyi, dał tylko swoją opinię w sprawie, którym proboszczom wypadałoby płacić wyższe, którym niższe pensye.

W trzecim prywatnym liście do hr. Bergą, X. Biskup prosił go, ażeby te dwie odezwy i to tylko kolejno, w takim tylko przypadku w bieg puścił, jeżeliby odpowiedź jego dana ks. Czerkawskiemu z d. 9 kwietnia, on hr. Berg nie uznał za dostateczną dla wytłomaczenia go.

Hr. Berg odebrawszy te wszystkie pisma i mając tak zręcznie wsuniętą sobie w rękę skargę na ks. Czerkawskiego, uznał jednak, że stanowisko jego było jeszcze zanadto silne w Petersburgu, i że wywołanie takiego procesu, niewątpliwie skończyłoby się tylko wywiezieniem X. Biskupa. Postanowił

zatem oddać mu tę ważną usługę zatrzymania na razie u siebie tej skargi do rady stanu i zrobienia z niej później w stosowniejszej chwili użytku. Dnia 1 czerwca 1866 r. napisał list prywatny do X. Biskupa, tłómacząc, że uznał za właściwe, zatrzymać u siebie skargę do rady stanu i nikomu jej nie pokazywać, bo ona byłaby wywołała tysiączne niedogodności i straszne zawikłania, skończył zalecając X. Biskupowi w sposób jak najbardziej stanowczy, ażeby nigdy nie ponawiał takiej próby. W odpowiedzi na ten list hr. Berga, X. Biskup odpisał także list prywatny, protestując przeciwko samowolnemu postępowaniu ks. Czerkawskiego. Na to hr. Berg rozkazał jenerałowi komenderującemu wojskami stojącemi w gubernii Augustowskiej, ażeby się udał do Sejn i ustnie wyraził X. Biskupowi swoje niezadowolenie z ostatniego jego pisma. Wkrótce też potem ogłoszonym został rozkaz cesarski, zabraniający radzie stanu przyjmowania skarg podawanych na urzędników wyższych przez ich podwładnych. Jedyna prawie jeszcze otwarta furtka w celu wstrzymania nadużyć władzy, ze strony biurokracyi rosyjskiej, została zamkniętą.

Drugie pismo X. Biskupa hr. Berg przesłał oczywiście ks. Czerkawskiemu, który też zaraz potem zażądał od X. Biskupa dostarczenia mu powtórnie danych statystycznych, mówiąc, że poprzedni papier gdzieś w biurach zaginął. X. Biskup przesłał mu kopię swojej odezwy z 23 lutego 1866 r., gdzie te dane były spisane. Zaraz też potem ks. Czerkawski w bardzo uprzejmym liście zapytał X. Biskupa, czy nie będzie miał nic przeciwko temu, ażeby parafie rozklasyfikował odmiennie od jego propozycyi. X. Biskup odpowiedział natychmiast, zastrzegając się, ażeby słów jego nie przekręcał, że klasyfikacyi nigdy nie proponował i że zawsze mówił, iż musi pozostać całkiem obcym całej tej operacyi. Wkrótce potem komisya rządowa przesłała X. Biskupowi swoją decyzyę w przedmiocie klasyfikacyi parafij i zawiadomiła go, że pensye duchowieństwa zostały już wyasygnowane.

Podczas najgorętszej walki w tym przedmiocie X. Biskup spotkał się także z X. biskupem Popielem. Temu ostatniemu zależało na tem, ażeby w tej sprawie zupełnie zgo-

dnie obadwaj postępować mogli i pod błahym pozorem uregulowania granicy swych dyecezyj, nie daleko Pułtuska, X. biskup Popiel dojechał na wiosnę 1866 r. do Łomży. Tam w klasztorze OO. Kapucynów przez trzy dni razem bawili, pokrzepiając się modlitwą wspólną i rozmową, wśród tak ciężkich i okrutnych dla Kościoła czasów. Było to ostatnie w życiu spotkanie tych dwóch wiernych od lat najmłodszych przyjaciół.

Zaledwie te trudności i spory się kończyły, kiedy już nowy zatarg poważny z rządem się wyłonił.

Zaraz po wypłaceniu duchowieństwu pierwszej raty przeznaczonej mu pensyi, komisya rządowa spraw wewnętrznych i duchownych przystąpiła do rozpatrywania, czy proboszczowie, administratorowie i wikaryusze wszystkich parafij legalnie zajmują te posady, a mianowicie, czy ich nominacye zostały przez rząd zatwierdzone.

Jeszcze w r. 1818 było wydane rozporządzenie, na mocy którego rząd miał zatwierdzać albo odmawiać zatwierdzenia nominacyj czynionych przez biskupów, na posady proboszczów i wikaryuszy. Stałych administratorów parafij wtenczas wcale jeszcze nie było. Biskupi zaprotestowali naonczas przeciwko temu postanowieniu, które też nigdy nie zostało legalnie ogłoszone. Ale utarła się praktyka, że biskupi zawiadamiali rząd o czynionych przez siebie nominacyach, a rząd je zatwierdzał. W ukazie z d. 14/26 grudnia 1865 to prawo służyć mające rządowi do zatwierdzania takich nominacyj, jak równie odmawiania im swojego zatwierdzenia, zostało jeszcze silniej określone, aniżeli w rozporządzeniach z r. 1818.

Tymczasem podczas wypadków 1863—1864 wielu księży, funkcye parafialne spełniających, zostało wywiezionych. Potrzeba ich było zastąpić, a w tych burzliwych czasach rząd nie spieszył się z zatwierdzeniem nominacyj, o których bywał zawiadamianym. Nadto, jak już wyżej pisaliśmy, X. Biskup przetranslokował księży, którym zagrażało niebezpieczeństwo kompromitacyi, przenosząc ich w okolice, o ile być mogło najodleglejsze od miejsc, w których się poprzednio znajdowali. O takich translokacyach X. Biskup oczywiście nie

donosił rządowi, dla utrudnienia mu poszukiwań. Teraz dopiero wyszło na jaw, że jest wielu księży, których nominacye na urzęda parafialne nigdy przez komisyę rządową zatwierdzonemi nie były, że o wielu nominacyach ta komisya nie była nigdy nawet zawiadomioną, że nareszcie pomiędzy księżmi poprzednio przez rząd na posadach swoich zatwierdzonymi znajdowali się tacy, na których ciążyły zarzuty politycznej natury, z powodu których rząd uważał ich za niezdolnych do piastowania wyższych urzędów parafialnych. Komisya rządowa spraw wewnętrznych i duchownych zażądała przeto od X. Biskupa, ażeby zaprezentował jej kandydatów na urzęda parafialne, zajmowane przez księży, należących do trzech powyżej wymienionych kategoryj.

X. Biskup nie chciał przyjąć udziału w zaprowadzeniu tym sposobem zmiany w sytuacyi kanonicznej wielu proboszczów. Zaczęła się zatem przedługa korespondencya. Tymczasem komisya rządowa wstrzymała wypłatę pensyi wszystkim księżom, których nominacye nie były przez nią zatwierdzone, albo którym zatwierdzenie, poprzednio udzielone, teraz cofała. To wstrzymanie wypłaty trwało osiem miesięcy.

Sprawa ta załatwioną została dopiero w r. 1867, już po upadku ks. Czerkawskiego. Komisya rządowa zatwierdziła natenczas ryczałtem, i bez żadnych nowych przedstawień ze strony X. Biskupa, wszystkich księży dyecezyi sejneńskiej na tych posadach, na których ich X. Biskup zastał, albo też umieścił. Stało się to może skutkiem bardziej pojednawczego z początku usposobienia następcy ks. Czerkawskiego w zarządzie spraw duchownych, pana Muchanowa. X. Biskup wysyłając w r. 1867 brata swego hr. Tomasza do Rzymu, jak później zobaczymy, z raportami, polecił mu także tamże poświadczyć, że pomimo tak długiego wstrzymania wypłaty pensyi, ani jeden z księży jego dyecezyi nie zaniedbał się w spełnianiu swoich obowiązków, ani jeden nie odwołał się wprost do władz rządowych. Wszyscy okazali się wiernymi sługami Kościoła, posłusznymi swemu biskupowi i wyczekiwali z cierpliwością końca tej walki. Cała ta sprawa skończyła się znowu tryumfem X. Biskupa nad rządem, a postawa jego ducho-

wieństwa, napełniająca serce jego niezmierną radością, pozwala nam osądzić, jak bardzo zbawiennie rządy jego w krótkim czasie wpłynęły na kler cały, jeżeli wspomnimy stosunki niedawne rozstroju w czasie powstania.

Ale nie tylko przed Stolicą apostolską oddawał X. Biskup duchowieństwu swojej dyecezyi pochlebne świadectwa. Chwalił je także przed rządem, wykazując w długich często i starannie opracowanych pismach swoich, że wiele czynów, które księżom przez rząd za przewinienia poczytywanymi były, stanowiły przeciwnie ich zasługę. Tak bronił naprzykład jednego proboszcza, który odmówił dania ślubu parafiance swojej, wychodzącej za mąż za schyzmatyka. Innego także, który odmówił dania absolucyi jednej penitentce, o co się ta poskarżyła oficerowi żandarmeryi. Trzeciego na karę pieniężną skazanego, za przyjęcie protestanta na łono Kościoła. Innego jeszcze oddanego pod sąd pod zarzutem przyjęcia schyzmatyka na łono Kościoła katolickiego. Innego na karę pieniężną skazanego za odprawienie mszy św. w cerkwi unickiej. Innego znowu za pozwolenie dane księdzu unickiemu odprawiania mszy św. w swoim kościele. W tych i wielu innych wypadkach, pośrednictwo X. Biskupa, jeżeli nie zdołało uwolnić księży od kary, to na złagodzenie jej przynajmniej wpłynęło, a w każdym wypadku było protestacyą przeciwko nadużyciom władzy i obroną praw Kościoła.

Przystępując do opisania bardzo doniosłej w życiu X. Biskupa chwili, a mianowicie do podania przez niego memoryału do w. ks. Konstantego, musimy nieco wstecz się cofnąć, ażeby rzecz tę należycie wyświecić. Mówiliśmy już, że ks. Czerkawski kilkakrotnie zagroził X. Biskupowi poczytaniem jego postępowania za rozmyślne nieposłuszeństwo dobrze mu wiadomej woli cesarza i rządu, a że hr. Berg odjął mu możność zaniesienia do rady stanu Królestwa Polskiego skargi na księcia Czerkawskiego, o niesłuszność czynionych mu zarzutów i o przekręcanie litery i ducha ukazów.

Przesłanie tej skargi na ręce hr. Berga, zamiast przesłania jej, tak jak wskazywała procedura spraw do rady stanu wnoszonych, na ręce oskarżonego właśnie księcia Czerkaw-

skiego, nakazywała roztropność. Przy gwałtownym charakterze księcia Czerkawskiego można się było spodziewać, że obrażony do żywego zaniesioną na niego skargą, zażąda wywiezienia Biskupa przed rozpoznaniem nawet podanej przez niego skargi, i to żądanie postawi jako kwestyę gabinetową swoją i całej partyi i całego systemu, które on w Królestwie przedstawiał. A czyby takiemu żądaniu ks. Czerkawskiego, który był prawą ręką i ulubieńcem wszechwładnego wtenczas ministra Milutyna, byłoby można się oprzeć, to mógł ocenić jeden tylko hr. Berg, zawsze dla X. Biskupa życzliwy i przyjazny, a dla ks. Czerkawskiego, pomiatającego jego namiestnikowską władzą, bardzo niechętny. X. Biskup nie sądził, ażeby sprawa klasyfikacyi probostw należała do liczby tych, które powinny być bronione aż do ostateczności. A zresztą, w każdym wypadku, stosownie do procedury przepisanej dla biegu interesów w radzie stanu, skarga X. Biskupa nie byłaby mogła być postawioną na porządku dziennym rozpraw tej rady, bez poprzedniej decyzyi przewodniczącego w niej namiestnika hr. Berga. Jednym zamachem chciał stanąć na gruncie prawa (*il y a encore des juges à Berlin*) i wyrzucić z kraju ks. Czerkawskiego; wręczyć hr. Bergowi sposób pozbycia się swego nieprzyjaciela z Królestwa, jeżeli on to uzna za możliwe i na czasie.

Pozbawiony tej drogi usprawiedliwienia się głośnego z zarzutów, których ciążenie na nim X. Biskup poczytywał za szkodliwe, daleko bardziej sprawie której służył, aniżeli jego osobie, X. Biskup wpadł na myśl skorzystania z tego całego zajścia i napisania do wielkiego księcia Konstantego listu, a raczej obszernego memoryału, pod tą niby wymówką; że ponieważ to on, będąc namiestnikiem w Królestwie, przedstawił go na biskupa Sejneńskiego, X. Biskup winien jemu, już teraz nie z tytułu hierarchicznej zależności, ale z tytułu nie wygasłego obowiązku osobistej względem niego wdzięczności, udowodnić, że nigdy nie uchybił obowiązkom posłuszeństwa należnego swojemu monarsze.

W tym celu przedstawił mu cały obraz trudności, jakie dla sumienia jego wynikły z ukazów z r. 1864 o klasztorach

i z r. 1865 o duchowieństwie świeckiem, nie pomijając oczywiście zaznaczenia wpływu, jaki na ich wykonanie miały, charakter i ogólne usposobienie ks. Czerkawskiego, z jego ideałami politycznymi i mrzonkami o kościołach narodowych.

Przedstawił dalej w. księciu, że sam cesarz przedstawił go papieżowi na godność biskupa sejneńskiego, że przeto, jeżeli sam cesarz chciał, ażeby on był biskupem, nie mógł chcieć, ażeby był innym, tylko dobrym biskupem, ażeby był wiernym zarówno przysiędze wykonanej jemu na wierność, jak i przysiędze wykonanej papieżowi i obowiązującej go do strzeżenia i bronienia praw i przywilejów Kościoła. Że przeto, jeżeli przepisy dwóch powyższych ukazów nakładały na biskupów obowiązki sprzeczne z jego duchownymi obowiązkami, to on zmuszonym był prosić Stolicy apostolskiej o upoważnienie do zaprowadzenia w prawach kościelnych Królestwa zmian, któreby je godziły z przepisami rządowymi i temu obowiązkowi uczynił zadosyć, podając dwie prośby, dotychczas przez rząd w ich prawnym biegu wstrzymane, kiedy przeciwnie interesem jest rządu, doprowadzenie w tej mierze porozumienia się jego ze Stolicą apostolską.

Dalej rzecz swoją rozwijając, X. Biskup bardzo obszernie wyłożył, co wogóle potrzebuje, i co może być przedmiotem porozumienia między najwyższemi władzami, duchowną i świecką; dlaczego takiego rodzaju porozumienia są dla rządów równie potrzebne, a nawet potrzebniejsze aniżeli dla Kościoła; jakiego rodzaju porozumienia były w ciągu wieków między Kościołem a rządami zawierane; jakie porozumienie w dzisiejszym stanie rzeczy mogłoby być w interesie rządu potrzebne i pożądane, i jakiemi drogami mogłoby być osiągnięte. Wogóle memoryał ten po mistrzowsku napisany, musi być uważanym za najznakomitszą niemal rzecz w ciągu życia przez X. Biskupa podpisaną.

Cały ten memoryał w tym celu także napisanym był, ażeby w chwili, kiedy stosunki rządu rosyjskiego ze Stolicą apostolską nie były jeszcze zerwane, ale już do najwyższego stopnia naprężone, głos katolicki doszedł w jedynej na razie możliwej drodze, do wiadomości rosyjskich mężów stanu.

w. ks. Konstanty oprócz wysokiego stanowiska, jakie mu z natury rzeczy dawały jego urodzenie i znakomite zdolności, był prezesem rady państwa i nie przestawał zawsze być ukochanym bratem cesarza Aleksandra II. Memoryał ten z datą 12/24 maja 1866 r., hr. Tomasz Łubieński, który skutecznie w redakcyi z X. Biskupem był nad nim współpracował, odwiózł w czerwcu do Petersburga i oddał w kopercie zapieczętowanej i zaadresowanej do W. Księcia, sekretarzowi jego, Tęgoborskiemu. Zawiózł on równocześnie dwa inne listy jeszcze X. Biskupa. Jeden do senatora Nabokowa, późniejszego ministra sprawiedliwości, poprzednio przydanego do osoby W. Księcia, kiedy ten był namiestnikiem w Królestwie, stąd X. Biskupowi dobrze znanego. Nabokow nie zajmował natenczas żadnego wybitniejszego urzędu, do niego przeto X. Biskup pisał w przypuszczeniu, że był jeszcze w stosunkach ściślejszych z w. ks. Konstantym, i że będzie także czytał memoryał przez X. Biskupa podany, co też rzeczywiście miało miejsce.

Drugi list był do ministra Milutyna, w którym X. Biskup pomiędzy innemi rzeczami, najusilniej zaprotestował, przeciwko dopiero co postanowionemu zniesieniu dyecezyi podlaskiej. Hr. Tomasz Łubieński oddał ten list Milutynowi w Pawłowsku, gdzie lato spędzał, który przyjąwszy go, dużo zaczął mówić o konieczności przewagi państwa nad Kościołem. Hr. Tomasz nie wdając się w tak ogólne teorye, przedstawił mu, że wierni dla uzyskania odpuszczenia grzechów potrzebują przystępować do Sakramentu pokuty, że żaden ksiądz nie może dawać rozgrzeszenia, nie otrzymawszy do tego specyalnego upoważnienia od swojego Biskupa, że żaden biskup tej władzy nie ma, jeżeli mu nie została nadaną przez papieża; jeżeli zatem rząd nakazuje władzę wykonywać księżom i biskupom, którzy przez papieża do tego nie są umocowani, to cała odpowiedzialność za niewłaściwe skutkiem tego, n. p. odpuszczenie grzechów, spada na sumienie cesarskich urzędników, którzy się tego stali powodem. Hr. Tomasz zakończył, zapytując Milutyna, czyby się zgodził na odpowiadanie przed Panem Bogiem za jego grzechy. Milutyn z obu-

rzeniem i przestrachem skoczył na swoim krześle na samą myśl o takiej odpowiedzialności. Obydwaj serdecznie się uśmiali. Hr. Tomasz mógł tak swobodnie z Milutynem rozmawiać, bo częstokroć się z nim spotykał, a gdy w Petersburgu Milutyn przygotowywał organizacyę komitetu urządzającego dla Królestwa Polskiego, miał z hr. Tomaszem nie mniej jak czterogodzinną sam na sam rozmowę. Milutyn gwałtownie chciał hr. Tomasza do tego komitetu pozyskać, ten ostatni tak twarde stawiał swoje warunki, że porozumienie oczywiście okazało się niemożliwem.

Na niejednym może z rodaków przy przeczytaniu tego memoryału przez X. Biskupa przesłanego w. ks. Konstantemu, lub innych pism tego rodzaju, nieprzyjemne wrażenie zrobiłoby zapewnienie i uwydatnienie jego uczuć wierno poddańczych. Bo my wszyscy mamy jeszcze w krwi tradycye Rzeczypospolitej, której wybieralny i dożywotni prezydent był wprawdzie koroną królewską ozdobiony, ale obyczaj krajowy zapewniał każdemu obywatelowi wielką swobodę słowa w stosunkach z królem, a nawet upoważniał go do najwyraźniejszego buntu, pod formą konfederacyi podnoszonego. Teraz także umysły nasze kształcą się na wzorach życia parlamentarnego istniejącego w całym już ucywilizowanym świecie. Ale X. Biskup, pamiętać trzeba, przepędzał lata całe w Rosyi i miał liczne stosunki w Petersburgu, jeżeli nie ze samym dworem, to z osobami do dworu należącemi lub jemu bliskiemi i dlatego wiedział, że Rosya nie należy wcale do liczby tych państw lub narodów, w których duch liberalny przezwyciężył tradycye poprzedniego samowładztwa. Dwór rosyjski pomimo kroju mundurów nowożytnych i etykiety naśladowanej z Europy, jest zawsze jeszcze w gruncie rzeczy czysto bizantyjskim. Mówiąc przeto do cesarza lub o cesarzu, jeżeli się być chce jako tako słuchanym, potrzeba takich form mowy używać, jakich używano w Carogrodzie podczas panowania wschodnich cesarzy, jakich używali nawet ojcowie wschodniego Kościoła, broniąc przytem odważnie prawd wiary i ujmując się za swobodami Kościoła.

I X. Biskupowi także takie wierno poddańcze wyrażenia nie przeszkadzały do ujmowania się stale i silnie o prawa i interesa Kościoła. Unikał tylko wszystkiego, coby nie potrzebnie rząd, lub jego reprezentantów drażnić mogło; był bowiem zdania, że rozdrażnienie osób władze posiadających, doprowadza je często do nadużywania takowej, i że osoby, wywołujące takie rozdrażnienie, stają się pośrednio współwinnemi tych nadużyć. Przeciwnie, w każdem przedstawieniu do rządu, starał się wmawiać, że rząd i osoby go reprezentujące, to tylko chcieć mogą, co jest szlachetnem i sprawiedliwem. Uczucia zwłaszcza szlachetności, sprawiedliwości monarchy starał się zawsze uwydatniać i do nich się odwoływać, w przekonaniu, że tym sposobem prędzej otrzyma to zresztą tylko, co sprawiedliwem być uznawał, aniżeli przez złorzeczenie. *Vana enim sine viribus ira.*

Zresztą przysięgę wykonaną na wierność monarsze nie poczytywał X. Biskup za czczą formalność, ale za rzecz, która sumienie jego wiązała, w granicach oczywiście prawa Bożego, oddawania, co jest cesarskiego, cesarzowi, a co jest Boskiego, Bogu. A jeżeli uczucia swoje wiernopoddańcze głośno wyjawiał i starał się wykazywać, że się im nie sprzeciwiał swojem postępowaniem, czynił to dlatego, ażeby uwydatnić, że wszystkie jego wymagania i działania nie mają charakteru politycznego, ale stoją na gruncie kościelnym.

To też tylko niedojrzałe zupełnie umysły robiły mu zarzut, że ojczyzny nie kochał. X. Biskup dalekim był od tego, ażeby uważać stan polityczny kraju naszego za nieodwołalnie ostatecznie uregulowany. Miał zawsze w Bogu nadzieję, że się Bóg nad biednym naszym krajem kiedyś zlituje, że mu nawet powróci niepodległość, po wycierpieniu kary za nasze grzechy narodowe. Często powtarzał, że trzeba *contra spem sperare* — ale przytem zdawał sobie dokładnie sprawę z teraźniejszego położenia rzeczy. Nie łudził się naprzykład ani na chwilę nadzieją skuteczności powstań lub spisków, przeciwnie przewidywał jak najopłakańsze z nich dla kraju następstwa. Pragnął natomiast, ażeby nasz naród przez gruntowną pobożność starał się zasługiwać na przyspieszenie chwili

miłosierdzia Pańskiego. Chciał ażeby przez rozwijanie sił swoich moralnych i materyalnych, coraz się sposobniejszym stawał materyałem do wznieść na nowo mającej się budowy. A tymczasowo, jak mówił, potrzeba — *savoir durer* — przetrwać te ciężkie czasy. *Qui dura, vince,* mówi włoskie stare przysłowie.

Rozdział XIV.

ZERWANIE KONKORDATU. UPADEK KS. CZERKAWSKIEGO. SPOTKANIE Z HR. BERGIEM W ŁAPACH. PIERWSZE SPOTKANIE Z MUCHANOWEM. LIST Z POJEZIERZA. UKAZ O UNITACH. LIST DO X. BISKUPA SZYMAŃSKIEGO. ŚLEDZTWO W SPRAWIE KORESPONDENCYI Z RZYMEM WSKUTEK ZEZNAŃ X. KANONIKA SZCZYGIELSKIEGO. SPÓR O PRZESŁANIE KORESPONDENCYI PRZEZ KOLLEGIUM PETERSBURSKIE. ŚMIERĆ X. BISKUPA SZYMAŃSKIEGO W ŁOMŻY.

(1867).

Przewidziane przez X. Biskupa zerwanie stosunków dyplomatycznych dworu petersburskiego z Rzymem, dnia 22 listopada 1866 r., zapowiedzenie ze strony rządu rosyjskiego osobnym ukazem, że uważa konkordat z r. 1847 za nieobowiązujący go, przyszło na domiar nieszczęść kraju naszego i postawiło biskupów w okropnej niepewności, w jakim kierunku przyjdzie nadal prześladowanie Kościoła. Oświadczenie ukazem cesarskim objęte, że odtąd sprawy religii katolickiej załatwione będą przez instytucye istniejące w kraju na zasadzie praw organicznych imperyum i Królestwa Polskiego, otwierało szerokie pole do domysłów i zdawało się niejako zapowiadać przymusowe odszczepieństwo od Głowy Kościoła. Ks. Czerkawskiego osobistość, jego dotychczasowe występowanie, obawom tym dawało podstawę. Rzeczywiście przejęty tą myślą oderwania Polski od jedności z Kościołem powszechnym, będącej, jak wyżej mówiliśmy, ulubionem jego marzeniem, za odebraniem wiadomości, iż Milutyn paraliżem do-

tknięty został, nie widząc ręki Bożej w tym upadku nieprzyjaciela wiary, lecz prosty wypadek, w zamiarze objęcia od Milutynie posady i przeprowadzenia jego i swoich myśli, zażądał od hr. Berga pozwolenia udania się do Petersburga. Namiestnik, zniósłszy się poprzednio z Najj. Panem, pozwolenie to mu udzielił, lecz sam zaraz za nim także podążył.

X. Biskup dokładnie zawsze przez przyjaciół poinformowany o wszystkiem, z wielkim niepokojem wyczekiwał skutków tych podróży do stolicy państwa. Głośne zerwanie stosunków z Rzymem, zdeptanie konkordatu, charakter osób u steru rządu będących, zdawały się być wskazówką wyraźną, że nadchodzi chwila jawnego prześladowania Kościoła i walki otwartej. Powietrze wogóle było duszne, bo kraj cały, aczkolwiek w tradycyi katolicki, nie zrozumiał odrazu całej doniosłości zerwania stosunków z Rzymem, uważał to raczej, jako kłopot księży dotyczący, aniżeli jako nieszczęście cały Kościół obchodzące i nieobrachowane w skutkach. X. Biskup sądził, że prześladowanie otwarte jest rzeczą nieuniknioną w Polsce i błagał nieustannie majestat Boski o opóźnienie tej chwili próby, o wzmocnienie poprzednio sił i ducha katolickiego w narodzie.

Dla bliższej komunikacyi z Petersburgiem, wyjechał X. Biskup ze Sejn i zbliżył się do kolei żelaznej i linii telegraficznej. Odebrał też niebawem wiadomość depeszą od samego hr. Berga o dymisyi ks. Czerkawskiego i polecenie, aby się z nim w Łapach za jego powrotem zjechał. Było to w styczniu 1867 r. X. Biskup odbył z hr. Bergiem podróż wagonem aż do stacyi Małkinie. W drodze hr. Berg udzielił X. Biskupowi szczegółów o upadku Milutyna, i w jaki sposób on sam dopomógł do wywrócenia ks. Czerkawskiego i z nim partyi ultra-czerwonej moskiewskiej. Jednak hr. Berg nie sądził, ażeby stronnictwo to zupełnie odsunięte było od wpływu na władzę i, jak najwyraźniej dał poznać X. Biskupowi, że właśnie wobec jego zwycięstwa, od tej chwili polityka jego będzie więcej jak kiedykolwiek ostrożną, zalecał też usilnie X. Biskupowi ostrożność i wyczekiwanie. X. Biskup przedstawił wszystkie sprawy sporne w tej chwili, jak nominacya

wizytatorów klasztornych, wypłata pensyi duchowieństwu parafialnemu, protekcya rządu dawana X. Trochimowiczowi i prześladowanie różnych księży. Zapytał nakoniec hr. Berga, jaką drogą mają biskupi znosić się ze Stolicą Apostolską wobec ogłoszonego ukazu i opuszczenia Rzymu przez całą ambasadę rosyjską, pośredniczącą poprzednio w tych korespondencyach.

Hr. Berg, jak wiadomo, był mistrzem skończonym w sztuce dyplomatycznej. Opowiadają o nim, że gdy przybył podczas wypadków do Warszawy z nieokreślonym zupełnie charakterem rzeczywiście, ażeby zastąpić w. ks. Konstantego, przez kilkanaście tygodni zmuszony był zasiadać w radzie administracyjnej razem z Namiestnikiem i margrabią Wielopolskim. Ażeby w niczem jednak się nie zdradzić, udawał zawsze na posiedzeniach zaspanego, a nawet kilkakrotnie się nibyto kiwał. To mu nie przeszkadzało wybornie słyszeć wszystko, a ledwo objął władzę, naznaczał już o 5 rano ważne posłuchania, ażeby dać dowód wielkiej sprężystości i młodzieńczego zapału. I w tym wypadku wszystkie protestacye i skargi X. Biskupa hr. Berg wysłuchał, nie dając słowa odpowiedzi, chociaż bowiem postępowanie ks. Czerkawskiego nie było mu sympatycznem i pomimo tego, że dopiero co dał w Petersburgu dowody, iż osobiście był bardzo przeciwnym prześladowaniu unitów, ale wiedział dobrze, że w tych sprawach nie może odrazu poradzić. Tylko ostatnie pytanie X. Biskupa na karnecie sobie zanotował i odniósł się z niem widocznie zaraz do Petersburga. W bardzo bowiem krótkim czasie potem napisał prywatny list do X. Biskupa, donoszący mu, że Najjaśniejszy Pan sam raczył uznać konieczność ułożenia pewnych prawideł dla znoszenia się wiernych ze Stolicą Apostolską, a tymczasem polecił mu, ażeby korespondencye swoje do Rzymu przesyłał na ręce kollegium rzymsko-katolickiego w Petersburgu.

Po upadku ks. Czerkawskiego, dla zarządu spraw duchownych w Królestwie ustanowioną została osobna kancelarya, zależna wprost od Namiestnika. Na jej czele postawionym został najprzód na bardzo krótko hr. Koskul, a wkrótce

potem p. Aleksander Muchanow. Był to człowiek wtenczas jeszcze młody, inteligentny, wysoki, chudy, o czarnych włosach i oczach, z bardzo wyszukanej grzeczności formami i sposobem obejścia. Ożeniony był z bogatą córką nadwornego meklera z Petersburga, panną Felleisen. Poprzednio służył w dyplomacyi i po brutalnych jenerałach, uśmierzających powstanie w kraju, lub zapalonych głowach ideologów moskiewskich, sposób traktowania interesów zmienił się niewątpliwie na lepsze. Muchanow nie zmienił systemu samego, ale wyuczył się tej ogłady, cechującej korzystnie dyplomacyę rosyjską, nie zapomniał nawet o naukach Talleyranda, że słowo dane na to, ażeby ukryć myśli i o pierwowzorze tej szkoły hr. Ignatiewie, pośle w Stambule, którego nazwano w Europie ojcem kłamstwa. Po wywiezieniu i śmierci X. Biskupa, niebawem otrzymał posadę gubernatora w Kamieńcu podolskim, gdzie też w krótkim czasie na suchoty w zapomnieniu i pewnej niełasce życie zakończył.

Stanowisko X. Biskupa wybitne i górujące nad innymi biskupami w Kościele polskim, którem Muchanow miał rządzić, wymagało przedewszystkiem, ażeby on poznał i zbliżył się do sejneńskiego Pasterza. Zaraz też dnia 14 kwietnia 1867 r. Muchanow donosi prywatnym, bardzo grzecznym listem X. Biskupowi, po francusku pisanym, jak wszystkie jego listy, o objęciu urzędowania, a dnia 19 tegoż miesiąca, zaprasza go z polecenia hr. Namiestnika, ażeby się z nim zjechał w Łapach w pierwszej połowie maja, dla porozumienia się ustnego o wielu interesach w zawieszeniu będących. Muchanow pisze:

»Przekonany, że prawdziwe potrzeby duchowieństwa katolickiego nie są wcale w sprzeczności z widokami rządu cesarskiego, przypisuję nieporozumieniom napotykane trudności w załatwianiu niektórych spraw. Pragnąc z mojej strony przyczynić się o ile to możliwem będzie, do doprowadzenia do zupełnej harmonii między administracyą a duchowieństwem, mniemam, że porozumienie się osobiste z głównymi dygnitarzami Kościoła w Królestwie zdoła znakomicie ułatwić włożone na mnie zadanie«.

Zjazd X. Biskupa z Muchanowem odbył się nie w Łapach, ale na probostwie w Waniewie nad rzeką Narwią. X. Biskup pragnął przyjąć gościa swego nie na zimnych salach stacyi kolei, ale u siebie, u swego proboszcza, blizko kościoła, jak przystoi na polskiego Pasterza. Omówiono wszystkie prawie interesa w biegu pozostające, zgodne załatwienie wielu postanowionem zostało. Muchanow starał się przekonać X. Biskupa o swoich dobrych chęciach dla Kościoła, X. Biskup przejrzał tę naturę zwykłą i poziomą, która pod formami salonowemi kryła tylko pragnienie wywyższenia się w karyerze, brak zasad i nicość moralną. Ale po brutalnym Murawiewie i zapalonym Czerkawskim, to był pewien odpoczynek dla człowieka tej ogłady co X. Biskup i wyraz tego jego przekonania znajdujemy też zaraz w jego listach. Nie mogąc zawsze jeszcze dojeżdżać do Warszawy wskutek rozkazu ks. Czerkawskiego, ustanowił swego brata hr. Tomasza Łubieńskiego, który się był w tym czasie przeniósł do Warszawy, w rodzaju posła swego przy hr. Bergu. Teraz zaakredytował go jeszcze przy Muchanowie i polecił mu donosić sobie o sprawach utrudniających załatwienie różnych interesów, w celu uchylenia przeszkód, jeżeli to będzie możliwem, bez wywoływania korespodencyi urzędowych i więcej czasu zajmujących i zawsze niebezpiecznych. Każde nieumyślne nawet, ale niewłaściwe u nich użyte wyrażenie, mogło wywołać tak z jednej, jak z drugiej strony protestacye, skargi i walkę. I tak, zaraz po zjeździe, X. Biskup pisze:

»Kochany Tomaszu!

»Przeczytaj list mój do Ojca. Z poznania mego z Muchanowem jestem bardzo kontent. Ciebie zaakredytowałem przy nim na każden wypadek, gdzie trzeba ustnie porozumieć się, i ażebyście się zaraz poznali, przyszlę Ci pocztą jutrzejszą list i interes do niego. Już dzisiaj nie mam czasu pisać więcej.

»Bóg z nami

† *Konstanty-Ireneusz.*

»Sokoły, 13 maja 1867«.

Drugi list opiewa:

»Kochany Panie Tomaszu!

»Załączam Ci list do Muchanowa, który, proszę Cię, sam mu odnieś i powiedz mu, proszę, że stąd jadę końmi wprost pod Wołkowyszki, 300 wiorst przeszło, gdzie 17 b. m. będzie eksportacya zwłok biednej Natalki (Zygmuntowa Gawrońska, z domu ks. Ogińska, krewna Łubieńskich, *przyp.*). Nazajutrz zapewne pogrzeb, ale sądzę, że mi wypadnie parę dni zabawić z ciotką Ogińską w Pojezierzach. Proszę go z tego powodu, aby się nie dziwił, jeżeli różne papiery, które jemu zaraz po powrocie do domu mam wyekspedyować, nieco się opóźnią. Dalej już dla Ciebie. Najważniejszy z nich, dotyczący tej sprawy, nad którą tej zimy w Waniewie i w Tykocinie pracowałem, w każdym razie parę dni mi zabierze. Sądzę, że Cię Muchanow dobrze przyjmie, może będziesz mógł, *recueillir l'impression,* którą odniósł z Waniewa, to mi ją zakomunikujesz i wogóle będę Ci wdzięczny za wszystko, cokolwiek mi o nim będziesz mógł powiedzieć, a mianowicie, jaki jest jego stopień i jakie miejsce zajmował w ministerstwie spraw zagranicznych, gdzie dotąd służył. Do Laskiego (Władysława, późniejszego dyrektora banku międzynarodowego w Petersburgu, ożenionego z hrabianką Ilińską, *przyp.*), jeżeli pójdziesz, *donnez lui de mes nouvelles.* W Łapach, odwożąc na kolej Muchanowa, spotkałem się z Zygmuntem Wielopolskim, którego, tyle tylko czasu miałem, żeby rękę ścisnąć, tudzież z Funduklejem, który wyglądał niezmiernie zakłopotany, udając się do Petersburga po 35-letniej tam niebytności.

»Niechaj Bóg Tobie, żonie i wszystkiej Twej dziatwie błogosławi.

»Kochający Cię brat

† *Konstanty Ireneusz,* bp. sejneński.

»Dnia 14 maja 1867 w Sokołach.

Zaraz też tutaj przytoczymy główne ustępy z jednego jeszcze listu, bo zawiera wiele szczegółów ciekawych dla życia X. Biskupa i historyi Kościoła.

»Pojeziory pod Wolkowyszkami, 23 maja 1867 r.

»Kochany Panie Tomaszu!

»Zmarudziłem sobie tutaj daleko więcej czasu, aniżeli zamierzałem:

»1-o dlatego, że pogrzeb odbył się dopiero w poniedziałek, zamiast w piątek.

»2-o że zaziębiwszy się dostałem grypy, z której potrzeba mi było się wyleczyć, już dzisiaj prawie zdrów jestem. Dzisiaj też wyjeżdżam rozstawnymi końmi, mam nadzieję stanąć jednym dniem w domu, choćby późno. Odebrałem tutaj dwa Twoje listy z dnia 5 i 9 maja i bardzo Ci za nie dziękuję. Ale ze szczególną niecierpliwością oczekuję następnego, który będzie zapewne odpowiedzią na mój list pisany po konferencyi waniewskiej i powiesz mi, czy byłeś u Muchanowa, czy zawiązałeś z nim takie stosunki, któreby Ci pozwoliły bywać często i o moich interesach z nim poufnie gadać. Jeżeli wszedłeś na tę drogę, to mógłbyś mu kilka faktów opowiedzieć, które w szybkim przejeździe przez dyecezyę, uwagę moją zwróciły. W przeciwnym razie, *ne forcez pas les choses*, ja sam do niego napiszę.

»1-o W Łomży poznałem nieco bliżej nowego gubernatora i zaraz wytoczyła się następująca sprawa. Z pułku stojącego w Łomży zdarzyło się kilka wypadków dezercyi i to Kurpiów, niedawno zaciągniętych, którzy, mając blizko rodziny swoje w nadgranicznych powiatach, z tego skorzystali. Śledził specyalnie ten interes naczelnik ziemskiej straży kolenskiego powiatu, niejaki Bieliński, który, będąc dawniej ucząstkowym w Wysokiem Mazowieckiem, wielu okrutnie dał się we znaki. Ten więc X. Dziekońskiego, proboszcza w Lipnikach w centrum będącego, zamierzył użyć do ułatwienia sobie poszukiwań. Dobrze nie wiem, czego właściwie żądał i co mu X. Dziekoński odpowiedział, bo są odmiany w sprawozdaniach, a nie byłem w stanie wszystkie osoby sam osobiście wysłuchać. Ale wiem z pewnością, że żądał jakiegoś odezwania się w tej materyi z ambony i zdaje się, że mianowicie tego, aby obwieścił, ażeby ci, którzy dezertowali, powrócili

dobrowolnie, i że im w takim razie nic nie będzie, tudzież, aby im rodziny nie pomagały do tego występku. X. Dziekoński podobno zażądał, aby mu to polecenie dał na piśmie, a z pewnością żądaniu nie uczynił zadosyć, za co przez tego Bielińskiego podanym został Gubernatorowi, jako człowiek nieprzychylny rządowi. X. Dziekońskiego znam i wiem, że takim nie jest. Gdy więc Gubernator o tem mi mówił, mocno się za nim ująłem, opierając się na rozporządzeniu przezemnie wydanem jeszcze w czasie powstania, zabraniającem wszelkiego ogłoszenia, prócz tego, co w prawie lub w moich rozporządzeniach wskazanem jest. Prosiłem więc Gubernatora, jeżeli mu jakie wyjaśnienia są niezbędne, aby się zniósł ze mną, a żądanie Bielińskiego uznałem za zupełnie nieodpowiadające tym warunkom. Zdaje mi się, żem Gubernatora przekonał, chciałbym wszakże, ażeby Muchanow w przypadku, gdyby sprawa dalej poszła, był o tem uprzedzony.

»2-o. W Suwałkach miałem prawdziwą pociechę. Wiesz, że tak się zrujnowała tam stara plebania, że już ją opuścić musiano. Na mieszkanie dla księdza najęli dom, a anszlagi *plus minus* na 15.000 rs. poszły do rządu gubernialnego. Tymczasem z drugiej strony plebanii przyległy do niej dom obszerny i wygodny, należy do żyda, który go chce sprzedać. Parafianie, mianowicie wiejscy, *sua sponte*, weszli z nim w umowę, ugodzili za 9.000 rs., do których kilka tysięcy na restauracyę przyjdzie doliczyć i podali prośbę do Gubernatora, prosząc o pozwolenie zrobienia na ten cel składki parafialnej. Jest to bardzo pocieszający, a w mojej dyecezyi drugi z rzędu objaw tego ducha samoistnego, samopomocy, który powinien ożywiać dozory kościelne i interesa parafialne, o których z Muchanowem mówiłem.

»3-o. W Maryampolu zastałem stan rzeczy, o którym radbym, abym również był jaknajprędzej poinformowany. W tamtejszem gimnazyum, z początkiem roku szkolnego wprowadzono katechizm w ruskim języku, zupełnie akatolicki. X. Prefekt z mego polecenia wszystkie egzemplarze, które z obowiązku każden uczeń był kupił, powyciągał z cyrkulacyi, *absque strepitu*. Ale znalazłszy sposobną porę mocno

się na to żaliłem panu Muchanow, który sprawiedliwą tę skargę uznał i o tem z panem Witte mówić obiecał. Otóż chciałbym, żeby wiedział, że obecnie na przedłożenie tegoż prefekta, rada dyrekcyi zgodziła się na przyjęcie katechizmu X. Stacewicza. Przedmiot więc mojej skargi przeszedł. Ale jest to nowym dowodem, z jak niesłychaną lekkomyśnością wtedy nawet, kiedy bez złej woli przedmiot religii traktowanym jest w zarządzie wychowania publicznego.

»Oddawca niniejszego pan Mieczysław Gawroński, kuzyn naszego, trzy dni tylko w Warszawie bawi i wraca do Sejn, gdzie mam nadzieję, że mi listy od Was przywiezie. Proszę Cię, ażebyś mi zwrócił ten list, którego kopii nie zachowałem, szczególnie jeżeli o interesach z Muchanowem mówić będziesz.

»Do serca Cię przytulam. Bóg z Wami i Jego łaska święta. Najprzywiązańszy brat

† *Konstanty-Ireneusz*, bp. sejneński«.

Pomimo pojednawczego usposobienia Muchanowa i bardzo ważnych usług, które hr. Tomasz Łubieński swym spokojem i łagodnością bratu oddawał, nieporozumienia musiały nastąpić, walka była nieuniknioną. Sam Muchanow w liście prywatnym z dnia 19 października 1867 r. daje temu wyraz. Odpowiadając na list jakiś X. Biskupa, pisze jak następuje:

»Zapewniam, że nie mam wcale za złe Waszej Ekscellencyi tak ostrej obrony przedstawionych zasad. Ale nasze punkta widzenia są zupełnie odmienne, nasze przekonania zasadnicze nie mogą być takie same. Ja przeto upatruję w tem tylko konieczną potrzebę łagodzenia, tak z jednej jak z drugiej strony tego, co niezbędnie wymagania stanowisk, jakie zajmujemy, nam nieubłaganie i absolutnie narzucają. Wasza Ekscellencya nie jesteś biskupem średniowiecznym, a ja nie jestem radykałem szkoły teraźniejszej. Wasza Ekscellencya nie potępia absolutnie cywilizacyi tegoczesnej, zaczerpnąłeś z niej obficie różne rzeczy, które podnoszą i uszlachetniają razem i kształcą charakter ludzi politycznych. Wiesz, że postęp jest dziełem Opatrzności, która nie może wyłączyć tylko Kościoła

z pod ogólnego prawa. Stąd wielka stałość w wierze. »*Divinae institutionis*« — ale też światłe ocenienie naleciałości nagromadzonych z czasem przez ludzi ze względu na okoliczności i na warunki bytu, dziś już przestarzałe. Co do mnie, to kierując się przedewszystkiem *ratione status,* wiem, jak zgubnemi są dla narodów zachwianie wiary, zwycięstwo odniesione nad nią przez zobojętnienie i nastawanie socyalistycznych nowatorów na podstawy porządku społecznego. Nauki, jakie mam pod tym względem daly czasy niedawno upłynione, nakazują mi jak największą roztropność w kierowaniu interesami powierzonymi mi obecnie. I Wasza Ekselencya raczy zapewnie oddać mi sprawiedliwość w tem, że jeżeli silnie obstaję przy mojem zdaniu w sprawach, w których, podług mojego przekonania, prawa państwa powinny mieć przewagę nad przestarzałymi przywilejami Kościoła, to przestrzegałem dotychczas największej wstrzemięźliwości we wszystkiem, co wchodziło w zakres czysto religijny«.

Równocześnie z temi sprawami biegła równolegle wielce w kraju naszym drażliwa i doniosła sprawa unicka. Nie może być rzeczą obojętną poznajomić się, jak X. Biskup zapatrywał się i działał w tej pierwszorzędnego znaczenia materyi. Jeszcze w r. 1866 z dnia 11/23 maja Nr 74, ks. Czerkawski przesłał do biskupów cyrkularz, w którym wezwał ich, ażeby wydali rozporządzenie do duchowieństwa rytu łacińskiego, lub względnie grecko - unickiego, zabraniającego księżom jednego obrządku odprawiania Mszy św. w kościołach drugiego obrządku i brania udziału w nabożeństwach w nich odbywanych; zabraniające udzielania Sakramentów osobom do drugiego obrządku należącym i nakazujące uformowania spisu osób ochrzczonych w kościołach jednego obrządku, chociażby ich rodzice do drugiego obrządku należeli. W granicach dyecezyi sejneńskiej było ośm parafii unickich, a więc ten cyrkularz obchodził także X. Biskupa. Przewidując jednak, ku czemu takie rozporządzenie rządu zmierza, X. Biskup starał się przedewszystkiem zyskać na czasie. Nie wydawał zatem żadnego rozporządzenia pomimo kilkakrotnych urzędowych napomnień i nalegań. Jak X. Biskup wogóle zapatrywał się

na sprawę unicką w kraju, najlepiej osądzić możemy z niżej przytoczonego własnoręcznego, iście wspaniałego jego listu. Kiedy po kraju rozeszła się wiadomość, że X. Biskup Benjamin Szymański wydał żądane przez rząd rozporządzenie, tak do niego X. biskup Łubieński pisze:

»Excellentissime et Reverendissime Domine!

»Cyrkularz przysłany mi przez J. O. księcia Dyrektora głównego z dnia 11/23 maja 1866 r. za Nr 74, który niewątpliwie doszedł i rąk Waszej Ekscellencyi, podaje mi sposobność do niniejszego odezwania się do Waszej Ekscellencyi.

Tym cyrkularzem J. O. Książę dotknął przedmiotu niezmiernej dla nas wagi — a mianowicie wzajemnych stosunków obojga wiernych obrządków, w tych szczególniej miejscowościach, gdzie oni pospołu mieszkają. Stanowisko, z jakiego się J. O. Książę na ten przedmiot zapatruje, tudzież postanowienia, jakie w tym przedmiocie wydaje, obszerniejszego wymagałyby rozbioru i dałyby powód do uwag, którebym pragnął Waszej Ekscellencyi przedstawić, ale wyczerpanie których w niniejszem piśmie więcejby czasu wymagało, aniżeli go dzisiaj w podróży użyć mogę. Wszakże znajduje w nim ustęp, który za pierwszem zaraz wejrzeniem w oko mi się rzuca, bo w nim J. O. Książę, chociaż mimochodem, jednak z pola karności kościelnej wkracza na pole czysto dogmatyczne.

»Wymieniając bowiem motywa do nowych postanowień, J. O. Książę tak się wyraża, że z drugiej strony byłoby niesprawiedliwą rzeczą srogo karać nawróconych greko-uniatów, zwłaszcza z tego powodu, że przechody z greko-uniackiego wyznania na rzymsko-katolickie, czynią się po większej części zupełnie nierozważnie ze strony samych przechodzących, którzy po największej części należą do niższej wiejskiej lub miejskiej klasy, i w których już dawno rozwija się przekonanie przez rzymsko-katolickie duchowieństwo wpajane, że między obydwoma wyznaniami niema żadnej istotnej różnicy, oprócz tylko powierzchownej zmiany w obrządkach« (str. 7-a) i w innem miejscu także mimochodem J. O. Książę mówi »o teo-

ryi sztucznie przez rzymski dwór podtrzymywanej, zupełnej jedności i nie różnicy obojga Kościołów« (str. 8-a).

»Z tych ustępów okazuje się, że J. O. Książę Kościół łaciński i Kościół unicki, za dwa różne pomiędzy sobą uważa Kościoły, i że oprócz różnicy obrzędu, inne jeszcze pomiędzy nimi widzi różnice, czem stawia się wyraźnie w przeciwieństwie z dogmatem wiary w symbolu drugiego soboru konstantynopolitańskiego, jasno w ten sposób wypowiedzianym: »wierzę w jeden święty, powszechny i apostolski Kościół«. Wprawdzie J. O. Książę zdania swe mimochodem tylko wynurza i jakoby własne teorye podaje, z wielu względów jednakżeż nie zdaje mi się, aby to jego twierdzenie milczeniem pominąć należało i owszem, co do mnie przynajmniej, poczuwam się w tych okolicznościach do obowiązku zaleconego przez Chrystusa Pana Apostołom i uczniom przed samem Jego Wniebowstąpieniem, »aby mu świadkami byli w Jeruzalem i po wszystkiej Judzkiej ziemi, i w Samaryi i po ostatni kraniec świata«, i żadnej nie mam wątpliwości, że się to błędne twierdzenie nie zdoła ostać wobec jednomyślnego świadectwa, jakie na cześć świętej jedności, ze wszystkich świata katolickiego krańców podniosą zjednoczeni w duchu miłości i posłuszeństwa z Głową widomą Kościoła, biskupi i wierni Chrystusowi.

»Oprócz tego błędu dogmatycznego, wyżej zacytowany ustęp cyrkularza J. O. ks. Dyrektora głównego, obejmuje jeszcze dwa twierdzenia, które także uważam za błędne i dla nas krzywdzące. A najprzód, zamierzając odpowiedzialności poszukiwać głównie na kapłanach łacińskich, za przejście z obrządku unickiego na łaciński, J. O. Książę to postępowanie w ten sposób motywuje, że te przejścia po większej części czynią się nierozważnie ze strony samych przechodzących, którzy po największej części należą do niższej, wiejskiej lub miejskiej ludności. To twierdzenie z wielu miar jest błędnem, a najprzód historycznie.

»Jeżeli bowiem komu cześć oddać należy, że w przywiązaniu do swego obrzędu, tak zgodnem z duchem katolickim, przez Kościół tak zawsze zalecanem, okazał się wier-

nym i niezachwianym, to w naszym kraju tym niższym słojom społecznym. Opłakiwać raczej należy, że wyższe domy, które u nas niegdyś tak licznie do obrządku uniackiego należały, takowy z postępem wieków opuściły, pod wpływem okoliczności od Kościoła po większej części niezawisłych i z nie małą krzywdą Unii świętej i całego Kościoła.

»Nie mniej się J. O. Książę myli, uważając tę niższą, wiejską i miejską ludność, jako mniej sposobną do rozważnego postępowania w rzeczach wiary — to twierdzenie w mojem przekonaniu bardziej je krzywdzi, aniżeliby to uczynić mogły kary pieniężne lub inne. Prawdy bowiem święte wiary w tem się różnią od teoryi naukowych, że lubo najwyżej ukształcone umysły zaspakajają, nie mniej jednak są dostępne i dla wszystkich, którzy tylko z prostotą serca, Boga i prawdy szukają. Na to właśnie Syn Boży stał się człowiekiem, aby je dla nich przystępnem uczynić — owszem pokora i prostota serca, lepiej zazwyczaj uspasabiają do ich przyjęcia, aniżeli wykształcenie umysłu, od zasad Boskich odstępujące. I dlatego to właśnie Chrystus Pan błogosławi Ojcu, że te prawdy zataił przed mądrymi i potężnymi, a objawił je maluczkim.

»Nie mniej nareszcie myli się J. O. Książę, pomijając zupełnie powody nieraz ważne, któreby do przejścia z obrządku na obrządek, słuszną dawały przyczynę, jeżeliby takowe nie było nastąpiło samowolnie, ale w przewidzianym przez prawo porządku, przypisując wszelkie przejścia, jakoby fanatycznemu prozelityzmowi duchowieństwa łacińskiego. Jeżeli duchowieństwo łacińskie zaciągnęło jakie winy względem Unii świętej, od których wstecz pozierając, nie sądzę, aby je uwolnić można, to nie zdaje mi się bynajmniej, aby fanatyczny prozelityzm był mianowicie charakterem tej winy — mnie się przynajmniej z takowym nigdzie spotkać nie zdarzyło. Panu Bogu wszakżeż dziękuję, że skutkiem Jego zrządzenia, obojętność, grubą niewiadomość i niechęć względem wszystkiego tego, co się spraw Unii świętej dotyczy, które tak długo opłakiwać musieliśmy, widzimy obecnie powoli ustępujące a wzra-

stające, natomiast cześć i miłość ku niej coraz świadomsze i coraz głębiej w serca sięgające.

»W tym kierunku Wasza Ekscellencya nam przodowałeś, tem przykrzej więc było dla mnie czytać w cyrkularzu to, co się w nim dotyczy jego listu pasterskiego w tym przedmiocie wydanego. Pragnąłbym dokładne mieć informacye o wszystkiem, co tego listu dotyczy i dlatego niezmierniebym był Waszej Ekscellencyi wdzięczny, jeżelibyś Excellentissimus Dominus raczył nadesłać mi jeden jego egzemplarz, jako też kopie korespondencyi, jakie w tym przedmiocie bądź z komisyą rządową, bądź też z Biskupem chełmskim (unickim. *przyp.*) prowadziłeś. Niemniej byłbym mu wdzięczny, jeżeliby mi swój sposób zapatrywania na wyż zacytowany cyrkularz, wynurzyć raczył. Niezmiernie żałuję, że dotąd znikąd żadnej nie mogłem powziąć wiadomości co do punktów ułożonych względem wzajemnych stosunków wiernych obojga obrządków w czasie jednoczesnego pobytu arcybiskupów lwowskich, *utriusque ritus.*

»Racz Wasza Ekscellencya wybaczyć pospiech i nieład listu w podróży i dorywczo pisanego, a do odczytania którego czasu mi nawet nie pozostaje.

»Siebie i wszystką dyecezyę moją polecając modłom i błogosławieństwu Waszej Pasterskiej Mości, pozostaję z największem uszanowaniem (odtąd własnoręcznie dopisane *przyp.*) i najwierniejszą uległością Waszej Ekscellencyi najniższym sługą i najprzywiązańszym synem w Chrystusie

† *Konstanty Ireneusz*, bp. sejneński.

»Łomża, dnia 25 czerwca 1866 r.«

Trwając ciągle w odpornem stanowisku do rządu w tej sprawie X. Biskup, pisze do brata swego do Warszawy:

»Kochany Panie Tomaszu!

»Proszę Ciebie bardzo, ażebyś się dokładnie dowiedział i doniósł mi jak najspieszniej, czy i jak *quoad modum procedendi*, w dyecezyach warszawskiej, lubelskiej i podlaskiej, spełnionym został rozkaz oddawania metryk i innych doku-

mentów, dotyczących unitów. Wiadomości w tym przedmiocie czekam od Ciebie przez Dmóchowskiego.

»Niech Wam Bóg błogosławi

† Konstanty Ireneusz, bp. sejneński.

»Dnia 7 sierpnia 1867«.

W liście prywatnym, pisanym do X. Biskupa dnia 19 października 1867 r., pan Muchanow naglił go jeszcze o to, pisząc, że »od roku już, jak ten cyrkularz ks. Czerkawskiego został rozesłany, a X. Biskup dotychczas nic nie przedsięwziął, ażeby się do niego zastosować, że jego nieprzyjaciele korzystają z tej zwłoki, ażeby go pod najgorszymi kolorami rządowi przedstawić, — że X. biskup Benjamin nawet, który uchodził za najgorliwszego latinizatora unitów, nie zawahał się w wydaniu podwładnemu sobie duchowieństwu rozkazów wskazanych w cyrkularzu ks. Czerkawskiego«.

Podczas podróży swojej z hr. Bergiem z Łap do Małkini, X. Biskup bardzo energicznie ujmował się za prawami unitów i za ich niepodzielnością z rzymskim Kościołem. Że to samo uczynił za pierwszem spotkaniem się z Muchanowem, mamy dowód w liście tego ostatniego z dnia 19 października 1867 r., w którym do X. Biskupa pisze, winszując w tym liście X. Biskupowi i sobie, »że skutkiem ówczesnych otwartych i jasnych wzajemnych porozumień, usunęli już wiele trudności, które się poprzednio nieprzezwyciężonemi zdawały«, dodaje »ale wyznaję Waszej Ekscellencyi, że z jednego punktu naszych rozmów wcale zadowolony nie byłem, mianowicie w przedmiocie sprawy unitów. Wasza Ekscellencya powiedział mnie natenczas, że w jego oczach ta sprawa najważniejszą była ze wszystkich, że ją bardzo dokładnie wystudyowałeś nietylko dla własnego użytku, ale także dla objaśnienia o niej rządu w specyalnym i szczegółowym memoryale; ja nie przyznaję się do dokładnej znajomości tej materyi, a jednak Wasza Ekscellencya nie zdołałeś mnie przekonać żadnym poważnym i stanowczym argumentem. Wasza Ekscellencya widzi, że wyrażam się bardzo otwarcie, wiedząc, że się o tę moją otwartość nie urazisz. Zresztą zdaje mi się, że mogę *a priori* twierdzić,

iż w kontrowersyi nad cyrkularzem, przez ks. Czerkawskiego w tym przedmiocie wydanym, zabraknie Waszej Ekscellencyi podstawy logicznej. A to dlatego, że wymagania rządu są w najdrobniejszych nawet szczegółach zgodne z bardzo wyraźnymi przepisami, objętymi bullami papieskiemi«

W prywatnej rozmowie w Waniowie X. Biskup obiecał napisać do rządu obszerny memoryał o sprawie unitów. Muchanow listem z dnia 28 czerwca 1867 r. o ten memoryał się upominał, a jak widzimy, jeszcze dnia 26 października tego roku go nie otrzymał. W papierach przez X. Biskupa zostawionych nie mamy śladu wysłania tego memoryału, prawdopodobnie dlatego, że po konfiskacie jego papierów, wszystkie te dokumenta starannie uchylone zostały, boć nie można przypuszczać, ażeby X. Biskup nie korzystał z pozwolenia i nalegania, ażeby nie wystąpić z jak najgorliwszą i najwymowniejszą obroną Unii świętej.

Po wywiezieniu X. Kalińskiego, biskupa chełmskiego unickiego, który poprzednio był żonatym i już wdowcem będąc został władyką, X. biskup Łubieński zajął się gorliwie pozostałemi jego dziećmi, którzy pod jego opiekę się udali. Z następcą jego, tak smutnej pamięci X. biskupem Kuziemskim, wszelkimi sposobami starał się doprowadzić do spotkania, ażeby wobec rządu i świata podnieść jedność wiary w dwóch obrządkach i podać sobie ręce do jednomyślnej obrony prawdy i dusz owieczek im powierzonych. X. biskup Kuziemski starannie jednak unikał spotkania się z X. biskupem Łubieńskim, zawsze wynajdując nowe do tego powody, aż nareszcie, jak później zobaczymy, w stanowczej chwili od Łubieńskiego się odwrócił. X. biskup Kuziemski był jednym z najsmutniejszych osobistości, zrodzonych na niezdrowym gruncie agitacyi rusińskich w Galicyi. Nie miał odwagi posunąć się do odszczepieństwa, jak O. Naumowicz, ale brednie i banialuki ludzi ze szkoły X. Kaczały, o ucisku Rusinów przez Polaków, brał naseryo. Sprowadzony przez rząd rosyjski z Galicyi na ostatniego władykę chełmskiego, przysposobił całą dyecezyę swoją do schyzmy, a gdy wszystko było już gotowe, odepchnięty przez samych Rosyan, uciekł lasami,

nibyto potajemnie, do Austryi napowrót. Tam zamieszkał wzgardzony od przyjaciół i nieprzyjaciół i pomimo, że rząd rosyjski wypłacał mu do śmierci całą pensyę, trawił czas na żebraniu u Propagandy w Rzymie i u rządu austryackiego o subsydya. Byliśmy świadkami, z jaką głęboką pogardą przyjmował go namiestnik Galicyi hr. Agenor Gołuchowski. Wstrętna osoba władyki, — który nie umiał być heretykiem, być męczennikiem nie mógł, zatraciwszy dusz miliony, myślał tylko o lepszej dla siebie strawie i większych w życiu wygodach, — powinna być odstraszającym przykładem dla braci Rusinów w Galicyi. Jedność wiary z Polakami w dwóch obrządkach, jest jedyną obroną ich narodowości i możliwego samobytu w przyszłości.

X. Biskup do końca nie ustąpił przed naleganiem rządu i wymaganej takiej odezwy do duchowieństwa swego nie wydał. Ale widząc jasno, do czego rząd rosyjski zmierza, pomny na te miliony braci unitów, do odszczepieństwa zaciągniętych przez Katarzynę, Aleksandra I i Mikołaja, wydał tajemne instrukcye do księży swej dyecezyi, ażeby w przypadku, — gdyby ich władze rządowe zmuszały do układania i przedstawiania rządowi, albo proboszczom unickim, spisu osób, należących do obrządku łacińskiego, a które podług zasad przez rząd wskazanych, do obrządku grecko-unickiego należećby powinny; — spisy te układali w sposób następujący: ażeby nietylko wszyscy ci, co do których mogłaby zachodzić wątpliwość, do jakiego obrządku należeć powinni, ale nawet o ile być może, najwięcej, najwyraźniejszych unitów do parafian obrządku łacińskiego zaliczonymi zostało, jak niemniej, ażeby się jak najmocniej upominali o zwrot do zależności od parafii łacińskich wszystkich osób, które przypadkowo mylnie za parafian unickich poczytywanemi były.

Postępowanie to X. Biskupa nie było z wyraźnymi kanonami Kościoła, podług których przechodzenie osób z jednego obrządku na drugi, tylko za osobnem pozwoleniem Stolicy świętej dozwolonem jest. Dlatego X. Biskup posyłając niebawem, jak zobaczymy, brata swego hr. Tomasza do Rzymu, polecił mu starać się o uzyskanie aprobaty od Stolicy Apo-

stolskiej dla tego jego postępowania. Hr. Tomasz napotkał pod tym względem w Rzymie na jak największe w świecie trudności i dopiero po bardzo długich i mozolnych staraniach uzyskał dla X. Biskupa pozwolenie przyłączenia tych unitów do obrządku łacińskiego, ale tylko w ściśle ograniczonej liczbie. W Rzymie trzymano się ściśle litery prawa, X. Biskup, który wyżej stawiał zbawienie pojedynczych dusz, od martwych kanonów, z tego potopu, który miał niebawem pochłonąć resztę unitów pod berłem rosyjskim, chciał *per fas et nefas*, co się da, uratować. A kreśląc te ostatnie chwile Kościoła Pocieja, Terleckiego, Jozafata i Boboli, słuszność nakazuje nam sławić postępowanie X. biskupa Łubieńskiego, tem więcej, gdy napróżno rozglądamy się o czyn temu podobny, wśród współczesnych jemu polskich biskupów i widzimy tylko niepojętą, że nie powiemy grzeszną słabość i uległość. On był gotów także i za Unię życie swoje oddać.

Biedna i nieszczęśliwa zawsze archidyecezya warszawska, raz na fałszywą drogę wprowadzona, nie mogła do równowagi wrócić. Ciągle nowe trudności, zawikłania i prześladowania tam następowały, a jedna z tych okoliczności znowu odbiła się w tych czasach na X. biskupie Łubieńskim. Rzecz tak się miała. Wspomnieliśmy już o trudnościach, które w Warszawie miały miejsce po wywiezieniu X. nominata Rzewuskiego i nielegalnym wyborze X. prałata Zwolińskiego na administratora przez kapitułę, pomimo nominacyi na ten urząd X. kanonika Szczygielskiego przez X. arcybiskupa Felińskiego. Ks. Czerkawski opierał swój nacisk na kapitułę metropolitalną na przepisach prawa kanonicznego, w których najwyraźniej napisanem jest, że skoro biskup dyecezyalny przez pogan lub heretyków uwięzionym lub wydalonym jest, kapituła do wyboru administratora przystąpić winna. X. kanonik Szczygielski złożył na ręce ks. Czerkawskiego prośbę do Stolicy Apostolskiej o uwolnienie go od administracyi archidyecezyi i zawiadomił jednocześnie, że kapituła w przypuszczeniu, że Ojciec św. do prośby jego przychylić się raczy, prosi o mianowanie i potwierdzenie na admi-

nistratora X. kanonika Zwolińskiego, który już właściwie zarząd objął i sprawował. Oprócz tej prośby, która urzędową, drogą przesłaną być miała do Rzymu, X. kanonik Szczygielski udał się także drogą sekretną do Ojca św. Na ten drugi list odpowiedź Ojca św. udzieloną została ustnie przez pewną osobę X. biskupowi Łubieńskiemu dla dalszego jej podania X. kanonikowi Szczygielskiemu. Ten ostatni, prawdopodobnie wskutek denuncyacyi X. Zwolińskiego, przez rząd uwięzionym został.

Osobna komisya śledcza pod przewodnictwem pułkownika Tuchołki, ustanowiona została, ażeby sprawę X. kanonika rozpatrzeć. W badaniach przed tą komisyą X. kanonik Szczygielski zobowiązanym został najprzód do złożenia przysięgi na prawdziwość swoich zeznań, a następnie objaśniając swoje postępowanie, tłomaczył je nietylko prawem kanonicznem i instrukcyami otrzymanemi jeszcze od X. arcybiskupa Felińskiego, ale także instrukcyami szczegółowemi, jakie z Rzymu otrzymał przez X. biskupa Łubieńskiego. Wobec tego nowego czynnika do procesu wprowadzonego, komisya śledcza oczywiście musiała do X. Biskupa się zwrócić. Ale hr. Berg nakazał odmienny nieco sposób śledztwa. Dla dogodności, jak mówił, X. Biskupa, i ażeby rzekomo nie trudzić go do Warszawy, polecił Tuchołce śledztwo przeprowadzić przez korespondencye. W istocie hr. Berg niechętnie widział, gdy X. Biskup do Warszawy przyjeżdżał i mawiał, że zawsze jego bytność, odwaga i rzutkość, kłopotów dla niego jest powodem. Cóż dopiero, gdyby tak wybitna osobistość w stolicy kraju do śledztwa była przywołaną? Cała sprawa nabrałaby odrazu europejskiego znaczenia, a po tak otwartej bitwie, czy z jednej, czy z drugiej strony, nastąpiłyby śmiertelne rany, albo wywiezienie Biskupa, albo upadek kilku urzędników państwa, jeżeli już nie zachwianie stanowiska samego hr. Namiestnika, jak to stało się z Murawiewem. O wiele wygodniej, spokojniej i bezpieczniej dla obu stron, sądził hr. Berg, było listownie sprawę wyjaśnić i przeprowadzić. Komisya śledcza zażądała wskutek tego od X. Biskupa tłómaczenia w przedmiocie jego stosunków ze Stolicą

Apostolską. X. Biskup odpowiedział jej na to, że miewa rzeczywiście stosunki ze Stolicą Apostolską, i że miewać je zawsze będzie, bo biskupi katoliccy muszą się bardzo często z nią znosić. W swojej odezwie pominął zupełnie milczeniem, czy mowa jest o korespondencyach odsyłanych i odbieranych drogą urzedową, czyli o takich, które drogami tajemnemi dochodzą. Natenczas komisya w początkach marca 1867 r. zażądała od X. Biskupa przedstawienia jej tej korespondencyi z Rzymem. X. Biskup na to stanowczo odmówił jej wydania tej korespondencyi, zaprzeczając komisyi kompetencyi do czynienia takiego żądania, podług praw bowiem, natenczas jeszcze istniejących, tylko rada stanu byłaby mogła z takiem żądaniem do niego wystąpić. Komisya jednak ponowiła to swoje żądanie, dodając, że to czyni z rozkazu hr. Namiestnika. Ale z tej odezwy komisyi niewiadomem było, czy ona żąda przedstawienia korespondencyi tyczącej się tylko sprawy X. Szczygielskiego, czy także wszystkich innych? czy tylko tych korespondencyi, które X. Biskup otrzymał drogą urzędową, czy także i tych, które drogami prywatnemi go doszły? Dlatego raz jeszcze X. Biskup odpisał komisyi, że jej nic nie wyda.

Równocześnie jednak przestrzeżony przez osobę przychylną, że postanowiono całą korespondencyę, podczas najbliższego jego z domu wyjazdu, nibyto przez rozbójników, dla rządu wykraść, X. Biskup starannie ją sam przejrzał i tę część, którą nie chciał, ażeby w ręce rządu wpadła, sam z sekretarzem w swoim piecu spalił. Wtenczas napisał list prywatny do hr. Berga, w którym powtórzył protest przeciwko żądaniu komisyi śledczej, zaprzeczając jej kompetencyi nietylko żądania od Biskupa udzielenia jej korespondencyi jego ze Stolicą Apostolską, ale i rozpatrywania takowej; przyznał, że prawa monarchy i jego namiestnika są w tej mierze inne; zastrzegł jednak, że Biskup mógłby być w obowiązku odmówienia pokazania ich nawet monarsze; że X. Biskup bardzo jest szczęśliwym, że żadnej tego rodzaju korespondencyi nigdy nie był w potrzebie prowadzić, dlatego nic nie ma prze-

ciwko przedstawieniu jemu, Namiestnikowi, papierów, których udzielenia sobie komisya śledcza domagała się; że w tym celu przesyła mu dwa wolumina tych korespondencyi, jeden z otrzymanemi drogą urzędową, drugi drogą prywatną; że chociaż komisya śledcza tych ostatnich nie wymagała wyraźnie, ale oczywiście nie mogła się upominać o korespondencye drogą oficyalną otrzymane, tych kopie bowiem prawdopodobnie znajdują się w aktach władz rządowych.

Ten list X. Biskupa do hr. Berga i te dwa fascykuły akt, każdy w oddzielnej kopercie, hr. Tomasz Łubieński sam odwiózł do Warszawy i osobiście wręczył Namiestnikowi. Hr. Berg odebrawszy te papiery, kazał hr. Tomaszowi za parę dni do siebie znowu powrócić. Natenczas na prywatnej audyencyi powiedział hr. Tomaszowi, że X. Biskup bardzo niewłaściwie postępuje, używając drogi prywatnej dla korespondencyi ze Stolicą Apostolską, tem bardziej, że wszystkie przedłożone jemu korespondencye, które sam starannie przejrzał, byłyby mogły bez żadnej trudności przejść drogą urzędową. Na to hr. Tomasz odpowiedział Namiestnikowi, że jakkolwiek rząd ułatwia biskupom stosunki ze Stolicą Apostolską, podejmując się przesyłania ich korespondencyi, to jednak i inne prywatne drogi nie są im przecież zamknięte, gdyż żadne prawo, ani nawet żaden przepis administracyjny w Królestwie obowiązujący, nie zabrania im znoszenia się *directe* ze Stolicą św. Było to jeszcze przed ogłoszeniem ukazu z dnia 10 maja 1867 r., polecającego kollegium petersburskiemu pośredniczyć między biskupami a Stolicą Apostolską.

Namiestnik nie zwrócił hr. Tomaszowi Łubieńskiemu zaraz tych papierów, ale przesłał je dopiero nieco później w kopercie, własną pieczęcią zabezpieczonej, X. Biskupowi. Oddzielną odezwą z dnia 16/28 czerwca 1867 Nr 287, doniósł mu urzędownie, że przy przedstawieniu Najjaśniejszemu Panu śledztwa w sprawie X. Szczygielskiego, cesarz raczył rozkazać ze względu na art. I najwyższego rozkazu z dnia 17 maja 1867 r. zaprzestać wszelkiego dalszego dochodzenia tego interesu przeciwko X. Biskupowi. W tejże samej ode-

zwie jednak hr. Namiestnik zawiadomił X. Biskupa, że nadal powinien wystrzegać się wszelkich stosunków wprost ze Stolicą Apostolską pod rygorem kar prawem przepisanych i natychmiastowego wywiezienia do bardziej oddalonych gubernii cesarstwa. Przestroga ta hr. Berga była zresztą zbyteczna, pomiędzy datą bowiem oddania tych papierów Namiestnikowi w kwietniu 1867 r. a datą tej odezwy Namiestnika w czerwcu 1867 r., ogłoszonym został ukaz cesarski dnia 10 maja 1867 r., zabraniający biskupom znoszenia się wprost ze Stolicą Apostolską, pod rygorem wywiezienia ich w głąb Rosyi. W odpowiedzi na to X. Biskup natychmiast zajął się ułożeniem obszernego memoryału, na podstawie przepisów obowiązujących w Królestwie, dowodzącego prawa biskupów do znoszenia się ze Stolicą Apostolską, płynącego z obowiązku ich sumienia i pasterskiej powinności. W jakich jednak warunkach zużytkował ten memoryał, który w jego papierach w całości pozostał i komu właściwie go wręczył, tego odnaleść dotychczas nie zdołaliśmy.

Pisaliśmy już powyżej, że hr. Berg uwiadomił X. Biskupa, że z woli samego cesarza, po zerwaniu konkordatu, winien się znosić z Rzymem za pośrednictwem kollegium petersburskiego; X. Biskup dokładnie wiedział, że to kollegium w samej rzeczy niczem nie było, jak rodzajem stacyi przesyłkowej różnych korespondencyi, i że chociaż jego istnienie, a raczej atrybucye prawami państwowemi nadane, stanowiły sprawę sporną pomiędzy Stolicą Apostolską, a rządem rosyjskim, ale wiedział, że Rzym żadnym jeszcze aktem publicznym instytucyi tej nie potępił.

Ukaz cesarski z dnia 10 maja 1867 r. nadaje właśnie temu kollegium atrybucye pośredniczenia w stosunkach między biskupami cesarstwa i Królestwa Polskiego a Stolicą Apostolską i powtarza służące już pozornie temu kollegium prawo oceniania, czy prośby przez biskupów do Stolicy Apostolskiej podawane, potrzebują rzeczywiście być przez nią decydowanemi, czyli też nie mogłyby być załatwionemi miejscowymi środkami, jak również czy nadchodzące od Sto-

licy Apostolskiej odpowiedzi i rozkazy, nie obejmują nic przeciwnego przywilejom najwyższej cesarskiej władzy i zasadom, których się rząd trzyma, czy je przeto można przesłać biskupom, albo też czy je należy przytrzymać. Mówimy, że prawo takie służyć miało temu kollegium tylko pozornie; rzeczywiście sprawy takie decydowane były zawsze przez samo ministeryum, z którem się znosił urzędnik świecki, nawet prawosławny, tytuł prokuratora noszący i do składu tego kollegium wchodzący. Prawo to zresztą nie wiele się różni od wykonywanego przez wszystkie niemal rządy prawa udzielania lub odmawiania *placetum regium* lub *exequatur* bullom Stolicy Apostolskiej.

W tym ukazie jednak X. Biskup upatrywał dwie odmiany od porządku dotychczas za prawnego uznawanego. — Jedna, że tym ukazem po raz pierwszy nadane zostały temu kollegium jakieś atrybucye, nibyto zwierzchnicze, odnoszące się także do hierarchi duchownej Królestwa Polskiego, która aż do tego czasu nie miała z tem kollegium żadnej styczności. A druga, że w tym ukazie rozszerzone jeszcze zostało prawo, temu kollegium służyć mające, i tak już przez Stolicę Apostolską zwalczane, skutkiem czego, nawet przy zawieraniu konkordatu z r. 1847, cała sprawa kollegium wymienioną została w protokóle dodatkowym, natenczas spisanym w liczbie kwestyi, do zgodnego załatwienia których negocyacye między Stolicą Apostolską a rządem rosyjskim nie były jeszcze doprowadziły, a które miały być przedmiotem dalszych jeszcze układów między temi dwoma stronami.

Przed ogłoszeniem tego ukazu X. Biskup mając kilka interesów pilnych bardzo, nie cierpiących zwłoki, do świętej penitencyaryi, przesłał dwie czy trzy prośby do Stolicy Apostolskiej za pośrednictwem tego kollegium. Od ogłoszenia jednak ukazu przestał posługiwać się pośrednictwem kollegium w swoich stosunkach ze Stolicą Apostolską.

Na razie odstępujemy od dalszego opowiadania tej sprawy, ponieważ ona niebawem wyrosła do pierwszorzędnego znaczenia, stała się osią całej dalszej X. Biskupa historyi, przyczyną jego wywiezienia i śmierci. Na razie tyle tylko

podać musieliśmy, ażeby uczynić następujący rozdział zrozumiałym.

Zanim jednak do tego nowego rozdziału przystąpimy, jeszcze jedną bolesną chwilę dziejów Kościoła polskiego dotknąć musimy dla zachowania porządku chronologicznego całego opowiadania. W liście prywatnym Muchanowa do X. Biskupa z dnia 16/28 czerwca 1867 r. czytamy:

»Jeszcze jedno zwierzenie zupełnie osobiste. Doszło do mojej wiadomości, że X. biskup Szymański życzy sobie kresu żywota swego dobiedz w jakim klasztorze Kapucynów, po załatwieniu wszystkich formalności koniecznych dla przyłączenia zniesionej teraz dyecezyi podlaskiej do dyecezyi lubelskiej. Uwzględniając wiek podeszły Biskupa, potrzeby spokoju i zdrowego powietrza, jak niemniej konieczności, w jakiej się może znajdzie do pomocy lekarskiej uciekania się, zaproponowałem X. biskupowi Benjaminowi za zgodą hr. Namiestnika, ażeby osiadł w klasztorze łomżyńskim. Obszerny budynek otoczony pięknym ogrodem, ułatwienia jakie przedstawia miasto gubernialne, te wszystkie względy zdecydowały wybór tej miejscowości. A wcale także nie taję, że oprócz tego, myślałem, iż przyjemniejszem będzie temu Biskupowi osiedlenie się w dyecezyi Waszej Ekscellencyi. Stosunki duchowne, jakie Was wiążą i szczera przyjaźń biskupa Szymańskiego dla Waszej Ekscellencyi, przyczynią się niewątpliwie do znacznego osłodzenia ostatnich lat, jakie mu przyjdzie spędzić na tej ziemi. Troskliwość Waszej Ekscellencyi znajdzie pole otaczania tego starca staraniem przez jego stan wymaganem. Proszę mi donieść, czy odpowiednie pomieszkanie mogłoby bez wielkich trudności być w klasztorze urządzone. Ale proszę żadnych robót jeszcze nie zarządzać i nikomu jeszcze o tem nie mówić«.

Nie potrzebujemy chyba dodawać, że X. Biskup z największym zapałem otworzył gościnne progi swej dyecezyi dla X. biskupa Szymańskiego, sam urządził mu pomieszkanie w klasztorze OO. Kapucynów, bardzo często do niego dojeżdżał. Niebawem przy jego śmierci obecny, spowiadał go

i udzielił ostatnich Sakramentów. X. Benjamin rzeczywiście na jego rękach skonał.

Śmierć ta świątobliwego starca niezatarte na umyśle X. Biskupa zrobiła wrażenie i nigdy później nie wspominał O. Benjamina bez wyrazów najwyższej czci i poważania dla jego wysokich cnót i chrześcijańskiej nieomal doskonałości. Takim był ostatni biskup dyecezyi podlaskiej.

Rozdział XV.

POSŁANIE HR. TOMASZA ŁUBIEŃSKIEGO DO RZYMU. POBYT JEGO TAMŻE. SPRAWOZDANIE PO POWROCIE X. BISKUPOWI ZŁOŻONE. LIST HR. TOMASZA DO HR. BERGA. MEMORYAŁ X. BISKUPA DO RZYMU PRZESŁANY.

(1867 – 1868).

Zbliżała się czwarta rocznica objęcia przez X. Biskupa rządów dyecezyi Sejneńskiej, czyli termin, w którym biskupi powinni osobiście, lub przez osobnych delegatów, udawać się *ad limina Apostolorum.* Różne gracye czy przywileje dane przez Ojca św. X. Biskupowi przy wstąpieniu jego na stolicę biskupią, tak jak to zwykle bywa, wyczerpały się, albo też termina ich upływały. Zachodziła potrzeba postarania się o ich odnowienie.

Nadto po zabraniu przez rząd funduszów duchownych, X. Biskup widział potrzebę zredukowania liczby mszy św. i innych nabożeństw obowiązkowych fundacyjnych. W czasie rozruchów krajowych wiele takich mszy św. i nabożeństw opuszczono, a X. Biskup widział potrzebę umorzenia obowiązku ich odprawiania. Do uczynienia tego wszystkiego potrzebne mu było osobne i specyalne upoważnienie od Stolicy apostolskiej.

Oprócz tego, jakkolwiek X. Biskup starał się zawsze działać tak, jak mniemał, że w danych okolicznościach najpożyteczniej będzie dla Kościoła i dusz jego owieczek zbawienia, jednak znajdując się w tak wyjątkowych okoliczno-

ściach i ciężkich czasach, nie dowierzał sam sobie i sumienie jego nie było zupełnie spokojne:

1° ażali nie nadużył swojej władzy, działając jako delegat apostolski w sprawie klasztorów;

2° ażali nie przewinił, przyczyniając się do zmiany kanonicznego stanowiska 109 parafii swojej dyecezyi, przez samo danie opinii, jakich parafii proboszczom najwłaściwiej byłoby wypłacać pensye 500 i 400 rs.;

3° ażali nie przewinił przez zbytnią pobłażliwość dla XX Butkiewicza, Zaleskiego i Trochimowicza;

4° ażali nie przewinił, dając księżom swojej dyecezyi tajemną instrukcyę w sprawach unickich, nie zupełnie zgodną z przepisami Kościoła;

5° ażali nie przewinił, przesyłając w początkach i zanim poznał treść odnośnych ukazów, za pośrednictwem kolegium petersburgskiego, kilka korespondencyj do Stolicy apostolskiej.

W tych wszystkich sprawach X. Biskup życzył sobie wiedzieć dokładnie zdanie Stolicy apostolskiej i w razie potrzeby uzyskać absolutoryum.

Oprócz tego uczuwał potrzebę zasiągnięcia zdania Stolicy św., a raczej uzyskania najwyższych rozkazów, w następujących sprawach:

1) Jakie stosunki X. Biskup może utrzymywać z zarządami dyecezyi chełmskiej i wileńskiej i archidyecezyi warszawskiej i innych skasowanych (mińskiej, podolskiej i podlaskiej), których stanowisko nie było kanoniczne, a stosunki jednak były częste i nieuniknione, w przypadkach naprzykład małżeństw osób do tych dyecezyj należących, wstępowania do seminaryum sejneńskiego osób z tamtych dyecczyj pochodzących i t. d.

2) Czy wobec zakazu Ojca św. posługiwania się pośrednictwem kolegium petersburgskiego dla korespondencyj biskupów ze Stolicą apostolską z jednej strony, a zakazu rządu rosyjskiego posługiwania się jakąkolwiek inną drogą, biskupi mogą uważać prawa służące im w sprawach dyspens, penitencyaryi i innych za rozszerzone, tak jak to prawo kanoniczne wskazuje w przypadkach wojny i t. p.

3) Wobec tych gwałtów, jakich się rząd na prawach Kościoła dopuszczał, czy biskupi i duchowieństwo powinni się tylko biernie zachowywać, czyli też nie powinni raczej mniemać, że Kościół już jest w takim stanie prześladowania, któreby biskupom i duchowieństwu nadawało takie nadzwyczajne prawa i przywileje, jakie im służą w krajach w stanie misyi będących.

4) Czwarte niezmiernej doniosłości pytanie opuścić musimy, ponieważ sądzimy, iż jeszcze nie nadeszła chwila odsłonięcia tajemnicy, która musi go pokrywać. Ewentualność przez X. Biskupa przewidziana nie nastąpiła tylko dzięki stanowisku i wpływom samego X. Biskupa. Przyszłość resztę musi dopowiedzieć.

X. Biskup miał oczywiście bardzo wielką ochotę dojechania osobiście do Rzymu. Ciągnęła go tam nietylko żarliwość katolika i chęć upadnięcia do nóg Ojcu św., którego cierpienia i troski daleko lepiej pojmował od czasu, jak sam dźwigał brzemię episkopatu. Ale prace przygotowawcze do zapowiedzianego soboru najżywiej go interesowały; a mniemał, że mógłby nawet być nieco użytecznym w sprawach przygotowania przyciągnięcia kościoła wschodniego do Kościoła powszechnego i ułożenia stosunków Kościoła do rządów świeckich. Miał nadzieję, że, coby mu w ścisłej może nauce nie dostawało przy traktowaniu tych zadań wobec pierwszych świata teologów zebranych, uzupełnićby mógł znacznem już swojem doświadczeniem, gruntowną znajomością stosunków kościoła rosyjskiego, gorącem spraw zamiłowaniem. Ale o możliwości dojechania do Rzymu, bez opuszczenia ostatecznego swojej dyecezyi, ani marzyć nie mógł. Zakaz wyjeżdżania z granic dyecezyi, dany mu w końcu 1865 r., nie był jeszcze cofniętym. W lecie 1867 prosił o pozwolenie odwiedzenia ojca swego i tego także nie uzyskał. Paszportu zatem do Rzymu stanowczo nie byłby uzyskał, a gdyby był potajemnie do Prus wyjechał, już nigdy noga jego w Królestwie oczywiście nie byłaby postała. Nie chcąc także nikogo z pomiędzy swojego kleru ani utracić, ani narazić na tajemną a tak niebezpieczną w takim razie drogę, postanowił posłać

w tych wszystkich sprawach do Rzymu umyślnego, chociażby świeckiego delegata. Najwłaściwszym do tego wydawał mu się pan Diusard, o którym już kilkakrotnie powyżej była mowa. Obcy poddany, w Suwałkach wtenczas mieszkający, jako rzymski doktór teologii i prawa kanonicznego doskonale z temi sprawami obznajomiony, często bardzo przez X. Biskupa używany do narady i do pomocy w redakcyi memoryałów i ważnych pism, jakie z pod jego ręki ciągle wychodziły. Pan Diusard, bardzo biegły w francuskim i łacińskim języku, obiecał podróż tę, oczywiście na koszt X. Biskupa, odbyć. Ale natury niezwykle trwożliwej i niczego nie obawiający się tak, jak kompromitacyi wobec rządu, dał tę obietnicę w taki sposób, iż X. Biskup od razu poznał, że na niego stanowczo i bezwzględnie liczyć nie może. Dlatego zaprosił hr. Tomasza Łubieńskiego, brata swego, do siebie do Sejn, poruczył mu tę misyę i zaopatrzył w najwięcej szczegółowe instrukcye, piśmienne kopie ważniejszych pism rządowych i swoich i t. d. Inną prywatną drogą wysłał do Ojca św. list, zapowiadający przyjazd w jego interesach albo hr. Tomasza albo pana Diusarda, według tego, który bezpieczniej będzie mógł wyjechać. Ten list i wszystkie papiery odwiózł jeden z synowców X. Biskupa z Poznania do Paryża, gdzie miał się z p. Diusardem na umówiony termin zjechać u hr. Juliana Łubieńskiego, najmłodszego brata X. Biskupa. Hr. Julian był naonczas komisarzem rządu rosyjskiego przy sławnej wystawie powszechnej paryskiej z r. 1867, która była szczytem chwały cesarstwa Napoleona III. Hr. Julian, jak wszyscy komisarze obcych rządów, zapisani byli w poczet osób, którzy mieli odebrać legię honorową. W wilię rozdawania tych krzyży przez Napoleona, nastąpił słynny zamach Berezowskiego na cesarza Aleksandra II. Tego samego wieczora z listy osób do legii honorowej przedstawionych skreślono nazwiska wszystkich Polaków, oczywiście także i nazwisko hr. Juliana Łubieńskiego.

Synowiec X. Biskupa nie mógł się doczekać p. Diusarda w Paryżu i żadnej o nim wiadomości nie mogąc powziąść, cofnął się z całym pakietem i znaczną sumą pienię-

dzy jako świętopietrze z dyecezyi Sejneńskiej do Wiednia, gdzie naówczas hr. Tomasz, ojciec jego, szczęśliwie był stanął w listopadzie 1867 r.

Podróż hr. Tomasza do Rzymu, jako prywatnego człowieka, mogła nie zwracać u rządu rosyjskiego szczególniejszej na siebie uwagi, ale jego bliskie pokrewieństwo z X. Biskupem i stosunki stąd wyrosłe z hr. Bergiem i Muchanowem czyniły, iż niepostrzeżoną ona przejść nie mogła. Nikt w tej podróży nie byłby upatrywał wycieczki dla przyjemności lub rozrywki zrobionej, ale byłby ją wiązał zaraz w myśli z istotnymi interesami biskupa sejneńskiego i Kościoła katolickiego w Polsce. Tym razem jednak wypadek, zresztą bardzo bolesny, wielką wszystkim interesowanym oddał usługę. Właśnie wtenczas, kiedy hr. Tomasz stracił już był nadzieję znalezienia sposobności i wymówki dla tej podróży, otrzymał telegram, że starszy jego brat Edward hr. Łubieński zapadł ciężko na zdrowiu w Wiedniu, gdzie rzeczywiście umarł d. 22 listopada 1867 r. Hr. Edward wydaliwszy się z kraju za paszportem emigracyjnym w r. 1845, został poddanym papieskim, długo w Rzymie mieszkał, a trzymając tam dom otwarty, nie mało może się przyczynił, po powrocie Piusa IX. z Gaety, do wskrzeszenia w towarzystwie rzymskiem stronnictwa, które, jeżeli nie zdołało następnie obronić Rzymu od najazdu piemoncko massońskiego, to przynajmniej nie dozwoliło upaść władzy świeckiej papieskiej tak sromotnie, jak upadła naprzykład dynastya neapolitańska. Hr. Edward stracił był w Rzymie pierwszą swoją żonę Zofię z Giżyckich i kilkoro z niej dzieci. Druga jego żona, Konstancya ze Szlubowskich, postanowiła zwłoki męża złożyć obok pierwszej żony i dzieci w wiecznem mieście w kościele św. Klaudyusza, który obsługiwany jest przez polskich OO. Zmartwychwstańców. Hr. Tomasz obecny przy śmierci swego brata Edwarda w Wiedniu, wystarał się o potrzebne pozwolenie do przewiezienia zwłok, i sam ciało brata odwiózł do Rzymu, gdzie stanął rano d. 8 grudnia 1867 r.

Zaraz po przyjeździe do Rzymu hr. Tomasz począł czynić starania o uzyskanie audyencyi u Ojca św. List X. Bi-

skupa uwierzytelniający go, złożył przedtem jeszcze sekretarzowi stanu kardynałowi Antonellemu, który sobie doskonale zaraz uprzytomnił, pomimo tyluletniej przerwy, wszystkie swoje z X. Biskupem dawne stosunki. Kardynał też zaraz powiedział mu, żeby się udał do podsekretarza stanu, ówczesnego monsignora, późniejszego kardynała Berardiego i omówienia z nim wszystkich interesów; hr. Tomasz bezzwłocznie zaczął tego ostatniego bardzo często odwiedzać. Kiedy zatem pierwszy raz miał on szczęście ucałować stopy Jego Świątobliwości 15 grudnia 1867 r., Pius IX. wiedział już, w jakim celu przyjechał do Rzymu.

Hr. Tomasz nie omieszkał także oddać wszystkim znajomym wizyty. Był zatem u OO. Zmartwychwstańców, u krewnej swej Zofii z hr. Branickich księżnej Odescalchi, u krewnego swego monsignora Czackiego, i krewnej także pani Malatesta, z domu ks. Jabłonowskiej, i u innych jeszcze osób. Pierwsze wrażenie, jakie otrzymał od wszystkich razem wymienionych osób, było, że w Rzymie uważano X. biskupa Łubieńskiego za człowieka zupełnie rządowi rosyjskiemu zaprzedanego. Były to skutki wytrwałego szkalowania jego osoby tak przez stronnictwo wychodźctwa, jak przez stronnictwo powstania, które nie widziało w nim wielkiego biskupa i wyznawcę, ale upatrywało w nim tylko swego osobistego wroga. Wszystkie urzędowe osoby, z któremi hr. Tomasz miał do czynienia, były wprawdzie bardzo dla niego grzeczne, ale z początku traktowały go z wielkiem niedowierzaniem. Najmniej takowego okazał mu kardynał Antonelli. Sam Ojciec św. w tej pierwszej audyencyi z oburzeniem mówił o całem postępowaniu rządu rosyjskiego, i opowiedział dosyć szczegółowo całe zajście, jakie miał z ambasadorem bar. Mayendorfem. Hr. Tomasz postanowił wcale nie walczyć z temi, niepojętemi dla niego wtenczas i dla nas dzisiaj, uprzedzeniami, jakie miano przeciwko X. Biskupowi, ale przystąpić do ścisłego wykonania danych sobie instrukcyj, w przekonaniu, że prawda i niewinność same blaskiem swoim zwyciężyć powinny.

Monsignor Berardi, wysłuchawszy ogółowo ustnego sprawozdania o interesach, w jakich go X. Biskup do Rzymu posłał, polecił przedstawić sobie notatki o kilku najważniejszych i najpilniejszych, a co do ogółu spraw, za jakiemi przyjechał, odesłał go do wydelegowanego specyalnie przez Ojca św. do wysłuchania tego sprawozdania mgra Gianelli. Ten ostatni był wtenczas arcybiskupem *in partibus* i członkiem kilku kongregacyj, nosił jeszcze tytuł nuncyusza przy wypędzonym już ze swego kraju i mieszkającym w Rzymie królu neapolitańskim, a niedługo potem podniesionym został do godności kardynalskiej. Otrzymawszy takie wskazówki hr. Tomasz podał pomimo tego już d. 11 grudnia 1867 r. mgrowi Berardi'emu memoryał o sprawie kolegium petersburgskiego, z końcowem wyraźnem zapytaniem, czy X. Biskup może z tego pośrednictwa korzystać dla stosunków swoich urzędowych ze Stolicą apostolską. Monsignor Berardi wręczył mu zaraz książkę wydaną w Rzymie 1866 r. p. t. »*Expositione documentata*« i t. d., obejmującą wszystkie publiczne pisma wymienione pomiędzy Stolicą apostolską a Rosyą od lat 20. Nazajutrz rano d. 12 grudnia hr. Tomasz wręczył temuż monsignorowi drugi memoryał w sprawie, o której dzisiaj jeszcze nie wolno nam jest mówić.

Teraz zwrócił się hr. Tomasz do monsignora Gianelli, który wysłuchał także całej ustnej relacyi i prosił, ażeby mu ją podać na piśmie. Wywiązując się z tego polecenia, ułożył memoryał obszerny, przedstawiający sprawozdanie z czteroletniego zarządu dyecezyi Sejneńskiej przez X. Biskupa, i zakończył całym szeregiem próśb i wątpliwości, jakie go skłoniły do wysłania do Rzymu swego delegata. Ten memoryał oddany został mgrowi Gianelli 29 grudnia, a zaraz na audyencyi, która trwała całych 6 godzin, odczytano go wspólnie z ustnemi objaśnieniami, przyczem Monsignore pilnie bardzo robił sobie notatki. Dnia 6 stycznia 1868 r. monsignor Gianelli polecił hr. Tomaszowi udać się po wszystkie odpowiedzi do mgra Franchi, naonczas sekretarza do nadzwyczajnych spraw Kościoła, późniejszego nuncyusza, sekretarza stanu i kardynała, a znającego dobrze X. Biskupa, jak wiemy,

z czasów poselstwa kardynała Chigi do Moskwy na koronacyę Aleksandra II.

Od tego czasu hr. Tomasz zaczął pilnie bardzo odwiedzać monsignora Franchi, dodając mu jeszcze ustne objaśnienia na liczne ciągle stawiane mu pytania. Dnia 16 stycznia 1868 r. przedstawił mu jeszcze dodatkowy memoryał w sprawie unickiej. Niebawem nadeszła do Rzymu wiadomość, od dawna przez X. Biskupa przewidziana, i na którą w zupełności był już w umyśle swoim przygotowany, że rząd rosyjski ma wezwać biskupów w Królestwie, ażeby zamianowali i wysłali asesorów do zasiadania w kollegium petersburgskiem. To zmusiło hr. Tomasza, który miał także pod tym względem swoje instrukcye od X. Biskupa, do przedstawienia d. 20 stycznia mgrowi Franchi nowego memoryału, w sprawie tegoż kollegium, który zakończył wyraźnem zapytaniem:

1⁰ »Czy biskupi Królestwa mogą wysłać takich asesorów?«

2⁰ »Czy ich obowiązkiem będzie poczynić jakie zastrzeżenia?«

3⁰ »Czy też absolutnie od tego powstrzymać się mają?«

W kilka dni po oddaniu monsignorowi Franchi ostatniego tego memoryału, tenże wręczył hr. Tomaszowi cały pakiet papierów z rozmaitemi gracyami dla X. Biskupa. Na pytania w memoryałach pomieszczone dał ustne odpowiedzi, które hr. Tomasz treściwie *pro memoria* sobie zanotował, a mianowicie:

ad 1. Aprobatę Stolicy apostolskiej we wszystkich czterech sprawach, które sumienie X. Biskupa niepokoiły, a które powyżej są wyszczególnione.

ad 2. Odpowiedź co do stosunków z zarządami dyecezyj, które X. Biskup za nieprawne i nieregularne uważał.

ad 3. Odpowiedź co do udziału w kollegium petersburgskim, którą dla jej ważności zaraz poniżej w całości przytoczymy.

Hr. Tomasz odniósł także osobiste wrażenie, że przez te wszystkie starania i wyjaśnienia osiągnął inny jeszcze skutek, to jest zupełną zmianę opinii, o bezwzględnem posłuszeństwie i uległości dla Rzymu X. Biskupa, i niezmiernej

jego dla Kościoła gorliwości. Ani na początku pobytu hr. Tomasza w Rzymie nie robiono mu żadnych wyrzutów o postępowaniu X. Biskupa, ani przy odjeździe nie dawano żadnych zapewnień o zmianie przekonania, które nastąpiło. Z początku przyjmowano go wszędzie wprawdzie bardzo uprzejmie, ale, co Francuzi nazywają *avec beaucoup de reserve*, pod koniec pobytu przyjmowano i słuchano z większą nawet serdecznością i wylaniem, jak na to tradycye dyplomatycznej i duchownej powagi zwykle pozwalały.

A zwłaszcza Ojciec św. Pius IX. w ostatniej audyencyi, jaką mu w ostatnich dniach stycznia udzielić raczył, niezwykle był na niego łaskaw. A omawiając sprawy, które były w memoryałach poruszone, o których mu widocznie bardzo szczegółowo sprawę zdawano, żartobliwie powiedział: »*Mais cher Comte, Vous êtes presque un évèque Vous même*«. (»Ale kochany hrabio, jesteś sam prawie biskupem«). Świetne zaiste ocenienie znajomości prawa, historyi i potrzeb Kościoła, jakich hr. Tomasz złożył dowody. Przytem przesyłając X. Biskupowi błogosławieństwo swoje apostolskie, bardzo łaskawie, życzliwie i pochlebnie Pius IX. o nim się wyraził. Na obydwóch audyencyach prywatnych sam Ojciec św. pilnie wypytywał hr. Tomasza o niektóre szczegóły i potrzeby Kościoła w Polsce, i zdawał się z największą uwagą im przysłuchiwać. — Każda audyencya prywatna trwała przeszło godzinę.

Dnia 2 lutego 1868 r. hr. Tomasz wyjechał z Rzymu i podróżując już bez przerwy, udał się wprost do Warszawy. Zależało tak X. Biskupowi, jak jemu samemu, ażeby się jak najprędzej spotkać. Ale zjechanie wprost z Rzymu do samych Sejn, byłoby jednak zanadto zwróciło na siebie uwagę szpiegów, którymi bezustannie X. Biskup był otoczony. Trzeba było inaczej sobie poradzić, a ślady tych trudności spotykamy w listach ówczesnych X. Biskupa. — I tak pisze:

Sejny 7 marca 1868 r.

Kochany panie Tomaszu.

»Z upragnieniem oczekiwałem od ciebie wiadomości.

Naturalnie, że przez Wielki Tydzień ruszyć się nie mogę od katedry, nie prędzej jak we środę po świętach wyjechać mogę. W Wasilewiczach oczekiwać będę, a jeżeli tam w czasie Wielkanocy nie pojedziesz, to znowu razem nigdy się nie wybierzemy. Nie zaniedbuj, proszę ciebie, tego interesu, wiesz jaką do niego przywiązuję wagę. Kłopotów mam jak zawsze nie mało, ale nadzieja w Miłosierdziu Boskiem, że łaskawie nad nami Opatrzność Jego czuwa.

Niech wam Pan Bóg błogosławi

✝ *Konstanty Ireneusz*.

Niedługo potem drugi list:

Kochany Tomaszu.

»Telegram twój otrzymałem i żyję w nadziei, chociaż jeszcze dosyć słabej, że ci interesa pozwolą odwiedzić mnie tutaj. Jeżelibym wiedział kiedy, tobym na twoje wezwanie pojechał do Amelii z Ogińskich Wołłowiczowej (krewnej Łubieńskich *przyp.)*, która o trzy miłe tylko od Grodna mieszka i gdziebyśmy spokojnie przebyć mogli czas, którybyś mnie mógł poświęcić. W niepewności jednak, kiedy i czy przyjedziesz, myślę w tych dniach wyprawić (zapewne na twoje ręce) list do Muchanowa, z okazyi tego, którego mi kopię przysłałeś, i o którym on mi pisał w sposób, który mi daje do myślenia, że oczy jego nie są otwarte na całą ważność mojego listu. Bardzobym wszakżeż chciał wiedzieć, czy nie otrzymałeś jakiej odpowiedzi, i czy nie wiesz, azali mój list miał jakie praktyczne następstwa, o czem racz mnie, proszę cię, zawiadomić bezzwłocznie.

Bóg z wami

przywiązany brat

✝ *Konstanty Ireneusz* B. S.«

Sejny, 10 marca 1868.

W drugiej połowie marca 1868 r. spotkanie nareszcie miało miejsce w Wasilewiczach pod Grodnem, w domu państwa Wołłowiczów, trwało trzy dni, a dodawać nie potrzebu-

jemy, jak bardzo serdeczne i ważne i stanowcze było spotkanie się tych dwóch braci. Przedewszystkiem hr. Tomasz odczytał X. Biskupowi kopie wszystkich memoryałów, jakie w Rzymie był podał, dla przekonania i siebie i jego, czy były spisane zgodnie z X. Biskupa intencyami i danemi instrukcyami. X. Biskup nie zarzucił żadnemu ustępowi tych memoryałów niezgodności z jego sposobem myślenia i jego życzeniami i powiedział, że sam w każdej chwili byłby je podpisał.

X. Biskup nie poprzestając na ustnych odpowiedziach, jakie w Rzymie hr. Tomaszowi ustnie także danemi zostały, zażądał sprawozdania piśmiennego o całym przebiegu pertraktacyi i o wskazówce danej mu przez Stolicę apostolską w sprawie asesorów, mających być wysłanych do kollegium petersburgskiego. To sprawozdanie hr. Tomasz natychmiast tam na miejscu w Wasilewiczach po francusku spisał, a ponieważ akt ten nieznmiernego dla historyi X. Biskupa jest znaczenia, przytoczyć go musimy koniecznie w całości w dosłownem tłomaczeniu z samego oryginału, który przed nami w tej chwili leży:

»Oto w jakich mniej więcej wyrazach hr. T. W. Łubieński zdał mi sprawę z rozmów mianych, i z instrukcyi za jego pośrednictwem mi danych.

Za przyjazdem swoim do Rzymu hr. T. W. Łubieński przedstawił jego ekscelencyi monsignorowi Berardi, obecnie już kardynałowi, pytanie: czy mogę korzystać z pośrednictwa kollegium dla przesyłania moich korespondencyj do Stolicy apostolskiej?—i otrzymał odpowiedź stanowczą, daną mu z rozkazu Jego Świątobliwości, że tej drogi nie powinienem używać dla przesyłania moich korespondencyj.

Następnie hr. T. W. Łubieński nakazane miał stosunki z jego ekscelencyą monsignorem Franchi, i przez niego prosił o instrukcye w kilku sprawach, a między innemi w sprawie kollegium. Uczynił to nie w celu otrzymania, gdyby to było możliwem, instrukcyi odmiennej od tej, jaką już był otrzymał od mgra Berardi, ale dlatego, że od czasu, w którym od tego ostatniego otrzymał rozkazy, dowiedział się, że biskupi polscy

będą wkrótce wezwanymi o przysłanie asesorów do tego kollegium petersburgskiego.

Przedstawił przeto mgr Franchi, że biskupi mogą powstrzymać się od przesyłania korespondencyj do Stolicy apostolskiej za pośrednictwem kollegium, bez ujawnienia swojego oporu przepisom rządowym; rząd bowiem może nie wiedzieć, czy w zarządzie dyecezyi zaszły lub nie zaszły wypadki, w których biskup jest w potrzebie proszenia Ojca św. o dyspensę lub inne gracye. Ale biskupi nie będą mogli powstrzymać się od wysłania asesorów do kollegium petersburgskiego, bez wykonania aktu jawnej opozycyi. Posłanie bowiem lub odmowa posłania takiego asesora, jest czynem zewnętrznym, który rząd łatwo zaraz skontrolować może. Hr. T. W. Łubieński zapytał przeto, co biskupi uczynić będą w obowiązku wtedy, kiedy wezwani zostaną do wysłania tych asesorów; albo jak żądanie to popartem będzie groźbą pozbawienia ich pensyi przez rząd im wypłacanej; albo jak będą o to wezwani pod rygorem pozbawienia ich możności wykonywania zarządu swoich dyecezyj.

Natenczas monsignor Franchi zażądał od hr. T. W. Łubieńskiego informacyi o tem kollegium. W ostatniej zaś rozmowie, jaką z nim miał mgr Franchi powiedział mu:

Że Stolica apostolska nie może nie uważać tego kollegium za instytucyę bardzo niebezpieczną; że jednak o tyle, o ile ta instytucya będzie zachowywała charakter czysto administracyjny, Stolica apostolska nie miałaby powodu zajmowania się jej działalnością. Ale jeżeliby to kollegium miało zamiar wykonywania jakiejkolwiek jurysdykcyi, to jej działanie, i wszelki udział w jej pracach, byłyby niegodziwymi *(illicites)* i niedopuszczalnymi.

Po otrzymaniu tej wskazówki od monsignora Franchi, hr. T. W. Łubieński miał jeszcze zaszczyt rozmawiania z jego eminencyą mgrem Berardi, zdał mu natenczas sprawę z otrzymanych od monsignora Franchi instrukcyj; mówił mu o nacisku, jaki rząd wykonywa i o utrudnieniu sprawy religijnej przez położenie polityczne Polski. Jego eminencya odpowiedział mu natenczas, że w takim stanie rzeczy, biskupi pod

naciskiem okoliczności i dla uniknienia większego jeszcze uciemiężenia Kościoła mogą czynić rządowi ustępstwa, ścieśniające wolność Kościoła o tyle, o ile te ustępstwa nie odnosiłyby się do przedmiotów wiary i do samego ustroju *(constitution)* Kościoła.«

Wasilewicze, 30 marca 1868 r.

Treść tego pisma i data, jaką ono nosi, muszą być w pamięci zachowane dla zrozumienia dalszych wypadków, które niebawem mają nastąpić. Nadmienić także musimy, że, aczkolwiek odpowiedzi te nie zostały udzielone ani przez samego Ojca św., ani przez kardynała Antonellego, ale przez kardynała Berardi i monsignorów Gianelli i Franchi, którzy pełnili obowiązki podsekretarzy stanu, najwyższe godności w zarządzie Kościoła zajmowali, i co najważniejsza, specyalnie do rozpatrzenia podań na piśmie hr. Tomasza przez samego Ojca św. naznaczeni zostali, że zatem odpowiedzi te równają się w zupełności orzeczeniom samej Głowy Kościoła.

Równocześnie z tem sprawozdaniem X. Biskup polecił bratu swemu hr. Tomaszowi napisać do hr. Berga. Powody jakie znagliły X. Biskupa do tego kroku, były następujące: Chociaż wszyscy członkowie poselstwa rosyjskiego po zerwaniu konkordatu już byli Rzym opuścili, nie opuścili go tajni ajenci tego rządu i liczny zastęp osób za szpiegów płatnych używanych. X. Biskup nie mógł się przeto łudzić nadzieją, ażeby starania i występowania hr. Tomasza za jego interesami w Rzymie mogło ujść ich baczności i ażeby niebawem nie zostały złożone o nim raporta, tem niebezpieczniejsze, że domysły i przypuszczenia nie koniecznie życzliwe, uzupełniałyby niedostateczność informacyj, przez tych ajentów zebranych. X. Biskup z długoletniego swojego pobytu w Rosyi zaczerpnął to doświadczenie, że, jeżeli kto ma powody obawiania się takich denuncyacyj i szpiegów, to najroztropniej czyni, uprzedzając sam władzę o tem, co zaszło. Osoba wysoko postawiona, otrzymująca takie zwierzenie wprost od interesanta, przed odebraniem jeszcze urzędowej denuncyacyi,

odczuwa satysfakcyę zupełnie osobistą. Gdy nareszcie po biurokratycznych manowcach denuncyacya dochodzi do jego wiadomości, może z jednej strony zadziwić niższą urzędową szpiegów hołotę swoją przenikliwością, i nie potrzebuje wierzyć wszystkim potwornym wieściom sobie podanym. Jako przykład prawdziwości tej zasady znany był w swoim czasie fakt w Petersburgu, kiedy hr. Piotr Szuwałów, brat późniejszego generał gubernatora warszawskiego, był naczelnikiem tak zwanego trzeciego oddzielenia, czyli szefem żandarmeryi w Rosyi. Stefan ks. Lubomirski przyszedł do niego raz jeden, ażeby go prosić o protekcye przeciwko nieznośnym denuncyacyom małych prowincyonalnych urzędowych kundysów i chciał zacząć opowieść *ab ovo*. Hr. Szuwałow przerwał mu natychmiast i powiedział: »Ależ mości książę, przecież nie może mnie to interesować, co ci głupcy na prowincyi tam robią, proszę mi odrazu powiedzieć, co ja mam zrobić, ażeby księcia od ich napaści natrętnych uwolnić«. Ale takich wielkich panów, jakim był hr. Szuwałów, którzy tak sprawy sądzą, biurokracya rosyjska starannie od steru rządów intrygami usuwa, lub na zaszczytne ale dalekie poselstwa wysyła.

Przytem tak samo, jak X. Biskup przewidział, jakie będą żądania rządu pod względem asesorów do kollegium i pierwszy dobrze naprzód do tego się przygotował, tak samo zawczasu pragnął dać wskazówkę rządowi i uzyskać od niego zniesienie tych atrybucyj kollegium, dla których ono w Rzymie przyjętem być nie mogło. X. Biskup nie mogąc tego żądać osobiście, bo jeszcze ani urzędownie ani prywatnie od osób rządowych o tem nie miał wiadomości, tą pośrednią drogą, listem hr. Tomasza do namiestnika Berga do Petersburga wysłanym, chciał tę myśl jemu podsunąć, ażeby on w stolicy jeszcze mógł o tej sprawie z miarodajnymi czynnikami pomówić.

List ten zatem nie jako prywatny hr. Tomasza Łubieńskiego do hr. Berga, ale jako ważny przyczynek do historyi X. Biskupa, w całości także musi tu być przytoczony. Oto treść jego w przekładzie polskim.

Panie Hrabio!

»Wasza ekscelencya raczy sobie może przypomnieć, że przed kilku miesiącami musiałem pojechać do Wiednia do mojego brata Edwarda Łubieńskiego chorobą złożonego. Po kilku dniach zakończył on życie. Objawił zaś przedtem życzenie być pochowanym w Rzymie, w jednym grobie z pierwszą swoją żoną i z kilkorgiem dzieci, które tam stracił. Musiałem przeto dojechać do Rzymu dla oddania mu tej ostatniej przysługi, tem bardziej że pozostała po nim wdowa prosiła mnie, ażebym tam jej towarzyszył i dopomógł jej do ustanowienia tam opieki nad jej dziećmi i do uporządkowania interesów spadkowych. Mój brat bowiem był poddanym państwa papieskiego, mieszkał długo w Rzymie i pozostawił tam różne interesa majątkowe.

Będąc w Rzymie, byłem w konieczności wywiązania się z obowiązków grzeczności względem osób, które były poprzednio w bliższych z moim bratem stosunkach i które mu w czasie jego choroby i jego pogrzebu dały liczne dowody przyjaźni lub życzliwości. Większą część tych osób stanowili wyżsi dygnitarze Kościoła. Bardzo naturalnym przedmiotem moich rozmów z tymi panami było położenie Kościoła katolickiego w Rosyi i w Polsce wogóle, a w szczególności położenie mojego drugiego brata, Biskupa sejneńskiego.

Bardzo bolesnego naprzód doznałem wrażenia, spostrzegłszy się, że ci panowie skłonnymi byli do podejrzywania mojego brata o uchybianie jego obowiązkom pasterskim, skoro jeszcze żadnym nie podpadł rygorom (ze strony rządu). Niektórzy z nich nawet zdawali się przypuszczać, że on mógłby być zdolnym do odstąpienia od jedności z Kościołem. Wrażenie, jakiego doznałem, nie zadziwi zapewnie waszej ekscelencyi. Doznałbym takiego samego wrażenia, gdybym spostrzegł, że którykolwiek z wyższych urzędników cesarskich podejrzywa mojego brata o sprzeniewierzanie się obowiązkom wierności i lojalności poddańczej. Poczytywałbym sobie w takim przypadku za obowiązek uczynienia wszystkiego, coby było w mojej mocy dla zmienienia tak niesłusznych podejrzeń.

Mój pobyt w Rzymie przedstawił mi możność starania się o sprostowanie mylnej opinii, jaka tam wytworzoną była o postępowaniu mojego brata, i o jego uczuciach w przedmiocie wierności Kościołowi. Poczytywałem sobie za obowiązek nie zaniedbać tej sposobności i wyznaję panu hrabiemu, żem to uważał nie tylko za obowiązek braterskiej miłości dla mojego brata, ale za obowiązek wierności i lojalności dla najjaśniejszego pana. W mojem bowiem skromnem pojmowaniu rzeczy, zdawało mi się, że rząd jest w tem interesowany, ażeby wszyscy biskupi w cesarstwie byli przez Stolicę apostolską uważani za prawdziwych i dobrych katolików. Tak samo, jak jest w interesie Kościoła, ażeby rząd cesarski był pewnym wierności biskupów dla ich monarchy.

Głębokie przekonanie Biskupa sejneńskiego o potrzebie i o możności pogodzenia obowiązków wiernopoddaństwa, z obowiązkami wiernego syna Kościoła, jego zdanie bardzo jasne i bardzo stanowcze o sposobach dojścia do tego celu, jego gorliwość o pogodzenie zawsze interesów Kościoła z interesami państwa, i o ułatwienie czasami trudnych pomiędzy niemi stosunków, wskazywały mi, iż specyalnie użytecznem byłoby, ażeby w Rzymie miano prawdziwe wyobrażenie o charakterze i o opiniach mojego brata.

Co do stanu Kościoła katolickiego w Rosyi i w Polsce, który był głównym przedmiotem moich rozmów z tymi panami, to dwie sprawy specyalnie ich zajmowały: sprawa zerwania konkordatu, która odświeżoną została w pamięci wszystkich, skutkiem dyskusyi o takiej samej sprawie podniesionej właśnie wtenczas w parlamencie wiedeńskim, i sprawa stosunków episkopatu katolickiego ze Stolicą apostolską, którą to sprawę obecność w Rzymie brata jednego z biskupów naturalnie podnosiła.

Poczytuję sobie za obowiązek zdać panu hrabiemu sprawozdanie z wrażeń, jakie z tych rozmów zachowałem. I czynię to nie czekając na powrót waszej ekscelencyi do Warszawy, w przypuszczeniu, że informacye, jakie ośmielam się waszej ekscelencyi przedstawić, będą mogły być jej użytecznemi w czasie jego pobytu w Petersburgu.

Co do konkordatu zatem, to zdawało mi się, że w Rzymie nie są wcale niezadowolnieni ze zerwania konkordatu. W Rzymie poczytują wszystkie konkordaty za ustępstwa czynione przez Kościół rządom świeckim. Znajdują tam, że zasady zarządu Kościoła tak ogólne, jak i we wszystkich szczegółach, są dokładnie określone prawem kanonicznem, że przeto, jak tylko religia katolicka jest w jakim kraju wprowadzona, albo nawet tylko cierpiana i dopóty, dopóki specyalne umowy czyli konkordaty nie wprowadziły zmian w tem ogólnem ustawodawstwie Kościoła, to prawo kanoniczne staje się w tym kraju obowiązujące, we wszystkiem co się odnosi do zarządu Kościoła katolickiego.

W sprawie zaś stosunków między biskupami katolickimi cesarstwa i Królestwa a Stolicą apostolską, to zdawało mi się najprzód, że w Rzymie nie zdawano sobie dokładnie sprawy o tem, co to jest to kollegium duchowne rzymsko-katolickie w Petersburgu, któremu obecnie z najwyższej woli polecono pośredniczyć w tych stosunkach. Na nieszczęście nie byłem w stanie dostarczenia osobom, z któremi rozmawiałem, bardzo dokładnych wiadomości w tym przedmiocie, nie pamiętam bowiem, ażebym się kiedykolwiek był spotkał w »Pełnym zebraniu zakonów« z ukazem ustanawiającym to kollegium i określającym jego atrybucye.

Potem zdawało mi się, że w Rzymie nie mianoby nic przeciwko temu, ażeby to kollegium pośredniczyło w stosunkach między rządem cesarskim a biskupami katolickimi; ani też ażeby ono ułatwiało rządowi kontrolę, jaką rząd wykonywa nad interesami kościelnymi Kościoła katolickiego w Rosyi i w Polsce, nicby nawet nie miano przeciwko temu, ażeby to kollegium służyło za pośrednika w stosunkach biskupów katolickich w cesarstwie i Królestwie ze Stolicą apostolską, którą to czynność spełniali dotychczas ajenci dyplomatyczni rządu cesarskiego. Ale nie mogą tam przyznawać temu kollegium prawa oceniania właściwości lub konieczności zapytywań i próśb przesyłanych przez biskupów do Stolicy apostolskiej i odpowiedzi tejże. Cały bowiem zarząd Kościoła, stosownie do jego zasad fundamentalnych, jest wyłącznie

w ręku Ojca św. i biskupów. Oni bowiem jedni otrzymali przez zupełność *(plénitude)* kapłaństwa i przez nałożenie rąk, dary Ducha św., który podług wiary katolickiej kieruje i rządzi Kościołem, ustanowionym przez Pana naszego Jezusa Chrystusa.

Nakoniec zdawało mi się, że w Rzymie bardzo przykre wrażenie zrobiła redakcya, trochę lekka, o ile się zdaje, pierwszej odezwy, przesłanej Ojcu św. przez to kollegium duchowne katolickie w Petersburgu. Nie udało mi się przeczytać tej odezwy, nie mogłem przeto ani ocenić, czy wrażenie przez tę odezwę uczynione mogło być słuszne, ani też nie mogłem starać się złagodzić to wrażenie inaczej, jak ogólnikowo tylko, mówiąc o braku przyzwyczajenia w tem kollegium do używania form mowy zwykle w stosunkach dyplomatycznych używanych i tych, jakich się zawsze używa, kiedy się odzywa do osób panujących. Nie mogłem jednak nie ubolewać nad tem, że brak form właściwych przeszkodził pożyteczności środka, który najjaśniejszy pan w troskliwości swojej dla potrzeb religijnych swoich poddanych katolickich raczył rozkazać dla określenia sposobu znoszenia się ich z głową widomą Kościoła.

Ośmielam się mieć nadzieję, że wasza ekscelencya nie weźmie mi za złe tego, żem mu zdał sprawę zbyt może rozwlekłą o tych wszystkich szczegółach. Wasza ekscelencya raczy to przyjąć jako dowód mojej gorliwości w służbie jego cesarskiej mości, nawet poza obrębem mojego skromnego stanowiska urzędowego, i jako dowód tego zaufania, do jakiego mnie łaskawa życzliwość waszej ekscelencyi przyzwyczaiła.

Proszę pana hrabiego raczyć przyjąć wyraz najgłębszego uszanowania, z jakiem pozostaję waszej ekscelencyi najniższy sługa

Tomasz W. Łubieński.

Warszawa, 2 kwietnia 1868 r.«

W związku z czwartem pytaniem, przesłanem przez hr. Tomasza do Rzymu, którego treść zataić musieliśmy, X. Biskup otrzymał niebawem zapytanie z Rzymu, osnowy następ-

pującej: Czy w obecnym stanie Kościoła katolickiego w Rosyi i w Polsce po zerwaniu konkordatu i przy wyraźnem prześladowaniu Kościoła, nie wypadałoby uznać tej części Kościoła pod berłem rosyjskiem zostającej, jako będącej w stanie misyi? W odpowiedzi na to, X. Biskup przesłał obszerny memoryał, niezmiernej wagi do Stolicy apostolskiej, już po wezwaniu biskupów schyzmatyckich, a zatem i rosyjskich, ażeby się na koncylium powszechne watykańskie stawili.

W tym memoryale X. Biskup przedewszystkiem na to kładzie nacisk, że uciemiężenie Kościoła w Rosyi i w Polsce jest niesłychanie gwałtowne, że osoby największy wpływ w rządzie mające, bardzo nawet wyraźnie dążą do utworzenia najprzód jakiegoś Kościoła nibyto katolickiego, ale narodowego, od Stolicy apostolskiej oderwanego, w celu następnego przeprowadzenia go na prawosławie. Że wszyscy biskupi i prawie całe duchowieństwo są i pozostaliby zawsze wiernymi Kościołowi. Rząd jednak znalazłby usłużnych wykonawców swoich projektów. A jednak nie radzi ogłaszać publicznie Kościoła w Rosyi i w Polsce w stanie misyi, to jest w takim, w jakim się znajduje w Chinach, lub innych poza europejskich krajach, bo takie ogłoszenie obraziłoby do najwyższego stopnia rząd rosyjski i przyspieszyłoby tylko starania, utworzenia schyzmy. Przypomina dalej X. Biskup starania, jakie w r. 1853, z rozkazu X. metropolity Hołowińskiego, były w Rzymie czynione, o obsyłanie Rosyi misyonarzami, ale i ten środek zaradzenia potrzebom wiernych po utworzeniu schyzmy uważałby za bezskuteczny, a zwłaszcza w prowincyach polskich, gdzie się po prostu roi od szpiegów i policyi. Na jedno tylko nacisk czyni, to jest na jaknajwiększe ułatwienie, tak utrudnionych stosunków między Stolicą apostolską a biskupami naszego kraju, a w tym celu na ześrodkowanie w jedno miejsce interesów Rosyi i Polski, obecnie do kompetencyi różnych kongregacyi należących. Propagandę rzymską jednak nie uważa za właściwe do tego miejsce, gdyż jej nazwa zbyt głośna raziłaby rząd rosyjski, a jej biόra zbyt liczne, nie dawałyby gwarancyi dostatecznej dyskrecyi. Proponuje przeciwnie utworzenie specyalnej, czasowej

kongregacyi, prezydowanej przez dygnitarza takiego, jakimi byli dawniej kardynałowie protektorowie różnych narodowości lub nacyj, zwracając uwagę i na to, że taka kongregacya ułatwiałaby nawet utworzenie z czasem nuncyatury w Petersburgu, gdyby, z możliwą zmianą usposobień, o utworzeniu takowej znowu kiedyś była mowa.

Odczytując z uwagą powyższe pismo, nie wiemy, nad czem się więcej zdumiewać wypada, czy nad żarliwością, jaką przepełnione jest serce kapłana dla dusz zbawienia, czy nad szerokością widnokręgu potrzeb powszechnego Kościoła, które ten potężny umysł tak jasno i tak wszechstronnie obejmuje.

Rozdział XVI.

PRZYGOTOWANIA X. BISKUPA DO WALKI O KOLLEGIUM PETERSBURSKIE. LIST KARDYNAŁA ANTONELLEGO DO X. BISKUPA STANIEWSKIEGO. SPOTKANIE SIĘ Z X. BISKUPEM WOŁONCZEWSKIM W ALEXOCIE. LIST DO KAROLA BODENHAMA. PRZYJAZD PANA MUCHANOWA DO SEJN. KONFERENCYA O KOLLEGIUM. LIST DO X. BISKUPA POPIELA I ODPOWIEDŹ JEMU DANA. WYBÓR ASSESORA. PODRÓŻ DO WARSZAWY. SPOTKANIE SIĘ Z MUCHANOWEM I HR. BERGIEM PO WYWIEZIENIU X. BISKUPA POPIELA. POBYT W CIECHOCINKU. UTARCZKI Z MUCHANOWEM I OSTATECZNE Z NIM STARCIE. WIADOMOŚCI Z RZYMU. DRUGI LIST DO BODENHAMA. NARADA Z KAPŁANAMI W WARSZAWIE. POWRÓT DO SEJN

(1868).

Z nowym rozdziałem przystępujemy do opisania najtrudniejszych chwil życia X. Biskupa, długiego zatargu z rządem, niezrozumienia chwilowego woli Ojca św., poddania się zupełnego w największej pokorze wskazówkom z Rzymu otrzymanym, całej tej sprawy, która skończyła się niebawem jego wywiezieniem i pełną chwały śmiercią. W opisywaniu dotychczasowem przykładaliśmy największą skrupulatność, opisując tylko to, co naoczni i wiarogodni świadkowie zeznali, lub własne pisma X. Biskupa nam opowiedziały o nim.

W rozpoczynającym się ustępie życia jego, starać się będziemy, wobec szerokiej światowej naonczas wrzawy, jaką sprawa ta narobiła, o większą jeszcze sumienność, jeżeli to rzeczą możliwą, nie ufając już sobie, posługiwać się będziemy wyłącznie prawie jego własnemi słowami. Sam X. Biskup niechaj da świadectwo przed potomnością o wielkości i czy-

stości swoich zamiarów, o bohaterstwie tej chrześcijańskiej i świętej duszy.

X. Biskup przeczuwał taktem swoim i finezyą niepospolitą, że przyszła walna i rozstrzygająca bitwa z rządem, musi się odbyć na terenie kollegium petersburskiego i dlatego ze spokojem i stanowczością do całej przeprawy zawczasu się przygotowywał, na modlitwie, na rozmyślaniu i na naradach z ludźmi światłymi. Zanadto długo sam mieszkał w Petersburgu i codzienne miał stosunki tak bardzo ścisłe z dwoma po sobie następującymi metropolitami mohylewskimi i ze wszystkimi assesorami kollegium, ażeby dokładnie nie wiedzieć, co to jest ta instytucya. Pomimo tego, po rozjechaniu się 31 marca 1868 z hr. Tomaszem, sam zaczął raz jeszcze całą tę sprawę przeglądać i uprosił brata, ażeby mu wszystkie paragrafy swoich zakonów i rozporządzeń, tyczących się tego kollegium, dokładnie zechciał spisać i przesłać, co też ten zaraz uczynił.

Odpowiedź, jak widzieliśmy powyżej, stanowcza, z Rzymu udzielona jego bratu, na otwarte zapytanie, czy może obesłać to kollegium, zabezpieczała go co do woli Stolicy Apostolskiej. Odpowiedź ta była udzieloną hr. Tomaszowi w lutym 1868 r., a zatem po Encyklice Ojca św. z dnia 17 października 1867 r., potępiającej kollegium, i po liście kardynała Antonellego do X. biskupa Staniewskiego, sufragana mohylewskiego, *sede vacante* administratora tej dyecezyi i jako takiego przewodniczącego w temże kollegium. X. Biskup Staniewski na grubiański list do papieża Piusa IX, jakby do równego sobie napisany w sprawach pieniężnych, otrzymał odpowiedź od kardynała Antonellego, potępiający jego postępowanie i donoszący mu, że tak długo podlegać będzie cenzurom kościelnym, dopóki nie złoży prezydentury w kollegium. O istnieniu listu kard. Antonellego hr. Tomasz będąc w Rzymie nic nie wiedział. Ani Ojciec św., ani kardynałowie Antonelli i Berardi, ani monsignorowie Gianelli, Franchi i Czacki i OO. Zmartwychwstańcy, którzy codzień hr. Tomasza widywali i o kollegium z nim rozmawiali, słowem o tem piśmie mu nie wspomnieli.

X. Biskup dowiedział się o tych dwóch pismach w ten sposób, że pewnego poranku w maju 1868 r. zwykły na pozór list zrana przyniesiony, z marką pocztową krakowską, zawierał w sobie przedruk tych dwóch dokumentów, widocznie jako wycinek zrobiony z krakowskiego *Czasu*. Żaden podpis nie zdradzał nadawcy, a ponieważ wszystkie bez wyjątku listy X. Biskupa były jawnie zupełnie na poczcie otwierane i czytane, nie mógł on zrozumieć, dlaczego ten list był przepuszczonym, nie wiedział, czy te dwa dokumenta były autentyczne, czy sama policya rosyjska w Krakowie dla niego listu tego nie nadała. Te dwa dokumenta na razie zatem tylko pilnie przeczytał i u siebie przechował.

Skądinąd wiemy, że list kardynała Antonellego do X. biskupa Staniewskiego, przyjętym został w Petersburgu przez ministeryum spraw wewnętrznych i inaczej wysłowiony, tak, że biskup Staniewski inny łagodny list do rąk otrzymał. Dopiero o wiele później sekretną drogą odpis oryginału został mu wręczony, a wtenczas, jako podpadający cenzurom kościelnym, zaprzestał odprawiać mszę św. i spełniać inne funkcye dnchowne.

X. Biskup czując, że się zbliżała chwila przewidywanego wezwania ze strony rządu, pragnął zaciągnięcia jeszcze jakiejś światłej rady, Nie mogąc na razie wyjechać z dyecezyi swojej, bo zakaz wydany w r. 1865 przez X. Czerkawskiego, nie był jeszcze cofnięty, dojechał w lipcu r. 1868 do Poniemunia, parafii nad Niemnem, bardzo blizko Kowna położonej, dla poświęcenia nowego kościoła i stamtąd posłał synowca swego Rogera, przy nim naonczas bawiącego, do biskupa żmudzkiego Wołonczewskiego, z ustną prośbą o danie mu możności widzenia się z nim, na którą także ustną otrzymał odpowiedź. Na drugi dzień X. Biskup, pożegnawszy się ze zacnym proboszczem Poniemuńskim i obecnym klerem i ludem, udał się w podróż, ale zamiast na południe, kazał jechać wprost na zachód. Równocześnie X. Biskup, żmudzki, rzekomo dla spaceru, przeprawił się swoją karetą przez Niemen po moście na łyżwach i obaj biskupi spotkali się nibyto przypadkiem w słynnej dolinie Alekoty, skąd Napoleon I

przypatrywał się przejściu swej milionowej armii do Rosyi w r. 1812, a nieśmiertelny nasz Mickiewicz w młodości swej marzył. Biskupi, wysiadłszy z karet i najserdeczniej się pozdrowiwszy, oddalili się od swego otoczenia i przez półtrzeciej godziny, sam na sam ze sobą przechadzając się, rozmawiali. Głównym, jeżeli nie jedynym przedmiotem tej konferencyi była sprawa kollegium. X. Biskup otwarcie radził się o tyle starszego, doświadczonego i czcigodnego swego kolegi w tej sprawie i kilkakrotnie po odjeździe wyrażał się z największem uszanowaniem i zadowoleniem o tym Pasterzu kochanym i wielbionym przez całą ówczesną ziemię Litewską. X. biskup Wołonczewski niewątpliwie pochwalał zapatrywania się X. Biskupa na sprawę kollegium.

Ciągle zajęty jedną a tą samą myślą, X. Biskup pragnął się zbliżyć do Warszawy i do swoich kolegów w biskupstwie w Królestwie Polskiem, i dlatego umyślił prosić o paszport do Ciechocinka, rzekomo z powodu zdrowia jemu przez doktorów zalecanego, i tak pisze pod dniem 17 lipca 1868 r. do swego brata hr. Tomasza Łubieńskiego:

»Posełam Ci *sous cachet volant* list do Muchanowa, który przeczytawszy i zapieczętowawszy, bądź łaskaw sam mu oddać, może go w ten sposób wyrozumiesz, czy i kiedy mniej więcej będę się z nim mógł widzieć. Proszę też o paszport do Ciechocinka, chociaż nie wiem, czy będę miał za co pojechać, jeżeliby mi pozwolili. — W *Indépendance* z dnia 6 lipca widzę w korespondencyi z Paryża, że się bardzo w Rzymie zajmują broszurą barona Meyendorfa, dawnego *chargé d'affaire* w Rzymie, czy nie wiesz, co to za broszura, i czy nie mógłbyś mi jej przysłać«.

Drugi list:

»Kochany Panie Tomaszu!

»Za powrotem tej nocy z objazdu 10-dniowego miałem nadzieję, że od Ciebie wiadomości jakie zastanę. Koniecznie potrzebowałbym wiedzieć od Ciebie, o ile to być może najspieszniej, czy list, jaki Ci przesłałem do pana Muchanowa, otrzymałeś, czy go wręczyłeś i czy z ustnej rozmowy mogłeś

wyciągnąć jaki wniosek, czy jest jakie prawdopodobieństwo, abym się mógł z nim osobiście widzieć, jak go o to prosiłem? Bardzobym Ciebie przeto prosił, abyś mi w tej mierze niezwłocznie odpisał. Proszę Cię także, bądź łaskaw mi napisać, przez kogo właściwie w obecnym czasie oddaje się prośby do Namiestnika i czy jest tam kto z moich znajomych, którym na urzędowej drodze takową mógł poprzeć. Mam tu prośbę jakiegoś czynownika rosyjskiego z Litwy, który chce się przenieść do tego kraju, aby korzystać z przywilejów, obecnie tutaj panom tym zapewnionych, ubrdał sobie, że ja mu w tem dopomódz mogę. Sądzę jednak, że moje wdanie się prędzej mu zaszkodzi, niż dopomoże, alebym nie chciał, żeby ten interes dłużej u mnie zalegał. Zdaje mi się, że toby można przesłać na ręce Zaborowskiego, ale Cię proszę, donieś mi dokładnie, jaki jest obecnie jego tytuł, żebym mu nie ubliżył. Raz jeszcze Ciebie prosząc o spieszny odpis, do serca Cię przytulam i błogosławieństwu Boskiemu wraz z całą rodziną poruczam.

»Najprzywiązańszy brat

† *Konstanty Ireneusz,* bp. sejneński«.

Niebawem następuje trzeci list:

»Kochany Panie Tomaszu!

»Korzystam z wyjazdu pana Ciemnołeńskiego do Warszawy, żeby Ci donieść, żem dzisiaj list otrzymał od Muchanowa, że zapewne w przyszłą niedzielę do mnie do Sejn przyjedzie. Przeczuwam, że to będzie ważna a zapewne stanowcza rozmowa. Możesz sobie wyobrazić, jakbym pragnął, żebyś tutaj mógł być ze mną, ale nie sądzę, aby to było rzeczą możebną. *Videas,* i jeżeli możesz, przyjedź nibyto nieznacznie. Proszę Cię nadto, żeby Zinnia (Zofa, córka hr. Tomasza, wtenczas jeszcze w świecie pozostająca, a dzisiejsza Siostra Marya Amata w klasztorze PP. Wizytek w Krakowie, *przyp.*) zaszła do N., i żeby siostry i dziatki nowennę na moją intencyę odprawiły. Bardzobym rad, żeby i po innych klasztorach i osoby pobożne można o to prosić. Módl-

:ie się i wy za mnie. Do serca Cię przytulam. Bóg nad całą 'odziną i domem Twoim błogosławieństwo swe niechaj roz- :iąga. Twój

† *Konstanty Ireneusz*, bp. sejneński.

»Sejny dnia 4 sierpnia 1868 r.«

Temi niemal słowy pisał Apostoł Narodów do Rzy- nian: »Proszę Was tedy Bracia przez Pana Naszego Jezusa Chrystusa i przez miłość Ducha św., abyście mnie wspoma- gali w modlitwach za mną do Boga. Abym był wyzwolon od niewiernych, a iżby posługiwania mojego ofiara przyjemna była w Jeruzalem świętem«.

Pan Muchanow przystąpił do przeprowadzenia sprawy obesłania kollegium z największym zapałem, ponieważ otrzy- mał pod tym względem jak najwięcej naglące instrukcye z Petersburga i ona miała stanowić dla niego kwestyę gabi- netową. Dla dopięcia swego celu postanowił rozpocząć od X. Biskupa, który stanowiskiem i wzięciem górował nad ca- łym ówczesnym Kościołem w Polsce. Kilka tygodni później, jak zobaczymy, sam X. Biskup w formie listu, do Karola de la Barre Bodenhama do Rzymu przesłanego, cały ten prze- bieg sprawy z najmniejszymi szczegółami opisał. List ten oczywiście przeznaczony był dla kuryi rzymskiej i dlatego wszystko w nim jest uwydatnionem. Sądzimy zatem, że nie możemy lepiej opisać życiorysu X. Biskupa w tej tak ważnej dla niego chwili, jak własnemi jego słowy i pozwolimy sobie przytoczyć list ten w całości, gdzieniegdzie tylko przerywając na chwilę cudzosłowy, ażeby lepiej jeszcze skądinąd zaczer- pniętemi wiadomościami osnowę sprawy wyjaśnić.

Oto list do pana Bodenhama z francuskiego w polskim przekładzie:

»Mój kochany Karolu!

»Musieliście już z pewnością otrzymać wiadomość przez pisma publiczne o wywiezieniu X. biskupa Popiela. Musie- liście także prawdopodobnie wiedzieć, że przyczyną tego kroku jest odmowa z jego strony posłania ze swojej dyecezyi

asesora do kollegium petersburskiego. A ponieważ domaganie się wysłania delegata nietylko do niego samego, ale do wszystkich biskupów zwróconą była, musicie być niespokojni o mój los i chcielibyście z pewnością wiedzieć sposób, w jaki na tę sprawę się zapatruję i załatwienie jakie na razie sądziłem, iż wypada jej nadać. Piszę ten list właśnie w celu wyjaśnienia tego wszystkiego.

»Prosiłem był tego lata o pozwolenie pojechania do Ciechocinka na kilkotygodniową kuracyę. Wiadomem wam jest, że od przeszło trzech lat jestem niejako internowany w obrębie mojej dyecezyi, i że wszystkie starania się o paszport tak moje, jak i członków mojej familii, którzy pragnęli, ażebym mógł przyjechać do Warszawy dla dania ślubów, odbycia pogrzebów, lub załagodzenia procesów (proces pomiędzy Łubieńskimi a Feliksem Sobańskim o majątek Guzów, *przyp.*) spotykały się zawsze z stanowczą odmową. Byłem zatem ciekawy wiedzieć o powodzeniu tych moich kroków. Dnia 2 sierpnia pan Muchanow napisał mi słówko, ażeby mnie uprzedzić, że pan Marszałek (Berg) łaskawie zezwolić raczył na moją prośbę i zarazem dodał, że z prawdziwym żalem musi mnie prosić, ażebym odłożył mój wyjazd dla przyczyn służbowych, sam mając zamiar przyjechania do mnie do Sejn w niedzielę następującą. Nic nie wspominał o powodach zamierzonej wizyty, ale mogłem łatwo się zoryentować, już dlatego, że 15 dni wcześniej osobną odezwą zapytywał się mnie, którzy członkowie mojej kapituły władają językiem ruskim, już dlatego, że X. biskup Popiel uprzedził mnie przez zaufanego księdza z mojej dyecezyi, którego był spotkał bardzo niedawno temu, będąc sam w Warszawie dla dania ślubu jednemu ze swoich synowców, że insynuacye były mu czynione o przesłanie asesora do kollegium petersburskiego, i że on miał zamiar odmówić bardzo stanowczo; już to dlatego, że z samego biegu spraw wypływało, że sprawa kollegium musiała przyjść na stół.

»Rzeczywiście dnia 8 sierpnia otrzymałem odezwę następującą, która jako cyrkularz przesłaną była do wszystkich biskupów«.

Następuje dosłowne tłómaczenie odezwy pana Muchanowa z dnia 4 sierpnia 1868 Nr 3964, w którem ten wzywa biskupa dyecezyi do wybrania bezzwłocznego i przesłania do Petersburga asesora do kollegium w myśl najwyższego rozporządzenia objawionego Namiestnikowi. W tej odezwie jest mowa o sposobie wybrania asesora, o pensyi jaką ma pobierać, o zwolnieniu na ten raz obowiązku znajomości języka rosyjskiego, o wszystkiem jednem słowem, oprócz o obowiązkach i odpowiedzialności tychże asesorów. X. Biskup utrzymywał, iż Muchanow naumyślnie tak ułożył tę odezwę, ażeby nie znających dokładnie rzeczy, w błąd w tym względzie wprowadzić i podstępem sprawę przeprowadzić.

Po tej odezwie list dalej powiada:

»Pan Muchanow zostawił mi materyalnie czasu dosyć na otrzymanie, ale nie na odpowiedzenie na tę odezwę, która doszła rąk moich dnia 8 sierpnia. Tego samego dnia pan Muchanow puścił się w drogę, 9-go był już w Sejnach, gdzie spędził jeszcze cały dzień 10-go i wyjechał dopiero po północy. Czas naglił, gdyż mnie (Muchanow) powiedział, że już 14-go będzie w Płocku, a było to moim obowiązkiem zawiadomić X. biskupa Popiela o całej treści bardzo ważnych rozmów, które miałem z panem Muchanowem. Tego samego wieczora mój synowiec puścił się w drogę, zabierając ze sobą list obszerny i niektóre ustne polecenia. Bardzo prędko drogę tę wykonał i już 13-go wieczorem był w Płocku, kiedy pan Muchanow przyjechał dopiero 16-go«.

Synowiec X. Biskupa miał rozkaz w razie niebezpieczeństwa, zniszczenia całego pakietu listów i zdania z nich tylko ustnego sprawozdania. Oprócz tego polecone miał, ażeby przez tę jedną noc, którą musiał się zatrzymać i tak w Warszawie, czekając na ranny statek do Płocka, list X. Biskupa do X. biskupa Popiela został w całości przepisany i X. biskupowi Majerczakowi przez hr. Tomasza Łubieńskiego przesłany. Hr. Tomasz oczywiście to uczynił. Jako odpowiedź hr. Tomasz otrzymał przez prywatną osobę od X. biskupa Majerczaka polecenie, ażeby nigdy więcej listów do niego nie pisywał. Oprócz tego pan Paweł Popiel z Krakowa, który

miał także wiadomość o tym liście, kazał oświadczyć ustnie, że X. biskup Konstanty i hr. Tomasz są ludźmi, z którymi nie można mieć żadnych stosunków. Sam X. biskup Popiel oceniając sprawiedliwiej ogrom walki, która się toczyła, i usługi niezmierne oddawane w tej chwili Kościołowi w Polsce przez hr. Tomasza, jeszcze d. 20 sierpnia w wilię prawie swego wywiezienia posyła do niego do Warszawy naumyślnie ks. Filochowskiego Rocha (dzisiejszego prałata kapituły warszawskiej *przyp.)* w sprawach dla niego (X. biskupa Popiela) żywotnych. List X. biskupa Popiela do hr. Tomasza, który w tej chwili przed nami leży, dowodzi, jak bardzo cenił i potrzebował jego usług.

Synowiec X. Biskupa, zajechawszy do Płocka, poszedł wprost do pałacu biskupiego i pod przybranem nazwiskiem kazał się zameldować. Przyjęty natychmiast zaczął jakąś źle sklejoną bajkę opowiadać, dopóki służący, który go wprowadził, pokoju nie był opuścił. Wtenczas rzucił się do nóg biskupa Popiela, wyjawił swoje nazwisko i wręczył szczęśliwie pakiet z listami. Dla bezpieczeństwa schowany był w jednej celi próżnego naonczas gmachu seminaryjskiego, a potem gdy p. Muchanow już przyjechał i policya była niezmiernie czujną w około biskupiej rezydencyi, wysłany został nocą do Kucic, majątku Karola Łempickiego. Wracajmy teraz do listu p. Bodenhama.

»Sądzę, że nie mogę lepiej opowiedzieć wam szczegółów tyczących się wizyty p. Muchanowa, jak tłómacząc wam słowo w słowo list, który do X. Popiela napisałem. Dodam nakoniec niektóre objaśnienia wyjaśniające, które mi się wydają, jako posiadające pewną jeszcze wartość.

Excellentissime et Reverendissime Domine!

Pan Muchanow opuścił mnie tej nocy po trzydziesto kilku godzinnym pobycie. W przyszły piątek będzie u Waszej Ekscelencyi. Celem jego podróży, jak łatwo było domyślać się po odezwie Nr. 3964, było wprowadzenie w życie woli cesarskiej, co do naszego udziału w kollegium petersburgskiem.

W wilię jego przyjazdu X. prałat Butkiewicz zajechał

do Sejn w sposób zupełnie niespodziewany. Powołany był listem p. Muchanowa, który mi pokazał w największej tajemnicy, i w którym tenże (Muchanow) przesyłając kopię swej odezwy Nr. 3964 powiada mu, że rząd gorąco sobie życzy, ażeby prałat tak znakomitych zasług (dopiero 4 miesiące temu grzecznie wyrzucili go za drzwi w Warszawie) zasiadł w kollegium petersburgskiem, i dlatego poleca mu, ażeby dołożył wszelkich starań, żeby wybór kapituły padł na niego, i prosi go, ażeby na 9-go przybył do Sejn, ażeby się z nim osobiście porozumieć. Cały list był własnoręcznym, w słowach jak najuprzejmiejszych, oddany na pocztę z trzema pieczęciami i nagłówkiem sekretny i bardzo pilny, wyraźnie na kopercie wypisanym. Ażeby zaraz skończyć z tem intermezzo dodam, że Butkiewicz, w chęci widocznie zbadania mnie, zaczął od tego, że się wymawiał — ale bardzo słabo, z powodu zdrowia, i prosił ażebym przedstawił jego trudności p. Muchanowowi, rzecz, którą ja mu odmówiłem, mówiąc, że *habes aetatem,* sam użyj tych doskonałych powodów, ażeby się obronić. Wczoraj rano miał z Muchanowem konferencyę mniej więcej całogodzinną, sam na sam, potem dalej się wymawiał przed nami wszystkimi, dlaczego nie może przyjąć na siebie tego obowiązku, i gdy napróżno czekał, ażeby go kto do tego naglił lub namawiał, odjechał nie doczekawszy się nawet obiadu. Co do p. Muchanowa, nazwisko Butkiewicza nawet nie było pomiędzy nami dotknięte, jak gdybym nie wiedział zupełnie, że on był przez niego tutaj wezwanym.

Bo też zdaje mi się to wezwanie nie miało innego celu, jak tylko aby było dla mnie przestrogą. I sądząc podług tej wskazówki i innych znamion, które mój nos dyplomatyczny mógł odczuć, a któreby za długo było Waszej Ekscelencyi tutaj opisywać, nabrałem przekonania, że rząd był zdecydowany na wszelki wypadek przeprowadzić tę sprawę, że nawet sposoby odraczające na nicby się nie przydały i że trzeba było się zdecydować natychmiast albo na wysłanie asesora do kollegium a w takim razie rząd będzie bardzo miękim na wszystkie nasze zastrzeżenia, zmierzające do zawarowania obo-

wiązków sumienia i praw Kościoła, albo się zdecydować na krańcowe ze strony rządu kroki.

Nie przestawałem zatem wzywać światła Ducha św. i oczekiwałem ze spokojem, ażeby do mnie przystąpiono, ufając zupełnie obietnicy Zbawiciela: *quando steteritis, nolite cogitare, non enim vos estis, qui loquimini.* Pan Muchanow był także widocznie niepewny siebie, i tylko po rozmaitych, drobnych utarczkach wyjawił powód swego przyjazdu. Przyjechał był o godzinie 4 popołudniu, o 5 mieliśmy obiad na 15 nakryć, z których większa połowa osoby duchowne, przy którym był także gubernator, nibyto przypadkiem przybyły dnia tego do Sejn, i który po obiedzie pozostał co najmniej ze dwie godziny, paląc cygara sam na sam z p. Muchanowem i który wyjechał ze Sejn dopiero po odjeździe tego ostatniego«.

Równocześnie z przyjazdem rzekomo przypadkowym gubernatora Suwalskiego i X. prałata Butkiewicza do Sejn, znać było ogromny ruch przy zwiększonej liczbie żandarmeryi i policyi, w spokojnym zwykle miasteczku, jakiś stan oczekiwania i niepewności. Czy Muchanow chciał wywrzeć presyę na X. Biskupa pozorami materyalnej siły, czy też rzeczywiście miał ze sobą w kieszeni na wszelki wypadek rozkaz podpisany przez hr. Berga wysłania go natychmiast na wygnanie w razie nie poddania się woli rządowej, tego dotychczas dojść nie zdołaliśmy. Dalszy tok listu pokaże nam z jaką niesłychaną odwagą X. Biskup rozbierał całą sprawę przed panem Muchanowem, pomimo tych manifestacyj.

»Około jedenastej wieczór pozostawiono nas samych. Ale było dobrze po północy, kiedy pan Muchanow po kilku kieliszkach bardzo starego węgrzyna, nareszcie przystąpił do prawdziwego powodu swojego poselstwa do mnie, zapytując się mnie, czy po otrzymaniu jego ostatniej odezwy namyśliłem się już nad wyborem mego delegata do kollegium. Na to odpowiedziałem dosyć ostro, że podług tejże samej odezwy, to nie na mnie ciążył obowiązek wyboru delegata, że zresztą wcale mu tego nie ukrywam, że moje myśli dotychczas wcale nie były skierowane do tego, kogo ja poślę

ale czy w ogóle ja poślę, że uważam tę sprawę za nadzwyczajnie trudną, jako obchodzącą z bardzo bliska moje sumienie, i że dotychczas nie widzę jasno przed sobą, co mam uczynić i na co się zdecyduję. A kiedy się mnie zapytał o wyjaśnienie mego sposobu widzenia, wyraziłem mu nasamprzód moje zdziwienie, że wszedłszy w najmniejsze szczegóły materyalnego położenia przyszłych asesorów do kollegium, opuścił zupełnie sprawę wielce innego a większego znaczenia, a mianowicie do jakiej roboty powołani są tamże ci assessorowie? jakie będą ich obowiązki i jakie czynności? Dodałem, że wprawdzie nie do mnie zwrócono się o wybór delegata, ale do kapituły, to jednak kapituła bez mego pozwolenia nie mogłaby nikogo ani od siebie wysłać, ani nawet radzić nad tym przedmiotem. Że zresztą delegat, ktokolwiekby nim był, nie mógłby być tylko kapłanem związanym wobec mnie przysięgą posłuszeństwa, i że obowiązek wypływający z tej przysięgi ciążyłby mniej na nim jak nademną, ponieważ on mógłby się opierać na tem posłuszeństwie i zdać się na swego przełożonego, gdy ja byłbym zmuszony ponosić na sobie ciężar i odpowiedzialność obowiązków przełożonego. Wobec tego nie można się temu dziwić, że przedewszystkiem chciałem ja wiedzieć, i koniecznie musiałbym wiedzieć, do jakich czynności i do jakich obowiązków powołani będą ci delegaci.

Na to p. Muchanow mi odpowiedział, że wcale nie byłby się dziwił, gdyby inny jaki biskup wyraził mu, że nic nie wie o kolegium petersburgskiem i jego czynnościach, ale że ja, który tyle lat w Petersburgu mieszkałem, muszę przecież je dokładnie znać. Że zresztą przewidując tę trudność, przywiózł ze sobą jedenasty tom »swodu zakonów«, który opisywał szczegółowo czynności i prawa kollegium, i w ten sposób odpowie. na moje pytania. Dalej myśl swoją rozwijając, dodał, że pożyteczność i główne czynności kollegium, polegały na tem, że:

1^{0} Kollegium centralizuje w sobie wszystkie dane statystyczne i inne o stanie w cesarstwie Kościoła katolickiego, duchowieństwa i t. d. czynności, które w Królestwie Polskiem załatwiała komisya dla spraw duchownych, która niebawem

ma być zniesioną, wskutek ześrodkowania wszystkich spraw ogólnych w Petersburgu. Tutaj p. Muchanow omówił konieczność i pożyteczność tychże danych statystycznych i osobistych, podnosząc niektóre szczegóły, które też opuszczę, ponieważ są bez żadnego znaczenia.

2[0] Kollegium administruje i rozporządza dwoma funduszami bardzo znacznymi, zwanymi: a) kapitał pomocniczy (spomagatelny) i b) kapitał remontowy (remontny), każdy z nich wynosi około trzech milionów rubli, a są one własnością duchowieństwa katolickiego w cesarstwie. Te bardzo ważne czynności w cesarstwie, bo ześrodkuwujące w kollegium wszystkie sprawy tyczące się budowli, restauracyi i utrzymania budynków kościelnych, nie mają dzisiaj takiego znaczenia dla Królestwa, ale z czasem także je nabiorą, bo jest w widokach rządu stworzenie takiego kapitału na potrzeby duchowne tegoż Królestwa.

3[0] Kollegium czuwa i rozpoznaje w apelacyi niektóre sprawy przesyłane przez konsystorze, z wyjątkiem spraw małżeńskich i duchownych.

Oto są razem zebrane obowiązki kollegium petersburgskiego, czynności i atrybucye jemu przekazane ukazem z miesiąca maja ostatniego i określające stosunek z dworem rzymskim. Nie przedstawiają nic antykanonicznego, i rząd wymagając przesłania delegatów do kollegium jest przekonanym, iż niczego nie żąda, coby było przeciwne prawom kanonicznym, lub obowiązkom sumienia Biskupów, czego nie ma ani zamiaru, ani jakiejkolwiek chęci uczynienia.

Ta pierwsza odpowiedź p. Muchanowa wydała mi się wielkiego być znaczenia, ponieważ w miejsce niejasnego straszydła kollegium, o czynnościach i prawach nieokreślonych, podnosiła paragrafy wyraźne prawa powszechnego, nad któremi dalej mogła dyskusya się toczyć. Odczułem więc przedewszystkiem potrzebę pilnego odczytania tychże paragrafów i dlatego przerwałem tę pierwszą naszą konferencyę, wymawiając się koniecznością zastanowienia się nad tymi paragrafami, które on mi wskazał w książce pożyczonej z największą grzecznością.

Przesyłam tu w załączeniu waszej ekscelencyi kopię wszystkich paragrafów »swodu zakonów« odnoszących się do kollegium, ważność ich nie ujdzie jego uwagi. Zwykła niejasność wysłowienia swodu pozostawia tutaj, jak wszędzie indziej, drzwi otwarte do bardzo wielu pytań i sprzeczności, ale nie można też zaprzeczyć, że w tej redakcyi, która jeżeli się nie mylę, uczynioua była w r. 1857, miano wzgląd na konkordat, i że wiele rzeczy, mianowicie takich, które przedstawiają największą trudność dla sumienia katolickiego, starannie usunięto, przy nowej kodyfikacyi tychże spraw; jest to więc zatem znaczną korzyścią, że pomimo zerwania konkordatu, zasady, które on wprowadził do prawodawstwa, pozostały nietknięte.

Na drugi dzień p. Muchanow rozpoczął konferencyę od tego, że się zapytał, czym przeczytał paragrafy »Swodu« i czy nad nimi się zastanowiłem? Odpowiedziałem mu, że je odczytałem z największą uwagą, ale że moje przekonania nie nabrały jeszcze tej jasności, jakbym sobie życzył, bo pomimo tego, że z niektórych szczegółów bardzo byłem zadowolnionym, ich wysłowienie jednak pozostawiało tyle miejsc niejasnych, żem zawsze jeszcze był w niemożebności powzięcia jakiegokolwiek postanowienia. Na jego domagania się, ażebym mu wskazał, które punkta wydawały mi się niejasnymi, powiedziałem mniej więcej co następuje:

Wasza Ekscellencya zupełną masz słuszność, że podczas mego pobytu w Petersburgu, miałem sposobność obeznania się ze wszystkiem, co się tyczy kollegium, znałem i znam jeszcze dzisiaj osobiście wszystkich lub prawie wszystkich jego członków i żywię dla bardzo wielu z nich prawdziwe uszanowanie i cześć niekłamaną; ale co do ich czynności, jako członków kollegium, muszę wyznać, że widziałem ich zawsze przedewszystkiem zajętych staraniami nad wyszukaniem środków, ażeby ludziom wytłómaczyć, iż mają tamże jakieś zajęcie, o czem jednogłośnie wszyscy zawsze powątpiewali. Nie chodzi zatem wcale tutaj o zajęcie tych panów, ale o zasadę samej instytucyi. To wymaga pewnego określenia. Uważam za pewnik nie zbity i nie sądzę, ażeby Wasza Ekscellencya

zechciał temu zaprzeczyć, że kollegium było pierwotnie założone w widokach zupełnie przeciwnych, niebezpiecznych i obrażających Kościół katolicki. Zasady, które zrodziły jego założenie, noszą na sobie piętno epoki, w czasie której powstało, a mianowicie charakter organizacyi kollegiów, pomiędzy któremi rozdzielona była cała administracya w tym czasie cesarstwa, organizacya, którą zastąpiło później utworzone poszczególne ministerstwo, a powtóre znamię pojęć protestanckich, które w zarządzie kościelnym zastępują władzę i odpowiedzialność pasterską, zarządem bezosobowym wspólnych konsystorzy, pojęcie równie sprzeczne z porządkiem zaprowadzonym w Kościele katolickim, jak w starożytnym Kościele prawosławnym, ale które pomimo tego utrzymanem zostało w organizacyi św. synodu rosyjskiego. A zatem myśl przewodnia przy założeniu kollegium nie była inna, jak tylko zastąpienie w Kościele katolickim porządku rzeczy, opartej na prawie Boskiem, nowym porządkiem, spoczywającym jedynie na podstawie praw ludzkich, który to nowy porządek, nawet pomijając stronę dogmatyczną tej sprawy, byłby zawsze niezmiernie szkodliwy dla dobrego zarządu Kościoła, znosząc w nim sprężynę odpowiedzialności osobistej pasterzy. Wiem bardzo dobrze, że wskutek dalszych rzeczy kolei pewne przywileje kollegium, najwięcej antykanoniczne, zostały zniesione, lub popadły w zapomnienie. Tutaj rozwinąłem niektóre wypadki historyczne, starć kollegium z X. biskupem Siestrzeńczewiczem i innych nieporozumień, okoliczności, które tutaj dla skrócenia rzeczy pomijam, i skończyłem podnosząc, że pomimo powyższych zmian, stan rzeczy przedstawiał jeszcze tyle stron ciemnych i niepewnych, że sumienie moje nie mogło się zgodzić, bez znacznych wątpliwości i obaw. Nareszcie dodałem, że przyczyny tych wątpliwości radbym objawić, z najzupełniejszą szczerością, a mianowicie:

a) W jaki sposób należy się zapatrywać na stanowisko kapłana wysłanego przez kapitułę? Każde poselstwo spoczywa na prawie jurysdykcyi u tego, który posła wysyła. A przecież kapituła żadnego zgoła prawa do tego nie ma. Zupełnie przyznaje, że dla załatwienia interesów wyłącznie administra-

cyjnych, jak naprzykład układanie danych statystycznych o stanie Kościoła i duchowieństwa, rząd za poprzedniem porozumieniem się z władzą kościelną może powołać duchownych, na równi z innymi państwa urzędnikami. Pojmuję, że raz, gdy zasada administrowania dobrami kościelnemi przez fiscus zostanie przyjętą, rząd może ją powierzyć kapłanom, i że nawet pod tym względem ze strony rządu jest pewna uprzejmość i grzeczność. Nawet nareszcie przyznam, że co do wyboru tych duchownych urzędników, obranie ich przez kapituły mogłoby służyć za sposób ich wskazania rządowi, *dummodo salvis juribus ordinarii,* ale delegacyę jako taką, przez kapitułę, zupełnie pojąć nie jestem w stanie.

b) Przytem radbym wiedzieć, jak rząd zapatruje się na stosunek tego delegata kapituły do jego biskupa? Dla mnie, obowiązanego czuwać nad wszystkiemi czynnościami duchowieństwa mej jurysdykcyi poddanego, i ponoszenia za niego odpowiedzialności, uważałbym także za mój obowiązek czuwania i przyjęcia odpowiedzialności za wszystko, co ten delegat z mojej dyecezyi robiłby w kollegium. Czy rząd te moje zapatrywania zechce podzielić, lub też czyby uważał tego delegata za wyjętego z pod mojej jurysdykcyi w spełnianiu jego obowiązków, jako członka kollegium?

c) Władza w kościele Jezusa Chrystusa Pana naszego, spoczywa cała w rękach biskupów, następców apostołów i pasterzy ludu wiernego, a nad nimi, w rękach najwyższego Pasterza, następcy księcia apostołów, widomej Głowy Kościoła. Niema tam żadnej przerwy w tej ciągłości, kollegium zatem nie może ani mieć, ani wykonywać jakiejkolwiek władzy w Kościele, i byłoby dla mnie rzeczą niemożliwą, przyznać mu kiedykolwiek takową; bo onaby tylko mogła istnieć ze szkodą władzy biskupiej, z której nawet ja nie jestem w prawie cokolwiekbądź uronić, bo ona została mi powierzoną nie dla jakiejś osobistej korzyści, ale dla dobra Kościoła, i z której sam wcale nie myślę pozwolić sobie coś ująć; albo ze szkodą praw i władzy Stolicy apostolskiej, które w chwili mojej konsekracyi obowiązałem się bronić i to, uroczystą przysięgą z wiadomością i za zezwoleniem najjaśniejszego pana i praw

państwowych. Paragrafy »Swodów zakonów« nie przyznają wprawdzie kollegium żadnej władzy nad biskupami, jednak jest rzeczą ogólnie wiadomą, że w rozporządzeniach i odezwach kollegium, nieraz trafiały się rzeczy, *quae sapiunt veram jurisdictionem,* a mianowicie kiedy rząd chciał wprowadzić pewne zarządzenia swoje, które zanadto wyraźnie wkrączały w dziedzinę władzy duchownej, częstokroć w tym celu używał drogi kollegium, które się temu poddawało bez żadnej trudności, w czem rząd otrzymywał tę dogodność, że opozycya biskupów, wydawała się tracić znamię wielkiego zatargu, *inter utramque potestatem,* ażeby przybrać kłamliwy pozór opozycyi i prawie rewolucyi niższego kleru przeciw wyższemu w hierarchii kościelnej. Otóż gdyby powstał taki zatarg pomiędzy biskupem a kollegium, radbym wiedzieć, jakie byłoby naonczas zdazie rządu o władzy? ktoby był sędzią w tym sporze? Czy byłby to przypadkiem pierwszy departament rządzącego senatu, do którego władzy należy w Rosyi rozpoznawanie zatargów i appelacyi administracyjnych, które rada stanu sądzi we Francyi?

d) Aczkolwiek zupełnie nie chcę poniżyć znaczenia praw administracyjnych kollegium, myślę jednak, że ważność tychże jego przywilejów, całkiem prawie zaćmiona jest w porównaniu z nowymi przywilejami, które mu zostały przyznane ukazem o stosunkach ze Stolicą św. Waszej Ekscellencyi wiadomo, że wcale nie jestem stronnikiem tego ukazu, i że jestem przekonany, że zupełna swoboda naszych stosunków z Ojcem św. byłaby nierównie użyteczniejszą, nie tylko dla dobra Kościoła, ale także dla spraw państwowych, jak to dowodzi świeży przykład Irlandyi. Na wypadek ograniczenia w tej wolności, wolałbym już inny modus transmissionis. Na każdy wypadek, jeżeli dobrze pojąłem osnowę tego ukazu, sądzę, że najjaśniejszy pan, nie chcąc zezwolić na zupełną swobodę stosunków swych poddanych katolickich ze Stolicą św., wspaniałomyślnie postanowił, wybierając władzę katolicką i duchowną, jako stacyę pośredniczącą przy tych stosunkach, oddać sumieniom katolickim zapewnienie poważnego zabezpieczenia. Bo ja mam w sprawiedliwość i wspaniałomyślność najjaśniejszego pana

tę niewzruszoną wiarę, iż nigdy nie chciałby wymagać od kogokolwiek, coby mogło być przeciwnem jego sumieniu. A zatem powierzając kollegium katolickiemu ten obowiązek pośredniczenia, najjaśniejszy pan chciał, ażeby jego członkowie go spełniali w sposób, który odpowiada sumieniu księdza katolickiego. Najjaśniejszy pan poruczył w ten sposób kollegium obowiązek niesłychanie ważny dla dobra Kościoła katolickiego. Tymczasem podług tego, co mnie dochodzi, zdaje mi się i mam powody do sądzenia, że to kollegium zupełnie nie pojęło znaczenia, i nie umiało wznieść się do wysokości tego zadania. W tym stanie rzeczy bardzobym pragnął, żeby mi było pozwolonem, dojechania chociażby na dni parę do Petersburga, ażeby osobiście się porozumieć z przewodniczącym i członkami kollegium, ażeby im przedłożyć mój sposób zapatrywania się.

Pragnę również, zanim powezmę postanowienie w sprawie takiej wagi, jak posłanie delegata do kollegium petersburgskiego, porozumieć się z moimi kolegami, którzy również będą powołani do powzięcia decyzyi w tym samym przedmiocie. Oto główne motywa moich wątpliwości w sprawie, którą się obecnie zajmujemy.

Pan Muchanow wysłuchał mojego przedstawienia, które tutaj Waszej Ekscellencyi streściłem, z tą pilną uwagą, którą do każdej dyskusyi przykłada, bez przerywania mi, chyba nic zupełnie nie znaczącemi uwagami, przedtem uprzedziwszy mnie, że odpowie mi dopiero wtenczas, gdy wysłucha wszystko, co miałem mu powiedzieć. Rzeczywiście, gdym skończył, najsamprzód zapytał się mnie, czy dbam o to, ażeby odpowiedział z kolei na wszystkie moje uwagi? Odpowiedziałem na to, że jemu zostawiam w zupełności ocenienie, co uważa za stosowne do wiadomości mi podać, że ja z mojej strony bynajmniej nie miałem zamiaru wyczerpać przedmiotu tak bardzo zawiłego, i że jak go od razu uprzedziłem, ograniczyłem się do wskazania mu głównych motywów, dla których miałem wątpliwości i które mi przeszkadzały w powzięciu ostatecznego postanowienia. A więc dobrze, odrzekł, a ponieważ Wasza Ekscellencya mi zezwala, opuszczę całe jego przedsta-

wienie historyczne tej sprawy, aczkolwiek miałbym w tym przedmiocie wiele bardzo uwag do zrobienia, któreby jednak dużo czasu zabrały i nas oddaliły od głównej treści rzeczy. Bo tu nie chodzi o to, czem kollegium mogło być w innych czasach, ale o to, czem jest dzisiaj. Potem powrócił punkt za punktem do całego mego przemówienia.

a) Przyznał w zupełności, że kollegium jest władzą wyłącznie administracyjną. I tak w wyborze kapituły, która *sede plena,* nie ma żadnej jurysdykcyi, *sede vero vacante,* ma obowiązek przelania jej (jurysdykcyi) na osobę trzecią, na wikaryusza kapituły, co nie jest inną rzeczą, jak tylko *modus designationis.* Co się tyczy nazwiska delegata, którego to słowa użyłem, przyznaję się niewłaściwie, jedyna przyczyna na to jest, że nie znalazłem innego wyrażenia, ażeby oddać rosyjskie *zasiedatel.* Na to mu odpowiedziałem, że wyrażenie asesor oddawało lepiej znaczenie wyrazu rosyjskiego, i że było uświęcone zwyczajem terminologii prawniczej w Królestwie.

b) Pan Muchanow oświadczył mi potem, iż podzielał w zupełności moje zdanie, co do bezwzględnej zależności delegata od mojej władzy na równi ze wszystkimi innymi dyecezyi duchownymi. Ponieważ ten punkt uważałem za bardzo ważny, chciałem go całkowicie jasno postawić, i dlatego raz go jeszcze spytałem, czy w razie, gdyby mój asesor działał lub głosował w kollegium inaczej jak podług mojej wskazówki, miałbym prawo go odwołać i uczynić go za to odpowiedzialnym, i czy w zasadzie rząd nicby mi nie miał do zarzucenia w takim przypadku? — Wasza Ekscellencya byłbyś zupełnie w swoim prawie i rząd nicby mu nie miał do zarzucenia. — Taka była stanowcza odpowiedź p. Muchanowa.

c) Co się tyczy stosunku wzajemnego pomiędzy biskupami i kollegium, przyznał także w zasadzie, że takowe nie miało żadnej władzy nad nimi, będąc władzą wyłącznie administracyjną, która w niczem nie powinna wkraczać ani w prawa Ojca św., ani biskupów, jedynych prawodawców uznanych w Kościele katolickim. Co się tyczy możliwych nieporozumień pomiędzy kollegium a biskupami, nie widzi

on potrzeby ani możliwości nawet z góry ich na razie przewidywać; jeżeli takowe powstaną, wtenczas na nie się poradzi. Chcieć zaraz to zrobić, byłoby nie na czasie. Jeżeli jest za wiele niejasnych stron, jak utrzymuje, w paragrafach, które ustanowiły i określiły atrybucye kollegium, jak również w przepisach, tyczących się toku spraw w nim załatwianych, będzie mi wolno, jak tylko będę miał asesora w nim z mojej dyecezyi, żądać za jego pośrednictwem wyjaśnienia, albo samemu uczynić przedstawienia, które za sprawiedliwe uznam; każde takie przedstawienie oczywiście musiałoby być wzięte pod pilną rozwagę kollegium.

d) Co się tyczy uwag, które przedstawiłem odnośnie do ukazu tyczącego się stosunków ze Stolicą św., p. Muchanow mi zaręczył, żem w zupełności pojął dostojną myśl najjaśniejszego pana, i okazał prawdziwe zadowolenie po wysłuchaniu słów moich. Przyznaje, że biskup Staniewski popełnił niedorzeczne błędy w swoim pierwszym liście, za co otrzymał z Rzymu porządne skarcenie, ale przypisywał to nieudanie głównie nietaktowi, z jakim on przesłał wprost na ręce Ojca św. pieniądze i weksle, prosząc o pokwitowanie. Dlatego kardynał Antonelli napisał do niego z rozkazu Ojca św., ażeby wiedział, że Ojciec św. nie jest zwykłym sobie bankierem, i jeżeli ma jakie pieniądze do przesłania, powinien to uczynić przez ręce dataryi itd. itd. Ale że to wszystko były tylko okoliczności, wskutek niedoświadczenia, które sam czas zupełnie załagodzi.

Co się tyczy mojej chęci pojechania na kilka dni do Petersburga, nie mógł nic innego zrobić, jak tylko przedstawić życzenia moje wyższym władzom. Co się tyczy potrzeby mego zniesienia się z kolegami, nie odmawiając w zasadzie, dał mi jednak do zrozumienia z wielkim naciskiem, aczkolwiek z nadzwyczajną w formie delikatnością, potrzebę prędkiej decyzyi a raczej podług słów jego, natychmiastowego spełnienia woli cesarskiej.

Przeszedłszy w ten sposób główne momenta moich uwag, i odpowiedziawszy na każde z nich, p. Muchanow dodał nowe jeszcze argumenta, które treściwie tu załączam.

1⁰ Ponieważ wszyscy arcybiskupi i biskupi cesarstwa, z których niektórzy cieszyli się największem poważaniem, i całkowitem zaufaniem Stolicy św., od więcej niż 60 lat brali udział sami osobiście, albo przez swoich delegatów, w czynnościach kollegium katolickiego w Petersburgu, ośmielał się zatem zrobić nam uwagę, że odmowa z naszej strony byłaby rodzajem potępienia, rzuconego na ich postępowanie, coby jednak, podług jego widzenia rzeczy, przechodziło sferę naszych atrybucyj.

2⁰ Że aczkolwiek Stolica św. nigdy nie zatwierdziła, ani nawet nie uznała istnienia kollegium, jest jednak rzeczą pewną i nie ulega żadnej wątpliwości, że o tem kollegium, istniejącem od r. 1802, Stolica św. musi wiedzieć, a pomimo tego nie potępiła go, ani nie zabroniła w nim brać udziału; a zatem chcieć podnieść walkę z rządem na terenie tego ciała, przeciwko któremu Stolica św. nie uznała za stosowne podnieść jakiekolwiek trudności, znaczyłoby, że tak powiemy, wkraczać w jej władzę, i okazywać większą gorliwość od samej Głowy Kościoła. Cały ten sofizmat był bardzo obszernie i wyczerpująco rozwinięty. Jakkolwiek słabe były jego argumenta, nie sądziłem, ażeby to było na czasie, z niemi walczyć albo je odpierać. Ograniczyłem się zatem do tego, ażeby podnieść co mi się wydawało być pomyślnem w odpowiedziach, które na moje pytania i moje trudności były zrobione, i prosiłem o przerwanie tej konferencyi pod pretekstem, ażeby p. Muchanowowi pokazać roboty około restauracyi katedry i seminaryum. Wskutek tych oględzin, wyjechaliśmy potem na spacer, a tak w powozie mieliśmy trzecią konferencyę.

Zacząłem od tego, że podziękowałem panu Muchanowowi za wyjaśnienia bardzo ważne i bardzo potrzebne dla mnie, które był łaskaw mnie udzielić, ale dodałem, że pomimo tego moje zapatrywania i wątpliwości wcale jeszcze nie ustąpiły.

Powiedziałem mu zatem, że jego argumenta byłyby z pewnością zrobiły większe na mnie wrażenie, gdybym w niektórych punktach, których on dotknął, nie posiadał osobiście wiadomości i przeświadczenia, które nie są zgodne z jego zapatrywaniami. I tak naprzykład:

»1⁰. Co się tyczy biskupów cesarstwa, z wyjątkiem X. biskupa Holm, który był wielkim zwolennikiem kollegium, ale który nie był przecież wyrocznią, wszyscy inni biskupi, których znałem, a pomiędzy nimi dwóch arcybiskupów, którzy prezydowali w kollegium, zawsze na niego się zapatrywali, jako ciało bardzo szkodliwe dla Kościoła. — Nie przyznawali mu nawet, co mnie wydałoby się za rzecz pożyteczną, to jest podania sposobności dystyngowanym kapłanom odebrania, przez 3 - letni pobyt w stolicy, znajomości i doświadczenia w kierownictwie spraw ogólnych i szerszego poglądu na rzeczy.

»2⁰. Że co się tyczy Stolicy świętej, przyznawałem chętnie, że ona nie uznała za stosowne, doprowadzić rzeczy do ostateczności w sprawie kollegium, ale że przecież nie można było nie znać surowego zdania jej o tejże instytucyi. Moje zatem trudności nie mogły ustąpić, ale byłem jemu zawsze bardzo wdzięczny, że z takiem uszanowaniem odzywał się o Stolicy świętej w samem nawet pojęciu i przedstawieniu sprawy. Dodałem, że bez przesądzenia w niczem decyzyi, jaką powziąłbym, chciałbym mieć jeszcze wyjaśnienie od niego na jeden punkt. Na wypadek, gdybym się zdecydował na posłanie assesora, posłałbym równocześnie za pośrednictwem kollegium sprawozdanie do Ojca św., w którem wcale bym rządu nie oszczędzał. Chciałbym zatem wiedzieć, czy rząd nie miałby nic przeciw posłaniu takiego sprawozdania i czyby go nie wstrzymał? Odpowiedź dana mi była: Wcale nie — odesłaniu sprawozdania żadna przeszkoda nie będzie stawiona. — Dalej zapytywałem się, że na wypadek, gdyby Ojciec św. nie pochwalił albo potępił moją decyzyę, uważałbym za mój obowiązek odwołać delegata z mojej dyecezyi, czy rząd nic nie ma przeciwko temu sposobu postępowania? Odpowiedź znowu była: Wcale nie — rząd zupełnie uznaje właściwość tego postępowania. Podziękowałem panu Muchanowi za te oświadczenia, zapewniając go, że mi będą bardzo użyteczne dla zbadania późniejszego tej sprawy, którą na później odkładałem i tak skończyłem trzecią naszą konferencyę, ażeby o czem innem mówić.

»Mianowicie w ciągu spaceru rozwinąłem przed nim, ale w taki sposób, ażeby do odpowiedzi nie dopuścić, mój sposób zapatrywania na obowiązek ciążązy na kollegium, wskutek ukazu cesarskiego, pośredniczenia korespondencyi z Rzymem — kollegium ma dwa obowiązki do spełnienia:

»1⁰. Odbieranie korespondencyi do Stolicy świętej przesyłanej, w tem trudności żadnej niema.

»2⁰. Moje sumienie znajduje dużo większą trudność w wypełnianiu drugiego obowiązku kollegium, a mianowicie w konieczności, w jakiej się znajduje, oddawania ministrowi wszystkich brewe i odezw nadchodzących z Rzymu. I tak naprzykład, ostatnie papiery z Rzymu w dosyć znacznej liczbie przesłane mi zostały wszystkie razem pod moim adresem, ale z pieczątką przełamaną. Jeżeli to w ministeryum naruszono pieczątkę, zmuszony jestem milczać, ale jeżeli to w kollegium miało miejsce, przyznaję się, że to jest rzecz, na którą nigdyby mnie moje sumienie nie było pozwoliło. Długo i starannie zastanawiałem się nad tem, coby mi wypadło zrobić, gdybym miał powierzone sobie obowiązki członka kollegium i znalazłem tylko jedyne wyjście, które godzi wymagania prawa krajowego z głosem sumienia. To jest, żebym, przedstawił Ojcu św. ciężką konieczność, którą mnie obarcza prawo, i prosił go, ażeby nie przesyłał tą drogą papierów któreby nie chciał, ażeby przechodziły przez ręce ministra. — Pan Muchanow wsłuchiwał się w moje słowa, nie dając żadnej odpowiedzi, chociaż łacno można było poznać, że go to bardzo interesowało, jak również mało mu się podobało.

»Jedliśmy obiad u gubernatora (który stanął i mieszkał u miejscowego naczelnika powiatu) i wcześniej nieco powróciłem do siebie, ażeby zmówić brewiarz, bo cały dzień byłem zajęty. Pan Muchanow wrócił około godziny 11, a ponieważ wyjazd jego postanowionym był na samą północ, przyszedłszy na górę do mnie, prosił mnie, ażebym ostatecznie odpowiedział, coby miał do powiedzenia o mojej decyzyi, zdając sprawę ze swojej podróży feldmarszałkowi (Bergowi, *przyp.*). Prosiłem go, ażeby złożył moje uszanowanie hr. Namiestnikowi, jak również wyraz mojej wdzięczności za wyjaśnienia

i zapewnienia, które on (Muchanów) dał mnie, i które były mi bardzo użytecznemi dla usunięcia niektórych trudności, jakie przedtem miałem; że jednak dla powzięcia ostatecznej decyzyi potrzebowałem więcej czasu i spokojnego zastanowienia się, i że niebawem do niego o tem napiszę. Zaraz też nadszedł gubernator dla pożegnania się z panem Muchanowem, który wyjechał zaraz po północy, wypiwszy jeszcze strzemiennego.

»Otóż Wasza Ekscellencya, masz sprawozdanie z pobytu pana Muchanowa. Dla osobistego oświecenia Waszej Ekscellencyi dodam, że przed Bogiem i po rozważeniu wszystkich okoliczności sądzę, być rzeczą najwłaściwszą, podnieść zapewnienia i wyjaśnienia dane przez pana Muchanowa, potem zwołać kapitułę, kazać jej przystąpić do wyboru i opatrzeć obranego assesora wyraźnemi instrukcyami o postępowaniu, jakiego ma się trzymać i nareszcie przesłać Ojcu św. sprawozdanie o całym powyżej opisanym toku sprawy.

»Bardzo mi było przykro, żem nie mógł się znieść poprzednio w tym przedmiocie, z moimi czcigodnymi kolegami. Zanim zacznę działać, czekać będę przynajmniej na zdanie Waszej Ekscellencyi, może on będzie miał sposobność zniesienia się z biskupami Juszyńskim i Majerczakiem. W razie, gdyby Wasza Ekscellencya przyjęła mój sposób zapatrywania się, bardzo byłoby rzeczą ważną, ażeby każdy z nas mógł otrzymać od pana Muchanowa wyjaśnienia i zapewnienia takie same, jakie mnie on uczynił, lub nawet jeśli można, jeszcze wyraźniejsze. Coby było jeszcze ważniejszą rzeczą, to jest, ażeby kapłani na assesorów wybrani, byli ludźmi poważnymi, sumiennymi, *non quaerentes, quae sua sunt,* działający w duchu zgody i solidarności, *in charitate non ficta.* Wtedy, chociaż zadanie jest trudnem, mam przekonanie, że z łaską Boską rzecz poszłaby dobrze. Oby Duch św. zechciał Waszą Ekscellencyę oświecić łaską swoją, wspomagać i pocieszyć. Proszę Waszą Ekscellencyę dla siebie i całej mojej dyecezyi o modlitwy i błogosławieństwo.

»Sejny 12 sierpnia 1868 r.«

Musimy tutaj przypomnieć, że cały ten list tłómaczyliśmy z tłómaczenia francuskiego, bo oryginału nie posiadamy, że zatem niektóre wyrażenia odmiennie mogły pierwotnie opiewać. To jednak treści rzeczy zmienić nie może.

»Do tego listu dodane było tłómaczenie na polski język paragrafów 21, 34, 35, 67, 68, 69, 70, 71, 72, 73, 74 z XI-go tomu »Swodu Zakonów«, to jest wszystkich tych, w których jest mowa o kollegium.

»Równocześnie z tym listem posłałem X. Biskupowi płockiemu list, który został mi przysłany bez daty i bez podpisu, zaadresowany do biskupa Staniewskiego, a który przypuszczam musiał wyjść od Kardynała sekretarza stanu, który rzeczywiście nie mógł wpłynąć na biskupa Popiela, ażeby się przychylił do mojego zdania, ale który mógł należycie oświecić cały ten przedmiot. Bo celem moim wcale nie było, ażeby skłonić X. biskupa Popiela do podzielania mego zapatrywania, ale żeby mu dostarczyć wszystkie dane, które mogłem otrzymać, ażeby on sam mógł sobie sumienne wyrobić zdanie.

Ten list do X. biskupa Staniewskiego przedtem X. biskupowi Popielowi nie był znany i on głównie wpłynął na zajęcie odpornego stanowiska względem rządu, co najlepiej świadczy o prawdziwości powyższych słów X. biskupa Łubieńskiego.

»Ażeby nie przerywać dalszego opowiadania wypadków, zaraz tu dodaję dosłowne tłómaczenie (na język francuski, *przyp.*) listu X. Biskupa płockiego, który mnie mój synowiec przywiózł. Da on wam dokładny obraz sposobu, w jaki on na tę sprawę się zapatrywał.

»*Excelentissime et Reverendissime Domine!*

»Wasza Ekscellencya możesz sobie wystawić, z jaką radością otrzymałem Jego listy i z jaką uwagą je odczytałem, aczkolwiek przy rozbiorze tej sprawy doszedłem do odmiennego z nim przekonania.

»Cała ta sprawa nie była dla mnie nową, bo podczas mojego w Warszawie pobytu, byłem kilkakrotnie i to bardzo

natarczywie przynaglany do tej sprawy i musiałem zawsze uciekać się do *non possumus*. Oczywiście wobec tego *non possumus*, raz wyrzeczonego, zdawałoby się, iż wszelka dyskusya była zbyteczną. Pomimo tego pierwsze pytanie podniesione było, co to jest za instytucya, *cui par est nihil et nihil secundnm*. Z tej więc natury już przechodzi dla mnie niemożność brania w niej udziału. Bo jeżeli ta instytucya jest tylko wyjątkowo tolerowaną, potrzebuję osobnego też pozwolenia, ażebym mógł brać w niej udział.

»Przypuszczając, że nigdy ta instytucya nie była przez Stolicę św. odrzucona, cóż to jest za instytucya, którą Kościół od 60 lat znać nie chce, i o której milczy *ex industria*. Wymowa takiego milczenia dostatecznie jest Waszej Ekscellencyi znaną.

»Zerwanie konkordatu z r. 1847 stawia Kościół wobec rządu w tych samych stosunkach, w jakich się znajdował w przeddzień jego zawarcia. Otóż wtenczas nie było mowy o kollegium dla dyecezyi Królestwa Polskiego, a zatem przesyłając do niego teraz assesorów, wprowadzilibyśmy nową instytucyę, do czego zupełnie nie jesteśmy upoważnieni. Odpowiadano mi na to, że to ciało wyłącznie administracyjne i t. d.

»Otrzymawszy więc zaproszenie do wysłania assesora, odpowiedziałem odezwą bardzo krótką, odmawiając i zarazem oświadczając, że taka delegacya z mojej strony tak jest przeciwną zasadniczym prawom Kościoła katolickiego, przysiędze mojej złożonej obydwom władzom, że z mojej strony nie masz żadnej pod tym względem wątpliwości, chyba że nie wolno będzie odnieść się do Stolicy świętej.

»Po tej odpowiedzi, w jaki sposób jutro dyskusya nasza ustna się rozpocznie, to później doniosę. Przygotowałem tylko list do Ojca św., w którym wystawiając stanowisko kollegium i trudności całego naszego położenia, proszę o pozwolenie *experiendi gratia, quae fit in anima vili*, posłania assesorów *ad triennium*. Zdaję sprawę z tego, co wiem o kollegium, to jest, że nie słyszałem, ażeby kiedykolwiek był zbłądził, lub nawet decydował w rzeczach wiary; że wogóle to nie była

instytucya nadto szkodliwa, ale ostrzegam, że (z czego Wasza Ekscellencya, wydaje mi się, nie dosyć jasno zdał sobie sprawę) lada dzień mogą wyjść nowe rozporządzenia dla kollegium, które mogą zmienić jego naturę i jego władzę z niebezpiecznej tylko, zamienić go na rzecz szkodliwą i śmiertelną.

»Liczyć na to, że assesorowie zastosują się naonczas do instrukcyi i do sumienia swych Pasterzy, możemy tylko o tyle, o ile my sami w tej chwili zastosujemy się do woli Stolicy świętej. Zdaje mi się zatem, że tego nie wypada nam składać na barki innych, co jest w danej chwili naszym obowiązkiem. Nie przywiązuję wielkiej wagi do obietnic wyłącznie ustnych; za kilka dni osoba, która je daje, posłaną będzie do Rio de Janeiro lub Konstantynopola, obietnice zatem nie mają żadnej wartości i nie możemy w żaden sposób na nich polegać. Wcale nie przeczę, że możnaby coś dla Kościoła otrzymać, wysyłając assesorów, jak również z drugiej strony, że rząd użyje wszystkich sposobów, ażeby zmusić biskupów do ich wysłania. Ale uważam tę rzecz za tak ważną, że pomimo tego nie mogę zmienić mego zdania. Nie sądzę, ażebym w tem postanowieniu był odosobnionym. Tak mnie przynajmniej upewnił nasz wspólny dawny przyjaciel. (To odnosi się do X. biskupa Majerczaka, który najspokojniej delegata wysłał, *przyp.*). Zresztą zdaję się najwięcej w tym względzie na stanowczość Waszej Ekscellencyi i na jasność, z jaką zawsze się oryentuję w sprawach tym podobnych. Wszystko wydaje mi się być lepszem, jak zakładać nad sobą lub obok siebie władzę *quasi* duchowną, nie pochodzącą ze źródła Piotrowego.

»Przewiduję, że tam, gdzie rząd napotka na opozycye biskupów, poślę na miejsce assesorów, duchownych byle jakich, jak dawniej posyłano do komisyi spraw wewnętrznych. Jednak nie dziwiłbym się, żeby się znaleźli duchowni, którzyby czuli się powołani do pobierania płacy 10.000 złp. *tanquam Aaron*. a że ci panowie dadzą dużo ze sobą do roboty, tośmy obydwaj już w praktyce doświadczyli.

»Dziwię się, że Wasza Ekscellencya dotychczas nie znał

treści rozmów, które miałem o tym przedmniocie w Warszawie, bo miałem obietnicę pewnej osoby, że o tem Waszej Ekscellencyi doniesie i ostrzeże ją o mojem niezłomnem postanowieniu.

»List ten (ciągnie już dalej X. biskup Łubieński do Bodenhama, *przyp.*), a raczej brulion dyktowany przez X. biskupa Popiela, nie ma ani daty, ani podpisu, ale był oddany przez X. Biskupa własnoręcznie mojemu synowcowi, z rozkazem oddania mi go; nie mogę zatem wątpić o jego autentyczności i pomimo tego, że nosi na sobie cechę dyktandum bardzo pospiesznego, przedstawia wierny obraz myśli X. biskupa Popiela w chwili przyjazdu pana Muchanowa. Ten ostatni zabawił trzy dni w Płocku, ale mój synowiec widział X. Biskupa tylko wieczorem pierwszego dnia, zmuszony wyjechać, ażeby nie zwrócić na siebie uwagi. Zapytał się wtedy X. Biskupa, który go z niezmierną łaskawością przyjął, czy nie miał nic do zmienienia lub dodania do swego listu i czy rozmowa z Muchanowem w niczem nie zmieniła jego zapatrywań? X. Biskup mu odpowiedział, że nie i polecił mu jeszcze mnie powiedzieć, że był zdecydowany wytrwać, chociażby mu dyecezyę do góry nogami przewrócili i tylko w razie, gdyby mu seminaryum zaczepili, wtenczas zawahałby się. To dowodzi, że na końcu tego pierwszego dnia X. Biskup płocki nie zdawał sobie jeszcze jasno sprawy z niebezpieczeństwa, które jemu osobiście groziło, i że myślał, że rząd ograniczy się, jak to czynił dotychczas, na prześladowaniu go szykanami, ażeby na nim wymusić zezwolenie. X. biskup Popiel kazał zarazem mojemu synowcowi oddać mi, *pro memoria,* po polsku spisany list do Ojca św., o którym mówił mi w swoim liście, rzecz, którąby niewątpliwie uległa była zmianom przed wysłaniem, ale którą Wam (Bodenhamowi, *przyp.*) także posyłam tak, jak ją otrzymałem dla informacyi. Jeżeli będzie potrzeba, można kazać ją przez osobę pewną przetłómaczyć«.

X. biskup Łubieński nie dodał w tem miejscu, iż X. biskup Popiel żegnając się z jego synowcem ze łzami w oczach, kazał go serdecznie pozdrowić, dodając, że nad wszelki wyraz

bolesną mu jest rzeczą, iż w tym wypadku nie może iść za zdaniem X. biskupa Łubieńskiego, na którego wytrawne poglądy i gorliwe przekonania, zawsze z zupełnem zaufaniem się spuszczał i ich słuchał, i że to pomiędzy nimi pierwsze niejako nieporozumienie jest, po ludzku mówiąc, najboleśniejszą w tej sprawie dla serca jego stroną.

»Gdy synowiec mój uganiał się po rozstajnych jeszcze drogach, otrzymałem od pana Muchanowa, na drugi dzień po jego wyjeździe, telegram donoszący mi o wysłaniu listu przez Namiestnika Królestwa i proszący mnie, ażebym nie opuścił Sejn przed jego otrzymaniem. Rzeczywiście też, dwa dni później otrzymałem list własnoręczny Marszałka:

»Warszawa 1/13 sierpnia 1868.

»Ekscellencyo!

»Pan Muchanow w tej chwili powrócił i zdał mi sprawę o wyjaśnieniach, któreście ponownie pomiędzy sobą zamienili w sprawie kollegium katolickiego w Petersburgu. Staraniem jego przedewszystkiem było przedstawić Wam charakter wyłącznie administracyjny tego ciała. Bardzo jestem kontent, dowiedziawszy się, że się zajmujesz koniecznym wyborem delegata i piszę te kilka linii, ażeby prosić, żeby nie zwlekać tego wyboru i ukończyć tę sprawę przed wyjazdem do Warszawy i do Ciechocinka.

»Czem mniej będzie opóźnień i trudności dobrowolnie stawianych w wykonaniu woli Najjaśniejszego Pana, tem lepiej dla Kościoła katolickiego i pojedynczych dygnitarzy.

»Każda opozycya, zmieniając charakter administracyjny przepisanego środka, przeniosłaby sprawę na arenę polityczną, coby musiało pociągnąć smutne za sobą następstwa, niemożliwe na razie do wypowiedzenia.

»Zawsze dawałem Ci dobre rady mój kochany Hrabio, i bardzo Ciebie proszę zastosować się do tego, co list ten zawiera.

»Proszę przyjąć wyrazy mojego wysokiego poważania i dawnej przyjaźni *Hrabia Berg*«.

»Na skutek tego listu zdecydowałem się na zwołanie bez dalszej zwłoki mojej kapituły, co też uczyniłem pod dniem 21 sierpnia do Wiłkowyszek i przedstawiwszy jej szczegółowo rozkazy rządu wyjaśnienia i zapewnienia, które mi dane były, wezwałem ją do przystąpienia do wyboru wymaganego przez rząd i wskazałem na osobę X. Andrzejewskiego, dawnego dziekana maryampolskiego i proboszcza w Słowiku, kapłana nadzwyczaj zasłużonego, z prawem kościelnem dobrze obznajomionego, ostrożnego i ducha katolickiego, a który 6 lat przepędziwszy na wygnaniu w Rosyi, dobrze język jej znał. Kapituła poddała się moim wskazówkom, nie dając się zwieść na manowce intrygami niektórych kapłanów, olśnionych wyższą pensyą i wręczyła mi protokół dokonanego przez siebie wyboru. W tej chwili napisałem list do hr. Marszałka, ażeby cierpliwie czekał na ukończenie tej sprawy, równocześnie podnosząc niektóre wyrażenia jego ostatniego listu. Spieszno mi zresztą było jak najprędzej pojechać do Warszawy i Płocka, tamtędy miałem bowiem zamiar jechać do Ciechocinka, bo przeczuwając nieszczęście, sądziłem, że będę mógł być może potrzebnym mojemu czcigodnemu koledze. Oto kopia listu mego do Marszałka«.

List ten oczywiście po francusku pisany, a nieudolnie przez nas na polski język przełożony, mógłby służyć w oryginale za wzór niezmiernie wyszukanej grzeczności, a zarazem gryzącego sarkazmu. Tylko mistrz słowa i skończony dyplomata mógł był coś podobnego od ręki napisać.

»Panie Marszałku!

»Bardzo byłem wzruszony łaską Waszej Ekscellencyi, który raczył napisać pod dniem 1/13 sierpnia list do mnie, który jest nowym dowodem Jego niezmiennej dla mnie łaski. Wasza Ekscellencya ma słuszność, przypominając mi, że mnie dawał zawsze dobre rady. — To też nieraz podziwiałem takt delikatny, z jakim Wasza Ekscellencya wchodząc w najdrobniejsze odcienia zawiłej sytuacyi, potrafi się postawić w położeniu tego, który do niego się ucieka i wskazać mu jedyną drogę, po której ma kroczyć, ażeby uniknąć wszystkich prze-

szkód; zachowując przytem dar rady, która podaje ponętną sukienkę zdania wziętego z niezmiennej uprzejmości i niezwykłej ostrożności. Zaraz po otrzymaniu listu Waszej Ekscellencyi, poczułem się w obowiązku zwołania wszystkich członków mojej kapituły nie do Sejn ale do Wiłkowyszek, gdzie niektórym z nich łatwiej było dojechać. Z mojej strony udałem się w sąsiedztwo do mojego kuzyna Z. Gawrońskiego w Pojeziorach, skąd mam zaszczyt list dzisiejszy przesłać Waszej Ekscellencyi, ażeby módz dostarczyć kanonikom rady i wskazówki, któreby oni potrzebować mogli. Nie przyjadę zatem do Warszawy (przez którą jechać będę do Ciechocinka), na co Wasza Ekscellencya mi pozwolił i nie będę miał zaszczytu Jego odwiedzić, aż po zrobieniu tego kroku wiodącego do załatwienia tej sprawy.

»Z największą też przyjemnością wyczytałem w liście Waszej Ekscellencyi, iż był zadowolony z wyjaśnień obopólnych moich z p. Muchanowem, i z których on zdał mu sprawę za swoim powrotem. Jestem przekonany bowiem, że węzeł wielkich trudności, którą przedstawia cała ta sprawa, tkwi właśnie w myśli, którą Wasza Ekscellencya uwydatnił, a mianowicie, że instytucya kollegium duchownego petersburskiego, nie może mieć i rzeczywiście niema w naszem prawodawstwie tylko charakter wyłącznie administracyjny, bez żadnej jurysdykcyi. Ale Wasza Ekscellencya pozwoli, iż wyrażę tu myśl, że wogóle charakter i znaczenie jakiego przedsięwzięcia, nie jest zależny wyłącznie od rozmiarów tych, którzy je ustanawiają. Kierowane są one bowiem nie raz samą naturą rzeczy o tyle, a nawet więcej, aniżeli wolą ludzką. I tak naprzykład, chociażby się pragnęło odjąć całej tej sprawie charakter polityczny, byłoby to podług mnie niemożliwem, bo ten charakter tkwi w samej istocie rzeczy; ale sądzę, że to nie powinno mi przeszkodzić i nie przeszkodzi wziąć udziału w jej przeprowadzeniu. Instytucya także przedstawia charakter religijny i sam już tytuł *Duchownaja kollegia* to potwierdza, co dotyka skrupułów zupełnie zrozumiałych i momenta bardzo drażliwe zamienia. Dla wyjaśnienia zatem tego zawiłego położenia i tak bardzo niejasnego, i ażeby przeszko-

dzić przykrym nieporozumieniom, staraliśmy się z p. Muchanowem rzecz całą omówić, a on, przyznać chętnie muszę, przystąpił do tego z największą otwartością wyrażeń i z chęcią zgody i porozumienia. Przewiduję jednak wiele jeszcze bardzo trudności do przezwyciężenia, zanim cel osiągniętym będzie.

»I dlatego przekonany o szlachetnych zamiarach Waszej Ekscellencyi, ośmielam się Go prosić, ażeby nie schodził z drogi perswazyj, z którą sprawę tę od początku rozpoczął. Ta droga bowiem jest najwłaściwszą, ażeby uniknąć smutnych następstw, o których Wasza Ekscellencya nadmieniłeś, następstw jednak, na które wzrok biskupa musi się przyzwyczaić, patrzeć oko w oko bez trwogi, tak długo, jak się wobec sumienia czyni wszystko co można dla utrzymania spokoju i porozumienia.

»Proszę zechcieć przyjąć panie Marszałku i t. d. i. t. d.

† *X. Konstanty-Ireneusz,* b. sejneński.

»Pojeziory 9/21 sierpnia 1868«.

»Aczkolwiek list ten był z 21-go, a 24-go wysłałem go umyślnym posłańcem do Warszawy, nie był oddany Marszałkowi, wskutek nieprzewidzianej zwłoki, aż dopiero 30 sierpnia, to jest na drugi dzień po wywiezieniu X. biskupa Popiela z Warszawy na wygnanie. List oddany był przez mego brata (hr. Tomasza) Marszałkowi, który natychmiast chciał go przeczytać i bardzo był niekontent, że w nim nie znalazł w sposób jasny podaną wiadomość o dokonanym wyborze przez kapitułę i nazwisko wybranego, rzecz, którą naumyślnie zamilczałem, przez wzgląd na X. biskupa Popiela. Uniósł się mówiąc o tym ostatnim, dodając, że przez swój ślepy upór więcej zrobił złego Kościołowi katolickiemu w Polsce, jak wszyscy razem rewolucyoniści. Skazałem go na wygnanie, powiedział, i już nigdy nie zobaczy Polski, ani swej dyecezyi. Potem dowiadywał się o mój przyjazd i powiedział, ażebym się widział z p. Muchanowem. Tego samego dnia rzeczywiście przyjechałem do Warszawy i natychmiast posłałem następujących słów parę do pana Muchanowa:

»Wasza Ekscellencya zrozumie bolesne wrażenie, jakiego

doznałem, dowiedziawszy się, dzisiaj wieczór tu przyjechawszy, o wyjeździe X. biskupa Popiela. Mój brat miał zaszczyt dzisiaj zrana oddać panu hr. Namiestnikowi list, który do niego napisałem parę dni temu, pan Marszałek kazał mu powtórzyć mnie rozkaz widzenia się z Waszą Ekscellencyą. I bez tego rozkazu nie omieszkałbym się jemu przedstawić, ale to dając mnie do myślenia, że Wasza Ekscellencya ma jakiś do mnie interes, muszę Waszą Ekscellencyę prosić, ażeby mi wskazał godzinę jemu dogodną, na którą oczekiwać będę. — Proszę przyjąć i t. d.

»Odpowiedź natychmiast otrzymałem, że rzeczywiście miał mi coś do powiedzenia i prosi mnie na jutro pomiędzy godziną 11 a 12. Przyjechawszy zobaczyłem mój list do Marszałka na biurku pana Muchanowa, a jego zastałem bardzo smutnego i zaambarasowanego z powodu nieudania w Płocku i jego późniejszych następstw. Wręczył mi nasamprzód odezwę, którą rozesłał do wszystkich biskupów dyecezyi o wywiezieniu X. biskupa Popiela, odezwę, którą prawie w całości, powiedział mi, Marszałek sam podyktował, i którą natychmiast przeczytałem«.

Tutaj następuje w całości odezwa p. Muchanowa z dnia 18/30 sierpnia 1868 r., w której on podaje do wiadomości władz dyecezyalnych, że X. biskup Popiel nie chciał posłać delegata do kollegium bez zezwolenia Ojca św., ponieważ to jest nowa jakaś instytucya w Królestwie. Rząd jednak nie mogąc zezwolić na to, ażeby jego prawa były naruszane przepisami kościelnymi, tem mniej może pozwolić, ażeby wykonanie woli najwyższej zależnem było od komentarzy dowolnych i osobistych. Dlatego upatrując w tem postępowaniu X. biskupa Popiela uparte nieposłuszeństwo woli najwyższej, hr. Namiestnik rozkazał natychmiast usunąć go z dyecezyi płockiej i wywieźć nazawsze.

»Przeczytawszy tę odezwę, wcale nie taiłem p. Muchanowi liczne trudności, jakiemi ten wypadek skomplikował uregulowanie sprawy, tak dobrze dla rządu, jak nas samych. On się starał opowiedzieć mi w najmniejszych szczegółach rozmowy swoje z X. biskupem Popielem; starając się uwy-

datnić najmniejsze szczegóły, któreby mogły dać do zrozumienia, że X. biskup Popiel, chociaż przeniósł wygnanie raczej jak posłanie delegata do kollegium, nie miał jednak w gruncie rzeczy przekonania, że to jest niemożebnem i niezgodnem z prawami kościelnemi, ale że się dał powodować przyczynami natury lokalnej. I tak naprzykład, X. Biskup miał mu powiedzieć, że gdyby był w cesarstwie a nie Królestwie, nie miałby trudności w wysłaniu delegata. Przywieziony do Warszawy w piątek wieczór, kiedy pan Marszałek w ostatniej audyencyi naznaczył mu ostateczny termin 3-godzinny popołudniu na drugi dzień, ażeby się namyślił — X. Biskup miał odpowiedzieć, że wolał wygnanie, bo chociażby teraz zdanie odmienił, nie mógłby z tym wstydem do dyecezyi wrócić — słowa może niebaczne, które p. Muchanow przeciwko X. Biskupowi podnosił. Pan Muchanow pomimo tego bardzo usilnie na to nalegał, ażeby swem opowiadaniem mnie przekonać, w jakich bardzo dobrych stosunkach aż do samego końca on pozostawał osobiście z X. Biskupem Popielem.

»Pomimo chwili boleści, była dla mnie, przyznać muszę, strona głębokiej rozkoszy, wsłuchując się w te łaskotki słów (*chatoiment de parole*) i oddychać tą pierwiosnką zwycięstwa (*savourer ces prémices de la victoire*) odniesionego przez X. biskupa Popiela, zwycięstwa niewątpliwego, postawa przeciwnika tego dowodziła, a on starając się zmniejszyć i rzucić odrobinę (*éclabussures*) błota na ofiarę pełną szlachetności i prostoty wywiezionego Biskupa, wydawał mi się być tak małym i tak podłym, żem nie mógł Panu Bogu za wszystko dosyć dziękować — zastrzegłszy sobie swobodę odpowiedzenia na odezwę otrzymaną, którą mogłem tylko pobieżnie odczytać, przestrzegłem tylko pana Muchanowa, że muszę natychmiast skonstatować, że jeżeli się różniłem z X. biskupem Popielem w sądzie moim o tej okoliczności, pozostawałem niezmiennie jednego z nim zdania, podnosząc prawo Kościoła do sądzenia w najwyższej instancyi tego, co się tyczy jego istnienia, lub jego potrzeb. Podniosłem częste i wyraźne sprzeczności, jakie zachodziły pomiędzy ustnemi zapewnie-

niami mnie składanemi a piśmiennemi aktami, a nawet i odezwą Nr 3.964 o wyborze assesorów i wnioskowałem, że wątpliwości ze strony X. biskupa Popiela miały powody słuszne za sobą i mogły być więcej z prawdą zgodne, jak decyzya odmienna, którą ja byłem powziął. Że w każdym razie, iż to nie był komentarz dowolny prywatnej osoby, ale zdanie władzy kompetentnej. Że w każdym razie wina X. biskupa Popiela, jeżeli wina jest, na tem polegała, że nie zrozumiał półurzędowych oświadczeń, które mu były dane poza treścią akt urzędowych. Niezrozumienie takiej rzeczy, nie może nigdy być zbrodnią, a wywiezienie zdaje mi się jest karą dla zbrodniarzy.

»Dowiedziałem się także w tej rozmowie, że chociaż Marszałek wziął na siebie przed opinią odpowiedzialność całą za ten krok, zniósł się jednak poprzednio z ministrem a nawet osobiście z cesarzem i wykonał tylko dane sobie rozkazy.

»Co się tyczy spraw mojej dyecezyi, powiedziałem panu Muchanowi, że pomimo tego, że sprawa tak się powikłała tą niespodziewaną okolicznością, jednak sama nie zmieniła swej treści, i doniosłem mu, że wybór assesora do kollegium z dyecezyi sejneńskiej jest zrobiony, i wymieniłem nazwisko kapłana, wiadomość tę zaś przyjął z widocznem zadowoleniem.

»Nareszcie pan Muchanow mi powiedział, że pan Marszałek polecił mu ze mną pomówić o liście moim ostatnim. Ten list dał do myślenia Marszałkowi, że niektóre wyrażenia listu, na który ja odpowiadałem, były przezemnie zrozumiane, jako ukryte przestrzeżenie, lub w chęci nastraszenia mnie. Polecił mu zatem powiedzieć mi, że to nigdy nie było jego zamiarem, i że chciał tylko zwrócić uwagę moją na ważność całej tej sprawy. Odpowiedziałem, prosząc go, ażeby był łaskaw podziękować panu Marszałkowi za uprzejmą łaskę tego wytłómaczenia, i że wcale nie posądzałem go o zamiar zastraszenia mnie, bo sądzę, iż pan Marszałek zna mnie zanadto dobrze i śmiem powiedzieć, dosyć poważa, ażeby chcieć tak występować przeciwko mnie; a jeżeli podniosłem to zdanie, to dlatego, bo mi się wydawało rzeczą użyteczną stwierdzić, żem zrozumiał całą doniosłość sprawy, i jeżeli nie zapozna-

wałem niebezpieczeństwa, które osobiście mogły mi grozić, i jeżeli głęboko nad niemi się zastanawiałem, to nigdy przez wzgląd na swój osobisty interes, ale zawsze z punktu widzenia tego, co myślałem, iż jest z pożytkiem Kościoła; i że spokój moich decyzyj temi obawami nie był nigdy jak najmniej poruszony, co nie zawadzi podnieść raczej przy tej sprawie, jak przy wielu innych a podobnych. Dodałem nareszcie, że sądzę, iż pan Marszałek wolałby może w tej chwili, ażebym się jemu nie przedstawiał. Tu pan Muchanow przerwał mi, mówiąc, że przeciwnie pan Marszałek bardzo pragnie ze mną się widzieć, chciał nawet, żebym za godzinę do niego się udał, to jest po zdaniu jemu sprawy z naszej rozmowy, ale wolałem iść do niego na drugi dzień o takiej godzinie, w której wiedziałem, że jest zawsze sam jeden.

»Na drugi dzień rano udałem się do Marszałka, ale treść jego mowy wobec mnie, była zupełnie odmienną od tego, co opowiadał przed moim bratem i innemi osobami, do których mówił, że trzeba, iżby wszyscy słuchali woli Najjaśniejszego Pana, i że jeżeli biskupi tego uczynić nie zechcą, to się bez nich nich obejdzie. Kiedy mnie przyjął, nie znajduję innego wyrażenia, ażeby oddać stan jego umysłu, w którym go zastałem, jak tylko słowo przerażenie *(consternation)*. Opowiadał mnie o osobistych jego wysileniach, ażeby przekonać X. biskupa Popiela i o swojem niepowodzeniu, a zarazem o obawach, jakie żywił co do dalszych następstw tego wypadku. To wszystko powiedziane było z rzeczywistym smutkiem. Gorzko bardzo się żalił, ale w tych nawet skargach jego widać było wielkie uszanowanie dla charakteru X. biskupa Popiela. Słuchałem go nic nie odpowiadając, bo miałem wrażenie, że jeszcze nie nadeszła chwila do wyciągnięcia konkluzyi z faktów, których doniosłość dopiero przed nami zaczynała się wyłaniać. Ale nigdy lepiej nie zrozumiałem, że znamie tego przejścia było zwycięstwem Kościoła i klęską dla rządu. To może być musi wyjaśnione.

Rozwiązanie trudności bieżących ze Stolicą św. na zewnątrz, z katolikami na wewnątrz, stało się areną zaciętej walki, która się toczy w łonie samego rządu, pomiędzy dwoma

stronnictwami, które o objęcie władzy się dobijają. Stronnictwo zacięte, stronnictwo głęboko i nieprzebłaganie rewolucyjne w swoich zamysłach, w swoim kierunku, w sposobach działania, których używa, a szczególnie w charakterze ludzi, którzy nim kierują, lub przynajmniej na czele jego są wyniesieni, bo rzeczywiście o wiele mniej kieruje się rewolucyą, jak się przez nią jest poniesionym. Bo tacy ludzie jak Murawiew, Milutyn lub Czerkawski, chociaż noszą na sobie kłamliwe maski gorliwości dla despotyzmu, są właściwie z krwi Mazzinich i nic innego. Z drugiej strony stronnictwo umiarkowane, uczciwsze w swoich przekonaniach, ale pozbawione zasad pewnych i stałych, ciągle podjudzane przez stronnictwo rewolucyjne, którym się brzydzi, ale którego zarazem się boi, które (rewolucyjne) z niewątpliwą zgrabnością łechce szowinizm mas z jednej strony, a autokratyzm pana z drugiej, i zmusza stronnictwo umiarkowane do czynienia wszystkiego, czego rewolucya sobie życzy, ale czego sama otwarcie nie śmie robić. Sprawa Kościoła, szczególnie po wypadkach polskich, oddawała stronnictwu rewolucyjnemu teren do przebrzydłych okrucieństw, przeciwnych sumieniowi, ale zgodnych z fanatyzmem tłumów, i namiętnościami podrażnionych autokratów. Chcieli się tam usadowić jak w jakiejś twierdzy, ażeby stamtąd panować nad ogółem położenia. Bóg pozwolił, że ich dwaj główni dowódzcy, panowie Milutyn i Czerkawski, zostali rozbrojeni własną namiętnością, i umiarkowani otrzymali na razie niejaką przewagę. Ci ostatni podnosząc sprawę Kościoła, chcą, ażeby był wilk syty i koza cała, starają się wybiegami rozbroić przeciwników, tak pomiędzy fanatykami, jak w autokracyi. W ten sposób pragnąc ustalić swoją władzę po grzbiecie Kościoła, rachowano na jego ostrożność zawsze niechętną dla opinii zanadto skrajnych, rachowano także na jego słabość. Te illuzye X. biskup Popiel zniszczył, i jego upór lepiej jeszcze od moich zastrzeżeń dowiódł rządowi, że trzeba się liczyć albo z prawami Kościoła i obowiązkami sumień katolickich, albo zdecydować się na prześladowanie, ktokolwiekby był u władzy, rewolucyoniści czy też umiarkowani. Ale zrozumiałem także do jakiego stopnia porażka rządu

była także przegraną stronnictwa umiarkowanego i jaką nową siłą mogło to obdarzyć rewolucyonistów, których przyjście do władzy byłoby niewątpliwie początkiem nowych katastrof, których Kościół nie ma powodu ani przyspieszać, ani wywoływać. Oto jest rzecz, na którąbym chciał zwrócić uwagę — ażeby Stolica św. mogła w zupełności skorzystać ze zwycięstwa odniesionego przez X. biskupa Popiela.

»Sprawa kollegium, która, gdyby wszyscy moi koledzy byli stanęli przy mojem zdaniu, byłaby zaniesioną do Stolicy św. w sposób pośredni, przez sprawozdanie, które ja bym jej był złożył drogą urzędową przez kollegium, dzisiaj z konieczności jej się wprost narzuca, i ma sobie miejsce wyznaczone w układach półurzędowych pomiędzy Stolicą św. a rządem rosyjskim. które, jeżeli mam wierzyć panu Muchanowowi, toczą się obecnie w Paryżu, gdzie są ułatwione doskonałymi osobistymi stosunkami pomiędzy mgrem Chigi a hr. Stackelbergiem. Otóż, jeżeli w tych rozmowach nie urzędowych, jeżeli w odpowiedzi, którą Ojciec św. raczyłby dać na moje sprawozdanie, albo w jakimkolwiek akcie urzędowym zechciał objawić świętą swoją wolę, potępienie kollegium było jasno wyrażone, moje zdanie jest, że to było wzmogło bardzo zdanie i środki gwałtowne, Kościołowi przeciwne, i przekonania tych, którzy głoszą zasadę, że nie ma sposobu porozumienia się z Kościołem katolickim, i że tylko jest jedna względem niego droga otwarta, to jest walka exterminacyjna. Jeżeli przeciwnie Stolica św. podnosząc nadewszystko całą wagę, jaką na szali tej sprawy kładzie wygnanie człowieka tak poważnego, użyłaby jednakowoż pewnego umiarkowania, coby tem więcej było w porę dla ludzi względnie umiarkowanych, którzy dzisiaj jeszcze kierują tą sprawą, i dla których to umiarkowanie byłoby w ich widokach i w ich własnym interesie, moje zdanie jest, że nie byłoby trudności wyprowadzić z całej dyskusyi tę prawdę, że z dobrą wiarą, łacno jest porozumieć się z Kościołem, ale że jest z pewnością korzystniejszem dla rządów, porozumiewać się wprost ze Stolicą św., jak znosić się z prostymi biskupami, jej sługami«.

Tutaj w liście do Bodenhama, X. Biskup na kilkunastu stronnicach daje obszerne i wyczerpujące historye kollegium petersburgskiego, z przytoczeniem wszystkich źródeł, przepisów prawnych i ukazów cesarskich, od jego powstania aż do ostatniej chwili. Potem list tak dalej opiewa:

»Ten ukaz (z 10 maja 1867 r., nakazujący znoszenie się z Rzymem za pośrednictwem wyłącznie kollegium, pod groźbą najsurowszych kar, *przyp.)* wymagałby także pewnych objaśnień, ale o nim już powyżej mówiłem. Nie zapominając, co w nim jest ciężkiego i wstrętnego, trzeba jednak oddać mu sprawiedliwość, iż urzędowo przyznał potrzebę dla katolików a szczególnie dla biskupów w Polsce i w Rosyi, znoszenia się z Rzymem, i to w chwili, gdy ci właśnie, którzy otrzymali zerwanie konkordatu, pchali całą siłą do tego, ażeby wprost zakazać wszelkich stosunków z Rzymem. Z pewną zręcznością, odwagą i godnością ze strony prezydenta w kollegium, stosunki te byłyby nawet ułatwionymi, i mniej szkodliwymi, aniżeli one były faktycznie za poprzedniego stanu rzeczy; a przykład porozumienia się co do nominacyi biskupa grecko-unickiego (X. biskupa Kuziemskiego, *przyp.)* daje do myślenia, że rząd rosyjski jest skłonny do dalszego znoszenia się bezpośrednio ze Stolicą św. co do wyboru biskupów, bez pchania rzeczy do ostateczności; czego od wysłowienia ukazu można się było obawiać, i w czem tkwiło wielkie jego niebezpieczeństwo.

»Co więcej, mam powody do mniemania, że ten mój sposób widzenia rzeczy nie jest przez Stolicę św. źle widzianym, ponieważ pomimo sprawiedliwej i bardzo surowej nagany danej X. biskupowi Staniewskiemu, i który dla niego jest rozkazem usunięcia się od przewodniczenia w kollegium, list ten nie zawiera nic, coby dawało do myślenia, iż wyszedł zakaz brania jakiegokolwiek udziału w temże kollegium, i że w dodatku do powyższego listu, Ojciec św. raczył przesłać biskupom w Polsce listy rozmaite w odpowiedzi na pokorne prośby, które były przesłane do Rzymu drogą kollegium, w ten sposób upoważniając ich niejako, wobec ostatecznych potrzeb

tych ciężkich czasów i opłakanych okoliczności, do używania tej właśnie drogi, ażeby przesyłać prośby i odezwy«.

Dalej X. Biskup obszernie rozwija myśl rządu, że przyczyną powołania asesorów do kollegium z Królestwa Polskiego jest wykonanie częściowe ogólnego planu administracyjnego. Po nieszczęsnem powstaniu z 1863 r. wszystkie urzęda autonomiczne Królestwa powoli zwijane były i do stolicy cesarstwa przenoszone. Ten los z kolei musiał także spotkać dawną komisyę dla spraw duchownych w Warszawie. Ten powód komplikował sprawę tę duchowną z przepisami administracyjnymi, zrobił z niej rzecz natury politycznej, bo upierając się przy stanowczem niewysłaniu asesora do kollegium, Biskup wystawiał się na zarzut ze strony rządu, iż to czynił, ażeby przeszkodzić zniesieniu autonomii kraju, jego odrębności, że stawał jednem stowem na gruncie opozycyi nie kościelnej, lecz czysto politycznej. X. Biskup pisze, że mu pan Muchanow opowiadał, iż gdy on ten zarzut podniósł wobec X. biskupa Popiela, ten ostatni nie znalazł na to innej odpowiedzi, jak tylko solenne zastrzeżenie, że nie działa wcale z pobudek politycznych, ale wyłącznie religijnych.

Ostatecznie na końcu listu do Bodenhama znajdujemy ciekawy ustęp, który nie możemy ominąć. — Oto dosłowne jego brzmienie:

»Sądzę także, że bezwzględne publiczne potępienie kollegium przez Stolicę św. miałoby natychmiast jako skutek powrót do zarządu spraw duchownych otwartych rewolucyonistów, ustąpienie albo zupełną niemoc ludzi względem umiarkowanych, którzy są dzisiaj u władzy, a szczególnie hr. Berga, który jest, jak sądzę, najlepiej z nich wszystkich usposobionym, ale który niestety dalekim jest od wywierania takiego wpływu na tok interesów, jakiby się jemu należał, z tytułu i obowiązków namiestnika Królestwa. W ostatniej z nim rozmowie mówił mi, skarżąc się na X. biskupa Popiela: »on nie wie, jaką krzywdę wyrządza Kościołowi, ale on przecież nie wie o co tu chodzi, jeszcze niedawno otrzymałem prośbę podpisaną przez 30 kapłanów (i tu mi ją pokazał) dopominającą się o kościół narodowy, wiesz Ekscellencyo, taki ko-

ściół à la Czerkawski, posłałem ich do wszystkich djabłów i na ten raz sprawie tej kark skręciłem, ale przecież rozumiesz Ekscellencyo, niechaj ten papier wpadnie w inne ręce, a nie każdy z nim to samo uczyni. Uwzględniając, że może być trochę zanadto pesymizmu w tych słowach, uznaję również, że na szczególną uwagę one zasługują. Potwierdza to zdanie, które gdzieindziej wypowiedziałem, że na wypadek, gdyby stronnictwo rewolucyjne wzięło górę, ażeby na powszechny Kościół napaść, użyłoby takiego rodzaju Kościoła narodowego polskiego, któreby zatrzymało może nawet obrządek łaciński, ale zerwało jedność ze Stolicą św. Ażeby rzecz taką przeprowadzić, rząd użyłby potajemnie rewolucyonistów polskich, swoich największych wrogów, dogadzając i schlebiając im na razie, równocześnie rozwijając całą grozę olbrzymiej potęgi zcentralizowanej władzy, ażeby zwieść, nastraszyć i do milczenia doprowadzić szczerych katolików.

»Gdyby wybiła godzina takiej walki, jestem także mocno przekonany, że pomoc Boska nie opuściłaby nieszczęśliwego mego kraju i narodu. Jednak sądzę, że w interesie Kościoła raczej leży, jeżeli tej chwili próby nie może zupełnie ominąć, ażeby przynajmniej ją zwlekał i od siebie oddalał, bo w danym razie, wobec prześladowania, jakiego już Kościół tu doznaje, zasoby siły Kościoła w Polsce raczej się wzmagają, tak że z dniem każdym czyni się sposobniejszym do walki. Ale jest to w interesie Kościoła, jak najbardziej oddalić tę chwilę smutnej próby w tej chwili, kiedy przystępuje do spełnienia wspaniałego zamiaru, odbycia soboru powszechnego, którym Duch św. natchnął Ojca św., i który może nam wszystkim otworzyć wrota do załatwienia trudności, w sposób dogodniejszy i bez takich niebezpieczeństw.

Ciechocinek, wrzesień 1868«.

X. Biskup zabawił tylko dwa dni w Warszawie, bo tylko na tyle hr. Berg z góry mu pozwolił, i pojechał dalej do Ciechocinka, gdzie zabawił pełnych 6 tygodni. Kąpieli ani kuracyi żadnej nie potrzebował, bo zdrowie mu służyło, był to pretekst tylko, ażeby wybiedz z puszczy Sejneńskiej i zbliżyć się do świata. Tam przedewszystkiem zaprosił do siebie

Karola Bodenhama. Był to bogaty Anglik, pochodzący z jednego z najstarszych rodów saksońskich jeszcze starożytnej Brytanii, którego familia nigdy wiary nie zaparła się i wiele za nią wycierpiała, ożeniony z wielkiej piękności Polką, Ireną Morawską z Oporowa w Ks. Poznańskiem, córką Józefa, referendarza koronnego i Pauli z hr. Łubieńskich, siostry rodzonej hr. Henryka. Bodenham, ostatni swego rodu, bezdzietny a bardzo gorliwy katolik, poświęcił się wyłącznie przez całe życie na usługi Kościoła. Bardzo czynnie zajmował się pierwszym rozwojem katolicyzmu w Anglii po przywróceniu hierarchii duchownej. Zimę spędzał przeważnie w Rzymie, gdzie zazwyczaj wielki dom prowadził, w którym zbierała się prawdziwa śmietanka wielkiego katolickiego świata, i międzynarodowego towarzystwa. Znany był przeto dobrze w Rzymie, miał liczne stosunki, nie raz dostąpił zaszczytu samemu Ojcu św. Piusowi IX. składać podania, i ustne objaśnienia, który dla tego pięknego a szlachetnego cudzoziemca miał dobrze zrozumiałą, przez wszystkich dzieloną słabość. X. Biskup skorzystał z obecności Bodenhama w Oporowie w W. Księstwie Poznańskiem, gdzie bawił u sędziwej matki żony, w przejeździe do Rzymu na zimę, ażeby go zaprosić do Ciechocinka, w sprawie ważnej, Kościół obchodzącej. Na takie wezwanie Bodenham zaraz się stawił, i tam właśnie X. Biskup napisał do niego list powyższy, tłómaczący jego postępowanie, który miał być złożonym w Rzymie, i objaśnieniami ustnemi jemu udzielonemi dokładnie wyświecony. Bodenham odwiózł jeszcze X. Biskupa z powrotem do Warszawy, i tam się rozstali, jeden na północ, drugi na południe zdążając.

Podczas tego spotkania w Ciechocinku jeszcze jedną sprawę X. Biskup z Bodenhamem obszernie i ostatecznie omówił. Już wyszło było wezwanie do wszystkich biskupów całego świata, ażeby się stawili na rok przyszły na sobór powszechny do Rzymu. X. Biskup od razu pod tym względem postanowienie jasne sobie wyrobił. Miał zamiar w ciągu roku 1869 poprosić rząd rosyjski o paszport do Rzymu, ażeby na sobór pojechać; w razie, gdyby mu rząd odmówił, co było do przewidzenia, był zupełnie zdecydowany potajemnie ujść

pod Wierzbołowem lub Suwałkami do Prus, przez suchą granicę z Królestwa Polskiego, i tam już z zagranicy donieść rządowi, że gdy mu paszport został odmówionym, a on musi usłuchać wezwania powszechnego Pasterza, tego jedynego środka wykonania rozkazu Papieża musiał się chwycić. Po skończonym soborze miał zamiar znowu powrócić do kraju, a w razie danym ponieść następstwa nieprawnego bez paszportu wyjazdu. Bodenham z drugiej strony otrzymał był wskazówki w Rzymie, że Ojciec św. bardzo sobie życzył, ażeby podczas soboru jak najwięcej poważnych i bogatych katolików mogło zjechać do Rzymu, ażeby i splendor światowy soboru nie był pominiętym. Dlatego zapewnił sobie na cały rok następny obszerny pałac w Rzymie, i z nim razem X. Biskup z Bodenhamami mieli prowadzić dom otwarty.

Równocześnie z tą poważną pracą powyższą w Ciechocinku, X. Biskup inne miał jeszcze zajęcie, tak, że podczas jego tam pobytu całego, bez przestanku aż trzech sekretarzy pracowało. Najsamprzód na ręce pana Muchanowa przesłał podług ukazu pod adresem przewodniczącego w kollegium w Petersburgu protokół elekcyi X. Andrzejewskiego na assesora, a równocześnie napisał odezwę do pana Muchanowa dnia 7 września 1868 r., w której streścił rozmowę jaką z nim miał 10 i 11 sierpnia w Sejnach, uwydatnił wszystkie zastrzeżenia, jakie poczynił i zapewnienia, jakie od niego otrzymał, prosił nakoniec o potwierdzenie dokładności tego streszczenia. Na tę odezwę X. Biskup otrzymał odpowiedź dnia 8 października 1868 r., w której pan Muchanow wszystkie ważniejsze momenta streszczone potwierdził, ale niektóre inaczej tłómaczył, aniżeli X. Biskup był je zrozumiał. Natychmiast X. Biskup odpowiedział ponownem pismem, w którem stwierdził, że nie mógł inaczej zrozumieć jasnych słów przez Muchanowa wyrzeczonych, jak tylko tak, jak one były powiedziane i przy swojem właściwem zrozumieniu rzeczy niezachwianie obstawał.

W połowie października 1868 r. X. Biskup był z powrotem w Sejnach. X. Andrzejewski, nowo-obrany assesor do Petersburga, nie mógł zaraz wyjechać, potrzeba było bo-

wiem, ażeby przesłany protokół jego wyboru złożonym został ministrowi spraw wewnętrznych, żeby on ten wybór potwierdził i w następstwie zawiadomił biskupa miejscowego o wydanej decyzyi. Na to wszystko potrzeba było czasu. Zaledwo X. Biskup powrócił do Sejn, rzeczywiście nadeszło zawiadomienie z Petersburga, iż pan Minister wybór ten potwierdził i pieniądze na podróż wypłacić kazał. Naonczas X. Biskup zawezwał do siebie X. Andrzejewskiego i dał mu dokładną i szczegółową instrukcyę na piśmie o tem, w jakich sprawach na sesyach w kollegium rozbieranych, wolno mu będzie brać udział w dyskusyach i decyzyach, a w jakich branie biernego nawet udziału było mu zabronione, pod rygorem popadnięcia pod najsurowsze cenzury kościelne, suspensę i odwołanie *ipso facto* z urzędu w kollegium sprawowanego. Do zastosowania się zaś ścisłego do tej instrukcyi zobowiązał go umyślną dla niego po łacinie napisaną, bardzo poważną i uroczystą przysięgą. Po otrzymaniu tych wszystkich zabezpieczeń, wydał pozwolenie X. Andrzejewskiemu jechania do Petersburga. Tymczasem przezacny ten kapłan dnia 16 listopada spotkał się z przykrym wypadkiem uderzenia silnego w nogę od konia, który go do łóżka na czas pewien przykuł. Niebawem rozwinęło się zapalenie płuc, które na poważną chorobę się zamieniło, tak, że o wyjeździe mowy być nie mogło. Pan Muchanow, zaniepokojony zwlekaniem wyjazdu assesora, pisze dnia 1 lutego 1868 r. prywatny list do X. Biskupa, zakończony wyrażeniem: »wola hr. Feldmarszałka jest, ażeby X. Andrzejewski wyjechał natychmiast na swoje przeznaczenie, ja zaś spełniam wyraźny jego rozkaz, komunikując Waszej Ekscellencyi tę jego wolę«. Tego samego dnia hr. Berg zaprosił do siebie hr. Tomasza Łubieńskiego, podyktował mu prawie takie same słowa i kazał natychmiast X. Biskupowi je przesłać. Listy Muchanowa i hr. Tomasza nie zastały X. Biskupa w Sejnach, odesłano je za nim do Łomży a potem do Tykocina. Odebrawszy je X. Biskup kazał zaraz sobie przysłać świadectwo dwóch lekarzy i dwóch kapłanów, iż X. Andrzejewski leży obłożnie chorym i wyjazdowi jego o tej porze roku zagraża poważne niebezpie-

czeństwo. Pan Muchanow w odpowiedzi na te dowody, rozkazał żandarmom dnia 13 lutego 1868 r. porwać X. Andrzejewskiego z łóżka w Słowikach i odstawić do jego urzędowego pomieszkania w kollegium w Petersburgu, gdzie ten przezacny kapłan długi bardzo czas pokutować musiał na łożu boleści za ten niesłychany gwałt przeciwko ludzkości.

W tym czasie X. Biskup otrzymał jednego dnia zrana pocztą wycinek z *Czasu* krakowskiego, z listem na polski język tłómaczonym kard. Antonellego do X. biskupa Staniewskiego, o którym powyżej już była mowa. Nie będąc oczywiście pewnym, czy ta przesyłka nie przeszła przez ręce cenzury pocztowej i chcąc zarazem przygotować pana Muchanowa do możliwych dalszych wypadków, włożył ten wycinek do koperty i przesłał go panu Muchanowi. Przytem dnia 14 października 1868 napisał do niego list, w którym zwraca jego uwagę na to, że jeżeli list ten jest prawdziwym, a nie ma przecież powodu wątpić w jego autentyczność, to oczywiście złożenie przewodnictwa w kollegium przez X. biskupa Staniewskiego jest jednym z koniecznych warunków dojścia do porozumienia, jeżeli nie rządu, to przynajmniej biskupów ze Stolicą apostolską, w przedmiocie tego kollegium. Muchanow w odpowiedzi z d. 17 października 1868 r. nazwał ten list plagiatem i wyraził się o Stolicy apostolskiej w sposób tak nieprzyzwoity, a nawet obrażający, że X. Biskup zaraz napisał do hr. Berga, skarżąc się na takie niesłychane postępowanie Muchanowa, a gdy niebawem, jak zaraz zobaczymy, pojechał do Warszawy, wcale nie był z wizytą u Muchanowa, i kiedy go spotkał na salonach hr. Berga, zaledwo etykietalnie się z nim przywitał, a potem od niego się odwrócił.

Zanim Karol Bodenham, który po drodze jeszcze wstępował do Krakowa, a w Oporowie czas niejakiś był cierpiącym, do Rzymu zdążył, oczywiście doszły już tam wiadomości o wywiezieniu X. biskupa Popiela, i o decyzyi X. biskupa Łubieńskiego co do obesłania kollegium. Prywatną też drogą przez pobożną Rosyankę, która z Rzymu przez Wenecyę do Petersburga jechała, doniesiono X. Biskupowi w drugiej po-

towie listopada, że jego postępowanie w tej sprawie bardzo surowo zostało w wiecznem mieście ocenione. X. Biskup wyjednał sobie natychmiast pozwolenie od hr. Berga przyjechania do Warszawy. Tam w pierwszych dniach grudnia przedstawił hr. Bergowi całą trudność swojego położenia i prosił go o pozwolenie wyjechania za granicę, nibyto dla zasięgnięcia porady lekarskiej. Nie tail jednak przed hr. Bergiem prawdziwego celu zamierzonej podróży, którym było dojechanie do Rzymu, w celu wytłómaczenia się ze swojego postępowania, i dla wyrozumienia, jakieby było konieczne wymaganie Stolicy apostolskiej w przedmiocie kollegium, ażeby potem rząd nakłonić do uczynienia zadosyć temu minimum wymagań. Wiedział bowiem dokładnie X. Bisknp, że rząd może zmienić atrybucye kollegium, ale że od egzystencyi jego nie odstąpi (jak też nie odstąpił), chociaż bardzo wpływowy publicysta Katkow, zamieścił wtenczas właśnie w »Moskiewskich wiadomościach« artykuł dowodzący, że kollegium nie miało żadnej racyi bytu. Hr. Berg na żaden sposób nie mógł się zgodzić na danie mu paszportu za granicę, radził cierpliwie czekać, i żadnych ryzykownych lub gwałtownych środków się nie chwytać. Dlatego X. Biskup postanowił raz jeszcze w drugim memoryale do Rzymu napisanym na ręce Bodenhama, wyświecić sprawę, ażeby nie tylko swoje postępowanie należycie wytłómaczyć, ale przeszkodzić zaostrzeniu sprawy, coby ostatecznie całą hierarchię kościelną w Królestwie mogło do reszty wywrócić. I dlatego czytamy następujący list jego do Bodenhama jeszcze do Oporowa pisany.

Warszawa 14 grudnia 1868.

»Kochany przyjacielu.

»Dziękuję ci za listy i proszę nadal o twą łaskę. Teraz co jest rzeczą wiadomą, że decyzya jest potępioną, chodzi o to, ażeby dokładnie wiedzieć, jakie ma być moje postępowanie, ażeby złe naprawić i na przyszłość go uniknąć. Ponieważ przytem są bardzo poważne względy, nad którymi trzeba się zastanowić, uprosiłem przyjaciela (p. Diusard, *przyp.)*, który się podjął dojechać do mego ojca (Ojca św., *przyp.)* i do

was, ale w ostatniej chwili zabrakło mu odwagi i musiałem inaczej się ułożyć i inne przygotowania poczynić, tak, że dopiero pomiędzy 10 a 15 stycznia mój posłaniec was dogoni (w Rzymie, *przyp.).*«

Przed wyjazdem z Warszawy, mieszkając u ówczesnego regensa seminaryum, a dzisiejszego X. biskupa Ruszkiewicza, X. Biskup zaprosił do siebie X. Henryka Kossowskiego i X. kanonika Sotkiewicza i razem z nimi i gospodarzem swoim odbył poważną naradę, szukał u nich światła, podpory i wzmocnienia, w tak trudnej dla niego chwili. Wszyscy byli to kapłani o wiele młodsi wiekiem, doświadczeniem i stanowiskiem, ale pokora jego nie znała tych granic hierarchicznych, polegał na ich dobrej wierze i gorliwości w służbie Bożej. Potem wyjechał z powrotem do Sejn, gdzie spędził święta i gdzie zakończył ten najcięższy nieomal rok życia całego.

Rozdział XVII.

WIADOMOŚĆ Z RZYMU PRZYGOTOWANIE DYECEZYI NA WYPADEK WYWIEZIENIA. WYŚWIĘCENIE SEMINARZYSTÓW. LISTY: DO KAPITUŁY, PASTERSKI DO WSZYSTKICH WIERNYCH, DO X. ANDRZEJEWSKIEGO W PETERSBURGU, DO HR. BERGA REWOKACYJNY, DO X. BISKUPA POPIELA I INNYCH BISKUPÓW, I ICH ODPOWIEDZI, DO X. BISKUPA STANIEWSKIEGO, DO W. KS. KONSTANTEGO, DO MUCHANOWA, DO OJCA ŚW., DO KARDYNAŁÓW ANTONELLEGO I REISACHA. WYSŁANIE HR. PAWŁA ŁUBIEŃSKIEGO DO RZYMU. ODPOWIEDŹ OJCA ŚW. REASUMPCYA.

(1869).

Karol Bodenham dopiero w pierwszych dniach stycznia 1869 r. do Rzymu przyjechał i zaczął krzątać się około interesów mu powierzonych przez X. Biskupa. Dnia 17 stycznia miał posłuchanie u Ojca św. i kardynała Antonellego, i osobnym posłańcem przesłał do Sejn sprawozdanie z tego posłuchania; list ten dla porządku opowiadania niżej nieco w całości podamy. Dosyć, że w pierwszych dniach lutego X. Biskup stanowczo już wiedział, że Ojciec św. ganił jego postępowanie i nakazywał krok ten naprawić i assesora odwołać. X. Biskup przejrzał odrazu doniosłość kroku, który mu wypada uczynić, nie taił przed sobą ani na chwilę następstw, które dla niego, a może i dla jego dyecezyi i Kościoła w Polsce postanowienie to musiało wywołać, i dlatego ze zwykłą przy jego rzutkości i odwadze roztropnością, jednak i rozwagą, do całej rzeczy przystąpił. O sobie zupełnie nie myślał, ale losy dyecezyi przedewszystkiem pragnął zabezpieczyć.

Zadosyć uczynił był obowiązkowi biskupa, przykładając starań, by nie opuszczać trzody sobie powierzonej, gdy teraz przewidywał, iż prawdopodobnie będzie musiał ją opuścić, chciał ją przynajmniej zasłonić od nieszczęścia, jakie za największe uważał, to jest uzurpatorskich rządów, szczególnie mając pod bokiem właśnie naonczas straszne rządy X. Żylińskiego w Wilnie. Wypadało mu zatem przedsięwziąć rozmaite przygotowawcze kroki i poświęcić na to kilka tygodni czasu.

Przedewszystkiem obejrzał się za swojem seminaryum. Przewidując, że długo dyecezya może być bez biskupa, że całe Królestwo ostatecznie może być z nich ogołocone, a już ich tylko dwóch było, Majerczak i Juszyński, rozkazał spiesznie Regensowi przygotować wszystkich alumnów do święceń wszystkich stopni, jednych na to, ażeby prędzej na kapłanów gotowych wyświęcić, drugich na to, ażeby niższemi święceniami przed poborem wojskowym ich zabezpieczyć.

Sprawa zarządu dyecezyą tak się X. Biskupowi przedstawiała. Wszelkie usiłowania jego dotychczasowe, by rząd potwierdził nominacyę wikaryusza jeneralnego, były bezskuteczne, jakoteż i usiłowania, by rząd potwierdził wybór nowych kanoników, którymi zamierzał wzmocnić gremium swej kapituły. Nie podlegało też wątpliwości, że rząd nie dopuściłby do sprawowania władzy wikaryusza jeneralnego mianowanego bez poprzedniego potwierdzenia, do czego X. Biskupowi jednakowoż kanonicznie służyło prawo, mianowicie po zerwaniu konkordatu. Niemniej także było pewnem, że rząd korzystałby z tej sposobności, narzuciłby kapitule wybór administratora po myśli swojej, albo też nie zachowując nawet formy tej, by kapitułę powołać do wyboru, naznaczyłby sam administratora ze swojej ręki, jak to zrobił w Wilnie po wywiezieniu X. biskupa Krasińskiego i w Chełmie po wywiezieniu X. biskupa Kalińskiego.

Na niezależność wyborów kapituły X. Biskup liczyć nie mógł, wiedział dobrze, że starzy, zgrzybiali kanonicy, z obawy odpowiedzialności przed rządem, głosowaliby za X. kanonikiem Butkiewiczem. Na udział w wyborach kanoników przez

siebie mianowanych i instytuowanych, przez rząd zaś niepotwierdzonych nie liczył, bo nie chciał ich narażać z tego względu pod swoją nieobecność na niebezpieczeństwo. Zresztą podług zdania X. Biskupa nie służyło kapitule prawo wyboru administratora, jak tylko w razie śmierci, a nie w razie wywiezienia biskupa, związek bowiem łączący go z dyecezyą, wywiezieniem rozerwanym nie zostaje. W tym więc celu pisał list do kapituły, który złożył u jednego najlepszego swego kanonika i zwykłego spowiednika X. Biskupa i przysięgą go zobowiązał do przedstawienia kapitule w razie swego wywiezienia. W liście tym, rozbierając prawdopodobne wypadki, rozkazuje kapitule na przypadek wywiezienia swego i na przypadek, gdyby mianować nie mógł wikaryusza jeneralnego takiego, którzyby bez przeszkody ze strony rządu władzę sprawował, ażeby się natychmiast zebrała i pismem do Ojca św. upraszała go o zabezpieczenie potrzeb dyecezyi, dozwalając jej przedstawić Ojcu św. kandydata na administratora. Następnie wymagał w tymże liście do kapituły, ażeby do czasu postanowienia w tym względzie Ojca św. dyecezya została bez administratora, zastrzegając, ażeby ani przedstawiony przez kapitułę kandydat przed potwierdzeniem go przez Ojca św., ani z wyboru pochodzący, ani z nominacyi rządu, jakąkolwiek piastowałby dostojność w kościele i nawet był biskupem, nie ważył się obejmować zarządu dyecezyi, ani w rzeczach duchownych, ani w rzeczach doczesnych. Przypomniał jednocześnie, że prawo Kościoła na każdego takiego uzurpatora rzuca ekskomunikę wielką, którą on w całej surowości niniejszem potwierdza, nakazując wszystkim, tak duchownym jak świeckim, aby rzeczonego intruza pod karą takiejże samej ekskomuniki nietylko nie słuchali, ale aby go unikali. Widok rozpaczliwego kroku w tym właśnie czasie w archidyecezyi warszawskiej pod Zwolińskim, a dyecezyi wileńskiej pod X. Żylińskim, do tego stopnia go przywiódł.

Następnie napisał list pasterski do całego duchowieństwa i wszystkich wiernych w dyecezyi, w którym podając do wiadomości powszechnej polecenie, wydane kapitule, zakazuje pod najsurowszą ekskomuniką tak duchownym jako

i świeckim, wszelkich stosunków i posłuszeństwa, tak w rzeczach duchownych jako i doczesnych, każdemu, któryby objąć chciał władzę dyecezyalną, a nie miał ku temu upoważnienia od Stolicy Apostolskiej i nie ukazał im dokumentów wiarogodnych tej sobie nadanej władzy. Na przypadek zaś dłuższego osierocenia dyecezyi, przedłużył X. Biskup w granicach w chwili ogłoszenia swego listu obowiązujących aprobaty do spowiedzi wszystkim kapłanom świeckim i zakonnikom, i dawał w tej myśli dalsze rozporządzenia, zawieszając władzę dziekanów i konsystorza. List ten, który w wielu egzemplarzach przepisała kancelarya potajemnie, bo o drukowaniu onego w kraju mowy być nie mogło, miał nabrać jak największego rozgłosu, aby do wiadomości wszystkich wiernych doszedł.

W osobnym rozkazie do konsystorza zawieszał on *facultates* temuż przez siebie nadane.

Tak w liście do kapituły, jak i w liście pasterskim, ogłaszał X. Biskup z wyrazem skruchy i pokory błąd, jaki popełnił przez posłanie assesora do kollegium, przepraszał za zgorszenie, jakiego stał się powodem i zawiadamiał wiernych, że ponieważ ten jego krok przez Ojca św. potępionym został, on do woli Pasterza najwyższego się stosując delegata swego odwołał.

Nie podlega wątpliwości, że przezorność X. Biskupa, zasłaniająca dyecezyę od uzurpacyi władzy przez intruza, cel zamierzony osiągnęła. Po wywiezieniu jego bowiem, rząd zawiadomiony o przedsięwziętych przez niego środkach, z kopii powyższych dokumentów w papierach jego znalezionych, tudzież z rozgłosu, jaki rzecz już była nabrała pomiędzy duchowieństwem, uznał za właściwe nie dopuścić zatargu z Kościołem aż do ostateczności. Dla tego to powodu, a nie przez jakikolwiek wzgląd na prawo Kościoła, mianowanego przez X. Biskupa wikaryusza jeneralnego potwierdził, X. Pawła Andruszkiewicza. Śmierć X. Biskupa zmieniła postać rzeczy, listy jego do kapituły i list pasterski przestały mieć znaczenie, bo śmierć zrywa *ipso facto* węzeł Biskupa z dyecezyą łączący i prawo, nadające moc kapitule wyboru administra-

tora, zyskało zastosowanie. Przewidywane przez X. Biskupa zachody rządowe, kanonika Butkiewicza i innych przy wyborze na administratora, przy jego śmierci uczuwać się dały, jednakowoż pod grozą tego nagłego zgonu i towarzyszących mu okoliczności, kapituła zdobyła się na odrobinę odwagi, poszanowała ostatnią jego wolę i tegoż samego przezacnego X. Andruszkiewicza na administratora dyecezyi wybrała.

Nieszczęśliwemu X. Andrzejewskiemu, assesorowi dyecezyi sejneńskiej i choremu leżącemu w Petersburgu, przesłał X. Biskup drogą prywatną, urzędowe bowiem pismo oddane na pocztę nie byłoby go nigdy doszło, odwołanie z miejsca zajmowanego w kollegium, dając mu wszakże polecenie, by nie spieszył się z pokazaniem tego rozkazu, lecz użył go natychmiast, gdyby go doszła wiadomość, że jego, X. Biskupa, wywieziono. Miał tu X. Biskup na względzie, że będąc powodem wyjazdu, a raczej wywiezienia tego kapłana, który go przy wyborze swym zaklinał, by go z tego obowiązku zwolnił i tylko posłuszeństwu uległ, powinien mieć aż do ostatniej chwili na względzie oszczędzanie go, powinien wziąć na siebie całą odpowiedzialność i nie narażać tego kapłana na wywiezienie na Syberyę, coby niezawodnie było nastąpiło, gdyby przed odebraniem przez władzę z rąk samego X. Biskupa wiadomości o odwołaniu X. Andrzejewskiego tenże opuścił swoje stanowisko.

Dodajmy tutaj, że po wywiezieniu X. Biskupa, X. Andrzejewski zaraz przedstawił swoje odwołanie i chciał wyjechać. Rząd odmówił mu wydania paszportu tak, że go przemocą otrzymał. Zacny ten kapłan odmówił bywać na sesyach kollegium i był jedynym delegatem, który ten godny i odważny krok uczynił. X. Biskup na nim się nie zawiódł.

Gdy tak na wszystkie strony poczynił kroki zabezpieczające wszystkie osoby i wszystkie swych owieczek potrzeby, pomyślał X. Biskup o sobie, jak siebie całego na całopalenie poświęcić i na siebie całą odpowiedzialność przed władzą przyjąć, i na siebie wyłącznie całe jej niezadowolenie zwrócić. W tym celu siadł i napisał własnoręcznie słynny swój list do hr. Berga, tak zwany rewokacyjny, który brzmi jak następuje:

»Jaśnie Wielmożny Panie!

»Wiadome są JW. Panu okoliczności, wśród których przystąpiłem do zwołania kapituły sejneńskiej, dla wykonania polecenia rządu co do wyboru assesora do kollegium. Znane Mu są: tak niepokoje i wątpliwości zakłócające podówczas moje sumienie, jakoteż przeważne powody przez JW. pana Muchanowa z uprzejmem i pełnem życzliwości naleganiem przedstawione, które mnie skłoniły do zadosyćuczynienia wezwaniu rządu. Wiadomem jest podobnież JW. Panu, że postanowienie to powziąłem przy wyraźnem zastrzeżeniu, że jednocześnie z wysłaniem assesora, za pośrednictwem prezesa kollegium przeszlę do Ojca św. poszczegółowy raport o mojem postępowaniu i powodach, którymi się w niem kierowałem, poddając je pod Jego sąd; w razie zaś gdyby to postępowanie zaakceptowanem nie było, że assesora mojej dyecezyi z kollegium odwołam, chętnie się wszystkim skutkom takowego postanowienia poddając. Gdy wyjazd X. Andrzejewskiego uległ tak długiej zwłoce, wynikło stąd, że wprzód nim takowy nastąpił, na innej drodze doszła mnie niewątpliwa wiadomość o formalnej ze strony Ojca św. naganie powziętego przezemnie postanowienia. Oto jest źródło, z którego tę wiadomość powziąłem. W miesiącu wrześniu przybył do Warszawy, w celu odwiedzenia rodziny swojej żony, Anglik, katolik, JWP. Karol Bodenham de la Barre, z którym mnie łączą tak węzły krwi (pojął bowiem za żonę cioteczną moją siostrę), jakoteż dawnej i doświadczonej przyjaźni. Wiedząc, że zamiarem jego jest zimę przepędzić w Rzymie, gdzie wysokie posiada stosunki, korzystałem z tej sposobności, by go dokładnie o całem swojem postępowaniu w tej sprawie i o pobudkach mną powodujących objaśnić i prosiłem, ażeby je wziął w obronę nietylko przed dostojnikami Kościoła, który go przyjaznymi względami zaszczycają, lecz i przed Ojcem świętym, na którego szczególną życzliwość miał szczęście sobie zasłużyć. Prosiłem go także, ażeby mnie zawiadomić raczył o sądzie, jaki Ojciec św. o nich wyrzecze. Obiecał mi to wypełnić i obietnicy tej swojej dotrzymał. Nietylko bowiem z drogi, jeszcze przed wyjazdem do Rzymu, przesłał

mi pierwsze zawiadomienie, że postępowanie moje naganionem zostało, lecz za przyjazdem uprosił osobne posłuchanie u Ojca św., z którego mi natychmiast pod dniem 17 stycznia sprawę zdał w następujących wyrazach:

»Kochany Kuzynie!

»Wracam od naszego Ojca, którego dobroć opisać trudno. Odpowiedź jego była pewną i stanowczą, lecz największą życzliwością ku Tobie nacechowaną. Powiedział, że trzeba *naprawić* i *odwołać*, a na przyszłość nie liczyć na środki i wybiegi ludzkie, by trudności położenia usunąć, ale liczyć tylko na Boga i z Jego pomocą silnie stać przy zasadach, któremi się kierować należy. Sprawa jest bowiem potępioną z zupełną znajomością rzeczy dla wszystkich. Półtora-godzinną także rozmowę miałem z Antonellim, który mi dokładnie wyłuszczył powody listu swego do Staniewskiego, powtarzając, że list nie z jego natchnienia pochodzi, że się odnosi do wszystkich, ci bowiem miejscowymi zbyt się absorbując względami, nie dosyć jasno widzą, w jakim stosunku pojedyncze ich sprawy zostają z ogólnemi sprawami Kościoła.

Gdy w ten sposób usunięte zostały wszelkie wątpliwości moje, co do sądu przez zwierzchność moją duchowną wydanego w przedmiocie postanowienia, które w wykonaniu mojej biskupiej władzy, tudzież w kwestyi naukę i dobro Kościoła obchodzącej, powziąłem, samo już przywiązanie do wiary świętej i synowska uległość względem widomej głowy Kościoła, nieodzowną mi wskazują powinność stosowania się odtąd w dalszem postępowaniu mojem do zapadłego wyroku. Tem mniej zaś mogę wahać się w tej mierze, że przyjąłem z żywą wdzięcznością wyrok, który jakkolwiek potępia powzięte przezemnie postanowienie, przywraca za to spokój mojemu sumieniu, od samego rozpóczęcia tej sprawy ciągłem zakłóceniem dręczonemu.

»W samej rzeczy JW. Panie, gdy pan Muchanow przybył do Sejn w miesiącu sierpniu, nie było mi obcem, że polecenie co do wyboru assesora do kollegium było dalszem rozwinięciem najwyższego ukazu z dnia 22 listopada 1866 r.

o zerwaniu stosunków z rzymskim dworem i unieważnieniu konkordatu z r. 1847; ukazu stanowiącego, że wszelkie sprawy, dotyczące Kościoła katolickiego, mają dalej podlegać zawiadowaniu władz i zarządów w tym celu w państwie ustanowionych, na zasadzie praw organicznych cesarstwa i Królestwa Polskiego, które to rozporządzenia wbrew są przeciwne dogmatowi i nauce katolickiej, uznającej w Kościele najwyższą duchowną władzę jego głowy widomej następcy Piotrowego i Chrystusowego Namiestnika, któremu wszyscy podlegać winni, i któremu wypowiedzieć posłuszeństwo, to samo jest, co się oderwać od jedności Kościoła, warunku nieodzownego dla dusz zbawienia.

»Nie było mi obcem, że chociaż surowość zasady powyższego ukazu złagodzoną poniekąd została przez najwyższy rozkaz z dnia 10 maja 1867 w przedmiocie stosunków z dworem rzymskim w sprawach duchownych wyznania rzymsko-katolickiego, w którym to rozkazie konieczność tych stosunków wyraźnie uznaną została, to wszakże gdy w tym samym rozkazie przyznaną została rzymsko-katolickiemu kollegium, instytucyi nie posiadającej charakteru ani też władzy kanonicznej, nowa atrybucya, a mianowicie rozpoznawania każdego podania biskupów do Papieża czynionego i powzięcia decezyi, czy takowe ma być przesłane; w ten sposób, o ile ukaz z dnia 22 listopada złagodzonym był z jednej strony, o tyle znów potwierdzonym z drugiej, zwłaszcza też przez wskazanie praktycznego zastosowania onego.

»Nie były mi także podówczas obce Encyklika Ojca św. z dnia 17 października 1867 r., ogłoszona w pismach publicznych, ani też list pisany do Jego Ekscellencyi biskupa Staniewskiego w przedmiocie nowych i dopiero co wspomnianych atrybucyi kollegium; które to obadwa dokumenta stwierdzają tę stałą w Kościele naukę; że gdy temuż przez Boskiego założyciela wraz z zakreśleniem posłannictwa, dalszego prowadzenia spraw Jego około zbawienia dusz, nadanemi zostały te prawa i swobody, które są niezbędne do wykonywania tegoż posłannictwa«. — Kościół przeto nietylko jest upoważnionym, ale owszem i nieodzownym Jego jest obowiązkiem,

domagać się swobody w stosunkach Pasterza najwyższego z owieczkami jego powierzonemi, i zasady przeto i wyrażenia użyte w tych dokumentach co do kollegium petersburskiego równają się zupełnemu potępieniu onego. Dane te, powinny były zaiste wystarczyć dla uzasadnienia nastręczających mi się wątpliwości i dla powstrzymania mnie, podobnie jak to uczynił JW. Biskup płocki, od brania jakiegobądź udziału w tej instytucyi, dopókiby punkt sporny prawa kościelnego, tkwiący w tej sprawie, rozstrzygniętym nie został przez właściwą władzę duchowną i dopókiby taż władza nie wyrzekła o możności i warunkach porozumienia się w tym zawiłym punkcie stosunków władzy duchownej i świeckiej. Pomimo to jednak postąpiłem inaczej i wbrew przeciwne powziąłem postanowienie.

»Przejęty zaufaniem, że wspaniałomyślną wolą Najjaśniejszego Pana było, zadosyćuczynić potrzebom duchownym jego katolickich poddanych, a spory i trudności, powstałe pomiędzy Kościołem a państwem, załatwić w sposób ubezpieczający interes państwa i prawa sumienia; do którego to wzniosłego celu, w harmonii zostającego tak ze świętem powołaniem Kościoła, jako też z niewątpliwemi dla mnie interesami jego duchownych zwierzchników, za szczęście poczytałbym sobie przyczynić się w skromnym zakresie wskazanej mi obowiązkami urzędu mego działalności. Uderzony szczególną ważnością, jaką znakomici mężowie stanu i ci właśnie, do których porady najchętniej stosować się zwykłem, bo w nich najświatlejszą gorliwość i najbardziej stanowcze poświęcenie w służbie Najjaśniejszego Pana uznaję, przywiązywali do tego, aby wykonanie najwyższej woli co do wyboru assesorów przez kapituły, żadnej nie uległy zwłoce, zbyt łatwowiernie może, pod wpływem tych przeważnych względów, łudząc się nadzieją, że w razie, gdyby kollegium duchowne i prezydujący w nim, przejąwszy się poczuciem odpowiedzialności, jaka dla nich z najwyższego rozkazu z dnia 10 maja 1867 r. wynikła, postępowaniem swojem dali Stolicy Apostolskiej rękojmię, że przywiązani z głębi serca do nauki Kościoła używać będą nadanych sobie atrybucyi, jedynie dla ułatwienia sto-

sunków między Stolicą apostolską a biskupami, i że dalecy od brania stąd jakiegokolwiek pochopu, czy to dla wyłamywania samych siebie z pod powinnego papieżowi posłuszeństwa, czy też dla schlebiania podobnemu ze strony biskupów wyłamywaniu się, nie będą ich nigdy używać dla stawiania jakichkolwiekbądź przeszkód do swobodnych pomiędzy nimi stosunków; łudząc się, mówię, że w takim razie postępowanie kollegium i prezydującego w niem, nie tylkoby przez Stolicę apostolską aprobowanem być mogło, ale nawet posłużyć do wznowienia pomyślniejszych pomiędzy nią a rządem naszym stosunków; uwodząc się nadzieją, która niestety od pewnej zarozumiałości wolną nie była, że w ten sposób do tak pożądanego dzieła będę mógł poniekąd się przyczynić; mając wreszcie ze strony rządu zapewnienie, że kollegium przez niego samego nie jest uważanem jako jurysdykcya kościelna, ale tylko jako instytucya czysto administracyjna, mając tudzież zapewnienie, że tytuł asesora bynajmniej nie uwalnia kapłana, z wyboru kapituły takowej piastującego, od bezpośredniej względem niej władzy zależności i posłuszeństwa, tak że w ręku moim pozostanie środek zwrócenia go w każdym razie na drogę obowiązków, jeżeliby od takowej zboczył, powziąłem mniemanie, że ze względu na trudność odniesienia się do Stolicy apostolskiej miałem prawo oprzeć się na przypuszczalnem jej zezwoleniu, a przychylając się do woli rządu, zwołać kapitułę celem wybrania asesora.

»Jedną rzecz mam sobie do wyrzucenia, to jest, żem w ówczesnych rozmowach z J. W. p. Muchanowem zamilczał tak o encyklice, jakoteż o liście kardynała Antonellego. Powstrzymało mnie podówczas dosyć zresztą naturalne zakłopotanie pochodzące z wyobrażenia, że zapewne dokumenta te J. W. Muchanowowi nie mogły być nieznane, że więc, jeżeli sam o nich zamilcza, to skutkiem rozmyślnego postanowienia; powstrzymała mnie nadto uwaga, że gdy list kardynała Antonellego skierowanym był bezpośrednio do biskupa Staniewskiego a nie był jeszcze publicznie znany; gdy nadto nie powątpiewałem, że się biskup Staniewski niezwłocznie zastosuje do stanowczych rozkazów w nim zawartych, zanosząc

do Najjaśniejszego Pana najpoddańszą prośbę o najmiłościwsze uwolnienie go od urzędu, na którym dłużej pozostać już nie mógł, bez postawienia się w sprzeczności z wyraźną wolą swej duchownej zwierzchności; że więc na tej drodze rzecz w naturalny sposób załatwienie może osiągnąć, ja zaś będę mógł, tak jak tego żywo pragnąłem, pozostać w tej kwestyi na uboczu, bez brania w niej bezpośredniego udziału.

»Tuszę sobie, że dopiero co wyłożone względy uszczuplą w oczach J. W. Pana doniosłość błędu, jakiego się przez zamilczenie o rzeczonych dokumentach dopuściłem. Nie mam wszakże zamiaru uniewinniania się w Jego oczach, sam to bowiem żywo czuję, że do tem większej otwartości i zaufania względem J. W. Muchanowa obowiązany byłem, iż tenże nalegając na mnie o powzięcie żądanej decyzyi, domagania swoje głównie tym argumentem popierał, że gdy Stolica apostolska nigdy nie potępiła kollegium, uchybiłbym jej samej, gdybym odmową moją wzniecał tam spór, gdzie Stolica apostolska za właściwe uznała, zachować milczenie. Tem bardziej zaś milczenie to sobie wyrzucam, że w istocie nie miałem jawnych dowodów, ażeby p. Muchanowowi znanemi były rzeczone dokumenta, zwłaszcza też drugi, który podówczas jeszcze nie był w pismach publicznych ogłoszony. A jednak i to właśnie sumieniu mojemu najwięcej dolega, gdyby te dowody były podówczas J. W. Panu przedstawione, byłyby one mogły wywrzeć znaczny wpływ, a nawet zupełnie zmienić sąd, jak J. W. biskupa płockiego, którego postanowienie niewątpliwie spowodowanem zostało jedynie tylko poczuciem obowiązku pasterskiego i który dalekim był w jakiejkolwiek bądź myśli uchybienia posłuszeństwu lub też wierności Najjaśniejszemu Panu.

»Błąd, dopiero co wymienionem zamilczeniem poczęty, pociągnął mnie w dalszem postępowaniu w coraz to nowe i coraz cięższe następstwa. Powodowany bowiem wrodzoną duszy ludzkiej chęcią przeprowadzenia własnych pomysłów, żadnego już z dostępnych mi środków nie zaniechałem, ażeby czcigodnych współbraci moich, biskupów i administratorów dyecezyi w Królestwie, skłonić do trzymania się jednego ze

mną postępowania; tudzież dla pozyskania na nie zatwierdzenia duchownej mojej zwierzchności. Wstąpiwszy raz na tę drogę, nie dałem się już od niej odwieść:

a) ani tak poważną przestrogą, za jaką powinienem był uznać postępowanie X. Biskupa płockiego, który pomimo przesłanych mu przezemnie wywodów i rady, niepokonany onemi, wolność swą wspaniałomyślnie dla zadosyć uczynienia obowiązkowi poświęcił;

b) ani też drugą, lubo pośrednią przeszkodą, jaką dla mnie zawierał cyrkularz przez J. W. Muchanowa pod dniem 30 sierpnia do naczelników dyecezyi wydanych, dla zawiadomienia ich o zasłaniu na wygnanie J. W. Biskupa płockiego; cyrkularz, którego doktryna z religijnemi przekonaniami mojemi zupełnie zgodzić się nie mogła;

c) ani ogłoszenie listu kardynała Antonellego, które ważną stanowiło wskazówkę, że doktrynalny wykład w nim zawarty służyć miał do kierowania postanowień innych biskupów;

d) ani listem pod dniem 5 października przez J. W. p. Muchanowa do mnie pisanym, w którym zmieniając nagle barwę swojej mowy, nie dawno pełen czci i uszanowania dla Stolicy apostolskiej, nie szczędził już ani wyrazów dla mojej duchownej zwierzchności najbardziej ubliżających, ani też podniet i prostego podżegania do wyraźnego nieposłuszeństwa względem widzialnej głowy katolickiego Kościoła, zapominając zapewne, lub też zapoznając, jakiego rodzaju wpływ mowa taka musiała wywrzeć na umysł szczerze do wiary swojej przywiązany i jak dalece użycie jej w liście do mnie pisanym, upokarzającem było dla mnie;

e) ani niepojętem zgoła dla mnie postępowaniem X. biskupa Staniewskiego, który dopuściwszy się zrazu jawnej uzurpacyi nad współbraćmi swoimi, biskupami, powagą w Kościele jemu równymi i starszymi, podając bez żadnego z ich strony upoważnienia swój osobisty pogląd, jakoby za jednomyślne zdanie episkopatu, w liście pisanym do Ojca św., a który to list przyczynił się więcej od wszystkiego do zajątrzenia trudności i tak już zawiłego sporu; obecnie ociąga-

niem się w zastosowaniu do wyraźnej woli Kościoła, tychże biskupów stawia w nader ciężkiej alternatywie, albo zarządzenia, by asesorowie z ich dyecezyi zasiadali pod przewodnictwem prezydującego, cenzurami kanonicznemi dotkniętego, albo też wejścia w starcie z rządem;

f) ani też pierwszą daną mi przestrogą, że postępowanie moje przez Ojca św. potępione zostało, owszem odebrawszy już tę przestrogę w Warszawie, prosiłem jeszcze J. W. Pana o paszport za granicę dla odbycia kuracyi przez doktorów mi zaleconej, nie tając wszakże przed nim zamiaru, dojechania do Rzymu, dla podjęcia jeszcze osobiście obrony mego postępowania, — nie otrzymawszy zaś pozwolenia do tej podróży, pod dniem jeszcze 20 stycznia wzywałem X. Andrzejewskiego, by się na swoje stanowisko udał.

»Przechodząc teraz pamięcią cały ten szereg okoliczności, które powinny były oświecić mnie rychlej, nie mogę nie uznać za szczególną łaskę Boskiej opatrzności, że mi pozwoliła czasu do uznania mego błędu i naprawienia go, o ile to w mojej możności. Nie mogę więc nadal odkładać spełnienia tego obowiązku. Jeżeli bowiem dotychczas dobra wiara mogła mi służyć za wymówkę do usprawiedliwienia przed Bogiem i ludźmi, nadal jużby tak nie było i nie mógłbym już ociągać się dłużej, bez zaciągnięcia tem samem cenzur kościelnych, któremi X. biskup Staniewski dotknięty został. Cenzury te bowiem nie zostały na niego po szczególe listem kardynała Antonellego orzeczone, ale były wynikiem ogólnych praw Kościoła, jak go o tem z rozkazu Ojca św. Kardynał zmuszony był ostrzedz. W razie zaś tej ostateczności, nie mógłbym się nieświadomością zasłaniać, ani nawet korzystać ze szczególnych ułatwień, udzielonych X. biskupowi Staniewskiemu dla otrzymania absolucyi.

»Z tych więc powodów, naglony głosem mego sumienia, bym prawdzie złożył świadectwo, do którego obowiązany jestem na mocy piastowanej przezemnie godności, tudzież dla dopełnienia obowiązków moich tak względem rządu Najjaśniejszego Pana, jakoteż względem wiernych, pasterskiej mojej powierzonych pieczy, proszę J. W. Pana, ażebyś następną de-

klaracyę, którą mam honor Mu złożyć, uprzejmie przyjąć raczył.

»Uznając niniejszem, że: ze względu na najwyższy ukaz z dnia 22 listopada 1866 r. o zerwaniu stosunków z rzymskim dworem, i unieważnieniu umowy w r. 1847 zawartej, który to ukaz stanowi, by wszystkie sprawy Kościoła katolickiego dotyczące pozostawały nadal w zawiadywaniu ustanowionych w tym celu w państwie władz i zarządów, na zasadzie organicznych praw cesarstwa i Królestwa Polskiego;

»ze względu na najwyższy rozkaz z d. 10 maja 1867 r., o porządku znoszenia się z rzymskim dworem w sprawach duchownych katolików, nadający rzymsko katolickiemu duchownemu kollegium w Petersburgu atrybucyę rozpoznawania wszelkich podań przez biskupów do Ojca św. przesyłanych, i stanowienia, czy takowe przesyłane być mają;

»wreszcie ze względu, że rzeczone kollegium obecnie pozostaje pod przewodnictwem prezydującego, jawnie cenzurami kościelnemi dotkniętego,

»żadnego udziału ani w składzie, ani w czynnościach rzeczonego rzymsko-katolickiego duchownego kollegium w Petersburgu brać nie jestem w możności.

»Uznaję nadto, że przez zwołanie kapituły sejneńskiej, celem wyboru asesora do rzeczonego kollegium, tudzież przez danie wybranemu na to stanowisko X. Franciszkowi Andrzejewskiemu, proboszczowi w Słowikach, polecenia, ażeby się udał do Petersburga dla objęcia tych obowiązków, popełniłem błąd, który skoro powagą Kościoła potępiony został, ja go też zarówno niniejszem potępiam i odwołuję.

»Upraszam J. W. Pana, ażebyś o niniejszej mojej deklaracyi raczył donieść do najwyższej wiadomości Jego Cesarskiej Mości Najmiłościwszego Pana mojego, którego monarszej mądrości i wspaniałomyślnej sprawiedliwości, przejęty uczuciem niezłomnej wierności i poświęcenia bez granic dla jego osoby i tronu, mam szczęście oddać się z najpoddańszą uległością i w synowskiem zaufaniu we wszystkiem, cokolwiek za sprawiedliwe uznać i rozkazać raczy.

»Raczy J. W. Marszałek przyjąć wyrazy najgłębszego poszanowania, z jakiem mam zaszczyt pozostawać

Waszej Ekscellencyi
najniższym i najpowinniejszym sługą

Konstanty Ireneusz, biskup sejneński.

Sejny, 19 marca 1869«.

X. Biskup nie zadowolnił się tem uroczystem wystąpieniem, ale tegoż samego dnia przesłał kopię tłomaczoną listu do hr. Berga, wszystkim biskupom i zarządcom dyecezyj w Królestwie i cesarstwie, nie wyłączając nawet tych, którzy byli na wygnaniu. A do każdego z nich posłał podwójną kopię, jedną umyślnym tajnym posłańcem, ażeby z pewnością rąk ich doszła, drugi pocztą, ażeby się mogli zasłonić, że odwołali asesora swego kollegium na podstawie listu od X. biskupa Łubieńskiego. Do X. biskupa Popiela przy tej sposobności napisał jeszcze list treści następującej:

Excellentissime et Reverendissime Domine!

»Sądzę, że pewnie będzie dla serca Waszej Ekscellencyi niejaką pociechą wśród smutku wygnania, kiedy Go dojdzie wiadomość, że różność zdań, które chwilowo nasze postępowanie na dwie, bardziej na pozór, aniżeli w istocie, drogi dzieliły, za wyrokiem Ojca św. ustała, że popełniony przezemnie błąd uznałem, wraz z najwyższą w Kościele powagą potępiłem i że się staram, o ile w moich siłach, takowy naprawić. Posyłam przy niniejszem Waszej Ekscellencyi kopię mego listu do namiestnika, *quae mihi ventura sint, ignoro,* i przesądzać nie mogę decyzyi, jaką Najjaśniejszy Pan powziąść raczy. Ale w Bogu mam nadzieję, że serce jego natchnie, i że Waszą Ekscellencyę nam powróci. W przeciwnym razie, zapewneby mi los Jego podzielać przyszło.

»Bardzo mam to na sercu, żem dotąd do Waszej Ekscellencyi nie pisał, ale trudno było pisać pod brzemieniem, które teraz dopiero ze siebie zwaliłem. Ale myśl nasza wciąż z Waszą Ekscellencyą.

»Przy niniejszem przesyłam także panu Wacławowi (Popielowi, ożenionemu z hr. Łubieńską, bratu X. biskupa Popiela, *przyp.)* krzyż pektoralny ś. p. X. biskupa Benjamina Szymańskiego, mam nadzieję, że miłą będzie dla Waszej Ekscellencyi pamiątką.

»Modłom i błogosławieństwu Waszej Ekscellencyi siebie i moją dyecezyę polecam i pierścień Jego całuję

Najprzywiązańszy brat w Chrystusie

† *Konstanty Ireneusz*, biskup sejneński.

Sejny, Wielki Czwartek, 25 marca 1869«.

Odpowiedź X. biskupa Popiela była następującą:

Excellentissime ac Reverendissime Domine!

»Nawyknąwszy przez długie lata podzielać jedno zdanie w ważnych kwestyach z Waszą Ekscellencyą, nie taję tego, że zabolałem, kiedy zapatrywania nasze poczęły się różnić, domyślałem się jednak, że ból ten dotknął obydwie strony, a że źródłem jego była miłość Kościoła, ufałem więc w Bogu, że nietylko cierpienie przejdzie, ale będzie znowu źródłem pociech w przyszłości. Winszuję i dziękuję, żeś *Excellentissimus Dominus* dłużej nie zwlekał. Mniej jak kto inny odgadnąć mogę następstwa takiej decyzyi, ale gdzie widzę zwycięstwo i tryumf Kościoła! a o reszcie Bóg pomyśli. Zdrowie mi tu służy dobrze i wogóle zdaje mi się, że z całej mej dyecezyi, to mnie najlepsza cząstka się dostała.

Miła mi bardzo była pamięć Waszej Ekscellencyi okazana przysłaniem krzyża po ś. p. Biskupie podlaskim. Z mej strony czyniąc tu rozporządzenia testamentowe w końcu przeszłego roku, przekazałem Waszej Ekscellencyi podobny upominek, mój własny krzyż pektoralny; zanim to nastąpi, załączam swoją fotografię. Nigdy nie będę dosyć daleko, bym się nie miał cieszyć uszanowaniem dla praw Kościoła, a tem bardziej kiedy taki dowód z serca Waszej Ekscellencyi wypływa.

»Poleciwszy siebie i sieroty modlitwom *Excellentissimi*

Domini, proszę przyjąć uczucia wysokiego mego szacunku i przyjaźni, z któremi jestem

Waszej Ekscellencyi
brat i sługa w Chrystusie

† *Wincenty*, biskup płocki.

Nowogród, dzień św. Stanisława męczennika, 1869 r.

X. Biskup łucko-żytomierski w odpowiedzi na list X. Biskupa, odpisując pocztą, nie pisał wcale o przedmiocie korespondencyi, ale cały list swój ułożył ze zdań Pisma św. i ojców Kościoła, tak zestawionych, że wiedzący, o co chodzi, mógł dokładnie zrozumieć autora. List ten niestety zaginął, a szkoda wielka, bo był niezwykle pięknym i prawdziwie pasterskim.

X. biskup Staniewski nie był pominiętym przez X. Biskupa. Do niego i owszem kilkakrotnie się zwracał, zawsze przesyłając listy swoje drogą umyślnych posłańców, ażeby z pewnością rąk jego doszły, zaklinając go na wszystko, ażeby przestał dawać publiczne zgorszenie, po ogólnie znanem *breve* rzymskiem do niego zwróconem, i swojem ustąpieniem ułatwił całemu Kościołowi w chwilach tak bardzo trudnych dojście do ładu w sprawie kollegium petersburgskiego.

Kroki poczynione przez X. Biskupa u tych wszystkich biskupów, nie były bezowocne. — X. Wołonczewski, biskup żmudzki i biskup łucko-żytomierski, odwołali swoich delegatów. X. Biskup Majerczak zrazu usłuchał X. Biskupa i także chciał delegata odwołać, ale sprowadzony do Warszawy przez hr. Berga, uległ jego namowom, ażeby tego nie uczynił, ponieważ toby zaszkodzić mogło układom, które się rzekomo toczyły pomiędzy Stolicą apostolską a rządem w sprawie kollegium. Wrócił zatem do Kielc spokojnie i w bezczynności pozostał. We trzy tygodnie po wywiezieniu X. Biskupa, tak z tego powodu jak i innych, rząd rosyjski zniósł dyecezyę katolicką Mińską i przyłączył ją do archidyecezyi Mohylewskiej. Przedtem jeszcze, bo we dwa tygodnie po wywiezieniu X. Biskupa, dwie całe wsie unickie w najbliższej okolicy Grodna, za to że podtrzymywane były przez X. Biskupa

w uporze swoim i prawosławia przyjąć nie chciały, nocą otoczone zostały przez kozaków, do szczętu spalone, a ludność ich cała męska z kobietami i dziećmi, zagnana do najbliższej stacyi kolei żelaznej i na Sybir wywieziona.

Ufając nareszcie w dawne stosunki swoje z W. ks. Konstantym, którego wspaniałomyślnej życzliwości kilkakrotnie w życiu swojem miał dowody, X. Biskup także napisał do niego, przesyłając mu wywód całej sprawy jako sprawozdanie z położenia, w jakiem się Kościół i on znajduje, zostawia jednak zupełnie uznaniu Wielkiego Księcia, czy zechce i jak zechce sprawą tą się zająć, nie nasuwając mu w tym względzie żadnej swojej myśli. Zdaje się, że znowu zawiedzionym nie został w zaufaniu, jakie w Wielkim Księciu pokładał; łagodny obrót bowiem, jaki sprawa ta wzięła w początku, przypisać wypada pewnego rodzaju wpływowi brata cesarskiego.

Tymczasem pan Muchanow zawiadomił X. Biskupa, że hr. Berg postanowił list jego z dnia 19 marca 1869 r. przedstawić Najjaśniejszemu Panu, i że bardzo był z tego zadowolony, że X. Biskup nie odwołał jeszcze stanowczo X. Andrzejewskiego, ale że odwołanie jego uczynił zależne od decyzyi, jaką Najjaśniejszy Pan poweźmie w przedmiocie żądań X. Biskupa wyszczególnionych w wspomnianym liście. Na to X. Biskup odpowiedział:

»Bardzo wdzięczny jestem Jego Ekscellencyi hr. Feldmarszałkowi za to, że raczył przychylić się do mojej prośby i przesłał do Petersburga list, który miałem zaszczyt Jemu przesłać. Oczekuję z wierno-poddańczem poddaniem się temu, co Najjaśniejszy Pan raczy w tej mierze rozkazać. — Hr. Namiestnik raczył mnie pochwalić za to, żem chwilowo odroczył odwołanie assesora z mojej dyecezyi, dla przedstawienia poprzednio i *directe* rządowi kwestyi zasadniczej, wywołanej mojem postanowieniem. (Wiemy już powyżej dlaczego X. Biskup to uczynił, *przyp.*). Zaraz po posłaniu tego listu hr. Feldmarszałkowi, zakomunikowałem jego kopię prawie wszystkim moim kolegom i administratorom dyecezyi. Wiadomości otrzymane od kilku z nich, pozwalają mi mniemać, że podzielają zupełnie mój sposób zapatrywania się na sprawę kollegium.

Za obowiązek sobie przeto poczytuję, donieść o tem JE. hr. Feldmarszałkowi i prosić Go, jeżeli to za właściwe uzna, ażeby raczył zwrócić najwyższą uwagę na zdania biskupów w tej sprawie. Ta okoliczność bowiem jest wielkiej wagi dlatego, ażeby Najjaśniejszy Pan decyzyę swoją wydać raczył z zupełną świadomością rzeczy. Ponieważ kollegium zarzuca mnie różnemi swojemi odezwami (X. biskup Staniewski nietylko nie złożył prezydencyi w kollegium, ale przeciwnie rozwinął w niem gorączkową prawie działalność, *przyp.*) i nagli w odpowiedzi na ukaz z dnia 2 maja, obejmujący rozporządzenia tyczące się rubryk, zupełnie nieodpowiadające istniejącym nawet atrybucyom tego kollegium, mam zaszczyt hr. Feldmarszałka uwiadomić, że poleciłem X. Andrzejewskiemu, ażeby prosił ustnie prezydującego w kollegium o wstrzymanie wszelkich odezw do mnie, dopóki nie zapadnie decyzya cesarska. Gdyby zaś X. biskup Staniewski tego zażądał od niego, to ażeby tę prośbę, czyli to ustnie na sesyi kollegium, czyli też piśmiennie złożył. Ale w takim przypadku, krok ten byłby ostatnią jego czynnością w kollegium, gdyż od chwili jej dopełnienia, powinienby się uważać za stanowczo z tego kollegium odwołanego«.

Skończywszy wszystko wokoło siebie, X. Biskup napisał do Ojca św. własnoręczny list następujący:

»Beatissime Pater!

»Accepto nuntio Sanctitatem Vestram audita relatione consilii a me capti, de mittendo in collegium ecclesiasticum petropolitanum ex dioecesi mea assesore, illud expresse reprobasse edixisseque me debere illud retractare dictumque assesorem revocare, nihil magis cordi habui, quam me huic sacro decreto nulla interposita mora, ex toto animo humillime submittere.

»Prae primis itaque ad vices imperialis potestatis in regno poloniae gerentem, Mareschalum comitem Berg litteras retractatorias meae agendi rationis, quarum exemplar authenticum Sanctitati Vestrae representabitur, direxi. Neque mutabor presbitero Andrzejewski, qui nuper morbo adhuc laborans

Petropoli, militari comitatu abductus, munere assesoris in praefato collegio fungitur, mandatum redeundi locum proprium transmittere.

»Summas Deo ac Salvatoris nostro gratias ago, quod mihi tempus reliquerit, disposueritque hujusmodi adjuncta, quibus faventibus errorem meum agnoverim, scandalumque a me causatum saltem partim reparare possim. Insuper Sanctitati Vestrae demissime gratias ago pro benignitate, qua in monitione mei uti dignata est, atque humillime prostratus ad pedes suos, quod paternum Cor Sanctitatis Vestrae, tot tantisque jam aliundi sauciatum aerumnis contristaverim, intimi, summique doloris fundere sensus summo opere exopto unaque Sanctitatis Vestrae humillime supplico, quatenus perpensis actis meis in hac parte, si dictam retractationem haud sufficientem esse judicaverit, mihi ex gratia speciali indicare dignetur, quidquam reparandi scandali comissi gratia mihi praestandum remaneat, firmissimum enim propositum habeo in omnibus regi obedientia, qua Sanctitati Vestrae et Sanctae Sedis Apostolicae vincor. A paterna tamen benevolentia Sua ne me Sanctitas Vestra excidere sinet, ejusque pignus, benedictionem Apostolicam mihi imperciendo, eandem etiam in posterum continuare dignetur.

»Quaenam mihi ex ingressa modo agendi ratione immineant, nondum pro certo providere fas est. Cum tamen haud sit improbabile, me a grege amabili, per Divinam miserationem gratiamque Sanctae Sedis Apostolicae sollicitudini meae credito amotum iri, meum ergo arbitror esse, supplicare Sanctitati Vestrae quatenus, de plenitudine Potestatis Apostolicae necessitatibus spiritualibus hujus partis vineae Domini providere dignetur. Clerus populusque addictissimi fidei catholicae ac unitati sanctosanctae matris Ecclesiae existunt, verumtamen percusso pastore, nonne dispergentur oves gregis, praesertim si sub specie pastoris lupus rapax ovile ingrederetur, moxque ipsis de novo non provideatur regere.

»Praemissis omnibus animo pervolutis excitor compellorque, humillime Sanctitati Vestrae exponere, quantum infirmitas mea haud par sit tanti muneris sublimitati; atque in

mentem reduco sensus, quibus vel eo ipso tempore, quo Sanctitas Vestra me promovendum ad dignitatem Episcopalem in animum duxit, afficiebar; videlicet, intime persuasus de indignitate mea, summopere exoptabam Sanctitati Vestrae supplicare, ut voces deprecationis meae ad aures Sanctitati Vestrae pervenire potuissent. Pro certo, Beatissme Pater, misertus mei, tantum onus infirmitati meae pepercisses; ast placuit Deo tunc temporis alias disponere. Novissime vero, error a me comissus, quo tamdiu, non obstante prima et secunda insinuatione ex parte Sanctitatis Vestrae perseverare non solum mihi denuo comprobavit, quam justus fuerit nunc temporis timor meus, sed etiam ejusdem rei evidens damnatum Sanctitati Vestrae praebuit.

»Provolutus itaque coram Sanctitate Vestra humillime supplicare Ipsi praesumo, quatenus humeris meis onus a Se impositum quodque per praesentes litteras ad pedes Suos depono, tollere adque vinculum Ecclesiae ac dioecesi Sejnensis seu Augustoviensis me alligans de plenitudine potestatis Apostolicae solvere, eique de digniori pastore providere dignetur.

»Expositis praemissis me sine ulla restrictione dispositionis Sanctitatis Vestrae, qualiscunque illa fuerit, submitto, ac benedictionem Apostolicam praestolor, intra oscula pedum.

»Sanctitatis Vestrae humillimus servus atque obedientissimus filius

Constantinus - Ireneus,
Eppus sejnensis seu Augustoviensis.

»Sejnis 19 Martii 1869 in Polonia«.

W tym liście X. Biskup donosi, że na wezwanie Ojca świętego odwołał swego delegata i całe postępowanie swoje publicznie potępił; że niezmiernie żałuje danego zgorszenia; że się poddaje wszystkiemu co Ojciec św. nakaże; że prosi wobec prawdopodobnego jego wywiezienia o danie rozporządzenia co do zarządu dyecezyą, a nareszcie błaga Ojca św. wobec widocznej jego nieudolności do sprawowania rządów, ażeby go zwolnił z tego ciężkiego obowiązku i innego godniejszego na biskupa sejneńskiego naznaczyć raczył.

Oprócz tego X. Biskup napisał obszerny list do kard. Antonellego i do kard. Reisacha, najpoważniejszego nieomal członka kollegium kardynalskiego, kiedy go Ojciec św. naznaczył na prezydenta Soboru watykańskiego, jak niegdyś naszego Hozyusza na Soborze trydenckim, a także polecające pisma do mons. Czackiego i Bodenhama. Przytem dołączył kopie wszystkich swoich listów, odezw tak publicznych, jak tajnych i rozkazów rządowych w francuskiem tłómaczeniu. Praca ta tak znaczna zabrała mu czas od pierwszych dni lutego, kiedy otrzymał list Bodenhama z Rzymu, aż do połowy marca, i jak widzimy, wszystkie listy tak do hr. Berga, jak do Rzymu noszą na sobie datę 19 marca, dzień św. Józefa, opiekuna Kościoła powszechnego i patrona dobrej śmierci, wyrok ten bowiem dnia tego bezwiednie X. Biskup na siebie podpisywał.

Z tym znacznym pakietem listów X. Biskup posłał do Rzymu hr. Pawła Łubieńskiego, kuzyna swego i szwagra, bo ożenionego z rodzoną a jedyną siostrą X. Biskupa, Maryą. Hr. Paweł jechał na Paryż, ażeby tam zakołatać w francuskim głównym domu dla rozkrzewienia wiary i misyi zagranicznych o nowe *subsidia* i zapomogi dla seminaryum sejneńskiego. Rząd, jak już wyżej powiedzieliśmy, dawał utrzymanie tylko na 20 alumnów, a X. Biskup za pomocą składek żywił ich aż 60-ciu. W Rzymie hr. Paweł stanął 14 kwietnia w hotelu Minerwa pod przybranem nazwiskiem p. Pomiani. Instrukcya, jaką otrzymał od X. Biskupa, opiewała, że w stosunkach z dygnitarzami Kościoła surowo mu jest zabronione uniewinniać postępowanie X. Biskupa, że przeciwnie, X. Biskup przyznaje się do winy, mówi szczerze i otwarcie *pater peccavi* i z zupełną pokorą poddaje się wyrokom Stolicy Apostolskiej. Miał przytem pilnie słuchać wszystko, co mu było powiedziane i szczegółowe robić z każdej rozmowy notatki. Monsignor Czacki, który bardzo gorliwie a przyjaźnie, jako najlepszy krewny, całą sprawą się zajął, wręczył mu brewe Ojca św. dnia 29 kwietnia. Hr. Paweł już 30 kwietnia Rzym opuścił i stanął w Sejnach 8 maja. Kiedy hr. Paweł wszedł wprost z drogi do domu w Sejnach, X. Biskup rzucił

się na środku salonu swego na kolana i w tej pozycyi odebrał z jego rąk brewe Ojca św., a pocałowawszy go kilkakrotnie, ze łzami w oczach powstał, przeżegnał się, zerwał pieczątki i odczytał treść jego.

Jest to prawie jedyny dokument, tyczący się historyi Biskupa, z którego ani oryginału, ani odpisu nie mamy, oryginał bowiem został zabrany, jak niebawem zobaczymy, a do zrobienia z niego kopii nie było na razie naonczas żadnej potrzeby. Ale treść jego dokładnie jest nam znaną. W tej odpowiedzi Pius IX wyrazami nadzwyczajnej łaski i ojcowskiej pieczołowitości, bardzo pochwala ostatnie kroki X. Biskupa; wyraża nadzieję, że assesor do kollegium został już odwołany i na miejsce do dyecezyi powrócił; nareszcie podaje do wiadomości, iż rezygnacyi jego z biskupstwa nie przyjmuje, ale pragnie, ażeby do końca z równą gorliwością i poświęceniem dla chwały Bożej i na pożytek Kościoła pracował.

Oto jest wierna opowieść całego tego przejścia i tego w życiu okresu X. Biskupa.

Sprawa ta dzisiaj pyłem zapomnienia niejako przyćmiona, w swoim czasie stała się powodem niesłychanej wrzawy i ogólnego poruszenia. Rzeczywiście, opisując ją, człek czuje, że tu potrzebaby pióra Szekspira, ażeby módz oddać z całą siłą tę walkę pełną tragedyi i opisać te wybitne postacie, które obok siebie działały. Na niczem rzeczywiście do całości dramatu tutaj nie zbywa. Potężne indywidualności, głowy koronowane, genialna postać głównego aktora, który walczy, cierpi i ginie, rozpasane namiętności bezmyślnego tłumu i sądy płytko sądzącej, ale głośno wyrzekającej ulicznej gawiedzi. A nad tem wszystkiem unosi się wysoko zorza wiary chrześcijańskiej, która w ostatnim akcie oświeca, opromienia całość obrazu i w pełnym toku sprawy niespodziewanie tryumfem cnoty a pokory chrześcijańskiej się kończy.

Dużo nad tem współcześni i dzisiaj jeszcze nieświadomi rzeczy ludzie rozważali, kto w całej tej sprawie miał słuszność po swojej stronie, czy X. Biskup Łubieński, czy

Stolica Apostolska. Dlatego tak otwarcie założenie sprawy na początku stawiamy, ponieważ dobrzy katolicy nie mogą na chwilę przypuszczać, ażeby pisząc historyę Biskupa, wyznawcy i męczennika, mogła w nas chęć powstać przeciwstawienia jego osoby, najwyższej i nieomylnej władzy duchownej. Wskutek rozwoju wypadków jednak, to przeciwieństwo na chwilkę, jak widzimy, było powstało, a głośne publiczne przyznanie się do winy X. Biskupa, jego boleść i starania o naprawienie złego i danego zgorszenia, mogłoby dać do myślenia, iż on rzeczywiście pobłądził i zawinił, lub upadł.

Jak się też jednem słowem sprawa przedstawia. Faktem jest:

1⁰ że kollegium katolickie od r. 1802 w cesarstwie rosyjskiem istniało;

2⁰ że X. Biskup już w lutym 1868 r. otrzymał pozwolenie od Stolicy Apostolskiej na obesłanie kollegium;

3⁰ że w sierpniu 1868 r. rząd rosyjski w wykonywaniu ogólnego planu, zniesienia odrębności administracyjnej Królestwa Polskiego, a zatem zwijając komisyę dla spraw duchownych w Warszawie, zastępował ją, powołując assesorów z dyecezyi Królestwa do kollegium petersburskiego, instytucyą, która w cesarstwie czynności powyższej komisyi sprawować miała;

4⁰ że X. Biskup na wysłanie takiego assesora się zgodził, pod warunkiem rozmaitych wyraźnych zastrzeżeń i otrzymania na to wysłanie ponownego pozwolenia Stolicy Apostolskiej;

5⁰ że Stolica Apostolska potępiła kollegium i biorących w niem udział i rozkazała w styczniu 1869 X. Biskupowi złe naprawić i assesora odwołać;

6⁰ że XX. biskupi Majerczak i Juszyński, z wyjątkiem jednego X. biskupa Popiela i wszyscy administratorowie dyecezyi w Królestwie naonczas, przesłali takich assesorów, a nie słyszano, ażeby Stolica Apostolska była im za to karami zagroziła, lub suspensami kościelnemi publicznie ukarała;

7⁰ że do dziśdnia wszystkie dyecezye w cesarstwie i Królestwie assesorów swoich do kollegium w Petersburgu posy-

łają, a mało znaczące zmiany zaprowadzone w kollegium ukazem z r. 1875, są tylko wykonaniem zastrzeżeń poczynionych przez X. Biskupa wobec Muchanowa w Sejnach, gdy się zgodził na posłanie assesora.

Wobec tego stanu rzeczy, dlaczego Stolica Apostolska od X. Biskupa odwołania assesora wymagała? Dlaczego X. Biskup publicznie przyznawał się do winy i do zgorszenia? Jakim sposobem mogło powstać pomiędzy władzą Najwyższą Kościoła a jej wykonawcą i najlepszym synem nieporozumienie chwilowe?

Co było ukryte dla współczesnych, dla nas mających wszystkie dokumenta przed sobą i najtajniejsze przyczyny całej akcyi odsłonięte, rzecz cała przedstawia się niezwykle jasno i najmniejszej trudności nie przedstawia.

X. Biskup miał słuszność po swojej stronie. Nasamprzód, bo miał do tego pozwolenie, a powtóre, bo odmówienie posłania assesora do kollegium stawało się wtenczas sprawą polityczno-administracyjną, której, opierając się wyłącznie na gruncie kościelnym, nie można było zwalczyć, bo to kollegium jakkolwiek nędzne i przeszłość miało za sobą i przyszłości było pewnem. Co też wynik ostateczny sprawy jasno okazał.

Nie mniejszą jednak słuszność miała po swojej stronie Stolica Apostolska. Oburzona niesłychaną złą wiarą rządu rosyjskiego, wywiezieniem tylu biskupów, zamknięciem tylu set kościołów i klasztorów po powstaniu, oderwaniem tylu tysięcy dusz wierzących unitów, męczeństwem tylu kapłanów, zakonników i wiernych, gorszącem uzurpatorstwem XX. Staniewskich, Żylińskich i Zwolińskich i tym podobnych, zerwaniem konkordatu, publicznem urąganiem się z władzy Stolicy świętej, namawianiem i zmuszaniem otwarcie poddanych prawami krajowemi do schyzmy. — Stolica Apostolska raz po raz starała się z najmniejszem narażeniem bezpieczeństwa wiary tych dusz uciśnionych przeciwstawić temu szeregowi gwałtów swoje solenne protesta.

Przy zaprowadzeniu kollegium w Królestwie, którego nigdy do dziśdnia publicznie nie uznała, i które związane

było wtenczas z nieszczęsnem przewodnictwem X. biskupa Staniewskiego i równoczesnem zerwaniem konkordatu, Stolica Apostolska sądziła, że nadeszła chwila do ponowienia oporu i walki z rządem rosyjskim. Dlatego mając najwyższe cele na względzie, dobro ogólnego Kościoła na oku, miała ona zupełną po swojej stronie słuszność, nakazując X. Biskupowi odwołania assesora i walczenia na tej drodze za wolność wiary i bezpieczeństwo praw Kościoła w Polsce.

W istocie więc nie było żadnego tutaj przeciwieństwa, tylko nieporozumienie, obydwie władze kroczyły zgodnie do jednego celu, tylko innemi drogami, gdzie współcześni upatrywali błąd, winę i zgorszenie, my tam widzieć musimy dla duszy X. Biskupa całą tragedyę okropną zrządzenia Opatrzności.

Czyż można bowiem wystawić sobie straszniejsze nad jego położenie. Dusza ognista, odwagi nieustraszonej w całej pełni rozwiniętych niezwykłych władz umysłowych, stoi on na świeczniku hierarchicznym całej ludności katolickiej w Rosyi. Najwyższe władze państwowe oddają mu ten hołd pierwszeństwa, od niego rozpoczynając wprowadzenie nowego prawa. Widzi jasno, iż tylko niezmierną zręcznością przy nieuniknionej konieczności da się coś utargować i niezbędnie potrzebny *modus vivendi* wypośrodkować, natęża zatem wszystkich sił swoich, podwaja pracy, wszystkich używa sprężyn, ażeby rzeczy sprzeczne ze sobą pogodzić i dobro Kościoła salwować. Z drugiej strony głowa Kościoła z niemniejszą stanowczością kroczy po tej samej drodze, odmienne jednak od niego odbiera do tego środki i każe mu w imieniu posłuszeństwa swoich myśli, swojego planu, swojej przeszłości się wyrzec i przed jej najwyższą wolą głowę uchylić. Wśród tak tryumfalnego pochodu, X. Biskup zwalczywszy niechęć powstania narodowego, obaliwszy Murawiewa i Czerkawskiego, mając już prawie w swoim ręku, jak sądził, Muchanowa, stojąc w sile wieku u zenitu swojej wielkości i chwały, widzi naraz, on, Biskup katolicki, otwierającą się przed nogami jego przepaść zatargu z głową Kościoła. Któż z nas opisać może bezdenną boleść, która napełniła duszę jego, gdy

w rozwijających się wypadkach widział brzeg, do którego fale okoliczności go unosiły, gdy w odebranej odpowiedzi z Rzymu ujrzał całą straszną a nagą przed sobą prawdę?

A kielich ten goryczy wypić musiał aż do dna samego. Nietylko cała zgraja dawnych zażartych jego nieprzyjaciół z powstania, do milczenia powodzeniami jego przyprowadzona, jak gniazdo szerszeni rzuciła się znowu na niego, ale stronnictwo nawet tak zwane katolickie w kraju i Galicyi ze zgorszeniem nazwisko jego niechętnie wymieniało. Ci, dla których był dotychczas wyrocznią, widząc, iż sprawa się robi niejasna i zawiła, od niego milczkiem się odwracali. Tyloletni przyjaciel i powiernik tylu myśli i tylu walk wspólnych X. biskup Popiel, musiał się z nim rozejść, wszyscy go odstępowali i opuszczali. Mamy przed sobą depesze cyfrowane z tych czasów z Rzymu do niego, od przyjaciół nadchodzące, które mu donoszą że pewne głosy, przyznajmy się do tego ze wstydem, że polskie, namawiają głowę Kościoła, ażeby X. biskupa Łubieńskiego publicznie wyklął. Jeden tylko Pius IX, oświecony Duchem św., z wysokości swego Piotrowego tronu, obejmował całość sprawy i sprawiedliwie ją sądzi. Z oburzeniem odepchnął od siebie nikczemne podszepty, ocenił właściwie zasługi X. Biskupa, pojął, że tu ani o rzeczy wiary lub moralności nie idzie, tylko o wybór właściwych środków *(regiminis)* rządów doczesnych Kościoła. jednem słowem, nawet cienia potępienia na X. Biskupa nie rzucił, tylko po ojcowsku i prawdziwie kapłańsku zniewalał go, ażeby assesora odwołał i tym sposobem drogi postępowania swego »wyprostował i naprawił«.

W odpowiedzi Ojca św. i kardynała Antonellego wyraźnie czytamy, że krok potępienia kollegium nie był w związku z postępowaniem X. Biskupa uczyniony, którego osoba i charakter i cnoty, ponad wszelką wątpliwość się unosiły, ale w myśli ogólnej walki przeciwko rządowi rosyjskiemu, której pojedyncze oddziały szermierzy i dowódcy na placu boju stojący nie mogli należycie ocenić. Nie było zatem błędu, nie było też i potępienia. Była wielka gorliwość i zapał najszlachetniejszy z jednej; była ojcowska wyrozumiałość, konieczna

stanowczość, a przedewszystkiem prawdziwie chrześcijańska miłość z drugiej strony.

Ale ponad wypadki dziejowe, a materyalne tej chwili życia X. Biskupa, jeżeli kiedy, to teraz, wypada nam wznieść się wyżej i sięgnąć do tajników woli Opatrzności, której zamiary są naprzód zawsze nieznane, ale która, jedynie spełnione już fakta, prawdziwem światłem opromienia, i co było zakryte, tłómaczy. Po tylu pracach, po takiej gorliwości dla dusz zbawienia, po trzykrotnem wygnaniu i otrzymaniu piętna wyznawcy za wiarę, w największej, najpodnioślejszej chwili życia X. Biskupa, kiedy majestat głowy Kościoła i majestat cesarskiej korony na niego się patrzał, cały naród na jego postanowienia się oglądał, część świata katolickiego była nim zajętą, wtenczas Pan Bóg przysłał w niezbadanem miłosierdziu swojem, ostateczną a najcięższą na niego próbę. Mógł był się powołać na całe swe życie nieskalane. Mógł był się zasłonić pozwoleniem otrzymanem w lutym z Rzymu. Mógł był się odwołać raz jeszcze do Stolicy Apostolskiej. Mógł był się zamknąć w niemym uporze i bezczynności kolegów jego współczesnych w episkopacie, biskupów Juszyńskiego i Mayerczaka. Ale on obok dobra Kościoła spostrzegł jedyną a rzadką w życiu Biskupa okazyę, upokorzenia się przed całem Chrześcijaństwem.

Miał X. Biskup słuszność po swojej stronie, kiedy padł do nóg przed strofującym go Przeorem w Petersburgu. Miał ją, kiedy klęczał przed metropolitą Zwolińskim w Petersburgu. Miał ją także, gdy rzucił się do kolan arcybiskupa Felińskiego w Warszawie. Może ją i miał nareszcie, pomimo tego, że klęcząc i płacząc odebrał brewe Ojca św. w Sejnach? Ale z pewnością miał największą i najświętszą słuszność po swojej stronie, kiedy na wezwanie głowy Kościoła odrazu się cofnął skromnie, stanowczo i pokornie z obranej drogi; miał ją niewątpliwie, gdy światu całemu głosił swoje nieporozumienie, nazywając je błędem, i gdy przykład cnót całego życia, publicznie przezwał zgorszeniem. Może po ludzku rzeczy sądząc, nie każdy pojmie i nie każdy pisać będzie na takie rzeczy tłómaczenie, ale widocznie inaczej w sprawiedli-

wych sądach odwiecznego Świadka tajników serc ludzkich postępowanie X. Biskupa było przyjęte.

Nie jest naszą rzeczą sądzić, kiedy Pan Bóg uznaje za stosowne przerywać pasmo życia człowieka. Ale jeżeli katechizm nas uczy, że człowiek na to żyje, ażeby Boga chwalić i duszę swoją zbawić, możemy stąd wywnioskować, kiedy właściwie ostateczna godzina może wybić dla człowieka. Niewątpliwie więc wtenczas człowiek umiera: objektywnie, kiedy nie wypełnia na siebie nałożonych obowiązków, lub je ostatecznie zupełnie wypełnił; subjektywnie, jeżeli, pomimo niezliczonych łask Boskich i cierpliwości Jego bez granic, namiętności swoich nie zwalcza; lub przeciwnie, jeżeli w pełni już odpowiedział i współudział ze światłem sobie udzielonem i duszę należycie już podniósł i oczyścił i wydoskonalił. Czy tak, czy tak rzeczy sądząc, widocznie X. Biskup był już owocem dojrzałym. Ostatnia próba ognista, którą tylko wybrana dusza mogła była przenieść, do reszty ją oczyściła z naleciałości ziemskich i z małostek ludzkich. Wszystko mu w życiu danem było. Urodzenie, zdrowie, przyjaźń ludzka, zaufanie osób najwyżej w hierarchii społecznej stojących, powodzenie, zaszczyty i chwała, w całej pełni ich używania rzucił wszystko, ażeby się uznać publicznie błądzącym i nieudolnym grzesznikiem. Już mógł powiedzieć z Symeonem: »Teraz puszczaj sługę Twego Panie w pokoju według słowa Twego, gdyż oczy moje oglądały zbawienie Twoje, któreś zgotował przed oblicznością wszystkich narodów«. Głos jego doskonałej pokory, która niebiosa przebija, prawie natychmiast przez sprawiedliwego Sędziego miał być wysłuchanym. On się poniżył i dlatego ponad wszystkich braci biskupów został wywyższonym.

ROZDZIAŁ XVIII.

WYWIEZIENIE I ŚMIERĆ.

(1869).

X. Biskup odwołując assesora z Kollegium i podpisując wszystkie wyżej wzmiankowane pisma w marcu, nie czynił sobie żadnej illuzyi co do losu, który go spotkać może. Zanadto zawinił wobec rządu rosyjskiego, nietylko nie poddając się woli cesarskiej co do wysłania delegata, ale otwarcie przyznając się, że miał zabronione stosunki ze Stolicą apostolską i że namawiał cały Episkopat w granicach cesarstwa do takiegoż samego uporu wobec władzy. A jednak wypadek jego był nieco odmiennym od innych tego rodzaju wykroczeń wobec praw państwowych. On nie chował się ze swoim uporem w kryjówkach tajnych spisków, on nie dążył do naruszenia lub wywrócenia prawnego porządku państwa, ale otwarcie przyznawał się, że jest z mocy złożonej przez siebie przysięgi najwierniejszym osoby cesarza poddanym, a jedyne prawo, które sobie jako człowiek zastrzega, to jest przyrodzona wolność sumienia. Uderzyć w niego, nie było to pojmaniem buntownika, powstańca, rewolucyonisty czy nihilisty, ale wprost jawne i otwarte prześladowanie li tylko sumienia i Kościoła katolickiego. Przytem nie była to jakaś podrzędna lub mało znana osobistość, nie mająca znajomości lub stosunków. Wszystko, co najwyższe i więcej wpływowe w państwie i towarzystwie, miało z nim stosunki dawne, serdeczne, a nieraz

korzystne i przyjemne. Wielki książę brat cesarski, książę kanclerz Gorczakow, książę Suwarow, wszystkie ambasady, hr. Berg, hr. Lambert, Timaszew, naonczas minister spraw wewnętrznych, cała rodowa arystokracya rosyjska, wielkie mająca znaczenie za panowania Aleksandra II, nie wspominając już o tych niezliczonych osobach, które nie stoją na świeczniku władzy, ale najbliżej się jej dotykają i nieraz przeważny wpływ na nią mają, wszyscy X. Biskupa dobrze znali i tylko mile o nim wspominać mogli. Upor pomniejszych osobistości kończył się zawsze szybkiem postanowieniem, nawet taki X. arcybiskup Feliński lub X. biskup Popiel, ledwie dni parę na wyrok swój czekać potrzebowali. Jeden X. Biskup czekać musiał aż półtrzecia miesiąca, zanim losy jego postanowione zostały. Widocznie jakieś zakłopotanie, wahanie się i niepewność zapanowały w decydujących sferach, za co i jak go ukarać należy.

Nie są nam dostępne tajne akta najwyższych władz państwa rosyjskiego, nie możemy zatem szczegółowo opowiedzieć jakiemi drogami sprawa X. Biskupa poszła, i za czyjem ostatecznie naleganiem i przez kogo wyrok został wydanym. Powtórzyć tylko możemy, co ogólnie naonczas było wiadomem i przez usta wszystkich, miarodajnych i wiarogodnych osób powtarzanem było.

A najsamprzód cesarz Aleksander II. gdy kilkakrotnie sprawy X. Biskupa zostawały mu przedstawiane, miał się o nim wyrazić:

»To jest jedyny człowiek, który umiał pogodzić swe »obowiązki gorliwego katolika i wiernego poddanego.

»To jest człowiek najniebezpieczniejszy i najzdolniejszy »w całej Rosyi *(il a cassé la tête)*, skręcił kark Murawie»wowi i Czerkawskiemu, wszystkim nam kark skręci *(il nous »cassera la tête à tous)*«.

Nareszcie gdy otrzymał raport o liście rewokacyjnym, miał wybuchnąć gniewem i zawołać:

»Ah! diable, que je n'entende plus parler de cet »homme«. — Ah! niech djabli wezmą, ażebym już o tym »człowieku więcej nie słyszał«.

Zdania doradców korony były podzielone. Hr. Berg był za wygnaniem X. Biskupa z granic państwa. Zdanie to nacechowane było życzliwością i z dawnej przyjaźni płynące, a przytem hr. Berg był przekonanym, że X. Biskup zagranicą nie przestanie, a nawet będzie miał większą łatwość pracowania nad doprowadzeniem do porozumienia między rządem a Stolicą apostolską, którego potrzebę namiestnik zawsze uznawał. Minister spraw wewnętrznych, Timaszew, zwlekał z decyzyą, starając się nadać sprawie łagodny obrót. Przeważyć miała opinia ministra oświecenia, hr. Tołstoja, jednego z koryfeuszów kierunku, jaki następnie w najwyższych sferach rządowych zapanował.

Do jakiego stopnia panowała niepewność w Petersburgu samym co do dalszych losów X. Biskupa, dosyć powiedzieć, że na parę tygodni przed jego wywiezieniem przejeżdżający przez Warszawę do Paryża jenerał Trepów oświadczył ustnie hr. Bergowi, z rozkazu samego cesarza, że X. Biskup nie zostanie wywiezionym, ale że pozostanie na miejscu w Sejnach.

Toczyła się walka w rządzie pomiędzy stronnictwem umiarkowanem a partyą ultra czerwoną, epigonami Murawiewa, Milutina, Czerkawskiego, których bogiem był Katkow. Hr. Berg, który zawsze z tą partyą prowadził tylko skrytą wojnę, a otwarcie względem niej bardzo był oględnym, widząc, że stanowisko jego własne mogłoby być zachwianem, cofnął tarczę, jaką X. Biskupa bronił. Nie sądził nigdy, żeby rzeczy mogły zajść tak daleko i gdy zwykle sam podpisywał wyroki wywiezienia, jak dla X. biskupa Popiela, względem X. biskupa Łubieńskiego tego nie uczynił. Muchanow z rozkazu otrzymanego z Petersburga (od kogo?), rozkaz ten, jak zobaczymy, podpisał.

Ale do tej powyższej walki stronnictw, wmieszała się jeszcze jedna osoba, z niesłychanem zacięciem, a tą był pan Muchanow. On stanowisko, jakie w Polsce zajmował, uważał tylko jako przejście do wyższej posady, czyli do teki ministra w Petersburgu, do czego zresztą ze względu na swoje zdolności, ogładę, stosunki i majątek mógł rościć sobie prawo. Nierozważny krok jeden p. Muchanowa w stosunkach jego

z X. Biskupem, który ten oczywiście natychmiast podchwycił, ażeby go zgubić, a mianowicie list jego, w którym się tak lekko, a zapamiętale wyraża o Stolicy św., a w sposób wyszydzający o kardynale Antonellim i innych dostojnikach Kościoła, a X. Biskupowi nasuwa insynuacye odszczepieństwa, mógł zachwiać jego stanowisko w najwyższych sferach rządu, gdyż tam właśnie użytek X. Biskup z jego listu mógł był zrobić. Obawy p. Muchanowa były uzasadnione, gdyż w liście odwołującym do hr. Berga X. Biskup z pewnego rodzaju użaleniem czyni wzmiankę o panu Muchanowie, a w liście do wielkiego księcia Konstantego całą sprawę wytacza. Gdy zatem list ten X. Biskupa do wielkiego księcia Konstantego, został w oryginale samemu cesarzowi przedłożony, a potem do Warszawy kopia jego na ręce hr. Berga nadeszła, mógł p. Muchanow obawiać się o swoje stanowisko i całą przyszłość, nie pozostało mu zatem nic innego, jak w zakresie swego działania użyć wszelkich środków, aby X. Biskupa zgubić.

Natychmiast też p. Muchanow rozpoczął cały szereg rozmaitych napaści przeciw X. Biskupowi, wznawiając sprawy, które wobec ważnej, toczącej się kwestyi Kollegium, od niejakiego czasu były ucichły. I tak, między innemi, zarzucał X. Biskupowi, że rozciąga propagandę katolicką pomiędzy ludem wileńskiej dyecezyi, że jedynie w tym celu przesiaduje dłuższy czas ponad granicami wschodniemi dyecezyi; że się widuje często, potajemnie, z biskupami cesarstwa; że udziela Sakramentu bierzmowania ludziom z cesarstwa; że tysiącami szkaplerze, różańce i krzyże poświęca i rozsyła na Litwę; że wpływ znaczny wywiera na ludność dawniej unicką, która dziś winna być prawosławną i t. d. Swoją drogą wszystko to było prawdą. Rodzaj jednak zarzutów tych dowodzi, że pan Muchanow chciał mieć na wielu punktach przygotowaną broń przeciw X. Biskupowi, lecz wiedział on dobrze, że na tej drodze, czyli z takimi zarzutami, oprócz osobistej szykany, nic nie wskóra, i że stanowcze kroki z mocy tychże, przeciwko X. Biskupowi nie będą podjęte, chwycił się zatem

jednocześnie i innych, lepiej obmyślanych na efekt w sferach rządowych.

Rozpisał zatem do wszystkich biskupów i administratorów dyecezyi w Królestwie Polskiem kurendę z poleceniem złożenia mu kopii listów, jakie X. Biskup do nich w interesie Kollegium był pisał. Zbierał w ten sposób dowody propagandy X. Biskupa w sprawie Kollegium, a w oskarżeniu swojem propagandzie tej nadawał cechę wyłącznie polityczną, którą sprawa ta, jak wiemy, poniekąd mieć musiała. Skutek nie omylił oczekiwania pana Muchanowa, postrach bowiem tego rodzaju propagandy, zręcznie przez niego wyzyskany, musiał pociągnąć za sobą niekorzystne dla X. Biskupa wrażenie w Petersburgu.

X. Biskup uprzedzony był natychmiast przez życzliwe osoby o knowaniach pana Muchanowa, żadnych jednakże środków ostrożności, ani obrony nie przedsięwziął i przedsięwziąć nie mógł i nie chciał. Tak bowiem, jak sprawę swoją osobistą za wolą Ojca św. postawił, musiał koniecznie czekać na decyzyę monarchy, potem dopiero mógł się odpłacić p. Muchanowi pięknem za nadobne. Chociaż łagodny dla niego wyrok byłby był *ipso facto* upadkiem p. Muchanowa, pomimo niekorzystnego dla X. Biskupa obrotu rzeczy, ten, który stał się jego osobistym wrogiem, tryumfu żadnego stąd także nie wyniósł.

Zasługuje tu na wzmiankę ta okoliczność, że w sprawie X. Biskupa wszyscy jego sędziowie, zacząwszy od cesarza Aleksandra II, przekonanego o jego wierności, hr. Berg, Timaszew, Sievers, mieli zupełne wewnętrzne przekonanie o jego niewinności. Pomimo tego, jako nowe Piłaty, woleli go poświęcić, niż zadrzeć z partyą ultra rewolucyjną. Sprawdziły się tu przewidywania X. Biskupa, który mówił, że stronnictwo względnie umiarkowane, będące u steru rządu, dla niezaczepiania stronnictwa czerwonego, gotowe jest poświęcać tak zasady, jak ludzi.

X. Biskup przez cały czas samej walki, to jest od wizyty Muchanowa w sierpniu w Sejnach, aż do podpisania listu rewokacyjnego, ogromnie cierpiał, niesłychanie wiele

pracował, częściej jak zwykle się modlił i do Sakramentu pokuty przystępował, widać było niepokój, który go nieustannie trawił. Od dnia 19 marca stał się jakby innym człowiekiem, ogromny kamień spadł mu z serca, nigdy nie był weselszym, swobodniejszym i zdrowszym. Wobec tego pisma, cała korespondencya z władzami ustała, oprócz jednego listu do Muchanowa; mógł się zatem wyłącznie oddać pasterskim swym obowiązkom. Sądząc, że lada dzień będzie wywiezionym, wcale prawie na dłużej, jak na kilka godzin, Sejn nie opuszczał, ażeby nikomu aresztowaniem jego przykrości nie sprawić, i jako dobry pasterz być na swojem stanowisku; kiedy jednak z dnia na dzień sprawa się zwlekała, zaczęła już w nim nawet świtać jutrzenka nadziei, że może za cudem Opatrzności inny obrót rzeczy wezmą, i z tem lżejszem sercem patrzał w przyszłość i życie mu się uśmiechało. Przy tak swobodnem usposobieniu ducha rozpoczął się uroczy miesiąc wiosny, Przeczystej Dziewicy poświęcony. X. Biskup codziennie wieczorami chodził na piechotę do Katedry, i nietylko był majowemu nabożeństwu przytomnym, ale sam jeszcze codziennie prawie miewał nauki. Dziwne wrażenie zostawiły te przemówienia jego w pamięci tych, którzy je słuchali, jak już w jednym z poprzednich rozdziałów pisaliśmy. W Katedrze obecna była tylko nieznaczna małomiasteczkowa publiczność i klerycy seminaryum, a X. Biskup tak głębokie miewał nauki, z takiem namaszczeniem i takiem znawstwem wewnętrznej doskonałości duszy, iż każden mógł poznać, że to już nie dla słuchaczy było powiedzianem, ale mimowoli odzwierciadlało stan jego serca własnego. Dnia 27 maja tego roku przypadło święto Bożego Ciała. X. Biskup sam odprawił uroczystą summę i procesyę, a w następnych dniach rano i wieczór im asystował.

Dnia 30 maja, w niedzielę, X. Biskup odprawił cichą mszę w Katedrze i udzielił dyakonat dziewięciu klerykom.

Dnia 31 maja, o godzinie 2-ej rano, pocichu od strony Suwałk, wjechał do miasta z oddziałem żandarmeryi, jenerał Moeller, który nie na Grodno koleją, ale wprost z Warszawy przybył »perekładną«, widocznie obawiał się, ażeby na kolei

lub w Grodnie nie był widzianym, i przez jakiego przyjaciela X. Biskup nie był przestrzeżonym. Jenerał zajechał do domu naczelnika powiatu, gdzie się zebrała cała policya miejska, i straż ziemska powiatowa pod ręką będąca, i o godzinie trzeciej, w tak poważnej liczbie, udali się do X. Biskupa i dom jego otoczyli. Dom ten, była to jednopiętrowa kamienica, z bramą wjazdową we środku, po lewej stronie na dole były pokoje gościnne i pokój kapelana X. Van Ess, po prawej konsystorz i pokoje dwóch księży. Na górze mieszkał sam X. Biskup, były tam trzy salony, kaplica, biblioteka i pokój jadalny, i jeden tylko jego służący sypiał. Jenerał zadzwonił u głównych schodów i zaspanemu służącemu powiedział, żeby poszedł obudzić X. Biskupa i powiedział mu, że jenerał z Warszawy chce z nim zaraz pomówić. Temu służący stanowczo się oparł, utrzymując, że przed piątą nigdy pana swego nie budzi. Aż nareszcie, gdy go jenerał porządnie po rosyjsku wykpał, przestraszony poszedł do X. Biskupa, ażeby mu oznajmić, co się dzieje. X. Biskup, ze snu zbudzony, siadł na łóżku, przeżegnał się, zakrył twarz na chwilę rękoma, ażeby się pomodlić, i spiesznie ubrawszy się, wyszedł do salonu, ażeby jenerała przyjąć. Jenerał Moeller, który był przy naczelniku żandarmeryi w Królestwie Polskiem, znany był osobiście X. Biskupowi z Warszawy i razem z nim w jednym wagonie odbył przeszłego roku podróż z Warszawy do Ciechocimka. Jenerał oddał X. Biskupowi list od Muchanowa, w którym ten pisze, że za odwołanie delegata, za sekretne stosunki z Rzymem i za namawiania innych biskupów do tego samego, musi być wydalonym z granic dyecezyi, nie mówiąc jednak gdzie; w końcu dodaje, że wolno X. Biskupowi zamianować administratora dyecezyi. Jenerał dodał, że może mu zostawić tylko dwie godziny czasu do zapakowania się, i że przytem ma rozkaz opieczętowania i zabrania wszystkich papierów znajdujących się w jego pomieszkaniu. X. Biskup na to odrzekł, iż sprzeciwić się nie myśli i nie może, i prosi tylko o pozwolenie odprawienia mszy św., ale jenerał odrzekł, że chyba na to czasu już nie będzie. Zapytany, czy mu kto może towarzyszyć, odpowiedział, że tylko jeden słu-

żący. Na pytanie, czy może napisać parę listów, jenerał prosił go, ażeby to uczynił.

Przez ten czas przedarł się gwałtem przez policyę na górę synowiec X. Biskupa, kapelan X. Van Ess, kucharz Leon, służący i stary Chrzanowski, marszałek dworu. X. Biskup zapytawszy się, kto chce z nim jechać, wszyscy odezwali się, błagając jenerała, żeby ich puścił. Gdy wszystkim odmówiono, X. Biskup wybrał kucharza, bo był nieżonatym, bardzo pewnym i statecznym człowiekiem, od długich lat w służbie u niego i bardzo do jego osoby przywiązanym.

Jenerał Moeller w towarzystwie urzędników powiatowych i żandarmów, rozpoczęli otwierać biurka, szafy i komody, i każden najmniejszy skrawek papieru starannie chowali i opieczętowywali w duże koperty. X. Biskup obawiając się właśnie tego wypadku, nic prawie w domu nie trzymał, ale wszystko miał złożone w domu zacnego obywatela ziemskiego, pana Michała Borewicza, o parę wiorst od Sejn, w Klejwach mieszkającego, który żonaty był z księżniczką Ogińską, i przez to z X. Biskupem spowinowacony. Kiedy jakiego papieru potrzebował, jeździł tam spacerem i zabierał go. Gdy jednak aresztowanie tak bardzo się opóźniało, a X. Biskup miał znowu rozpocząć nową działalność, ściągnął nieco tych papierów do siebie, pomiędzy innemi ostatnie właśnie breve papiezkie z kwietnia, i te wszystkie dokumenta dostały się do rąk rządu.

Równocześnie z tem, służba ściągnęła kufry i zaczęła pakować. Na zapytanie, czy ma być wzięty duży kufer ze srebrami biskupiemi do mszy św., pastorałem i t. d., X. Biskup odpowiedział, iż oczywiście będzie mu potrzebnym. Jenerał widząc taką moc rzeczy, zrobił dziwną bardzo uwagę, że ani połowy tego nie potrzeba, a na wzmiankę, że przecież na czas dłuższy i do zimniejszego klimatu X. Biskup jedzie, nic nie odpowiedział.

Tymczasem X. Biskup siadł w innym salonie i napisał cztery listy. Jeden do X. Andruszkiewicza, mianując go administratorem dyecezyi, drugi do Kapituły, i oddał je obydwa swemu synowcowi. Potem napisał list do Muchanowa

i do swego ojca, hr. Henryka, słów parę, i te pisma wręczył do oddania jenerałowi. List hr. Henrykowi nie został nigdy oddany. To była jedyna chwila, kiedy ciche łzy potoczyły się z oczów X. Biskupa.

Jenerał, któremu oddać trzeba tę sprawiedliwość, że z wielką grzecznością względem osoby X. Biskupa spełniał swój obowiązek, naglił do wyjazdu. Podano w jadalnej sali herbatę i kawę dla wszystkich, podczas której X. Biskup bardzo już był swobodnym i uprzejmym.

Potem X. Biskup przeszedł do domowej kaplicy w towarzystwie kapelana i swego synowca, i stojąco odmówił z nimi głośno »Te Deum«, »Memorare« i »Salve Regina«, a przystąpiwszy do ołtarza ze zwykłem »Adjutorium nostrum in nomine Domini« itd., dał solenne błogosławieństwo na trzy strony i kazał obecnym świadczyć, że błogosławi wszystkich, dyecezyę, rodzinę i każdego z osobna pozdrawia.

Zostawiwszy pieniądze na zapłacenie wszystkich swoich rachunków i na różne dobroczynne instytucye, które w mieście wspierał, rozkazał cały dom swój zwinąć, ludzi popłacić, podał rękę swemu synowcowi i zeszedł do powozu, poprzedzony przez jenerała i otoczony żandarmami.

Było już wpół do szóstej zrana. Całe miasteczko było na nogach i stało zebrane przed domem biskupim. Na dole na schodach przedarło się dwóch księży, najwięcej do X. Biskupa przywiązanych, X. kanonik Marmo i X. regens Konsystorza Dyczpinigajtis, z którymi najserdeczniej się pożegnał. Nasamprzód z bramy wyjechała bryczka z rzeczami i dwoma żandarmami. Potem w bramę od podwórza wjechała kareta X. Biskupa, ale tak źle stanęła, że na żaden sposób nie można było otworzyć drzwiczek od powozu. Nie było innego sposobu, musiała kareta wyjechać na ulicę, a X. Biskup oparty o swego synowca, otoczony żandarmami, wyszedł za nią. W tej chwili rzucił się tłum wiernych, odsunął żandarmów i z płaczem, krzykiem i lamentem, zaczął całować ręce, szaty i nogi X. Biskupa. Z początku pozwalał on na to, ale widząc bójkę, jaka się rozpoczynała z żandarmami, ludzi rzucających się do koni, kobiety czepiające się kół u powozu,

podniósł rękę, uspakajał i podszedł do karety. Wepchnięty siłą już prawie przez żandarmów i samego jenerała, który obok niego zajął miejsce, wśród niewypowiedzianego zgiełku, przy którym kilka osób przejechanych było, puścił się w drogę. Zaraz za nim szła druga bryka z kucharzem Leonem i kilkoma żandarmami.

Pierwsza stacya pocztowa od Sejn, w kierunku do Grodna, nazywa się Kopciów, jest to mała wioseczka wśród lasów, z kościołem parafialnym. Do Grodna mieli zajechać dopiero wieczorem, a wyjechali jedynie dlatego tak wcześnie ze Sejn, bo jenerał sądził, że wywiezie X. Biskupa zanim mieszkańcy się przebudzą, dlatego z podróżą nie potrzebowali się spieszyć. W Kopciowie też zajechali do stacyi pocztowej około wpół do dziesiątej rano. Proboszcz miejscowy, zawiadomiony natychmiast przez ludzi, przybiegł i zapytał się, czy może u siebie kazać zgotować obiad. Jenerał na to pozwolił i uczynił przytem drugą z rzędu dziwną uwagę, nakazując żartem kucharzowi Leonowi kosztować z każdej potrawy, ażeby nie było jakiej w niej trucizny. Po obiedzie mieli dalej jechać, tymczasem proboszcz oświadczył jenerałowi, że jechać nie mogą, bo most na szosie na końcu wsi jest zepsuty, tak, iż przez wieś lepiej krótszą drogą iść piechotą, a z powozami aż za mostem się spotkać. Jenerał się na to zgodził i ruszyli w drogę: cała wieś, przez X. Proboszcza uwiadomiona, wysypała się i tak ogromną procesyą, śpiewając nabożne pieśni i głośno płacząc, ludek towarzyszył swemu Biskupowi. Droga wiodła przed sam kościoł, tu X. Biskup stanął, na drodze krzyżem się położył i czas jakiś się modlił przed bramą cmentarza. Rozczulenie obecnych nie znało granic. Powstawszy, dał wszystkim swoje błogosławieństwo i dalej pojechał.

Następująca stacya pocztowa wypadła w miasteczku Sapockiniach, gdzie zdążyli na czwartą popołudniu. Nie zajechali do stacyi pocztowej, ale wprost na łacińskie probostwo, które stoi obok kościoła, nieco za miastem. Tutaj wypito herbatę, zanim koni innych nie podano. Tegoż samego dnia przypadkiem znajdował się tam strasznej pamięci X. Kuziemski, ostatni unicki biskup dyecezyi chełmskiej, który odbywał tam

wizytę pasterską kościoła swego obrządku i pan Wołłowicz Michał, obywatel z niedalekiego majątku swego, Świacka. Pan Wołłowicz w wielkiej przyjaźni z Biskupem zostający, dowiedziawszy się o przyjeździe jego, podążył na probostwo łacińskie. Tam, za pozwoleniem jenerała, X. Biskup posłał pana Wołłowicza do biskupa Kuziemskiego z prośbą, ażeby się do niego zechciał pofatygować. X. biskup Kuziemski kazał odpowiedzieć, że żadnych stosunków z X. biskupem Łubieńskim mieć nie chce. X. Biskup raz jeszcze posłał pana Wołłowicza z prośbą, że chce się przed X. Kuziemskim wyspowiadać, i to mu także zostało odmówionem. Jest to jeden mały szczegół tylko z życia tego człowieka, który całą dyecezyę swoją schyzmie wydał i odstraszającym musi być przykładem dla całego unickiego kleru z Galicyi, z której on pochodził i gdzie czas dłuższy był nawet prowodyrem.

Wieczorem zajechali do Grodna i stanęli w hotelu Romera. Tutaj jenerał Moeller oświadczył X. Biskupowi, że w dalszej drodze towarzyszyć mu będzie czekający na nich tamże pułkownik żandarmeryi Kurzelewski; pożegnał się bardzo uprzejmie z Biskupem i zaraz wieczornym pociągiem odjechał do Warszawy, zabierając ze sobą wszystkie papiery opieczętowane w Sejnach. Podczas pakowania rzeczy, X. Biskup miał jeszcze sposobność ukrycia niektórych papierów w piecu, ale i te późniejszą rewizyą wskutek niepokoju poczciwego X. Van Ess, zostały odkryte i do Warszawy odesłane. Wszystkie papiery X. Biskupa natychmiast starannie przejrzane były osobiście tak przez hr. Berga, jak p. Muchanowa, i z nich wszystko, co mogło rząd, a szczególnie tych dwóch panów kompromitować wobec historyi, starannie usuniętem zostało. Resztę papierów p. Muchanow, parę dni potem zaprosiwszy do siebie hr. Tomasza Łubieńskiego, mu je oddał, na kopercie jeszcze dzisiaj są słowa: »*rendre au Comte Thomas*«, ręką hr. Berga, a równocześnie mu oświadczył, iż Biskup wywiezionym zostaje do miasta Permu.

W Grodnie X. Biskupa umieszczono w pokoju bez drzwi na korytarz, a obydwa pokoje obok zajęte były przez żandarmów. X. Biskup odmówiwszy brewiarz, prosił o zawo-

łanie swego służącego, pułkownik odmówił, na to X. Biskup natychmiast kazał siebie słuchać w słowach tak stanowczych, że żandarm przywołać kazał Leona. Tak wtenczas, jak zawsze potem, gdy Leon wychodził od X. Biskupa, natychmiast cały był przeszukany przez żandarmów, szukających na nim listów.

Na drugi dzień, we wtorek, rano wyjechali koleją petersburską: X. Biskup z pułkownikiem pierwszą, Leon z dwoma żandarmami trzecią klasą. Na każdej stacyi, gdzie pociąg się zatrzymywał, żandarmerya i policya miejscowa, telegrafem naprzód uwiadomiona, otaczała natychmiast wagon i pilnie go strzegła. W Wilnie wypadł obiad. Pułkownik przeprowadził X. Biskupa do osobnej sali, gdzie nikomu wejść nie było wolno. W Dynaburgu czekać potrzeba było całą noc, którą przepędzono na stacyi, na pociąg do Smoleńska i tutaj X. Biskup spotkawszy znajomego, jadącego z Petersburga do Warszawy, zdołał mu wsunąć do ręki świstek papieru, na którym ołówkiem napisał kilka słów pożegnania i błogosławieństwa dla swego ojca, braci, siostry i ciotki Augustowej Potockiej. Dodaje, że jest zupełnie zdrów i dobrej myśli, kończy zaś temi słowy:

»Dziękuję Bogu, i wy dziękujcie wszyscy, za swobodę ducha mego i wewnętrzną radość. Jestem głęboko przekonany, że wszystko, co mi się przydarzy, będzie dla mego dobra. Niech więc będzie chwała Bogu po wszystkie wieki wieków«.

Innych biskupów, jak Felińskiego, Popiela i t. d., wywożono przez Petersburg. Rząd obawiał się obecności X. Biskupa Łubieńskiego chociażby przez jedną noc w stolicy. To najlepsze świadectwo jego osobistej wielkości i jego wzięcia. Do Orła zatem zajechał X. Biskup dopiero 3 czerwca. Tutaj zanocował jedyny raz w całej podróży nie w hotelu, ale w jakimś domu prywatnym, do którego go zawiózł pułkownik Kurzelewski. Sam hr. Berg, już po śmierci X. Biskupa, powiedział hr. Tomaszowi, że to właśnie w Orle zjadł kompot z pomarańcz, który własną ręką przygotował mu pan pułkownik, i który miał być przyczyną natychmiastowych wymiotów i późniejszej choroby.

Pomimo tego, puścili się w dalszą drogę z Orła i 4-go czerwca stanęli w Moskwie w hotelu Dusseau. X. Biskup czuł się bardzo chorym, prosił o doktora i błagał o księdza. Pułkownik odniósł się do miejscowych władz, a te telegraficznie zapytały się ministra w Petersburgu, co wypada uczynić, ale otrzymano rozkaz niezwłocznej dalszej podróży do miejsca przeznaczenia, do dalekiego jeszcze Permu.

Dlatego władze miejscowe zmusiły X. Biskupa na drugi dzień, 5-go czerwca, opuścić Moskwę, ażeby tego kłopotu się pozbyć, i tegoż dnia dowlekli go do Kowrowa, gdzie też na samej stacyi musiał przenocować. Jeden mieszkaniec Kowrowa opowiadał nam potem, że był wtenczas w mieście i słyszał jak wszyscy opowiadali, że bardzo ciężko i niebezpiecznie chorego biskupa katolickiego wiozą na wygnanie, ale nie można było żadnej jemu usługi, ani pomocy oddać, ani nawet do niego się zbliżyć, tak szczelnie od świata całego policya i żandarmerya go oddzielała.

Dnia 6-go czerwca dojechał X. Biskup do Niżnego Nowogrodu i znowu na stacyi w poczekalni go położyli na nocleg, ale już tak był ciężko słabym, że pułkownik odniósł się znowu telegraficznie do Petersburga, i otrzymał rozkaz zatrzymania się. Na drugi dzień zatem przewiózł X. Biskupa na drugą stronę Wołgi do samego miasta i stanął w hotelu Kama. X. Biskup nie przestawał prosić o księdza i lekarza, jednak mu to stale zostało odmawiane, ale tymczasem choroba ta rozeszła się w sferach urzędowych, wypadało zrobić z tego raport najjaśniejszemu panu, który też wydał rozkaz, ażeby wszelkich użyć środków, ażeby X. Biskupa przy życiu utrzymać. Dopiero po odebraniu tego najwyższego rozkazu, pułkownik przywołał lekarza Stürmera, a dwa dni przed śmiercią na konsylium doktorów von Puteren i Esche.

Po śmierci X. Biskupa ci doktorzy, na rozkaz miejscowego gubernatora, spisali protokół o chorobie, który widocznie był potrzebny dla raportu urzędowego do władz wyższych, a może i samego cesarza. Kopia tego raportu przez Kurzelewskiego została skwapliwie oddana hr. Tomaszowi, na dowód, że to był tyfus. Nie warto oczywiście powtarzać

treści onego, który w warunkach, w jakich był spisanym, na żadną nie zasługuje wiarę, a który przytem wygląda na odpis z pierwszego lepszego podręcznika lekarskiego, opisującego symptomata zwykłego tyfusu brzusznego. Taki sąd o nim wydał stary, wzięty i doświadczony lekarz. Podnieść jednak musimy w tym raporcie dwa punkta, a mianowicie:

1⁰, że doktorzy sądząc, że to może być gorączka tyfoidalna, mówią otwarcie, że nie wiedzą co to za choroba;

2⁰, że kilkakrotnie wspominają o bezskuteczności środków lekarskich, ale nie wymieniają, jakie środki lekarskie używanymi były.

Dla większej wagi i wiary, gubernator rozkazał podpisać ten protokół wicekuratorowi kościoła katolickiego, X. Orlickiemu. Miejscowego wicegubernatora, barona Fridericksa, także jest podpis na protokóle.

Sam jednak pułkownik żandarmeryi i kucharz Leon zeznali w Warszawie, że dopiero w wilię śmierci powołany został tenże X. Orlicki do hotelu z Panem Jezusem i olejami świętymi. Cóż wobec tego mógł mieć za znaczenie podpis księdza na protokóle, który mu kazano podpisać. Gdy wszedł, zastał chorego zupełnie przytomnego, ale który miał tak strasznie spalony język, iż przez to mowa była mu odjętą. Słaby rozpłakał się na widok kapłana, wziął go za głowę i do piersi przycisnął, i krzyż nad nim zrobił. Spowiadać się już nie mógł, ani przyjąć Ciała i Krwi Pańskiej, ale znakami zewnętrznymi okazywał największą skruchę, bijąc się ciągle w piersi i obfite łzy wylewając. Gdy przyszło udzielić mu olejów św., ksiądz chciał namaścić wewnątrz dłonie, chory zaś ciągle odwracał rękę i pokazywał, że na zewnątrz ręki dać je należy, taki jest bowiem przepis co do udzielania kapłanom i biskupom ostatnich olejów św. To dopiero dało do myślenia X. Orlickiemu, że miał przed sobą biskupa katolickiego i dlatego trzy całe godziny przy chorym zabawił, ażeby go obecnością swoją i pociechą religijną pokrzepić.

Podczas całej w Niżnym Nowogrodzie choroby, opowiadał kucharz Leon, że żandarmi nikogo nie dopuszczali

i dzień i noc stał jeden z nich w pokoju chorego, tak, że nawet podczas pobytu księdza z Panem Jezusem, z największą trudnością na ten czas zdołano go usunąć. X. Biskup miał być prawie ciągle w czasie choroby przytomnym, ale widocznie ogromne cierpienia wewnętrzne znosił, bo gwałtownie na łóżku się przewracał. Zapytany przez Leona, czy ma telegrafować do jego ojca, hr. Henryka, nie mógł już odpowiedzieć, tylko łzy mu po policzkach pociekły i zrobił znak krzyża św. w powietrzu. Ciągle przytem widocznie po ruchu ust musiał się modlić, a ostatnią noc całą, zupełnie będąc przytomnym, bez ustanku trzymał w ręku krucyfiks, całował go i oczy do nieba podnosił. Nareszcie o 7-ej godzinie rano dnia 16 czerwca 1869 r. całkiem spokojnie, ze złączonemi rękami i krzyżem w nich, Bogu ducha oddał.

Pogrzebem zajęło się duchowieństwo miejscowe, a mianowicie X. Leszczyński, proboszcz i X. Orlicki, wikary. Zwłoki po śmierci ubrane zostały i wystawione w hotelu w aparatach kościelnych, które X. Biskup miał ze sobą, z infułą na głowie i pastorałem w ręku, które wyjęto z jego szkatuły biskupiej. Czy naumyślnie księża miejscowi to uczynili, czy też przypadek to zrządził, dosyć, że wzięto do pogrzebu ornat i ubiory nie fioletowe, podług przepisu kościelnego, ale koloru czerwonego, jakby dla męczennika. Zwłoki jego złożono na cmentarzu katolickim miejscowym, a proste, tymczasowe sztachety i krzyż drewniany, z krótkim napisem, oznaczają, gdzie leżą prochy tego wielkiego sługi Bożego.

Zaraz na drugi dzień po śmierci, hr. Berg przysłał do hr. Tomasza adjutanta swego z tą wiadomością. Hr. Tomasz zatelegrafował zaraz do gubernatora w Niżnym Nowogrodzie, prosząc go, ażeby rozkazał przedsięwziąć środki umożliwiające przewiezienie zwłok i tymczasowy tylko pogrzeb, po otrzymaniu na to pozwolenia od ministra. Zatelegrafował również do ministra spraw wewnętrznych, prosząc go, ażeby przesłał potrzebne na to rozkazy do Niżnego Nowogrodu, ponieważ familia ma zamiar sprowadzić ciało Biskupa do kraju. W odpowiedzi na to, Muchanow uwiadomił nazajutrz hr. Tomasza, że miał telegram od wicegubernatora z Niżnego



CONSTANTIUS IRENAEUS

COMES POMIAN

ŁUBIEŃSKI,

N. VARSAVIAE 19. FEBR. 1825.

M. N. NOWOGOROD 16. JUNII 1869.

M. C.

Nowogrodu, do namiestnika w Królestwie, hr. Berga, donoszący mu, »że miejscowe duchowieństwo uznało, iż złożenie ciała czasowe nie jest możliwe, ale że w przypadku otrzymania pozwolenia na przewiezienie go, możliwą będzie ekshumacya i że ceremonia pogrzebowa właśnie się rozpoczynała«.

W parę tygodni potem, przyjechał do Warszawy cesarz Aleksander II. w towarzystwie ministra spraw wewnętrznych, Timaszewa, którego hr. Tomasz bardzo dobrze znał z Petersburga. Hr. Tomasz zatem udał się do ministra osobiście i chciał mu wręczyć prośbę o pozwolenie sprowadzenia zwłok X. Biskupa czy to do Sejn, gdzie w lewej nawie kościoła katedralnego pragnął być pochowynym, czy też przynajmniej do rodzinnych grobów w Wiskitkach. Minister Timaszew radził hr. Tomaszowi, ażeby takiej prośby nie podawał, ponieważ musiałaby się spotkać z odmową. Ceremonia taka mogłaby bowiem spowodować jakieś manifestacye albo nieporządki, których rząd musi unikać. Prosił zatem, ażeby całą rzecz na później odłożyć, a hr. Tomasz przyjmując tę odpowiedź do wiadomości, zastrzegł sobie wolność ponowienia tej prośby. Dlatego też skromny nagrobek nie został dotychczas zastąpiony innym, trwalszym i godniejszym, bo rodzina nie traci nadziei uzyskania pozwolenia na przewiezienie jego zwłok do kraju[1]), aczkolwiek poważne także bardzo głosy odzywają się za zostawieniem ciała tam, gdzie sama Opatrzność jego przywiodła. Apostołowi nawrócenia Rosyi do jedności wiary i posłuszeństwa bezwzględnego względem Stolicy Piotrowej, należy się może spoczywać w samym środku cesarstwa, bo *Sanguis martyrum, semen christianorum*, — krew męczenników, to nasienie wiernych.

Hr. Henryk Łubieński, ojciec X. Biskupa, złamany wiekiem 80-cio letni starzec, tracąc największą swoją z tym

[1]) Autor dodaje dnia 29 listopada 1897 r. uwagę następującą: »Straciwszy zaś tę nadzieję sprowadzenia zwłok do kraju, zrobiono składkę i wystawiono na miejscu, gdzie padł, załączonej tu podobizny pomnik kamienny«.

synem chwałę, takiemi treściwemi, podniosłemi, prawdziwie Tacytowskiemi słowy donosi o tem Bodenhamowi do Rzymu.

»Warszawa, 18 czerwca 1869.

Mój Kochany Karolu!

Kiedy ostatni Twój list otrzymałem, Konstanty żył jeszcze, teraz już otrzymał swoją nagrodę, jeżeli Pan Bóg raczył przyjąć to, co uczynił dla Jego chwały i dobra Kościoła«.



Rozdział XIX.

DOWODY OTRUCIA

X. biskup Łubieński nie był ani pierwszym, ani ostatnim polskim biskupem, wywiezionym przez rząd rosyjski. Poczet ich, zaczynając od biskupa Sołtyka a kończąc na biskupie wileńskim Hryniewieckim, jest zbyt długi. Wszyscy jednak, po dłuższem lub krótszem wygnaniu, powrócili jeżeli nie do swoich dyecezyi, to przynajmniej do kraju lub do wolności. Dwóch w tym, wiek jeden obejmującym czasie, nietylko że nie powróciło, ale nawet nie dojechało na miejsce swego przeznaczenia, to jest: X. biskup Kaliński, przedostatni unicki biskup chełmski, i X. biskup Łubieński. Pobyt obu na wygnaniu mógł był stać się dla rządu kłopotliwym. Pierwszego, jako biskupa obrządku wschodniego a jednak katolickiego, w pośród ludności prawosławnej albo rozkolniczej, w kraju, gdzie od cesarzowej Katarzyny nie wolno jest wymieniać słowo unii. Drugiego z powodu jego ogólnie uznanego rozumu, pomysłowości, przedsiębiorczości i odwagi. Jeżeli się czuł swobodnym w Kursku, Charkowie i Rewlu, o ile więcej byłby sobie pozwalał będąc biskupem. Dla tego co do obu podniosły się zaraz podejrzenia, że nie zeszli z tego świata śmiercią naturalną, tem więcej, że jest ogólne przekonanie, że tenże sam oficer żandarmów Kurzelewski obydwom towarzyszył w podróży, to też jeden miał zginąć od uduszenia, drugi od trucizny.

Wielką ma wagę prawdziwość starego przysłowia: Vox populi, vox Dei. Jest to coś nieuchwytnego w powietrzu, które przekonanie ogółu raczej czuje, aniżeli dowieść może, które, jako instynkt w człowieku, nie umie słowami się wytłómaczyć, ale nigdy prawie nie zawodzi. Otóż ten głos opinii publicznej na wieść o śmierci X. Biskupa, wszędzie, tak na miejscu jego zgonu, jak na ostatnich krańcach Europy, zaraz i zgodnie wyrzekł tylko jedno słowo — otruty. Na miejscu w Niżnym Nowgorodzie, gdzie, jak widzieliśmy, nikt do niego nie był dopuszczonym, posłuchajmy pierwsze onego świadectwo. Obywatel z litewskiej gubernii N. tak fakt ten opowiada:

»Rozeszło się po mieście, że X. biskup Łubieński przyjechał do Niżnego Nowgorodu. Poszło nas 3 czy 4 oddać mu nasze ukłony, a zamieszkał w hotelu przy ulicy Pokrowa. Żandarm, który z nim jechał, nie dał nam wejść, mówiąc: że Biskup jest chory. Pytał się, kto jesteśmy i co chcemy. My zaś nie chcieliśmy oczywiście powiedzieć, że jesteśmy politycznie zesłanymi i mówiliśmy tylko, że jesteśmy mieszkańcami miasta. Chcąc koniecznie przystęp uzyskać, udaliśmy się potajemnie do lokaja Biskupa. Ten okropnie był zmięszanym, mówił, że nie wie, co się jego panu stało, że zdrów był jeszcze niedawno, a teraz tylko woła w wielkich boleściach: Jezus, Marya, Józef! Głos jego słyszeliśmy. Na to nadszedł żandarm, i już dalej o dopuszczeniu nas nawet przez lokaja nie mogliśmy się starać. To było około południa, po południu nad wieczorem podobno umarł. Zaraz się to rozniosło po mieście, i mówiono, że księża z Moskwy licznie się zjadą na pogrzeb. My z rodakami, a było nas ze 300 tamże, naradziliśmy się, czy wystąpić czy nie, ja byłem za tem, ażeby wystąpić na pogrzebie i w kościele. Ale większość przeważyła za tem, żeby nie brać udziału w pogrzebie, jako protest za ten czyn haniebny. Tak się też stało. Z Moskwy nikt nie przyjechał. Ciało nie było wystawione w kościele, za trumną szedł tylko wicegubernator, policmaister, żandarmerya i policya, a cała katolicka ludność stała nawpół w drzwiach, nawpół na ulicy, i pocichu mo-

dliła się za niego. Każdy był przekonany w mieście, że on był otrutym«.

Oto świadectwo na miejscu natychmiast po wypadku zebrane. Wskutek czujności straży nikt nie wiedział dokładnie, kiedy nawet do miasta zajechał i kiedy umarł, ale powód śmierci był już na ustach wszystkich.

Ale pogłoski te przedewszystkiem od samych Rosyan wychodziły i wiarę w nich znajdywały. Żyją dotychczas ludzie, którzy byli świadkami, jak w klubie Myśliwskim warszawskim rozmawiało dwóch moskali ze sobą. Otóż jeden z nich, świeżo z Petersburga przybyły, opowiadał drugiemu, że cesarz miał powiedzieć: »Ach, kiedyż mnie uwolnią od tego biskupa Łubieńskiego« i że zaraz potem wyjechał z Petersburga ktoś, przez niego po cichu wymieniony, z odpowiednymi rozkazami. W umysłach Rosyan pozbywanie się ludzi dla racyi stanu, uchodzi za rzecz bardzo pożyteczną, a nawet konieczną. Historya wielkorosyjska na każdej nieomal kartce daje tego dowody, a naprzykład hrabia, późniejszy książę Orłów, miał przez długi czas reputacyę ustaloną, doskonałego wykonawcy tego rodzaju wyroków.

Nie wspominamy już tutaj o rozlicznych pogłoskach rozmów wysoko postawionych dam z wyższymi urzędnikami i ambasadorami rosyjskimi zagranicznymi; niechcąc proste może salonowe bajki na tak poważną drogę sprowadzać, dlatego przejdziemy odrazu do klasycznego świadka kucharza Leona.

W kilka tygodni po śmierci X. Biskupa zjawił się u hr. Tomasza Pułkowskiego Kurzelewski, ażeby mu zwrócić rzeczy pozostałe po X. Biskupie: kufry, srebra, ubrania i t. d. Nie kazał sobie zapłacić za transport tych rzeczy napowrót, nie wspomniał także o kosztach pogrzebu, ale nie oddał wprawdzie także pieniędzy po X. Biskupie pozostałych, aczkolwiek wiadomem jest, że miał prawie tysiąc rubli przy sobie w dzień wyjazdu. Na zapytanie, dlaczego tak długo nie przychodził, odpowiedział, że czas dłuższy dla interesów służby w Petersburgu bawił i że dopiero co powrócił. Na pytanie, co się stało z Leonem kucharzem, odpowiedział, że

jest i że go tu przyszle. Pan pułkownik Kurzelewski był wysoki dosyć, silny brunet, niezmiernie odrażającej powierzchowności.

Po paru dniach zjawił się u rodziny Leon, kucharz. Wrażenie, jakie zrobił na wszystkich, było niezmiernie straszliwe. Nasamprzód opowiedział każdemu z osobna jedno i to samo zupełnie dosłownie, widocznie coś, czego nauczył się był na pamięć. Powoli jednak w ogniu najrozmaitszych pytań zdradzał się w każdem słowie. A zatem przyznał się, że już od kilku tygodni siedzi w Warszawie, zamknięty w Mirowskich koszarach u wachmistrza żandarmów, który razem z nim jeździł z X. Biskupem. Że dlatego nie przychodził, bo mu nie było wolno na miasto wychodzić, i dlatego, bo się bał. Czego? Ciągle kładł nacisk na to, że to nie on w Orle przygotował kompot z pomarańcz podany X. Biskupowi, ale go sporządził sam Kurzelewski. Dalej powiedział, że X. Biskup wewnętrznie okropnie cierpiał, miał język i usta strasznie obłożone, że zaraz po śmierci wargi mu zupełnie zczerniały, i że pastorał w tem miejscu, w którem, leżąc w trumnie, w ręku go trzymał, także zupełnie zczerniał. Wracając z żandarmami przez Petersburg, gdzie bardzo krótko się zatrzymali, przeciwnie temu, co powiedział Kurzelewski, zaczął się także czuć nie zupełnie zdrów i nawet dostał wymiotów, ale zaraz wypił dużo mleka, i teraz wyłącznie żyje mlekiem, które sam sobie kupuje. Rodzina przez wzgląd na jego dawne i obecne zasługi koniecznie chciała go dalej w służbie u siebie zatrzymać. Najbogatsi jej członkowie, jak pani Róża z Łubieńskich Sobańska i majętny bardzo stary kawaler Stanisław hr. Łubieński, oprócz innych członków rodziny, ofiarowali mu u siebie miejsce, chleb łaskawy, na takich warunkach, jakieby on sam sobie wyznaczył. Niczem jednak do tego nie dał się nakłonić, niechętnie odebrał resztę pensyi, co mu się należała, wyjechał na jakąś małą służbę na prowincyę; a gdy po niejakim czasie rodzina znowu pragnęła go do siebie przygarnąć, znalazła, że wszelki ślad po nim zaginął. Nie można go było na żaden sposób odszukać.

W parę miesięcy po śmierci X. Biskupa pani Róża So-

bańska spędzała zimę z 1869—70 w Rzymie i tam uzyskała prywatną audyencyę u Ojca św. wraz z Karolostwem Bodenhamami i ś. p. Bronisławem Skarżyńskim. Pius IX w ciągu rozmowy dowiedziawszy się, jak bardzo blizkie stosunki pokrewieństwa łączyły wszystkich obecnych z X. Biskupem, rzekł do nich: »Winszuję wam, iż macie w niebie krewnego »męczennika. Posyłałem na miejsce dla zbadania okoliczności »tej śmierci, która już dla mnie żadnej wątpliwości nie przed»stawia«.

Nie było to wypowiedzenie *ex cathedra,* jednak sądzimy, że człowiek na tem stanowisku nie zwykł wyrażać się w sposób tak dobitny i tak stanowczy, chyba, że ma do tego zupełne prawo, zbadawszy całą prawdę podniesionego przez siebie przedmiotu.

Wszystkie powyżej przytoczone dowody są bardzo poważne, cały tok opowiadania zdradza tajemniczość całej tej sprawy. Pewności jednak zupełnej mogłoby dostarczyć przyznanie się do winy Kurzelewskiego, żandarma, albo chemiczny rozbiór. Pierwszego trudno uzyskać, bo nie wiemy nawet, czy ten nieszczęsny oficer jeszcze żyje, lub czy przed śmiercią uczynił wiarogodne zeznanie, ale za to drugi dowód, chemiczny rozbiór, przed nami leży.

Wspominaliśmy już, że X. Biskup posiadał w spadku po swoim stryju X. biskupie Tadeuszu Łubieńskim duży kufer z tak zwanemi srebrami biskupiemi. Jest tam krucyfiks, lichtarze, ampułki, naczynia do olejów świętych, duży dzbanek i miska do mycia rąk, pastorał rozkręcony na części i tem podobne rzeczy, wszystko ze srebra, pozłacane. Gdy zwłoki X. Biskupa ubrano po śmierci w ornat i infułę, dano mu także do ręki ten jego pastorał, który potem znowu rozkręcono na kawałki i napowrót do kufra schowano. Cały kufer ze srebrami pułkownik Kurzelewski odwiózł do Warszawy i rodzinie oddał. Rodzina dała go do przechowania ś. p. Julianowi hr. Łubieńskiemu, bratu X. Biskupa, dopóki za zmiłowaniem Opatrzności i łaską stolicy apostolskiej piętnasty z rzędu X. biskup Łubieński nie będzie może ich potrzebować. Po śmierci ś. p. Juliana mnie, autorowi tej książki,

drogi ten depozyt oddano, ja go zaś zostawiłem w dalszem przechowaniu w Banku Handlowym warszawskim, gdzie też cały ten kufer nie ruszany od chwili jego przyjazdu z Niżnego Nowogrodu, aż do tego roku leżał. Tego roku dopiero z tego depozytu go wyjąłem, a otworzywszy kufer, zauważyłem tę część pastorału, którą w ręku X. Biskup w trumnie leżąc trzymał, pokrytą czarną powłoką, podług tradycyi w rodzinie i jak Leon, kucharz, opowiadał. Ażeby zatem nie zostawić żadnej pod tym względem wątpliwości, wziąłem ten kawałek pastorału i zawiozłem go za granicę do bardzo poważnej pracowni chemiczno-technicznej, gdzie nikt ani mojej osoby, ani nazwiska, ani historyi całej nie znał, i prosząc o rozbiór tego nalotu, następującą niewinną bajeczkę opowiedziałem, ażeby w niczem się nie zdradzić i bezwzględną prawdę uzyskać.

Opowiedziałem więc, że przed 30 prawie laty umarł jakiś pan, który miał ulubioną laskę, której część oto przynoszę, i że tę laskę w czasie wystawienia jego ciała w trumnie dano mu do ręki. Że była wprawdzie pogłoska, iż ten pan został otrutym, ale ja w to nie mogę wierzyć, dawne to dzieje, zresztą dochodzenia żadnego broń Boże nie chcę uczynić, tylko ciekaw jestem, z czego te plamy mogą pochodzić. Dodałem, że od czasu pogrzebu laska ta spoczywała nieruszana w kufrze, i że inne części tejże laski bardzo długiej, które się nie dotykały ręki nieboszczyka, pierwotny kolor swój zachowały. Prosiłem o wypisanie mi dokładne całego badania, i oto dokument, który mnie po trzech tygodniach wręczono:

»Pracownia chemiczno-techniczna panów N. i N., inżynierów-chemików. Ulica N., nr. 15. Telefonu nr. 1.234«.

Nro 273. Miasto N., 16 czerwca 1894 r.

»Niniejszem podajemy rezultat rozbioru chemicznego nalotu na powierzchni laski srebrnej, dostarczonej do pracowni naszej w celu zbadania istoty nalotu.

Laska dostarczona okazała się srebrną, słabo pozłoconą, na powierzchni przedstawiała mnóstwo plam w postaci nalotu barwy ciemnej, prawie czarno-brunatnej, przy-

czem nalot ten w niektórych miejscach był grubszym, w niektórych cieńszym, w kilku zaś miejscach powierzchnia była wolną zupełnie od nalotu. Laska w środku była pusta i posiadała na obu końcach gwinty, jeden zewnętrzny, drugi wewnętrzny. Niedaleko od końca, gdzie się znajdował gwint wewnętrzny, w blizkości wypukłego wianuszka z liści i kwiatów, znajdowały się wycięte litery STM i ponad niemi niewyraźny mały stempel, widocznie próba srebra. Długość laski wynosiła 565 milimetrów, średnica zewnętrzna ca. 29 mm. W celu możliwie dokładnego zdjęcia nalotu do badania chemicznego, wypróbowaliśmy na małej powierzchni najodpowiedniejsze odczynniki i okazało się, że polewając powierzchnię laski strumieniem chloroformu nad miseczką porcelanową, część nalotu grubszego oddziela się i spływa do miseczki w postaci blaszek ciemno-szarych, prawie czarnych. Tym sposobem otrzymaliśmy część nalotu z powierzchni, którą przeznaczyliśmy do badania, a mianowicie od końca gwinta zewnętrznego na długość ca. 270 mm. Nalot ten, otrzymany przy użyciu chloroformu, zebraliśmy do małej parowniczki porcelanowej, odparowaliśmy chloroform na słabo podgrzanej kąpieli wodnej i otrzymaną pozostałość zachowaliśmy do badania.

Ponieważ za pomocą chloroformu tylko najmniej przystające cząstki nalotu oddzieliły się od powierzchni, pozostałą więc jeszcze przeważną część nalotu ściągnęliśmy za pomocą wodnego roztworu cyjaszku potasu chemicznie czystego, polewając roztworem tym powierzchnię laski, trzymanej nad miseczką porcelanową. Nalot natychmiast odstawał i spływał do podstawionej miseczki, odsłaniając czystą powierzchnię pozłoconej laski. Po obmyciu wodą powierzchni laski, z której ściągnęliśmy nalot, pozostałą powierzchnię pozostawiliśmy nienaruszoną do ewentualnych dalszych badań. Nadmieniamy przytem, że nalot, pozostawiony przez nas na lasce, jest znacznie słabszym od tego, jaki ściągnęliśmy do badania.

Tym sposobem otrzymaliśmy nalot nr. I ściągnięty cyjankiem potasu i nalot nr. II ściągnięty chloroformem.

Z otrzymanymi nalotami postępowaliśmy w następujący sposób: do roztworu w cyjanku potasu dodaliśmy kilka kropli bromu, odparowaliśmy na kąpieli wodnej, pozostałości rozpuściliśmy w wodzie, odfiltrowaliśmy osad bromku srebra, a filtrat [1]) strąciliśmy czystym siarkowodorem. Osad od siarkowodoru odfiltrowaliśmy i badaliśmy go, z czego okazało się, że zawiera on srebro, złoto i miedź; filtrat zaś od siarkowodoru ogrzewaliśmy na kąpieli wodnej w celu wydalenia nadmiaru siarkowodoru, następnie dodaliśmy amonu i mikstury magnezyowej; wtedy utworzył się osad bezbarwny krystaliczny, który po 12 godzinach w zupełności osiadł na dnie zlewka, pozostawiając także część kryształków, przyczepionych do ścianek zlewka. Kryształki, badane pod mikroskopem, okazały budowę właściwą soli podwójnej, arsenianu, magnezu i amonu. Że tak jest istotnie, przekonaliśmy się w następujący sposób: osad arsenianu, magnezu i amonu odfiltrowaliśmy, przemyliśmy, rozpuściliśmy w kwasie solnym, filtr przemyliśmy dobrze wodą, dodaliśmy nieco kwasu siarkowego w celu redukcyi kwasu arsennego, odparowaliśmy nadmiar kwasu siarkowego, wreszcie mniejszą część roztworu tego badaliśmy w aparacie Marsh'a i otrzymaliśmy wyraźne zwierciadło arsenowe, większą zaś część tego roztworu strąciliśmy czystym siarkowodorem, powstały osad żółty po 12 godzinach odfiltrowaliśmy, przemyliśmy, rozpuściliśmy na filtrze w amoniaku, filtr przemyliśmy słabym amoniakiem, dodaliśmy do roztworu nieco węglanu sodu i odparowaliśmy do sucha na kąpieli wodnej. Pozostałość zmięszaliśmy w przybliżeniu z 10 częściami mieszaniny suchej, z 3 częściami węglanu sodu i z 1 częścią cyjanku potasu, obu soli chemicznie czystych, wprowadziliśmy do rurki o średnicy 8 mm, wyciągniętej z jednego końca, i połączywszy rurkę z aparatem, w którym się wydzielał kwas węglany, suszony przez słój czystego kwasu siarczanego, podgrzewaliśmy najpierwej

[1]) Niewielką część filtratu badaliśmy w roztworze, zakwaszonym kwasem solnym zapomocą chlorku bazytu, i okazało się, że zawiera on trochę kwasu siarczanego, a więc w nalocie znajduje się również nieco siarku srebra.

bardzo słabo w celu wydalenia resztek wilgoci, wreszcie nagrzaliśmy część rurki z przodu, t. j. od końca wyciągniętego, do czerwoności. Wtedy za pomocą drugiego płomienia zaczęliśmy ogrzewać mieszaninę w rurce, bacząc, aby prąd kwasu węglanego był bardzo powolny (1 bąbelek gazu co 1 sekundę), natenczas w części zwężającej się rurki zaczęło się tworzyć charakterystyczne zwierciadło arsenowe, które, oznaczone nr. I, dołączamy do niniejszego opisu analizy [1]). Ponieważ w tych warunkach żadne inne ciało, a nawet antymon nie daje zwierciadła, stąd dowód niezbity, że badany nalot z laski zawiera arsen. Postępując w taki sam sposób z nalotem nr. II, t. j. otrzymanym przy użyciu chloroformu, otrzymaliśmy wszystkie powyżej wymienione odczyny, a także i zwierciadło arsenowe, które, oznaczone nr. II, dołączamy również do opisu analizy. Ponieważ osady otrzymane, jakoteż zwierciadła są bardzo silne, nalot więc badany posiada bardzo znaczne ilości arsenu, prawdopodobnie złączonego z aliażem srebrnym.

W końcu zamieszczamy parę uwag co do możliwości wytworzenia się nalotu na lasce. Oddawca laski w celu poddania badaniu chemicznemu nalotu wytworzonego na niej, objaśnił nas, że laskę powyższą w stanie czystym, niezczerniałym dano w ręce osobie, która po krótkiej chorobie zmarła i zwłoki której zaraz po śmierci uległy bardzo szybkiemu rozkładowi. Laska ta znajdowała się w rękach zmarłego w przeciągu trzech dni i ta część jej, która znajdowała się bezpośrednio nad zwłokami resp. w rękach, bardzo zczerniała. Znaną jest własność związków arsenu, że pod wpływem wilgoci, a szczególniej gnicia ciał organicznych, w których się znajdują, zamieniają się w lotny gaz arsenowodor, który znowu w zetknięciu z metalami, jak srebro, miedź itp., wytwarza na nich naloty ciemne, tworząc z nimi rodzaj aliażu arsenowego, jak o tem doświadczalnie mieliśmy sposobność się przekonać.

---

[1]) Podczas tej czynności ze zwężonego końca rurki dobywał się biały dym o wyraźnym zapachu czosnku.

W danym więc wypadku, jeżeli pewną jest rzeczą, że nalot powstał rzeczywiście podczas znajdowania się laski w rękach zmarłej osoby i w stanie tym został dostarczony do badania, to powstanie czernienia na lasce można sobie wytłómaczyć tylko tem, że do organizmu osoby zmarłej wprowadzono większą dawkę arszeniku.

(Podpisano) *per procuram*

N. N., inżynier-chemik«.

»NB. Do opisu niniejszego dołączają się dwa zwierciadła arsenowe, otrzymane z nalotu na lasce.

»Mając niewielką ilość nalotu do analizy, najlepsza metoda do wykrycia arsenu jest następująca: Nalot, ściągnięty za pomocą cyjanku potasz w wodnym roztworze, odparowuje się w małej parowniczce porcelanowej na kąpieli wodnej, z dodatkiem nieco węglanu sodu. Po odparowaniu do sucha i wysuszeniu w suszarce przy 110 C., dodaje się znowu trochę zupełnie suchego węglanu sodu, wprowadza do rurki z końcem zagrożonym i wiadomym sposobem ogrzewa w prądzie kwasu węglanego. Przytem baczną uwagę zwrócić należy na to, aby prąd kwasu węglanego był bardzo słabym (jeden bąbelek gazu co 1 sekundę). Zresztą postępować według Tresennisa »Anleitung für Qualität Analise«.

Chemik, oddając ten dokument z dwoma zwierciadłami arsenowemi, zrobił nam następujące uwagi: Nasamprzód, że na lasce jeszcze jest aż nadto tego nalotu, ażeby każden inny mógł powtórzyć i sprawdzić badanie, po kilka nawet razy. Że na podstawie tego już badania rozpocząćby można zaraz kryminalny proces. Że rozbiór swój zrobił, jak stoi wypisane, w podwójny sposób, ażeby nie zostawić żadnej wątpliwości co do istoty tego nalotu. Że nie pojmuje nareszcie, jak można było nieboszczykowi dać do ręki taki przedmiot, który odrazu zdradzić musiał powód śmierci: »Lecz kto nienawidzi brata swego, w ciemnościach jest i w ciemnościach chodzi, a nie wie, gdzie idzie, iż ciemności zaślepiły oczy jego«.

Z mojej strony nie potrzebuję dodawać, że w tej chwili, gdy to piszę, znam dokładnie całą odpowiedzialność wobec współczesnych i historyi, jaka na mnie spada, rozbierając tę

sprawę i stawiając tak ważne twierdzenia. Dlatego nie poczuwam się nawet do obowiązku odpierania zarzutów, które wybredna kazuistyka mogłaby podnieść, lub kręta sofistyka w pole dyskusyi wprowadzić. Działałem w najlepszej wierze na to jedynie, ażeby samą, całą tylko prawdę odsłonić, i jestem spokojny w sumieniu, że do niej dotarłem.

Rodzina, odebrawszy kufer ze srebrami od Kurzelewskiego, odrazu widziała ten czarny osad na pastorale, o którym Leon opowiedział; ale czasy wtenczas były tak okropne, przygnębienie takie ogólne, zresztą niemoc pojedynczej familii tak zupełna wobec kolosu cesarstwa i rządu rosyjskiego, że postanowiono przedewszystkiem milczeć i zdać sprawę na sprawiedliwy sąd historyi. Rosyanka jedna, bardzo wysoko w Petersburgu położona, zabrała zaraz potem umyślnie w Niżnym Nowgorodzie wszystkie szczegóły i listownie rodzinie je doniosła. List ten długi leży przed nami, a kończy się tak: »Doktorzy orzekli, że nie wiedzą, na jaką chorobę umarł. Wielki spokój rozlany był na jego twarzy. Mam nadzieję, że rozumiecie dobrze wszystkie poważne niebezpieczeństwa dla rodziny całej, gdyby te szczegóły były ogłoszone«. To są słowa Rosyanki. Dlatego na razie oddano cały kufer do depozytu prostego Banku handlowego.

Gdyby jakie zewnętrzne wpływy powodowały ten osad arszenikowy, dlaczegoż na wszystkich rzeczach, z tegoż samego metalu zrobionych a w kufrze się znajdujących ciągle razem, on nie powstał, a tylko na tem jednem miejscu, gdzie był ręką nieboszczyka trzymany?

To, że rząd oddał pastorał w tym stanie, da się bardzo łatwo wytłómaczyć. Gdy pastorał z rąk Biskupa odebrano, musiała to być chwila pogrzebu, zamięszania, pakowania, płacenia rachunków hotelowych, wyjazdu z powrotem. Gdzie w takiej chwili mogło przyjść komu na myśl oglądanie sreber, ażali niema śladów nalotu arsenowego. Na to trzebaby być skończonym chemikiem, ażeby taką okoliczność przewidzieć i ślady jej zatrzeć. Dosyć było bez tego do roboty, ażeby wszystkim wieściom i ogólnemu zgorszeniu przeciwdziałać.

Analiza chemiczna daje do myślenia, że w Orle, gdzie podług świadectwa wszystkich nastąpiły pierwsze wymioty i początek choroby, nie zadano X. Biskupowi odrazu wielkiej dawki trucizny, coby było natychmiastową śmierć sprowadziło, ale stopniowo jej dodawano. Tem się tłomaczą słowa, bezwiednie przez chemika napisane, że do »organizmu wprowadzoną została większa ilość arszeniku«. Organizm odrazu nie mógłby znieść większej dawki, powoli mógł być nim nasycony. Powiększało to cierpienie, myliło lekarzy, ale skutek robiło niezawodny.

Z początku rząd rosyjski starał się podsunąć myśl, że sam X. Biskup się otruł, albo że Leon, kucharz jego, to uczynił. Ale ta pogłoska zanadto była potworna i dlatego samego nie mogła ani na chwilę uzyskać wiary. Wszystkie zeznania i całe postępowanie Leona zdradzało aż nadto, że stał pod obuchem gróźb żandarmów, że sam o swoje życie się obawiał, że miał widoczny zakaz nie przyjmowania pod żadnym warunkiem służby u rodziny; aż nareszcie gdzieś przepadł jak kamień w wodę. Rząd także potem uporczywie milczał. Ustały ciągłe a dobre, towarzyskie przynajmniej stosunki z hr. Tomaszem. Muchanow został przerzucony aż do Kamieńca Podolskiego na gubernatora, gdzie niebawem życie zakończył. Hr. Berg unikał stosunków z rodziną i zamknął się w niedostępności wysokiego swego urzędu. Gazety zagraniczne katolickie z Ludwikiem Venillotem na czele publicznie rząd cesarstwa o to oskarżały, gazety żydowskie i masońskie lekko rzecz całą zbyły, albo zupełnie o niej przemilczały.

Wobec tej analizy chemicznej, tego dokumentu i całego toku sprawy, trudno jest mieć jakąkolwiek wątpliwość. Większej jeszcze pewności uzyskaćby można, gdyby rząd rosyjski dla swej obrony zezwolił na bezstronną analizę samych szczątek, ale zrobionej w odmiennych warunkach, jak protokół doktorski na rozkaz gubernatora podpisany. Na razie to, co mamy, zupełnie wystarcza i upoważnia tak opinię publiczną, jak mnie do stanowczego twierdzenia, że X. biskup Łubieński był przez rząd rosyjski arszenikiem otrutym.

Oczywiście nasuwa się pytanie, kto mógł nieludzki ten

wyrok wydać, czy w rozkazie wywiezienia X. Biskupa był także ten rodzaj śmierci wymienionym? Pióro nasze wzdryga się na samą myśl, że szlachetny zresztą umysł cara Aleksandra II mógł był temu podobny papier podpisać. Nie możemy podejrzywać o to ani ministra Timaszewa, tem mniej prawdziwego tyloletniego przyjaciela X. Biskupa, hr. Berga. Ależ od stu lat przeszło, od Krakowa po krańce wschodnie Syberyi, drogi zasłane są trupami rodaków i bieleją od kości naszych unitów. Niedalej jak zeszłego roku sprawa Krożów wystawiła znowu całemu światu postępowanie rządu rosyjskiego w właściwem a prawdziwem świetle. Może najwyższe władze państwowe wydając wyroki, nie wchodzą w szczegóły ich wykonania. Ale sam fakt, że niższe szczeble tejże władzy, za pełną wiadomością swych przełożonych, otrzymane rozkazy tak sobie tłomaczą i tak je wykonują, tem samem już na wszystkie władze zarówno spada odpowiedzialność, a wszystko to razem rzuca strasznie ponure, okropne grozą swoją światło na całe cesarstwo Wszechrosyjskie.

ROZDZIAŁ XX.

EPILOG.

Jakkolwiek treść cała naszego opowiadania, z powodu tła tego obrazu ze wszechmiar smutnego, a końca tak pod każdym względem smutnego, jednak z trudnością tylko przychodzi nam się od tej historyi oderwać. Postać bowiem środkowa tak jest ujmującą a ponętną, że człowiek radby jak najdłużej przy niej się zatrzymać. Pomimo tych licznych szczegółów, któreśmy musieli zamilczeć, tyle nazwisk, któreśmy musieli opuścić, wszystko wskazuje, jak wielką jest naszego bohatera postać, jak niezwykłej miary był to sługa Boży.

Od kolebki jaśnieje nad nim jakaś niewypowiedziana aureola, która niezwykłych rzeczy każe się po nim spodziewać. Z latami potężnieje on w naszych oczach, i coraz większe miejsce w historyi współczesnej zajmuje. Pomimo tego, że świata unika i chowa się przed nim na wygnaniu dobrowolnem w Kursku, a na przymuszonem w Charkowie, że ucieka przed godnością arcybiskupa do dalekiego Rewla i obiera najmniej znane i sławne biskupstwo sejneńskie, zagrzebane prawie w odwiecznych leśnych puszczach litewskich — Opatrzność, wypadki i ludzie za nim postępują i coraz wyżej go podnoszą. Życie jego działalności obejmuje czas od przyjazdu do Petersburga na stałe w r. 1855 aż do śmierci 1869, zaledwie lat 14, a jednak czas ten mu wystarcza, podług świadectw wszystkich, od monarchy zaczynając

aż do ostatniego biednego błąkającego się powstańca banity, ażeby zajął przeważne, dominujące stanowisko w narodzie, w państwie i w Kościele. Przewaga jego, otwartość i odwaga tworzą mu wielką moc nieprzyjaciół nietylko w szeregach, którzy odmiennych od niego byli przekonań, ale w bardzo znacznej liczbie także takich, którzy czując jego niesłychaną nad sobą wyższość, wiedzeni brudnem, ciasnem uczuciem zazdrości, niechętnie o nim się wyrażali, znajdując przynajmniej takie zadosyć uczynienie dla obrażonej miłości własnej. »Rzadko współcześni, powiedział Adam Mickiewicz, umieją ocenić ważność wypadków i wielkość ludzi ich otaczających. Trzeba więcej, niż talentu, żeby zrozumieć teraźniejszość, więcej, niż geniuszu, żeby przewidzieć przyszłość, kiedy tymczasem tak łatwo tłomaczyć przeszłość«. Anielską prawdziwie słodyczą zniewalał on coraz to swych przeciwników, goił rany zazdrosnych, chętnie dokoła rękę podając, każdemu najchętniej oddając usługi, będąc wszystkiem dla wszystkich. Aż nareszcie zgon jego jako grom spadł na wszystkich przyjaciół i nieprzyjaciół, drobne zazdrości i poważne zdań różnice wszystko wyrównał wobec majestatu śmierci, do ogólnego za nim żalu zmusił i do jednozgodnego hołdu dla jego wielkości, rozumu, odwagi, świętości i geniuszu przywiódł.

Rozglądając się w jego działaniu jako męża politycznego, w czasie, w którym występował, to jest od 1850 do 1870, na całym obszarze dawnej Polski, jednego tylko znajdujemy męża, który o lepsze może z nim iść w zawody, lub jemu dorównywuje, a tym był Agenor hr. Gołuchowski, minister i namiestnik Galicyi. Ten sam hart charakteru, jasność przekonań, rozległość stosunków, przewidzenie przyszłości, odwaga w zdaniu, wola nieugięta, wytrwałość niezłomna. Margrabia Wielopolski Aleksander o wiele niżej od niego stoi, bo niepohamowana pycha przeszkadza mu w jednaniu sobie ludzi, tworzenia sobie stronnictwa, czyni go niedostępnym, powiedzmy nieraz nieludzkim. Alfred hr. Potocki dorównuje mu tylko niezmiernym taktem, którym ten szlachetny prawdziwie mąż się oznaczał, i którym umiał sobie zjednać zaufa-

nie Korony, szacunek, poważanie i miłość współobywateli. Ale za to łagodność u tego męża stanu nieraz powodowała u niego ustępstwa, które już były tylko słabością charakteru, jak naprzykład w sprawie zerwania konkordatu ze Stolicą św., kiedy on był ministrem austryackim. X. Biskup nawet od hr. Gołuchowskiego jest wyższym pod tym względem, że posiadając wszystkie jego zalety, nie miał tej szorstkości w obejściu, którą były namiestnik nieraz ciężko grzeszył, że tylko łagodnością, perswazyą, miłością, pokorą przeciwników nawracał i zwalczał.

Rozpamiętywując zaś dzieje Kościoła polskiego od czasów rozbioru, otwarcie powiedzmy, że równego jemu nazwiska w episkopacie na jej kartkach zapisanego nie spotykamy. Opuśćmy nazwiska kardynałów Czackiego i Ledóchowskiego, którzy wyżej od niego hierarchicznie się wznieśli, bo aczkolwiek niezmierną dla Kościoła naszego są chwałą, ale pole ich prac tak przeważnie, jeżeli nie wyłącznie za granicami leżały, że do nas tylko sercem należą. Potężna postać motropolity Hołowińskiego, jedynego, który poczet arcybiskupów mohilewskich od czasu utworzenia tej dyecezyi własnemi zasługami opromienił, mogłaby mu pod niejednym względem dorównać, pomimo tej słabości do ludzi z literackiego świata, która go czyniła czasami nie dla wszystkich dostępnym. Jeden wszakżeż X. Biskup w tym wieku w Kościele polskim, w tak krótkim przeciągu czasu, wzniósł się z szeregów niższego duchowieństwa do godności pasterskiej, i zajął tak przeważne stanowisko w całym Kościele swoją niezmierną gorliwością, niezwykłym rozumem, pracami apostolskiemi około obrony praw Kościoła i zbawienia dusz jemu powierzonych. Ani dawnym pasterzom ujmy to nie przynosi, ani na żyjących polskich biskupów cienia krzywdy porównanie to rzucić nie może. Już Paweł św. pisał do wiernych: »Albowiem chcę, abyście wy wszyscy byli jako ja sam, ale każdy ma własny dar od Boga, jeden tak, a drugi tak«.

Przeznaczeniem każdego kapłana i biskupa, szczególnie u nas w Polsce, jest nauczać, cierpieć, umrzeć za wiarę. Są

to niejako stopnie, do których podług sił Opatrzność każdego duchownego naznacza, a zasługi jego wynagradza. Każdemu dane, przykazane jest nauczać i rozrzucać wokoło siebie iskry pochodni wiary. Powołanym tylko wolno jest sięgnąć po chwałę cierpienia i oblec sukienkę wyznawcy za wiarę. Ale pomiędzy tymi nawet powołanymi, ilu jest tych wybranych, którzy życiem, krwią swoją mogą przypieczętować swoje poświęcenie, swoje prace, swoje przekonanie, i dostąpić w Kościele tryumfującym w Niebiosach najwyższego miejsca po apostołach męczenników za wiarę. W Kościele polskim nigdy na tem nie zbywało. Nie potrzebowaliśmy jak Francuzi i inne narody szukać po to dalekich zagranicznych pomiędzy poganami Missyi. Od czasu pojawienia się Tatarów, to jest od siedmiu już wieków, aż do ich dzisiejszych mongolskich spadkobierców, do dni obecnych, każda piędź ziemi naszej obficie, bez przerwy i prawie rok rocznie krwią prawdziwie męczeńską zbroczoną bywa. Ale od początku tego wieku, oprócz biskupa Kalińskiego, jeden jedyny X. biskup Łubieński dostąpił niezrównanego szczęścia, że do tytułu wyznawcy Opatrzność raczyła mu dodać koronę męczeństwa. Musiały tam być niespożyte zasługi, nieznane ogółowi poświęcenia i prace, niezmierne wyrobienie wewnętrzne, które go wznosząc za życia już, ponad współczesnych dały mu także zasłużyć sobie w wiekuistej chwale przewodnie i wyższe nad innymi braćmi biskupami miejsce, tak jak mówi Psalmista: »A Tobie Panie miłosierdzie, bo Ty oddasz każdemu według uczynków jego«. A Paweł św. pisze: A każdy własną zapłatę weźmie według pracy swojej«.

Przywiedźmy na koniec dwa zdania, po śmierci jego wypowiedziane, od osób różnych położeniem, uczuciem i całym stanem swoim.

Pierwsza to niewiasta, stale prawie w Petersburgu zamieszkała, bardzo wysoko tam postawiona, długoletnia jego penitentka, wielkich cnót, rzadkiej pobożności i męzkiego rozumu osoba. Po otrzymaniu wiadomości o śmierci, pisze ona do hr. Tomasza list następującej treści:

Petersburg, 1 lipca 1869 r.

Drodzy, najdrożsi Przyjaciele!

»A więc to prawda. Bez waszego telegramu nigdy bym w to nie uwierzyła, tak serce moje nie chciało dać wiary tej okrutnej i bolesnej wiadomości.

A więc to prawda. Wyście stracili, drodzy przyjaciele, najlepszego krewnego. Ja największego przyjaciela, bo słodkiego przewodnika do Boga. Owczarnia straciła anielskiego swego pasterza, ziemia najlepszego człowieka. Ach! jakżeż to ciężko, mój Boże, jakżeż to ciężko.

Kielich jego goryczy był zanadto pełnym w ostatnich czasach. Jego piękna i szlachetna dusza była nią przesycona, i uciekła nam do swego Boga, którego tak kochała sama i tak wiele nauczała innych, ażeby go miłowali. Ale krople więcej jak gorzkie, które się z jego kielicha przelały, na nas nieszczęśliwych spadają. Panie zlituj się nad nami, i jeżeli ci się podobało powołać tak prędko naszego ukochanego ojca do niebieskich i szczęśliwych górnych krain, daj nam, błagam ciebie ze łzami gorącemi w oczach, odwagę i poddanie, jakie po takiem nieszczęściu są nam biednym sierotom potrzebne«.

Głos drugi jest poważniejszy.

Zaraz po otrzymaniu wiadomości o śmierci X. Biskupa, X. arcybiskup Feliński napisał do hr. Tomasza z Jarosławia, miejsca swego wygnania, list malujący całą boleść i zgrozę, jaką serce jego przejętem zostało. Gdy materyały i notatki do tego tu życiorysu wszędzie skrzętnie zbierane były, posłano je także do Dźwiniaczki w Galicyi, gdzie w domu zacnych hr. Koziebrodzkich czcigodny arcypasterz resztę dni życia swego spokojnie spędzał, z prośbą, ażeby raczył je przejrzyć. X. Arcybiskup nietylko, że je odczytał, ale niezmiernej wagi szczegółami je objaśnił, powiększył, a w liście z d. 15 grudnia 1890 r. taką od siebie dobrowolnie charakterystykę X. Biskupa umieścił:

»Ś. p. biskup Konstanty obdarzony był niezmiernie bogatą i wysoce szlachetną naturą, tak pod względem umysłu

jak i serca, szczerze zaś zwróciwszy duszę swą ku Bogu, podniósł te przymioty wrodzone do godności cnót nadprzyrodzonych. Bez przesady rzec o nim można, iż żarliwość Domu Bożego pożerała go; że zaś obdarzony był rzadką pomysłowością i przedsiębierczością, co chwila więc przedstawiały mu się nowe a zbawienne projekta, których urzeczywistnienie zaspokoiłyby jakąś naglącą potrzebę publiczną. W innych warunkach byłby to nietylko kolosalny święty, ale też niesłychanej wartości apostoł, w rodzaju Pawła świętego. Tak jak było, dzielny ten pracownik niemało przysporzył korzyści w Królestwie Chrystusowem, ale niemało też ofiar i trudu zmarniało, gdyż nikt nie mógł miarkować jego gorliwości i powstrzymać od chwalebnych, chociaż nie zawsze możliwych przedsięwzięć. Nie zarozumiałość, ale brak czasu i hamulca, włożonego na najlepszą niezaprzeczenie wolę, jest przyczyną zdaniem mojem, że działalność tak genialna i na tak obszerną prowadzona skalę nie wydała tak obfitego owocu, jakby się należało spodziewać. Ludzkie te niedostatki nie zmniejszają w niczem zasług ś. p. biskupa Konstantego, a nawet pod pewnym względem lepiej jeszcze uwydatniają gorącą a zawsze szlachetną jego duszę. Abyśmy co najwięcej mieli takich sług Chrystusowych, a odrodzenie kraju szybkim dokonałoby się krokiem«.

Wiadomem nam jest, że pomimo tyloletniej przyjaźni, w ostatnich miesiącach pobytu w Warszawie X. arcybiskupa Felińskiego pewne nieporozumienia powstały pomiędzy nim a biskupem Konstantym, które mogły pozostawić pewien odcień niesmaku w pamięci, boć ludźmi jesteśmy. To się też tutaj niejako odbija, tem więcej, że X. Arcybiskup musiał nareszcie uznać, że słuszność nie była po jego stronie, a wiedział przecież, że swoje wyniesienie zawdzięczał wyłącznie X. Biskupowi, a wdzięczność jest ostatnią cnotą ludzką, którą w życiu się nabywa. Jeżeli bez względu na to X. arcybiskup Feliński po dwudziestu kilku latach, a zatem, gdy sąd jasny i spokojny przygasił nieco gorączkę dyskusyi bieżącej chwili, w zaciszu wiejskim z własnego popędu nazwisko X. Biskupa łączy ze słowami genialny, święty, apostoł, i w całej prze-

szłości Kościoła widzi tylko jednego męża, do któregoby można przyrównać, to jest do największego z nich wszystkich, apostoła narodów, Pawła świętego — wobec takiego, wytrawionego cierpieniem i samotnością, wiekiem i doświadczeniem, spokojem i rozwagą, świadectwa Arcybiskupa o chwilowym przeciwniku my możemy opowiadanie nasze zakończyć. Starczy to bowiem za wszystkie nasze stronnice, a chwałę X. biskupa Łubieńskiego pewną zupełnie czyni i najdalszej potomności przekazuje. Objawienie bowiem pisze:

»A ktoby zwyciężył i zachował aż do końca uczynki moje, dam mu zwierzchność nad pogany. I będzie je rządził laską żelazną, a jako statek garncarski będą skruszeni. Jakom ja też wziął od Ojca mego, i dam mu gwiazdę zaranną«.

»Kto zwycięży, uczynię go słupem w Kościele Boga mego, a więcej z niego nie wynijdzie, i napiszę na nim imię Boga mego, i imię miasta Boga mego, i imię moje nowe«.

»Kto ma ucho, niechaj słucha, co Duch mówi Kościołom«.



SPIS RZECZY.

